

The book cover features a central portrait of a woman with pale skin and light hair, wearing a dark red Tudor-style gown with gold embroidery and a matching headpiece adorned with pearls. She is set against a golden, ornate background with intricate scrollwork. The text is overlaid on the image in various fonts and colors.

KATARZYNA PARR,  
SZÓSTA ŻONA  
HENRYKA VIII

# PHILIPPA GREGORY

*Ostatnia żona  
Tudora*

*Poskromienie królowej*



Książnica



# PHILIPPA GREGORY

## *Ostatnia żona Tudora*

*Poskromienie królowej*

Przełożyła z angielskiego  
Urszula Gardner



**Książnica**

WROCŁAW 2016

Tytuł oryginału  
*The Taming of the Queen*

Projekt okładki  
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce  
◦ RICHARD JENKINS  
Ilustracje wewnętrzne  
◦ LIANE PAYNE

Redakcja  
JUSTYNA STAWARZ

Korekta  
IWONA WYRWISZ

Skład  
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2015 by Levon Publishing Ltd.  
First published by Touchstone, a Division of Simon & Schuster, Inc.  
All rights reserved.

Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni. Jakiegokolwiek odniesienia  
do wydarzeń, miejsc i postaci historycznych mają charakter fikcyjny.  
Wszelkie podobieństwo do pozostałych osób żyjących lub zmarłych,  
wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Wydanie elektroniczne 2016

ISBN 978-83-245-8236-5



**Książnica**

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# S P I S T R E Ś C I

Dedykacja

Mapy

Pałac Hampton Court – Wiosna 1543 roku

Pałac Hampton Court – Lato 1543 roku

Pałac w Oatlands, Hrabstwo Surrey – Lato 1543 roku

Pałac The More, Hrabstwo Hertfordshire – Lato 1543 roku

Zamek w Ampthill, Hrabstwo Bedfordshire – Jesień 1543 roku

Pałac Hampton Court – Boże Narodzenie 1543 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Wiosna 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Lato 1544 roku

Pałac Świętego Jakuba, Londyn – Lato 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Lato 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Lato 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Lato 1544 roku

Pałac Hampton Court – Lato 1544 roku

Zamek w Leeds, Hrabstwo Kent – Jesień 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Jesień 1544 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Wiosna 1545 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Wiosna 1545 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Wczesne lato 1545 roku

Pałac Nonsuch, Hrabstwo Surrey – Lato 1545 roku

Zamek w Southsea, Zatoka Portsmouth – Lato 1545 roku

Dworek Cowdray, Midhurst, Hrabstwo Sussex – Lato 1545 roku

Pałac w Greenwich – Lato 1545 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Jesień 1545 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Zima 1545 roku

Pałac Hampton Court – Boże Narodzenie 1545 roku

Pałac Hampton Court – Zima 1546 roku

Pałac w Greenwich – Wiosna 1546 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Wiosna 1546 roku

Pałac w Greenwich – Lato 1546 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Lato 1546 roku

Pałac Hampton Court – Lato 1546 roku

Pałac Hampton Court – Lato 1546 roku

Zamek w Windsorze – Jesień 1546 roku

Pałac Whitehall, Londyn – Zima 1546 roku

Pałac w Oatlands, Hrabstwo Surrey – Zima 1546 roku

Pałac w Greenwich – Zima 1546 roku

Pałac Hampton Court – Zima 1547 roku

Od autorki

Bibliografia

Gardens for the Gambia (Ogrody dla Gambii)

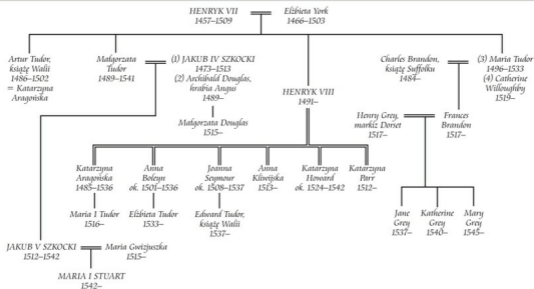
Przypisy



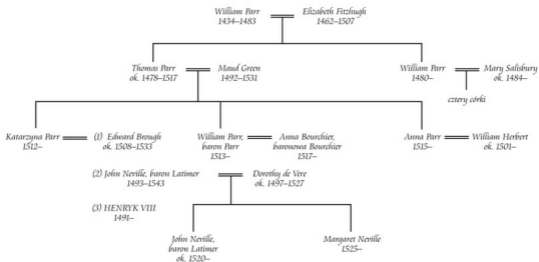


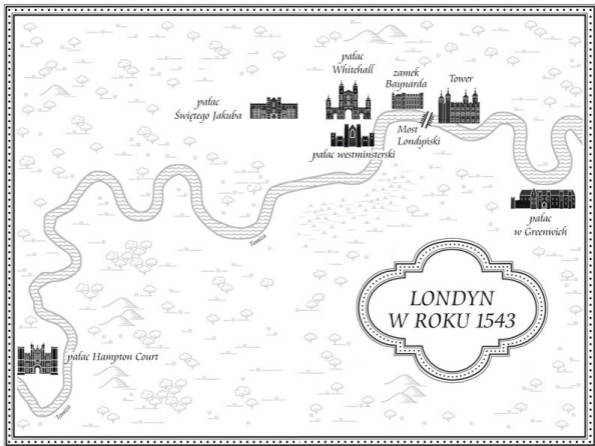
*Dia*  
*Maurice'a Hutta, 1928-2013*  
*Geoffreya Carnalla, 1927-2015*

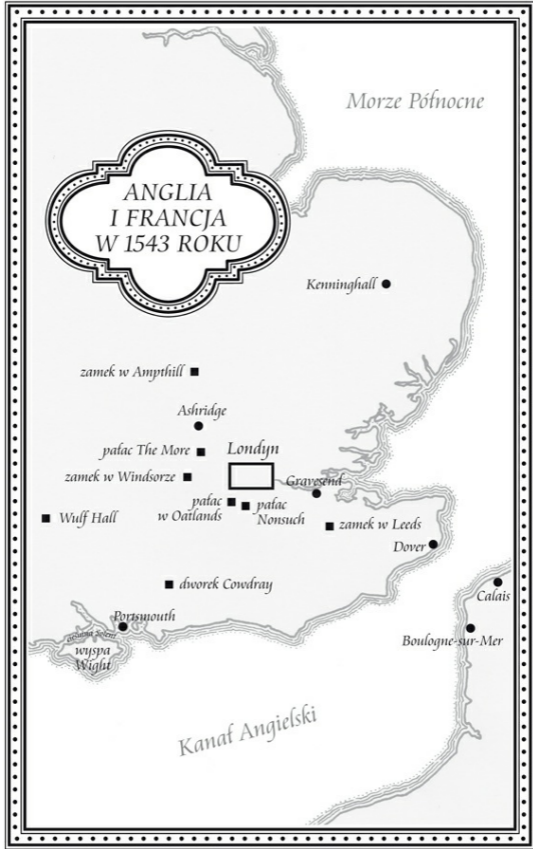
## DYNASTIE TUDORÓW I STUARTÓW W 1543 ROKU



## RÓD KATARZYNY PARR W 1543 ROKU







Morze Północne

ANGLIA  
I FRANCJA  
W 1543 ROKU

Kenninghall ●

zamek w Amythill ■

Ashridge ●

pałac The More ■

Londyn

zamek w Windsorze ■



Gravesend ●

■ Wulf Hall

pałac w Oatlands ■

pałac Nonsuch ■

■ zamek w Leeds

Dover ●

■ dworek Cowdray

Portsmouth ●

Kanał Solent  
wyspa Wight

Calais ●

Boulogne-sur-Mer ●

Kanał Angielski

# PAŁAC HAMPTON COURT WIOSNA 1543 ROKU



Stoi przede mną zwalisty niczym prawieczny dąb, z twarzą jak księżyc w pełni prześwitujący przez najwyższe gałęzie i z wałeczkami ciała pomarszczonego od nadmiaru dobrej woli. Kiedy się nade mną pochyla, mam wrażenie, że zaraz przywali mnie drzewo. Trwam dzielnie na swoim miejscu, ale myślę: chyba dla mnie nie uklęknie, jak zaledwie wczoraj uklęknał inny mężczyzna, by obsypać moje dłonie pocałunkami? Bo gdyby ten waligóra kiedykolwiek padł na klęczki, trzeba by go podnosić na linach jak wołu, który utknął w rowie; zresztą ten człowiek nie klęka przed nikim.

Myślę też: chyba mnie nie pocałuje prosto w usta, nie tutaj, nie w tej długiej komnacie z muzykantami na jednym krańcu i kręcącymi się wokół ludźmi? Coś takiego jest niemożliwe na tym zmanierowanym dworze, nie wierzę, że ta twarz w pełni zbliży się do mojej... Podnoszę spojrzenie na mężczyznę, którego moja matka i wszyscy jej przyjaciele swego czasu uważali za najprzystojniejszego w całej Anglii, na króla, do którego wdychały wszystkie młode dziewczęta, i w skrytości ducha zmawiam modlitwę. Modlę się niemądrze o to, abym się przestyszała, aby nie wypowiedział tych słów, które przed chwilą wypowiedział.

W ciszy nabrzmiałej pewnością siebie czeka na moje „tak”

Uświadamiam sobie, że odtąd już zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy, tak będzie – Henryk poczeka na moją zgodę albo przeforsuje swoją wolę mimo jej braku. Muszę go poślubić. Góruje nad śmiertelnikami nie tylko wzrostem i masą, przewyższa ich pod każdym względem, znajdując się tylko o jeden stopień niżej od aniołów. Henryk VIII, król Anglii.

– Ten zaszczyt spadł na mnie tak nagle... – jękam się.

Cienkie wargi zaciśnięte w dzióbek rozszerzają się w uśmiechu. Dostrzegam pożółkłe zęby i czuję nieświeży oddech jak z pyska starego psa.

– Nie jestem godna...

– Pokażę ci, jak stać się godną – obiecuje mi.

Wstydlawy uśmieszek na jego wilgotnych ustach uprzytamnia mi w nieprzyjemny sposób, że Henryk jest chutliwym sybarytą uwięzionym w gnijącym ciele starca i że będę jego żoną w każdym znaczeniu słowa; połączy nas wspólne łóżce, mimo że boleśnie pragnę innego mężczyzny.

– Czy mogę oddać się modlitwie i rozważyć te niespodziewane oświadczyń? – pytam, rozpaczliwie szukając właściwych, dwornych słów. – Jestem zakłopotana, naprawdę. Owidowałam tak niedawno...

Ściąga krzaczaste, piaskowe brwi, okazując swoje niezadowolenie.

– Potrzebujesz czasu na zastanowienie? Nie wyczekiwałaś tej chwili?

– Ależ każda niewiasta jej wyczekuje! – zapewniam gładko. – W całym pałacu, w całej Anglii nie znajdzie się taka, co nie roi w głowie marzeń. Niczym się od nich nie różnię. Czuję się jednak niegodna...

Tak lepiej, wyrażnie się uspokaja.

– Nie mogę uwierzyć, że moje marzenie się spełniło – dodaję. – Potrzebuję czasu, aby uwierzyć we własne szczęście. Zupełnie jak w bajce!

Kiwa głową. Przepada za bajkami, przebierankami i przedstawieniami, przepada za wymyślnym udawaniem.

– Ocalę cię – obwieszcza. – Wyniosę cię z nizin na wyżyny.

Głos, tubalny i pewny siebie, nasączony najlepszymi winami i karmiony najsmakowszymi kaskami, ma pobłażliwy, jednakże świdruje mnie bystrymi oczkami.

Zmuszam się, aby odwzajemnić jego spojrzenie, skryte pod opadającymi powiekami. Nie wynosi mnie z żadnych nizin, nie jestem nikim; jestem Katarzyna Parr z Kendal, wdowa po Neville’u – a Parrowie i Neville’owie to rody liczące się na Północy, gdzie nawet nigdy nie był.

– Potrzeba mi trochę czasu – próbuję się targować – aby przywyknąć do myśli o tej radości...

Gestem pulchnej dłoni daje mi do zrozumienia, że mogę się namyślać ile



dusza zapagnie. Dygam przed nim i nie odwracając się tyłem, wycofuję się od stolika karcianego, przy którym znienacka zażądał ode mnie najwyższej stawki, na jaką może sobie pozwolić każda niewiasta. Teraz już gra toczy się o moje życie. Pokazać plecy królowi jest wbrew prawu, choć niektórzy żartują, że Henryka lepiej nie spuszczać z oka. Zrobiwszy sześć kroków, czując na skromnie pochylonej głowie promienie wiosennego słońca wpadające przez wysokie okna, dygam powtórnie i spuszczam jeszcze niżej oczy. Kiedy się prostuję, widzę, że nadal uśmiecha się do mnie i że wszyscy na mnie patrzą. Zmuszam się do uśmiechu w odpowiedzi i cofam pod same drzwi, za którymi rozciąga się królewska komnata gościnną. Stojący za moimi plecami gwardziści otwierają oba skrzydła na oścież, z pomieszczenia bije gwar rozmów tych, którzy dziś nie dostąpili zaszczytu pławienia się w obecności najjaśniejszego pana, a ja czuję się wzięta w dwa ognie spojrzeń jednych i drugich. Za próg odprowadza mnie czujny wzrok Henryka. Wycofuję się wciąż tyłem, gwardziści w końcu zatrząskują odrzwia, a mnie w uszach dźwięczy odgłos zderzanych halabard.

Przez moment stoję bez ruchu, wpatrując się w rzeźbione drewniane skrzydła, niezdolna się odwrócić i stawić czoło spojrzeniom ciekawskich. Gdy znalazłam się bezpiecznie za grubymi drzwiami, nagle czuję, że cała drzę – nie tylko w kolanach i rękach, ale każdym włókienkiem mojego ciała, jakbym miała gorączkę albo jakbym była zajączką ukrytą pomiędzy łanami pszenicy, podczas gdy zbliża się doń ława kosiarzy żnących kłosa.

Dwór zasypia grubo po północy, toteż dopiero wtedy narzucam na nocną szatę z czarnej satyny granatową pelerynę i ciemną niczym nocny cień wymykam się po cichu z niewieściego skrzydła pałacu, kierując się ku szerokiej klatce schodowej. Nikt nie zatrzymuje mnie po drodze; kaptur zasłania mi dobrze twarz, a poza tym znajduję się w pałacu, w którym miłość jest walutą od lat. Nikogo nie interesuje jakaś białogłowa zmierzająca do niewłaściwej komnaty w środku nocy.

U drzwi mego kochanka nie ma straży, one same zaś stoją otworem, tak jak to obiecał. Niskam klamkę i wślizguję się za próg. Oświetlona tylko paroma świecami komnata jest pusta, nie licząc jego czekającego na mnie przy kominku. Mój kochanek jest wysoki, szczupły, ciemnowłosy i ciemnooki. Na mój widok podnosi spojrzenie roziskrzony podnieceniem, zrywa się z krzesła i przyciąga mnie do siebie. Wtulam twarz w jego pierś, czując, jak równocześnie oplata mnie ciasno ramionami. Bez słowa pocieram czołem o dublet, zupełnie jakbym chciała przeniknąć pod jego odzienie, pod jego

skórę. Przez moment kołyszymy się zgodnym rytmem, spragnieni wzajemnie swego zapachu, swego dotyku. Potem dłońmi chwytam mnie pod pośladki i unosi z ziemi, a ja oplatom go w pasie nogami. Tak bardzo go pragnę... Stawia parę kroków i kopnięciem obutej nogi otwiera drzwi do sypialni, zatrzaszkując je za sobą, zanim położy mnie na swoim łóżku. Ściąga pludry, rzuca koszulę na ziemię, podczas gdy ja rozwiązuję troczki peleryny i nocnej szaty, aby mógł mnie sobą nakryć i wejść we mnie bez jednego słowa, tylko z głuchym westchnieniem, jakby aż do tej chwili wstrzymywał oddech. Dopiero wtedy sapię prosto w jego nagie ramię:

- Tomasz, chędoż mnie przez całą noc, chcę o wszystkim zapomnieć.

Unosi się nade mną, aby spojrzeć na me blade oblicze i kasztanowe włosy rozsypane na poduszce.

- Chryste... tak bardzo cię pragnę! - wykrzykuje.

Następnie jego poważna twarz przybiera wyraz niezwykłego skupienia, a ciemne oczy rozszerzają się zaślepione pożądaniem, kiedy zaczyna się we mnie poruszać. Rozkładałam nogi szerzej i słysząc swój coraz bardziej urywany oddech, wiem, że oto jestem z mężczyzną, który pierwszy sprawił mi przyjemność, oto jestem w jedynym miejscu na świecie, w którym chcę być, w jedynym, w którym czuję się bezpiecznie - w rozgrzanym naszą miłością łóżu Tomasza Seymoura.

\*

Krótko przed świtem nalewa mi wina z dzbanka stojącego na skrzyni i częstuje mnie suszonymi śliwkami i jakimiś łakociami. Przyjmuję kielich i zaczynam pogryzać słodkości, podstawiając otwartą dłoń na spadające okruszki.

- Oświadczył mi się - mówię zwięźle.

Tomasz zakrywa sobie ręką oczy, jakby nie mógł znieść mojego widoku, kiedy siedzę na jego łóżku rozczochrana, z włosami spływającymi mi na ramiona i prześcieradłem ledwie zakrywającym piersi, z szyją pokrytą malinkami od jego nienasyconych pocałunków i z wciąż lekko nabrzmiałymi wargami.

- Boże, miej nas w swojej opiece. O Boże, oszczędź nas...

- Nie wierzyłam własnym uszom.

- Rozmówił się z twoim bratem? Z twoim stryjem?

- Nie, zwrócił się wprost do mnie. Wczoraj.

- Powiedziałaś o tym komukolwiek innemu?

Kręcę głową.

- Jeszcze nie. Chciałam, abyś pierwszy się dowiedział.

- Co zamierzasz zrobić?

- A co mogę zrobić? – pytam ponurym tonem. – Będę musiała usłuchać.

- Nie możesz! – odpowiada Tomasz z nagłym zniecierpliwieniem. Sięga do mnie i łapie mnie za ręce, wytrącając z palców smakołyk. Później klęka na łóżku i zaczyna całować kolejno opuszki wszystkich moich palców, jak wtedy, gdy mi po raz pierwszy wyznał, że mnie kocha, i zapewnił, że nikt nigdy nas nie rozdzieli, że jestem jedyną niewiastą, której pragnie i pożąda, choć miał w życiu bez liku ładacznic i służek, tyle dziewczek, że ledwo je wszystkie spamiętał. – Katarzyno, zaklinam cię! Nie zniosę, jeśli za niego wyjdiesz. Nie zezwalam na to!

- Jak niby miałabym odmówić królowi?

- Co mu rzekłaś?

- Że potrzebuję czasu. Na modlitwę i zastanowienie.

Przykłada moje dłonie do swojego płaskiego brzucha. Czuję spoconą skórę, kręte ciemne włoski i prężące się pod nimi mięśnie.

- To właśnie robiłaś tej nocy? Modliłaś się?

- Ubóstwiałam... – odpowiadam szeptem.

Schyła się, żeby mnie pocałować w czubek głowy.

- Heretyczka z ciebie. A co by było, gdybyś mu powiedziała, że już masz narzeczonego? Że wzięłaś ślub w sekrecie?

- Z tobą? – pytam otwarcie.

Podnosi rzuconą rękawicę, gdyż wielki śmiałek z niego. Niebezpieczeństwo? Ryzyko? Tomasz Seymour jest do nich pierwszy. Traktuje je jak majową zabawę, zupełnie jakby czuł się żywy, wyłączając będąc na odległość miecza od śmierci.

- Tak, ze mną! – podchwytuje dziarsko. – Oczywiście, że ze mną. Oczywiście, że musimy wziąć ślub. Możemy nawet powiedzieć, że już wzięliśmy.

Chciałam usłyszeć te słowa, lecz brak mi odwagi, aby zrobić z nich użytek.

- Nie potrafię mu się przeciwstawić... – Na myśl o zostawieniu Tomasza odbiera mi głos. Gorące łzy płyną mi po policzkach. Rąbkiem prześcieradła ocieram więc oczy. – Och, na Boga, nie będziemy mogli się nawet widywać...

Wygląda na wstrząśniętego. Przysiada w kucki, a łóżko trzeszczy pod jego ciężarem.

- To nie może być prawda. Ledwo co się uwolniłaś... Byliśmy ze sobą

najwyżej pół tuzina razy... Zamierzałem poprosić go o twoją rękę! Zwlekałem jedynie przez wzgląd na twoje wdowieństwo!

- Powinnaś była domyślić się wcześniej. Obdarował mnie wspaniałymi strojami, nalegał, abym skróciła żałobę i wróciła na jego dwór. Wiecznie mnie szuka w komnatach księżniczki Marii i ani na moment nie spuszcza ze mnie oka.

- Sądziłem, że to zwykły flirt. Wyróżniał nie tylko ciebie. Była też Katarzyna Brandon, Maria Howard... Do głowy mi nie przyszło, że on tak na poważnie.

- Obdarzył mojego brata łaskami niewspółmiernymi do jego zasług. Bóg świadkiem, że William nie został strażnikiem marchii dzięki swoim umiejętnościom.

- Ale Henryk mógłby być twoim ojcem!

Uśmiecham się gorzko.

- Jakiemu mężczyźnie przeszkadza młoda żona? Wiesz, myślę, że król upatrywał mnie sobie jeszcze przed śmiercią mojego męża, niech odpoczywa w pokoju.

- Domyślałem się tego! - Tomasz wali otwartą dłońią w rzeźbiony słupek baldachimu. - Domyślałem się! Widziałem przecież, jak wodzi za tobą oczyma. Widziałem, jak posyła ci kąski przy wieczerzy, a to tego, a to owego, i za każdym razem oblizuje łyżkę wielkim tłustym ozorem, kiedy czegoś skosztowałaś. Nie zniosę myśli, że miałabyś się znaleźć w jego łóżu, że miałyby cię targać tymi starymi łapami na wszystkie strony.

Czując w gardle gulę strachu, przełykam ciężko, z trudem.

- Wiem... Wiem. Małżeństwo będzie znacznie gorsze od zalecanek, a nawet one sprawiają wrażenie źle napisanej sztuki z niedobranymi aktorami, którzy zapomnieli swoich kwestii. Tak się boję, Tomasz... Nie masz pojęcia jak bardzo. Poprzednia królowa... - Urywam. Nie potrafię się zdobyć, aby wypowiedzieć głośno jej imię. Katarzyna Howard zmarła skrócona o głowę za cudzołóstwo przed niespełna rokiem.

- O to się nie martw - dodaje mi otuchy Tomasz. - Przebywałaś wtedy z dala od dworu królewskiego, zatem nie wiesz, jaka ona była. Katarzyna Howard sama sprowadziła ruinę na swą głowę. Nie tknąłby jej nawet małym palcem, gdyby nie zawiniła. Ale była z niej ladacznica na wskroś.

- A twoim zdaniem jak by mnie nazwał, gdyby mnie tu teraz zobaczył?

Zapada głucho milczenie. Tomasz spogląda na moje dłonie, zaciśnięte na kolanach. Zaczęłam się znowu trząść. Kładzie mi ręce na ramionach, czuje moje drżenie. Jest nie mniej wstrząśnięty niż ja - zupełnie jakbyśmy właśnie usłyszeli wydany na nas wyrok śmierci.

- Nie możemy dopuścić, żeby choćby zaczął cię podejrzewać - gestem obejmuje trzaskający wesoło kominek, komnatę sypialną spowitą blaskiem świec, skotłowaną pościel, intensywną zdradliwą woń miłości. - Jeśli cię zapyta, wszystkiemu zaprzecz. Ja też to zrobię, przysięgam. Henryk nie może nabrać choćby cienia podejżenia. Przyrzekam, że ode mnie nigdy się o niczym nie dowie. Nabierzemy wody w usta. Nie zdradzimy się przed nikim. Nie damy mu najmniejszego powodu do podejżeń. Złożymy sobie obietnicę milczenia.

- Masz moje słowo. Nawet na torturach cię nie wydam.

Uśmiecha się do mnie ciepło.

- Wysoko urodzonych się nie torturuje...

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie gestem pełnym łagodności. Następnie układa mnie na wznak, otula futrzanym nakryciem i wyciąga się obok, podpierając głowę na rękę, aby móc na mnie dalej patrzeć. Wolną dłonią muska mnie po mokrym policzku, po gardle, po krągłości piersi, wodzi palcami po moim brzuchu i biodrze, jakby chciał zapamiętać moje kształty, jakby czytał z mojej skóry opuszkami, zapamiętując na zawsze całe akapity. Na koniec składa głowę w zagłębieniu mojej szyi i wdycha zapach moich włosów.

- To pożegnanie, prawda? - pyta z ustami przytkniętymi do mojego ciała.

- Ty już podjąłeś decyzję, moja mała twarda mieszkanko Północy. Postanowiłaś, co zrobisz, zupełnie sama i tylko przysłałaś się ze mną pożegnać.

Oczywiście, że to pożegnanie.

- Boję się, że umrę, jeśli mnie zostawisz - ostrzega.

- Oboje umrzemy na pewno, jeśli tego nie zrobisz - odpowiadam oschle.

- Jak zwykle walisz prosto z mostu.

- Nie chcę cię okłamywać dzisiejszej nocy. Całą resztę życia spędzę na mówieniu kłamstw.

Tomasz przygląda mi się bacznie.

- Cudna jesteś, kiedy płaczesz - zauważa. - Szczególnie kiedy płaczesz.

Kładę obie dłonie na jego piersi. Wyczuwam rzeźbę jego mięśni i ciemne sztywne włoski. Na ramieniu ma starą bliznę po cięciu mieczem. Dotykam jej ostrożnie, myśląc, że muszę ją zapamiętać. Muszę zapamiętać to wszystko.

- Nie pozwól, aby kiedykolwiek ujrzał cię zapłakaną - odzywa się nieoczekiwanie Tomasz. - To by sprawiło mu radość.

Wodzę palcem wskazującym po linii jego obojczyka, po napiętych ścięgnach jego ramienia. Ciepła skóra Tomasza i woń naszej miłości odwracają moje myśli od smutnych spraw.

- Muszę się wymknąć przed świtem - oznajmiam, zerkając na zamkniętą okiennicę. - Nie zostało nam wiele czasu...

Tomasz chwytą w lot, o co mi chodzi.

- A więc to tak chcesz się ze mną pożegnać? - Delikatnie wpycha mi udo między nogi, aż stwardniałe ciało spotyka się z miękkimi fałdkami, a przyjemność wzbiera we mnie niczym fala. - Tak?

- Po wsiojemu - szepczę, żeby go rozbawić.

Przetacza się, tak że teraz to on leży na wznak, a ja spoczywam wyciągnięta jak długa na nim, dzięki czemu mam kontrolę nad tym ostatnim aktem naszej miłości. Napinam wszystkie mięśnie, czując, jak drży pode mną z pożądania, później siadam na nim okrakiem, przykładam mu na płask dłonie do piersi, aby spojrzeć mu prosto w oczy, unoszę się lekko i opuszczam powoli, aż znów poczuję zetknięcie twardości z miękkością, po czym przelotnie waham, aby mógł mnie ponaglić - „Katarzyno!” Dopiero wtedy podejmuję przerwany w połowie ruch. Tomasz sapie i przymyka oczy, rozkładając szeroko ramiona, zupełnie jakby był ukrzyżowany rozkoszą. Zaczynam się poruszać miarowo, z początku bardzo wolno, mając na uwadze jego przyjemność, chcąc, aby trwała jak najdłużej, jednakże wkrótce ogarnia mnie gorączka i ta słodka znajoma niecierpliwość i już nie mogę ani się dłużej wahać, ani przestać, tylko muszę się kołysać, wyprana z wszelkich myśli, aż wreszcie wykrzykuję jego imię w uniesieniu, w radości - po czym płaczę. Z miłości, z pożądania, z poczucia straty, którą przyniesie nadchodzący dzień.

W kaplicy, podczas prymy, klęczę obok mojej siostry Anny w otoczeniu dworek księżniczki Marii. Sama księżniczka Maria, która modli się w skupieniu przy własnym bogato zdobionym i wyściełanym klęczniku, znajduje się poza zasięgiem słuchu.

- Anno, mam ci coś do powiedzenia - odzywam się szeptem.

- Czyżby miłościwy pan zadał ci pytanie? - domyśla się natychmiast.

- Tak.

Na to Anna aż sapie z wrażenia, po czym zaraz nakrywa mą dłoń swoją i ściska mnie lekko. Klęczymy ramię w ramię, zupełnie jak wtedy, gdy byliśmy małe i mieszkaliśmy wciąż w domu rodzinnym na zamku w Kendal w Westmorlandii, gdzie pani matka czytała na głos po łacinie modlitwę, a my niewyraźnie mówiliśmy pod nosem nasze partie. Kiedy msza wreszcie dobiega końca, księżniczka Maria podnosi się na nogi, a my za nią i tak opuszczamy mroczną kaplicę.

Na zewnątrz panuje ładny wiosenny dzień. W taką pogodę w Westmorlandii rozpoczęto by orkę, a krzyki bekasów niostyby się chórem z pogwizdywaniem oraczy.

- Przespacerujmy się po ogrodach przed śniadaniem - proponuje księżniczka Maria.

Posłusznie schodzimy za nią schodkami wiodącymi do wydzielonej części ogrodu, mijając po drodze gwardzistów, którzy na nasz widok prezentują broń, po czym usuwają się w cień. Moja siostra Anna, która wychowywała się na dworze królewskim, wypatruje okazji i w sposobnej chwili ujmuje mnie pod łokieć, by przepuścić przodem resztę dworek. Zostawszy w tyle, obieramy inną ścieżkę, gdzie - z dala od reszty towarzystwa naszej pani - zatrzymujemy się i obracamy do siebie twarzą. Jesteśmy niczym lustrzane odbicia: Anna, tak jak ja, kasztanowe włosy ma zaczesane do tyłu pod kornetem, jej szare oczy są roziskrzzone, a blade lica zaróżowione od emocji.

- Bóg nad tobą czuwa, siostrzo. Bóg czuwa nad nami wszystkimi. To wielki dzień dla rodu Parrów... Co odpowiedziałś?

- Poprosiłam o trochę czasu na oswojenie się ze szczęściem, które mnie spotkało. - Ton głosu mam suchy.

- Jak sądzisz, ile ci zostało?

- Kilka tygodni?

- Miłościwy pan nie należy do najbardziej cierpliwych - przypomina mi, na co potakuję westchnieniem. - Powinnaś przyjąć oświadczyzny bezzwłocznie. Wzruszam ramionami.

- Tak uczynię. Wiem, że muszę go poślubić. Wiem, że nie mam wyboru.

- Wyjdiesz za króla Anglii, zostaniesz królową! Pomyśl o bogactwie, którym będziesz zawiadywać! - Anna nie posiada się z radości. - Wszystkim nam co nieco skapnie...

- Tak - wpadam jej w słowo. - Rodowa jałówka raz jeszcze wystawiona na targu. To będzie jej trzecia sprzedaż.

- Daj spokój, Katarzyno! To nie jakieś tam układane małżeństwo ze starym prykiem, to twoja największa szansa w życiu! Złapałaś najlepszą partię w całej Anglii, a może nawet w świecie!

- Przynajmniej na jakiś czas...

Anna ogląda się za siebie, a następnie bierze mnie pod łokieć i prowadzi naprzód, pochylając ku mnie głowę.

- To zrozumiałe, że jesteś pełna obaw - szepcze. - Ale pomyśl: Henryk słąbuje, liczy wiele zim. Zanim się obejrzyysz, pozostanie ci po mężu sam tytuł i spadek.

Ostatni mąż, którego pochowałam, miał czterdzieści dziewięć lat. Henryk

liczy ich obecnie pięćdziesiąt jeden, jest więc faktycznie stary, ale i tak może dociągnąć do sześćdziesiątki. W końcu otacza się najlepszymi medykami i aptekarzami i unika chorób, jakby był drogocennym dziecieniem. Armię w bój posyła samą, a pojedynkować się przestał całe lata temu. Pochował już cztery żony – czemu nie miałyby pożegnać na zawsze i piątą?

– Mam szansę go przeżyć – przyznaję z ustami przy uchu siostry. – Wspomnij jednak Katarzynę Howard, ile jej dane było wytrwać na tronie?

Na wspomnienie ostatniej królowej Anna tylko potrząsa głową.

– Katarzyna Howard była ladcnicą! Dopuściła się zdrady i jeszcze dała się przyłapać! Ty nie popełnisz tego błędu.

– To bez znaczenia – mówię nagle, znużona tym wyrachowaniem. – Tak czy owak nie mam wyboru. Decyzję podjął za mnie los.

– Nie mów tak. To wola boża. – Anna nie przestaje tryskać entuzjazmem. – Wyobraź sobie, co możesz osiągnąć jako królowa. Wyobraź sobie, co wszyscy możemy osiągnąć!..

Moja siostra z wielkim oddaniem popiera reformę Kościoła anglikańskiego. Chciałaby, aby z obecnego stanu – papizmu pozbawionego papieża – przeistoczył się w prawdziwą komunię wiernych opartą na Piśmie Świętym. Podobnie jak spora część Anglików – nikt nie wie, jaka dokładnie – Anna życzy sobie, ażeby reformy posuwały się nadal, aż nareszcie opuści Anglię wszelki przesąd.

– Anno, przecież wiesz, że brak mi twego zacięcia... A zresztą któż by mnie tam słuchał!

– Henryk zawsze z początku daje posłuch swoim żonom. Trzeba nam kogoś, kto przemówi w naszym imieniu. Dworzanie drżą przed biskupem Gardinerem, który ma wątpliwości nawet co do otoczenia księżniczki Marii. Sama muszę ukrywać swoje księgi. Potrzebna nam królowa, która będzie bronić reformy!

– Na mnie nie licz – odpowiadam głucho. – Nie interesują mnie takie sprawy i nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej. Wyleczyłam się z wiary, kiedy papiści zagrozili spalaniem mojego zamku.

– Cali papiści! – podchwytuje niezrażona Anna. – Rzucali nawet rozgrzane węgle na wieko trumny Richarda Championa, aby pokazać, że ich zdaniem powinien być zostać spalony. Chcieliby trzymać ludzi w niewiedzy, rządzić nimi za pomocą strachu. Właśnie dlatego zależy nam, aby Biblia zamiast po łacinie ukazała się w języku ojczystym. Niech każdy sam ją czyta, zamiast dać się zwodzić klechom!

– Och, jedni warci drugich – obruszam się. – Ja tam się nie znam na reformie, w hrabstwie Richmondshire, gdzie mieszkałam, nie było wielu



ksiąg. Baron Latimer, świętej pamięci John Neville, nie pozwalał ich trzymać w domu, a i ja sama nie miałam wiele czasu na czytanie. Zatem nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, a już na pewno nie mam żadnego wpływu na najjaśniejszego pana.

– Ależ Katarzyno, w lochach Windsoru siedzą czterej mężczyźni, których jedyną przewiną jest to, że chcieli czytać Biblię w ojczystym języku! Koniecznie musisz ich stamtąd uratować!

– Mam ratować heretyków? – oburzam się. – Heretycy winni spłonąć na stosie. Takie jest prawo. Kimże jestem, aby przeciwstawiać się prawu?

– Jeszcze zmienisz zdanie – upiera się przy swoim Anna. – To rozumiałe, że ominęły cię wszystkie nowinki, póki jako żona starego Latimera mieszkałaś na dalekiej Północy, ale jak teraz usłyszysz nauki londyńskich kaznodziejów i szolarzy objaśniających Pismo Święte, pojmiesz, skąd u mnie tak silne przekonania. Nie ma w świecie nic ważniejszego od tego, żeby nieść Słowo Boże w lud i żeby ograniczać wpływy Kościoła rzymskiego.

– Przynaję, że każdy powinien być w stanie przeczytać Biblię – ustępuję niechętnie.

– Widzisz? Na początek to wystarczy! Reszta przyjdzie z czasem, zobaczysz. A ja nigdy cię nie opuszczę – zapewnia. – Przenigdy. *Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójde*<sup>[1]</sup>. Bóg nade mną czuwa, zostanę siostrą królowej Anglii!...

Zapominam o powadze mojej sytuacji i wybucham śmiechem.

– Puszysz się niczym paw! Pani matka też byłaby zadowolona. Pomyśleć tylko!...

Anna także się śmieje, aż zasłania ręką usta.

– Boże ty mój!... Boże ty mój!... – powtarza. – Aż trudno uwierzyć, że do tego doszło po tym, jak ciebie wydała za mąż, a mnie zapędziła do pracy, a wszystko to w imię dobra Williama. Pamiętasz, ile się nastłuchałyśmy, że William jest najważniejszy, że naszym zadaniem jest przysłużyć się rodzinie i nigdy nawet nie myśleć o własnym szczęściu? Pamiętasz te perory, że tylko William się liczy, że tylko Anglia się liczy, że tylko dwór się liczy i że nie ma ważniejszego człowieka na świecie niż król Henryk?

– A ta pamiątka po niej! – pieję, nie mogąc się powstrzymać. – Drogocenna pamiątka, którą mi po sobie zostawiła! Największym jej skarbem był portret miłościwego pana!

– Tak, pani matka wielbiła Henryka. Jak dla niej, pozostał najurodziwszym księciem całego chrześcijańskiego świata.

- Z pewnością uznalaby za zaszczyt, że mogę wyjść za to, w co się zamienił.

- Bo to jest wielki zaszczyt, Katarzyno - trzeźwieje znieca Anna. - Król Henryk uczyni cię najzamożniejszą niewiastą w Anglii, nie będziesz miała sobie równych. I będziesz mogła robić, co ci się żywnie podoba. Jak cię znam, coś takiego przypadnie ci do smaku. No i każdy, nawet żona Edwarda Seymoura, będzie ci się kłaniać. Wprost nie mogę się tego doczekać, taka jest nieznośna moim zdaniem.

Na wspomnienie brata Tomasza uśmiech spełza mi z twarzy.

- Wiesz, miałam nadzieję wyjść za Tomasza Seymoura...

- Ale chyba nic na ten temat nie mówiłaś? Ani jemu, ani nikomu innemu?

Chociaż mam w pamięci wyryty obraz nagiego Tomasza skąpanego blaskiem świec... chociaż mam przed oczyma jego zachęcający uśmiech i własną dłoń na jego brzuchu, wodzącą za włoskami biegnącymi w dół... chociaż czuję jego zapach, ilekroć przed nim klęczę, przyciskając czoło do jego brzucha i rozwierając usta... odpowiadam:

- Nic nie powiedziałam. Nic nie zrobiłam.

- Zatem nie wie, że brałaś go pod uwagę jako kandydata na męża? - naciska Anna. - Zastanawiałaś się nad małżeństwem dla dobra rodziny, nie dla zaspokojenia chuci... Prawda, Katarzyno?

Przypominam go sobie, jak leży na wznak i wygina plecy w łuk, aby we mnie wejść, widzę jego rozrzucone na boki ramiona, jego czarne rzęsy na śniadych policzkach, ilekroć przymyka oczy z ukontentowania.

- Tomasz o niczym nie wie. Po prostu uznalam, że jego nazwisko i jego majątek mogłyby wyjść na dobre naszemu rodowi.

Anna potakuje skinieniem.

- Tomasz byłby dla ciebie dobrą partią. Seymourowie rosną w siłę. Nie wolno nam jednak o nim wspominać głośno. Nikt nie może wiedzieć, że rozważałaś jego kandydaturę.

- Nie rozważałam. Nastawiałam się tylko na to, że przyjdzie mi znów kogoś poślubić, jego albo kogokolwiek innego, dla dobra naszego rodu.

- Tomasz Seymour równie dobrze mógłby dla ciebie nie żyć - kończy tę dyskusję Anna.

- Już o nim zapomniałam - zapewniam. - Nie rozmawiałam z nim ani nie prosiłam brata, by z nim porozmawiał w moim imieniu. Nikomu o nim nie powiedziałam, nawet naszemu stryjowi. Możesz go wyrzucić z pamięci, jako i ja uczyniłam.

- To nie żarty, Katarzyno...

- Nie jestem niemądra.

Anna kiwa głową.

- Nie wymówimy nigdy więcej jego imienia.

- Nigdy więcej - potwierdzam.

Tej samej nocy śnię o Trifinie. Wydaje mi się, że jestem tą świętą, poślubioną wbrew własnej woli wrogowi mego ojca, i że wspinam się po stopniach w jego spowitym mrokiem zamku. Z komnaty u szczytu schodów dolatuje nieprzyjemna woń, która dławii mnie i przyprawia o kaszel podczas wspinaczki. Jedną dłonią wodzę po wilgotnym obłym murze klatki schodowej, w drugiej zaś trzymam świecę, której płomień drga w morowym powietrzu dolatującym z komnaty przede mną. Czuję zapach śmierci, zapach czegoś, co umarło i zgniło za zamkniętymi drzwiami komnaty, które muszę przekroczyć, by stawić czoło swemu strachowi, albowiem jam jest Trifina, poślubiona wbrew własnej woli wrogowi mego ojca. Wspinam się po stopniach w jego spowitym mrokiem zamku. Z komnaty u szczytu schodów dolatuje nieprzyjemna woń, która dławii mnie i przyprawia o kaszel podczas wspinaczki. Jedną dłonią wodzę po wilgotnym obłym murze klatki schodowej, w drugiej zaś trzymam świecę, której płomień drga w morowym powietrzu dolatującym z komnaty przede mną. Czuję zapach śmierci, zapach czegoś, co umarło i zgniło za zamkniętymi drzwiami komnaty, które muszę przekroczyć, by stawić czoło swemu strachowi, albowiem jam jest Trifina, poślubiona wbrew własnej woli wrogowi mego ojca. Wspinam się po stopniach w jego spowitym mrokiem zamku i... Sen się powtarza raz po raz, a ja się wspinam bez końca po schodach, które zamieniają się w inne schody, te zaś w jeszcze inne, prowadząc coraz wyżej, podczas gdy blask świecy pada cieniem na wilgotny mur, podczas gdy woń z zamkniętej komnaty staje się z każdą chwilą silniejsza, aż wreszcie rozkastuję się tak silnie, że łoża zaczyna się chwiać, a Klara, moja dworka, która dotrzymuje mi towarzystwa nocami, budzi się i woła:

- Na Boga, Katarzyno, kastałaś i krzyczałaś przez sen... Co się stało?

Odpowiadam jej:

- Nic. Nic się nie stało. Miałam po prostu zły sen. Boże mój, ale się najadłam strachu!

Miłościwy pan zachodzi do apartamentów księżniczki Marii każdego dnia, wsparty ciężko na ramieniu jednego ze swych druhów, usiłując ukryć fakt, że jego chora noga zawodzi go i gnije. Króla podtrzymuje często, tak jak teraz,

jego szurzyn Edward, który zagaduje miłośno, uroczy jak każdy Seymour. Z drugiej strony najjaśniejszego pana kroczy Tomasz Howard, stary książę Norfolk, z twarzą przybraną w oględny dworski uśmiech, za nimi zaś postępuje szerokolicy i barczysty Stephen Gardiner, biskup Winchesteru, gotów w każdej chwili postąpić do przodu i służyć pomocną dłonią. Wszyscy trzej zaśmiewają się z żartów rzucanych przez Henryka i wychwalają głębię jego przemyśleń – nikt nigdy nie waży się mu zaprzeczyć. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek sprzeciwił się królowi od czasów jego drugiej żony, Anny Boleyn.

– Znowu ten Gardiner – mamrocze moja siostra, na co Katarzyna Brandon pochyla się ku niej i szepcze coś gorączkowo.

Widząc, że Anna blednie, gdy Katarzyna kiwa uroczą główką, pytam:

– O co chodzi? Cemu Gardiner nie powinien służyć Henrykowi ramieniem?

– Papiści zamierzają schwytać w swoje sidła Thomasa Cranmera, najbardziej chrześcijańskiego arcybiskupa w Anglii – odpowiada Anna, połykając słowa. – Katarzyna wie od męża, że jeszcze dziś, tego popołudnia, oskarżą go o herezję. W swoim mniemaniu mają na niego dość dowodów, aby postać go na stos.

Czuję się tak wstrząśnięta, że ledwie wydobywam z siebie słowa.

– Ależ nie można spalić na stosie biskupa! Kto to słyszał?

– Wszyscy słyszeli – mówi ostrym tonem Katarzyna Brandon. – Najjaśniejszy pan kazał stracić w ten sposób biskupa Fishera.

– To było wieki temu! Czym znowuż zawinił Cranmer?

– Wystąpił przeciwko sześciu artykułom wiary – wyjaśnia pośpiesznie Katarzyna Brandon – które miłościwy pan wymienił i w które przykazał wierzyć wszystkim poddanym pod karą zarzutu herezji.

– Jakże mógł przeciwko nim wystąpić? Przecież nie może nauczać wbrew naukom Kościoła! W końcu jest arcybiskupem... – Przerzywam, widząc, że Henryk zmierza ku nam.

– Katarzyno, uratuj arcybiskupa Cranmera – zaklina mnie gwałtownie Anna. – Wyproś u króla jego niewinność.

– Niby jak...? – rzucam półgębkiem, już rozciągając wargi w uśmiechu, ponieważ Henryk kuśtyka właśnie w moją stronę, ledwie skinąwszy na powitanie córce.

Księżniczka Maria rzuca mi dziwne spojrzenie, ale nic nie mówi – nawet jeśli jest zdania, że takie zachowanie nie przystoi trzydziestoletniej wdówie. Sama, choć ma tylko trzy lata mniej niż ja, nauczyła się ostrożności podczas okrutnie dotkliwego dzieciństwa. Na własne oczy widziała, jak bliskie jej osoby, preceptor, a nawet opiekunka, znikają z jej dworu uwięzione w murach

Tower, by stamtąd trafić prosto na szafot. Nieraz słyszała przestrogi, że ojciec gotów ją stracić za upartą wiarę. Obecnie często miewa w oczach łzy w trakcie modlitwy i zapewne opłakuje w duchu, chora z udręczenia, tych, których straciła, nie mogąc ocalić od najgorszego. Wyobrażam sobie, że co dzień budzi się pełna poczucia winy, świadoma, iż wyparła się jedynej wiary dla ocalenia życia, chociaż jej przyjaciele pozostali lojalni wobec swego Kościoła do samego końca.

Dziś Maria stoi sztywno wyprostowana, kiedy miłościwy pan opada ciężko na krzesło obok mnie, i siada dopiero wtedy, gdy ojciec daje jej pozwolenie machnięciem ręki. Nawet wówczas jednak się nie odzywa, chyba że Henryk ją zagadnie. Przez cały czas trzyma skromnie spuszczoną głowę. Ani myśli się poskarżyć, że król flirtuje z jej dworkami; już prędzej przełknie zniewagę, ryzykując, że ta ją zatruje.

Tymczasem najjaśniejszy pan gestem pokazuje, że wszyscy mogą zająć swoje miejsca, po czym nachyla się ku mnie i ściszym głosem pyta, co czytam. Natychmiast pokazuję mu okładkę trzymanego w dłoniach woluminu. Jest to zbiór francuskich historyjek, nic, co mogłoby być zakazane.

- Znasz francuski?

- W mowie i piśmie - odpowiadam. - Aczkolwiek nie tak dobrze jak wasza królewska mość, oczywista.

- Jakimi jeszcze językami władasz?

- Liznęłam łaciny, ale teraz, odkąd mam więcej czasu, zamierzam zacząć ją zgłębiać prawdziwie. Szczególnie że obracam się wśród światłych osób na dworze waszej królewskiej mości...

Uśmiecha się na moje słowa.

- Ja nauczyłem się jej od małości. Obawiam się, że nigdy mnie nie dościgniesz. Powinnaś jednak osiąść jej znajomość na tyle, aby móc mi czytać.

- Poezje waszej królewskiej mości dorównują wszystkiemu, co zostało stworzone po łacinie - rzuca któryś przepełniony entuzjazmem dworzanin.

- Jak poezja, to tylko po łacinie - oponuje Stephen Gardiner. - W języku ojczystym można mówić na targu, łacina zaś jest językiem Biblii.

Henryk z uśmiechem ucina dyskusję gestem pulchnej dłoni. Wspaniałe pierścienie lśnią przy każdym jego ruchu.

- Napiszę dla ciebie wiersz w łacinie, a ty go przetłumaczysz - obiecuje mi. - Sama się przekonasz, który z tych języków bardziej się nadaje do wyrażania miłości. Niewieści umysł potrafi być największą ozdobą płci pięknej. Będę oczekiwał, że ukażesz mi zarówno piękno swego umysłu, jak i oblicza.

Jego małe oczka opadają z mej twarzy do dekoltu sukni i spoczywają na krągłościach piersi podtrzymywanych przez ciasny gorset. Następnie Henryk, mlasnąwszy wargami, zwraca się do księcia Norfolku:

– Czyż nie jest to najurodzawsza dama na całym dworze?

Staruszek uśmiecha się blado, taksując mnie spojrzeniem ciemnych oczu, jakbym była kawałkiem polędwicy. Henryk w tym czasie odpowiada sam sobie:

– Zaiste najbarwniejszy to kwiat ze wszystkich.

To powiedziawszy, rozgląda się wokół w poszukiwaniu swojej córki.

Widząc ponaglający wzrok Anny, odzywam się:

– Wasza królewska mość zdaje się czymś znużony. Czy coś cię trapi, miłościwy panie?

Na moje pytanie potrząsa przecząco głową, a księżę Norfolku pochyła się ku niemu, nadstawiając ucha.

– Nic takiego, co dotyczy ciebie, moja droga. – Ujmuje mnie za dłoń i przyciąga bliżej. – Bo ty jesteś dobrą chrześcijanką, prawda?

– Oczywiście – zapewniam.

– Czytasz Biblię, modlisz się do świętych i tak dalej?

– Tak, wasza królewska mość. Codziennie.

– Zatem wiesz, że to ja podarowałem poddanym Pismo Święte w ojczystym języku i że to ja jestem głową angielskiego Kościoła?

– Ależ oczywiście, wasza królewska mość! Osobiście złożyłam przysięgę i dopilnowałam, aby najmarniejszy sługa na zamku w Snape też poprzysiągł, że to ty, miłościwy panie, jesteś głową Kościoła, a papież jest co najwyżej biskupem Rzymu i nie ma żadnej władzy w Anglii.

– Są tacy, co by chcieli, aby Kościół anglikański upodobił się do luterańskiego. Są też tacy, których życzeniem jest coś wręcz przeciwnego: aby wszystko wróciło do stanu sprzed zmiany i by papież znów miał pełnię władzy. Do której grupy się zaliczasz?

Nie zamierzam się opowiadać po żadnej ze stron.

– Zaliczam się do tych, którzy chcą iść za twoim przykładem, najjaśniejszy panie.

Henryk wybuchając śmiechem, czemu wszyscy wtórują z przymusu. Następnie ujmuje mnie pod brodę i powiada:

– Dobrze mówisz. I jako poddana, i jako ukochana. Otóż wiedz, że opublikuję własny katechizm, ażeby wszyscy wiedzieli, co myśleć i jak postępować. Dam ludziom przykład. Znajdę pośrednią drogę między obecnym Gardinerem, który by chciał przywrócić Kościołowi wszystkie uprawnienia, i nieobecnym Cranmerem, który pragnie oprzeć się w zupełności na Biblii.

Thomas nie widzi miejsca dla klasztorów, dla opactw, dla kapliczek, nawet dla księży. Chciałby widzieć tylko kaznodziejów i słyszeć Słowo Boże.

- Właśnie, dlaczego nie ma z nami twego przyjaciela arcybiskupa Cranmera, miłośnicy panie? - pytam podenerwowanym tonem. Obiecać pomoc w uratowaniu życia człowieka to jedno, a zabrać się do tego to drugie. Nie mam pojęcia, jak nakłonić króla do okazania łaski.

Oczka Henryka rozbłyskują.

- Przypuszczam, że Thomas drży ze strachu o to, czy zostanie oskarżony o herezję i zdradę czy nie. - Śmieje się pod nosem. - Przypuszczam, że nasłuchuje tupotu gwardzistów mających go powieść do Tower.

- Ale to przecież twój przyjaciel... - powtarzam.

- Dzięki temu jego strach jest podszyty nadzieją.

- Wasza królewska mość oczywiście mu przebaczy? - podpowiadam.

W tym momencie Gardiner postępuje krok naprzód i unosi rękę, jakby miał zamiar mnie uciszyć.

- Przebaczenie należy do Pana Boga - stwierdza król. - Moim zadaniem jest wymierzanie sprawiedliwości.

Henryk nie daje mi nawet tygodnia czasu. Nagabuje mnie znów zaledwie dwa dni później, w niedzielny wieczór po mszy. Zdumiewa mnie, że tak lekko łączy sprawy duchowe z doczesnymi, ale podejrzewam, iż skoro wola króla jest wolą Boga, w dzień święty równie dobrze można załatwiać interesy, o ile są to interesy monarchy. Orszak dworzan przemierza właśnie korytarze w drodze z kaplicy do wielkiej sali na wieczerzę, która ma się rozpocząć w pełnym świetle dnia wpadającym do wnętrza pałacu przez wysokie okna, kiedy nagle król przystaje i skinieniem wywołuje mnie z szeregu dworak i prowadzi na sam przód. Aksamitny biret ma naciągnięty głęboko na tysięjącą głowę, tak że peretki, którymi wyszyty jest jego rąbek, zdają się do mnie mrużyć przy każdym ruchu. Henryk uśmiecha się, jakby przepełniała go radość, jednakże oczy ma równie puste jak klejnoty.

Chwyta mnie za rękę na powitanie, po czym umieszcza moją dłoń w zgięciu swego łokcia, aż mi martwieją palce.

- Masz już dla mnie odpowiedź, baronowo? - pyta.

- Tak - mówię. Odkąd zrozumiałam, że nie ma dla mnie drogi ucieczki, przemawiam głosem czystym i pewnym, a moja ręka miażdżona między jego pulchnym ciałem i grubym wатовaniem dubletu ani drgnie. W końcu nie jestem już dziewczęciem trzęsącym się ze strachu na myśl o nieznanym; jestem dojrzałą niewiastą, która potrafi stawić czoło obawie i wyjść jej

na wprost. – Modliłam się o wskazówki i mam gotową odpowiedź. – Rozglądam się wokół. – Czy powinnam ją ogłosić tu i teraz?

Henryk potakuje skinieniem. Pojęcie prywatności jest mu obce. Dworzanie towarzyszą królowi na każdym kroku. Nawet gdy cierpi bólesci na *chaise percée*, dokoła niego stoją ludzie w każdej chwili gotowi podać mu szmatkę do podtarcia, wodę do podmycia lub też dłoń do ściśnięcia, kiedy ból stanie się nie do zniesienia. Monarcha sypia z paziem w nogach łóżka, oddaje mocz w obecności swoich faworytów, a gdy wymiotuje z przejedzenia, ktoś mu przytrzymuje misę. To rozumiałe, iż nie ma nic przeciwko rozmowie o swym małżeństwie w licznym towarzystwie, które tylko udaje, że nie nadstawia ucha. W wypadku króla nie istnieje ryzyko upokorzenia; Henryk wie, że nikt mu nie może odmówić.

– Jestem świadoma, że spotkało mnie wielkie wyróżnienie – dygam niezwykle głęboko – i naturalnie z ogromną radością zostanę twoją żoną, najjaśniejszy panie.

Podnosi moją dłoń do swoich ust i składa na niej pocałunek. Ani przez chwilę nie wątpił w to, jaka odpowiedź padnie, ale wyraźnie przypadły mu do gustu słowa „wielkie wyróżnienie” i „ogromna radość”.

– Dziś przy wieczerzy zajmiesz miejsce obok mnie – zapowiada. – A herald ogłosi nasze zaręczyny.

Rusza dalej, nieprzerwanie ściskając moją rękę, tak że przechodzimy równocześnie przez szerokie odrzwia wiodące na wielką salę. Po jego drugiej stronie drobi księżniczka Maria. Nie jestem w stanie jej dostrzec zza potężnej piersi Henryka, ona zaś nie stara się wyjrzeć, aby na mnie zerknąć. Potrafię sobie jednak wyobrazić jej minę: twarz ma pozbawioną wszelkiego wyrazu, jak maska – zupełnie jak ja. Musimy w tej chwili wyglądać jak dwie blade siostry bliźniaczki prowadzone na wieczerzę przez postawnego ojca.

Na widok wysokiego stołu i umieszczonego za nim tronu z dwoma krzesłami po obu stronach domyślam się, że stolnik przygotował wszystko zawnazasu. Nawet on wiedział, że król zażąda mojej odpowiedzi w drodze z kaplicy i że powiem „tak”.

We trójkę wspinamy się na podwyższenie i zajmujemy swoje miejsca. Wielki baldachim zwiesza się nad tronem Henryka, jednakże nie sięga mojej głowy. Dopiero gdy zostanę królową, będę mogła jadać pod złotogłowiem. Na razie spoglądam tylko w dół, na setki wpatrzonych we mnie twarzy. Ludzie trącają się i pokazują mi palcami, pojąwszy, że patrzą na swoją nową monarchinię. Wtem rozlegają się dźwięki trąbek i naprzód występuje herald.

Kątem oka dostrzegam minę Edwarda Seymoura, który z pozorną



obojętnością przyjmuje do wiadomości fakt pojawienia się kolejnej królewskiej żony, co to sprowadzi na dwór własnych doradców, własnych krewnych i przyjaciół, a nawet własnych służących. Nawet nie patrząc na niego, wiem, że ocenia właśnie w duchu zagrożenie, jakie stanowią dla szurzyzna króla, dla brata królowej zmarłej tragicznie w połogu. Nigdzie nie widzę jego brata Tomasza ani też nie rozglądam się za nim, aby go odszukać i sprawdzić, czy nie może oderwać ode mnie spojrzenia. Spoglądając pustym wzrokiem przed siebie, mam nadzieję, że tego wieczora spożywa posiłek gdzie indziej. Nie wypatruję go. Nie mogę go wypatrywać – ani dziś, ani w żaden inny dzień po kres mego życia.

Modłę się o wskazówki, modłę się, by stała się wola boża, modłę się o to, by moja wola ugięła się zgodnie z życzeniem Najwyższego. Nie wiem, gdzie powinnam Go szukać – czy w starym Kościele pełnym rytuałów i wizerunków świętych, cudów i pielgrzymek, czy też w tym nowym, który niesie ze sobą modlitwy w języku ojczystym i czytanie Biblii – wiem tylko, że muszę Go znaleźć. Muszę stłumić swoje pragnienia, muszę okiełznać własne ambicje. Skoro mam stanąć przed ołtarzem i ponownie ślubować niekochanemu mężczyźnie, potrzebuję Jego pomocy. Nie zdołam – czuję pewność, że nie zdołam – złożyć ślubowania królowi bez boskiego wsparcia. Nie zdołam zrezygnować z Tomasza bez przekonania, że to poświęcenie ma większy sens. Nie zdołam zrezygnować z mojej pierwszej miłości, jedynej miłości, namiętnej miłości do tego wyjątkowego, nieodpartego człowieka, o ile pierwej nie spłynie na mnie miłość Stwórcy.

Modłę się zatem gorliwie niczym nowicjuszką. Modłę się u boku arcybiskupa Cranmera, który powrócił na dwór królewski, zanim padło choć jedno słowo oskarżenia, zupełnie jakby zarzut herezji był tylko krokiem tanecznym: i w przód, i w tył, i obrót. Choć to dla mnie niepojęte, zdaje się, że Henryk wystrychnął swoją radę na dudka, najpierw każąc oskarżyć arcybiskupa, a następnie odwracając kota ogonem i zlecając arcybiskupowi zajęcie się tymi, którzy wysunęli oskarżenia. Tak więc teraz to Gardiner i jego współpracownicy drżą ze strachu, podczas gdy Cranmer śmiało przechadza się po pałacu, pławiąc się w łaskach najjaśniejszego pana, i klęczy u mego boku z pobrużdżoną twarzą uniesioną ku górze, podczas gdy modłę się milcząco, usiłując przekuć pożądanie do Tomasza Seymoura w miłość do Boga. Tymczasem nawet teraz, nawet pogrążona w głębokiej modlitwie – o ja nieszczęsna – nawet teraz, gdy myślę o Ukrzyżowanym, mam przed oczyma śniadą twarz Tomasza wykrzywioną w paroksyzmie ekstazy. Każdorazowo

natychmiast zaciskam powieki i zaczynam się modlić jeszcze usilniej.

Modłę się u boku księżniczki Marii, która w żaden sposób nie reaguje na moje nagłe wywyższenie, jeśli nie liczyć cichych słów gratulacji pod moim i jej ojca adresem. Zaznała nazbyt wielu macoch od czasu męczeństwa swej matki, by gardzić mną za próbę zajęcia miejsca Katarzyny Aragońskiej; nazbyt wielu też, aby powitać moje pojawienie się z choćby cieniem nadziei. Jej ostatnia macocha przetrwała na tronie niecałe dwa lata, przedostatnia – raptem pół roku. Gotowam przysiąc, że księżniczka Maria, modląc się obok mnie, w skrytości ducha uważa, iż boska pomoc będzie mi potrzebna nie tylko w odniesieniu do dorównania jej matce, ale też w utrzymaniu na głowie korony, a może i samej głowy. Sposób, w jaki pochyła czoło i żegna się na koniec modlitwy, rzucając mi spojrzenie pełne współczucia, świadczy o tym, że jej zdaniem nawet pomoc boska może nie wystarczyć. Księżniczka Maria patrzy na mnie jak na niewiastę, która wyprawia się w kompletne ciemności z tylko jedną marną świecą o płomyku chyboczącym się w przeciągu i cieniu – tylko przez chwilę jednak, potem zaraz wzrusza lekko ramionami i odwraca wzrok.

Modłę się niczym zakonnica, nieustannie, punktualnie co godzinę, wygniatając sobie kolana w komnacie sypialnej, w kaplicy, gdziekolwiek przez chwilę znajdę się sama. W ciemnych chwilach przed wczesnym letnim świtem, rozgorączkowana i bezsenna, myślę, że już zwyciężyłam moją namiętność do Tomasza, jednakże budząc się rano, dotkliwie tęsknię za jego dotykiem. Nie modłę się jednak o spotkanie z nim. Wiem, że to niemożliwe. Wiem, że to niewskazane. Mimo to – ilekroć drzwi kaplicy otworzą się za moimi plecami – serce skacze mi w piersi na myśl, że to on. Niemalże widzę go stojącego w progu w płamie światła, niemalże słyszę, jak mówi: „Chodź, Katarzyno, chodź już...” I wtedy, obracając w palcach paciorki różańca, zaczynam się modlić o to, aby Pan Bóg zesał na mnie jakiś wypadek, jakieś straszliwe nieszczęście, które zapobiegnie mojemu weselu.

– Cóż by to mogło być oprócz śmierci króla? – dopytuje Anna.

Odpowiadam spojrzeniem bez wyrazu.

– Samo myślenie o tym to zdrada – przypomina mi moja siostra, ścisząc głos, tak że ledwie ją słyszę ponad szmerem dobiegającym od strony chóru. – Mówienie o tym to zdrada w najczystszej postaci. Nie wolno ci się modlić o śmierć króla, Katarzyno. Henryk poprosił cię o rękę, a ty się zgodziłaś. Chyba nie chcesz okazać się nielejalną poddaną i nielejalną żoną?

Zwieszam głowę na tę przyganę, w duchu wiedząc, że Anna ma rację. Grzechem jest modlić się o śmierć drugiego człowieka, nawet gdy jest to nasz najgorszy wróg. Żołnierze wyruszający do boju powinni się modlić o jak

najmniejszą liczbę ofiar, nawet szykując się do wykonania zadania. Podobnie jak im, przyjdzie mi wykonać swoje zadanie, ryzykując wszystko, co jest mi drogie. Poza tym z Henryka żaden tam najgorszy wróg. Okazuje mi dobroć i wyrozumiałość na każdym kroku, nadskakuje mi i zapewnia mnie o swojej miłości, twierdzi, że jestem dla niego wszystkim. Henryk to mój władca, najwspanialszy władca, jakiego kiedykolwiek miała Anglia. Niedyś, kiedy byłam mała, śniłam o nim po zasłyszanych od pani matki opowieściach o przystojnym młodym księciu i jego wierzchowcach, i jego strojach ze złotogłowiu, i jego odwadze. Nie mogę mu źle życzyć. Powinnam się modlić o jego zdrowie, o jego szczęście, o długie życie dla niego. Powinnam się modlić o wiele lat wspólnego życia z nim, o to, bym zdołała sprawić mu radość.

- Strasznie wyglądasz - mówi bez ogródek moja siostra. - Źle sypiasz?

- Skądże - zaprzeczam, chociaż całą noc nie spałam, modląc się o ocalenie.

- Musisz się wysypiać - zarządza. - I dobrze jeść. Na całym dworze nie ma niewiasty piękniejszej od ciebie, żadna się nawet nie umywa do ciebie. Maria Howard, Katarzyna Brandon, ani jedna, ani druga nie dorastają ci nawet do pięt. Pan Bóg obdarzył cię wielką urodą, nie roztrwoń jej. Nie łudź się, że Henryk o tobie zapomni, jeśli zbrzydniesz. Kiedy raz wbije sobie coś do głowy, nie rezygnuje tak łatwo, nawet gdy ma przeciwko sobie pół Anglii... - Anna urywa nagle i poprawia się z nerwowym śmiechem. - Chyba że akurat ma taką ochotę. Wtedy wszystko staje na głowie, najjaśniejszy pan uczepia się czegoś wręcz przeciwnego i nikt nie jest w stanie mu tego wyperswadować.

- Co sprawia, że zmienia zdanie? - dopytuję.

- To dzieje się bez powodu - odpowiada Anna. - Nagle. W mgnieniu oka. Nie sposób tego przewidzieć ani zrozumieć.

Potrząsam głową z bezradności.

- Ale jak coś takiego można znieść? Jak znieść zmienne nastroje króla?

- Niektórzy nie potrafią - ucina krótko moja siostra.

- Skoro nie mogę się modlić o ocalenie, o co mam się modlić? - pytam. - O utratę ducha?

Teraz to ona potrząsa głową.

- Rozmawiałam z Williamem. Jego zdaniem zesłał nam cię Bóg.

To doprowadza mnie do chichotków. Mąż Anny, baron Herbert, nigdy wcześniej nie zwracał na mnie większej uwagi. Chyba istotnie nabrałam znaczenia, skoro teraz widzi we mnie niebiańskiego posłańca.

Jednakże Anna nie podziela mojej wesołości.

- Naprawdę tak powiedział - rzecze poważnie. - Pojawiłaś się dokładnie w momencie, w którym trzeba nam oddanej królowej. Zapobiegiesz powrotowi Henryka na łono Rzymu. Katolicy księza odzyskali posłuch króla. Na każdym kroku przestrzegają go, że Anglia nie tyle się reformuje, ile przechodzi na stronę luteranów, popadając w całkowitą herezję. Strachem chcą go zbliżyć znowu do Rzymu, odwrócić od własnych poddanych. Zabierają Pismo Święte z kościołów, żeby lud nie mógł czytać Słowa Bożego w ojczystym języku. Dopiero co pojмали pół tuzina osób w Windsorze, w tym jednego chórzystę, i zamierzają ich spalić na bagnach pod zamkiem. Za to tylko, że chcieli czytać Biblię we własnym języku!

- Anno, nie zdołam ich uratować! Nie zostałam zesłana przez Boga w tym celu!

- Musisz ocalić Kościół reformowany, króla i nas wszystkich. To zbożne dzieło, do którego jak wszyscy myślimy, zostałaś powołana. Życzeniem reformistów jest, abyś doradzała najjaśniejszemu panu w zaciszu prywatnych apartamentów. Ty jedna możesz to zrobić. Musisz stanąć na wysokości zadania, Katarzyno. Pan Bóg tobą pokieruje.

- Łatwo ci mówić... Czy twój mąż nie zdaje sobie sprawy, że ja nie mam pojęcia, o czym gadają ludzie ani kto jest po czyjej stronie? Nie nadaję się do tego, Anno. Nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć.

- Sam Pan Bóg cię wyznaczył do tej roli. Zresztą zrozumienie wszystkiego wcale nie jest trudne. Dworzanie podzielili się na dwie faksje, z których każda jest święcie przekonana o własnej racji, jak również o tym, że kieruje nią ręka Stwórcy. Jedni chcą, żeby król pogodził się z Rzymem i przywrócił klasztory, opactwa i cały katolicki rytuał. Są wśród nich biskup Gardiner i jego współpracownicy: biskup Bonner, sir Richard Rich, sir Thomas Wriothesley... Howardowie też są papistami i chętnie by powitali powrót Kościoła katolickiego, lecz oni zawsze są na skinienie Henryka. Druga faksja, nasza, jest za dalszą reformą Kościoła, za tym, aby wykorzenił wszystkie przesady, czytać Biblię w języku ojczystym, tak samo modlić się i oddawać cześć Bogu, a także nigdy, przenigdy nie brać złamanego grosza od biedaka za odpuszczenie grzechów, nigdy nikogo nie mamić rzekomo krwawiącymi posągami, nigdy nikogo nie posyłać na kosztowne pielgrzymki. Zależy nam wyłącznie na prawdzie Słowa Bożego, na niczym więcej.

- I oczywiście jesteście święcie przekonani o własnej racji - kpię. - Kogo macie po swojej stronie?

- Nikogo. W tym problem. Ale w pałacu, w całej Anglii jest coraz więcej takich, jak myśłą jak my. Praktycznie wszyscy londyńczycy... Ale przemawia w naszym imieniu jedynie Thomas Cranmer. Nikt inny nie ma posłuchu

u króla. Właśnie dlatego cię tak potrzebujemy.

– Mam przekonać Henryka do reformy?

– Tylko tyle. Nic więcej. Niech trzyma się reform, które zapoczątkował. Nasz brat również jest tego zdania. To najwspanialsze dzieło, jakie można uczynić dla Anglii, ba, dla całego świata, dla ciebie zaś, Katarzyno, wielka szansa. Okazja, aby stać się kimś znaczącym, prawdziwym przywódcą...

– Nie dbam o to. Pragnę żyć w dostatku, wygodzie i bezpieczeństwie. Jak każda niewiasta z odrobiną oleju w głowie. Reszta mnie przytłacza. Przerasta.

– Wyłącznie wtedy, gdy nie masz wsparcia Stwórcy – stwierdza pewnym siebie tonem Anna. – W przeciwnym razie to zadanie w sam raz dla ciebie, które może zwieńczyć tylko wielki tryumf. Modlę się o to. Wszyscy się o to modlimy.

Gdy najjaśniejszy pan odwiedza księżniczkę Marię, wita się z nią na wstępie, jak każdego dnia do naszego ślubu, kiedy to ja stanę się pierwszą damą królestwa i zyskam własne apartamenty. Wówczas to ze mną pierwszą będzie się witał, a każda Angielka będzie musiała kroczyć za mną. Na myśl, że wielkie panie patrzące z pogardą na pospolitą Katarzynę Parr będą musiały się kłaniać królowej Katarzynie, nie mogę opanować uciechy... Król zasiada między nami dwiema, trzeszcząc siedzeniem krzesła, na które opuszczają go ostrożnie dwaj giermkowie. Wkrótce przed nim pojawia się podnózek, a jeden z paziów unosi ciężką chromą nogę na wyściełane siedzisko. W końcu Henryk przedzierzga grymas bólu w uśmiech i zwraca się do mnie ze słowami:

– Tomasz Seymour nas nagle opuścił. Nie chciał zostać ani dnia dłużej. Jak sądzisz, dlaczego?

Unoszę brwi w wyrazie spokojnego zdziwienia.

– Nie wiem, wasza królewska mość. Dokąd się udał?

– Nie wiesz? O niczym nie słyszałaś?

– Nie, wasza królewska mość.

– Pojechał z misją, którą mu zleciłem – wyjaśnia Henryk. – W końcu jest moim szurzynem i moim sługą. Robi, co mu każę, cokolwiek by to było. Traktuję go jak niewolnika i jak psa. – Wybuchu chrapliwym śmiechem, na co Edward Seymour, drugi szurzyn króla, także śmieje się głośno, jakby nie miał nic przeciwko byciu niewolnikiem i psem monarchy.

– Jego królewska mość powierzył memu bratu niezwykle ważne zadanie – opowiada mi Edward. Wydaje się zadowolony, jednakże wszyscy dworzanie to kłamcy. – Mój brat Tomasz udał się do Flandrii na dwór tamtejszej królowej regentki Marii.

- Zawrzemy sojusz - oznajmia miłościwy pan. - Przeciwno Francji. Tym razem nic nas nie powstrzyma, tym razem pobijemy Francję i odzyskamy nasze ziemie na kontynencie, a nawet więcej, prawda, Edwardzie?

- Mój brat Tomasz dobije z Flandrią targu i zawrze sojusz, który przetrwa po wsze czasy, wasza królewska mość - zapewnia szybko Edward. - Właśnie dlatego wyruszył w takim pośpiechu. Aby natychmiast rozpocząć starania.

Zwracam głowę w stronę to jednego, to drugiego mężczyzny, zupełnie jak automat stworzony ręką zegarmistrza. Tik-tak: mówi najpierw Henryk, potem Edward. Tak-tik: odzywają się na odwrót. Zapewne dlatego tak mnie zaskakuje, gdy król odwraca się do mnie nagle i poza kolejnością rzecze:

- Będziesz tęsknić za sir Tomaszem, baronowo? Z tego co słyszałem, wkradł się w łaski wszystkich dworów...

W pierwszym odruchu pragnę gorąco zaprzeczyć, zaraz jednak spostrzegam pułapkę.

- O tak, będziemy wszystkie bardzo za nim tęsknić - odpowiadam obojętnie. - Sir Tomasz jest wesołym kompanem szczególnie dla młodszych z nas. Bardzo rada, że jego inteligencja przyda się w służbie waszej królewskiej mości, bo jeśli chodzi o mnie, tylko się marnowała.

- Nie lubisz bystrych mężczyzn? - pyta, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Jestem prostą niewiastą z Północy - odpowiadam. - Nie lubię mądrzenia się.

- Wspaniałe! - wykrzykuje Edward Seymour, głośno doceniając mój wiejski sposób wyrażania się, podczas gdy król wybucha śmiechem i pstryknięciem palców daje znak paziowi, aby zdjął nogę z podnóżka, po czym we dwóch stawiają go w pionie i podtrzymują, kiedy się chwieje.

- Zacznijmy wieczerzę! - ogłasza Henryk. - Jestem tak głodny, że mógłbym zjeść konia z kopytami! Ty także, baronowo, powinnaś nabrać ciała. Czekają cię obowiązki. A ja lubię pulchne niewiasty!

Dygam, przepuszczając go obok. Kuśtyka na chudych nogach obciążonych nadmiernym ciężarem, w tym jednej pogrubiałej przez bandaż, który ma owinięty na sączącej się ranie łydki. Gdy już mnie minie, prostuję się i ruszam równocześnie z księżniczką Marią. Królewska córka obdarza mnie zimnym uśmiechem, ale nic nie mówi.

Mam sobie wybrać motto. Anna i ja zamknęłyśmy się w mojej komnacie sypialnej, gdzie leżymy wyciągnięte na łożu, podczas gdy świece powoli się dopalają.

- Pamiętasz je wszystkie? - pytam, nie posiadając się z ciekawości.

- Oczywiście, że tak. Byłam świadkiem, jak ich inicjały były rzezane w każdej drewnianej belce i ryte w każdej bryle kamienia we wszystkich pałacach. Po czym stare znaki usuwano, czy to dłutem, czy to strugiem, i kreślono nowe. Osobiście wyszyłam wszystkie motta z okazji kolejnych ślubów. I pilnowałam malowania emblematów. Patrzyłam, jak wypala się raz po raz ich tarcze na burtach królewskich barek. To rozumiałe, że pamiętam je wszystkie. Dlaczego miałabym nie pamiętać? W końcu byłam przy koronacji każdej z nich. Tak samo jak przy upadku każdej z nich... Pani matka oddała mnie na dwór Katarzyny Aragońskiej i przykazała być wierną królowej. Skąd mogła wiedzieć, że będzie ich aż sześć? Skąd mogła wiedzieć, że szóstą zostanie jej starsza córka? Tak więc możesz mnie śmiało pytać o kolejne motta, znam je wszystkie na pamięć!

- Anna Boleyn? - rzucam na chybił trafił.

- Najszczęśliwsza - pada odpowiedź, której towarzyszy ochrypty śmiech.

- Anna Kliwijska?

- Boże, miej mnie w pieczy swojej.

- Katarzyna Howard?

Anna krzywi się, jakby na gorzkie wspomnienie.

- *Non autre volonté que la sienne...* Tylko jego wola... Nieszczęsna kłamczucha - dodaje po chwili milczenia.

- Katarzyna Aragońska? - pytam, choć obie mamy jej motto wyryte w pamięci. Katarzyna była ukochaną przyjaciółką naszej matki; męczennicą swej wiary i ofiarą straszliwej niewierności małżonka.

- Skromna i lojalna. Niech Bóg ma ją w swojej opiece... Chyba nie było na świecie skromniejszej i lojalniejszej niewiasty.

- A Joanna?

Joanna Seymour pozostanie ulubioną żoną Henryka, cokolwiek powiem czy zrobię. Dała mu syna i umarła, zanim się nią znudził. Dziś ma w pamięci niewiastę idealną, raczej świętą niż żonę, i jest nawet zdolny uronić nad nią łezkę. Jednakże moja siostra Anna wspomina, że ukochana królowa zmarła przerażona i opuszczona, ciągle dopytując o męża - nadaremno, nikt bowiem nie miał jej śmiałości powiedzieć, że miłościwy pan odjechał w siną dal.

- Stworzona, by służyć z pokorą - rzece teraz Anna i natychmiast dopowiada: - By służyć niczym niewolnik, niczym pies. Bracia sprzedali ją, jakby była zwykłą kurą. Powieźli na targ, podsunęli królowi pod samym nosem Boleynówny. Przyrządzili smakowicie i wstawili do pieca komnat królowej, pewni, że Henryk zechce jej zakosztować.

- Nie mów tak.

Obydwaj moi mężowie żyli z dala od dworu królewskiego, z dala

od rozplotkowanej stolicy. Wszystkie wieści z Londynu otrzymywałam długo po fakcie, upiękzone przez obwoźnych handlarzy, względnie dowiadywałam się nowin z pisanych pośpiesznie listów Anny. Pogłoski o zmieniających się żonach całymi latami wydawały mi się bajkami traktującymi o wymyślonych istotach: urodziwej młodej ladacznicy, grubej niemieckiej księżnej, anielskiej matce zmarłej w połogu. Wciąż brak mi przenikliwości i cynizmu mojej siostry, wciąż brak mi jej szerokiej wiedzy. Mało kto bowiem wie tyle co Anna, która nasłuchiwała się, oj, nasłuchiwała przez te wszystkie lata spędzone na dworze królewskim. Kiedy w ostatnich miesiącach życia barona Latimera zjawiłam się w pałacu, napotkałam mur milczenia w sprawie ostatniej królowej, a jej poprzedniczek prawie nikt nie wspominał miło.

- Twoje motto powinno kłaść nacisk na lojalność i potulność – stwierdza Anna. – Henryk wyniesie cię na same wyżyny. Musisz publicznie okazać, że jesteś wdzięczna i że będziesz mu służyć.

- Nie jestem uniżona z natury – rzucam, uśmiechając się pod nosem.

- Ale wdzięczność potrafisz okazać.

- Chciałabym, aby motto wspominało coś o łasce. Zważywszy, że to wszystko palec boży, a ja przetrwam to doświadczenie wyłącznie dzięki boskiemu miłosierdziu.

- Nie, lepiej nie – przestrzega mnie Anna. – Boga musisz widzieć w swoim mężu, królu.

- Koniecznie chcę wspomnieć o Bogu. Pan Bóg musi mi dopomóc – upieram się. – Może zatem: „Wszystko, co robię, robię dla Boga”?

- Raczej: „Wszystko, co robię, robię dla Niego” – proponuje Anna. – Dzięki temu wszyscy pomyślą, że chodzi ci o króla.

- Przecież to kłamstwo – oponuję. – Nie podoba mi się taka dwuznaczność, jak w ustach śliskiego dworzanina czy nieszczerego klechy. Pragnę, aby z mojego motta biła szczerść i prawda.

- Przezańże być taka bezpośrednia jak wszyscy mieszkańcy Północy!

- Ja chcę być tylko uczciwa, Anno.

- No to może w takim razie: „Być przydatną swemu Panu we wszystkim, co czynię”? Albo po prostu: „Być przydatną we wszystkim, co czynię”, bez mówienia komu. Ty będziesz wiedzieć, że chodzi o Stwórcę i religię reformowaną.

- Być przydatną we wszystkim, co czynię... – powtarzam bez większego entuzjazmu. – Niezbyt to natchnione.

- Najszczęśliwsza była trupem po trzech i pół roku – przypomina mi Anna ostrym tonem. – Ta, która poddała się tylko jego woli, spotykała się z kochankiem po wychodkach. Pamiętaj, to tylko motto, nie przepowiednia.



Księżniczka Elżbieta, córka Boleynówny, zostaje przywieziona z pałacyku w Hatfieldzie, aby być mi przedstawioną. Jestem jej nową macochą – czwartą w ciągu siedmiu lat. Miłościwy pan postanawia, że uroczystość będzie oficjalna, w związku z czym dziewięcioletnia dziewczynka musi wkroczyć sama do pełnej ludzi komnaty gościnnej w pałacu Hampton Court. Elżbieta idzie sztywno wyprostowana, z twarzą równie bladą jak muślin, który zakrywa jej dekolt. Przywodzi mi na myśl dziecko wędrownych komediantów, urodzone do tego, aby występować na scenie zrobionej ze zsuniętych wozów; samotne w tłumie, wystawione na pokaz, oderwane od ziemi. Targający nią niepokój sprawia, że wydaje się nijaka, biedactwo. Rude włoski ma zaczesane pod czepkiem, wargi zaciśnięte w wąską kreskę, oczy wybałuszone. Kroczy tak, jak uczyła ją opiekunka: z wysoko uniesioną głową. Ledwie ją widzę, zalewa mnie fala współczucia dla niej biednej. Straciła matkę z rozkazu ojca, zanim ukończyła trzeci rok życia, po czym wszelka pewność ją opuściła, gdy z następczyni tronu stała się królewskim bękartem. Przestała być tytułowaną księżniczką, wszyscy przestali jej się kłaniać i nawet służba, przynosząc jej chleb i mleko, traktowała ją jak zwykłe dziecko.

Nie sądzę, aby ta kruczyna mogła komukolwiek zagrozić. Widzę przed sobą sierotę, która nie poznała rodzonej matki, która własnego ojca widuje tylko z rzadka, która nie może być pewna swojego imienia. Miłością darzą ją tylko słudzy, którzy szczęściem nie zostali odprawieni i bywa, że wykonują swoje obowiązki za dobre słowo, ilekroć królewski skarbiec zapomni im zapłacić.

Elżbieta skrywa swój strach pod maską ceremoniału, chowa się w skorupce królewskiej powłoki, aczkolwiek jestem pewna, że wewnątrz kuli się niczym mała miękka ostryga polana sokiem z cytryny. Podszedłszy do podwyższenia, najpierw dyga nisko przed swym ojcem, a następnie przede mną. Przemawia do nas płynną francuszczyzną, wyrażając swoją wdzięczność za to, że została dopuszczona przed oblicze rodziciela, oraz radość ze spotkania z nową macochą. W pewnym momencie przyłapuję się na tym, że przyglądam jej się, jakby była jednym ze stworzeń z królewskiej menażerii w Tower, które na znak wykonują różne sztuczki.

Kiedy zaś przechwytyuję spojrzenie, które wymienia z księżniczką Marią, zauważam, że istotnie łączą je więzy krwi. Obie siostry drżą przed ojcem, całkowicie uzależnione od jego widzimisię, niepewne swej pozycji w świecie. Każdy krok muszą stawiać z wielką ostrożnością, aby nie uczynić jednego fałszywego ruchu. Mimo że księżniczka Maria została zmuszona

służyć małej Elżbiecie za jej niemowlęcych lat, nie znienawidziła przyrodniej siostry. Pokochała ją z całego serca, teraz zaś kiwa zachęcająco głową, w miarę jak z dziecięcego gardziołka wydobywają się trudne francuskie słowa.

Powstając z krzesła i szybko schodząc z podwyższenia. Ujmuję Elżbietę za zimne ręce i składam pocałunek na jej czole.

– Bardzo się cieszymy z twojej obecności w pałacu – mówię do niej w ojczystym języku, bo któż by się zwracał w obcej mowie do własnego dziecka. – Z radością przejmę obowiązki twojej matki i będę o ciebie dbała, Elżbieto. Mam nadzieję, że ujrzysz we mnie dobrą matkę i że wszyscy będziemy rodziną. Tuszę, że mnie pokochasz i ufnie uznasz, że i ja Kocham ciebie jak rodzoną córkę.

Na jej licach pojawia się rumieniec, który sięga aż rudawych brew. Wargi zaczynają jej drżeć. Choć miała przygotowaną mowę po francusku, zabrakło jej słów, którymi mogłaby odpowiedzieć na tę oznakę zwykłej czułości.

Odwracam się do Henryka.

– Wasza królewska mość, ze wszystkich klejnotów, którymi mnie obdarowałaś, ten sprawił mi największą przyjemność. – Przenoszę spojrzenie na księżniczkę Marię, która zbladła, słysząc moje ciepłe słowa. – Twoją córkę Marię zdążyłam już pokochać, teraz zaś obdarzę uczuciem Elżbietę. A moja radość będzie zupełna, kiedy poznam księcia Edwarda.

Królewscy faworyci, Anthony Denny i Edward Seymour, wodzą wzrokiem ode mnie do Henryka i z powrotem w próbie sprawdzenia, czy wyrwałam się przed szereg i zażenowałam miłościwego pana prostackim obyczajem. Jednakże Henryk promienieje. Wygląda na to, że tym razem marzy mu się żona, która będzie kochać wszystkie jego dzieci równie mocno jak jego samego.

– Mówisz do niej w języku ojczystym – rzuca tylko uwagę – podczas gdy ona włada zarówno francuskim, jak i łaciną. Moja córka jest nie mniej uczona ode mnie.

– Mówię z głębi serca – odpowiadam i zostaję nagrodzona pełnym ciepła uśmiechem.

# PAŁAC HAMPTON COURT LATO 1543 ROKU



Słyszę, że powinnam zapomnieć o żałobie i w dzień ślubu włożyć suknię dostarczoną z królewskiej garderoby. Londyński szafarz każe przenieść kolejne skrzynie z drewna sandałowego, po czym Anna i ja spędzamy uroczę popołudnie na wyciąganiu strojów, oglądaniu ich i przymiarkach w asyście doradzających dworek, księżniczki Marii nie wyłączać. Wszystkie ubiory, upudrowane, przechowywane są w płóciennych osłonach, a osobno trzymane rękawy wypełnia lawenda, działająca odstraszająco na mole. Otacza mnie woń bogactwa: chłodne w dotyku miękkie aksamity i śliskie atłasy pachną luksusem, którego dotąd nigdy nie zakosztowałam. Po długich deliberacjach decyduję się na suknię ze srebro- i złotogłowi, po czym długo zastanawiam się nad rękawami, kornetem i spódnicami. Zanim dokonam wyboru, jest już prawie pora wieczery. Dworki pakują wzgardzone stroje i wychodzą. Anna zamyka za nimi drzwi – nareszcie jesteśmy same.

– Musimy porozmawiać o nocy poślubnej – obwieszcza moja siostra.

Widząc jej poważną minę, zaczynam się bać, że jakimś sposobem poznała mój sekret. Wie, że kocham Tomasza, to znaczy jesteśmy zgubieni. Przyparta do muru, nadrabiam niefrasobliwością.

– O co chodzi, Anno? Czemu jesteś taka posępna? Przecież nie jestem już

dziewicą, nie trzeba mnie przygotowywać na to, co nastąpi za drzwiami komnaty sypialnej. Nie spodziewam się, abym miała zobaczyć coś, czego jeszcze nie widziałam. – Wybucham śmiechem.

– To poważna sprawa, Katarzyno. Muszę zadać ci to pytanie... Czy w swoim odczuciu jesteś jałowa?

– A cóż to za pytanie? Mam dopiero trzydzieści jeden lat!

– Nie zaszłaś jednak w ciążę z baronem Latimerem.

– Pan Bóg nie obdarzył nas potomstwem – przyznaję. – Ale mój mąż często przebywał poza domem, a pod koniec życia w ogóle... – Wykonuję nieokreślony gest. – Dlaczego poruszasz ten temat?

Anna robi jeszcze chmurniejszą minę.

– Chodzi o to, że najjaśniejszy pan nie zniesie utraty kolejnego dziecka. Zatem lepiej, abyś go nie poczęła. Skórka niewarta byłaby wyprawki.

Ogarnia mnie wzruszenie.

– Naprawdę tak by rozpaczał?

Moja siostra cmoka niezcierpliwiona. Czasami irytuję obytą w stolicy Annę swoją ignorancją. Jestem wieśniaczką, ba, gorzej nawet – jestem wieśniaczką z północy Anglii, niewinną niczym północne niebo, bezpośrednio jak chłopka, niewtajemniczoną w dworskie intrygi.

– Skądże – zaprzecza Anna. – Henryk nie rozpacza. Nigdy. – Zerka za siebie na zamknięte na rygiel drzwi, po czym na wszelki wypadek odciąga mnie w głąb komnaty, aby nikt nie mógł nas usłyszeć, nawet gdyby przyłożył ucho do gładkiej powierzchni drewnianego skrzydła. – Są małe szanse na to, aby poczęte przezeń dziecko utrzymało się w łonie. Są małe szanse na zdrowego księcia...

Przybliżam się do siostry, by szepnąć jej na ucho:

– Takie słowa to zdrada, Anno. Nawet ja to wiem. Chyba jesteś szalona, że mówisz do mnie takie rzeczy, i to w przeddzień mego ślubu.

– Byłabym szalona, gdybym milczała. Katarzyno, klnę się na wszystkie świętości, że dziecko Henryka albo obumrze w twoim łonie, albo urodzi się martwe.

Odchylam się do tyłu, aby spojrzeć na jej twarz.

– To smutne – stwierdzam.

– Owszem.

– Zatem uważasz, że poronię?

– Poronienie jeszcze nie byłoby najgorsze.

– Co, na Boga, może być gorsze od poronienia?

– A gdybyś wydała na świat nie dziecko, lecz potwora?

– Co takiego?

Nie odrywając od siebie spojżenia, pochylamy ku sobie głowy, jakbyśmy były spowiednikiem i penitentką.

– Mówię poważnie. Zabroniono nam o tym choćby wspominać. To pilnie strzeżony sekret. Nikt ze świadków aż do tej pory nie puścił pary z ust.

– Powiedz wreszcie, o co chodzi – ponaglam.

– Boleynówna... Wydany na nią wyrok śmierci wziął się nie z plotek, nie z oszczerstw i nie z kłamstw, które zebrano przeciwko niej. Opowieści o jej dziesiątkach kochanków można między bajki włożyć. Ona sama wydała na siebie wyrok, wydając na świat potwora.

– Anna Boleyn urodziła potwora?

– Poroniła coś bezkształtnego, a akuszerki towarzyszące jej w połogu okazały się szpiegami.

– Akuszerki były szpiegami? – dziwię się.

– Poszły prosto do króla donieść mu o tym, co widziały, co wypadło w ich nadstawione dłonie. Na pewno nie było to przedwcześnie urodzone, zdrowe dziecko. Przypominało raczej na wpół rybę, na wpół bestię. Potwora o rozszczepionej na dwoje twarzy i stosie pacierzowym na wierzchu, zupełnie jak u tych eksponatów trzymanyh w occie i pokazywanych w stojach na jarmarkach.

Wyrzynam dłonie z jej uścisku i zakrywam sobie uszy.

– Na Boga, Anno... Nie chcę o tym słyszeć. Nie mów nic więcej!

Moja siostra chwytła mnie za ręce i potrząsa mną.

– Jak tylko Henryk się dowiedział, powziął przeświadczenie, że Boleynówna uciekła się do cesarzy, by począc z nim dziecko, a nawet że zległa z własnym bratem, który spłodził istotę z piekła rodem.

Przyglądam się Annie z niedowierzaniem.

– A Cromwell zdobył na wszystko dowody – kontynuuje. – Bo Cromwell byłby zdolny udowodnić, że Przenajświętsza Paniienka jest pijaczką; ten człowiek miał świadka na każdą okoliczność. Jednakże rozkaz króla zamknął mu usta. Henryk nie chciał, aby ludzie się dowiedzieli, że płodzi potwory. – Patrząc prosto w moje przerażone oczy, dodaje: – Pomyśl tylko: jeśli poronisz albo wydasz na świat zniekształcone dziecko, powie o tobie to samo co o Annie i też skaże cię na śmierć.

– Przecież nie może... – bronię się słabo. – Nie jestem taka jak królowa Anna... Nie pokładam się z dziesiątkami mężczyzn, w tym z własnym bratem. Nawet w hrabstwie Richmondshire krążyły o tym słuchy. Wszyscy tam wiedzieli, co wyczyniała Boleynówna. Ja to co innego...

– Król woli wierzyć, że został zdradzony tylko raz, aniżeli przyznać, że coś jest z nim nie tak. To, co słyszałaś, mieszkając na Północy, to były

pogłoski rozpuszczane przez samego Henryka. Przyjęłaś taką wersję, bo on tego chciał. Chciał, aby wszyscy w królestwie byli przekonani o winie Boleynówny. Ty wciąż nie rozumiesz, Katarzyno... Najjaśniejszy pan pragnie jawić się ideałem, mężczyzną bez skazy. Nie znosi myśli, że ktoś mógłby uznać, choćby na moment, że wina leży po jego stronie. Nie pozwoli na to, aby postrzegano go jako upośledzonego w jakimkolwiek względzie. I pragnie mieć idealną żonę.

Prerażenie ogarnia mnie całą.

- To jakieś brednie...

- To szczerza prawda - wpada mi w słowo Anna. - Gdy poroniła pierwsza królowa Katarzyna, winił Boga i twierdził, że małżeństwo jest nieważne. Gdy Boleynówna urodziła potwora, winę zwałił na czary. Gdyby Joanna straciła dziecko, oskarżyłby o wszystko ją, wiedziała o tym, jak i reszta z nas. Toteż jeśli zdarzy ci się poronić, będzie to twoja wina, nie jego. Czekaj cię za to kara.

- Co mam zrobić? - pytam gorączkowo. - Nie wiem, co uczynić... Jak mogę temu zapobiec?

Zamiast odpowiedzieć, wyciąga spomiędzy fałd sukni niewielki woreczek i pokazuje mi go.

- Co to jest?

- Świeża ruta - objaśnia mnie. - Wypij napar z niej, po tym jak z tobą zlegnie. Za każdym razem. To zapobiegnie poczęciu dziecka.

Nie przyjmuję woreczka, który Anna mi podaje. Wyciągam tylko jeden palec i dżgam pękaty materiał.

- To byłby grzech - rzucam niepewnie. - To z pewnością byłby grzech. Coś takiego sprzedają handlarki po targach. Poza tym wątpię, aby to działało...

- Grzechem jest świadomie zdać się na zatracenie - uzmysławia mi siostra. - Które cię spotka, jeśli nie zapobiegniesz poczęciu. Jeżeli wydasz na świat potwora, jak Boleynówna, król oskarży cię o czary i wyda na ciebie wyrok śmierci. Jego duma nie dopuszcza myśli o kolejnym martwym dziecku. Wszyscy się zorientują, że wina leży po jego stronie, gdy następna żona, szósta zdrowa żona, wyda na świat potwora albo straci dziecko jeszcze w łonie. Zastanów się! To by było dziewiąte nieżywe niemowlę!

- Wcześniej było ich już ośmioro? - Oczywista wyobraźni widzę szereg duchów, całą komnatę dziecinną martwych ciałek.

Anna potakuje w milczeniu, nie cofając ręki z woreczkiem z rutą. Nie mówiąc ani słowa, przyjmuję go od niej.

- Ponoć ohydnie pachnie. Każemy służącej przynieść dzban wrzątku i zaparzymy ją same, na osobności.

- To... to straszne - jękam się. - Musiałam wyzbyć się własnych pragnień

- na myśl o własnych pragnieniach czuję w podbrzuszu gwałtownie szarpnięcie - a na domiar złego ty, moja własna siostra, każesz mi pić truciznę.

Anna przytula policzek do mojej twarzy.

- Musisz przeżyć - mówi cicho, acz stanowczo. - A niewiasta, zwłaszcza dworka, czasami musi się dopuszczać potworności w tym celu. Dlatego uczynisz wszystko, byle przeżyć, Katarzyno.

W Londynie wybucha zaraza, przez co Henryk postanawia, że nasz ślub będzie skromny, w tylko ścisłym gronie dworzan, bez obecności poddanych, którzy mogliby ściągnąć plagę do pałacu. Nie będzie wspaniałej ceremonii w opactwie, na ulicach nie staną fontanny z winem, londyńczycy nie będą piec wołu ani tańczyć na mieście. Chorzy mają zażyć lekarstwo i zostać w domach, nie zbliżając się do granicy wyznaczonej przez czystą rzekę i położone za nią zielone łąki okolicy pałacu Hampton Court.

Trzeci raz wyjdę za mąż w ślicznej, cudnie przystrojonej prywatnej kaplicy znajdującej się w pałacowych apartamentach królowej. Muszę sobie przypominać w duchu, że odtąd to moja kaplica, o wyciągnięcie ręki od komnaty sypialnej, i że będę mogła się w niej w spokoju pomodlić, kiedy to wszystko już się skończy. Jak tylko złożę ślubowanie, zarówno to pomieszczenie, jak i każde inne w żeńskim skrzydle pałacu, będzie służyć do mego wyłącznego użytku.

Gdy wchodzę do kaplicy, w środku jest tak tłoczno, że dworzanie muszą się przede mną rozstępować, kiedy zmierzam w stronę Henryka. Najjaśniejszy pan - niczym waligóra, albowiem jest równie wysoki jak szeroki - stoi przed ołtarzem, który wydaje się płonąć. Blask świec z białego wosku umieszczonych w rozgałęzionych wielokrotnie złotych kandelabrach odbija się w zdobionym kamieniami szlachetnymi obrusie przykrywającym ołtarz, złotych i srebrnych naczyniach liturgicznych, kielichach, patenach i cyboriach, jak również w wielkim złotym krucyfiksie wysadzonym diamentami. Wszystkie kosztowności zrabowane największym zakonem Anglii trafiły do skarbcza królewskiego i teraz lśnią niczym pogańskie wota na tym ołtarzu, przytłaczając rozwartą angielską Biblię i dławiąc prostotę kapliczki, która zaczyna przypominać sezam raczej niż miejsce modlitwy.

Moja dłoń niknie w ogromnej, spoconej ręce króla. Stojący przed nami biskup Gardiner czyta z książeczki do nabożeństwa ślubny małżeńskie opanowanym głosem człowieka, który przeżył niejedną królową, a przy tym urósł w siłę. Stephen Gardiner przyjaźnił się z moim poprzednim mężem, baronem Latimerem, dzielając opinię, że klasztory winny służyć poddanym,

Kościół zaś winien pozostać niezmienny, jeśli nie liczyć pozbawienia władzy papieża, i całe jego bogactwo nigdy nie powinno było trafić w ręce pazernych dorobkiewiczów; że źle się stało, iż zakonnice i zakonnicy trafili zza murów klasztornych na place targowe, nie będąc w stanie uratować swoich świątyń.

Nabożeństwo odbywa się po angielsku, ale oracja jest po łacinie, jakby biskup razem z królem chcieli przypomnieć wszystkim, że Pan Bóg przemawia w łacinie i że biedacy, gorzej wykształceni oraz niewiasty nigdy Go nie rozumieją.

Tuż za królem stoją uśmiechnięci od ucha do ucha jego najzaufańsi przyjaciele i dworzanie. Jest wśród nich Edward Seymour – starszy brat Tomasza – który nigdy się nie dowie, że czasem spoglądam mu głęboko w oczy, szukając podobieństwa rodzinnego z człowiekiem darzonym przeze mnie miłością. Jest mąż mojej siostry Anny, William Herbert, któremu towarzyszą Anthony Browne i Thomas Heneage. Za mną stoją liczne dworki. Na przedzie znajdują się królewskie córki, księżniczka Maria i księżniczka Elżbieta, oraz królewska siostrzenica, Małgorzata Douglas. Nieco dalej trzyma się moja siostra Anna, Katarzyna Brandon i Jane Dudley. Reszta twarzy zlewa mi się w jedno; w kaplicy jest gorąco i duszno.

Henryk wykrzykuje słowa przysięgi, jakby był heroldem obwieszczającym tryumf. Ja powtarzam je za nim głosem czystym i opanowanym, a gdy jest już po wszystkim, król odwraca się do mnie z promieniejącym obliczem. Pochyla się ku mnie, po czym przy wtórze zachęcających okrzyków całuje pannę młodą.

Jego usta przypominają czaszołkę – są wilgotne i ruchliwe – a ślina zdaje się skażona zgnilizną próchniejących zębów. Henryk cuchnie gnijącym jedzeniem. Puszcza mnie wreszcie, nie przestając świdrować oczkami, by zobaczyć moją reakcję na te karesy. Trzymam wzrok wbity w ziemię, jakbym się nie posiadała z pożądania, po czym zdobywam się jakimś cudem na uśmiech i zerkam na niego wstydliwie, po dziewczęcemu. Nie jest tak źle, jak myślałam, a zresztą i tak będę musiała do tego przywyknąć.

Biskup Gardiner całuje moje dłonie, kłania się nisko królowi, składa nam gratulacje. Tłum faluje i rusza naprzód, przepełniony radością, że już po wszystkim. Katarzyna Brandon, której psotna uroda utrzymuje ją niebezpiecznie wysoko w łaskach królewskich, szczególnie długo się rozwodzi nad samą uroczystością i szczęściem, które bez wątplenia stanie się naszym udziałem. W tym czasie jej mąż, Charles Brandon, zza ramienia młodziutkiej ślicznej żony mruga do króla niczym jeden łobuz do drugiego. Nareszcie Henryk gestem odsuwa wszystkich na bok, aby mi podać ramię,



i tak prowadzi nas z kaplicy na ucztę weselną.

Zapach pieczonego mięsiva sączył się przez deski podłogowe z kuchni leżącej bezpośrednio pod apartamentami już od wielu godzin. Teraz, na dany znak, wszyscy ustawiają się w orszaku ściśle według pierwszeństwa, zależnie od tytułu i pozycji. Kątem oka widzę, że żona Edwarda Seymoura, niewiasta o ostrych rysach i nie mniej ciętym języku, przewraca oczyma i cofa się o krok, aby zrobić mi przejście. Uśmiecham się ukradkiem w tej chwili tryumfu. Anna Seymour będzie musiała nauczyć się dygać przede mną. Urodziłam się Katarzyną Parr, szacowną szlachcianką z północy Anglii, po czym byłam żoną Neville'a – z dobrego rodu, chociaż oddalonego od stolicy i sławy – aż wreszcie zostałam królową i najpierwszą damą królestwa, przed którą musi ustępować nawet Anna Seymour.

Kiedy wkraczamy do wielkiej sali, dworzanie zrywają się na równe nogi i wnoszą okrzyki na naszą cześć, podczas gdy najjaśniejszy pan, rozglądając się na lewo i prawo, rozdaje uśmiechy. Następnie usadza mnie na krześle. Mój tron jest nieco niższy od jego, aczkolwiek siedzę wyżej niż księżniczka Maria, która z kolei siedzi wyżej od małej księżniczki Elżbiety. Odtąd jestem najważniejszą i najzamożniejszą niewiastą w całej Anglii – dopóki nie umrę albo się nie pohańbię, cokolwiek przyjdzie pierwsze. Spoglądam na wskroś wielkiej sali pełnej uśmiechniętych, wiwatujących dworzan, aż napotykam wzrok mojej siostry, która jakby nigdy nic zmierza do szczytu stołu przewidzianego dla dam dworu. Anna kiwa do mnie głową w geście pełnym otuchy, jakby chciała powiedzieć, że nadal tu jest, że czuwa nade mną, że przyjaciele doniosą jej, co król powiedział na osobności, a jej mąż będzie mnie wychwalał przed Henrykiem. Znajduję się pod ochroną bliskich, sprzymierzonych przeciwko wszystkim innym rodzinom. Moi krewni oczekują, że namówię króla na dalszą reformę Kościoła, że zdobędę dla nich stanowiska i bogactwo, że znajdę im apanaże, a ich dzieciom miejsca pod dobrym dachem. W zamian chronią moją reputację, wychwalają ponad wszystko i bronią przed wrogami.

Nie rozglądam się za nikim więcej. Z całą pewnością nie szukam Tomasza, który jak wiem, jest już daleko. Nikt nigdy nie powie, że wypatrywałam wśród tłumu jego ciemnej głowy, jego ukradkowego uśmiechu. Nikt nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że strzelałam za nim oczyma, ponieważ tego nie robię. Podczas długich i cichych modlitw zdałam sobie sprawę, że już nigdy go nie zobaczę: prostej sylwetki na tle otwartych drzwi, pochylonej postaci nad stołem do gry w karty, zawsze pierwszego, by pójść w tany, zawsze ostatniego na nogach późno w noc, śmiejącego się dźwięcznie, zerkającego ku mnie... Wyzbyłam się pragnień o zamążpójściu

za niego, tak samo jak wyzbyłam się namiętności do niego. Zmusiłam się, aby zeń zrezygnować. Już nigdy go nie ujrzę, już nigdy się za nim nie rozejrzę.

Niejedna niewiasta przede mną postąpiła podobnie i niejedna niewiasta po mnie także poczuje ten rozdzierający ból serca. To pierwszy obowiązek każdej białogłowy, która miłując jednego, jest zmuszona poślubić innego. Wiem, że nie ja pierwsza tłumię uczucie do ukochanego, udając, że serce mam całe. Bogobojna żona nierzadko musi zapomnieć o miłości swego życia – i ja uczyniłam ni mniej, ni więcej; tylko tyle i aż tyle. Wyzbyłam się wszelkiej myśli o Tomaszu Seymourze. Mam takie wrażenie, jakby serce mi pękło i jakbym ofiarowała jego okruchy Najwyższemu.

Nie jest to mój pierwszy ślub ani nawet drugi, a mimo to obawiam się nocy poślubnej, jakbym była dziewicą skradającą się po mrocznych schodach zamku z chwiejną świecą w ręku. Uczta weselna ciągnie się w nieskończoność: Henryk woła wciąż o nowe dania, które słudzy w biegu wnoszą z kuchni na ogromnych złotych tacach wyładowanych do wysokości ich ramion. Na stołach pojawia się stado pawi, upieczonych i włożonych z powrotem w pióra, które wspaniale migoczą ustawione na wprost nas. Podstoli odciąga skrwawioną ptasią skórę, połyskująca na niebiesko wiotka szyja przechyla się na bok, jakby właśnie doszło do dekapitacji jakiejś ślicznotki, ale wydłubane oczy, zastąpione przez czarne rodzyнки, w dalszym ciągu lśnią, jak gdyby wciąż błagały o litość. W końcu spod piór ukazuje się pieczyste; Henryk niecierpliwym gestem zakrzywionego palca daje znak i na jego złotym talerzu ląduje okazały kawałek ciemnej piersi. Dalej służący przynoszą tace ze skowronkami, ułożonymi w stosy, przez co przypominają ofiary Pielgrzymki Łaski – niezliczone, bezimienne, uduszone we własnym sosie. Na blacie przed nami wyrastają podłużne piersi schwytyanych w sidła czapli, duszone zające podane w kociołkach, króliki uwięzione w cieście z chrupiącą skórką. Ilekroć pojawia się nowe danie, król częstuje się nim hojnie, po czym machnięciem ręki wskazuje, któremu faworytowi ma się dostać reszta.

Śmieje się ze mnie, że jem jak ptaszek. Uśmiecham się, choć słyszę, jak łamie kości ptasząt zębami. Co rusz donoszą mu wina, jeszcze więcej wina, aż wreszcie rozlegają się dźwięki trąbek i słudzy wnoszą na wielką salę łeb dzika. Odyniec ma pozłacane szable, złociste główki czosnku zamiast oczu i gałązki rozmarynu sterczące mu z pyska niby wibryssy. Henryk bije brawo, po czym odrzynają mu policzek dzicyzny ociekającej tłuszczem. Następnie podstolowie obnoszą to, co zostało ze łba, po całej wielkiej sali, częstując

obecnych drugim policzkiem, uszami i kawałkami mięsistego karku.

Zerknąwszy na księżniczkę Marię, widzę, że pobladła niczym płótno, sama więc dyskretnie szczypię się w policzki, aby prezentować się przy niej zdrowo i energicznie. Przyjmuję na talerz porcję wszystkiego, czym częstuje mnie król, a następnie zmuszam się do jedzenia. Coraz to nowe mięsa trafiają na mój talerz, twarde i w gęstym sosie, a ja żuję wszystko zawzięcie, przełykając z pomocą łyku wina. Powoli czuję, że robi mi się słabo i że zaczynam się pocić. Czuję wodę zbierającą się pod pachami i na plecach. Henryk siedzi obok mnie leniwie rozwalony na tronie, pokonany przez jadło, a jednak domaga się kolejnych porcji smakołyków, aczkolwiek coraz częściej przy tym pojękuje.

Wreszcie, jakby to była ciężka próba, której nie można uniknąć, znowu dmą w trąby, ogłaszając, że dobrnęliśmy do połowy posiłku. Kończą się mięsa, a na stół wjeżdżają słodkości i desery. Miniaturowy model pałacu Hampton Court, zrobiony z marcepanu, otrzymuje gromkie brawa – głównie z powodu dwu małych figurek z waty cukrowej ustawionych na trawniku przed wejściem. Kucharz, który stworzył to dzieło, jest mistrzem w swoim fachu: Henryk przypomina chłopca lat dwudziestu, prosty jak strzała i dzierżący w rękę wodze olbrzymiego ogiera. Ja sama występuję cała w bieli, przekrzywiając pytająco głowę, gdy cukrowa Katarzyna spogląda ciekawie na stojącego obok imponującego młodego księcia. Wszyscy oczywiście rozplývają się nad artyzmem słodkiej rzeźby. W kuchniach z pewnością siedzi Holbein, mówią. Muszę tkwić przy stole z uśmiechem przyklejonym do twarzy, przełykając łyż. Bo przecież to czysta tragedia, uchwycona w miniaturze. Gdyby Henryk istotnie prezentował się tak młodzieńczo, być może nasze małżeństwo miałoby szansę powodzenia. Jednakże młodzika poślubiła Katarzyna Aragońska, przyjaciółka mojej matki, nie Katarzyna Parr, z którą dzieli go dwudziestojednoletnia różnica wieku.

Figurki mają na głowach tycie korony ze złota. Król daje mi do zrozumienia, że obie są dla mnie. Wybucha śmiechem, kiedy wkładam je sobie na palce jak pierścienie, a następnie ujmuje dwoma palcami cukrową Katarzynę, po czym wkłada ją sobie w całości do ust, łamiąc przy tej okazji nogi, aby się zmieściła, i pożera za jednym zamachem.

Doznaję ulgi, kiedy woła znów o wino i muzykantów i opada na oparcie tronu. Chórzyści z jego kaplicy odśpiewują ładniutki hymn, ustępując miejsca tancerzom, którzy wkraczają na scenę z tamburynami, aby odegrać weselną maskaradę. Jedna z postaci, przebrana za włoskiego księcia, ukłonem zaprasza mnie do zabawy. Zerkam pytająco na króla, który gestem każe mi ruszyć w tany. Wiedząc, że dobrze tańczę, nie waham się dłużej, tylko z furkotem

bogato zdobionej sukni prowadzę na środek sali księżniczkę Marię. Nawet mała Elżbieta podryguje za nami. Dostrzegam, że Maria znowuż cierpi; dłoń trzyma lekko na biodrze, wbijając paznokcie w ciało. Głowę nosi jednak wysoko i nie przestaje się uśmiechać przez zaciśnięte z bólu zęby. Niestety nie mogę jej zwolnić z tańców tylko dlatego, że niedomaga. Wszyscy muszą się bawić na weselu króla Henryka bez względu na to, co naprawdę czują.

Tańczę ze swymi dworkami jeden taniec za drugim. Byłabym gotowa przetańczyć całą noc do białego rana, byleby powstrzymać Henryka przed końcowym skinieniem głowy, którym daję znak swoim dworzanom, że wieczór minął i pora się udać na spoczynek. Północ zastaje mnie na tronie, skąd daję wyraz uznania grze muzykantów. Nagle Henryk odwraca się do mnie zamasyście, przesłaniając mi widok potężną sylwetką, i nachyliwszy się w moją stronę, rzecze:

– Idziemy do sypialni, żono?

Nadal mam w pamięci swoją reakcję na jego oświadczyzny. „Odtąd już zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy, tak będzie – Henryk poczeka na moją zgodę albo przeforsuje swoją wolę mimo jej braku”. Nie ma znaczenia, co odpowiem; królowi się nie odmawia. Z uśmiechem podnoszę się na nogi, czekam, aż pomogą mi wstać, i moment później patrzę, jak niezgrabnie zstępuje z podwyższenia, krocząc przez ciżbę kaczym chodem. Idę tuż za nim, dostosowując krok do jego tempa. Dworzanie wznoszą okrzyki na naszą cześć, a ja upewniam się, że patrzę prosto przed siebie, nie krzyżując z nikim spojrzeń. Nie zniosłabym współczującego wzroku w drodze do mej nowej komnaty sypialnej... do królewskiej komnaty sypialnej, w której mam się rozdziać przy pomocy moich panien dworskich, by następnie oczekiwać pojawienia się mego pana i władcy.

Chociaż jest już późno, nie łudzę się, że okaże się nazbyt zmęczony, aby złożyć mi wizytę. Dworki pomagają mi się przebrać w czarną satynę. Wysiłkiem woli powstrzymuję się przed przyłożeniem materii do twarzy i wspomnieniem jakże niedawnej nocy, w którą odziana w podobny strój, z granatową peleryną na wierzchu, udałam się pod osłoną ciemności na schadzkę z ukochanym mężczyzną. Mimo że było to tak niedawno, nie wolno mi o tym pamiętać... W końcu drzwi się otwierają i do komnaty sypialnej wkracza jego królewska mość, podtrzymywany po obu stronach przez swoich dworzan. Wspólnymi siłami pomagają mu się wspiąć na wysokie łożo – zupełnie jakby mocowali się z bykiem. Henryk przeklina głośno, gdy któryś przypadkiem uraża jego zranioną nogę.

- Ty błaznie! - syczy.

W tej samej chwili odzywa się królewski trefniś, Will Somers.

- Hola, tu jest tylko jeden błazen! Będę zobowiązany, jeśli będzie się o tym pamiętać.

Bystry jak zawsze rozładowuje atmosferę; król wybucha śmiechem i wszyscy doń dołączają. Przechodząc obok, Somers do mnie mruga. Spojrzenie piwnych oczu ma przepętnione łagodną dobrocią. Nikt poza nim nawet na mnie nie patrzy. Kłaniając się i cofając do wyjścia, wszyscy trzymają wzrok wbity w ziemię. Chyba się o mnie boją: oto zostaję z nim nareszcie sama, podczas gdy wino paruje mu z głowy, jadło ścina się w jego żołądku, a humor mu się warzy. Moje dworki rwą się do odejścia. Anna, która wychodzi ostatnia, kiwa mi lekko głową, jakby dla przypomnienia, że czeka mnie zbożne dzieło, zupełnie jak gdybym była świętą mającą się położyć na łożu tortur.

Wreszcie drzwi się zamykają. Ja dalej klęczę w nogach łóżka, nic nie mówiąc.

- Możesz się zbliżyć - rzecze Henryk burkliwie. - Nie gryzę. Włóż do łóżka.

- Właśnie zmawiałam modlitwę - odpowiadam. - Czy mam się pomodlić za ciebie głośno, wasza królewska mość?

- Możesz mi już mówić po imieniu - rzuca łaskawie. - Kiedy jesteśmy sami.

Pojąwszy, że to oznacza brak zgody na modlitwę, posłusznie unoszę przykrycie i wślizguję się pod nie. Trudno mi ocenić, co Henryk zamierza. Jako że nie zdoła się przewrócić sam na bok, raczej na mnie nie zlegnie. Leżę obok niego w kompletnym bezruchu i czekam, aż mi powie, czego sobie życzy.

- Będziesz musiała mnie dotknąć - odzywa się w końcu, jakby sam także się nad tym zastanawiał. - Nie jesteś trzpiotką, lecz dojrzałą niewiastą. Miałaś więcej niż jednego męża. Wiesz, co trzeba zrobić, co?

Jest gorzej, niż się spodziewałam. Zadzieram skraj nocnej szaty, po czym zbliżam się do króla na czworakach. Nieoczekiwanie przypominam sobie nagiego Tomasza Seymoura z rozrzuconymi na boki ramionami, z plecami wygiętymi w łuk i z czarnymi rzęsami na śniadych policzkach. Widzę, jak mięśnie jego płaskiego brzucha napinają się w ekstazie na mój dotyk, gdy wyrzuca biodra w górę...

- Z barona Latimera nie był najlepszy kochanek, jak się domyślam? - dopytuje król.

- Nie miał tyle męskiej siły co ty, najjaś... Henryku - odpowiadam. -

Do tego słabował.

- Jak sobie radził?
- Pytasz o jego zdrowie?
- Jak sobie radził w łóżku? Jak z tobą spółkował?
- Bardzo rzadko.

Chrząka na to z aprobatą, ja zaś zauważam, że jest gotów do czynu. Najwyraźniej ekscytuje go myśl, że ma więcej męskiej siły od mojego poprzedniego męża.

- To musiało go denerwować - rzuca z zadowoleniem. - Mieć taką żonę jak ty i nie móc stanąć na wysokości zadania... - Wybuchu śmiechem. - No dalej - zachęca mnie. - Jesteś taka urocza. Już się nie mogę doczekać.

Łapie mnie za prawą rękę i ciągnie ku sobie. Posłusznie klękam i staram się go okraczyć nogami. Jednakże jest taki gruby w pasie, że nie daję rady. Wtedy on pociąga mnie na siebie, tak że kończę przytulona doń niczym do końskiego grzbietu w pełnym cwale. Muszę pamiętać o tym, aby zachować kamienną twarz i nie skrzywić się ze wstrętem. Nie wolno mi drgnąć ani zakrzyknąć.

- No i już - oświadcza, podekscytowany własną potencją. - Czujesz? Nieźle jak na mężczyznę po pięćdziesiątce, co? Tego ci stary baron Latimer na pewno nie dawał.

Mruczę coś niezrozumiale w odpowiedzi. Przyciąga mnie bliżej, sam zaś próbuje wyjść mi na spotkanie. Nie jest w pełni twardy, co powoduje we mnie tyleż niesmak co zażenowanie.

- No i już! - powtarza głośniej. Oblicze mu czerwienieje, pot zaczyna spływać po nim strumykami, kiedy przyciska mnie do siebie i usiłuje poruszać biodrami wężowym ruchem.

Zakrywam oczy dłońmi, nie chcąc patrzeć, jak pode mną stęka.

- Chyba nie jesteś aż tak nieśmiała? - woła donośnie.

- Ależ nie, skądże... - odpowiadam.

Muszę pamiętać, że czynię zbożne dzieło - dla Najwyższego i dla mego rodu. Będę dobrą żoną, dobrą królową. To jeden z moich obowiązków, przypisany mi przez Stwórcę. Opuszczam ręce do troczków przy dekolcie nocnego stroju i rozwiązuję tasiemki z przodu. Na widok moich nagich piersi przykłada do nich obie pulchne dłonie i zaciska mocno, szczypiąc mnie w sutki. Wreszcie czuję, że we mnie wchodzi i próbuje się wepchnąć głębiej gwałtownym ruchem, po czym wydaje z siebie zduszony okrzyk i opada na wznak, by zamrzeć w bezruchu.

Czekam, lecz nic więcej się nie dzieje. Henryk milczy. Ceglasty rumień schodzi z jego policzków, pozostawiając oblicze szarym w blasku świec. Oczy

ma zamknięte. W pewnym momencie usta mu się lekko uchylają i dolatuje z nich przeciągłe chrapnięcie.

A zatem to by było na tyle. Ostrożnie zładę z jego wilgotnego brzucha i po cichutku zsuwam się z łoża. Poprawiam na sobie nocny strój, opatulając się szczelniej i zawiązując rozluźnione troczki. Zajmuję miejsce przed kominkiem na wielkim krześle, które specjalnie poszerzono i wzmocniono, aby mogło udźwignąć ciężar króla, i podciągnąwszy kolana pod brodę, obejmuję je ciasno rękoma. Poczawszy, że drzę, nalewam sobie zaprawionego korzeniami grzanego piwa, które stoi na blacie obok. Weselny trunek miał dodać mi odwagi, jemu zaś sił. Teraz ogrzewa mnie tylko, gdy siedzę, oplatając palcami srebrny puchar.

Po długim czasie tępego patrzenia w płomienie wracam do łóżka. Siennik ugina się znacznie pod ciężarem Henryka, a kosztowne przykrycie ledwie starcza, by osłonić jego zwaliste ciało. Leżąc obok niego, muszę wyglądać jak małe dziecko przy dorosłym. Zamykam oczy. W głowie mam pustkę. Staram się usilnie o niczym nie myśleć. Zaciskam powieki i w końcu odpływam w sen.

Niemal od razu zaczynam śnić, że jestem Trifiną poślubioną wbrew własnej woli niebezpiecznemu człowiekowi, uwięzioną na jego zamku, i że wędruję w górę po spiralnych schodach, jedną dłonią wodząc po wilgotnym murze, w drugiej zaś trzymając świecę. Z komnaty u szczytu schodów dolatuje nieprzyjemna woń. Podchodzę do drzwi i przekręcam mosiężną gałkę. Skrzydło uchyla się ze skrzypieniem, lecz ja nie mam odwagi wejść do środka, zagłębić się w niezdrowe miazmaty. Czuję tak silny strach, że zaczynam się trząść – we śnie i na jawie – aż w końcu obracam się gwałtownie w łożu, budząc się w okamgnieniu. Mimo że już nie śpię – aczkolwiek muszę walczyć z ciężkimi powiekami i ze strachem zapamiętanym z koszmaru – wstrętny odór w dalszym ciągu nadpływa do mych nozdrzy, jakby przedostawał się ze świata snu do świata jawy. Rozkaszuję się cicho, uzmysławiając sobie, że senny smród nie odszedł, że wciąż jest tutaj, że dusi mnie i dławi, zakradając się do pogrążonej w mroku komnaty sypialnej... Krztuszę się jak najbardziej realnym zapachem rozkładu, muszę walczyć o każdy oddech. Koszmar się nie skończył!

Wołam pomocy, lecz w tej samej chwili budzę się na dobre i już wiem, że to nie sen, tylko rzeczywistość. Jątrząca się rana na nodze Henryka wydziela żółtą ropę, która przesącza się przez bandaże, plamiąc mój nocny strój i pościel, zupełnie jakby leżący koło mnie mężczyzna popuścił przez sen, sprawiając, że najwystawniejsza alkowa w całej Anglii zaczyna śmierdzieć trupiarnią.

Choć w komnacie jest ciemno, wiem, że król też nie śpi. Gardłowe odgłosy chrapania umilkły. Słyszę jego wytężony miarowy oddech, ale nawet to mnie nie zmyli. Henryk czuwa, nasłuchując mnie i wypatrując w ciemnościach. Wyobrażam sobie jego oczy, szeroko otwarte w mroku i spoglądające ślepo w moją stronę. Ani drgnę, oddycham lekko, lecz nie przestaję się obawiać, że on wie – tak samo, jak wie to zawsze dzikie zwierzę. Wie, że się go boję. Zwierzęcy instynkt mu podpowiada, że nie śpię i dygoczę przed nim ze strachu.

– Katarzyno, śpisz? – pyta cicho.

Przeciągam się i udaję ziewnięcie.

– Hm?... Tak, Henryku. To znaczy teraz już nie.

– Dobrze ci się spało? – Pytanie zadaje miłym tonem, lecz jest ono podszyte niepokojem.

Siadam prosto, utykając włosy pod nocnym czepkiem, i prędko się do niego odwracam.

– Tak, Henryku, Bogu niech będą dzięki. Mam nadzieję, że ty też dobrze spałeś.

– Nie. Poczułem mdłości podchodzące mi do gardła. Nie mam wystarczająco wysokiej poduszki. To okropne uczucie, Katarzyno. Mogłem się udławić. Spać powinienem prawie w pozycji siedzącej, inaczej krztuszę się żółcią. Moi dworzanie to wiedzą. Musisz przypilnować, aby układano mnie odpowiednio także wtedy, gdy śpię w twoim łóżku. Przypuszczam, że któreś z dań przy wieczerzy mi nie posłużyło. Tyle osób dybie na moje życie. Rano pošlę po kucharza i rozkażę go ukarać. To pewnie mięso było nieświeże. Muszę zwymiotować!

W gnieniu oka wyskakuję z łóżka, nie zważając, że skalany nocny strój lepi mi się do ciała. Sięgam po misę stojącą na skrzyni, rozglądam się za dzbanem z piwem.

– Napijesz się czegoś? Mam posłać po medyka?

– Medyka przyjmę później. Wieczorem kręciło mi się w głowie.

– O, moje kochanie – odzywam się łagodnie, jakbym mówiła do chorego chłopca. – Może jednak napijesz się łyżeczek ciepłego piwa i spróbujesz znowu zasnąć?

– Odeszła mnie ochota na sen – stwierdza opryskliwie. – Rzadko kiedy dobrze śpiam. Cały dwór śpi, cała Anglia śpi, ja jednak czuwam. Czuwam, podczas gdy leniwi paziowie i gnuśne niewiasty odpoczywają. Czuwam, pełniąc straż w moim królestwie, w moim Kościele. Masz pojęcie, ilu ludzi splotnie w Windsorze w przyszłym tygodniu?

– Nie – odpowiadam, kurcząc się naraz.



- Trzech - rzecze z satysfakcją. - Stosy zapłoną na bagnach, żeby prochy straconych mogły utonąć. Taka kara czeka każdego, kto podważa prawdziwość mojego Kościoła.

Przypominają mi się słowa Anny, która chciała, abym wstawiła się za tymi nieszczęśnikami.

- Henryku... Mężu mój...

Dopija kielich z piwem trzema łąpczywymi haustami, po czym żąda, aby mu dołąć. Usługuję mu uniżenie.

- Jeszcze - domaga się po chwili.

- Mamy też paszteciki, gdybyś chciał... - proponuję niepewnie.

- Jeden nie powinien mi zaszkodzić, a może pomóc na mój rozchwiany żołądek.

Podaję mu talerz, po czym przyglądam się, jak w zamyśleniu pochłania kolejno wszystkie, pakując je sobie do ust jeden za drugim. Na koniec oblizuje palce i zbiera okruszki z talerza, który następnie wręcza mi z powrotem. Uśmiecha się. Wydaje się ukojony posiłkiem i uwagą. Zupełnie jakby stodycz mu pomagała.

- Już mi lepiej - mówi. - Zgłodniałem po tych naszych uniesieniach.

Humor mu się wydatnie poprawia, kiedy się posilił pasztecikami i piwem. Dochodzę do wniosku, że musi go prześladować głód. Głód tak potworny, że zajada się do nudności, myląc łąknienie z mdłościami. Jakimś cudem zdobywam się na uśmiech.

- Nie mógłbyś oszczędzić tej trójki? - pytam bardzo cicho.

- Nie - odpowiada. - Która godzina?

Rozglądam się. Nie mam pojęcia, która jest godzina - w komnacie nie ma klepsydry. Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony, po czym wypycham okiennice, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

- Tylko nie wpuszczaj zimnego powietrza - dąsa się. - Bóg raczy wiedzieć, jaką zarazę niesie. Zamknij okno! Szybko!

Zatrząskuję okiennice w obronie przed rześkim nocnym powietrzem i wyglądam przez wąską szparę na niebo. Na wschodzie nie ma ani śladu blasku, mimo że mrugam oczyma raz po raz, przeganiając spod powiek wypalony płomień świecy i rozpaczliwie mając nadzieję ujrzeć choć skrawek jasności.

- Wciąż musi być bardzo wcześnie - oznajmiam, ponagłając świt. - Nie widać zarania.

Spogląda na mnie wzrokiem dziecka, które chce, aby je zabawić.

- Nie mogę zasnąć - skarży się. - Piwo ciąży mi na żołądku. Było za zimne. Dostanę przez nie kolki. Powinnaś była je podgrzać. - Poprawia się

w pościeli i beka głośno. Równocześnie od strony łoża dolatuje mnie smród jego wiatrów.

– Może poślę do kuchni po coś innego – proponuję. – Coś do picia...

Henryk kręci głową.

– Nie. Podsyć ogień i powiedz, że cieszysz się, iż zostałeś królową.

– O, tak! Bardzo się cieszę! – Rozciągam wargi w uśmiechu, schylając się do koszyka z podpałką i drwami na opał. Po chwili żar przybiera na sile. Poruszam drewno w kominku pogrzebaczem, poprawiając kłody, aby lepiej zajęły się ogniem. – Cieszę się, że jestem królową i żoną. Twoją żoną.

– Dobra z ciebie gospodyni! – wykrzykuje, ukontentowany ciepłym płomieni. – Zrobisz mi też śniadanie?

– Nigdy nie gotowałam – odpowiadam z godnością. – Zawsze miałam kucharkę i kuchty do pomocy. Ale wiem, jak zarządzać kuchnią i gorzelnią, i młeczarnią. Sama przyrządzałam leki z ziół, mydła i woreczki z wonnościami...

– Zatem wiesz, jak prowadzi się dom.

– Ilekroć mój mąż wyjeżdżał, miałam w swojej pieczy zamek w Snape – oświadczam.

– Broniłaś się przed oblężeniem? – pyta. – Przed tymi zdrajcami? To musiało być trudne. To wymagało odwagi.

Potakuję skromnie skinieniem.

– To prawda. Ale wypełniałam tylko swój obowiązek.

– Stawiałaś czoło rebeliantom, tak? Bo przecież grozili, że spalą twój zamek z tobą w środku.

Wciąż mam w pamięci te dni i noce, w które biedacy w łachmanach oblegali zamek, błagając rozpaczliwie o powrót dawnych czasów, kiedy to świątynie roztaczały nad nimi opiekę, a król słuchał dobrych panów. Ludzie pragnęli przywrócenia dawnego Kościoła i klasztorów w ich niegdysiejszej chwale. Domagali się, aby mój mąż, baron Latimer – jednomyślny z nimi – przemówił w imieniu swoich dzierżawców przed królem.

– Wiedziałam, że nie dopną swego – mówię teraz, zdradzając tamtych i ich sprawę. – Wiedziałam, że muszę wytrwać i że w swej łaskawości przyślesz na Północ barona Latimera, aby nas oswoodził.

Przeinaczam fakty, upiększam je w nadziei, że Henryk nie pamięta prawdziwych wydarzeń. Zarówno najjaśniejszy pan, jak i jego doradcy słusznie bowiem podejrzewali mego męża o sprzyjanie rebeliantom, po krwawym stłumieniu buntu zaś John Neville musiał opowiedzieć się za reformacją. Aby chronić własną skórę, zdradził swoją wiarę i swoich dzierżawców. Jakże by się teraz cieszył, widząc, że wszystko wróciło na stare tory. Duchowni

doszli znowu do władzy i zaczęli otwierać na powrót klasztor. Baron Latimer powitałby z chęcią rządu swego przyjaciela Stephena Gardinera. Byłby całym sobą za paleniem reformistów na bagnach pod Windsorem. Zgodziłby się z Henrykiem, że prochy odszczepieńców winny mieszać się z błotem, ażeby ci nigdy nie powstałi z martwych.

- Ile miałś lat, kiedy po raz pierwszy opuściłaś dom rodzinny?

Henryk mości się na poduszkach niczym chłopiec chcący wysłuchać bajki na dobranoc.

- Pytasz o moje dziewczęce lata?

Potakuje skinieniem.

- Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Miałam już wtedy swoje lata, dobrze ponad szesnaście. Pani matka starała się mnie wydać za mąż, odkąd skończyłam jedenasty rok życia, ale jakoś się nie składało.

Król przechyla głowę.

- Jakże to? Musiałaś być śliczną dziewczuszką. Z tymi włosami i oczyma z pewnością mogłaś przebierać w kandydatkach.

Wybucham śmiechem.

- Byłam niebrzydka - przyznaję - ale posąg miałam nie większy od córki druciarza. Pan ojciec nie zostawił nam wiele, a zmarł, jak miałam zaledwie pięć lat. Od dzieciństwa wiedziałyśmy, ja i moja siostra Anna, że będziemy musiały wyjść dobrze za mąż, żeby uratować pozycję rodziny.

- Ile was było rodzeństwa?

- Troje. Tylko troje. Ja jestem najstarsza, w środku jest William, mój brat, a na końcu Anna. Może pamiętasz moją matkę? Była dworką, a potem wystarała się Annie o miejsce na dworze... - urywam. Anna służyła najpierw Katarzynie Aragońskiej, a potem każdej następnej królowej. Henryk musiał ją widzieć drepczącą w drodze do wielkiej sali za wszystkimi swymi żonami. - Pani matka wystarała się Annie o miejsce w pałacu - poprawiam się. - A później, po ożenku Williama z Anną Bouchier, z majątku nie zostało się prawie nic na mój posąg.

- Biedactwo - kwituje sennie. - Gdybym tylko cię podówczas znał...

Widział mnie przy jednej okazji. Zjawiłam się na dworze razem z panią matką i Anną. Do tej pory pamiętam młodego króla, którego wtedy zobaczyłam: złotowłosego, silnego, barczystego, lecz przy tym zgrabnego. Siedział w siodle, jak zawsze w tamtym czasie - jego rumak i on byli nierozłączni, zupełnie jakby stanowili jedną istotę, mitycznego centaury. Kiedy mnie mijał, zadarłam głowę, aby na niego spojrzeć. Wydał mi się olśniewający. Zerknął na mnie, sześćioletnią dziewczuszkę podskakującą

z podniecenia, która machała zawzięcie do dwudziestosiedmioletniego monarchy. Uśmiechnął się nawet do mnie i uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Zamarłam w tamtej chwili i gapiłam się na niego w zachwycie. Jawił mi się aniołem. Rzeczywiście, mówiło się o nim, że jest najurodziwszym księciem chrześcijańskiego świata; nie było chyba niewiasty w Anglii, która by o nim nie marzyła. Ja wyobrażałam sobie, że przyjeżdża konno do naszej siedziby i prosi mnie o rękę. Sądziłam, że gdyby mnie poślubił, wszystko byłoby dobrze do końca mojego życia. Mając miłość króla, czegoż jeszcze można sobie życzyć?

– Moim pierwszym mężem był Edward Brough, najstarszy syn barona z Gainsborough.

– Ten szaleniec? – dopytuje Henryk z bogato haftowanej pościeli. Oczy ma zamknięte. Jego dłonie, splecione na wypukłej piersi, unoszą się i opadają w rytm świszczącego oddechu.

– Szalony był jego dziad – prostuję. – Jednakże i tak była to przerażająca rodzina. Jego lordowska mość łatwo wpadał w złość, a mój mążzonek trząsał się wtedy przed nim jak osika.

– Nie był ciebie godzien – stwierdza niemal przez sen. Z jego głosu przebija wyraźne zadowolenie. – Kto w ogóle wpadł na pomysł, aby wydawać cię za niedorostka? Z pewnością byłaś dziewczęciem, które potrzebowało dojrzałego mężczyzny, kogoś starszego, kogo mogłabyś podziwiać, kto mógłby tobą powodować.

– Nie byłam z nim szczęśliwa – potwierdzam. Domyślałam się już, jakiej bajki chce wysłuchać Henryk. W końcu wszystkie opowieści świata sprowadzają się raptem do tuzina wersji. Jedna z nich opowiada o dziewczęciu, które długo musiało szukać szczęścia, a znalazło je dopiero u boku swego wymarzonego księcia. – Nie byłam z nim szczęśliwa – powtarzam. – Ale Bóg zechciał zabrać go do siebie, gdy miałam ledwo dwadzieścia lat.

Jakby umniejszenie męskości nieszczęsnego, dawno nieżyjącego Edwarda uspokoiło króla, za jedyną odpowiedź dostaję przeciągłe chrapnięcie. Moment później zamieram w przestraszu, kiedy Henryk przestaje oddychać. Przez chwilę w komnacie sypialnej panuje absolutna cisza, w końcu jednak najjaśniejszy pan chwyta powietrze ustami i wypuszcza je głośno. Sytuacja powtarza się raz po raz, aż do niej przywykam. Zajmuję miejsce na krześle przy kominku i wpatruję się w płomienie liżące drwa, kątem oka dostrzegając cienie, które wydłużają się i skracają, skacząc wokół mnie, podczas gdy chrapanie nie ustaje. Czuję się, jakbym pilnowała knura w chlewie.

Zastanawiam się, która godzina. Chyba powinno już świtać. Ciekawe,

kiedy pojawią się pierwsi słudzy. Ktoś musi przecież dołożyć do ognia. Żałuję, że nie wiem, która godzina. Oddałabym fortunę za klepsydrę, dzięki której wiedziałabym, jak długo jeszcze potrwa ta nie chcąca się skończyć noc. Czy to nie dziwne, że noce z Tomaszem upływały błyskawicznie, jakby księżyc koniecznie chciał zejść, a słońce wstać ponownie? Tym razem jest inaczej. Zapewne tak będzie już zawsze. Od tej pory co noc będę czekać w nieskończoność na nadejście ranka, a wraz z nim pierwszych promieni światła.

- Jak było? - pyta mnie szeptem Anna.

Za jej plecami służące wynoszą z komnaty sypialnej złotą misę do mycia i taki sam dzban na wodę. W tym czasie panny dworskie spryskują wodą różaną moją pościel i trzymają ją rozłożoną przed kominkiem, aby wyschła. Anna ma przy sobie woreczek z rutą. Odwrócona tyłem sięga po pogrzebacz, wkłada go na chwilę w ogień, po czym zanurza w kielichu z piwem, do którego następnie dosypuje ziół. Wypijam napar ukradkiem, żeby nikt nie widział. Przełykam, krzywiąc się i ukrywając grymas.

Potem przechodzimy do klęcznika, gdzie klękamy przed krucyfiksem jedna obok drugiej, tak blisko siebie, że nikt postronny nie usłyszy ani słowa, myśląc, że tylko mamrocemy modlitwy po łacinie.

- Wykazał się męską siłą?

Samo to pytanie jest przejawem zdrady stanu. Z jego powodu brat Boleynówny dał głowę.

- O tyle, o ile - odpowiadam krótko.

Anna nakrywa moją dłoń swoją.

- Chyba cię nie skrzywdził?

Kręcę głową.

- Ledwie się rusza. Co jak co, ale tego rodzaju niebezpieczeństwo mi z jego strony nie grozi.

- Czy to było bardzo...? - urywa. Jako kochająca i kochana żona nie potrafi sobie nawet wyobrazić mojej odrazy.

- Nie takie straszne, jak się obawiałam - mówię, pochylając głowę nad różańcem. - Nawet mu trochę współczuję... - Podnoszę spojrzenie na Ukrzyżowanego. - Nie ja jedna muszę cierpieć. Dla niego to trudny czas. Starczy spojrzeć, kim był, a kim jest teraz.

Anna przymyka oczy w milczącej modlitwie.

- Mój mąż twierdzi, że Pan Bóg nad tobą czuwa.

- Trzeba wypachnić moje komnaty - zmieniam temat. - Każ kogoś posłać

do aptekarza po suszone wonności. I koniecznie rozpył olejek różany albo lawendowy, cokolwiek, byle zabiło ten smród. Jest dla mnie nie do zniesienia. Najgorsze ze wszystkiego to właśnie ten odór. Nie jestem w stanie przy nim spać. Musisz mi pomóc, Anno. Inaczej tego nie wytrzymam...

Moja siostra potakuje skinieniem.

- Jego noga? - pyta domyślnie.

- Noga i wiatry - odpowiadam. - Łoże całe przesiąkło wonią śmierci i mierzwy.

Spogląda na mnie zdziwiona.

- Śmierci?...

- To zapach rozkładającego się ciała - wyjaśniam. - Zepsucia. Zarazy. Śni mi się śmierć.

- No tak, królowa tutaj umarła.

Wykrzykuję wstrząśnięta, po czym wspomniawszy towarzyszące nam dworki, prędko się rozkasłuję dla zmylenia. Któraś podbiega z kielichem piwa, abym się nie zakrztusiła na dobre. Milczę, dopóki niewiasta się nie oddali, po czym zwracam się ponownie do siostry.

- Która królowa? - dopytuję, mając przed oczyma młodziczkę Katarzynę Howard. - Czemu nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Królowa Joanna, oczywiście.

Zdawałam sobie sprawę, że Seymourówna zmarła w połogu, wydawszy na świat następcę tronu, ale nie miałam pojęcia, że doszło do tego w tych komnatach, w moich komnatach.

- Ale chyba nie tutaj, w tej komnacie sypialnej?

- Ależ tak - mówi bez ogródek Anna. - Właśnie tutaj. - Mimo że musi widzieć moją wstrząśniętą minę, dodaje: - W tym łóżku.

Kurczę się cała i mocniej zaciskam palce na paciorkach różańca.

- W tym łóżku? W moim łóżku? Tym samym, w którym zległam minionej nocy?

- Tak, Katarzyno. Ale nie masz powodu się obawiać. To było ponad pięć lat temu.

Zaczynam się trząść i choć chwile mijają, nie mogę przestać.

- Anno, ja nie dam rady... Nie mogę spać w łóżu, w którym spała jego nieżyjąca żona...

- Nieżyjące żony - poprawia mnie siostra. - Katarzyna Howard też tu spała. To było i jej łóżko.

Tym razem powstrzymuję się przed okrzykiem przerażenia.

- Nie zniosę tego! - mówię tylko.

Anna ujmuje mnie za drżące dłonie.

– Uspokój się. Wypełniasz wolę bożą. Pan Bóg powołał cię do tego zadania. Musisz dać radę, dasz radę, zobaczysz. Będę cię wspierać. Najwyższy cię wspiera...

– Nie mogę spać w łóżu po nieżyjącej królowej. Nie mogę dosiadać jej męża.

– Nie masz wyjścia. W razie potrzeby zwróc się do Stwórcy. Ja modłę się do Niego, modłę się każdego dnia: „Panie Boże, wspomóż i poprowadź moją siostrę Katarzynę...”

Kiwam głową jak szalona.

– Amen, amen... Niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

Przychodzi pora, abym się wreszcie odziała na dzień. Odwracam się i pozwalam, aby niewiasty zdjęły z moich ramion nocny strój, obmyły mnie wonnymi olejkami i wytarły do sucha. Na koniec nasuwam na siebie cudnie wyszywane lniane gieżło. Potem stoję niczym manekin, kiedy zawiązują troczki pod szyją i na ramionach. Następnie panny dworskie przynoszą gorsety, spódnice, rękawy i kornety i prezentują mi je kolejno, abym dokonała wyboru. W pełnej szacunku ciszy decyduję się na suknię koloru ciemnej zieleni, z czarnymi rękawami i takim samym kornetem.

– Za skromnie – krytykuje Anna. – Żałobę masz już za sobą. Jesteś panną młodą, nie wdową. Powinnaś nosić stroje w radośniejszych barwach. Zamówimy ci parę nowych sukien... – Wie doskonale, że mam słabość do eleganckich strojów. – I mnóstwo par butów – dodaje kusząco. – Przyślę do ciebie szewca. Odtąd już nigdy nie poskarżysz się na brak obuwia. – Na widok mojej miny wybucha śmiechem. – No dobrze, czeka cię sporo pracy. Musisz zorganizować swój dwór. Połowa Anglii tylko czeka, aby wysłać do ciebie do pałacu swoje córki. Mam już nawet przygotowaną listę nazwisk. Jeśli chcesz, możemy je przejrzeć po mszy.

W tym momencie odzywa się jedna z dwerek.

– Za pozwoleniem waszej królewskiej mości, chciałabym prosić o pewną przysługę.

– Rozważymy wszystkie prośby po nabożeństwie – zarządza moja siostra.

Wkładam suknię i czekam, aż panny dworskie zasznurowują na mnie gorset, poprawią spódnice i przytroczą rękawy, mozolnie przekładając tasiemki przez maleńkie dziurki.

– Zawezwę naszego brata Williama – mówię cicho do Anny. – Chcę jego obecności na dworze. Tak samo jak naszego stryja...

– Odkąd zostałaś królową, zyskałyśmy wielu nowych krewnych, o których wcześniej nawet nie słyszałyśmy. I to w całym królestwie. Wszyscy

nagle zapragnęli być rodziną królowej Anglii.

- Chyba nie muszę znaleźć im wszystkim miejsca w pałacu? - martwię się na głos.

- Potrzebni ci ludzie, którzy coś ci zawdzięczają - oświadcza Anna. - Wywyższanie najbliższych to rzecz naturalna. Przepuszczam też, że zechcesz posłać po córkę barona Latimera, a swoją pasierbicę?

- Lubię Małgorzatę - stwierdzam, czując nagły przypływ nadziei. - Naprawdę mogę ją zaprosić na dwór królewski? I Elżbietę, moją nową pasierbicę? I Lucy Somerset, narzeczoną mego pasierba? I moją powinowatą poprzez pierwsze małżeństwo, Elizabeth Tyrwhit? I...

Anna wpada mi w słowo.

- Oczywiście, że możesz zaprosić je wszystkie. Co do naszego stryja, to pomyślałam sobie, że mogłabyś mu wyznaczyć jakieś stanowisko na dworze, podobnie jak jego żonie Marii i naszej kuzynce Magdalenie.

- O, tak! - przyklaskuję temu pomysłowi. - Bardzo bym chciała mieć Magdalenę blisko siebie!

Anna się uśmiecha.

- Możesz się otaczać, kim tylko zechcesz. Możesz mieć, cokolwiek zechcesz. Powinnaś prosić o wszystko teraz, na początku małżeństwa, kiedy Henryk nie potrafi ci niczego odmówić. Pamiętaj, że potrzebni ci zaufani ludzie, którzy będą cię chronić w późniejsze, gorsze dni.

- Chronić? Przed czym? - pytam buńczucznie, nakładając na głowę kornet niewiele lżejszy od korony.

- Przed zakusami innych rodów - odpowiada szeptem moja siostra, układając mi kasztanowe włosy w siateczce ze złotej nici. - Przed zakusami tych, którzy cieszyli się względami za poprzedniej królowej i którym nie uśmiecha się ustąpić w cień za twojego panowania. Przed ludźmi takimi jak Howardowie i Seymourowie. Potrzebna ci też ochrona przed nowymi doradcami najjaśniejszego pana: Williamem Pagetem, Richardem Richem i Thomasem Wriothesleyem, którzy pojawili się znikąd i którym nie w smak myśl, że odtąd królowi będzie doradzać jego żona... - Anna kiwa dyskretnie głową w stronę wchodzącej właśnie do komnaty Katarzyny Brandon, która niesie szkatułkę z moimi klejnotami, i zniżając głos do jeszcze cichszego szeptu, dodaje: - I przed niewiastami jej pokroju. Przed żonami Henrykowych przyjaciół i przed wszystkimi ładniutkimi dworkami, tylko czekającymi, by dostąpić zaszczytu zostania nową faworytą.

- Och, przestań! - wykrzykuję. - Ledwo co się pobraliśmy!

Anna wzrusza ramionami.

- Henryk jest pazerny - rzuca zwięźle, jakby mowa była o sutej



wieczery, nie sprawach serca. – Zawsze mu mało. Wiecznie mu mało. Najbardziej zaś ze wszystkiego potrzebuje podziwu.

– Ależ ożenił się ze mną! – wołam. – Upierał się przy tym małżeństwie.

Anna patrzy na mnie wymownym wzrokiem. W końcu Henryk ożenił się też ze wszystkimi moimi poprzedniczkami. Co go jednak nie powstrzymało przed wyciągnięciem ręki po nowy nabytek.

W kaplicy, na drugiej kondygnacji, w łoży królewskiej, przyglądając się, jak ksiądz zabiera się do bożego dzieła, prokurując cud mszy i pokazując plecy wiernym, jakby nie byli nawet godni tego zobaczyć, błagam Stwórcę o pomoc dla mojego małżeństwa. Wspominam poprzednie królowe, które klęczały w tym samym miejscu, na klęczniku wyszywanym w królewski herb i róże, i też się tutaj modliły. Jedne coraz goręcej o narodziny nowego Tudora, drugie rozpamiętując przeszłe utracone życie, niektóre żałowały domu rodzinnego i bliskich, którzy kochali je takimi, jakie były, za to, że były, a nie za to, co mogły dać. Co najmniej jedna miała złamane serce jak ja, budząc się co rano i przepędzając z myśli mężczyznę, którego umiłowała. Nieomal je wszystkie czuję, jak się tłoczą wokół mnie, podczas gdy chowam twarz w dłoniach. Nieomal wyczuwam ich strach dolatujący z pulpitu na Biblię. Wyobrażam sobie, że gdybym polizała wypolerowane drewno, poczułabym na języku sól ich łez.

– Coś niewesołaś – zauważa król, spotkawszy mnie na galerii przed kaplicą. Jemu towarzyszą jego dworzanie: brat królowej Joanny, wuj królowej Anny, kuzyn królowej Katarzyny; mnie moje dworki. – Masz zły humor w rano po nocy poślubnej?

– Skądże – zaprzeczam prędko, obdarzając go szerokim uśmiechem. – Przeciwnie, bardzo dobry. A ty, najjaśniejszy panie?

– Możesz do mnie mówić „mężu” – rzecze i ujmuje moją dłoń, by zgnieść ją w uścisku między watowanym dubletem a mięsistym ramieniem. – Chodź ze mną do mojej komnaty prywatnej – dodaje poufnym tonem. – Muszę z tobą porozmawiać sam na sam.

Puszcza mnie, ażeby wesprzeć się na paziu i odkustykać. Idę za nim przez długą komnatę audiencyjną, w której tłoczą się setki ludzi odprowadzających nas wzrokiem, następnie zaś przez komnatę gościnną, gdzie kolejne dziesiątki czekają z petycjami i prośbami, i wreszcie wkraczam do komnaty prywatnej, do której prawo wstępu mają wyłącznie członkowie dworu królewskiego. Przy każdej kolejnej parze drzwi coraz więcej osób zostaje za nami, aż w końcu jesteśmy już tylko we dwoje, nie licząc Anthony’ego Denny’ego,

kilku sekretarzy, dwójki paziów, trefnia Sompersa i paru moich dworak. W pałacu coś takiego uchodzi za „sam na sam”.

Dworzanie usadzają Henryka na krzesła, które trzeszczy pod jego ciężarem, umieszczają podnózek pod jego chorą nogą, po czym jeszcze okrywają ją draperią. Mój mąż przywołuje mnie gestem, odprawiając równocześnie resztę zebranych. Denny oddala się na skraj komnaty, gdzie udaje, że jest pogrążony w rozmowie ze swoją żoną, a moją damą dworu, Joan. Jestem jednak pewna, że oboje nadstawiają uszu, aby wychwycić każde nasze słowo.

– Zatem jesteś dziś wesoła? – upewnia się król. – Obserwowałem cię w kaplicy i odniosłem wrażenie, że się smucisz. Bo widzę cię przez kratownicę mojej łoży, wiesz. Mogę cię mieć na oku przez cały czas. Ani przez chwilę nie wątp, że nie schodzisz z moich myśli. Byłaś dziś bardzo poważna.

– Modliłam się, mężu.

– To dobrze – pochwała. – Podoba mi się, że jesteś bogobojna, ale pragnę też, abyś była szczęśliwa. Królowa Anglii powinna być najszczęśliwszą niewiastą w całym chrześcijaństwie, a także najbardziej błogosławioną. Musisz pokazywać światu wesołą twarz, Katarzyno.

– Jestem wesoła i szczęśliwa, mężu – zapewniam go. – Naprawdę.

– Powinno być to widać – rzuca w odpowiedzi.

Obdarzam go więc najbardziej olśniewającym z moich uśmiechów.

Kiwa głową z zadowoleniem.

– Odtąd masz zadanie do wykonania – przypomina. – Musisz postępować zgodnie z moimi rozkazami. Jestem twoim mężem, a ty przysięgałaś mi posłuszeństwo.

Pobłażliwy ton świadczy o tym, że żartuje.

Zerkając na jego twarz, mówię:

– Dołożę wszelkich starań, aby być dobrą żoną.

Śmieje się na to cicho.

– Oto moje rozkazy na dziś: wezwij krawców i szwaczki, żeby pokazali ci wspaniałe tkaniny, i zamów u nich całe mnóstwo sukien. Pragnę cię widzieć w strojach godnych królowej, a nie wdowich łaszkach po baronie Latimerze.

Wydaję z siebie sapnięcie i składam dłonie.

– Słyszałem, że lubisz ptaki – podejmuje Henryk. – Te o barwnych piórkach i słodkich głosach.

– To prawda – potwierdzam. – Nigdy jednak na żadnego nie było mnie stać.

– Cóż, teraz możesz sobie pozwolić na wszystko – rzecze król. – Rozkażę

kapitanom statków wyruszających w morze, aby łapali dla ciebie ptaszki. – Uśmiecha się do mnie. – Taki będzie nowy morski podatek: ptaki dla królowej. – Odwraca się i pstryka palcami, na co Anthony Denny postępuje naprzód i kładzie na stole ciężki mieszek i niewielkie puzdro. Henryk pokazuje w pierw puzderko. – Otwórz je.

W środku spoczywa najwspanialszy rubin, jaki w życiu widziałam: stożkowy, osadzony w prostej złotej oprawie w postaci obrączki. Kółko jest za duże na mój palec, ale Henryk nakłada mi je na kciuk i z podziwem przygląda się krwawym rozbłyskom.

– Podoba ci się?

– Niebywale.

– To oczywiście tylko jeden z nich, resztę posłałem już do twoich komnat.

– Resztę?...

Rozbraja go moja naiwność.

– Resztę klejnotów, moja droga. W końcu jesteś królową. Należy ci się cały skarbiec. Żebyś mogła w nich przebierać i co dzień nosić coś innego.

Nie muszę nawet udawać radości.

– Uwielbiam świecidełka.

– Są tylko hołdem złożonym twej urodzie – rzecz szarmancko. – Chciałem cię obrzucić kosztownościami, ledwie na ciebie spojrziałem.

– Dziękuję, mężu. Ogromnie dziękuję.

Henryk śmieje się pod nosem.

– Będzie mi się podobało obdarowywanie cię różnościami. Kiedy się rumienisz, przypominasz mi różyczkę. Ten mieszek ze złotem także jest dla ciebie. Wyдай go, na cokolwiek zechcesz, a gdy ujrzysz dno, przyjdź po następny. Oczywiście już wkrótce będziesz otrzymywać przychody z własnych majątków i ziem. Twój szambelan pokaże ci spis twoich majątkości. Nie będziesz musiała niczym z nikim się dzielić. Zostaniesz samoistną bogaczką. Nadaję ci wszystkie majątki królowej małżonki, jak również zamek Baynarda w Londynie. Możesz nimi rozporządzać wedle własnej woli. A to wszystko to dopiero początek.

– Podobałyby mi się taki początek – zauważa Will Somers. – Osobiście bowiem czuję się bliższy końca...

Obecni mężczyźni wybuchają śmiechem, podczas gdy ja dyskretnie ważę mieszek w dłoni. Jeśli w środku znajdują się złote noble – a podejrzewam, że tak jest – właśnie weszłam w posiadanie ładnej sumki.

Henryk przenosi spojrzenie na pazia.

– Podaj mi spis! – rzuca.

Młodzik kłania się i wręcza monarsze zapisany zwój.

- To lista osób, które pragną ci służyć - informuje mnie mąż. - Zrobiłem znaczek przy nazwiskach tych, których radzę ci przyjąć. Możesz jednak swobodnie dysponować resztą dworskich stanowisk. Chcę, abyś zaznała szczęścia w apartamentach królowej i otaczała się miłymi towarzyszkami.

Przywilejem każdej królowej jest dobór własnych dam dworu. Dworki towarzyszą jej dzień i noc. To rozumiały, że powinny wywodzić się z grona przyjaciółek i krewnych. Narzucanie ich składu przez króla byłoby nadużyciem.

- Spodziewam się, że zaakceptuję wszystkie twoje decyzje. Jestem pewien, że twój wybór nie padnie na nikogo, kogo bym nie aprobował. Masz wyśmienity gust, bez wątpienia doberzesz sobie towarzystwo, które będzie ozdobą zarówno twójego, jak i mojego dworu.

Skłaniam głowę.

- Powinny być urodziwe - zaznacza mój mąż. - Dopilnuj tego. Nie chcę widzieć w pałacu nikogo, na kogo przykro patrzeć.

Pomijam milczeniem fakt, że życzy sobie widzieć koło mnie niewiasty miłe dla jego oka, a on odwzajemnia się uściskiem dłoni.

- Dobrze nam razem będzie, Katarzyno. Dzisiejszego popołudnia wybierzemy się na polowanie. Spędzisz je ze mną.

- Z miłą chęcią - odpowiadam.

W głębi ducha marzy mi się własny wierzchowiec i swobodny udział w polowaniu. Łaknę poczucia wolności, pędu śladem ogarów, które gnają przed siebie prowadzone przez czułe powonienie. Chcę poczuć wiatr we włosach i oddalić się od tego pałacu, wiem jednak, że to niemożliwe. W praktyce wyląduję w królewskiej łoży, skąd będę się przyglądać naganianym jeleniom, które Henryk upoluje na siedząco naciągniętym przez innych łukiem. Łowczy spłoszą i zagonią zwierzynę prosto na nas. Paż osadzi bełt na cięciwie i naciągnie łuk. Henryk jedynie wymierzy i wystrzeli. Udało mu się przemienić polowanie, które kojarzy się z przypadkiem i ryzykiem, polami i lasami, w zwykłą rzeź niczym na podwórzu gospodarstwa. Królewskie łowy, które niegdyś były pokazem pełnym wrażeń, stały się jatką, w której ofiary są naganiane i mordowane z bliska. Tylko na tyle jednak teraz go stać. Mężczyzna, którego zapamiętałam jako centaura, jako myśliwego, mężczyzna, który potrafił spienić trzy wierzchowce z rzędu jednego dnia, przeistoczył się w zabójcę, rozpartego na krześle, pokonanego przez wiek i choroby, potrzebującego pomocnej dłoni przy naciąganiu łuku.

- Z wielką radością będę ci towarzyszyć - kłamię.

- Nauczysz się strzelać - obiecuje mi. - Dostaniesz własny łuk. Powinnaś brać żywy udział w polowaniu. Powinnaś poczuć przyjemność z zabijania.

Stara się być dla mnie miły, wiem to.

- Dziękuję, mężu - odpowiadam.

Skinieniem głowy daje mi do zrozumienia, że mogę odejść. Wstaję na nogi, ale waham się z odejściem, gdy nadstawia ku górze owalną twarz niczym księżyc w pełni. Przypomina dziecko dopominające się całusa. Kładę rękę na jego potężnym ramieniu i pochylam się. Choć oddech ma śmierzdzący - czuję się tak, jakby prosto w nos dyszał mi stary ogar - nie wzdrygam się. Całuję go w usta, odszukuję spojrzeniem jego oczy i uśmiecham się do niego.

- Najdroższa... - odzywa się cichym głosem. - Najukochańsza moja... Będziesz moją ostatnią i najukochańszą żoną.

Czuję się tak wzruszona, że pochylam się jeszcze raz i przykładam policzek do jego twarzy.

- Idź kupić sobie śliczne rzeczy - zachęca. - Chcę, byś wyglądała na ukochaną żonę i najwspanialszą królową, jaką miała Anglia.

Opuszczam jego komnatę prywatną nieco oszołomiona. Bycie ukochaną żoną to dla mnie nowina. Dla drugiego męża, Johna Neville'a, byłam raczej partnerką w interesach i pomocnicą, kimś, kto pod jego nieobecność doglądał jego majątku i zajmował się jego dziećmi. Nauczył mnie potrzebnych rzeczy i cieszył się, że ma mnie u swego boku. Nigdy jednak mnie nie rozpieszczał ani nie obdarowywał niczym, ani nie zastanawiał się, jak wypadnę w oczach innych. Odjechał w swoją dal, pozostawiając mnie oko w oko ze straszliwym niebezpieczeństwem, oczekując ode mnie, że zachowam się jak dowódca zamku w Snape, pewien, że poradzę sobie w tej roli i powiodę ludzi do boju. Byłam jego zastępczynią, nie jego miłością. Tymczasem teraz wysłał za człowieka, który zwie mnie swoją ukochaną i planuje, jak sprawić mi przyjemność.

Anna czeka po drugiej stronie drzwi.

- Chodźmy - ponaglami ją. - W moich komnatach jest coś, co chętnie zobaczysz.

W mojej komnacie gościnnej roi się od ludzi, którzy przyszli gratulować mi z okazji ślubu i prosić o przysługę, miejsce w pałacu, audiencję albo zapomogę. Mijam ich wszystkich, rozdając na lewo i prawo uśmiechy, nie zatrzymując się jednak. Oddam się obowiązkom królowej nieco później - na razie chcę się nacieszyć prezentami od męża.

- Ojej - wzdycha Anna, ledwie gwardziści otwierają drzwi do mojej komnaty prywatnej, gdzie dworki zrywają się na nogi na mój widok i gestem raczej bezradności wskazują porozstawiane tam i sam skrzynie, które

przynieśli słudzy Henryka, zostawiając je z kluczami w zamkach.

Zachłanność, która mnie ogarnia, z pewnością jest grzechem. Śmieję się sama do siebie.

– Cofnąć się! – wołam żartobliwie. – Cofnąć się, bo zamierzam zanurkować w skarbach!

Anna przekręca klucz w zamku pierwszej skrzyni, po czym obie unosimy ciężkie wieko. Wewnątrz kryje się złota zastawa i kielichy godne stanąć na stole królowej. Skinieniem głowy przywołuję dwie panny dworskie, które dziarsko zabierają się do wyjmowania kolejnych talerzy, przechylając je przy tym w dłoniach tak, aby łąpały światło i rzucały odblaski w całym pomieszczeniu, szybujące niczym szalone aniołki.

– Więcej naraz! – zachęcam.

Moment później każda dworka trzyma w rękach talerz, wyginając się, tak ażeby świecić sobie wzajemnie w oczy i posyłać świetlne zajączki w każdy kąt komnaty. Wybucham perlistym śmiechem, przyłączając się do zabawy. Wkrótce komnata gościnna tonie w lśniących odblaskach, a my wirujemy, trzymając złoto w dłoniach, złoto, które spowija całe wnętrze.

– Dalej! – rozkazuję bez tchu.

Anna otwiera następną skrzynię. Jej środek skrywa naszyjniki i pasy. Moja siostra wydobywa na wierzch sznury pereł, wyszywane pasy wysadzone szafirami, rubinami, szmaragdami, diamentami i innymi kamieniami, których nawet nie potrafię nazwać, a wszystko to oprawione w srebro i złoto i również rzucające cudne odblaski. Anna rozwiesza kolejno złote łańcuchy na oparciach krzesel, układa srebrne i diamentowe naszyjniki na kolanach dworek, gdzie odcinają się olśniewająco od ciemnych aksamitnych tkanin. Skrzynia zawiera też opale, połyskujące mlecznie na zielonkawo i brzoskwiniowo, grudy pomarańczowobrazowego bursztynu, a także nieoszlifowane klejnoty przypominające kamyki, które skrywają świetlisty blask wewnątrz siebie, póki nie dotknie ich ręka złotnika.

Kolejna skrzynia, którą otwiera Anna, wypełniona jest tubami z delikatnych skór. Wyciągamy z nich ciężkie pierścienie i pojedyncze kamienie szlachetne zawieszane na łańcuchach. Moja siostra bez słowa kładzie przede mną słynny łańcuszek z plecionego złota, który należał jeszcze do Katarzyny Aragońskiej. Jedna z sakiewek skrywa rubiny Boleynówny. Któraś szkatułka zawiera klejnoty infantki, u mych stóp wyrasta posąg Anny Kliwijskiej. Skarby, którymi Henryk obdarował Katarzynę Howard, znajdują się w osobnej skrzyni, niedotykane od czasu, gdy kazał z niej zedrzeć wszystko w oczekiwaniu na chłód katowskiego topora na białej szyi.

– Spójrz na te kolczyki! – wykrzykuje jedna z dworek, ale ja nie patrzę,

tylko obracam się i podchodzę do okna, by wyrzeć na schludne ogrody i srebrną wstęgę rzeki za drzewami. Znienacka czuję mdłości.

- To klejnoty nieżyjących niewiast - mówię niepewnie, gdy Anna wyrasta u mojego boku. - To ulubione klejnoty poprzednich królowych. Te naszyjniki oplatały szyje moich poprzedniczek, niektóre należały kolejno do wszystkich pięciu... Perły grzały się w ciepłe ich żywych wciąż ciał, srebro śniedziało od ich zastarzałego potu.

Anna również pobladła. Własnymi rękoma odkładała szmaragdy Katarzyny Howard w dniu jej aresztowania i przekręcała klucz w szkatule. Zapinała szafiry na szyi Joanny Seymour w dniu jej ślubu. Wręczała Katarzynie Aragońskiej jej kolczyki, które teraz leżą tutaj, w mojej komnacie prywatnej.

- Zostałaś królową, należą ci się więc królewskie klejnoty - rozsądza, aczkolwiek głos jej wyraźnie drży. - To zrozumiałe. Tak musi być.

Wtem rozlega się pukanie do drzwi. Gwardziści pociągają skrzydła i otwierają je na oścież, wpuszczając do środka Williama Herberta. Mąż Anny uśmiecha się, widząc nas wokół skrzyń z kosztownościami. W jego oczach musimy przypominać dzieci przyłapano w kuchni wokół stołu z pasztecikami, wystawionymi na ich żer.

- Jego królewska mość posyła i to - mówi. - Zapodziało się gdzieś wcześniej. Mam to nałożyć na umiłowaną przez jego królewską mość głowę.

Podnosząc się na nogi i zmiierzając w stronę swaka, widzę, że nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy. Spogląda na okno za moimi plecami, na niebo upstrzone obłokami - byle nie patrzeć na skarby rozrzucone u mych stóp, gdy nad nimi przestępuję, omijając starannie kornety Katarzyny Aragońskiej i błyszczące sobole Katarzyny Howard. W dłoni trzyma niewielkie, acz masywne puzdro.

- Co to takiego? - pytam go. Myśląc równocześnie w duchu: „Nie chcę tego”.

W odpowiedzi kłania mi się i podnosi wieko. Mosiężne zawiasy ustępują bez jednego zgrzytu, wieko uchyla się, odstawiając małą paskudną koronę. Dworki stojące za mną wypuszczają chóralnie powietrze z płuc. Kątem oka widzę, że Anna wykonuje ruch, jakby chciała zapobiec temu, co się zaraz wydarzy.

William odstawia puzdro i wyjmuje z niego misternej roboty koronę wysadzaną perłami i szafirami. Wieńczy ją, jakby to była kopuła świątyni, prosty złoty krzyż.

- Jego królewska mość życzy sobie, abys ją przymierzyła.

Postłusznie skłaniam głowę, aby Anna zdjęła mi kornet, po czym jej mąż wręcza jej koronę. Choć jest właściwego rozmiaru, ciąży mi na skroniach

niczym ból głowy.

- Jest nowa? - pytam cicho. Bardzo bym chciała, aby została zrobiona specjalnie dla mnie.

William potrząsa głową.

- Do kogo należała?

Anna czyni ręką taki gest, jakby chciała go powstrzymać przed wyjawieniem tej prawdy.

- To była korona Boleynówny - odpowiada na moje pytanie swak.

Momentalnie czuję na skroniach taki ucisk, jakbym się miała poddać pod ciężarem klejnotu.

- Chyba nie muszę jej nosić dzisiaj?...

- Jego królewska mość powie ci, kiedy masz ją włożyć. Głównie w dni świąteczne i przy okazji wizyt zagranicznych ambasadorów.

Potakuję skinieniem, czując skurcz szyi. Anna zdejmuje mi koronę z głowy i odkłada z powrotem do pudra. Zamyka wieko, jakby nie mogła na nią patrzeć. Korona Boleynówny? Z pewnością musi być przeklęta.

- Mam za to zabrać perły - obwieszca William z zażenowaniem. - Zostały przyniesione przez pomyłkę.

- Perły? - zwraca się do męża Anna. - Które perły?

Spogląda na nią, w dalszym ciągu starannie omijając mnie wzrokiem.

- Perły Seymourówny - odpowiada, nie podnosząc głosu. - Mają nie opuszczać skarbcza.

Anna schyla się i zaczyna zbierać sznury mlecznych pereł, by umieścić je na powrót w podłużnej szkatule, gdzie spoczywając, przypominają przyczajonego węża. W końcu podaje szkatułę Williamowi i dla zatuszowania niezręcznej sytuacji zwraca się do mnie z uśmiechem:

- Nie trzeba nam więcej pereł. Mamy ich dość, prawda?

Odprowadzam Williama do drzwi.

- Dlaczego chce je z powrotem? - pytam szeptem.

- Ku pamięci Joanny - odpowiada również ściszym głosem. - Dała mu syna. Pragnie je zatrzymać dla przyszłej małżonki księcia. Nie chce, aby ktokolwiek inny je nosił.

- Oczywiście, oczywiście - mówię prędko. - Przekaż jego królewskiej mości, jak bardzo się cieszę z całej reszty. Wiem, że perły królowej Joanny zasługują na szczególne traktowanie.

- Król Henryk jest w kaplicy - rzuca jeszcze mój swak. - Właśnie jest odprowadzana msza za jej duszę.

Uważam, by nie zmienić wyrazu twarzy. Miną wyrażam współczucie i zainteresowanie. Najjaśniejszy pan przekreślił możliwość, by modlitwa



skracając okres oczekiwania duszy przed wejściem do nieba, jeśli tylko odprawi się za nią wystarczającą liczbę mszy i jeśli zapali się dość świec. Właśnie z tego powodu pozamykano kaplice. Zlikwidowano nawet tę, w której Henryk z początku modlił się za duszę Joanny. Nie miałam pojęcia, że król czepia się nadziei, której odmówił reszcie z nas: że modlitwą można wydobyć czyjąś duszę z czyśćca.

– Biskup Gardiner odprawia specjalną mszę za królową Joannę – wyjaśnia William. – Po łacinie.

To dość dziwne, żeby modlić się za nieżyjącą królową w pierwszy dzień miodowego miesiąca władcy.

– Świeć, Panie, nad jej duszą – mamroczę, wiedząc, że William wszystko przekaze swemu panu. – Zabierz perły królowej na bezpieczne przechowanie. Będę się za nią modlić.

Tak jak obiecał król, rozchodzi się wieść, że nowa królowa lubi piękne ptaki. Jedna z komnat w moich apartamentach zostaje ogołocena z mebli, po czym pojawiają się tam klatki i żerdki. W pobliżu okien stają małe woliery wypełnione ptakami śpiewającymi z Wysp Kanaryjskich. Ledwie słońce zajrzy przez grube szkło, istoty te zaczynają świergolić, czyścić piórka i trzepotać skrzydłami. Trzymam je pogrupowane kolorami: złote i żółte razem, zielone tuż obok, podczas gdy niebieskie mieszkają na tle nieba, które naśladuje ich kolor. Mam nadzieję, że dochowam się jednobarwnych. Co rano po mszy zachodzę do mojej ptaszarni i karmię wszystkich jej mieszkańców z ręki, uwielbiając czuć ich drobne pazurki na skórze, gdy przysiadają mi na nadgarstku, aby pożywić się nasionami.

Pewnego dnia ku mojej uciechy w pałacu zjawia się ogorzały marynarz ze srebrnym kółkiem w uchu i wytatuowaną twarzą, przez co przypomina raczej diabła niż człowieka, trzymając na pięści wielkie ptaszysko barwy indygo i kształtu zbliżonego do myszołowa. Sprzedaje mi je za niebotycznie wysoką cenę, dzięki czemu teraz mogę się mienić dumną właścicielką papugi o mądrych czarnych oczkach. Nazywam ptaka Don Pepe, jako że posługuje się wyłącznie językiem hiszpańskim, i to w najplugawszej jego odmianie. Wiem, że będę musiała nakryć klatkę draperią, kiedy przyjdzie w odwiedziny Eustachy Chapuys, aczkolwiek Anna przekonuje mnie, że w trakcie długich lat na dworze królewskim ambasador Hiszpanii nasłuchiwał się znacznie gorszych rzeczy i doprawdy trudno go zszokować.

Od Henryka dostaję nowego wierzchowca, cudną kasztankę, oraz szczeniaczka, rozkosznego spaniela o lśniącej płowej sierści. Chodzę z nim

wszędzie – nawet w kaplicy, podczas porannej mszy, przesiaduje u moich stóp. Nigdy wcześniej nie byłam w posiadaniu psa, który by niczemu nie służył. Dotąd mieszałam tylko ogary mieszkające po stajniach na zamku w Snape i wykorzystywane w trakcie polowań oraz owczarki, które uganiały się po pastwisku w tę i we w tę.

– Straszny próżniak z ciebie – mówię mu. – Jak ty z sobą wytrzymujesz, wiedząc, że służysz tylko do ozdoby?

– Jest przesłodka – zgadza się ze mną Anna.

– Purkoy był uroczy – odzywa się Katarzyna Brandon.

– Purkoy?

– Pies Boleynówny – wyjaśnia Anna, posyłając Katarzynie Brandon chmurne spojrzenie. – W niczym nie przypominał twój.

– Czy naprawdę nie mogłabym dostać niczego nowego? – pytam poirytowana. – Czy nie mogę zrobić czegoś, czego któraś z nich nie zrobiła przede mną?

Katarzyna Brandon wydaje się zawstydzona.

– Zegary. – Anna podpowiada z uśmiechem. – Jesteś pierwszą królową, która ma bzik na punkcie zegarów. Wszyscy złotnicy i zegarmistrze w Londynie są tym faktem zachwyceni.

Dwór szykuje się do letniego objazdu królestwa, jak co roku. Nie wyobrażam sobie, jak możemy spakować wszystko i przemieszczać się z miejsca na miejsce, czasem po tygodniu, czasem zaledwie po kilku dniach, zmuszając służących do mozolnego rozpakowywania mebli, tapiserii i zastawy, aby uczynić namiastkę pałacu z siedziby kolejnego wielmoży. Skąd mam wiedzieć, jakie stroje zabrać? Skąd mam wiedzieć, które klejnoty zabrać? Nie mam nawet pojęcia, czy starczy nam pościeli...

– Nie musisz się niczym kłopotać – zapewnia mnie Anna. – W ogóle niczym. Służący przynosili dwór królowej więcej niż jeden raz, setki razy. Musisz tylko dotrzymać towarzystwa najjaśniejszemu panu, wyglądając na szczęśliwą.

– Ale pościel! – wykrzykuję. – Ale stroje!

– Wszyscy wiedzą, co mają robić – obstaje przy swoim Anna. – Ty powinnaś tylko jechać tam, gdzie ci się powie.

– A ptaki?

– Zatoszczą się o nie sokolnicy. Twoi ulubieńcy pojedą na specjalnych wozach za jastrzębiami i sokołami.

– Co będzie z moimi klejnotami?

- Ja się nimi zajmę - obiecuje. - Robię to od lat, Katarzyno, naprawdę. Twoja głowa w tym, aby prezentować się ślicznie i być na skinienie miłościwego pana.

- A jeśli nie będę mu do niczego potrzebna?

- Wtedy pojedziesz w towarzystwie swoich dworek i koniuszego.

- Nie mam jeszcze koniuszego, nie wyznaczyłam osób na wszystkie stanowiska...

- Będziemy to robić w trakcie objazdu. Przecież chętnych nie brakuje! Będziemy mieć przy sobie wszystkich sekretarzy i większość dworzan. Rada królewska zbiera się, gdziekolwiek akurat jest król. My bynajmniej nie opuszczamy dworu, zabieramy go ze sobą!

- Dokąd się udajemy?

- W pierwszej kolejności do Oatlands - oznajmia z zadowoleniem. - Jest tam jeden z piękniejszych pałaców, tuż nad rzeką, nowo wzniesiony. Spodoba ci się w nim, zobaczysz! W tamtejszych sypialniach nie straszy...

# PAŁAC W OATLANDS, HRABSTWO SURREY LATO 1543 ROKU



Anna oczywiście ma rację: dwór pakuje się i rozpakowuje sprawnie dzięki wieloletniemu doświadczeniu, a ja czuję się wyśmienicie w pałacu w Oatlands. Wznosi się on nieopodal Weybridge nad samą rzeką i powstał jako miejsce miesiąca miodowego dla Anny Kliwijskiej, w związku z czym moja siostra raczej niesłusznie twierdziła, że nie ma w nim duchów. Smutek i rozczarowanie tej mojej poprzedniczki wyzierają z każdego zakamarka. Ponieważ dworka Anny Kliwijskiej, Katarzyna Howard, tryumfalnie poślubiła Henryka w miejscowej kaplicy, przed oczyma stają mi obrazy, jak mój mąż, dysząc i kulejąc, ugania się za nią po tutejszych pięknych ogrodach, póki jej nie dopadnie.

Pałac zbudowano z kamienia rozszabrowanego po zamknięciu opactwa w Chertsey, demontując blok po bloku piaskowiec, ustawiany niegdyś na wieki wieków amen ku większej chwale Stwórcy. Wyobrażam sobie, że zaprawa murarska jest rozrobiona z łzami wiernych, aczkolwiek obecnie nikt tego tak nie wspomina. Teraz jest to przestronny, słoneczny pałac w bezpośredniej bliskości rzeki, zaprojektowany na wzór zamku z czterema

wieżyczkami w rogach i ogromnym dziedzińcem w środku. Moje apartamenty mają okna na południe, są jasne i pełne słońca. Sąsiadują z komnatami Henryka przez ścianę – mój mąż ostrzega mnie nawet, że w każdej chwili może zajrzeć, aby zobaczyć, co robię.

Podczas pobytu tutaj Anna i ja całymi dniami ślęczyłyśmy nad spisem nazwisk, które przyporządkowujemy do stanowisk dworskich zgodnie z wytycznymi króla, nie zapominając o naszych przyjaciółach i krewnych, a gdy już im zapewnimy miejsce, sięgamy po tych, których karierze chcemy zwyczajnie dopomóc. Przeglądam listę osób sporządzoną przez Annę i innych zwolenników reformy Kościoła. Włączenie do grona moich dworzan zwiększy ich znaczenie w chwili, gdy tracą poparcie króla.

Henryk zlecił opublikowanie swojego katechizmu, w którym rozkazuje poddanym chodzić do spowiedzi i wierzyć w misterium mszy świętej. Wino przemienia się w krew, a chleb w ciało – tako rzecze najjaśniejszy pan, w związku z czym każdy musi tak myśleć. Henryk kazał również usunąć angielską Biblię z większości kościołów parafialnych, tak że teraz tylko majątni i uczeni mogą czytać Pismo Święte w ojczystym języku, a i to wyłącznie po domach. Ubodzy i niewykształceni mają do Słowa Bożego równie daleko, jakby pozostawali w Abisynii.

– Łaknę towarzystwa uczonych dam – odzywam się nieśmiało do siostry. – Zawsze czułam, że mam braki w wiedzy. Chcę szlifować swoją francuszczyznę i łacinę. Pragnę towarzyszek, które będą się uczyć razem ze mną.

– Z pewnością wolno ci wziąć sobie nauczyciela – stwierdza Anna. – Łatwo o nich jak o kanarki. Możesz też chyba wysłuchiwać co popołudnie kazania, tak jak czyniła to Katarzyna Aragońska. Nawet obecnie masz wokół siebie przedstawicieli różnych opinii. Katarzyna Brandon jest reformistką, podczas gdy księżniczka Maria w tajemnicy sprzyja chyba Rzymowi. Oczywiście nigdy nie zaprzeczy, jakoby jej ojciec był głową Kościoła w Anglii. – Moja siostra unosi palec ostrzegawczym gestem. – Wszyscy musimy bardzo uważać na to, co mówimy. Aczkolwiek odkąd najjaśniejszy pan zaczął przywracać zakazane rytuały i odbierać poddanym angielską Biblię, jego starsza córka może mieć nadzieję, że pójdzie w swych działaniach dalej i pogodzi się z papieżem.

– Muszę się w tym wszystkim rozeznac – mówię. – Mieszkając z dala od Londynu, nie miałam dostępu do ksiąg ani nowin. Poza tym mój mąż, baron Latimer, pozostał w głębi ducha katolikiem.

– Nie on jeden – przestrzega mnie Anna. – Rzymowi sprzyja zastraszająca liczba osób, które stopniowo odzyskują wpływy. Trzeba nam się im

przeciwstawić i odnieść zwycięstwo w tym sporze. Angielska Biblia znów musi trafić do kościołów. Nie możemy pozwolić, aby biskupi odebrali Słowo Boże ludowi. Coś takiego groziłoby ciemnotą wśród narodu. Będziesz jednak musiała pobierać nauki rozważnie. Nie chcemy przecież, żeby Stephen Gardiner zaczął wtykać nos w twoje komnaty, jak czyni to już wszędzie indziej.

Henryk nawiedza mnie prawie co noc, lecz często pragnie jedynie rozmowy. Bywa, że dzielimy tylko kielich wina, zanim uda się na spoczynek w swojej komnacie sypialnej. Przysiadamy razem niczym długoletnie, kochające się małżeństwo – on w cudnie wyszywanej nocnej szacie opinającej mu potężną pierś i brzuch, z chorą nogą wspartą na podnóżku, ja w czarnej satynie i ze splecionym warkoczem.

Towarzyszy mu jego medyk, który ordynuje lekarstwa na noc. Jedne uśmierzają ból w nodze, drugie zapobiegają bólowi za oczyma, jeszcze inne walczą z zaparciami czy też rozrzedzają królewski mocz, który jest niebezpiecznie gęsty i ciemny. Mój mąż informuje mnie z łobuzerskim uśmiechem, że medyk wymyślił też coś na wzmożenie potencji.

– Może uda mi się począć syna – rzecze. – Co byś powiedziała na małego księcia Yorku do pary z księciem Walii?

– Skoro tak, może i ja się uraczę tym specyfikiem? – odzywa się niepytany Will Somers, któremu jako błaznowi wolno więcej niż innym. – Nie zaszkodziłoby mi więcej wigoru. Mógłbym być bykiem, a nie barankiem.

– Brykasz i fikasz? – pyta Henryk, przyjmując od medyka wywar.

– Hazarduję się. Znaczy uprawiam hazard – puentuje dowcip Will, doprowadzając tym króla do śmiechu. Gdy Henryk parska, wali go w plecy poufnym gestem. – Tylko się nie udław, dziadku. Bo co ci wtedy przyjdzie z wigoru?

Uśmiecham się, nic nie mówiąc, podczas gdy medyk sumiennie odmierza dawki leków. Jednakże kiedy zostajemy sami, odzywam się łagodnie:

– Mężu, chyba nie zapomniłeś, że jak do tej pory nie dochowałam się dziecka z ani jednego małżeństwa?

– Żaden z mężów cię nie uszczęśliwił, czyż nie? – odpowiada pytaniem na pytanie Henryk.

Śmieję się z zażenowaniem.

– Cóż, to prawda... Wychodziłam za mąż, bo tak mi kazano.

– Twój pierwszy małżonek był nieledwie dzieckiem, bał się własnego cienia i nie wiedział, co to męskość. Drugi zaś wkroczył już w wiek starczy i pewnie dawno zapomniał o uciechach ciała – stwierdza niesłusznie, acz z wielką pewnością siebie król. – Jak niby miałaś począć z którymś dziecko?

Poświęciłem sporo uwagi tym sprawom, wiesz. Niewiasta musi zaznać przyjemności, aby zostać brzemienną. Musi osiągnąć szczyt, zupełnie jak mężczyzna. Tak to ułożył Pan Bóg. Zatem nareszcie, po raz pierwszy w swoim życiu, masz szansę zostać matką, droga żono. Gdyż ja potrafię doprowadzić niewiastę do łez szczęścia, potrafię sprawić, aby błagała o wiążęcej.

Milczę, mam bowiem w pamięci bezwiedny krzyk, który rodził mi się w gardle, ilekroć Tomasz zaczynał się we mnie poruszać, oddychając coraz szybciej i powodując moją narastającą przyjemność. Po wszystkich gardło mnie piekło, co znaczyło, że nawet o tym nie wiedząc, krzyczałam prosto w nagą pierś kochanka.

– Daję ci na to słowo – dodaje Henryk z powagą.

Przeganiem myśli z głowy i uśmiecham się do niego. Mam pewność, że nie zaznam przyjemności w łożu po nieżyjącej królowej. Zresztą jest raczej mało prawdopodobne, aby jego wiotkie starania istotnie uczyniły mnie brzemienną, a w razie czego napar z ruty przeczyszczy mnie i zapobiegnie narodzinom potwora. Ponieważ jednak dwie żony zostały odpawione z tego powodu, że nie były w stanie dać królowi syna i następcy tronu, niemądrze z mojej strony byłoby nie wyrażać głośno nadziei na męskiego potomka. Abstrahując od wątpliwych przyjemności, które obiecuje mi Henryk.

Poza tym, co samą mnie dziwi, wcale nie chcę go zranić. Nie zamierzam mu powiedzieć wprost, że mnie nie pociąga – ani w tych chwilach, gdy się do mnie uśmiecha, ani wtedy, gdy przyrzeka mi ekstatyczne doznania. Jestem mu winna przynajmniej żoniną dobroć, żonine uczucie, żoniny szacunek.

Rozpierając się na wielkim krześle, przywołuje mnie bliżej gestem.

– Chodź i usiądź mi na kolanach, najdroższa.

Podchodzę z ochotą i ostrożnie przysiadam na jego zdrowym udzie. Obejmuje mnie ramionami, całuje we włosy, po czym bierze mnie pod brodę i zwraca mą twarz w swoją stronę, ażeby pocałować mnie prosto w usta.

– Podoba ci się bycie zamożną niewiastą? – pyta. – Całuję kogoś znacznego? Przypadły ci do gustu klejnoty ode mnie? Masz je tu wszystkie ze sobą?

– Są przepiękne – zapewniam. – Stroje i futra też sprawiają mi mnóstwo radości. Jesteś dla mnie bardzo dobry, mężu.

– Chcę być dla ciebie dobry – oznajmia. Odsuwa luźny kosmyk z mojej twarzy i zatyka go za ucho. Jego dotyk jest delikatny, acz pewny siebie. – Chcę widzieć cię szczęśliwą, Katarzyno. Ożeniłem się z tobą, aby dać ci szczęście. Nie tylko przez wzgląd na siebie. Nie skupiam się wyłącznie na sobie. Myślę o moich dzieciach, myślę o moim królestwie, myślę o mojej żonie.

– Dziękuję – odzywam się cicho.

- Czy pragniesz czegoś jeszcze? - pyta mnie. - Rozkazując mnie, rozkazujesz całej Anglii. Jeśli chcesz, możesz dostać soliród z klifów Dover, możesz skosztować ostryg z Whitstable. Zasługujesz na złoto i kule armatnie z Tower. Czego sobie życzysz? Możesz prosić o cokolwiek.

Waham się z odpowiedzią.

Henryk ujmuje mnie za dłoń.

- Nie musisz się mnie bać - rzecze łagodnie. - Domyślam się, że ludzie naopowiadali ci o mnie różnych rzeczy. Być może uważasz się za Trifinę, która poślubiła potwora.

Wzdrygam się, kiedy wspomina o moim koszmarze. On nie przestaje mi się przyglądać.

- Moja ukochana... Moja ostatnia miłości... Wiedz jedno. Cokolwiek ludzie mówią o moich małżeństwach, mija się z prawdą. Ja powiem ci prawdę. Tylko ja ją znam, choć nigdy o niej nie mówię. Tobie jednak opowiem. Będąc jeszcze młodym chłopcem, ożeniłem się z niewiastą, która nie miała prawa za mnie wyjść. Nie wiedziałem o tym, póki Bóg nie zesał na mnie licznych nieszczęść. Odbierał nam dziecię po dziecięciu. Hiszpankę niemalże to zabiło, mnie rozdarło serce. Musiałem pozwolić jej odejść, aby oszczędzić jej dalszych smutków. Musiałem ją uwolnić z małżeństwa, które było przeklęte. Nie było to dla mnie łatwe. Skoro jednak miałem się dochować następcy tronu, musiałem to uczynić. Odesłałem więc Katarzynę Aragońską, najwspanialszą hiszpańską księżniczkę, jaką nosiła ta ziemia. Złamało mi to serce. Niemniej nie miałem wyjścia.

Przerywa na moment, popada w krótkie zamyślenie.

- Potem, niech Bóg mi wybaczy, dałem się uwieść niewieście, której zależało wyłącznie na własnej ambicji. Była to trucicielka, czarownica i uwodzicielka. Powinienem być być mądrzejszy, ale wciąż byłem młody, spragniony miłości. Zrozumiałem swój błąd poniewczasie. Na szczęście zdążyłem ocalić swoje dzieci. Inaczej wszystkich nas by zabiła. Musiałem ją powstrzymać i na szczęście znalazłem w sobie dość odwagi. - Przełyka. - Joannę Seymour sam sobie wybrałem, ją jedną... W podziękę dała mi syna. Była niczym anioł, wiesz? Dlatego Pan Bóg postanowił ją zabrać do siebie. Nie mogę się skarżyć, bo zostawiła mi syna, a mądrość Stwórcy jest nieskończona. Kliwijka została mi narzucona przez złych doradców, wbrew mojej woli. Howardówna zaś... - urywa, przy czym jego nalana twarz marszczy się wydatnie. - Niech Bóg wybaczy Howardom to, że umieścili w moim łóżu zwykłą ładacnicę. Zwiedli mnie, ona zwiodła ich, bezecna, wszyscy daliśmy się omamić jej tanim wdziękiem. Katarzyno, klnę się, okażesz się najlepszą z moich żon, jeśli zdołasz sprawić, abym zapomniał o cierpieniu, którego mi



przysporzyła.

- Dołożę starań, mężu – zapewniam prędko. – Nie denerwuj się tylko...

- Złamano mi serce – podejmuje ze szczerością w głosie – więcej niż jeden raz. Zdradzono mnie więcej niż jeden raz. Ale zostałem pobłogosławiony uczuciem przyzwoitej niewiasty. – Unosi mą dłoń do swoich warg. – Dwakroć, śmiem twierdzić. Mam nadzieję, że będziesz moim drugim i ostatnim aniołem. Mam nadzieję, że będziesz mnie kochać, jak kochała mnie Joanna. Bo ja czuję, że cię kocham.

- Dołożę starań, mężu – powtarzam. Czuję się wzruszona jego słowami. – Dołożę wszelkich starań.

- Zatem możesz mi rozkazywać – oświadcza nagle. – Uczynię wszystko, o co poprosisz. Wystarczy, że wyrazisz prośbę na głos.

Biorę jego słowa za dobrą monetę. Chyba ośmielię się przemówić.

- Moje apartamenty... – zaczynam. – Nie pomyśl, proszę, że jestem niewdzięczna, wiem, że są najwspanialsze w całym pałacu i że Hampton Court...

Przerywa mi machnięciem dłoni.

- To najwspanialszy pałac w całej Europie, ale więcej do niego nie zajrzę, jeśli tobie się nie podoba. Każę go zburzyć, jeśli wyrazisz takie życzenie. Co masz przeciwko niemu? Mów, a zaraz polecę to zmienić.

Duchy w każdym kącie, inicjały nieżyjących niewiast wyryte w kamieniu, posadzki, którymi się przechadzały.

- Wonie – mówię. – Z kuchni na dole.

- No tak! – wykrzykuje. – Masz rację! Często się nad tym zastanawiałem. Oczywiście, że chodzi o kuchnię! Trzeba będzie je przebudować, naprawić. Cały pałac projektował jeszcze Wolsey. Ten człowiek potrafił o siebie zadbać, możesz mi wierzyć. Jego apartamentom niczego nie brakuje, nie pomyślał jednak o drugim skrzydle. Nigdy się nie przejmował innymi. Ja jednak się tobą przejmuję, moja droga. Z samego rana każę sprowadzić budowniczego, żeby rozrysował od nowa twoje apartamenty, tak abyś była z nich zadowolona.

Doprawdy – skarb, nie mąż. Nie znałam do tej pory nikogo, kto by jak on chwycił w lot i był skłonny do tego stopnia dbać o zadowolenie żony.

- Mężu, jesteś dla mnie bardzo dobry.

- Uwielbiam twój uśmiech – odpowiada. – Wiesz, że go wypatruję? Myślę, że mógłbym oddać wszystkie skarby Anglii za jeden twój uśmiech.

- Mężu...

- Będziesz moją żoną, moją partnerką, moją przyjaciółką i moją kochanką.

- Tak – potwierdzam. – Przyrzekam.

- Potrzebny mi przyjaciel - rzecze konfidencjonalnie. - Ostatnimi czasy najbardziej ze wszystkiego. Dwór przypomina arenę do walki psów. Jedni zwracają się przeciwko drugim, a każdy chciałby mojego poklasku, mojej uwagi. Nie jestem w stanie zaufać nikomu.

- Dworzanie wydają się mili...

Wpada mi w słowo.

- To wszystko kłamcy i obłudnicy. Jedni są za reformą, chętni wprowadzić w Anglii luteranizm. Drudzy popierają Rzym i są gotowi przywrócić papieża jako głowę Kościoła. A wszyscy myślą, że najlepszym sposobem na osiągnięcie swojego celu jest zwodzić mnie i mamici, przekabacając na swoją stronę krok po kroku. Wiedzą, że cała władza spoczywa w moich rękach. To ja decyduję o wszystkim, zatem aby dopiąć swego, muszą mnie najpierw przekonać.

- Szkoda by było zaprzepaścić zbożne dzieło reformy, które zapoczątkowałeś - mówię delikatnie.

- Jest gorzej niż kiedykolwiek. Już łypią w stronę Edwarda. Widzę, jak próbują obliczyć, ile jeszcze mogę żyć, i obmyślają, jak by tu zdobyć poparcie mojego syna przeciwko mnie. Gdybym odszedł na łono Pana w najbliższym czasie, zaczęły się żreć o Edwarda jak kundle o kość. Rozedrą go na strzępy. Nie widzą w nim swego pana, lecz tylko drogę do własnej wielkości. Muszę go przed nimi chronić.

- Ale przecież jesteś w dobrej kondycji - wtrącam. - Będziesz jeszcze żyć długie lata. Wystarczająco długo, aby Edward zdążył dorosnąć i zmęźnieć.

- Nie mam innego wyjścia. Jestem mu to winien. Memu synowi, memu jedynakowi. Jego matka dla niego umarła, ja muszę dla niego żyć.

Znowu ta Joanna. Kiwam współczująco głową, ale nic nie mówię.

- Będziesz go strzegła razem ze mną - decyduje król. - Będziesz mu drugą matką w miejsce rodzonej, którą utracił. Tobie, swojej żonie, mogę zaufać jak żadnemu z doradców. Tylko w tobie mam podporę i pomoc. W końcu jesteś moją drugą połówką, moim dopełnieniem. Razem stanowimy jedność. Będziesz stała na straży mej władzy i mego syna... nikt inny nie może tego zrobić. A jeśli wybiorę się na wojnę z Francją i powiodę armię do boju, ty zostaniesz w Anglii jako regentka i opiekunka księcia Edwarda.

To najwyższy zaszczyt, największy dowód zaufania i miłości, coś, na co nawet nie liczyłam. Nigdy się nie spodziewałam, że spotka mnie podobny honor. To lepsze od ptaków i klejnotów, lepsze od nowych apartamentów. To prawdziwa szansa na bycie królową. Na moment ogarnia mnie wielka ambicja, której śladem jednak pojawia się strach.

- Uczyniłbyś mnie swoją regentką?...

Dotychczas jedyną niewiastą w tej roli była Katarzyna Aragońska, infantka wychowana do władania królestwem. Gdyby ta sama odpowiedzialność spadła na mnie, byłabym najwyżej wyniesioną śmiertelniczką, nie licząc urodzonej królowej. Zarazem – jako regentka i opiekunka następcy tronu – mogłabym pokierować i poddanymi w odniesieniu do spraw religijnych. Zostałabym obrończynią wiary, całkiem jak Henryk przede mną, który nadał sam sobie takie właśnie miano. Byłabym wyrocznią dla ludu. Musiałabym zdobyć wiedzę, dzięki której prowadziłabym Kościół ku prawdzie. Na samą tę perspektywę brak mi tchu w piersi.

– Mężu mój, będę się starać z całych sił. Nie zawiodę cię. Nie zawiodę Anglii. Na razie brakuje mi wiedzy, brakuje mi zrozumienia, ale będę się uczyć, będę pilnie studiować...

– Wiem – przerywa mi. – Wiem, że będziesz mi oddaną żoną. Ufam ci. Wszyscy mówią, że jako żona barona Latimera byłaś mu podporą i pomocą, że troszczyłaś się o jego dzieci jak o swoje własne i że obroniłaś jego ziemie przed rebeliantami. Uczynisz to samo w moim wypadku. Nie bierzesz żadnych stron, nie zaliczasz się do żadnej faksji. – Uśmiecha się do mnie. – Zaiste, będziesz przydatna we wszystkim, co czynisz. Bardzo mnie poruszyło twoje motto, kiedy się o nim dowiedziałem. Chcę, byś była przydatną, i chcę, byś znajdowała przyjemność, moja droga. Pragnę, abyś była szczęśliwa... szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Ujmuje mnie za rękę, po czym składa pocałunek kolejno na każdej dłoni.

– Nauczysz się mnie kochać i pojmować – ciągnie. – Wiem, że jesteś gotowa wyznać mi miłość już teraz, ale to byłyby tylko puste słowa dla schlebienia staremu głupcowi. To nasze wczesne dni, miodowe dni, trzeba nam mówić o miłości, zdając sobie z tego sprawę. Jednakże z czasem poczujesz do mnie miłość w swoim sercu, nawet gdy będziesz sama, bez świadków. Jestem tego pewien. Masz czułe serduszko i bystry umysł, a moim pragnieniem jest, abyś jedno i drugie oddała na moją służbę. Ku dobru mojemu i całej Anglii. Będziesz mi towarzyszyć przy pracy i przy zabawie, w łożu i w wielkiej sali, w kaplicy i na polowaniu. Przekonasz się, jakim jestem człowiekiem, jakim jestem królem. Dojrzysz moją wielkość, moje wady i moje słabości. Zakochasz się we mnie. Mam nadzieję, że zakochasz się we mnie bez pamięci.

Śmieję się nerwowo, on jednak zdaje się całkowicie przekonany do swoich słów. Jest pewien, że nie można mu się oprzeć. W obliczu jego radosnej determinacji zaczynam myśleć, że być może ma rację. Być może poznam go lepiej i obdarzę uczuciem. Henryk potrafi być przekonujący. Pragnę mu uwierzyć. Wolą Boga było, abym go poślubiła – co do tego nie mam

najmniejszych wątpliwości. Może więc Pan Bóg sobie życzy, abym całą sobą pokochała męża, jak wypada żonie? Jakaż niewiasta nie obdarzy miłością mężczyzny, który ceduje na nią swoje królestwo? Który oddaje pod jej opiekę swoje dzieci? Który obsypuje ją kosztownościami? Który zapewnia o swym uczuciu w tylu słodkich słowach?

- Nigdy mnie nie okłamuj - przestrzega. - Niech panuje między nami czysta szczerość. Nie musisz jeszcze mówić, że mnie kochasz. Nie zależy mi na czcnych zapewnieniach, pustych słówkach. Wystarczy mi wiedzieć, że dbasz o mnie, że cieszysz się z małżeństwa ze mną i że zakładasz silniejsze uczucie w przyszłości. Bo wiem, że je do mnie poczujesz.

- Tak - potwierdzam.

Nie miałam pojęcia, że taki się okaże jako mąż. Nie śmiałam o tym marzyć. Nie trafił mi się jeszcze mąż, który by się mną przejmował. To doprawdy wyjątkowe uczucie: mieć oddanie takiego potężnego człowieka. Czymś niesamowitym jest obcować z jego niesłyszczą wola, czuć to skupienie na mojej osobie.

- Miłość przyjdzie z czasem, tak jak mówisz, najjaśniejszy panie.

- Miłość przyjdzie z czasem, Henryku - poprawia mnie.

Całuję go z własnej nieprzymuszonej woli.

- Miłość przyjdzie z czasem, Henryku - powtarzam posłusznie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam ogarnąć rozumem zmiany, które mój mąż zaprowadził w angielskim Kościele. Proszę zarówno Thomasa Cranmera, jak i Stephena Gardinera, aby polecili mi kaznodziejów, którzy przychodziliby do moich komnat i wyłuszczali swoje przekonania w obecności mojej i mych dworek. Zapoznawszy się z opinią obu stron - reformistów i tradycjonalistów - zdołam, mam nadzieję, pojąć, na czym polega rozłam w pałacu i w królestwie, jak również zrozumieć geniusz Henryka, który stawia ostrożnie kroki, nie chcąc nadepnąć na odcisk ani jednym, ani drugim.

Tak więc każdego popołudnia, podczas gdy my wyszywamy, jeden z księży celebrujących nabożeństwa w królewskiej kaplicy, względnie któryś z londyńskich kaznodziejów, pojawia się w naszych apartamentach, by czytać nam Biblię po angielsku i wygłaszać kazania dotyczące danego ustępu. Ku memu zdziwieniu to, co rozpoczęło się jako obowiązek, bardzo szybko staje się dla mnie przyjemnością. Okazuje się, że mam w sobie żytkę uczonego. Zawsze lubiłam czytać, a teraz po raz pierwszy w życiu mam czas na lekturę. Ponadto otaczają mnie najwięksi myśliciele królestwa. Czerpię niemal zmysłową przyjemność z ich pracy. Biorą jakiś urywek Pisma

Świętego, które miłościwy pan kazał przetłumaczyć na język angielski, aby każdy poddany mógł się zapoznać z jego treścią, po czym rozbierają go słowo po słowie. Przypomina to analizę wiersza albo zastanawianie się nad mądrościami filozofów. Fascynują mnie odcienie znaczenia, które pojawia się i znika w procesie tłumaczenia i porównywania poszczególnych wersji, podobnie jak zachwyca mnie prawda Słowa Bożego przebijającego się niczym promienie słońca przez chmury, w miarę jak człowiek rozszyfrowuje szerszy kontekst.

Moje dworki, wszystkie oddane sprawie reformacji, mają w zwyczaju zwracać się bezpośrednio do Biblii zamiast do kaznodziei, kiedy szukają odpowiedzi, dzięki czemu tworzymy swego rodzaju krąg uczonych, przepytując składających nam wizyty księży i wysuwając własne sugestie. Zdaniem arcybiskupa Cranmera powinniśmy robić notatki z naszych spotkań, aby dzielić się nimi z kolegami i działającymi w ich ramach teologami. Straszliwie mi pochlebia, że według niego nasze przemyślenia warte są rozpowszechnienia, tak więc bez trudu udaje mu się mnie przekonać, że należymy do warstwy myślicieli i że musimy wymieniać się opiniami. Ale czy inni też uznają te kazania za pouczające?

Wszystko trzeba poddać namysłowi i rozwadze. Nawet tłumaczenie Biblii budzi spory. Henryk podarował poddanym wersję w języku ojczystym, umieszczając kopie w każdym kościele parafialnym, jednakże nie wszyscy odnosili się do niej z należnym szacunkiem, dywagując nad urwkami i sprzecząc się o ich wymowę. To, co było pomyślane jako dar władcy dla ludu, stało się zarzewiem zbędnej dyskusji, przez co król wycofał Pismo Święte z parafii. Obecnie Słowo Boże mogą czytać jedynie wielmożowie.

Coś mi mówi, że to niewłaściwe. *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo*<sup>[2]</sup> – czyż nie jest zadaniem Kościoła przybliżyć Słowo ludziom? Czyż Kościół zamiast ikon, witraży, świec i ornatów nie powinien w pierwszej kolejności nieść szaremu człowiekowi Słowa?

Księżniczka Maria często opuszcza swoje komnaty i zagląda do moich, aby wysłuchać kazania. Bywa, że dręczy ją obawa, iż występujący danego dnia ksiądz zanadto oddała się od nauczania Kościoła, jednakże jej miłość do Biblii i języków, w których została spisana, jest silniejsza od wątpliwości. Jeszcze się nie zdarzyło, aby do nas nie wróciła. Nierzadko sama podsuwa tłumaczenie jakiejś frazy bądź próbuje podważyć wersję zaproponowaną przez kaznodzieję. Podziwiam jej odczytanie. Miała najlepszych preceptorów, dzięki czemu jej znajomość łaciny nie pozostawia nic do życzenia, a jej przekład jest subtelny i piękny. Gdyby nie była taka zastraszona, jej poetycka dusza znalazłaby ujście.

Gdy mówię jej to pewnego razu, wybuchła śmiechem i stwierdza, że jesteśmy do siebie bardzo podobne i że powinnyśmy być raczej siostrami, a nie macochą i pasierbicą, ponieważ obydwie przepadamy za ładnymi strojami i ładnym językiem.

– Zupełnie jakby niczym prawie się nie różniły! – dodaje. – Tyle samo radości sprawia mi haft co poezja. Uważam, że Kościół winien przejawiać piękno zarówno w języku, jak i w obrazie. Dlatego nawet klęcznik w mojej komnacie musi być urodziwy: ze złotym krucyfiksem i kryształową monstrancją. Z drugiej strony toczy mnie obawa, że to z mojej strony próżność. Cóż, przyznaję... moje księgi są oprawne w delikatną skórę i bogato iluminowane. Posiadam wybór modlitewników i manuskryptów z oprawami zdobionymi klejnotami, bo czemu nie? Piękno służy zarówno cieszeniu oka, jak i chwale bożej!

Wtóruję jej śmiechowi.

– Wiem, o czym mówisz! Sama się obawiam, że grzeszę nadmierną chęcią poznania. Czytanie mnie ekscytuje, czuję się przy tym, jakbym odbywała podniecającą podróż. Pragnę wiedzieć coraz więcej, a nawet samodzielnie przekładać i układać modlitwy.

– Dlaczego nie miałabyś tego robić? – pyta mnie. – Skoro oddajesz się lekturze Słowa Bożego, to chyba żaden grzech? Raczej cnota pilności aniżeli przywara uczoności.

– Dla mnie osobiście radość, o jaką jeszcze niedawno wcale bym się nie podejrzewała.

– Ktoś, kto czyta, jest tylko w pół drogi do zostania pisarzem – stwierdza księżniczka Maria. – Kochasz słowa i lubisz je widzieć spisane na stronicy. Jeśli w głębi ducha istotnie masz skłonność do pisania, prędzej czy później zaczniesz pisać. Grzechem by było zatrzymać dla siebie to, co masz do powiedzenia innym. Nie da się śpiewać w milczeniu. Nie jesteś anachoretą ani pustelnikiem, tylko kaznodzieją.

– Mimo że jestem niewiasta i żona?

– A jakże!

Czeka mnie spotkanie z moim pasierbem, księciem Walii, synem Joanny Seymour. Edward wraz ze świtą przybywa z Ashridge, gdzie mieszka we własnym pałacu z dala od Londynu i jego pląg. Wyglądając przez okno z widokiem na ogrody i rzekę, obserwuję, jak na horyzoncie pojawiają się barki z królewskim sztandarem. Wioślarze wiosłują miarowo, to opuszczając rudle, to wyjmując je z wody, rosnąc w oczach z każdą chwilą. W końcu barka

zwalniania i majestatycznie przybija do brzegu. Wioślarze rzucają cumy i zatrzymują się przy przystani, podczas gdy rozlega się głośny huk armat na wiwat księcia Edwarda. Na ziemię spada bogato rzeźbiony trap, wioślarze odziani w biel i zieleń tworzą szpaler, prezentując rudle. Połowa dworu wyległa na przystań, aby przywitać księcia. Pośród zgromadzonych widzę ciemnowłosego Edwarda Seymoura z Anthonyem Dennyem. Tomasz Howard jak zwykle stara się wysforować do przodu. Wygląda to tak, jakby mężczyźni ci przepychali się, kto pierwszy złoży ułkon następcy tronu. Są to wszystko ludzie, którzy pragną znaleźć się w łaskach księcia, których pozycja będzie od niego zależeć, na których przyszłości zaważą kiedyś jego decyzje. Jeżeli mój mąż umrze i ten chłopiec zostanie królem, jeden z nich będzie pełnił funkcję jego protektora. Być może będę musiała bronić Edwarda przed nimi wszystkimi, wychowywać go zgodnie z wolą ojca i w jedynej prawdziwej wierze.

Odwracam się do dworek i pozwalam, aby poprawiły mi kornet na głowie i klejnoty na szyi oraz wyrównały rąbek sukni. Mam na sobie nowy strój barwy głębokiej czerwieni, mój palec zdobi wielki rubin od króla, zmniejszony do mojego rozmiaru, a na dekolcie ciąży mi rubiny Boleynówny. Mając za plecami damy dworu, obok siebie zaś spaniela, który drepcze u mojej nogi w obróżce z czerwonej skóry łączonej kółkami ze srebra, przechodzę do komnaty gościnnej Henryka, odprowadzana spojrzeciami rozszepczanych gapiów, którzy zebrali się, aby na własne oczy zobaczyć moment spotkania.

Król już jest na miejscu. Siedzi pod baldachimem ze złotogłowiu, jak zwykle wspierając chorą nogę na podnóżku. Oblicze ma poczerwieniałe ze złości. Domyślając się, że doskwiera mu ból, dygam przed nim tylko i bez słowa zajmuję miejsce obok niego. Przekonałam się, że kiedy cierpi, lepiej jest milczeć – byle co potrafi wyprowadzić go z równowagi. Nie znosi wzmianek o swej słabości, ale też nie chce słuchać, że ból należy ignorować. Nie sposób powiedzieć właściwego słowa, nie sposób w ogóle się odezwać. Ogarnia mnie współczucie dla niego za to, że tak dzielnie radzi sobie z zawodzącym go coraz bardziej ciałem. Każdy inny człowiek na jego miejscu szalałby z bólu.

– Świetnie – stwierdza, gdy już siedzę koło niego. Najwyraźniej pomimo złego humoru nie jest ze mnie niezadowolony. Odwracam do niego głowę i uśmiecham się w milczeniu, po czym wymieniamy krótkie spojrzenie, pełne wzajemnego zrozumienia. – Patrzyłaś z okna? – pyta mnie cicho. – Czy szakale już zebrały się wokół młodego lwa?

Potakuję skinieniem.

- Owszem. Ja jednak wolę być przy wielkim lwie - odpowiadam. - Nie widzę świata poza wielkim lwem.

Henryk parska śmiechem.

- Lew jest może stary, ale jary. Ma wciąż zęby i pazury. Jeszcze potrafi utoczyć krwi, zobaczysz. Zobaczysz, że nadal umiem rozszarpywać gardła.

Podwójne odrzwia się otwierają na oścież, po czym herold ryczy:

- Edward książę Walii!

Do komnaty wkracza chłopiec lat pięciu, a za nim - depcząc mu piętach - wysypują się lizusi. Widok ten przyprawia mnie o śmiech. Wszyscy są zgięci w pół, zgarbieni, z głowami na wysokości dziecka, aby się do niego uśmiechać i nasłuchiwać tego, co powie. Ilekroć idą za królem, defilują tak jak on: z głowami wysoko i prostymi ramionami, a z piersiami do przodu, dostosowując krok do chromego kroku Henryka. Jednakże w obecności małego księcia posiadli zdolność innych ruchów. Co za głupcy, myślę sobie i zerkam na męża, na którego twarzy maluje się sardoniczny uśmiech.

Tymczasem książę Edward zdążył podejść do podwyższenia i właśnie się nam kłania. Błądą twarzyczkę ma zwróconą ku ojcu, którego wyraźnie uwielbia, jak każde dziecko wychowywane z dala od rodzica. Drżącymi wargami wygłasza krótką mowę po łacinie, prawdopodobnie zapewniając o zaszczycie i radości z pojawienia się w pałacu królewskim. Henryk odpowiada mu w tym samym języku. Wychwytyuję pojedyncze słowa, lecz nie mam pojęcia, co mówi. Przypuszczam, że odpowiedź przygotowano mu zawczasu; ostatnio Henryk nie ma głowy do niczego, a już w szczególności do uczonej spraw. Następnie Edward odwraca się do mnie, aby przemówić po francusku - czyli w języku bardziej się nadającym dla płochy niewiasty.

Podobnie jak to było z księżniczką Elżbietą, podnoszę się z tronu i podchodzę do pasierba. Jednakże idąc, widzę na jego obliczu niepokój, co biorę za przestrożę. Dygam przed nim, a on mi się kłania, po czym kiedy podaję mu dłoń, składa na niej pocałunek. Nie śmiem go przytulić tak jak Elżbiety, nie zdobędę się na to, aby zamknąć go w objęciach. Choć to tylko mały chłopiec, jest bytem wyjątkowym, równie rzadkim jak jednorożec widywany tylko na tapiseriach. Mam przed sobą bowiem jedyne na całym świecie księcia z rodu Tudorów. Po tylu małżeństwach i tylu latach spółkowania Henryk dochował się wyłącznie tego jednego jedyne syna.

- Tak bardzo się cieszę z naszego poznania, wasza książęca wysokość - mówię do Edwarda. - Już się nie mogę doczekać dalszego ciągu znajomości i uczucia miłości, którym cię obdarzę, jak wypada.

- Ja także jestem zaszczycony - odpowiada, ostrożnie dobierając słowa. Podejrzewam, że ma w głowie przygotowaną reakcję na wszystko,



co powiem. Następca tronu musi uważać na słowa od urodzenia. Wątpię, aby w pierwszej kolejności powiedział „mama”; sądzę, że wyćwiczone go, aby było to coś innego. – Z radością i ulgą powitam w tobie matkę.

– Obiecuję nauczyć się dla ciebie łaciny.

Raczej nikt nie był w stanie przygotować go na coś takiego. Świadczy o tym ogień rozbawienia w chłopięcych oczach.

– Łacina jest bardzo trudna – uprzedza mnie po angielsku.

W tym samym momencie dostrzegam w nim zwyczajne dziecko pod powłoką księcia, którego musi grać.

– Sprawię sobie nauczyciela – stwierdzam. – Uwielbiam się uczyć. Przez całe życie chciałam zdobyć dobre wykształcenie. Teraz nareszcie mogę spełnić swoje marzenie, po czym będziemy mogli ze sobą korespondować. Jeśli chcesz, możesz poprawiać moje błędy.

Skłania się niezręcznie.

– Będę zaszczycony – mówi i szybko podnosi wzrok, aby sprawdzić, czy jego ojciec pochwała ten dobór słów.

Wszelako król, pogrążony w myślach i bólu, nie odpowiada uśmiechem na wystraszone spojrzenie syna.

– Doskonale – rzuca tylko gburym tonem.

# PAŁAC THE MORE, HRABSTWO HERTFORDSHIRE LATO 1543 ROKU



Zaraza opanowuje Londyn. Ludzie mrą setkami na brudnych ulicach, podczas gdy my przenosimy się z miejsca na miejsce, byle dalej od stolicy, byle dalej na północ, oddając się polowaniom i ucztom. Wzdłuż wielkiego traktu stoją strażę, których zadaniem jest pilnowanie, aby żaden z londyńczyków nie ruszył śladem przemierzającego się dworu. Ledwie zamkną się za nami bramy któregoś zamku, rygle opadają, aby nie dopadła nas plaga. Wszystko wskazuje na to, że tego roku liczba ofiar będzie znaczna.

Kiedy jeszcze mieszkałam na zamku w Snape, w rok zarazy zlecałam opiekę nad chorymi we wsi, rozsyłałam zioła mające zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby, opłacałam pochówek biedaków w masowych grobach. Sierotom pozwalałam się pożywiać w zamkowej kuchni i odprawiałam wędrownych kupców. Wydaje mi się dziwne, że teraz, gdy jestem królową Anglii i moimi poddanymi są wszyscy Anglicy, zachowuję się tak, jakby mi na nich nie zależało. Ludzie nie mogą nawet żebrać o odpadki u kuchennych drzwi.

Król zarządza dni błagalne, *dies rogationum*. W ten czas potrzeby wszyscy

muszą się modlić do Boga o ocalenie królestwa. W całej Anglii odbędą się pielgrzymki, nabożeństwa będą odprawiane w każdym kościele. Datę ogłasza się z ambony. Wierni mają przykazane urządzić procesję w swojej parafii, zanosić modły i śpiewać psalmy. Zaraza ustąpi jedynie pod warunkiem, że wszyscy parafianie pomodlą się za bliźnich. Niestety zamiast pokazu wiary i nadziei przedsięwzięcie okazuje się całkowitą klapą. Uczestników procesji jest tyle co kot napłakał, niemal nikt nie rozdaje jałmużny. Drzewiej inaczej bywało. Dziś nie ma zakonników ani chórzystów, którzy by powiedli procesję, brakuje świętych relikwii, które można by obnosić, złote i srebrne naczynia liturgiczne zostały zajęte i przetopione, opactwa i klasztory stoją zamknięte i opuszczone, tak samo lazarety. Dni błagalne jasno pokazują, że nikomu na niczym nie zależy.

– Ludzie nie chcą się modlić za własny kraj? – Henryk pyta biskupa Winchesteru, Stephena Gardinera, jakby to była jego wina. Znajdujemy się akurat na królewskiej barce, korzystając z uroków świeżego rzeczno-powietrza. Gardiner odpowiada aluzyjnie, że chyba musiałyby przejść się po wodzie, żeby zmusić mieszkańców Watfordu do modlitwy. – Czy oni wszyscy poszaleli? – oburza się król. – Wydaje im się, że zasłużą na życie wieczne ciągłymi kłótniami?

Biskup wzrusza ramionami.

– Poddani stracili wiarę – mówi. – Jedyne, czego chcą, to debatować nad Biblią. Ja bym im kazał śpiewać psalmy jak kiedyś i przestrzegać dawnego rytuału, zostawiając trudniejsze sprawy lepszym od siebie. Sądziłem, że po tym, jak wycofaliśmy angielskie Pismo Święte z wszystkich kościołów, wróćą do modlenia się jak za starych dobrych czasów, po łacinie.

– Właśnie łacina stanowi problem – zauważa Thomas Cranmer. – Ludzie jej nie rozumieją. Zwłaszcza gdy ich ksiądz mamrocze pod nosem. Poddani nie chcą dłużej pustych rytuałów. Nie chcą śpiewać hymnów, których słów nie pojmują. Gdyby mogli się teraz modlić w języku ojczystym, na pewno by to robili. Podarowałeś im Pismo Święte po angielsku, wasza królewska mość, a potem im je odebrałeś. Przywróć im je, niech mają w co wierzyć. Ba, pójdźmy jeszcze dalej! Dajmy ludziom zrozumiałą liturgię!

Henryk w milczeniu posyła mi spojrzenie mówiące, że mogę się odezwać.

– Uważasz, że ludziom nie podobają się łacińskie modlitwy? – pytam arcybiskupa Cranmera. – Naprawdę myślisz, że chcieliby się modlić, gdyby mogli to zrobić po angielsku?

– Angielski to mowa rynsztoka – rzuca biskup Gardiner do króla. – Cóż to, odtąd każdy śmieciarz będzie mógł napisać własne *Ave Maria*? Zamiatacze ulic

będą układać błogosławieństwa?

– Wiosłujcie szybciej! – poleca wiosłarzom Henryk, prawie nie zwracając uwagi na toczącą się dyskusję. – Wpłynięcie na środek rzeki, gdzie jest bardziej rwący nurt.

Nadzorca wiosłarzy zmienia rytm werbli nadających tempo, a sternik kieruje nas ku środkowi rzeki, gdzie dzięki silniejszemu prądowi wieje orzeźwiający wiaterek.

– Nikt z Londynu nie ma wstępu do pałacu – informuje mnie mąż. – Ludzie mogą nam machać z brzegu, mogą okazywać szacunek, ale pod żadnym pozorem nie wolno im postawić nogi na pokładzie. Nie życzę sobie ich obecności koło siebie. Żaden londyńczyk nie może się nawet pokazać w ogrodach. Ci ludzie są zakażeni. Nie będę się narażał.

– Oczywiście, że nie – potwierdzam kojącem głosem. – Moje dworki znają rozkazy, sama im przekazałam. Nikt nie myśli choćby o przyjmowaniu dostaw z Londynu.

– Nawet ksiąg – zaznacza król. – I żadnych wizyt księży czy kaznodziejów, Katarzyno. Żadnych duchownych z londyńskich świątyń. Nie pozwolę na to.

– Są nosicielami choroby – potwierdza Gardiner. – Wszyscy ci heretycy luterkańscy kaznodzieje, co do jednego. Roznoszą zarazę i szerzą zamęt. Ściągają z Niemiec i Szwajcarii, chorzy i szaleni.

Oblicze, które zwracam na Henryka siedzącego na podwyższeniu, jest niezmaczone.

– Oczywiście, najjaśniejszy panie – mówię nieszczerze.

Albowiem – tak jak obiecałam księciu Edwardowi – zaczęłam się uczyć łaciny. Moim nauczycielem jest pewien szolarz z Cambridge. Ponadto przyjmuję dostawy ksiąg z londyńskich drukarni. Niektóre otrzymuję za pośrednictwem protestanckich drukarzy z kontynentu, których biskup określa mianem heretyków, a którzy wydają uczone księgi, w tym teologiczne, autorów z Niemiec i z Flandrii. Chrześcijaństwo wrze jak nigdy dotąd od dysput na temat Biblii oraz natury i postaci mszy świętej. Sam Henryk, kiedy był jeszcze młodszy, brał udział w takich debatach i publikował własne przemyślenia. Obecnie, znalazłszy się pod wpływem Howardów i Stephena Gardinera, rozczarowawszy się reakcją Anglików na zmiany, które wprowadził, z obawy przed rozprzestrzenieniem się ruchu reformacji w całej Europie, nagle nabrał wody w usta i nie chce kontynuować reform.

Gdy Północ powstała przeciwko niemu, domagając się ponownego otwarcia klasztorów i kapliczek, w których można by się modlić za zmarłych, oraz przekazania władzy z powrotem w ręce starej arystokracji, w tym Plantagenetów, Henryk doszedł do wniosku, że nie uśmiecha mu się takie

podważanie jego panowania, jego Kościoła, jego następców. Mój mąż nienawidzi otwartości umysłu równie mocno jak choroby, a teraz na domiar twierdzi, że to księgi są przyczyną wszelkiego zła.

- Jej królewska mość z pewnością nie ma potrzeby interesować się księgami plugawych kaznodziejów - dodaje słodkim głosem Gardiner. - Po cóż bowiem damie doskonałej pod każdym względem brudzić sobie paluszki farbą drukarską na podobieństwo jakiegoś pisarczyka?

- Muszę się doszkalać, aby dotrzymać kroku miłościwemu panu - odpowiadam bez ogródek. - Aby pisać swobodnie po łacinie do mego pasierba, księcia Walii. Taki uczony monarcha nie powinien mieć żony gąski, która niczym błazen...

W słowo wpada mi Will Somers, który przez cały czas siedzi na burcie, machając nogami nad wodą.

- Błazen jest tylko jeden! Nie zamierzam dopuścić żadnej gąski niewiasty do gildii trefnisiów. Musiałbym wtenczas przyjąć wszystkie głupiutki Angielki, a ile ich jest? Tysiące!

Na to król się uśmiecha.

- Nie jesteś gąską, Katarzyno, i możesz czytać, co ci się żywnie podoba. Wszelako nie będę przyjmował żadnych gości ani dostaw z Londynu, póki miasto nie stanie się wolne od zarazy.

Zwieszam głowę.

- Oczywiście...

- Ufam - odzywa się jadowitym tonem biskup Gardiner - że wasza królewska mość nie czyta żadnych niemądrych rzeczy.

Czując jego wyższość, cała się jeżę w środku.

- Mam taką nadzieję, ekscelencjo - odpowiadam z fałszywą słodyczą. - Czytam bowiem jedynie twoje kazania.

Henryk tymczasem dorzuca:

- Zakazuję kontaktów przez wzgląd na bezpieczeństwo twoje i moich dworzan.

- Wiem, najjaśniejszy panie, i jestem ci za to stokrotnie wdzięczna - mówię zgodnie z prawdą.

Król broni nas przed zarazą, jakby był to nasz najzacieklejszy wróg. Uchroni mnie od złego za wszelką cenę. Wcześniej nikt się tak nie przejmował moim zdrowiem. Nikt nie podejmował działań mających zapewnić mi bezpieczeństwo. Dopóki nie wyszłam za Henryka, nikomu nie zależało na mnie na tyle, by mnie pilnie strzec.

Przez jakiś czas przysłuchujemy się wesołej melodii granej przez muzykantów płynących na barce za nami.

- Słyszysz? - pyta król, wybijając rytm na podłokietniku tronu. - Ja to skomponowałem.

- Urocza melodia - kwituję. - Jesteś niezwykle utalentowany.

- Może powinienem skomponować coś jeszcze - dopowiada. - Chyba mnie zainspirowałaś do dalszej twórczości. Napiszę piosenkę specjalnie dla ciebie. - Milknie, zasłuchany we własną melodię. - I bardzo dobrze, że nie będziemy mieć gości z Londynu. Miło jest nic nie robić latem. Londyńczycy są tacy namolni, nic tylko przedstawiają jakieś żądania albo prośby, judzą jeden przeciw drugiemu, domagają się nałożenia podatku albo zniesienia opłaty... Jestem nimi zmęczony. Mam ich wszystkich dość.

Kiwam głową, jakbym się zgadzała, że okazywanie przychylności to jednym, to drugim jest zaiste niełatwym zadaniem.

- Katarzyno, będziesz mi pomagała! - oznajmia nagle Henryk. - Po powrocie do Londynu, kiedy zaczną spływać nowe prośby. Będziesz mi je odczytywać, po czym wspólnie pochylimy nad nimi głowy. Uczynię cię swoim wyłącznym doradcą!

- Och, czyli jednak są dwaj błażni - zauważa Will. - Rutynowany błazen Somers i nowy w swoim fachu, zakochany Tudor.

Henryk śmieje się pod nosem.

- Masz rację! Jestem zakochanym Tudorem!

# ZAMEK W AMPHILL, HRABSTWO BEDFORDSHIRE JESIEŃ 1543 ROKU



Dyskusja, którą zapoczątkowali na barce hierarchowie – Stephen Gardiner, pragnący przywrócenia dawnego Kościoła, i Thomas Cranmer, optujący za reformą – osiąga apogeum na zamku w Ampthill, starej siedzibie Katarzyny Aragońskiej. Chłodna i mglista aura każe nam pozostawać w czterech ścianach przez z górą tydzień. Na zewnątrz z drzew kapie woda, która wsiąka w nawilgłą do granic ziemię, zamieniając ścieżki w bagno. Henryk przeiębia się i dostaje kataru, ale to zwłaszcza przez łamanie w kościach ani myśli wyściubić nosa na dwór. Pochwycony w pułapkę przez dworzan, którzy nagabują go na każdym kroku, w końcu zgadza się z nimi, że reforma poszła za daleko, ocierając się o herezję, i na tej podstawie wydaje rozkaz aresztowania wielu osób zarówno w Londynie, jak w swoim bezpośrednim otoczeniu. Za źródło herezji raz jeszcze zostaje uznany Thomas Cranmer, który ku uciechu rady królewskiej musi ponownie stawić czoło dochodzeniu.

– Tym razem już go prawie mieli – szepcze do mnie Anna, klęcząc tuż obok na stopniach ołtarza, podczas gdy Henryk siedzi rozparty z tyłu na ławie w otoczeniu doradców i sekretarzy i podpisuje dokumenty, ksiądz zaś,

mamrocząc, odprawia nabożeństwo z za lektorium. – Szedł niczym Tomasz Morus na ścięcie...

– Wcale nie! – zaprzecza Katarzyna Brandon, klęcząca po mojej drugiej stronie. – Wiedział, że nic mu nie grozi! To była tylko taka gra.

– Sam król powiedział, że to tylko maskarada. – Zza mojej siostry wychyla się Anna Seymour. – Maskarada pod tytułem „Poskromienie arcybiskupa”.

– Co to wszystko znaczy?

– Najjaśniejszy pan pozwolił Gardinerowi aresztować Cranmera. Ale wcześniej, miesiąc temu, uprzedził arcybiskupa, że jego wrogowie zbierają przeciwko niemu dowody. Nazwał go największym heretykiem hrabstwa Kent, śmiejąc się przy tym rubasznie. Rada królewska posłała po Cranmera, sądząc, że będzie się trząsł ze strachu. Panowie rada wezwali go, chcąc rzucić na niego oskarżenie i wtrącić go do Tower. Gwardziści stali na podorędziu, barka była przygotowana. Biskup Gardiner i książę Norfolk tryumfowali. Byli przekonani, że uciszą Cranmera i raz na zawsze skończą z reformacją.

– Gardiner nawet go nie przesłuchał – wtrąca Katarzyna Brandon. – Kazał mu czekać. Nie śpieszył się...

– Rozkoszował się tą chwilą – potwierdza Anna Seymour. – Jednakże w tej samej chwili, gdy mieli się na niego rzucić i strącić mu biret z głowy, Thomas Cranmer dobył pierścienia, królewskiego pierścienia, i powiedział, że jest zaufanym człowiekiem najjaśniejszego pana i że dochodzenie w sprawie herezji owszem, odbędzie się, lecz to on je poprowadzi... przeciwko nim!

Ogarnia mnie zdumienie.

– Wygrał? Znowu? Raz jeszcze wszystko się obróciło w okamgnieniu?

– W jedno uderzenie serca – potwierdza moja siostra. – Oto jak Henryk utrzymuje się przy władzy rok po roku.

– Co teraz będzie? – pytam.

– Stephen Gardiner i Tomasz Howard będą musieli przełknąć dumę i błagać arcybiskupa i króla o przebaczenie. Obydwaj wypadli z łask.

Kręcę głową w zadziwieniu. Brzmi to jak opowieść wędrownego kupca, jak bajka naspikowana nagłymi zwrotami i cudownymi tryumfami.

– I teraz Thomas Cranmer poprowadzi dochodzenie przeciwko wszystkim tym, którzy chcieli go wtrącić do lochu i ściąć. Jeśli znajdą się jakieś dowody zdrady albo herezji, pewne osoby trafią do Tower, a może i na szafot. Zamiast niego.

– Jesteśmy górą – cieszy się moja siostra. – To nie koniec reform. Będzie można czytać księgi teologiczne, do kościołów wróci angielska Biblia, Słowo Boże pójdzie w lud. Rzymskie psy zaś mogą iść prosto do piekła!



Król planuje wielkie obchody Bożego Narodzenia.

- Wszyscy będą obecni - ogłasza z entuzjazmem.

Ból w nodze ustąpił, rana wciąż jest otwarta, lecz nie sączy się już tak obficie. Myślę też, że wydziela mniejszy odór. Maskuję smród, rozrzucając liczne woreczki z wonnościami w moich komnatach, nawet w pościeli, dzięki czemu przyjemne zapachy biorą górę nad ustawicznie wiszącą w powietrzu wonią rozkładu. Letni objazd królestwa przysłużył się Henrykowi; do tej pory co dzień poluje, nawet jeśli polowanie w jego wypadku oznacza stanie w szałasie, podczas gdy zwierzyna jest naganiana wprost na niego. W wielkiej sali, dwa razy dziennie, spożywa lżejsze posiłki, składające się tylko z dwudziestu, trzydziestu dań, a nawet pije mniej wina.

- Wszyscy - powtarza. - Każdy ambasador chrześcijańskiego świata zjawi się w Hampton Court. Nie ma człowieka, który nie chciałby zobaczyć na własne oczy mojej nowej ślicznej żony.

Uśmiecham się i kręcę głową.

- Będę się źle czuła - mówię. - Nie lubię, kiedy oczy wszystkich są skierowane na mnie.

- Jakoś to zniesiesz - odpowiada. - A jeszcze lepiej, naucz się z tego czerpać przyjemność. W końcu jesteś najpierwszą damą w królestwie, rozkoszuj się tym. Nie braknie takich, co by wszystko oddały, byle się znaleźć na twoim miejscu.

- Och, nie jestem aż tak nieśmiała, aby trzymać się na uboczu - wyznaję.

- To dobrze - stwierdza, chwytając moją dłoń i unosząc ją sobie do ust. - Gdyż ani mi w głowie pozwolić ci odejść. Nie chcę zamiast ciebie żadnej nowej dzierlatki. - Wybuchu śmiechem. - Wymachują mi przed oczyma papistowskimi kukiełkami, wiesz o tym? Przez całe lato podsuwali mi pod nos urocze córki z krzyżykami na szyjach, różańcami u pasa i mszałami po łacinie w ręku. Nic nie zauważyłaś?

Wyteżam pamięć. Skoro już o tym wspomniał, przypominam sobie, że w trakcie letniego objazdu napotykałiśmy na swej drodze zadziwiająco dużo młodych bogobojnych panien. Z gardła wyrывa mi się chichot.

- Ależ mężu, to...

- Śmieszne - kończy za mnie. - Niektórzy jednak myślą, że jestem stary i niewyżyty. Sądzą, że mam humory i że mógłbym chcieć zamienić moją żonę na kogoś innego. Wydaje im się, że co rano i wieczór będę odmieniał swój Kościół. Ty jednak wiesz - ponownie całuje moją dłoń - najlepiej ze wszystkich, że jestem wierny. Tobie i Kościołowi, który tworzę.

- Nie zaniechasz reformy – mówię.

- Uczynię to, co uznam za stosowne – ucina i zmienia temat. – Z okazji świąt sprosimy twoją rodzinę. Chyba się cieszysz z takiego wyróżnienia? Nadam tytuł twojemu stryjowi, mianuję go baronem, z twojego brata zaś zrobię hrabiego.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna, mężu. Wiem też, że obydwaj będą ci wiernie służyć na nowych stanowiskach. Bardzo chętnie zobaczą ich w pałacu. A czy... drogi mężu... czy w Boże Narodzenie zobaczymy także dzieci?

Wydaje się zdziwiony tym pytaniem.

- Moje dzieci? – upewnia się, czy dobrze zrozumiał.

- Tak.

- Zazwyczaj spędzają święta w swoich siedzibach – wyjaśnia niepewnym tonem. – W gronie własnych dworzan.

Will Somers, który nie opuszcza boku króla, rozłupuje w dłoniach dwa orzechy włoskie, wybiera łupiny, po czym podaje nasiono swemu panu.

- A kimże my jesteśmy, jak nie dworzanami królewiał? Panie i królu, widzisz, jaką masz dobrą żonę? Jesteś po ślubie niecałe pięć miesięcy, a już masz z nią trójkę dzieci! To najplenniejsza niewiasta ze wszystkich! Zupełnie jak królicą!

Śmieję się z jego słów.

- Tylko pod warunkiem, że wasza królewska mość też sobie tego życzy.

Mięśnie na twarzy Henryka drgają z emocji, twarz mu się rumieni, oczy napełniają łzami.

- Oczywiście, że sobie tego życzę. Will ma rację. Dobra z ciebie żona, że chcesz sprowadzić moje dzieci do domu. Dzięki tobie staniemy się rodziną, prawdziwą rodziną. Niech wszyscy zobaczą ojca i syna, który po nim nastąpi. Zatem postanowione: święta spędzimy razem z dziećmi. Jeszcze nigdy tego nie robiłem.

# PAŁAC HAMPTON COURT BOŻE NARODZENIE 1543 ROKU



Rudle królewskiej barki zanurzają się w wodzie i wynurzają z niej płynnym ruchem bez jednego dźwięku, który tłumi chłodna mgła wijąca się nad rzeką długimi pasmami. Barka posuwa się naprzód z każdym ich ruchem, po czym zamiera na moment, zanim znowuż drgnie i ruszy przed siebie – zupełnie jakby rzeka żyła i oddychała miarowo. Łyski i pardwy umykają przed nami, startując z powierzchni wody z długimi nóżkami za sobą. Czapla siwa wynurza się dostojnie z trzciny przy brzegu, trzepocząc przy tym skrzydłami. W górze, nad naszymi głowami, krzyczą mewy. Gdy zbliżyć się do Hampton Court od strony rzeki, podczas gdy zimowe słońce przedziera się przez wstęgi mgły, można odnieść wrażenie, że bajkowy pałac wynurza się wprost z powietrza i unosi na wodzie.

Opatulam się szczelniej grubymi futrami. Mam na sobie lśniące puszyste czarne sobole, które zostały dostarczone z garderoby londyńskiego zamku Baynarda. Wiem, że należały do mojej poprzedniczki, Katarzyny Howard. Nie muszę o to nawet pytać: nauczyłam się rozpoznawać zapach jej perfum, charakterystyczną piżmową woń, którą skrapiała chyba wszystko. Ledwie przyniosą mi jej suknię, wyczuwam ją, zupełnie jakby prześladowała nie tylko mnie, ale też mój nos. Mimowolnie zastanawiam się, czy w ten sposób

chciała zatuszować odór jego gnijącej nogi, tak jak ja to czynię za pomocą olejku różanego. Odmawiam przynajmniej noszenia jej pantofli. Garderobiana przekazała mi jedną parę: na złotych obcasikach i z aksamitnym przodem, wielkości jak na stopę dziecka. Przy moim mężu Katarzyna musiała się wydawać dziewczynką; w istocie liczyła trzydzieści lat mniej niż on. Musiała wyglądać na jego wnuczkę, gdy tańczyła w jego komnatach, rozglądając się po paziach i giermkach i szukając wzrokiem swego kochanka. Wkładam jej suknie, które są pięknie wyszywane i bogate, jednakże nie zamierzam chodzić w jej butach. Zamawiam nowe, dziesiątki, setki par. W duchu zaś modlę się o to, by zeszała z moich myśli, kiedy już wkroczę na powrót do pałacu, mając na ramionach jej futro. Pragnę zapomnieć o nich wszystkich. Płynę barką Katarzyny Aragońskiej. Okrywam się sobolami Katarzyny Howard, mając nadzieję, że zimny wiatr wiejący znad rzeki przegoni jej ducha, przegoni duchy ich wszystkich, dzięki czemu nie moje futra, tak miękkie i wygodne, wkrótce staną się moimi i muskając nieustannie moją szyję, przejdą zapachem olejku różanego i pomarańczowego, które preferuję.

– Czyż nie jest piękny? – pyta mnie Anna, spoglądając prosto przed siebie na wyłaniający się z porannego światła pałac. – Czyż nie jest najpiękniejszy ze wszystkich?

Wszystkie siedziby Henryka są cudami samymi w sobie. Ten pałac król odebrał kardynałowi Wolseyowi, który kazał go wznieść z czerwonej cegły, z wysokimi zdobionymi kominami, rozległymi dziedzińcami i wyjątkowo rozplanowanymi ogrodami. Zmiany, które mój mąż obiecał dla mnie wprowadzić, są już na ukończeniu: obecnie apartamenty królowej leżą z dala od kuchni i mają widok na ogród. Będą to moje i tylko moje komnaty; żadne duchy nie ważą się spacerować po świeżo nawoskowanych posadzkach. Wzdłuż rzeki biegnie długa przystań, do której przybijamy wraz z towarzyszącymi nam barkami. Równocześnie rozwijają się wszystkie sztandary, a z armat dobiega huk wystrzału. Tak wita się króla w jego siedzibie.

Przestraszona hałasem podskakuję w miejscu, na co Anna wybuchła śmiechem.

– Powinnaś była słyszeć wystrzał armatni na powitanie Anny Kliwijskiej w Londynie – mówi. – Strzelano z barek na rzece, a całe niebo zasnuły fajerwerki.

Barka przybija łagodnie do brzegu, po czym wioślarze odkładają rudle. Rozlega się kolejny wystrzał, po czym na ziemię opada trap. Gwardziści królewscy, odziani w biel i zieleń, z tupotem podkutych butów schodzą z niskich kamiennych stopni, aby ustawić się w szpaler. Trębacze dmą

w trąbki, a cała służba wylega na zewnątrz pałacu, by z odkrytymi głowami stanąć sztywno w oczekiwaniu na pojawienie się króla. Henryk, który przez całą drogę siedział pod baldachimem z nogą złożoną na podnóżku, dźwiga się teraz i kroczy przed siebie, wspierany z obu stron przez paziów. Chód ma jeszcze bardziej chwiejny niż zwykle, a to za sprawą kołyszącego się pokładu. Idę w pewnym oddaleniu za nim. Gdy już stoimy na pewnym gruncie przystani wyłożonej białym marmurem, Henryk odwraca się, aby ująć mnie za rękę. Trębacze zaczynają grać hymn procesyjny, słudzy kłaniają się nisko, a gapie zgromadzeni na przystani wykrzykują imię mojego męża – i moje. Zdaję sobie sprawę, że to małżeństwo cieszy się popularnością nie tylko wśród dworzan Anglii i innych krajów, lecz także wśród angielskich poddanych. Kto by pomyślał, że król ożeni się znowu? Szósty już raz? Kto by pomyślał, że wybierze sobie skromną wdowę, przywracając jej pozycję i szczęście? Kto by pomyślał, że zdecyduje się na rodaczkę, na Angielkę, na prowincjuskę, na niewiastę ze znieawidzonej, napawającej obawą Północy i że umieści ją w samym sercu swego dworu, gdzie przyćmi blaskiem wszystkich? Ludzie wiwatują i wykrzykują moje imię, wymachują dokumentami, które ich zdaniem powinnam zobaczyć, wołają prośby, który ich zdaniem powinnam spełnić, a ja na to wszystko odpowiadam uśmiechem. Mój szambelan przechadza się wzdłuż szeregu i zbiera dokumenty, abym mogła zapoznać się z nimi później.

– Dobrze, że tak świetnie się prezentujesz. – Henryk rzuca tę uwagę, kiedy przechodzimy przez szeroko otwarte drzwi. Krzywi się przy tym przy każdym kroku, który musi mu sprawiać potworny ból. – Nie wystarczy być królową, trzeba jeszcze wyglądać jak królowa. Ilekroć ludzie wylegają, aby nas zobaczyć, chcą widzieć kogoś lepszego od siebie, lepszego nawet od ich marzeń. Pragną być wprawieni w osłupienie. Dlatego powinnismy w ich oczach wyglądać na istoty nie z tego świata, na aniołów, ba, zgoła na bogów.

– Rozumiem.

– Jestem najznaczniejszym człowiekiem w królestwie – ciągnie jakby nigdy nic Henryk. – Być może nawet na świecie. Poddani muszą to widzieć na pierwszy rzut oka.

Dworzanie witają nas w wielkiej sali. Uśmiecham się do mego stryja, który wkrótce zostanie parem królestwa, i do mojego brata, który dzięki mnie niedługo będzie hrabią Essexu. Z okazji świąt Bożego Narodzenia są tu wszyscy moi przyjaciele i krewni, którzy wzbogacili się dzięki mojemu patronatowi, jak również wszyscy znaczniejsi wielmożowie: Howardowie, Seymourowie, Dudleyowie, ludzie nabierający znaczenia, tacy jak Thomas Wriothsley czy jego przyjaciel i pomocnik, Richard Rich; są wszyscy

dworzanie i purpuraci. Jest tutaj Stephen Gardiner, który jakimś cudem nie ucierpiał od dochodzenia arcybiskupa Cranmera. Gdy uśmiecha się do mnie, minę ma pewną siebie.

- Nauczę cię, jak być królową Anglii - szepcze mi do ucha Henryk. - Będziesz patrzeć na wielmożów, wiedząc, że to ty jesteś ich panią, nie odwrotnie. Wywyższyłem cię ponad nich. Jesteś moją żoną i moją pomocnicą, Katarzyno. Uczynię z ciebie wielką i silną niewiastę, uczynię z ciebie najpotężniejszą Angielkę, jako i ja jestem najpotężniejszym Anglikiem.

Nie zaprzeczam przez wrodzoną skromność - zamiast tego napotykam wzrok króla i wytrzymuję zimne spojrzenie jego oczu. Choć przemawia przezeń miłość, oblicze ma zacięte.

- Będę ci dobrą żoną pod każdym względem - obiecuję. - Złożyłam śluby i zamierzam ich dotrzymać. Będę też twoją królową i matką dla twoich dzieci.

- Uczynię cię regentką - zapowiada. - Dostaniesz władzę nad nimi wszystkimi. Będziesz mogła im rozkazywać. Poczujesz ich karki pod swoim butem.

- Nauczę się rządzić - przyrzekam. - Nauczę się rządzić od ciebie.

Dworzanie witają mnie jako swoją królową. Niemalże mogłabym pomyśleć, że nigdy nie było przede mną innej. Ja z kolei witam jak swoje dwójkę młodszych dzieci króla, księcia Edwarda i księżniczkę Elżbietę, po czym wpajam ich w tryby rodziny królewskiej, do której nigdy nie przynależały w pełni. Do tego dodaję siostrzenice królewskie: księżniczkę Małgorzatę, córkę królowej Szkotów, i malutką Lady Jane Grey, wnuczkę królowej Francuzów. Edward jest rozkoszną mieszaniną sztywności i nieśmiałości. Od urodzenia wpaja mu się, że jest synem i następcą Tudora i że musi podołać tej roli. Dla odmiany Elżbiecie brak w ogóle pewności siebie - zarówno jej bezpieczeństwo, jak i tytuł są wiecznie zagrożone. Po egzekucji swojej matki z dnia na dzień z następczyni tronu, której słudzy podawali wszystko na kłęczkach, przeistoczyła się w królewskiego bastarda. Gdyby ktokolwiek zdołał udowodnić plotki krążące wokół jej ojcostwa, jeszcze szybciej przedzierzgnęłaby się w sierotę po Marku Smeatonie.

Howardowie powinni kochać ją i wspierać jako swoją krew. W końcu jest córką Boleynówny. Wszelako póki król liże rany i rozwodzi się nad przykrościami mu wyrządzonymi, ostatnie, czego chce książę i jego syn, to przypominać Henrykowi, że umieścili w jego łóżu parę Howardówien, z czego dwie wspięły się na tron, przyprawiając najjaśniejszego pana o hańbę

i złamane serce, same zaś potem skończyły na szafocie. Z tego powodu książę Norfolk na przemian daje fory tej dziewczusce i zaniedbuje ją, zależnie od własnych celów.

Nie można jej zaręczyć z żadnym zamorskim księciem, skoro nie wiadomo na pewno, czy jest księżniczką czy bękartem. Nie można jej nawet służyć jak należy, skoro nikt nie wie, jak się do niej zwracać. Chyba tylko jej piastunka i księżniczka Maria darzą Elżbietę uczuciem, ona sama zaś znajduje ucieczkę w księgach.

Moje serce się do niej wrywa. Również kiedyś byłam małą dziewczynką, której nikt nie chciał za żonę i która musiała szukać pociechy w książkach. Jak tylko Elżbieta pojawia się na dworze, dopilnowuję, aby otrzymała komnatę w bezpośredniej bliskości mojej. Idąc rano do kaplicy, trzymam ją za rękę, po czym spędzamy razem cały dzień. Przyjmuje to z ulgą, jakby całe życie czekała na matkę i wreszcie ją dostała. Oddaje się w moim towarzystwie lekturze, a kiedy z Londynu przybywają kaznodzieje, wysłuchujemy wspólnie ich kazań, po czym o nich dyskutujemy. Elżbieta przepada za muzyką, jak my wszystkie; uwielbia też ładne stroje i tańce. Najpierw ją tylko uczę, ale już po kilku dniach mogę z nią żartować, tulić się, zwracać jej uwagę i modlić się razem z nią. Zanim się obejrzę, całuję ją w czoło po przebudzeniu i daję jej swoje matczyne błogosławieństwo wieczorem, zupełnie naturalnie.

Księżniczka Maria garnie się do tej bożonarodzeniowej rodziny, w czym nie ma niczego dziwnego, skoro od czasu wygnania jej matki musiała uważać na to, co robi i mówi. Zachowuje się tak, jakby po długim wstrzymywaniu powietrza mogła nareszcie głębiej odetchnąć. W końcu znalazła swoje miejsce, zamieszkała wśród ludzi, którzy mają dla niej szacunek. Nie próbuję jej matkować – byłoby to śmieszne, zważywszy że jesteśmy niemal rówieśniczkami – mogę jednak być dla niej siostrą. Dzięki temu stanowimy we dwie ukojenie dla króla i gwarancję sojuszu z Hiszpanią, drugą ojczyzną księżniczki Marii. Wprowadzie ja wspieram reformę zapoczątkowaną przez Henryka, ona zaś pragnie przywrócenia Kościoła Anglii na łono Rzymu, aczkolwiek musi za sprawą filozofów nawołujących do czystości Kościoła podawać w wątpliwość historię papiestwa, które doprowadziło do zepsucia i korupcji. Wierzę, że Słowo Boże znaczy dla niej więcej niż puste symbole zdobiące świątynie i klasztory, niż bezsensowne rytuały mające omamić tych, którzy nie potrafią czytać ani myśleć samodzielnie. Wierzę, że księżniczka Maria po namyśle zwróci się w stronę reformy, jak ja to uczyniłam.

Chociaż różni nas doktryna, codziennie zachodzi do moich komnat i wysłuchuje kazania. W to Boże Narodzenie szczególnie upodobałam sobie

psalmy ulubione przez świętej pamięci biskupa Fishera. To dobry przykład lawirowania, które muszą skuteczniać – zawsze na świeczniku za wszelką cenę chcę uniknąć podejrzeń. Biskup Fisher, błogostawiony człowiek i wspaniały mówca, poniósł śmierć za Kościół rzymski, wystąpiwszy przeciwko królowi. Był on spowiednikiem Katarzyny Aragońskiej, matki Marii, tak że naturalnym się wydaje, aby jako wierna córka zachowała go w miłej pamięci. Szczególnie że wiele osób, które w sekrecie ducha podzielały jego poglądy, wyrosło do tej pory na najbliższych doradców Henryka. Dzięki temu zresztą kazania biskupa Fishera przestały być zakazane i można je znów swobodnie czytać.

Mój jałmużnik, biskup George Day, był kapelanem Fishera, którego darzył szczerym uczuciem. To właśnie on czyta teraz co dzień łacińskie psalmy w przekładzie swego dawnego pana, wszyscy zaś muszą przyznać, że ich słowa zostały starannie i udatnie dobrane, wspaniale oddając grecki oryginał. Czuję się spadkobierczynią wartościowego dziedzictwa – najpierw biskup Fisher tłumaczył psalmy z greki na łacinę, po czym obecnie my kontynuujemy jego dzieło, dokonując przekładu na język ojczysty. Wszyscy są w to zaangażowani: oprócz mnie moje dworki, moi duchowni, księżniczka Maria, nawet malutka Elżbieta. Ponieważ biskup Fisher wspiał się na wyżyny sztuki literackiego, niesprawiedliwością dla małych byłoby, gdyby i oni nie mogli się zachwycać jego słowami. Księżniczka Maria zgadza się ze mną i z zapałem bierze udział w naszych pracach, a bogactwo jej słownictwa sprawia, że zajęcie to jest stymulujące dla nas wszystkich.

Mój pasierb Edward jest ulubieńcem moim i całego dworu. Choć używa wyszukanych sformułowań i krępuje go dworska etykieta, wyraźnie łaknie czułości i szuka zabawy jak normalny chłopiec. Za sprawą różnych gier i żarcików, podczas nauki i rozrywki, powoli, stopniowo, przekonuje się do mnie, a ja traktuję go tak, jak traktowałam oboje dzieci barona Latimera, gdy miałam je pod swoją pieczę. Okazuję mu uczucie i szacunek, nigdy jednak nie staram się zastąpić mu matki, którą stracił, a tylko obdarzam go miłością, którą ona nie może go już obdarzyć. Margaret Neville po dziś dzień zwraca się do mnie per „pani matko”, a młody John Neville wciąż często do mnie pisuje. Mam więc pewność, że i dla dzieci króla okażą się dobrą macochą. Kierując się intuicją, traktuję Edwarda jak członka rodziny, jakby już mi w pełni ufał, i staram się zawsze zachowywać przy nim swobodnie i beztrako.

Walcząc wpród o swe miejsce w świecie – pod dachem najpierw opryskliwego świekra, następnie oziębłego i często nieobecnego męża – jeszcze zanim pojawiłam się na dworze królewskim jako wdowa bez



znaczenia, rozumiałam, że najważniejsze ze wszystkiego jest mieć kogoś, przy kim można być sobą. Dlatego teraz, ilekroć Edward zachodzi do mej komnaty gościnnej, gdzie wysłuchuję petycji, witam w nim zarówno księcia, jak i małego chłopca. Usadzam go sobie na kolanach, aby miał z podwyższenia lepszy widok, aby wszystko słyszał i widział i mógł ze mną szeptać, aby czuł się dzieckiem, którym przecież jest, a nie jakimś manekinem, za którym wszyscy wodzą wzrokiem, oceniając, na ile może się im przydać.

- Katarzyno, spełniasz moje wszelkie oczekiwania - mówi zniecierpliwiony król, pojawiwszy się w mojej komnacie późno pewnego razu.

Sądząc, że spędzi noc u siebie, przyszykowałam się już na spoczynek razem z towarzyszącą mi panną dworską, która teraz pośpiesznie dyga i wypada za drzwi, zamykając je szczelnie ze sobą.

- Dziękuję - odpowiadam lekko zaskoczona.

- Obdarzę cię jeszcze większym zaufaniem - oznajmia, układając się w łóżku. Na moją próbę pomocy unosi dłoń i rzuca: - Nie, sam dam radę... - Moment później siedzi już wsparty wysoko na poduszkach. - Zatrószysz się o królestwo pod moją nieobecność. Tomasz Seymour wszystkim się zajął: zawarliśmy sojusz z Niderlandami i z Hiszpanią, dzięki czemu możemy wypowiedzieć wojnę Francji.

Kiedy z nagłą w rozmowie pada imię mojego kochanka - a ja siedzę na łóżku prawie naga, okryta tylko cienką nocną szatą - czuję, jak przechodzi mnie niemal fizyczny dreszcz, całkiem jakby ktoś gwałtownie mną potrząsnął albo zakrzyknął głośno prosto w moje ucho. Spostrzegam, że Henryk przygląda mi się badawczo.

- Przestraszyłem cię? - pyta. - Co się stało? Pobladłaś cała!

- To na myśl o wojnie - odpowiadam niepewnym tonem. - Na myśl o czekającym cię niebezpieczeństwie.

- Pójdę na wojnę - potwierdza. - Osobiście. Nie puszczę mojej armii samej. Poprowadzę ją do boju.

Na moment przymykam powieki. Tomasz wraca do Anglii. Skoro uzgodnił szczegóły traktatów, musi wrócić do Londynu po dalsze rozkazy. Spotka się z bratem, po czym razem wezwą pod broń swoich dzierżawców. Wszystko wskazuje na to, że się z nim zobaczą. Niemożliwe, żeby trzymał się ode mnie z daleka ani żebym ja go unikała. Będzie musiał oddać mi honory i złożyć gratulacje z okazji małżeństwa. Ja zaś będę musiała kiwać mu głową z obojętną miną...

Wzdrzgam się na tę perspektywę. Wszystko, co udało mi się osiągnąć - sukcesy z dziećmi króla, z dworzanami, z samym Henrykiem - osiągnęłam w przekonaniu, że już nigdy nie poczuję na sobie spojrzenia ciemnych oczu

Tomasza, że już nigdy nie podniosę wzroku i nie napotkam jego ciemnego spojrzenia. Nie ufam sobie dostatecznie, aby choć zmrzyć oko, kiedy on znajdzie się pod tym samym dachem. Nie wyobrażam sobie, abym miała zasnąć, kiedy on będzie gdzieś w pałacu, nagi, nie licząc cienkiego przykrycia, wyczekujący, aż rozlegnie się moje ciche pukanie do jego drzwi. Zgubię krok w tańcu, jeśli będzie na mnie patrzył. A co będzie, jeżeli znajdziemy się w jednej parze i będziemy musieli trzymać się za ręce? Czy zdołam się opanować pod wpływem jego dotyku? Co zrobię, kiedy obejmie mnie w pasie? Jak wyładuję na nogach, kiedy mnie poderwie w górę w haute danse? Jak się zachowam, kiedy poczuję jego ciepły oddech na policzku? Gdy pomoże mi zsiąść z grzbietu wierzchowca, będę musiała wesprzeć dłonie na jego ramionach. A czy on, korzystając z okazji, przytuli mnie do siebie, stawiając na ziemi?

Nie mam pojęcia, jak ukryć desperackie pożądanie, które do niego czuję. Nic nie przychodzi mi do głowy. Jestem wystawiona na ciągły widok, nigdy nie brakuje obok mnie ludzi. Nie ufam sobie dostatecznie, aby podać mu rękę do pocałowania i nie zdrzeć przy tym. Wiem, że dworzanie nabrali zwyczaju pilnego obserwowania swoich królowych. Moją poprzedniczką była Katarzyna Howard, uosobienie niewierności. Wszyscy będą się na mnie gapić, aby sprawdzić, czy nie idę w jej ślady...

- Pójdę na wojnę osobiście - powtarza Henryk.

- Och, nie... - protestuję słabo. - Mój mężu...

- Pójdę - ucina.

- Ale twoje zdrowie?...

- Mam dość sił. Nigdy nie wyślę armii do Francji samej. Muszę stanąć na jej czele. Żołnierze spojrzą śmierci w oczy u boku swego króla.

Doskonale wiem, co powinnam powiedzieć, jednakże czuję się zbyt otumaniona, aby sformułować jakiegokolwiek słowa. Potrafię myśleć jedynie o tym, że Tomasz Seymour wraca do Anglii, do domu, i że będzie mi dane znów go ujrzeć. Zastanawiam się, czy nadal o mnie myśli, czy nadal mnie pragnie, czy jego namiętność nie osłabła. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wyrzucił mnie z pamięci, czy - jak to mężczyzna - nie stłumił uczucia w swym sercu i nie powściągnął pożądanego, zapominając o mnie zupełnie. A może jednak, tak jak ja, wciąż usycha z tęsknoty? Ciekawe, czy będę miała okazję go o to zapytać.

- Czy raczej nie powinien dowodzić któryś z wielmożów? - pytam. - Wcale nie musisz brać udziału w walkach osobiście.

- O, zabiorę ze sobą ich wszystkich - zapewnia król. - Seymourów, Howardów, Dudleyów, żadnego z nich nie zabraknie. Twój brat zyska okazję

odpłacenia za tytuł, który mu nadałem, jadąc tuż u mego boku. Jednakże na czele armii stanę ja, nikt inny. Wróg ujrzy mój sztandar przy wkraczaniu do Paryża. Odzyskamy nasze ziemie na kontynencie. Będę królem Francji nie tylko tytułarnym.

Zaciskam dłonie, aby mi nie drżały na myśl o Tomaszu udającym się na wojnę.

– Będę się o ciebie martwić.

Henryk ujmuje mnie za rękę.

– Lodowataś! Aż tak się o mnie boisz? – Uśmiecha się szeroko. – Nie trwóż się, Katarzyno. Wrócę cały i zdrow. Odniosę zwycięstwo i przywiozę do domu tryumf. A ty pod moją nieobecność będziesz władała Anglią. Zostaniesz regentką, a w razie gdyby Stwórca zażądał ode mnie najwyższego poświęcenia... – urywa na moment, głos mu drży na myśl o mojej stracie, o stracie wszystkich Anglików – w razie gdybym został odebrany tobie, armii, królestwu, będziesz sprawowała rządy, dopóki Edward nie osiągnie pełnoletności.

Niech Bóg mi przebaczy, ale pierwsza myśl, jaka przychodzi mi wtedy do głowy, to że gdy Anglia straci króla, będę mogła bez przeszkód poślubić Tomasza. Dopiero potem myślę: zostanę regentką; zostanę najpotężniejszą niewiastą na świecie.

– Nie mów tak nawet. – Przykładam chłodne palce do jego ściągniętych w ciup ust. – Nie jestem w stanie znieść tej myśli.

To akurat jest prawda. Nie powinnam w ogóle o tym myśleć. Nie wolno mi marzyć o innym mężczyźnie, podczas gdy mój mąż odchyła się ciężko na poduszki, przyprawiając całe łóżo o trzeszczenie, i przywołuje mnie bliżej z twarzą lśniącą od potu i antycypacji.

Całuje czubki moich palców.

– Zobaczysz, że wrócę w chwale – obiecuje. – A ty dasz się poznać jako wierna żona i wierna pomocnica.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN WIOSNA 1544 ROKU



Biskup George Day zjawia się w moich komnatach ze zwojem w ręku.

– Mój sekretarz dokończył kopiowania – oznajmia tryumfalnie. – Stało się.

Oto czystopis.

Wręcza mi stronicę. Przez moment ważę je w dłoni, jakby to było moje nowo narodzone dziecko i jakbym chciała się upewnić co do jego ciężaru. Chociaż nigdy nie wydałam na świat dziecka, wyobrażam sobie, że to, co odczuwam, bliskie jest matczynej dumy. Spotkała mnie bowiem inna wielka radość. Odkryłam szczęście w zdobywaniu wiedzy. Jeszcze przez długą chwilę nie rozwijam kartek; wiem, czego się spodziewać, od dawna ich wyczekiwałam.

– Psalmy... – szepczę. – Psalmy biskupa Fishera.

– W twoim przekładzie – potwierdza duchowny. – Z łaciny na język angielski. Wyszły bardzo pięknie. Wyszły tak, jakby pierwszy psalmista postąpił się naszą mową ojczystą. To dobrze. Oddają cześć Bogu i tobie, najjaśniejsza pani. Oddają cześć świętej pamięci Johnowi Fisherowi, święć, Panie, nad jego duszą. Moje gratulacje.

Wolnym ruchem rozprostowuję zwinięte kartki i zaczynam czytać. Mam wrażenie, że poprzez czas słyszę chór głosów: prawieczne słowa hebrajskie,

ułożone przez psalmistę żydowskiego, anonimowo przełożone na grekę, następnie rozbrzmiewający łaciną dźwięczny, mądry głos biskupa męczennika, a na koniec mój własny, który unosi się znad zapisanych po angielsku wersów. Odczytuję jeden z psalmów:

*Niech żyje Pan! Moja Opoka niech będzie błogostawiona!  
Niech będzie wywyższony Bóg, mój Zbawca,  
Bóg, który zapewnia mi pomstę  
i poddaje mi narody,  
wybawia mnie od nieprzyjaciół,  
wynosi nad moich wrogów  
i uwalnia od gwałtownika.*<sup>[3]</sup>

- Czy na pewno powinno być „wynosi”? – zastanawiam się. George Day nauczony doświadczeniem milczy, czekając, aż sama sobie odpowiem. – „Wywyższa” byłoby powtórzeniem. „Wynosi” brzmi może nieco dziwnie, ale przynajmniej przykuwa uwagę.

- Mój sekretarz wprowadzi wszelkie zmiany, jakich sobie zażyczysz przed skierowaniem tekstu do drukarza – zapewnia mnie biskup.

- „Wynosi nad moich wrogów” – powtarzam szeptem. – To brzmi jak poezja. Niesie sens większy od znaczenia poszczególnych słów. Tak, tak chyba będzie dobrze. Nie wydaje mi się, aby trzeba było coś zmieniać. Podoba mi się brzmienie tych wyrazów... człowiek niemalże czuje szelest powietrza przy ruchu unoszenia... Prawda?

Biskup uśmiecha się. Nie ma podobnego wrażenia jak ja. Ale to nic.

- Nie, nie będę niczego zmieniać – postanawiam. – Ani w tym, ani w żadnym innym psalmie.

Podnoszę wzrok na biskupa, który kiwa głową, kontrapunktując moje słowa.

- Brzmi to czysto niczym *cantus planus* – stwierdza. – Czysto niczym dzwon. Jasno, szczerze i uczciwie.

Jasność ma dla niego większe znaczenie niż melodia poezji, ale to rozumiałe. George Day pragnie, aby zwykli Anglicy pojmowali znaczenie psalmów, które tak ukochał biskup Fisher. Mnie zależy na czymś więcej. Pragnę, aby te wersy rozbrzmiewały śpiewem, jak niegdyś w Ziemi Świętej. Pragnę, by dziewczęta z Kumberlandii, by chłopcy z hrabstwa Yorkshire

usłyszeli muzykę dawnego Jeruzalem.

- Opublikuję je w takiej postaci. - Mówiąc to, dygoczę na własną śmiałość. Z tym że jeszcze żadna niewiasta w Anglii nie opublikowała niczego pod własnym imieniem. Ledwie potrafię uwierzyć, że znalazłam w sobie dość odwagi, aby powstać, przemówić, rozpowszechnić własne słowa w szerokim świecie. - Tak zrobię. Zgodzisz się ze mną chyba, ekscelencjo? Nie masz nic przeciwko temu?

- Pozwoliłem sobie pokazać je Nicholasowi Ridleyowi - informuje mnie nieoczekiwanie George Day, wymieniając wielkiego reformistę i przyjaciela arcybiskupa Cranmera. - Był bardzo poruszony. Powiedział nawet, że to równie wielki dar dla angielskich wiernych jak Biblia, którą podarował poddanym najjaśniejszy pan. Powiedział, że psalmy te będą czytane i śpiewane w każdym kościele w Anglii, gdzie ksiądz zechce ukazać wiernym zarówno piękno, jak i mądrość Stwórcy. Powiedział, że jeśli przekonasz dwór i całe królestwo do nowego wyznania, zasłużysz na bycie świętą.

- Ale chyba nie męczennicą? - żartuję wisielczo. - Lepiej niech nikt się nie dowie, że to ja dokonałam przekładu. Lepiej nie opisywać wydania ani moim imieniem, ani imieniem żadnej z moich dworek, o księżniczkach Marii i Elżbiecie nie wspominając. Narobiłabym sobie wrogów, w pałacu i poza nim, gdybym dała jasno do zrozumienia, że moim zdaniem psalmy powinno się czytać po angielsku.

- Zgoda - przyznaje George Day. - Papiści rzuciliby się ciebie krytykować, a na nic ci się nie zda niechęć Stephena Gardinera. Zatem niech będą znane jako Psalmy Biskupie. Nikt nie musi wiedzieć, że to twoja światłość przywróciła je angielskiej mowie. Na szczęście mam zaufanego drukarza. Wie, że manuskrypt pochodzi ode mnie i że jestem twoim oddanym sługą, jednakże nie zna imienia prawdziwego twórcy. Ma o mnie wysokie mniemanie... bardzo wysokie, skoro myśli, że to ja mogłem dokonać tego dzieła. Zaprzeczyłem oczywiście, nie na tyle gwałtownie jednak, aby zaczął się rozglądać za faktycznym tłumaczem. Sądzę więc, że uda nam się je opublikować, nie ujawniając twojej tożsamości. Z tym że...

- Tak? - podchwytuję.

- Z tym że to wielka szkoda - rzecze ze szczerością w głosie. - W przekładzie znać ucho muzyka, czuć serce wiernego, widać rękę pisarza z prawdziwego zdarzenia. Każdy, to znaczy każdy mężczyzna, z dumą podpisałby te psalmy własnym imieniem. Byłby się nimi chwalił. Niesprawiedliwością mi się zdaje, że musisz ukrywać przed bliźnimi swój talent. Świętej pamięci Królowa Matka, Małgorzata Beaufort, babka miłościwego pana, zbierała przekłady i publikowała je.

Uśmiecham się gorzko.

– Cóż, ekscelencjo – mówię. – Omalże mnie przekabaciłeś na próżną stronę, lecz żaden Anglik, a już zwłaszcza żaden król nie zechce być pouczany przez niewiastę, nawet gdy ta jest królową. Małgorzata Beaufort była poza wszelkim podejrzeniem. Ja pójdę za twoją radą i będę czerpać radość z tego, że Psalmy Biskupie, przetłumaczone przeze mnie i przez moje dworki, przywodzą Anglików do Henrykowego Kościoła. Niech jednak zostaną wydane ku chwale waszej ekscelencji i jego królewskiej mości. Myślę, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli się ukażą bez mojego imienia wyrytego na oprawie. Po cóż się chwalić? Bezpieczniej jest nie obnosić się z tym, co nosimy w duszy...

– Najjaśniejszy pan cię wielbi. Byłby na pewno bardzo dumny... – Biskup przymierza się do tyrady, lecz przerywa mu stukanie do drzwi.

Prędko składa stronicę, ukrywając je przed wzrokiem wchodzącej Katarzyny Brandon, która dygnawszy przede mną i uśmiechnawszy się do niego, obwieszcza:

– Miłościwy pan cię prosi, wasza królewska mość.

Powstań na nogi.

– Idzie tutaj?

Katarzyna Brandon kręci głową w odpowiedzi, ale nic nie mówi. Biskup domyśla się, że dworka nic więcej nie powie w jego obecności. Zwinawszy manuskrypt z powrotem w zwój, podnosi się i rzecze, że zajmie się nim, tak jak uzgodniliśmy, po czym odprawiony moim skinieniem opuszcza komnatę.

– Z nogą mu się znowu pogorszyło – informuje Katarzyna Brandon, ledwie drzwi zamykają się za jałmużnikiem. – Mój małżonek, książę Suffolku, przesłał mi z rana wiadomość, po czym skierował pazia z życzeniem, abyś stawiła się w królewskiej komnacie prywatnej.

– Mam udać się do niego niepostrzeżenie? – pytam.

W pałacu Whitehall apartamenty króla i królowej są połączone sekretnym przejściem. Mogę zatem ruszyć przez wielką salę, oznajmiając wszem wobec, że idę do króla, bądź przemknąć się galerią tylko w towarzystwie jednej dworki.

– Zależy mu na dyskrecji – potwierdza Katarzyna. – Miłościwy pan nie chce, aby wszyscy się dowiedzieli, że znów słabuje.

Idzie przodem. Jest bywalczynią w królewskim pałacu od wczesnego dzieciństwa. Urodziła się jako córka najzaufanej dworki Katarzyny Aragońskiej, Marii de Salinas, obecnie zaś jest żoną najlepszego przyjaciela króla, Charlesa Brandona. Wychowując się, poznała sposoby na poruszanie się w dworskim labiryncie, tym materialnym i metaforycznym też. Bynajmniej

nie pierwszy raz odnoszę wrażenie, że postępuję śladem wybranej, lepszej od siebie niewiasty, której z urodzenia należy się pozycja na dworze.

- Czy medycy są przy nim?

- Przyszedł doktor Butts i doktor Owen, a jego aptekarz już przyrządza napar na złagodzenie bólu. Ale tym razem jest naprawdę bardzo źle. Chyba jeszcze nie widziałam go w takim stanie.

- Uraził ranę? Na powrót się rozklepiła?

Katarzyna Brandon potrząsa głową.

- Wygląda jak zawsze - odpowiada. - Musi być nieustannie otwarta, w przeciwnym razie jad przedostanie się do głowy i zabije go na dobre. Ale ilekroć rozszerzają jej brzegi drucikami bądź umieszczają w środku kawałki złota, jest gorzej niż poprzednio. Ponieważ znowu zaczęła się zasklepiać, musieli ją rozciąć, żeby upuścić ropy, i okazało się, że jest bardziej rozgniewana niż zwykle. Wrzód napuchł i stał się gorący, a nawet jakby większy. Od Charlesa wiem, że chyba zaatakował już kość. Król cierpi katusze, którym nic nie jest w stanie ulżyć.

Wzmagam czujność. Cierpiący król bywa nie mniej groźny od rozjuszonego dzika. Temperament ma wówczas rozgniewany równie mocno jak wrzód na ciele.

Katarzyna Brandon schodzi mi z drogi i dotyka delikatnie moich pleców, pokazując, że powinnam przekroczyć próg podwójnych drzwi łączących oba skrzydła.

- No dalej - zachęca mnie cicho. - Jedyna potrafisz dać sobie z nim radę.

Henryka zastaję w jego komnacie prywatnej. Podnosi wzrok na skrzygnięcie sekretnych drzwi i na mój widok mówi:

- Dzięki Bogu, jest już królowa. Wszyscy możecie zamilknąć i usunąć się w cień, chcę bowiem porozmawiać z moją żoną.

Otacza go spory tłumek. Widzę Edwarda Seymoura, który wydaje się zarumieniony i rozgniewany, oraz zadowolonego z siebie biskupa Gardinera. Domyślałam się, że ci dwaj właśnie się pokłócili, walcząc o lepsze miejsce przy królu, mimo że medycy oczyszczają mu ranę, wpychając w żywe ciało metalowe utensylia. Nie dziwi mnie więc, że Henryk jest czerwony niczym róża Lancasterów i ma oczy zwężone w zapłakane szparki wyzierające z oblicza wykrzywionego straszliwym grymasem. Charles Brandon, mąż mojej dworki Katarzyny, trzyma się na bezpieczną odległość.

- Jestem pewien, że jej królewska mość zgodzi się ze mną... - zaczyna gładko biskup Gardiner, na co Wriothesley kiwa głową i podchodzi nieco bliżej, jakby dla wzmocnienia efektu słów pryncypała.

- Jej królewska nie powie ani słowa - oznajmia wściekle Henryk. -



Będzie stała przy mnie, trzymając mnie za rękę i język za zębami, jak na dobrą żonę przystało. Ani mi się waży nakłaniać jej do czegokolwiek innego. Zresztą możecie wszyscy odejść.

Charles Brandon pośpiesznie kłania się królowi, kiwa mi głową z ręką na sercu, spojrzeniem żegna się z małżonką, po czym znika z komnaty prywatnej, gdzie atmosfera zdążyła stać się ciężka.

- Oczywiście - rzuca prędko Edward Seymour. Przeniósłszy wzrok na mnie, dodaje: - Ciesz się, że jej królewska moc już jest, aby nieść ci pociechę i ukojenie, miłościwy panie. W czas taki jak ten nie powinieneś zwracać sobie niczym głowy. Zwłaszcza że wszystkie sprawy są w najlepszym porządku.

- Jego królewska moc uspokoi się wyłącznie wtedy, gdy wszystko będzie idealnie. - Biskup Gardiner nie zdołał się ugryźć w język. - Jakże najjaśniejszy pan może mieć spokojną głowę, skoro przez radę królewską przetacza się tłum coraz to nowych ludzi? Skoro nieustannie trwa dochodzenie w sprawie herezji, która jest od nowa przedefiniowywana? Skoro wszyscy nic tylko bez końca dyskutują?...

- Już ich stąd wyprowadzę - odzywa się Tomasz Howard, zagłuszając jego słowa i zwracając się bezpośrednio do króla, jakby był jego jedynym przyjacielem. - Bóg świadkiem, że trudno ich zmusić do milczenia, nawet wyraźnym rozkazem. Gdyby dać im szansę, dręczyliby cię bez końca. - Wyszczera się do Henryka niczym wilk. - Powinieneś ich wszystkich skrócić o głowę.

Mój mąż wybucha śmiechem i potakuje energicznie, co sprawia, że Tomasz Howard jest górą i może wyprosić pozostałych z komnaty. Sam odwraca się w progu i mruga jeszcze do króla, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że tylko Howard jest w stanie sobie poradzić z nuworyszami. Gdy wreszcie drzwi się zamykają, w komnacie zapada głucha cisza. Katarzyna Brandon dyga przed królem, po czym zajmuje miejsce w okiennej ambraszurze, zwracając oczy na ogród. Anthony Denny zawisa nad nią. Poza nami jest jeszcze kilka osób, które rozmawiają między sobą bądź grają w karty. Wedle dworskich standardów Henryk i ja jesteśmy sami.

- Mężu, czy bardzo cierpisz? - pytam.

Kiwa głową w odpowiedzi.

- Nie są w stanie uśmierzyć bólu - skarży się gniewnie. - Nieuki.

Doktor Butts podnosi spojrzenie, przerywając prowadzoną ściszym głosem rozmowę z aptekarzem, wie bowiem, że przyjdzie mu wziąć winę na siebie.

- Wciąż to samo? - dopytuję. - Stara rana?

Henryk ponownie kiwa głową.

- Twierdzą, że jedynym wyjściem jest przyżeganie. - Spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby chciał, abym go uratowała. - Wszelako mam nadzieję, że zostanie mi to oszczędzone.

Przyżeganie oznacza, że ktoś przytknie do jego ciała rozżarzoną do czerwoności głownię, aby uporać się z zakażeniem. Oznacza to cierpienie większe niż przy znakowaniu piętnem złodzieja. Szczególne okrucieństwo w wypadku niewinnego człowieka.

- Ależ chyba to nie będzie konieczne? - zwracam się do doktora Buttsa.

Medyk potrząsa głową - sam nie wie.

- Jeśli zdołamy oszczędzić ranę i zapobiec jej zasklepieniu, najjaśniejszemu panu powinno się poprawić - mówi. - Dotąd zawsze udawało się ją oczyścić bez przyżegania. W żadnym razie nie ucieknę się do tego sposobu bez absolutnej potrzeby. Serce... - urywa.

Wyobrażam sobie, że doktor Butts wzdraga się przed wywołaniem równie potężnego wstrząsu u nadmiernie otyłego króla. Ujmuję Henryka za dłoń, a on odwzajemnia uścisk.

- Niczego się nie boję - zapewnia wyzywająco.

- Wiem - potwierdzam, aby dodać mu otuchy. - Jesteś z natury bardzo dzielny.

- Nie zmorzył mnie wiek ani choroba.

- To rana odniesiona podczas turnieju, prawda? Przed wielu laty?

- Tak. Doznałem uszczerbku na ciele w trakcie zmagañ. Jeszcze jako młody mężczyzna. Byłem zuchwały, bardzo zuchwały. I nieustraszony.

- Jestem pewna, że usiądziesz znów w siodle przed upływem miesiąca... równie zuchwały i nieustraszony jak zawsze - mówię z uśmiechem.

Henryk przyciąga mnie bliżej.

- To prawda, że muszę usiedzieć w siodle. Muszę powieść żołnierzy do Francji. Muszę wydobrzeć. Muszę wstać na nogi.

- Nie wątpię, że tak się stanie...

Kłamstwo z łatwością toruje sobie drogę przez moje gardło, choć bynajmniej nie mam pewności, czy faktycznie odzyska siły. Widzę, że z rany sączy się cuchnąca ropa, a w słoju wiją się czarne, wygłodniałe pijawki. Na pobliskim blacie stoją flakony, fiołki i moździerz z tłuczkami, w których aptekarz rozciera różne składniki, by następnie przygotować z nich napar. Przynajmniej jednak martwią mnie zafrasowane miny dwóch najlepszych medyków w królestwie. Doglądałam już wcześniej umierającego męża, wiem więc, jak wygląda komnata człowieka stojącego jedną nogą w grobie, aczkolwiek muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie czułam równego

smrodu. Z rany unoszą się opary rozkładu, jakie normalnie można spotkać w grabarni.

– Usiądź – prosi Henryk. – Usiądź przy mnie.

Przełykam wstręt, czekając, aż paż podsunie mi krzesło. Miłościwy pan zasiada na swoim wielkim tronie, z nogą jak zwykle wspartą na podnóżku i owiniętą bandażami dla osłabienia nieprzyjemnej woni, dla ukrycia faktu, że król Anglii powoli gnije za życia.

– Ogłoszę kolejność następców tronu – mówi do mnie cicho – zanim udam się do Francji.

Dociera do mnie, o co sprzeciali się doradcy. Postanawiam sobie, że nie okażę ni cienia obawy o losy księżniczek Marii i Elżbiety. Postanawiam, że nie dam poznać, jak wielkie nadzieje wiąże z decyzją króla. Przypuszczam, że dworzanie, którzy przed paroma chwilami opuścili komnatę, starali się przeforsować własnych kandydatów. Edward Seymour z pewnością optował za swym siostrzeńcem i imiennikiem, Tomasz Howard przekonywał o wyższości księżniczki Elżbiety, biskup Gardiner z Wriothsleyem upierali się przy tym, by druga w kolejności do tronu, po księciu Edwardzie, była księżniczka Maria.

Nie mają pojęcia, jak umiarkowana jest w swych poglądach, jak bardzo zainteresowana otwartą i rzeczową dysputą. Nie mają pojęcia, że ma duszę uczonej i że rozmawia ze mną o nowym przekładzie Ewangelii. Nie mają pojęcia, że księżniczka Elżbieta przeczytała już wszystkie psalmy biskupa Fishera, a nawet przetłumaczyła niektóre wersy pod moim okiem. Nie widzą w żadnej z nich niczego poza byciem figurantką dla ich zwolenników. Nie zdają sobie sprawy, że wszystkie mamy swój własny rozum. Gardiner sądzi, że jeśli do władzy dojdzie księżniczka Maria, przywiedzie Anglię z powrotem na łono Rzymu. Howard uważa, że Howardówna odda rządy Howardom. Nikt nie wierzy, że znaczą coś na tym dworze. Nikt nie widzi we mnie rozumnej istoty. A jednak mam szansę zostać regentką i wtedy to ja będę decydować, czy Anglicy wysłuchają mszy po łacinie czy po angielsku i co będą mówić księża w swoich kazaniach.

– Jakie jest twoje życzenie, mój mężu?

– Jakie powinno być twoim zdaniem? – odpowiada wymijająco.

– Myślę, że nie ma potrzeby, aby władca tak młody i silny jak ty w ogóle się kłopotał sprawami następstwa tronu – komplementuję go.

Henryk wskazuje na nogę.

– Jestem mężczyzną tylko w połowie – rzecze z goryczą.

– Polepszy ci się. Niedługo znów będziesz jeździł konno. Masz zdrowie i siły mężczyzny dwakroć od siebie młodszego. Zawsze wychodzisz obronną

ręką. Mimo tej rany żyjesz, pokonując ją co dnia. Zwycięzasz ją niczym jednego ze swoich wrogów.

Wydaje się usatysfakcjonowany moimi słowami.

- Niektórzy są innego zdania. - Poirytowany wskazuje brodą drzwi. - Niektórzy tylko czekają mojej śmierci.

- Myślą wyłącznie o sobie - potępiam ich, aby umocnić własną pozycję. - Czego by chcieli?

- Chcą dać pierwszeństwo własnej krwi - rzuca krótko. - Albo swojemu kandydatowi. Wszyscy jak jeden mąż liczą na władzę poprzez Edwarda.

Kręcę powoli głową, jakby pazerna ambicja dworzan mnie zadziwiła.

- A czego ty pragniesz, mężu? Najważniejsze jest to, czego ty pragniesz i co uważasz za właściwe.

Poprawia się na krześle, krzywiąc się z bólu. Nachyla się ku mnie i mówi niespodzianie:

- Mam na ciebie oko.

Jego słowa rozbrzmiewają w mojej głowie niczym dzwon na trwogę. Henryk ma na mnie oko. Co zobaczył? Manuskrypt z psalmami idący do drukarza? Poranki spędzane na naukach w towarzystwie księżniczek? Nawracający z każdą nocą koszmar o wąskiej, wilgotnej klatce schodowej z zamkniętymi drzwiami u szczytu? Marzenia na jawie o Tomaszu? Czyżbym mówiła przez sen? Czyżbym nieopatrznie wypowiedziała imię kochanka? Czyżbym okazała się aż tak niemądra, aby leżąc u boku króla, szepnąć imię innego mężczyzny?...

Przełykam ciężko, czując, że drapie mnie w gardle.

- Ach tak?

Potakuje skinieniem.

- Widzę, że poświęcasz wiele uwagi Elżbiecie i że zaprzyjaźniłaś się z Marią. Widzę, że obydwie cieszą się nawzajem swoim towarzystwem. Widzę, że pod twoimi skrzydłami dosłownie rozkwitają.

Kiwam głową, ale milczę przez brak śmiałości. Nie mam pojęcia, do czego Henryk zmierza.

- Widzę, że nie zaniedbujesz Edwarda. Ponoć wymieniacie liściki po łacinie, w których mój syn pisze, że jest twoim nauczycielem.

- To taki żart - uśmiecham się. - Nic więcej.

Nie potrafię ocenić, czy król jest zadowolony z zadzierzgających się między nami więzi czy raczej zły o to, że staram się użyć jego dzieci do własnych celów, jak reszta dworzan. Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

- Uczyniłaś rodzinę z trojga dzieci z różnych matek - stwierdza. W dalszym ciągu nie wiem, czy to dobrze czy źle w jego mniemaniu. -

Zbliżyłaś syna anielicy, córkę ladaczniczki i pierworodną hiszpańskiej infantki.

– Wszystko to dzieci jednego wielkiego ojca – mówię słabo.

Wystrela ręką, jakby chciał złowić muchę, i zaciska palce na moim nadgarstku, zanim zdąży choćby drgnąć.

– Jesteś pewna? – pyta. – Jesteś pewna co do Elżbiety?

Niemalże czuję woń własnego strachu przebijającą przez wszechogarniający odór rany. Wspominam matkę Elżbiety, Annę Boleyn, drżącą o swoje życie podczas letniego turnieju, aczkolwiek nie mającą pojęcia, z której strony nadejdzie zagrożenie.

– Pewna...?

– Masz pewność, że nie przyprawiono mi rogów? – rzuca bez ogródek. – Nie sądzisz, że jest dzieckiem innego mężczyzny? Zaprzeczasz winie jej matki? Przecież skazałem ją za to na ścięcie.

Elżbieta to skórka zdarta z ojca. Ma miedziane włosy, jasną karnację, ściągnięte w ciup usta. Gdybym jednak zaprzeczyła winie Boleynówny, oskarżyłabym króla Anglii o żonobójstwo, o bycie zazdrośnikiem, który skazał na śmierć niewinną niewiastę na podstawie plotek zawistnych akuszerki.

– Czegokolwiek Anna Boleyn się dopuściła w późniejszych latach, wierzę, że to ty spłodziłaś Elżbietę – odpowiadam, ostrożnie dobierając słowa. – Jest do ciebie taka podobna. To urodzona Tudorówna.

Zamaszyście potakuje, łakomy pociechy.

– Kimkolwiek była jej mać, nikt nie zdoła zaprzeczyć jej ojcostwu – dopowiadam.

– Dostrzegasz w niej moje odbicie?

– Wystarczy wziąć jej erudycję – mówię, odmawiając Boleynównie niezwyklej inteligencji i odczytania w sprawach religijnych, byle zapewnić bezpieczeństwo jej córce. – Tak samo jak ty, najjaśniejszy panie, przepada za księgami i ma łatwość do języków.

– Mówisz to, zgromadziwszy wszystkie moje dzieci razem, czego jeszcze nikt nie dokonał?

– Mężu, uczyniłam to, ponieważ pomyślałam, że takie jest twoje życzenie.

– Zgadza się – potwierdza po chwili milczenia. W brzuchu mu burczy, słyszę to wyraźnie, po czym na dokładkę beka. – Zgadza się.

Dolatuje mnie jego nieświeży oddech.

– Ciesz się, że udało mi się uczynić coś dobrego przez wzgląd na miłość do ciebie i twoich dzieci – odzywam się ostrożnie. – Chciałam, aby wszyscy poddani ujrzeli, jaką piękną masz rodzinę.

Kiwa ponownie głową.

- Przywróć dziewczynkom należną im pozycję - oświadczają. - Od tej pory mają być oficjalnie uznawane za księżniczki i następczynie tronu. Maria będzie druga w kolejności po Edwardzie, na wypadek gdyby umarł bezpotomnie... co niech Bóg broni. Po niej będzie Elżbieta, po niej zaś moja siostrzenica Małgorzata Douglas ze Szkocji.

Wbrew woli Najwyższego i wbrew tradycji jest, aby król wyznaczał tych, którzy mają przyjąć po nim. To Pan Bóg wybiera królów, tak jak uczynił w wypadku Henryka, który był tylko drugim synem, pierwszej zabierając na swoje łono pierworodnego Artura i nie obdarzając go potomstwem. To Pan Bóg powołuje władcę do korony, to Pan Bóg decyduje, kto kiedy się urodzi i jak długo przeżyje. Skoro jednak ten król jest głową angielskiego Kościoła, kto mu zabroni wyznaczyć swoich następców? Z całą pewnością nie ci wielmożowie, których wyrzucił ze swej komnaty za czcze sprzeczki. Z całą pewnością nie ja.

- Królem zostanie książę Edward - potwierdzam - a po nim jego nienarodzone jeszcze dzieci, które się pojawią na świecie.

- Niech Bóg im błogosławi - rzecze Henryk mgliście. Po chwili milczenia dodaje: - Wiecznie się o niego martwię... Wydała go na świat święta, wiesz.

- Wiem - potakuję. Znowu ta Joanna! - Świeć, Panie, nad jej duszą.

- Nie mogę przestać o niej myśleć. Wciąż mam w pamięci jej słodycz i jej przedwczesną śmierć. Zmarła, żeby obdarzyć mnie potomkiem, zmarła, służąc mi...

Kiwam głową, jakbym była przejęta ogromem jej poświęcenia.

- Ilekroć słabuję, ilekroć leżę złożony chorobą, myślę, że przynajmniej znów będziemy razem.

- Nie mów tak - proszę, ten jeden raz całkiem szczerze.

- Ludzie rozpowiadają okropne rzeczy. Twierdzą, że jest jakaś klątwa, utrzymują, że jest klątwa, że klątwa ciąży na męskich potomkach dynastii Tudorów.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - stwierdzam stanowczo.

To oczywiście nieprawda. Nasłuchiwałam się o klątwie na Północy, gdzie rebelianci gadali, że dynastia Tudorów wygaśnie przez to, co uczyniła Kościołowi i Plantagenetom. A Henryka nazywali potworem, monstrualnym kretem, który podkopuje własne królestwo.

- Jesteś pewna? - pyta z nadzieją.

Potakuję skinieniem. Wszyscy uważają, że dynastia Tudorów jest przeklęta, odkąd zamordowano książąt z Tower. Albowiem jak niby morderca może być pobłogosławiony przez Boga? Wiedząc to, jakże Henryk może planować przyszłość, on, który zamordował potomków Plantagenetów:

Małgorzatę Pole, jej niewinnego syna i wnuka? On, który kazał stracić dwie żony na podstawie tylko podejrzeń?

- Niczego podobnego nie słyszałam - powtarzam z emfazą.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Mimo wszystko muszę mieć baczenie na Edwarda. Muszę chronić go przed skrytobójcami, przed chorobami, przed urokiem. Pilnuję go niczym największego skarbu.

- Ja także będę go pilnować - obiecuję.

- Zatem zawierzmy Edwarda Najwyższemu, módlmy się, aby dochował się on silnych synów, a tymczasem ja przedłożę w parlamencie projekt ustawy wyznaczającej Marię i Elżbietę na jego następczynię w razie najgorszego.

Anglia jeszcze nigdy nie miała panującej królowej, lecz nie zamierzam mu tego wytykać. Nie wiem, jak podnieść kwestię tego, kto zostanie lordem protektorem niepełnoletniego Edwarda. To by się równało sugestii, że Henryk może umrzeć w ciągu najbliższych jedenastu lat, a przecież mój mąż nawet nie chce o czymś takim słyszeć.

Uśmiecham się więc tylko.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, mężu. Księżniczki ucieszą się, usłyszawszy, że znalazły się w twoich łaskach. To będzie znaczyć dla nich więcej niż miejsce w kolejce do tronu. Albowiem pragną jedynie twojej miłości i twojego uznania, najjaśniejszy panie. Są takie dumne ze swego ojca...

- Wiem - wpada mi w słowo. - Dzięki tobie to rozumiem. Choć z początku byłem zdziwiony.

- Zdziwiony?

Robi niewyraźną minę. Przez moment jest rozczulająco bezbronny, jak każdy rodzic, a nie tyraniczny władca.

- Dotąd musiałem w nich widzieć albo następczynię tronu, albo pretendenci - wyjaśnia, szukając słów. - Pojmujesz? Wiecznie musiałem się przejmować, czy je uznać czy skazać na zapomnienie. Miałem przed oczyma ich matki, słyszałem w uszach echo kłótni z nimi. Podejrzywałem je, jakby były moimi przeciwniczkami. Jeszcze nigdy nie podjąłem ich w pałacu, obu naraz, wspólnie z ich książęcym bratem. Nie widziałem w nich, żadnym z trojga, swoich dzieci. Dostrzegałem tylko to, czym są.

Dopada mnie ogromne, absurdalne wzruszenie.

- Każde z nich to dziecko, które napawa dumą - mówię Henrykowi. - Każde z nich to twoje dziecko, godne miłości.

- Przy tobie to zrozumiałem - powtarza. - Ty traktujesz Edwarda jak małego chłopca, Elżbietę jak małą dziewczynkę, a Marię jak młodą niewiastę. Teraz widzę ich twoimi oczyma. Po raz pierwszy potrafię patrzeć na nie obie

nie przez pryzmat ich trucicielskich matek... – Ujmuje mnie za rękę i obsypuje je pocałunkami. – Dziękuję ci, Katarzyno. Z całego serca ci dziękuję.

– Najdroższy... – wyrywa mi się bezwiednie.

– Kocham cię, Katarzyno – oznajmia mi. Na co odpowiadam bez zastanowienia:

– Ja też ciebie kocham, Henryku.

Przez moment siedzimy ze splecionymi rękoma, zjednoczeni czułością, aż król zwęży oczy w szparki, gdy przechodzi go paroksyzm bólu.

– Czy mam ci pozwolić odpocząć? – pytam.

Potakuje skinieniem. Anthony Denny natychmiast zrywa się na nogi, aby wyprowadzić mnie z komnaty, a ja widząc jego spokojną twarz, gdy popatruje na monarchę bez cienia zdziwienia, zdaję sobie sprawę, że wiedział o wszystkim przede mną. Denny to zausznik i przyjaciel Henryka, jeden z najbardziej zaufanych. Jego opanowanie uświadamia mi, że podczas gdy lekką ręką feruję wyroki na temat Howardów, Wriothesleya i Gardinera, nazywając ich ambitnymi głupcami, w otoczeniu króla są i tacy, którzy mogą oddać podobnie niedźwiedzią przysługę mnie. I że Anthony Denny należy do grupki mężczyzn, którzy urosli dzięki łaskom Henryka, a teraz mają u niego posłuch i mogą szeptać mu różności w zaciszu komnaty prywatnej tak samo jak ja.

Z przyjemnością przekazuję królewskim córkom nowinę, że odtąd znów będą oficjalnie uznawane za księżniczki. Rozmawiam z każdą osobno. Mam świadomość, że przez to ponownie staną się swoimi rywalkami i że zarówno jedna, jak i druga może zasiąść na tronie wyłącznie w wypadku śmierci swego brata i że Elżbieta ma szansę na koronę tylko w mało prawdopodobnej sytuacji, gdy najpierw z życiem pożegna się jej młodszy brat, a następnie starsza siostra.

Nachodzę tę ostatnią podczas nauki w mojej komnacie prywatnej, gdzie przebywa w towarzystwie swojej kuzynki Lady Jane Grey oraz ich preceptora Richarda Coxa. Odwoławszy ją na stronę, przedstawiam decyzję króla jako przejaw jego łaski. Jak łatwo było przewidzieć, Elżbieta bezzwłocznie zapala się do perspektywy swego dziedzictwa.

– Myślisz, że niewiasta może włączyć królestwem? – pyta mnie. – Sama nazwa wskazywałaby raczej, że nie. **K r ó l e s t w o** – sylabizuje.

Bystrość tej dziesięciolatki wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– W razie jeśli kiedykolwiek zostaniesz powołana do rządzenia tym czy innym królestwem, nabierzesz przymiotów i zalet mężczyzny. Śmiało będziesz



mogła nazywać się księciem – zapewniam ją. – Posiędziesz wiedzę każdej mądrej niewiasty: jak przybrać władzę i odwagę męczyzny, nie zapominając, że jesteś białogłową. Możesz bowiem mieć wykształcenie księcia, możesz mieć umysł i nerwy króla, a jednak pozostaniesz w ciele słabej i zmiennej niewiasty.

– Kiedy to nastąpi? Kiedy odzyskam tytuły?

– Ustawa musi zostać przegłosowana w parlamencie.

Elżbieta kiwa głową.

– Czy Maria już wie?

Istna Tudorówna z tej małej. Zadaje pytania godne dyplomaty: kiedy wieść zostanie ogłoszona oficjalnie i która córka dowiedziała się pierwsza.

– Właśnie zamierzałam do niej pójść – odpowiadam. – Zaczekaj tutaj.

Starszą z księżniczek znajduję w mej komnacie gościnnej, gdzie wyszywa swoją część obrusa na ołtarz, nad którym ostatnio pracujemy. Zleciła wypełnienie nudnego niebieskiego tła jednej z dworek, sama zaś mozoli się z kwiatuškami biegnącymi wzdłuż skraju. Wszystkie obecne dworki wstają i kłaniają się na mój widok, kiedy wyłaniam się z komnaty prywatnej, ale na mój znak wracają do pracy. Żona Anthony’ego Denny’ego, Joan, czyta z manuskryptu nasze przekłady psalmów Fishera, z czego korzystając, odwołuję Marię na stronę, abyśmy mogły porozmawiać na osobności. Gdy zasiadamy na ławie w okiennej ambraturze, stykając się kolanami, moja pasierbica wbija we mnie wzrok.

– Mam dla ciebie doskonałe wieści – zaczynam. – Dowiesz się wszystkiego od panów rady, jednakże ja chciałam sprawić ci niespodziankę. Najjaśniejszy pan postanowił ogłosić kolejność dziedziczenia, przy czym zapadła decyzja, że odtąd będziesz oficjalnie nazywana księżniczką i że odziedziczysz koronę po Edwardzie.

Dziewczyna spuszcza wzrok, ocieniając ciemne oczy rzęsami, a ja widzę, że porusza bezgłośnie wargami w modlitwie dziękczynnej. O jej wyjątkowym wzruszeniu świadczy jedynie wypełzający na jej lica rumieniec. Nie bierze się ono wszakże z perspektywy objęcia władzy – Maria nie podziela ambicji młodszej siostry.

– Zatem koniec końców przyznaje, że moja matka była dziewicą – stwierdza wprost. – Wycofuje postulat, że nie byli małżonkami w oczach Boga. Ponieważ Katarzyna Aragońska i Artur Tudor nie skonsumowali swego małżeństwa, wdowa po nim mogła bez przeszkód poślubić jego brata.

Kładę dłoń na jej kolanie, aby ją uciszyć.

– Najjaśniejszy pan nie zająknął się na ten temat, ja także nic nie powiedziałam, powinnaś więc w tej sprawie milczeć. Uczynił cię księżniczką,

podobnie jak Elżbietę, która w kolejności do tronu jest po tobie, po niej zaś Małgorzata Douglas. Nie było mowy o małżeństwie Katarzyny Aragońskiej ani o jej odsunięciu.

Maria otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko kiwa głową. Każdy z odrobiną oleju w głowie rozumie, że skoro król uznaje obydwie córki, musi akceptować fakt ważności małżeństwa z ich matkami. Jednakże moja wysoce inteligentna podopieczna wie, że Henryk nie należy do tytanów logiki. Henryk nagina rzeczywistość do własnego widzimisię. Dziś postanowił, że Maria i Elżbieta są księżniczkami, podobnie jak wcześniej uznał je za bękarty – wszystko to pod wpływem chwili, bez powodu.

– A więc mogę się spodziewać, że zechce wydać mnie za mąż – odzywa się, zmilczawszy. – Tak samo jak Elżbietę. Skoro jesteśmy księżniczkami, możemy wyjść za królów.

– Owszem – potakuję z uśmiechem. – Nie pomyślałam o tym. To z pewnością będzie następny krok. Nie wiem jednak, czy łatwo się z wami pożegnam.

Maria nakrywa moją dłoń smukłymi palcami.

– Nie chcę cię opuszczać – mówi. – Ale najwyższa pora, abym wyszła za mąż. Potrzebny mi własny dwór. Potrzebne mi dziecko, które mogłabym kochać.

Przez moment siedzimy ze splecionymi rękoma.

– Księżniczka Maria... – Kręcę głową z niedowierzaniem. – Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że odzyskałaś to, co ci się z urodzenia należy, i że nareszcie mogę cię nazywać głośno tak, jak zawsze o tobie myślałam. Moja matka nigdy nie mówiła o tobie inaczej niż o księżniczce ani nie myślała inaczej o twojej matce niż o wielkiej królowej.

Mrugnięciem przepędza łzy z oczu. Rzecz ze smutkiem:

– Moja matka byłaby uradowana, gdyby dożyła tego dnia.

– To prawda – przyznaję. – Odziedzyczyłaś po niej pochodzenie i mądrość. Ani jednego, ani drugiego nikt ci nigdy nie odbierze.

Hiszpański diuk Don Manriquez de Lara ma przybyć z wizytą na dwór królewski, pomimo że mój mąż nie czuje się zdrow.

– Będziesz musiała zapewnić mu rozrywki – rzecz zirytowany Henryk. – Ja nie dam rady.

Bierze mnie przez zaskoczenie.

– Jak to? – pytam.

– Złóż mi wizytę. Przyjmę go w swojej komnacie prywatnej, ale

odwiedziny potrwać najwyżej parę chwil. Więcej bym nie zniósł. Rozumiesz?

Kiwam głową. Henryk przemawia przez ściśnięte gniewem gardło. Wiem, że humor warzy mu doskwierający ból i własna niemoc. W takim nastroju jest gotów naskoczyć na każdego. Rozglądam się po komnacie; widzę paziów podpierających ściany i wyjątkowo ścichłego błazna. Dwaj sekretarze wbijają wzrok w dokumenty, jakby nie śmieli podnieść spojrzenia.

- Diuk może spożyć wieczerzę wspólnie z twoim bratem i młodym Howardem. To przecież kwiat mojego dworu, przystojni, weseli mężczyźni. Powinni być dla niego dostatecznie dobrzy. Zgodzisz się ze mną?

- Tak, wasza królewska mość - odpowiadam.

Mówiąc „młody Howard”, ma na myśli najstarszego syna księcia Norfolku. Człowiek ten, wielki z urodzenia, nie uczynił w swoim życiu nic, aby zasłużyć na zaszczyty, które na niego spływają. Jest zadufany w sobie, próżny, szukający zwady i mający się za lepszego od innych. Ale nada się w sam raz na towarzystwo dla drugiego nadętego przystojniaka.

- Później diuk może przejść do twoich apartamentów, gdzie uruczysz go muzyką, tańcami i wszelkimi innymi rozrywkami, jakie przyjdą ci do głowy. Podołasz temu zadaniu?

- Tak, wasza królewska mość.

Kiedy Anthony Denny zerka znad stołu przy oknie, gdzie przepisuje królewskie rozkazy, które mają trafić w ręce różnych doradców i ochmistrzów, odwracam wzrok, aby nie widzieć współczucia na jego twarzy.

- Będzie ci towarzyszyć księżniczka Maria. Posługuje się biegle językiem hiszpańskim, a zresztą jest uwielbiana przez wzgląd na jej matkę. Chapuys, ten stary lis, przywiedzie diuka do twoich komnat i dopilnuje, aby wszystko odbyło się gładko. Ty nie musisz sobie zawracać głowy hiszpańszczyzną, wystarczy, że będziesz mówić po francusku i po angielsku.

- Oczywiście.

- Tylko niech diuk nie szepcze z Marią. Masz być wobec niego uprzejma, ale nie podsuwaj mu jej pod nos.

Potakuję skinieniem.

- Odziejesz się wystawnie, po królewsku. Nie zapomnij o koronie. Gdy się odezwiesz, przemawiaj głosem pełnym władczości. Jeśli zabraknie ci słów, zmilcz. Nie ma nic złego w milczącej niewieście. Ale ogólnie musisz wyrzeć imponujące wrażenie. Pojmujesz?

- Tak, wasza królewska mość. Jestem pewna, iż zdołamy pokazać, że dwór angielski nie ustępuje w niczym innym europejskim dworom.

W końcu Henryk spogląda wprost na mnie, a mars na jego czole wygładza się. Znika gdzieś wyraz cierpienia wyryty między piaskowymi

brwiami, w jego miejsce zaś pojawia się tak dobrze mi znany czarujący uśmiech.

- I że Anglia ma najpiękniejszą królową - dodaje cieplejszym głosem. - Nawet jeśli na tronie zasiada schorowany, stary rozeźlony ogier będący jej mężem.

Podchodzę do niego i ujmuję go za rękę.

- Wcale nie taki stary - zaprzeczam cicho. - I wcale nie taki schorowany. Czy chcesz, najjaśniejszy panie, abym pokazała ci się pierwszej w sukni, w której wystąpię na spotkaniu z ambasadorem? Czy chcesz mnie zobaczyć pięknie odzianą dzięki własnej wspaniałomyślności?

- Tak, przyjdź wcześniej do mnie. Obwieszona diamentami.

Wybucham śmiechem, na co Denny podnosi spojrzenie na dłużej i obdarza nas oboje uśmiechem, widząc, że udało mi się przywrócić królowi dobry humor.

- Życzę sobie, abyś kłuta ich w oczy moim bogactwem - dopowiada Henryk. Choć się uśmiecha, mówi zupełnie poważnie. - Wszystko, co na siebie włożysz, zostanie opisane na dworze w Hiszpanii, wszystko, co powiesz, zostanie powtórzone. Życzę sobie, aby nabrali przekonania, że dysponujemy niewyobrażalnym bogactwem, że stać nas na wojnę z Francją, że jesteśmy nawet w stanie nagiąć Szkocję do własnej woli.

- A jesteśmy? - pytam szeptem tak cichym, że nawet Denny skrobiący coś w dalszym ciągu przy stole pod oknem nie słyszy moich słów.

- Nie - odpowiada Henryk szczerze. - Ale musimy udawać niczym aktorzy biorący udział w maskaradzie. Musimy przywdziać fałszywe szatki. Zarówno królowanie, jak i wojowanie sprowadza się w głównej mierze do pozorów.

\*

Robię, co mogę.

- Królowa błyskotka - zauważa moja siostra Anna, podczas gdy panny dworskie obwieszają mnie naszyjnikami i złotymi łańcuchami przy pasie i nakładają mi na palce pierścienie z diamentami i rubinami.

- Nazbyt krasna? - pytam, spoglądając w lustro, w którym odbija się jej wstrząśnięte oblicze.

- Mów jak człowiek! - wybucha. - Porzuć tę wiejską mowę, do której przywykłaś! Nie, nie wyglądasz zbyt krzykliwie. Przecież kazał ci się wystroić.

Henrykowi zależy na sojuszu z Hiszpanią, żeby móc pójść na wojnę z Francją. Twoje zadanie polega na tym, aby przekonać Hiszpanię, że stać go na wypowiedzenie wojny Francji. Same twoje pierścienie są warte tyle co żołd wszystkich żołnierzy. – Odstępuje o krok i obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów. – Piękna... – kwituje. – Najpiękniejsza ze wszystkich królowych.

Moja pasierbica po baronie Latimerze podchodzi do mnie ze szkatułą w dłoniach.

– Korona – rzecze, wyraźnie pod wrażeniem.

Nakazuję sobie zachować spokój, podczas gdy Anna otwiera szkatułą i wyciąga na wierzch koronę Boleynówny, po czym odwraca się do mnie. Prostuję się pod ciężarem klejnotu, a następnie przeglądam w lustrze. Zwierciadło z polerowanego srebra ukazuje ciemnowłosą piękność o szarych oczach i łabędziej szyi, z diamentami w uszach i rubinami na dekolcie; piękność, której głowę zdobi paskudna błyszcząca ciężka korona. Przez nią wydaję się jeszcze wyższa niż w istocie. Myślę sobie, że przypominam królową zjawę, królową ciemności, królową ze szczytu mrocznej wieży. Równie dobrze mogłabym być jedną z własnych poprzedniczek – czuję się bowiem tyleż wybrana, co przeklęta...

– Cemu nie włożysz po prostu złotego kornetu? – pyta Anna, widząc moją minę.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, odpowiadam:

– Muszę wystąpić w koronie. Jestem królową. W każdym razie dziś.

Noszę koronę przez cały wieczór. Zdejmuję ją tylko wtedy, gdy oszołomiony diuk prosi mnie o taniec i Anna podaje mi szybko kornet, aby zakryć moją nagą głowę. Spotkanie należy do udanych; wszystko przebiega po myśli Henryka. Młodzi dworzanie są uroczy i weseli, śliczne dworki – pełne gracji. Księżniczka Maria rozmawia z diukiem i z ambasadorem po hiszpańsku, jednakże poza tym zachowuje się w każdym calu jak angielska następczyni tronu. Ja mam wrażenie, że zbliżyłam się o krok do ideału królowej małżonki: nie tylko reprezentuję monarchę, ale też go zastępuję. Kto powie, że nie jestem zdolna do rządzenia?

Najjaśniejszy pan życzy sobie, abym sypiała bliżej niego, podczas gdy nocami trapi go ból. Służący przenoszą moje wspiane łożo z haftowanym baldachimem do komnaty przylegającej bezpośrednio do komnaty sypialnej króla. Zabieram ze sobą także stół, krzesło i klęcznik. Gestem nakazuję zostawić na miejscu skrzynię z księgami, szkatułkę z przyborami do pisania, rękopisy, zwoje i wydane drukiem przekłady psalmów biskupa Fishera. Wprawdzie nie czytam niczego, czego nie aprobowałby Henryk i jego rada, ale wolę nie przyciągać niczyjej uwagi do mojej stale się powiększającej biblioteki pism teologicznych ani pokazywać, że interesuję się głównie wczesnymi latami Kościoła i historią reformacji lat ostatnich. Wydaje mi się ona jedynym tematem naprawdę godnym uwagi uczonych, kluczowym zagadnieniem współczesności. Właściwie każdy, kto się liczy, zastanawia się nad tym, w jaki sposób Kościół odszedł od prostoty i świętości pierwszych wieków, a wszystkie pisma i dysputy toczą się wokół właściwej drogi prowadzącej do Pana naszego, Jezusa Chrystusa, czy to w obrębie Kościoła rzymskiego, czy też innych wyznań. Teolodzy tłumaczą dokumenty opowiadające o organizacji Kościoła wczesnochrześcijańskiego i przedstawiają coraz więcej przypowieści i ewangelii ukazujących, jak można przeżyć dobrze swoje życie na tym świecie i w jaki sposób władza ziemską powinna towarzyszyć władzy kościelnej. Jestem zdania, że Henryk słusznie przypisał sobie zwierzchnictwo nad Kościołem w Anglii. Przecież to król jest panem swoich ziem, zabudowań kościelnych nie wyłączając. Nie może być oddzielnego prawa dla ludu i oddzielnego dla duchownych. Kościół powinien sprawować rządy nad sprawami duchowymi, podczas gdy monarcha winien zawiadywać sprawami doczesnymi. Chyba wszyscy się z tym zgadzają.

- Nie do końca - rzecze Katarzyna Brandon, najzacieklejsza reformistka wśród moich dworak. - Wielu jest temu przeciwnych. Z tego część ma posłuch u miłościwego pana. I ta część rośnie ostatnimi czasy w siłę. Utraciła na znaczeniu, kiedy miłościwy pan sprzymierzył się z arcybiskupem Cranmerem, ale zaczęła znów dochodzić do głosu po tym, jak biskup Gardiner odzyskał wpływy na dworze. Przywrócenie tytułu księżniczce Marii ucieszy Rzym, a Hiszpanię to, że znów zabiegamy o jej względy, choćby mówiąc o sojuszu i respektując ponownie hiszpańskiego ambasadora. Niejeden królewski doradca został przekupiony przez Rzym, by wywierał na miłościwego pana wpływ z myślą o tym, żeby go namówić do oddania angielskiego Kościoła Watykanowi, co by nas zawróciło do punktu wyjścia, a wszystko to pod pretekstem, że wtedy pozostawalibyśmy w zgodzie z resztą liczących się krajów. Tymczasem na prowincji mieszkają tysiące ludzi, którzy nic z tego nie rozumieją, a tylko chcą odzyskania swoich przydrożnych

kapliczek i posągów i obrazów w parafiach. Nieszczęśni głupcy nie chcą się nawet wysilić i trochę pogłótkować. Wołają, aby wrócili mnisi i mniszki, zajął się nimi i powiedzieli im, co mają myśleć.

– Cóż, ja na pewno nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, co myślę – przerywam jej śmiało. – Dlatego zostawiam księgi zamknięte w skrzyni pod twoją pieczęcią, Katarzyno.

Na moje słowa wybuchła śmiechem i pokazuje mi klucz na łańcuszku przy swoim pasie.

– Nie wszyscy jesteśmy równie beztroscy jak ty – mówię, ona zaś gwizdże na swojego pieska, którego nazwała imieniem biskupa.

– Mały niemądry Gardiner przybiega na zawołanie i siada, gdy mu kazać – oznajmia.

– W mojej obecności ani go nie wołaj, ani mu nie rozkazuj – przestrzegam. – Niepotrzebni mi wrogowie, a już zwłaszcza w osobie Stephena Gardinera. Mój mąż go faworyzuje. Będziesz musiała przechrzcić swojego pieska, jeśli biskup dalej będzie rósł w siłę.

– Obawiam się, że nic go przed tym nie powstrzyma – skarży się Katarzyna. – Tradycjoniści biorą nad nami górę. Doszły mnie słuchy, że Thomas Wriothlesley chciałby zostać lordem kanclerzem, jakby mu było mało funkcji lorda sekretarza i lorda tajnej pieczęci.

– Wiesz to od męża?

Potakuje skinieniem.

– Charles twierdzi, że Wriothlesley jest najambitniejszym człowiekiem z otoczenia króla od czasów Cromwella. I najgroźniejszym, całkiem jak Cromwell.

– A czy Charles nie nakłania króla do kontynuowania reformy?

W odpowiedzi uśmiecha się do mnie.

– Skądże! Kiedy chce się być w łaskach najjaśniejszego pana przez dziesięciolecia, nie należy się przed nim zdradzać z własnymi myślami.

– Czemu więc Charles cię nie poskromił – pytam, nie kryjąc ciekawości – kiedy ci się zachciało nazwać psa po biskupie?

Katarzyna wybuchła śmiechem.

– Kiedy chce się przeżyć czwartą żonę, nie należy próbować jej poskramiać – rzecze wesołym tonem. – Pozwala mi myśleć, co chcę, i robić, co chcę, pod warunkiem że nie zachodzę mu zbyt blisko za skórę.

– Zatem wie, że oddajesz się lekturom i że masz własne przekonania? Nie przeszkadza mu to?

– Dlaczego miałoby przeszkadzać? – Bez ściszenia głosu zadaje najbardziej wyzywające pytanie, jakie może paść z ust białogłowy. – Dlaczego nie

miałabym czytać? Dlaczego nie miałabym myśleć? Dlaczego nie miałabym mówić, co myślę?

\*

Wiosną, gdy noce są wciąż ciemne i długie, Henrykowi doskwiera bezsenność z powodu bólu w nodze. Przed świtem, gdy leży rozbudzony, ma bardzo markotny nastrój. Aby łatwiej przetrwać upływające godziny, zamówiłam dla siebie ładny zegar i noc w noc przyglądam się minutowej wskazówce, jak przemieszcza się po mosiężnej tarczy w migotliwym blasku świecy, którą pozostawiam zapaloną obok łóżka. Gdy król woła mnie niespokojny i pobudzony o piątej nad ranem, wstaję i zapalam więcej świec, dorzucam do ognia i często posyłam pazia po trochę grzanego wina i paszteciki z kuchni. Potem na prośbę Henryka zasiadam przy nim, żeby mu poczytać, podczas gdy wosk wytapia się powoli, a za oknem zakrada się świt. Najpierw robi się mniej czarno, później szaro, a na koniec – po czasie zdającym się wiecznością – rozpoczyna się brzask, ja zaś mogę powiedzieć:

– Wstaje nowy dzień, mężu.

Ogarnia mnie czułość na myśl, że cierpi w milczeniu. Nie narzekam na brak snu i konieczność dotrzymywania mu towarzystwa, mimo że nazajutrz chodzę niewyspana. Henryk zażywa snu w ciągu dnia, ja jednak muszę dopilnowywać spraw dworu za nas oboje. Prowadzę dworzan do kaplicy na mszę świętą, a następnie do wielkiej sali, gdzie śniadam na oczach setek gapiów; oddaję się lekturze wraz z księżniczką Marią; odprowadzam wzrokiem dwór udający się na polowanie; biorę udział w południowym posiłku; wysłuchuję doradców popołudniami; wieczoram ze wszystkimi; przyglądam się maskaradom i tańcom, nierzadko tańcząc sama. Część z tego bywa przyjemnością, najczęściej jednak wszystko sprowadza się do obowiązku. W pałacu musi panować porządek. Gdy król nie czuje się na siłach podołać powinnościom, ktoś musi go zastąpić. Ostatnimi czasy ja to czynię, ukrywając, jak bardzo jest z nim źle. Dzięki mnie może wypoczywać, jeśli tylko z uśmiechem zasiadam na tronie i zapewniam obecnych, że jego królewska mość jest może nieco znużony, ale z każdym dniem mu się polepsza.

Nocne lektury dla Henryka dobiera biskup Gardiner i choć ich wybór jest bardzo ograniczony, nie wolno mi czytać mężowi nic innego. Kończy się to tym, że recytuję w kółko świętoszkowate argumenty za jednością Kościoła



pod okiem ojca świętego bądź opowiadam wymyślne historyjki o początkach chrześcijaństwa, kładące nacisk na znaczenie patriarchów i papieża. Gdyby dać wiarę tym pismom, można by pomyśleć, że na świecie nie ma niewiast, a już zwłaszcza świętych, które w pierwszych wiekach istnienia Kościoła oddały życie za swoją wiarę. Stephen Gardiner stał się wielkim entuzjastą Kościoła ortodoksyjnego, który choć jest częścią wspólnoty chrześcijańskiej, nie podlega władzy papieża – jego zdaniem powinniśmy obrać za wzór Kościół grecki. Muszę więc czytać długie kazania wskazujące, że czystość można osiągnąć jedynie poprzez Kościół katolicki w powiązaniu z Rzymem. Muszę ogłaszać, że lud powinien być utrzymywany w błogostawionej niewiedzy i że winien odmawiać modlitwy, nie mając pojęcia, co znaczą ich słowa. Przychodzi mi w pełni świadomie powtarzać bzdury, przez co jeszcze bardziej pogardzam rozsiewającym kłamstwa biskupem Gardinerem.

Henryk słucha. Czasami oczy mu się zamykają, a ja stwierdzam, że zanudziłam go na śmierć. Kiedy indziej znów pozostaje w pełni przytomny z powodu odczuwanego bólu. Nigdy jednak się nie odzywa, chyba żeby poprosić o powtórzenie zdania. Nigdy nie pyta mnie, czy się zgadzam z nudnymi argumentami przeciwko reformie, a ja pilnuję się, aby niczego nie komentować. W nocnej ciszy słyszę tylko ciurkanie ropy kapiącej z otwartej rany do podstawionej pod nogę misy. Henryka zawstydza otaczający go smród, dręczy cierpienie. Nie jestem w stanie ulżyć mu ani w jednym, ani w drugim. Mogę jedynie podać mu do wypicia napar nasenny przygotowany przez medyków i zapewnić, że w komnacie właściwie nic nie czuć. W rzeczywistości, choć posadzki zasłane są wysuszonymi płatkami róż i kwiatostanami lawendy, a po kątach stoją misy z olejkami różanym, woń śmierci powoli przenika wszystko.

W niektóre noce Henryk nie może nawet zmrzyć oka. W niektóre dni nawet nie wstaje. Wysłuchuje wtedy mszy w łóżku, a potem leży przy otwartych drzwiach do sąsiedniej komnaty, gdzie obradują jego doradcy.

Siedząc przy łożu króla, wysłuchuję planów przymierza Anglii ze Szkocją za sprawą małżeństwa królewskiej siostrzenicy Małgorzaty Douglas ze szkockim wielmożą Mateuszem Stuartem. Gdy Szkoci odrzucają pomysł tego mariażu, wysłuchuję planów wyprawy, na której czele mają stanąć Edward Seymour i John Dudley, z zamiarem zniszczenia ziem tuż za granicą i nauczenia wyniosłych górali szacunku do swych panów. Przeraza mnie ta perspektywa. Przeżywszy wiele lat swego życia na północy Anglii, wiem, jak ciężko jest mieszkańcom gór. Między głodem a sytością przebiega tam tak cienka granica, że do śmierci głodowej wystarczy sam przemarsz wojsk. W ten sposób nigdy nie doprowadzi się do jedności ze Szkocją. Czyżbyśmy chcieli

doprowadzić do upadku to królestwo, zanim je nawet podbijemy?

Zarazem, przysłuchując się w milczeniu obradom prywatnej rady króla, zaczynam rozumieć, jak to działa. Poddani składają raporty wielmożom, ci przekazują je panom radzie, ci zaś przynoszą wieści królowi. Na koniec Henryk – nierzadko pod wpływem chwili – postanawia, jakie kroki poczynić, natomiast zadaniem rady królewskiej jest wymyślić stosowne prawo, które umożliwiłoby dane działania. Później ustawa trafia pod obrady parlamentu, zostaje tam zatwierdzona i wreszcie jest narzucona całemu królestwu.

Doradcy królewscy, którzy przesiewają wiadomości docierające do uszu Henryka i sporządzają projekty zażądanych przez niego ustaw, mają w tym systemie ogromną władzę. Przewyższa ją tylko władza króla, który ma zawsze ostatnie słowo i który często jest zbyt obolały, aby się podnieść z łóżka, oraz zbyt otepiały od leków, aby jasno myśleć. Nietrudno w takiej sytuacji o zatajanie przed nim informacji czy przedstawianie spisowanych praw tak, jak im pasuje. Coś takiego winno nas uczulać na dobro królestwa, które leży w spoconych rękach Henryka. Zarazem to samo daje mi przeświadczenie, że poradzę sobie w roli regentki, ponieważ przy pomocy mądrych doradców będę w stanie władać równie dobrze jak król. A nawet lepiej, gdyż Henryk wcale nierzadko woła z piernatów: „Dalej! Dalej!”, kiedy coś go nudzi bądź kiedy niezgoda wśród panów rady go irytuje, a przy okazji też ma w zwyczaju popierać politykę tego, kogo faworyzuje na co dzień.

Dowiaduję się także, jak Henryk rozgrywa jednych przeciwko drugim. Obecnie jego najzaufanszym doradcą jest Stephen Gardiner, który wiecznie utrzymuje, że należy nałożyć restrykcje na angielską Biblię, która powinna być dostępna wyłącznie dla wielmożów i osób wykształconych w ich pilnie strzeżonych domowych kaplicach, biedacy zaś powinni być karani za samą chęć jej czytania. Biskup nieustannie narzeka, że poddani śmiało rozważać Słowo Boże, jakby je rozumieli, jakby byli równi lepszym od siebie. Jednakże właśnie gdy Stephen Gardiner nabiera przekonania, że wygrał i że angielska Biblia nigdy nie wróci do parafii, odebrana tym, którzy potrzebują jej najbardziej, król znienacka każe Anthony’emu Denny’emu wezwać arcybiskupa Cranmera.

– Nigdy nie zgadniesz, jakim zadaniem go obarczę – mówi, uśmiechając się chytrze ze sterty poduszek, podczas gdy siedzę przy jego łożu i trzymam go za spoconą dłoń. – Nigdy nie uwierzysz...

– Z pewnością – odpowiadam.

Thomasa Cranmera darzę sympatią za to, że nie przestał wierzyć w reformę, że to jego kazanie zdobi pierwszą stronę angielskiej Biblii i że zawsze przekonywał Henryka, iż to król powinien stać na czele Kościoła,

wszystkie zaś kazania, psalmy i modlitwy winny być w języku ojczystym. W sympatii tej utwierdziła mnie jego odwaga, którą się wykazał w obliczu spisku przeciw niemu zawiązanego. Arcybiskup Cranmer często zachodzi do moich komnat, żeby zobaczyć, nad czym pracuję, oraz żeby przyłączyć się do prowadzonych dysput.

– Tak trzeba z nimi pogrywać, Katarzyno – zwierza mi się Henryk. – Tak trzeba rządzić królestwem. Patrz i ucz się. Najpierw wyznaczasz jednego człowieka, potem drugiego, jego rywala. Dajesz mu zadanie, wychwalasz go pod niebiosa, po czym bierzesz tego drugiego, wroga tego pierwszego, i dajesz mu przeciwstawne zadanie. Dopóki walczą ze sobą, nie mają czasu ani sił spiskować przeciwko tobie. Dopóki są zapiekłymi nieprzyjaciółmi, dają sobą powodować. Rozumiesz?

Rozumiem tylko tyle, że polityka jest zagmatwana, że nikt nie wie, co król naprawdę myśli ani czego pragnie, że w tym gąszczu sprzeczności słychać wyłącznie tych, którzy krzyczą najgłośniej albo wydają się najmilszi.

– Wasza królewska mość z pewnością wie, co czyni – mówię ostrożnie. – To nad wyraz podstępny sposób działania. Jednakże akurat Thomasa Cranmera chyba nie trzeba zwabiać w pułapkę? Arcybiskup będzie ci chętnie służył w każdych warunkach.

– Cranmer to przeciwwaga – oznajmia Henryk. – Przeciwwaga dla Gardinera.

– Skoro tak, będzie nas musiał ciągnąć do Niemiec – odzywa się zniechęca Will Somers.

Nie miałam pojęcia, że przysłuchuje się naszej rozmowie. Siedział przez cały czas na podłodze, opierając się plecami o masywną nogę łóżka, i przerzucał z ręki do ręki małą złotą kulkę.

– A to dlaczego? – pyta Henryk, który zawsze ma cierpliwość do swojego błazna. – Pokaż się, Will. Nie widzę cię tam, na dole.

Błazen zrywa się na nogi, podrzuca kulkę wysoko w powietrze i chwytając ją, niemal wyśpiewuje:

*Thomas musi nadciągnąć  
Hen przez góry aż do Niemiec,  
Bo Stephen mozoli się,  
By zaciągnąć nas przez Alpy do Rzymu.*

Henryk się śmieje.

- Tak, Cranmer to przeciwwaga dla Gardinera – powtarza, zwracając się znów do mnie. – Każę mu napisać ekshortację i litanię po angielsku.

Czuję zdumienie.

- Będzie angielski modlitewnik?

- Owszem. Żeby wierni, przychodząc do kościoła i wysłuchując modlitwy, mogli ją śledzić w książeczce do nabożeństwa we własnym języku. Jak inaczej mieliby się spowiadać? Nie sposób wyznać grzechów w języku, którego się nie zna. Nie sposób się modlić słowami, które nic nie znaczą. Obecnie tylko stoją w świątyni, paplą „ple-ple, ple-ple, amen”.

To samo myślałam, przekładając psalmy biskupa Fishera na język ojczysty!

- Byłby to wspaniały dar dla wszystkich Anglików, najjaśniejszy panie. – Niemalże się jąkam z wrażenia. – Angielski modlitewnik... Prawdziwe zbawienie dla duszy. Byłabym zaszczycona, gdybym mogła też nad nim pracować!

- Hej-ho, królowo – włącza się znów do rozmowy Will Somers.

- Hej-ho, Will – odpowiadam. – Czy to jakiś żart?

- Poranny żart. Podobnie jak plan jego królewskiej mości. Po południu będzie zupełnie na odwyrtkę. Rankiem posyłamy po Cranmera, a po południu po Gardinera, który stanie się skarbnicą wszelakiej wiedzy, ty zaś będziesz królową z rana, zaśniedziała i nie w porę. Bo...

- Cichaj, błażnie – przerywa mu Henryk. – Co sądzisz o moim pomysłe, Katarzyno?

Pomimo przestrogi Willa nie potrafię się powstrzymać, aby nie powiedzieć:

- Sądzę, że to okazja do napisania czegoś zarówno szczerego, jak i pięknego. A szczerosc i piękno wiodą prosto do Boga.

- Trzeba jednak unikać zbędnych ozdób – zastrzega zaraz król. – Nie potrzebujemy fałszywych bożków. Musi to być wierne tłumaczenie z łaciny, a nie jakaś poetycka wariacja na temat.

- Musi to być Słowo Boże – potwierdzam. – Nasz Pan przemówił prostym językiem do prostych ludzi. Nasz Kościół powinien zrobić to samo. Osobiście uważam, że w prostocie tkwi wielkie piękno.

- A może byś napisała kilka modlitw? – proponuje nagle Henryk. – Sama?

Przez moment się zastanawiam, czy on wie o księdze z przekładem psalmów wydanej bezimiennie. Zastanawiam się, czy wie, że już wcześniej tłumaczyłam modlitwy i rozmawiałam o nich z arcybiskupem. Tym razem naprawdę się jąkam, kiedy mówię:

- N... nie, nigdy b... bym nie m... mogła...

Henryk jednak okazuje szczerze zainteresowanie.

– Wiem, że Cranmer ma o tobie wysokie mniemanie. Czemu nie miałabyś ułożyć kilku oryginalnych modlitw? Mogłabyś też przetłumaczyć jakieś z łaciny i pokazać mu swoją wersję. Sam chętnie bym posłuchał. Księżniczka Maria i księżniczka Elżbieta zapewne z radością by ci pomogły. Zdaje się, już pracują pod twoim okiem?

– Pod okiem preceptora – prostuję. – W ramach codziennej nauki. Razem z ich kuzynką, Lady Jane Grey.

– Uważam, że niewiasty powinny pobierać nauki – rzecze łagodnym tonem król. – Nie jest zadaniem niewiast pozostawać w niewiedzy. Ty masz oświeconego męża, nie boję się, że mnie kiedykolwiek prześcigniesz w tych sprawach!

Śmieje się na samą myśl, a ja mu wtóruję. Odpowiadając, nie patrzę na błazna, który jak wiem, pilnie się przysłuchuje.

– Postąpię zgodnie z twoim życzeniem, najjaśniejszy panie. Podobałoby mi się takie zajęcia i na pewno wyszłoby na dobre obu księżniczkom. Jednakże to ty wyznaczysz ramy, których nie powinnyśmy przekroczyć.

– Och, poczynajcie sobie śmiało – zezwała wspaniałomyślnie Henryk. – Tak śmiało, jak pozwoli Cranmer. Zawsze przecież mogę wysłać mojego pieska Gardinera, żeby to ukrócił, jeśli sprawy wymkną się spod kontroli.

– Czy jest możliwy złoty środek? – zastanawiam się na głos. – Bo albo powstaną modlitwy po angielsku, albo nie powstaną.

– Zastosujemy królewski środek – odpowiada mój mąż. – Albowiem moimi krokami kieruje Stwórca, Pan tej ziemi. Przemawia do mnie. Słyszę Go.

– Ha, widzisz! – Will doskakuje do kominka, przy którym śpi zwinięty w kłębek jeden z Henrykowych ogarów. Unosząc ciężki łeb psa i kładąc go sobie na kolanach, mówi nieprzerwanie: – Gdyby to ona powiedziała albo ja, okrzyknęliby nas szaleńcami, jednakże kiedy mówi to król, wszyscy w to wierzą, bo ktoś, kto jest pomazańcem bożym, nie może się mylić.

Henryk mruży oczy, spoglądając na swego ulubieńca.

– Nie mylę się, ponieważ jestem królem. Nie mogę się mylić, ponieważ moje miejsce jest nad śmiertelnikami, a tylko pod aniołami. Nie ma możliwości, abym się mylił, ponieważ Bóg przemawia do mnie słowami, których nikt inny nie słyszy. Tak samo jak nie ma możliwości, abyś ty miał rację, ponieważ jesteś moim błaznem! – Przenosi ciężki wzrok na mnie i dodaje: – I jak ona nie może mieć innego zdania niż ja, ponieważ jest moją żoną!

Tej nocy modłę się o mądrość. Przez całe życie byłam posłuszną żoną: najpierw młodego, bojaźliwego i nieroztropnego młodzieńca, później potężnego, oziębłego starca. Obydwóm okazywałam szacunek i posłuszeństwo, gdyż jest to obowiązkiem dobrej żony, wyznaczonym przez Boga każdej niewieście. Obecnie jestem małżonką króla Anglii i jako taka muszę mu być posłuszna w trojaki sposób: jako żona, jako poddana i jako wierna Kościoła, którego jest głową. Czytanie ksiąg, których nie pochwała, i wyznawanie opinii, których nie podziela, jest oznaką niełojalności, a nawet czegoś gorszego. Powinnam myśleć tak, jak myśli mój królewski małżonek. Z drugiej strony nie chce mi się wierzyć, aby Pan Bóg obdarzył mnie rozumem, gdyby nie chciał, abym myślała samodzielnie. Te słowa rozbrzmiewają mi w głowie, a po nich przychodzi echo: „Nie chce mi się wierzyć, aby Pan Bóg obdarzył mnie sercem, gdyby nie chciał, abym kochała”. Zdaję sobie sprawę, że ów dwuwiersz jest wynikiem logiki nie filozofa, lecz poety. Powstał, ponieważ mam ucho pisarza – słowa uwodzą mnie na równi z ideami. „Bóg dał mi rozum, ponieważ chce, abym myślała; Bóg dał mi serce, ponieważ chce, abym kochała”, rozlega mi się dźwięcznie pod czaszką. Nie wypowiadam tych zdań na głos nawet tutaj, w samotni kaplicy. Jednakże kiedy podnoszę wzrok na obraz Ukrzyżowanego, przed oczyma mam wyłącznie ponury uśmiech Tomasza Seymoura.

Moja siostra wkracza do ptaszarni, gdy siedzę w okiennej ambraturze z parką żółtych kanarków na jednym ręku i kromką białego chleba w drugim. Pozwalam im dziobać i rozkoszuję się widokiem ich małych bystrych oczek, przechylonych łebków, misternie ułożonych jaskrawych piórek, a nawet dotykiem ich ciepłych, drapiących nóżek. Te ptaszęta jawią mi się kwintesencją życia, zamkniętą w jednej dłoni.

– Ciii... – mówię do Anny, nie podnosząc wzroku.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzecze tonem tłumionej furii. – Ale najpierw zostaw te ptaki.

W pierwszym odruchu chcę odmówić, lecz napotykam jej chmurne spojrzenie. Stojąca za nią Katarzyna Brandon jest blada jak płótno. Obok niej zaś stoi Anna Seymour z niezwykle poważną miną.

Delikatnie, tak żeby ich nie przestraszyć, wkładam rękę z kanarkami do połączanej klatki, gdzie natychmiast przeskakują na żerdki, przy czym jeden zabiera się prędko do skubania piórek, jakby był ważnym ambasadorem, który wrócił z wizyty i musi na sobie poprawić strój.

– O co chodzi? – pytam.

- O nowy akt sukcesji - odpowiada moja siostra. - Król wyznaczył swych następców przed udaniem się na wojnę z Francją. Byli z nim Edward Seymour i Charles Brandon jako doradcy oraz Wriothesley... Wriothesley!... który z prawnikami sporządził dokument.

- Wiem - mówię spokojnie. - Rozmawiał o tym ze mną.

- Zatem wiesz, że wyznaczył twoje dzieci w kolejności zaraz po księciu Edwardzie?

Okręcam się na pięcie, na co oba kanarki podrywają się z trzepotem w klatce.

- Moje dzieci? - powtarzam ostro.

- Musimy uważać na słowa - przestrzega nas Anna Seymour, rozglądając się wokół, zupełnie jakby któraś papuga mogła donieść biskupowi Gardinerowi, o czym tu rozmawiamy.

- Oczywiście, oczywiście - potakuję. - Po prostu jestem zdziwiona...

- Twoje dzieci - potwierdza Katarzyna Brandon cichym głosem, nie zmieniając wyrazu twarzy - i inne. W tym właśnie rzecz.

- Inne dzieci? - nie rozumiem.

- Dzieci następnej królowej.

- Następnej królowej? - Wbijam wzrok w siostrę, nie w Katarzynę Brandon ani w Annę Seymour. - Henryk planuje jeszcze jakiś ożenek?

- Niezupełnie - uspokaja mnie Anna Seymour. - On tylko planuje sukcesję w wypadek, gdyby cię przeżył. Gdybyś umarła przed nim...

- Ciekawe na co! - parska moja siostra. - Katarzyna jest dość młoda, aby być jego córką!

- Trzeba być przygotowanym na wszystko - utrzymuje Anna Seymour. - Zawsze może się zdarzyć choroba...

Wymieniamy z siostrą spojrzenia. Henryk, owszem, ma w zwyczaju żyć dłużej od żon, aczkolwiek żadna jeszcze nie umarła od choroby.

- W takiej sytuacji - ciągnie Anna Seymour - najjaśniejszy pan byłby zmuszony ożenić się ponownie i spłodzić syna. Nie znaczy to, że taki ma plan. Nie znaczy to, że takie ma intencje. Nie znaczy to, że ma kogokolwiek konkretnego na uwadze.

Moja siostra przewraca oczyma.

- On może nie, ale inni tak. Ktoś mu wbił to do głowy. A wasi mężowie byli przy tym obecni.

- Może po prostu akt sukcesji musi tak wyglądać... - odzywa się nieśmiało Katarzyna Brandon.

- Wcale nie - zaprzecza moja siostra. - Gdyby Katarzyna zmarła, a on dochował się syna, wówczas ten chłopiec byłby następcą tronu po księciu

Edwardzie z racji urodzenia i płci. Ale nie ma żadnej potrzeby zapisywać tego w dokumencie. Gdyby Katarzyna zmarła, gdyby pojawiła się nowa żona i nowy następca, trzeba by sporządzić nowy akt sukcesji. Nie ma potrzeby kłopotać się tym teraz. Zatem to wszystko dzieje się tylko po to, aby oswoić nas z myślą o następnym małżeństwie!

- Oswoić nas? – podchwytuję. – Czy to znaczy, że chce mnie przyzwyczaić do myśli, że mógłby mnie odprawić i wziąć sobie nową żonę?

- Nie tyle ciebie, ile poddanych – rzecze bardzo cicho Katarzyna Brandon.

- Bądź też jego doradcy już mają na uwadze nową królową. Taką, co popiera Rzym – dodaje moja siostra. – Ty najwyraźniej ich rozczarowałaś.

Przez chwilę wszystkie milczymy.

- Czy Charles powiedział, kto nalegał na ten zapis? – pyta przyjaciółkę Anna Seymour.

Katarzyna Brandon wzrusza lekko ramionami.

- Chyba był to Gardiner. Nie jestem pewna. Komu innemu zależałoby na nowej, siódmej królowej?

- Siódma królowa... – powtarzam bezwiednie.

- Problem w tym – odzywa się moja siostra – że król Anglii i głowa angielskiego Kościoła może robić, co mu się żywnie podoba.

- Wiem o tym – odpowiadam cała zmartwiała. – Wiem, że mój mąż może postąpić, jakkolwiek zechce.



# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN LATO 1544 ROKU



Thomas Cranmer pracuje nieprzerwanie nad nową liturgią; efekty swojej pracy pokazuje królowi, modlitwa po modlitwie, po czym cała nasza trójka oddaje się uważnej lekturze. Cranmer i ja pochylamy się nad wersją łacińską, dokonujemy przekładu, a następnie odcytujemy na głos Henrykowi, który wystukuje rytm na podłokietniku krzesła, zupełnie jakby słuchał muzyki. Czasem z aprobatą kiwa głową arcybiskupowi albo mnie, wykrzykując: „No, no! To prawdziwy cud słyszeć Słowo Boże we własnym języku!”, czasem zaś marszczy czoło i mówi: „Dziwne sformułowanie, Katarzyno. Uwiera w język niczym czerstwy chleb. Nikt nigdy nie zdoła tego gładko wypowiedzieć. Popracuj jeszcze nad tym, dobrze?”. Mozolę się nad danym wersem, aż staje się śpiewny niczym miła dla ucha melodia.

Henryk milczy na temat aktu sukcesji, podobnie jak ja sama. Ustawa trafia pod obrady parlamentu, gdzie zostaje przegłosowana, zanim zdążę zauważyć w rozmowie z mężem, że zakłada moją śmierć, choć jestem dostatecznie młoda, aby być jego córką, że zakłada wzięcie sobie nowej żony, choć na mnie bynajmniej się nie skarży. Gardiner przebywa z dala od pałacu, gdzie za to częstym gościem jest Cranmer. Król z przyjemnością oddaje się pracy w naszym towarzystwie.

Wszystko wskazuje na to, że traktuje z powagą pomysł rodzimego modlitewnika, który chce podarować kościołom. Bywa, że mówi do arcybiskupa:

- No tak, ale to ma się nieść aż do najdalszych łąk, gdzie stoją prości ludzie. Musi więc być czytelne. Musi być zrozumiałe, nawet gdy będzie mamrotać stary ksiądz.

- Wiekowi księża nie będą nic z tego czytać, chyba że to na nich wymusisz, najjaśniejszy panie - odpowiada Cranmer tonem przestrogi. - Większość jest zdania, że nabożeństwo może być tylko w łacinie.

- Duchowni postąpią zgodnie z moim życzeniem - stwierdza Henryk. - W końcu to Słowo Boże, które daruję swoim poddanym bez względu na to, co starzy księża i starzy głupcy w rodzaju Gardinera będą sobie myśleć. A królowa Katarzyna przełoży na angielski dawne modlitwy i ułoży nowe.

- Naprawdę? - pyta mnie Cranmer z łagodnym uśmiechem.

- Rozważam to - mówię ostrożnie. - Jego królewska mość jest tak dobry i mnie nakłania...

- Całkiem słusznie - rzecze Cranmer z ukłonem. - To dopiero będzie Kościół, w którym msza będzie odprawiana po angielsku, a modlitwy będą pochodzić od wiernych, w tym samej królowej Anglii!

Cieplejsza aura przynosi ulgę cierpieniom Henryka, którego rana upuściła większość ropy i teraz tylko sączy się lekko. Wraz z poprawą zdrowia następuje w nim poprawa nastroju. Pracując wspólnie z arcybiskupem i ze mną, odkrywa na nowo radość ze studiów, a nawet pogłębia swoją miłość do Boga. Lubi, gdy zachodzimy do niego przed wieczerzą, kiedy siedzi sam, może tylko w towarzystwie pazia, serwującego mu przekąski, bądź kogoś z sekretarzy. Nie oddaje się lekturze publicznie, ponieważ od jakiegoś czasu do czytania potrzebuje okularów, a wstydzi się oprawnych w złoty drucik szkieł na nosie. Denerwuje go niewyraźne widzenie i obawa, że ślepnie, lecz wybucha śmiechem, gdy pewnego dnia ujmuję jego nalaną twarz w obie dłonie i pocałowawszy go prosto w usta, mówię mu, że w okularach wygląda niczym mądra sowa i że powinien je nosić nieustannie.

W ciągu dnia przesiaduję w swoich komnatach, gdzie oddaję się pracy nad nową liturgią w towarzystwie dworek. Popołudniami zjawia się Thomas Cranmer, który przyłącza się do pracy. Modlitwa, którą układamy, nie jest długa, ale wymowna. Staramy się, aby każde słowo wiele ważyło od świętości. Od pierwszego do ostatniego wersu nie ma ani jednego zbędnego czy fałszywego wyrazu.

W maju arcybiskup przynosi mi wydrukowany egzemplarz i wręcza z ukłonem.

- To już? - pytam, w zadziwieniu wodząc palcem po oprawnej w skórę księdze.

- Już - odpowiada. - Nasze wspólne dzieło. Pewnie najważniejsze, co w życiu zrobiłem. Pewnie najwspanialsze, co uczyniłaś dla poddanych. Odtąd Anglicy będą się modlić we własnym języku. Odtąd będą rozmawiać z Panem Bogiem, mogąc mieć nadzieję na zrozumienie. Odtąd będą zaiste dziećmi bożymi.

Z trudem odrywam dłoń od okładki, zupełnie jakby była to ręka Stwórcy.

- Ekscelecjo, nasze dzieło przetrwa pokolenia...

- A ty masz w tym swój udział - potakuje łaskawie. - Przemówiłaś głosem niewiasty, ja zaś przemówiłem głosem mężczyzny, aby wszyscy ludzie mogli odmawiać nasze modlitwy, klęcząc obok siebie, być może nawet równi w oczach Najwyższego.

# PAŁAC ŚWIĘTEGO JAKUBA, LONDYN LATO 1544 ROKU



Dzięki słonecznej aurze Henrykowi się polepsza. Król jest też zadowolony z przebiegu kampanii szkockiej. W czerwcu udajemy się do nowo przebudowanego pałacu Świętego Jakuba, gdzie odbywa się ślub siostrzenicy królewskiej, a mojej dworki i powiernicy, Małgorzaty Douglas, która wychodzi za szkockiego wielmożę Mateusza Stuarta, hrabiego Lennox. Henryk porusza się o własnych siłach, spaceruje w ogrodach, a nawet strzela z łuku. Jedynie w *jeu de paume* już nigdy nie zagra... Z zazdrością popatruje na młodszych od siebie mężczyzn, jakby występowali w tej samej lidze i byli jego rywalami, choć mógłby być dziadkiem niektórych i raczej już nigdy nie rzuci dubletu i nie zatańczy w samej koszuli. Ze szczególną uwagą obserwuje pana młodego.

– Ten Stuart zdobędzie dla mnie Szkocję – oznajmia mi na ucho mój mąż, gdy młoda para idzie nawą ze splecionymi dłońmi. Przechodząc mimo nas, Małgorzata puszcza do mnie łobuzersko oko. Jest wyjątkowo niesforną panną młodą, otwarcie przejawiającą ulgę, że oto wreszcie, w wieku prawie trzydziestu lat, pozwolono jej wziąć ślub pomimo dwóch skandali, w które

zamieszani byli młodzieńcy z rodu Howardów. – Zdobędzie dla mnie Szkocję, a potem księżę Edward ożeni się z malutką Marią Stuart, dzięki czemu dojdzie do zjednoczenia obu królestw jeszcze za mojego życia.

– Byłoby wspaniale, gdyby tylko się udało.

– Oczywiście, że się uda.

Król podnosi się ciężko na nogi i wspierając na ramieniu pazia, rusza nawą za państwem młodymi. Ja zajmuję miejsce z jego drugiej strony i kroczymy tak, niezręczne trio, powoli ku otwartym drzwiom kaplicy. Czekają nas wielka ucztą po tym ślubie, który jest gwarantem bezpieczeństwa Anglii.

– Mając Szkotów po swojej stronie, mógłbym spokojnie myśleć o podbiciu Francji – oświadcza Henryk.

– Mężu, czy na pewno czujesz się dość dobrze, aby wyruszyć na wojnę samemu?

Uśmiech, którym mnie obdarza, jest równie promienny jak u każdego z młodych dowódców jego armii.

– Nadal mogę jeździć konno – rzecze. – Noga ugina się pode mną przy chodzeniu, ale w siodle siedzę prosto. A skoro mogę pojechać na czele moich żołnierzy, równie dobrze mogę ich poprowadzić na Paryż. Jeszcze się przekonasz.

Unoszę głowę, aby zaprotestować – połowa rady królewskiej zaklina mnie, abym poparła petycję żądającą pozostania króla w Anglii; nawet hiszpański ambasador twierdzi, że cesarz jest przeciwny wyruszeniu Henryka na wojnę – lecz w tej samej chwili wśród setnego tłumu kłębiącego się w kaplicy dostrzegam znajomy profil, znajome piórko u kapelusza, znajomą śniadą twarz wyglądającą spod ronda kapelusza i natychmiast rozpoznaję w zoczonym mężczyźnie mojego kochanka, Tomasza Seymoura.

Poznałabym go wszędzie. Wystarczyłby rzut oka. U mojego boku Henryk zaczyna przeklinać pazia o to, że się potknął, a ja korzystając z okazji, zostaję nieco w tyle i chwytam Annę za ramię. Wokół mnie kaplica kołysze się w blasku świateł, podczas gdy mnie się zdaje, że zaraz zemdleję.

– Co się dzieje? – pyta Anna.

– Skurcz – odpowiadam, nie namyślając się wiele. – Skurcz w podbrzuszu. To chyba miesięczna przypadłość...

– Ostrożnie – rzecze moja siostra, nie odrywając ode mnie spojrzenia, dzięki czemu nie zauważa Tomasza, który ma dość oleju w głowie, aby ustąpić z widoku. Robię parę chwiejnych kroków do przodu, mrugając oczyma jak zawzięta. Choć go nie widzę, czuję na sobie jego wzrok, czuję jego obecność w ciasnej kaplicy, czuję niemalże jego zapach, jakby dopiero co wrócił zgrzany z polowania. I mam wrażenie, że noszę na policzku odciśnięte piętno jego

nagiej piersi. Mam wrażenie, że każdy, kto na mnie patrzy, wie, że jestem jego kochanką, jego ładacznicą. Którejś nocy, leżąc pod nim, błagałam go, aby rznął mnie do białego rana, jakbym była deską, a on fuchszwancem.

Wbijam sobie paznokcie we wnętrze dłoni, jakbym chciała je rozorać do krwi. Henryk zdążył przyzwać drugiego pazia i teraz skupia się raczej na zwalczeniu bólu w urażonej nodze aniżeli na mnie. Chyba nikt nie zauważył chwili mojej słabości. Wszyscy wbijają spojrzenia w króla, komentując, że choć nabrał sił, nadal potrzebuje pomocy. Mój mąż zatacza wkoło wzrokiem. Nie chce słyszeć, że wciąż brak mu sił do wyruszenia na czele własnej armii.

W pewnym momencie przyzywa mnie skinieniem głowy.

– Niedojdy – rzuca.

Wykrzywiam twarz w uśmiechu, ale tak naprawdę nawet go nie słyszę.

Gdy wchodzimy do wielkiej sali, rozlega się metaliczny dźwięk trąbek, a ja wspominam smak ust Tomasza i to, jak skubał mi wargi w pocałunku. Mam wrażenie, że nawet teraz trzyma moją dolną wargę między zębami i drażni się ze mną, aż kolana mi zmiękną i będę gotowa, by poniosł mnie do łoża. Tymczasem kroczę u boku Henryka pośród kłaniających się dworzan, zmierzając w stronę podwyższenia. Nadal jednak mam przed oczyma wyłącznie twarz Tomasza skąpaną w blasku świec. Tuż obok dwaj mężczyźni pomagają królowi wdrapać się na platformę z wysokim stołem i usadzić go na tronie, z nogą wspartą na podnóżku. Gdy Henryk już siedzi wygodnie, zajmuję miejsce przy nim, spoglądając ponad głowami zebranego tłumu ku szeroko otwartym drzwiom prowadzącym na wewnętrzną dziedziniec, gdzie popołudniowe słońce czerwieni się na nowych ceglach.

Biorę głęboki oddech. Gotuję się na chwilę, która jak wiem, musi nadejść, kiedy to Tomasz Seymour wystąpi naprzód, aby złożyć przed nami ukłon.

Nagle czuję jakieś poruszenie u mego boku. To księżniczka Maria zasiada obok mnie.

– Dobrze się czujesz, najjaśniejsza pani?

– Dlaczego pytasz?

– Jesteś taka blada...

– Dostałam skurczów – odpowiadam. – No, wiesz...

Potakuje skinieniem. Sama często przeżywa katusze, a w dodatku wie, że nic nie uchroni przed udziałem w ucztach. Nie mogę nawet dać poznać po sobie dyskomfortu.

– W swojej komnacie trzymam napar z liści maliny – podsuwa. – Mogłabym kogoś po niego posłać.

- Tak, proszę - mówię, wcale jej nie słuchając.

Spojrzeniem w dalszym ciągu przeczesuję wielką salę. Tomasz musi złożyć przed nami ukłon, zanim podstolowie zaczną wnosić kolejne dania uczyły ślubnej. Musi się przywitać, zanim zajmie miejsce przy stole z innymi wielmożami. Wszyscy będą przyglądać się uważnie i nikt nie może zauważyć mojej bladości. Nikt nie może się dowiedzieć, że serce bije mi tak głośno, iż księżniczka Maria zaraz je usłyszy poprzez wrzawę i szuranie łań na posadzce, gdy kolejni dworzanie zajmują swoje miejsca.

Zastanawiam się, czy starczy mu pewności siebie. Zastanawiam się, czy starczy mu śmiałej odwagi, czy raczej wcale nie pojawi się na wieczerzy. A może właśnie w tym momencie zbiera się w sobie na zewnątrz, aby wejść do środka? Może nie jest w stanie powitać mnie oficjalnie, nie jest w stanie pogratulować mi zamążpójścia i pozycji? Z pewnością wie jednak, że musi to zrobić, a chyba lepiej nie zwlekać z tym za długo?

Zaczynam już podejrzewać, że wymyślił jakąś wymówkę i oddalił się z pałacu, gdy wtém dostrzegam go, jak się przedziera przez ciżbę, lawirując między stołami, wyprzedzając o kilka głów pierwszych podstolich, to rozdając na prawo i lewo uśmiechy, to klepiąc znajomych dworzan po ramieniu, podczas gdy inni witają go i wykrzykują jego imię.

Kiedy w końcu staje przed podwyższeniem, Henryk opuszcza na niego wzrok.

- Tomasz Seymour! - woła mój mąż. - Jakże się cieszę, że wróciłeś! Musiałeś gnać na złamanie karku. Miałeś długą drogę do przebycia.

Tomasz się kłania. Na mnie nie patrzy. Uśmiecha się do króla tym swoim łatwym uśmiechem.

- Pędziłem, jakby mnie goniło stado wilków, najjaśniejszy panie - odpowiada. - Tak się bałem, że się spóźnię i że wyruszysz w pole beze mnie.

- Ledwo zdążyłeś - oznajmia król. - Bo wyruszę w pole przed upływem miesiąca.

- Wiedziałem! - ekscytuje się Tomasz. - Wiedziałem, że nie będziesz zwlekał!... - Henryk odwzajemnia jego uśmiech. - Ale powiedz, najjaśniejszy panie, czy wolno mi wyruszyć w pole razem z tobą?

- Nikogo innego nie chcę przy sobie widzieć. Będziesz moim marszałkiem. Pokładam w tobie zaufanie, Tomasz. Twój brat już teraz bije Szkotów, zmuszając ich do pokoju. Mam nadzieję, że przyniesiesz chwałę swemu rodowi i że obronisz dziedzictwo swego siostrzeńca we Francji.

Tomasz skłania się ponownie, przykładając dłoń do serca.

- Prędzej zginę, niż cię zawiodę, najjaśniejszy panie - mówi.

Nadal nie spojrzął na mnie ani razu.

- Możesz przywitać się z królową - rzecze wspaniałomyślnie Henryk.

Dopiero wtedy Tomasz odwraca się do mnie i kłania mi się bardzo nisko, na burgundzką modłę, pełnym gracji ruchem zamiatając po ziemi wyszywanym kapeluszem trzymany w zgrabnej dłoni.

- To dla mnie wielka radość ujrzeć waszą królewską mość - mówi głosem pewnym i spokojnym.

- Witaj z powrotem na naszym dworze, sir Tomaszu - odpowiadam, ważąc każde słowo. Mam wrażenie, że recytuję formułkę wyuczoną na pamięć, niczym dziecko przed preceptorem, formułkę zarezerwowaną dla powracających do pałacu doradców królewskich.

- Wiele mu zawdzięczamy - ogłasza Henryk, zwracając się do mnie i klepiąc mnie po rękę złożonym na podłokietniku tronu. Nie cofa spoczonej dłoni, jakby chciał pokazać, że cała jestem jego własnością. - Zawarł sojusz z Niderlandami, który zapewni nam bezpieczeństwo podczas działań we Francji. Zdołał przekabacić królową Marię, namiestniczkę. Czarus z niego, i to jaki. Czy jej wysokość ci się spodobała, Tomaszu?

Jego wahanie mówi mi, że to nieprzystojny żart z pospolitej urody królowej.

- Maria Austriacka to życzliwa i łaskawa pani - odpowiada mój kochanek.

- Wolałaby pokój z Francją zamiast wojny.

- Toż to sprzeczność sama w sobie! - odzywa się nieoczekiwanie Will Somers. - Życzliwa niewiasta pragnąca pokoju! O czym jeszcze od ciebie usłyszymy? O uczciwych Francuzach? Bystrych Niemcach?

Cały dwór wybuchł śmiechem.

- Zjechałeś do domu w porę, by ruszyć na wojnę! - obwieszcza Henryk. - Czasy pokoju się skończyły!

Król wyciąga w geście toastu pełen kielich. Wszyscy wstają, unoszą naczynia i piją za zwycięstwo. Przy wtórze trzeszczenia łąw i zgrzytu nóg na posadzce biesiadnicy na powrót zajmują swoje miejsca, a Tomasz kłania się ponownie i wycofuje do stołu dla najpierwszych wielmożów. Gdy siada, ktoś częstuje go winem, po czym ktoś inny wali go w ramię. Przez cały ten czas ani razu nie spojrzął mi w oczy.



# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN LATO 1544 ROKU



Nie patrzy na mnie. W ogóle na mnie nie patrzy. Kiedy wiruję w tańcu i mój wzrok biegnie od jednej uśmiechniętej twarzy do drugiej, w ogóle go nie widzę. Rozmawia z królem albo w kącie śmieje się z przyjacielem, gra w karty przy stoliku albo wygląda przez okno. Kiedy wszyscy ruszamy na polowanie, on siedzi wysoko w siodle na grzbiecie karego ogiera, z opuszczonym spojrzeniem poprawiając popręg bądź klepiąc wierzchowca po szyi. Kiedy trwają zawody łucznicze, nie spuszcza oczu ze strzały i celu. Kiedy gra w *jeu de paume*, w koszuli rozpiętej pod szyją, z Inianą chustką na karku, koncentruje się wyłącznie na rozgrywce. Kiedy zjawia się w kaplicy na porannej mszy i król kładzie mu dłoń na ramieniu, nie podnosi wzroku na galerię, gdzie modlę się w otoczeniu dworek ze skromnie zwieszoną głową. Kiedy w trakcie długiego nabożeństwa zerkam przez złączone palce, widzę, że nie modli się z zamkniętymi oczyma, lecz wpatruje w monstrancję, z twarzą opromienioną blaskiem słonecznym wpadającym przez okno nad ołtarzem, dzięki czemu wydaje się posągowy niczym rzeźba świętego. Ja za to przymykam powieki i szepczę w duchu: „Panie Boże, dopomóż, Panie Boże, zabierz ode mnie to uczucie, Panie Boże, uczynź mnie ślepą na niego, jako on jest ślepy na mnie”.

- Tomasz Seymour się do mnie nie odzywa - mówię do Anny pewnego razu, gdy jesteśmy same przed wieczerzą, aby się przekonać, czy też to zauważyła.

- Naprawdę? Jest próżny jak szczenię, wiecznie rozflirtowany jeśli nie z jedną, to z inną dworką. Jego brat Edward także nie zwraca na ciebie większej uwagi. Obaj wywodzą się z rodziny, która bardzo zadziera nosa. Co rozumiałe, nie chcą, żeby macocha przyćmiła rodzoną matkę księcia. W obcowaniu ze mną zawsze jest niezwykle miły.

- Rozmawia z tobą?

- Tylko przelotnie. Z grzeczności. Zresztą nie mam dla niego czasu.

- Pyta cię, co u mnie?

- Dlaczego miałyby to robić? - dziwi się Anna. - Przecież widzi, co u ciebie. Gdyby go to interesowało, zawsze może cię zagadnąć.

Wzruszam ramionami, jakbym o to nie dbała.

- Rzecz w tym, że od powrotu z Niderlandów nie ma czasu dla żadnej z dworek, zupełnie jakby się zakochał za granicą.

- Być może - odpowiada moja siostra. Po czym coś w moim wyrazie twarzy skłania ją do dodania: - Nie zapominaj, że ci na nim nie zależy.

- Nie zależy mi na nim - powtarzam potulnie.

Codzienna obecność Tomasza stoi mi zawadą na drodze do pokochania i szanowania króla, przywracając zamęt uczuć, jaki stał się moim udziałem przed ślubem, zupełnie jakby miniony rok zniknął. Złoszczę się na siebie: od roku mężatka, a brak mi tchu, jakbym znów była zakochanym dziewczęciem. Raz jeszcze muszę paść na kolana i prosić Boga, aby ostudził mi głowę. Muszę zapomnieć o Tomaszu i przypomnieć sobie o obowiązku i miłości do męża. Muszę sobie powtarzać, że Tomasz ani się ze mną nie droczy, ani mnie nie torturuje; po prostu zachowuje się tak, jakżeśmy ustalili - trzyma się ode mnie możliwie z daleka. Muszę pamiętać, że wcześniej, kiedy go kochałam i pławiłam się w świadomości, iż on kocha mnie, byłam wdową do wzięcia. Obecnie jestem żoną i to, co czuję, jest wbrew zarówno przysiędze, jak i mojemu mężowi.

Proszę Pana, aby pozwolił mi wytrwać w czułej miłości, którą mam dla króla, aby pozwolił mi być dobrą żoną zarówno na jawie, jak i we śnie. Tymczasem bliskość Tomasza sprawia, że moje myśli się burzą, że znów pojawiają się te sny, nie o szczęśliwym małżeństwie i obowiązkach posłusznej żony, lecz o wdrapywaniu się zatęchłymi schodami, ze świecą w rękę, gdy wokół roztacza się woń zgnilizny. W śnie zmierzam

ku zamkniętym drzwiom i poruszam gałką, mimo że odór staje się coraz silniejszy. Muszę się dowiedzieć, co jest w środku. Muszę. Przeraza mnie myśl o tym, co zastanę w komnacie na szczycie wieży, lecz jak to we śnie, nie mogę się powstrzymać. Trzymam w dłoni klucz i nasłuchuję przez dziurkę jakichkolwiek odgłosów życia z drugiej strony. Wsuwam klucz w zamek, przekręcam, zapadki ustępują bezgłośnie, a ja pcham skrzydło na oścież.

Ze strachu budzę się nagle. Siadam wyprostowana w łóżku, dysząc. Henryk śpi w komnacie obok; wiodą do niej otwarte drzwi, przez które dolatuje mnie potworne chrapanie i sapanie oraz odrażająca woń paskudzącej się rany. Jest tak ciemno, że do świtu musi wciąż być daleko. Ostrożnie wstaję z łóżka i podchodzę do stołu, aby spojrzeć na mój nowy zegar. Złote wahadło kiwa się miarowo to w jedną, to w drugą stronę, wydając ciche tykanie przypominające bicie serca. Czuję, że rytm mojego serca powoli zwalnia. Jest wpół do drugiej – wiele godzin do pierwszego brzasku. Opatulam się szczelniej peleryną i zasiadam przy dogasającym kominku. Zastanawiam się, jak przetrwam noc, jak przetrwam następny dzień. W milczeniu padam na klęczki i ponownie modłę się o to, aby Bóg zabrał ode mnie to uczucie, tę namiętność. Nie szukałam miłości Tomasza, ale też jej się nie oparłam. A teraz jestem w pułapce niczym motyl, który przysiadł na kałuży miodu; im silniej walczę, tym głębiej się pograżam. Zaczynam myśleć, że nie podołam życiu żony przyzwoitego człowieka, łagodnego i hojnego, który pragnie tylko czulej opieki i kochającego serca, podczas gdy sama tęsknię do mężczyzny, co o mnie nie dba, lecz rozpala mnie od środka.

Wtem, chociaż nadal jestem niewolnicą pożądania i drżącą ze strachu grzesznicą, dzieje się coś bardzo dziwnego. Choć świt jeszcze nie wstał, choć jest najczarniejszy środek nocy, w komnacie się przejaśnia, a popioły na palenisku się rozżarają. Gdy unoszę głowę, czoło mam chłodne i pozbawione obręczy, która je ścisnęła. Czuję się wybornie, jakbym przespała słodko całą noc i budziła się do nowego słonecznego dnia. Woń dolatująca z komnaty sypialnej Henryka osłabła, wzmocnieniu zaś znów uległo moje współczucie dla niego w cierpieniu i chorobie. Nawet chrapanie jakby ścichło – cieszę się, że wreszcie zasnął snem sprawiedliwego. Ledwie dając wiarę uczuciu unoszenia, mam wrażenie, że w uszach słyszę głos Pana, że jest On ze mną, że przyszedł do mnie w tę noc próby i że spogląda z miłosierdziem na mnie grzeszną, niewiastę, która grzeszyła i wypatrywała grzechu, która nadal go wypatruje – i że pomimo wszystko dobry Pan Bóg jest w stanie mi przebaczyć.

Zostaję na klęczkach, wprost na zimnej posadzce, aż zegar na stole wybije srebrnym głosem godzinę czwartą, a ja uświadomię sobie, że zapadłam

w trans modlitwy na długi czas. Modliłam się i jak sądzę, zostałam wysłuchana. Przemówiłam i jak sądzę, otrzymałam odpowiedź. Żaden ksiądz nie wysłuchał mojej spowiedzi ani nie udzielił mi rozgrzeszenia, żadna świątynia nie przyjęła mojego datku, żadne relikwie ani odpustowe błyskotki nie pomogły mi się dostać w obecność Stwórcy. Zwyczajnie poprosiłam o łaskę i jej doznałam, tak jak obiecano to w Biblii.

Powstaję z klęczek i wracam do łóżka, drżąc na całym ciele. Z uczuciem wielkiego zadziwienia myślę sobie, że zostałam pobłogosławiona, jak obiecał to Pan. Jestem pewna, że Bóg przyszedł do mnie grzesznej i że dzięki Jego miłosierdziu uzyskałam odpuszczenie win.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN LATO 1544 ROKU



Żołnierze wsiadają na pokłady okrętów, które powiozą ich za Kanał Angielski, do Francji. Tomasz Howard już udał się na drugi brzeg z awangardą armii, jednakże król nadal zwleka.

- Wezwałem astronoma - rzecze w drodze na mszę pewnego ranka. - Przyjdź potem do mnie, Katarzyno. Zobaczymy, co doradzi.

Królewski astronom jest równie biegły w ustalaniu ruchów gwiazd i planet jak jego europejscy koledzy, a do tego potrafi wyznaczyć szczęśliwą datę dla danego przedsięwzięcia zależnie od tego, która planeta jest akurat w ascendencie. Nie mniej biegle kroczy ścieżką na granicy filozofii, czyli opisywania ruchów ciał niebieskich, oraz astrologii, czyli zakazanej sztuki przewidywania przyszłości. Ponieważ choćby sugestia, że król jest chory bądź słaby, ociera się o zdradę, astronom musi niezwykle uważać na to, co mówi. Wszelako Nicholas Kratzer już niejednokrotnie stawiał horoskopy dla najjaśniejszego pana, dzięki czemu wie, jak formułować wnioski i rady, aby nie złamać obowiązującego prawa.

Henryk bierze mnie pod ramię i wspierając się ciężko na pazu idącym z drugiej strony, wiedzie do swojej komnaty prywatnej. Za nami zmierza reszta dworzan: parowie królestwa i moje dworki. Gdzieś pośród nich znajduje

się Tomasz Seymour, ja jednak nie rozglądam się za nim. Wierzę, że dzięki pomocy bożej wytrwam w swoim postanowieniu. Nie będę się rozglądać.

Mijamy komnatę gościnną, w której zostaje większość towarzyszących nam osób. Tylko nieliczni przechodzą z nami do komnaty prywatnej, gdzie na środek pomieszczenia wyciągnięto wielki stół, zastawiony wykresami, które do blatu przyciskają ciężkie złote symbole astrologiczne. Nicholas Kratzer, strzelając niebieskimi oczyma, czeka już na nas. W jednym ręku trzyma długi wskaźnik, w drugim zaś kilka figurek ze złota. Na nasz widok skłania się nisko, po czym czeka na rozkazy króla.

– Świetnie, widzę, że wszystko przygotowane. Zamieniam się w słuch. Powiedz mi, co myślisz. – Henryk zbliża się do stołu i ciężko oń wspiera.

– Nie myślę się, mówiąc, że sprzymierzyłeś się z Hiszpanią przeciwko Francji? – pyta astronom.

Henryk potakuje skinieniem.

– Tyle to nawet ja wiem! – odzywa się spod stołu Will Somers. – Skoro to ma być przepowiednia, może ja zostanę przepowiadaczem? Mógłbym wieszczyć z osadu na dnie kufla po piwie w pierwszej lepszej karczmie pod Tower... Nie trzeba mi patrzeć w gwiazdy. Dajcie mi dzban, a usłyszycie ode mnie dalsze przepowiednie!

Astronom uśmiecha się do króla, bynajmniej nie zmieszany przez krotchwile błazna. Obejrawszy się za siebie, widzę, że towarzyszy nam kilku dworzan. Nie ma wśród nich jednak Tomasza Seymoura. Być może czeka za zamkniętymi drzwiami, w komnacie gościnnej, a być może udał się do swoich apartamentów albo do stajni. Przypuszczam, że woli mnie unikać przez wzgląd na bezpieczeństwo. Bardzo bym chciała mieć co do tego pewność. Nie potrafię znieść myśli, że być może stracił zainteresowanie mną i że nie wchodzi mi w drogę po to, by oszczędzić nam obojgu zażenowania z powodu uczucia, które wygasło i zamieniło się w popiół.

– Zatem najpierw postawię horoskop cesarzowi Hiszpanii, twemu sprzymierzeńcowi – ogłasza Nicholas Kratzer. Po czym przesuwając jeden z wykresów i pokazuje, że tej jesieni szczęście uśmiechnie się do Karola. – Tu natomiast jest horoskop króla Francji...

Wokół stołu rozlega się szmer, gdy staje się jasne, że Franciszek popada w słabość i dezorganizację.

– Wygląda to obiecująco – stwierdza zadowolony Henryk. Zerka na mnie i pyta: – Nie sądzisz?

Nie słuchałam go dotąd, ale natychmiast przybieram wyraz zainteresowania i uwagi.

– O, tak!

- A to jest horoskop waszej królewskiej mości. - Nicholas Kratzer wyciąga najbardziej skomplikowany wykres ze wszystkich, na którym mnożą się przeróżne symbole Marsa: psy wojny, włócznia, strzała i wieża, wymalowane wszelkimi możliwymi kolorami.

- Widzisz? - trąca mnie Henryk. - Bardzo to wojownicze, prawda?

- Mars rośnie w twoim domu, najjaśniejszy panie - kontynuuje astronom.  
- Jeszcze nigdy nie widziałem tyle mocy u jednego człowieka.

- Tak, tak - potwierdza król. - Wiem. Gwiazdy też to pokazują?

- Zdecydowanie. W tym jednak szkopuł..

- Jaki szkopuł?

- Mars to także symbol cierpienia, gorączki, bólu nóg. Obawiam się o zdrowie waszej królewskiej mości.

Rozlega się ściszony szmer aprobaty. Wszyscy obawiamy się o zdrowie króla. Zachciewa mu się wyruszyć na wojnę, jakby był wciąż młodziekiem, chociaż w istocie ledwie może przejść o własnych siłach kilka kroków.

- Polepszyło mi się - rzuca Henryk głucho.

Astronom potakuje.

- Wróżby z całą pewnością są dobre - rzecze - pod warunkiem, że medykom uda się ochronić ciebie od gorączki. Bo pamiętaj, miłościwy panie, że odniosłeś ranę w nodze od broni, a taka rana, podobnie jak wojenna, koincyduje z Marssem.

- W takim razie będzie mi trochę doskwierać na wojnie - odzywa się buńczucznie Henryk. - Zgodnie z twymi słowami, astronomie. Zgodnie ze znakami.

Uśmiecham się nieznacznie. Zadziorna odwaga króla jest jedną z jego największych zalet.

Astronom się kłania.

- To właśnie wynika z wykresu.

- Dojdziemy chociaż do Paryża?

To niebezpieczne pytanie.

Dworzanie, wszyscy poddani woleliby, aby król nie zapuszczał się zbyt głęboko w terytorium Francji. Nikt jednak nie śmie mu tego powiedzieć wprost.

- Najjaśniejszy panie, dotrzesz, dokąd zechcesz - odpowiada sprytnie astronom. - Dowódca taki jak ty, który walczył już wcześniej na tym samym terenie, bez trudu oceni, na co go stać, na podstawie napotkanego oporu, warunków, aury i nastrojów wśród żołnierzy. Doradzałbym jednak umiar i nienadwerężanie armii. Cóż ktoś tak potężny uzyska przy pomocy swoich ludzi? Nawet gwiazdy nie znają odpowiedzi na to pytanie.

Król jest usatysfakcjonowany. Kiwa głową na pazia, który wręcza Kratzerowi solidną sakiewkę. Obecni dworzanie uciekają wzrokiem, aby nie oszacować łakomie jej wartości.

- A co mówi Wenus? - pyta Henryk z przyciężkawym dowcipem. - O moim uczuciu do królowej?

Jakże się cieszę, że w komnacie nie ma Tomasza, że nie musi tego słuchać. Cokolwiek o mnie teraz myśli, dobrze, że nie widzi, jak król kładzie mi dłoń na ramieniu i gładzi mnie po karku, jakbym była jego klaczą, jego ogarem. Wolę, aby Tomasz Seymour nie widział, jak Henryk oblizuje ściągnięte w ciup wargi ani jak ja się uśmiecham wyrozumiale.

- Jej królewska mość narodziła się do szczęścia - odpowiada Kratzer.

Odwracam się do niego zaskoczona. Coś takiego nigdy by mi nie przyszło do głowy. Zostałam wychowana z myślą o dopomaganiu rodzinie w osiągnięciu wielkości, być może Pan Bóg powołał mnie do zachowania Anglii przy wyznaniu reformowanym, nigdy jednak bym nie pomyślała, że narodziłam się do szczęścia. Jak dotąd moje życie tego nie pokazało.

- Naprawdę?

Astronom potakuje skinieniem.

- Przyjrzałem się układowi gwiazd w momencie twoich narodzin - wyjaśnia. - I natychmiast zrozumiałem, że było ci pisane wyjść kilkakrotnie za mąż, aby w końcu znaleźć szczęście.

- Naprawdę?

- Dojrzał, że twoje trzecie małżeństwo będzie szczęśliwe - tłumaczy mi król.

Obdarzam go swym najpiękniejszym uśmiechem.

- Każdy to widzi, mężu.

- No... - zaciąga znowu spod stołu Will. - Też mogłem to powiedzieć i wtedy ta ciężka sakiewka byłaby moja. Czyżbyśmy teraz mieli wszyscy uważać, że boska Katarzyna jest szczęśliwa?

- Daj mu kopniaka - radzi mi Henryk.

Dworzanie wybuchają śmiechem, gdy udaję, że biorę zamach nogą, a Will odskakuje z wyciem, rozcierając pośladki.

- Królowej było pisane wyjść za mąż z miłości - ciągnie Kratzer z powagą, podczas gdy Will, kuśtykając, schodzi pod ścianę. - Zarówno z natury, jak i z temperamentu jest osobą przeznaczoną do głębokiego i stałego uczucia. Boję się tylko, że przyjdzie jej zapłacić za to wysoką cenę.

- Masz na myśli to, że na jej barkach spoczął wielki ciężar odpowiedzialności, ciężar korony? - pyta delikatnie Henryk.

Astronom marszczy lekko czoło.



- Obawiam się, że miłość może na nią ściągnąć wielkie niebezpieczeństwo.

- Katarzyna została królową Anglii – oświadcza mój mąż. – To wielce niebezpieczna pozycja. Wszyscy jej zazdroszczą, a nasi wrogowie chętnie ujrzeliby ją ukorzoną. Jednakże moja miłość i moja potęga ochronią ją przed wszelkim złem.

Zapada milczenie, jako że większość obecnych jest głęboko poruszona pełnymi oddania słowami króla. Henryk unosi swoją dłoń do swoich ust i składa na niej pocałunek, a ja aż się rozpływam na myśl, że nie tylko mnie kocha, ale też nie wstydzi się wyznać tego publicznie. W końcu jednak jakiś pochlebca woła „hura!”, czym psuje tę chwilę. Henryk otwiera szeroko ramiona, a ja daję mu się objąć, po czym – gdy skłania nisko głowę – cmokam go w nalany, spocony policzek. Kiedy mnie puszcza, odwracam się od stołu i astronoma, czując, że Anna staje u mego boku.

- Kaź Kratzerowi postawić mój horoskop i przynieść go, gdy po niego poślę – polecam siostrze. – Tylko niech utrzyma to w tajemnicy i nikomu o tym nie mówi.

- Interesuje cię miłość czy zagrożenie? – pyta ostrym tonem Anna.

Odpowiadam pustym spojrzeniem.

- Och, jedno i drugie.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN LATO 1544 ROKU



Przepowiednie astronoma utwierdzają Henryka w przekonaniu, że powinien wyruszyć do Francji, póki Mars jest w ascendencie. Medycy opatrują jego ranę, ordynują leki na złagodzenie bólu i ogólnie utrzymują go w uniesieniu, jakby był młodzikiem szykującym się do pierwszego turnieju. Rada królewska poddaje się jego entuzjazmowi i ściąga do pałacu Whitehall, aby być świadkiem, jak król wsiada na pokład barki, która go powiezie do Gravesend, skąd już konno wyruszy do Dover. Przekroczywszy Kanał Angielski, spotka się z cesarzem Hiszpanii i podejmie decyzję w sprawie manewru okrążającego Paryż.

Apartamenty mojego męża są załane mapami, wykazami sprzętu, który należy zgromadzić, oraz towarów, które należy wysłać jego śladem. Już teraz armia przerzucona do Francji skarży się na niedobory prochu i kul; już teraz uszczuplamy nadgraniczne oddziały walczące ze Szkotami, aby wzmocnić siły inwazyjne we Francji. Co najmniej raz dziennie, co dzień bez wyjątku, Henryk utyskuje, że jedynym człowiekiem zdolnym zorganizować wyprawę wojenną był kardynał Wolsey i że ci, którzy zadręczyli wielkiego jałmużnika, sami powinni skończyć w piekle za to, że ograbili Anglię z takiego skarbu. Czasami, jękając się, wymienia Tomasza Cromwella i także przeklina wszystkich, którzy

mu go odebrali. To sprawia, że czujemy lekki niepokój; jakby odziany w szkarłat kardynał był w stanie powstać z grobu tylko za sprawą potrzeby dawnego pana i jakby odziany w futra mości sekretarz już deptał mu po piętach. Jakby król potrafił przywrócić do życia i służby nawet tych, których kazał stracić.

Ja wraz z dworkami ślęczę nad wyszywanymi sztandarami i zwijanymi szarpkami. Haftuję właśnie dublet Henryka w róże Tudorów i złote lilie, gdy drzwi się otwierają i do środka wkracza kilku wielmożów, na których czele kroczy Tomasz Seymour z obojętną miną.

Uświadamiam sobie, że wpatruję się w niego z rozdziawionymi ustami i wysoko podniesioną igłą. Nie spojrzał wprost na mnie ani razu, odkądśmy się rozstali jako kochankowie, o świcie przed ponad rokiem, i poprzysięgli sobie, że nie odezwiemy się więcej do siebie ani nie będziemy się nawzajem szukać. Moje poczucie, że zostałam wybrana do swojej roli przez Najwyższego, jakoś nie zdołało stłumić mojej pasji do Tomasza, mimo że usilnie się o to modliłam. Gdziekolwiek wchodzę, natychmiast rozglądam się, bo a nuż go zobaczę. Z kimkolwiek tańczy, natychmiast czuję nienawiść do jego partnerki za to, że trzyma dłoń na jej talii, że słucha z uwagą jej słów, że ona gapi się na niego zaczerwieniona z podniecenia niczym ładaczka. Choć przykazuję sobie nie rozglądać się przy wieczerzy, jakimś cudem zawsze widzę go kątem oka. Na zewnątrz jestem opanowana i błada, w środku jednak płonę; płonę z namiętności do niego. Nie mogę się doczekać, kiedy znów go ujrzę – podczas mszy, przy śniadaniu, na polowaniu. Dokładam jednak starań, aby nikt o tym nie wiedział. Nikt się nawet nie domyśla, że wyczuwam jego obecność w pomieszczeniu; nikt nawet nie przypuszcza, że śledzę każdy jego ruch, gdy mi się kłania, gdy przechodzi na drugi kraniec komnaty, gdy rzuca się na ławę w okiennej ambraturze, by porozmawiać cicho z Marią Howard. Co rano i co wieczór, przy śniadaniu i przy wieczerzy, zachowuję kamienną twarz, obrzucając go szybkim spojrzeniem, po czym odrywam od niego wzrok, jakbym nawet go nie zauważyła.

A teraz oto jest tutaj, w moich komnatach, jakby czuł się wyczekiwany gościem, kłania się mnie i księżniczkom z dłonią na sercu, ocieniając oczy długimi ciemnymi rzęsami, zupełnie jakbym przyzwała go mocą swych pragnień, zupełnie jakby wyczuł ciepło mojej rozgrzanej namiętnością skóry, zupełnie jakbym na cały głos wołała, że musi do mnie przyjść, że umrę, jeśli do mnie nie przyjdzie...

– Wasza królewska mość, przybywam na rozkaz najjaśniejszego pana, który przykazał mi cię sprowadzić do siebie, przez prywatne ogrody, samą.

Już jestem na nogach, upuściwszy drogocenny królewski dublet

na ziemię, podczas gdy nitka wymyka się przez ucho igły, którą bezwiednie wciąż ściskam w palcach.

- Zabiorę księżniczki – mówię. Ledwie znajduję głos. Brak mi tchu.

- Najjaśniejszy pan wyraźnie powiedział, że masz przyjść sama – odpowiada. Ton głosu ma dworny, uśmiech na twarzy, jednakże jego oczy są zimne. – Chyba chce ci zrobić niespodziankę.

- W takim razie już idę.

Ledwie widzę uśmiechnięte twarze dworek, kiedy Anna wyjmuje mi igłę z ręki. Tomasz Seymour podaje mi ramię, które przyjmuję, i tak wyprowadza mnie z komnaty i wiedzie szerokimi kamiennymi stopniami do drzwi wychodzących na rozstłonecznione ogrody.

- To jakaś pułapka – mówię ściszone głosem. – Czy to pułapka?

W odpowiedzi na moje pytanie kręci głową, po czym skinieniem daje znak gwardzistom, by ci odsunęli halabardy i przepuścili nas na zewnątrz.

- Nie. Po prostu idź przed siebie.

- Chce mnie zwabić w pułapkę, przysyłając cię po mnie... Przekona się... Nie powinnam z tobą iść.

- Wystarczy zachowywać się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Trzeba nam iść, i to bez żadnej zwłoki, tracąc na spacer tyle czasu, ile normalnie zabiera. Twoje dworki przyglądają nam się z okien, dworzanie obserwują nas z apartamentów króla. Zatem pójdziemy przez ogród bez zatrzymywania się i bez patrzenia na siebie.

- Ale ty nigdy na mnie nie patrzysz! – wybucham.

Uszczypięcie przypomina mi, że mam się nie zatrzymywać. Czuję się jak w czyścću. Muszę stąpać obok mężczyzny, którego uwielbiam, muszę dotrzymywać mu kroku, nie czerpiąc z tego żadnej przyjemności, podczas gdy serce tłucze mi się w klatce żeber od tego wszystkiego, co chciałabym mu powiedzieć.

- Oczywiście, że nie – potwierdza.

- Bo przestałeś mnie kochać. – Mówię to bardzo cicho, głosem napiętym z cierpienia.

- Skądże – odpowiada na moje oskarżenie i obdarza mnie przelotnym uśmiechem, po czym podnosi wzrok na wykuszowe okno apartamentów króla i kiwa głową dostrzeżonemu za nim znajomemu. – Nie patrzę na ciebie, ponieważ kocham cię do szaleństwa. Ponieważ nie mogę spać z miłości do ciebie. Ponieważ zżera mnie pożądanie. Nie śmiem na ciebie spojrzeć, albowiem gdybym spojrział, wszyscy w pałacu natychmiast by się domyślili mojego uczucia.

Nieomal się potykam, kiedy nogi mi miękną, a w podbrzuszu rozlewa się

znajome ciepło.

– Nie przystawaj! – rzuca.

– Myślałam...

– Wiem, co myślałaś. Myliłaś się jednak – rzece ostro. – Nie przystawaj – powtarza. – Widzę już króla...

Henryk siedzi na wielkim krześle wyniesionym do ogrodu, jak zwykle wspierając chorą nogę na podnóżku.

– Nie jestem w stanie wyrazić... – zaczynam.

– Wiem – przerywa mi. – Nie możemy rozmawiać.

– Spotkamy się?

Podprowadza mnie do Henryka i kłania się nisko.

– Nie – odpowiada szeptem, cofając się wciąż w ukłonie.

Spotka mnie zaszczyt. Promienny uśmiech na twarzy Henryka mówi mi, że otrzymam zadanie ważniejsze od wszystkich królowych, zadanie, któremu sprostała jedynie największa z nich: sama Katarzyna Aragońska. Mój mąż informuje mnie na osobności w ogrodzie, po czym ogłasza wszem wobec, że czyni mnie swoją regentką. Połowa rady królewskiej wybiera się z nim do Francji, podczas gdy druga jej część zostanie w Anglii, aby mi doradzać. Moim głównym doradcą będzie arcybiskup Cranmer. Szybko jednak pojmuję, że intencją króla jest zbilansować jego rady, albowiem drugą ważną osobą w mojej służbie będzie nie kto inny, tylko lord kanclerz Thomas Wriothesley, wróg Cranmera i mój wątpliwy przyjaciel. Dołączy do nich po powrocie ze Szkocji, gdzie siał zniszczenie, Edward Seymour oraz William Petre, cichy i spokojny sekretarz królewski.

To dla mnie wielkie wyniesienie. Czuję na sobie spojrzenia obu księżniczek, gdy nowina się rozchodzi. Maria i Elżbieta zobaczą niewiastę u steru władzy, przekonają się, że coś takiego jest możliwe. Mówienie im, że niewiasta jest zdolna do sprawowania rządów, to jedno, ale czymś zupełnie innym jest pokazanie im, że ich własna macocha, niewiasta lat trzydziestu dwóch, naprawdę dźrzyży władzę w królestwie. Obawiam się, że nie podołam, a zarazem wiem, że sprostam zadaniu. Dzień w dzień przyglądałam się Henrykowi i gardziłam jego zmiennymi opiniami i kapryśnymi rozkazami. Nawet bez dwóch doradców z przeciwnych krańców religijnego spektrum obrałabym złoty środek. Anglia musi pozostać wierna reformie, jednakże nie zezwolę na prześladowania. Nigdy wzorem Henryka nie każę prowadzić dochodzenia przeciwko jednemu człowiekowi, pozwalając, aby drżał ze strachu o własne życie, przez cały czas wiedząc, że nie pozwolę wytoczyć

mu procesu. Aczkolwiek nigdy bym oczywiście nie powiedziała tego głośno, uważam, że w sposobie rządzenia Henryka jest odrobina szaleństwa – i jestem przekonana, że sama będę władać z większą dozą rozsądku i człowieczeństwa.

Połowa dworu wyrusza na wojnę z królem. Wszyscy dworzanie mają już wyznaczone stanowiska i obowiązki. Dysponują niezbędnym sprzętem. Henryk zamówił nową zbroję, choć od czasu niefortunnego wypadku tylko z rzadka nosił napierśnik. Teraz jednak, z okazji wojny, zbroję króla wyklepano i przystosowano do jego obecnych rozmiarów. Trzeba było dodać nowe elementy i wzmocnić stare, ale i tak ostatecznie uznał, że efekt mu się nie podoba, i zamówił całkowicie nową zbroję u zbrojmistrzów z Tower, gdzie od rana do nocy miechy rozniecają ogień i kowale uderzają w kowadła. Jak tylko nowa zbroja jest gotowa – z potężnym napierśnikiem opinającym jego mocarną pierś i z poszerzonymi nabiodrkami zdolnymi pomieścić jego grube uda – natychmiast żąda następnej. Koniec końców decyduje się na zbroję włoską, wykańczaną złotem i wytrawianą na czarno, kupę eleganckiego metalu z chrząstwą świadczącą o jego władzy i bogactwie.

Giermkowie tygodniami ćwiczyli jego wierzchowca pod specjalnym obciążeniem przytroczonego do siodła, aby zwierzę nie ugiął się pod ciężarem króla i woził go bezpiecznie. Jest to rumak nowy na królewskiej służbie, mocarny, z kopytami jak dzwony i nogami niczym pnie drzew. On także nosi zbroję, końskie lądry przymocowane do łba, karku i tułowia. Nie wydaje się możliwe, żeby ten otyły król miał usiąść w siodle i żeby jego wierzchowiec miał go unieść, jednakże podczas gdy Henryk całuje moją dłoń na pożegnanie, trap ugina się pod ciężarem konia wchodzącego na pokład barki.

– Do widzenia – mówi Henryk. – Do szybkiego zobaczenia, moja miła. Wróć do ciebie. Nie obawiaj się o mnie.

– Będę drżała ze strachu o twoje życie – zapewniam. – Obiecuj, że będziesz często pisał, aby mi opowiedzieć, jak się czujesz i co u ciebie.

– Obiecuję – odpowiada. – Wiem, że pozostawiam Anglię w dobrych rękach z tobą jako regentką.

Regencja to wielka odpowiedzialność, największa, jaką może wziąć na siebie Anglik. Powierzenie jej Angielce jest tym bardziej znamienne.

– Nie zawiodę cię – przyrzekam.

Sklania głowę, aby odebrać moje błogosławieństwo, po czym wspierając się na ramieniu pazia ku pomocy, wspina się na trap i znika na pokładzie. Drzwi kajuty królewskiej zamykają się za nim i gwardziści natychmiast zajmują swoje miejsca na straży.

Na rufie barki, za sternikiem, dostrzegam Tomasza Seymoura. On także wyrusza na wojnę, gdzie jak wiem, czeka go znacznie większe

niebezpieczeństwo. Kiedy zaczynają bić w werble i kiedy rzucają cumy, kiedy rudle zagłębiają się w wodę i barka odbija od brzegu, mój ukochany rzuca mi jedno chmurne spojrzenie, po czym się odwraca. Nawet bezgłośnie nie mówię: „Niech cię Bóg zachowa” ani „Dobrych wiatrów”. Jeszcze przez chwilę trzymam uniesioną rękę w pożegnaniu króla, po czym również się odwracam.

# PAŁAC HAMPTON COURT LATO 1544 ROKU



Zapanowała wspaniała aura – jest słonecznie i ciepło co dnia, a ja budzę się każdego ranka sama w moim łóżu w przebudowanym południowo-wschodnim skrzydle pałacu, skąd rozciąga się widok na ogrody i stawiki i gdzie nie czuje się obecności duchów.

Mam pod opieką trójkę królewskich dzieci i bardzo cieszy mnie, że wszyscy razem mieszkamy pod tym samym dachem, modlimy się w tej samej kaplicy, śniadamy wspólnie w wielkiej sali, a dni spędzamy na nauce i zabawie. Edward jeszcze nigdy w swym krótkim samotnym życiu nie przebywał na co dzień z siostrami. Mnie pierwszej ze wszystkich królowych udało się zgromadzić tych troje w jednym miejscu. Mam wszystko, co niewieście potrzebne do szczęścia, a do tego jestem regentką. Wszystko musi się dziać po mojej myśli, nikt nie może mi się sprzeciwić. Księżę i księżniczki są ze mną, ponieważ tak zadecydowałam. Żaden człowiek nie zabierze Edwarda jego rodzinie i mnie, jego macosze. Będziemy mieszkać tutaj, w najpiękniejszym pałacu w całej Anglii, ponieważ takie jest moje życzenie, a potem – wtedy, gdy powiem, nie wcześniej – udamy się w objazd królestwa, podczas którego będziemy urządzać polowania dla przyjemności i wycieczki łódkami, i przejażdżki po dolinie Tamizy. Przez cały ten czas będę



mieć przy sobie pasierbów oraz tych dworzan, których wybiorę.

Codziennie zasiadam przy stole w komnacie gościnnej, aby wysłuchać raportów panów rady, którzy donoszą mi, że w królestwie panuje spokój, zbieranie podatków i opłat odbywa się bez przeszkód, a spod rąk rzemieślników wychodzi dostateczna ilość broni i zbroi, aby zaopatrzyć armię na potrzeby kampanii francuskiej. Za cel stawiam sobie, aby wszystko – pobory, zapasy, broń, amunicja, żywność, nawet grotty do strzał – trafiało za Kanał w odpowiednich ilościach. Odkąd poślubiłam Henryka, bywam porównywana do świętej Joanny Seymour w tym, co robię. Nie chcę też cierpieć porównań z kardynałem Wolseyem ani słyszeć, że Katarzyna Aragońska była lepszą regentką niż Katarzyna Parr.

Co rano po śniadaniu, a przed tym, zanim zabiorę dzieci na polowanie, odbywam krótkie spotkanie z moją radą, na którym zapoznają się z wieściami nadesłanymi nocą czy to przez króla z Francji, czy to przez wielmożów pilnujących porządku na północy Anglii. Jeśli coś wymaga mojej szczególnej uwagi, zwołuję jeszcze jedno spotkanie w ciągu dnia, tym razem przed wieczerną.

Zbieramy się w jednej z wielkich komnat pałacu Hampton Court, gdzie pośrodku stoi stół z otaczającymi go krzesłami dla doradców, na przeciwnych ścianach zaś wiszą mapy Francji i wiodących do niej dróg morskich oraz nadgranicznych rubieży – angielskiej Północy i Szkocji, tej ostatniej w takim zakresie, na jaki pozwala nasza ograniczona wiedza i znajomość terenu. Ja zajmuję miejsce u szczytu stołu, podczas gdy królewski sekretarz William Petre odczytuje wieści, które nadeszły od naszej armii, oraz listy i prośby nadesłane z innych części królestwa. Odkąd Henryk udał się na wojnę z Francją, we wszystkich miasteczkach z francuskimi osadnikami wszczynają się niepokoje, tak że muszę pisać do wielmożów, a czasem nawet do sędziów pokoju, przykazując im, aby zaprowadzili porządek na swoich ziemiach. Królestwo w stanie wojny jest równie nerwowe jak moje ptaszęta. Nieustannie dochodzą nas słyuchy na temat szpiegów i inwazji, które wkładam jednak między bajki, wysyłając uspokajające proklamacje do najdalszych zakątków Anglii.

Po mojej prawicy zasiada arcybiskup Cranmer, rozważny i cierpliwy doradca, który zawsze przemawia statecznym głosem, podczas gdy Thomas Wriothesley często dramatyzuje. Nie brak mu bowiem powodów do zmartwienia. Nie kogo innego, tylko jego król poprosił o przedstawienie kosztu niezbędnego do zorganizowania kampanii francuskiej. Po długiej deliberacji i wielu zapisanych maczkiem stronach wyliczeń ocenił, że będzie trzeba około ćwierci miliona funtów, istnej fortuny. Udało nam się uezierać tę

sumę dzięki pożyczkom i podatkom, a także ostatnim złotym monetom, po które sięgnęliśmy do pustawego skarbcza królewskiego. Tymczasem okazało się, że Wriothesley nie doszacował naszych potrzeb i że pieniądze topnieją w oczach.

William Petre to nuworysz, człowiek, który wszystko zawdzięcza swoim zdolnościom, jeden z tych, którymi stare rody w rodzaju Howardów pogardzają szczerze. Rozsądek tego syna hodowcy bydła z Devonu studzi gorące głowy innych doradców, którzy przekrzykują się w walce o własne cele, nierzadko równające się zniesieniu podatków w ich rodzinnych miastach. Nie kto inny, tylko Petre sugeruje, aby załatać dziurę w funduszach, zdzierając ołów z dachów klasztornych i sprzedając go z nawiązką. Gdy przyjdą deszcze, coś takiego przyczyni się do dalszej rujnacji Kościoła katolickiego w Anglii. Dostrzegam w tym korzyść dla reformy oraz dla królewskiej armii, aczkolwiek jakąś częścią siebie żałuję pięknych zabudowań, dobroci mnichów i ich ocytania, które wychodziło na dobre okolicznym wspólnotom.

Czasami w tych naradach towarzyszy mi księżniczka Maria, a ja myślę sobie, że to dobrze, bo kiedyś – kto wie? – może i ona będzie musiała sprawować rządu we własnym królestwie. Księżniczka Elżbieta nie przegapiła jeszcze ani jednego spotkania. Siedzi nieco za mną, podpierając spiczastą brodę na zaciśniętych piąstkach i wodząc ciemnymi oczyma od jednego doradcy do drugiego, na wszystko mając baczenie. Obok niej zasiada zwykle Lady Jane Grey.

Na ten ranek zakończyliśmy już obrady. Doradcy kłaniają mi się, zbierają papiery i kolejno opuszczają komnatę – każdy z jakimś zadaniem do wykonania – gdy nagle księżniczka Elżbieta dotyka mojej ręki i spogląda mi w twarz.

– Tak? – pytam.

– Chciałabym się dowiedzieć, jak się tego nauczyłaś... – odpowiada nieśmiało.

– Jak się czego nauczyłam?

– Skąd wiesz, co masz robić – wyjaśnia, o co jej chodzi. – Nie urodziłaś się księżniczką, a mimo to wiesz, kiedy powinnaś milczeć i słuchać, a kiedy wydawać rozkazy, wiesz, jak się wyrażać jasno, wiesz, jak ich zmusić do działania. Nie miałam pojęcia, że niewiasta może tak się zachowywać. Nie miałam pojęcia, że niewiasta może rządzić.

Waham się z odpowiedzią. Mam przed sobą córkę niewiasty, która wyróciła Anglię do góry nogami, pozwalając młodemu królowi bawić się swymi piersiami, przekuwając jego pożądanie w swoją władzę, aż wreszcie szarogęsiła się w całym królestwie.

- Niewiasta może rządzić – mówię cicho. – Ale musi kierować się wolą Boga i używać swego rozsądku i mądrości. Nie wolno jej pragnąć władzy dla samej władzy. Musi godzić się z odpowiedzialnością, która idzie z nią w parze. Musi się przygotować i rządzić roztropnie. Jeśli twój ojciec wyda cię za władcę, pewnego dnia być może zostaniesz królową i być może będziesz musiała ująć ster w swoje ręce. Kiedy to się stanie, mam nadzieję, że wspomnisz moje słowa: tryumfem nie jest zasiąść na tronie, tryumfem jest myśleć jak prawdziwy król, dążyć do czegoś więcej niż własna wielkość, umieć się ukorzyć dla dobra ogółu. Nie chodzi o to, aby niewiasta rządziła za wszelką cenę, lecz o to, by u władzy znalazła się taka, co ma rozum i przejmuje się tym, co robi.

Dziewczyzna kiwa z powagą głową.

- Będiesz przy mnie – upewnia się. – Będziesz mi pomagać.

Uśmiecham się do niej.

- O, mam taką nadzieję! Będę na twoim dworze gderliwą staruszką, która wiecznie wie wszystko lepiej od innych. Będę siedzieć w kącie i utyskiwać na twoją rozrzutność!

Elżbieta wybucha śmiechem na tę perspektywę. Moment później biegnie do moich dworek, aby im powiedzieć, że potrzebuję jeszcze tylko chwilki, po czym będziemy mogły udać się na polowanie.

Nie mówię Elżbiecie, jaką radość sprawia mi rządzenie królestwem. Władza Henryka zasada się na nagłych pomysłach, raptownych zwrotach i dramatycznych zmianach. Mój mąż lubi zaskakiwać i trzymać radę królewską w niepewności. Lubi nastawiać jednych przeciw drugim, zachęcać do reformy, po czym nagle sugerować powrót do Rzymu. Lubi dzielić Kościół i swoją radę, utrudniać pracę parlamentu.

Bez wywoływanych przez niego turbulencji tryby maszyny państwowej, prawo świeckie, prawo kościelne, toczą się miarowo i bez przeszkód. Pada mniejsza liczba oskarżeń na zwykłych ludzi posądzanych o sprzyjanie czy to reformacji, czy to Rzymowi. Powszechnie wiadomo, że nie interesuje mnie naginanie prawa z korzyścią dla jednej ze stron. Odkąd nie ma nowych represyjnych ustaw ani nie zakazuje się ksiąg, protesty ucichły, a kaznodzieje, którzy co rano przybywają z Londynu, by prawić moim dworkom i książętom, zdają się rozsądniejsi i bardziej umiarkowani w swych poglądach. Rozmowa toczy się na temat ostrożnej definicji pojęć, nie zaś kręci się wokół lojalności rozdartej między papieża i króla.

Staram się pisać do Henryka niemal codziennie – układam utrzymane

w pogodnym i radosnym tonie listy, w których wychwalam jego męstwo i odwagę i dopytuję o losy oblężenia Boulogne-sur-Mer, zapewniając o swym przekonaniu, że musi prędko upaść. Opowiadam, że dzieci czują się dobrze i że za nim tęsknią, podobnie jak ja sama. Piszę tak, jakbym była kochającą żoną, cierpiącą ból serca z powodu rozłąki, zarazem zaś dumną z dzielnego małżonka, jak wypada połowicy każdego dowódcy. Tworzenie tych listów nie nastęrcza mi trudności, odkryłam bowiem, że mam talent do pisania i szczerze lubię to robić.

Księga z moimi psalmami, cudnie oprawiona, spoczywa głęboko w zamkniętej skrzyni. Traktuję ją jak swój skarb, jak największy skarb, który muszę trzymać w tajemnicy. Jednakże patrząc na te słowa, spisane moją ręką, nieraz przekreślone i ułożone od nowa, po czym w końcu wydrukowane i opublikowane w wydanej księdze, zaczynam rozumieć, jak bardzo mi odpowiada proces tworzenia. Zastanawiać się nad sformułowaniem, przerabiać je, aż przybierze najczystsza możliwą formę, a wreszcie wysłać je w świat, do ludzi, jest zajęciem tak przyjemnym i niosącym taką radość, że przestaję się dziwić, iż mężczyźni rezerwują je tylko dla siebie.

Dlatego tak pilnie pracuję nad listami do króla. Każdy układam, jakby to był psalm, który trzeba przetłumaczyć, biorąc pod uwagę stan ducha autora, za jakiego też się uważam. Ilekroć tłumaczę modlitwę, wyobrażam sobie tego, kto ją stworzył – człowieka boleśnie świadomego swoich grzechów. Wcielam się w niego, po czym spisuję najdzwięczniejszą wersję, jaka mogła wypłynąć z jego ust. Zabieram się do pracy, zdając sobie sprawę, że jestem niewiastą, nie mężczyzną, którego trapią głównie grzechy takie, jak duma, chciwość czy pożądanie władzy dla niej samej. Mam pewność, że nie są to grzechy niewiast, nie są to moje grzechy. Moją największą przewiną jest brak posłuszeństwa – niezwykle trudno przychodzi mi nagięcie swojej woli. Drugą moją wielką winą jest namiętność, uwielbienie człowieka, z którego nieomal uczyniłam sobie bożka.

Zatem pisanie listu miłosnego do króla przypomina w moim wypadku układanie modlitwy. Najpierw tworzę postać, która wypowie słowa. Sięgając po pustą kartkę, zastanawiam się, kim bym była, gdybym miłowała człowieka, który przypuszcza oblężenie na Boulogne-sur-Mer we Francji. Zastanawiam się, co by napisała jego żona. Jak by wyraziła swoje uczucie do niego, swoją tęsknotę za nim, swoje uznanie dla tego, co robi? Zastanawiam się, co bym napisała do mężczyzny, którego nie widzę, który jest ode mnie daleko, który tak bardzo troszczy się o moje bezpieczeństwo, że nawet nie przestał mi pocałunku na pożegnanie, który jest tak dumny i tak niezależny, lecz zarazem kocha mnie i żałuje, że musiał mnie opuścić...

Oczyrna wyobraźni widzę, jakbym miała ten obraz przed sobą, Tomasza Seymoura pod murami Boulogne-sur-Mer, uśmiechającego się szeroko wbrew zagrożeniu i strachowi. Mając wciąż w pamięci to uczucie i tę tęsknotę, piszę do Henryka czułymi i posłusznymi słowy, ze szczerości serca dopytując o jego zdrowie i zapewniając, że nie przestaję o nim myśleć ani na chwilę. Równocześnie jednak w głowie układam inny list, sekretny, który nigdy nie zostanie przelany na papier. Nie śmiem nawet nakreślić jego tytułu, aby przygotować pióro do pisania, nie śmiem narysować jego herbu. Nie śmiem choćby głośniej odetchnąć z obawy, że powietrze przybierze kształt jego imienia. Pozwalam sobie wyłącznie, tuż przed snem, do którego się układam w pustym łożu, stworzyć w myślach list, który bym napisała, gdybym tylko mogła.

A napisałabym, że go kocham uczuciem tak silnym, że spędza mi sen z powiek. Napisałabym, że w niektóre noce nie jestem w stanie znieść dotyku pościeli na ramionach, na piersiach, na łonie, gdyż zimny len rozpala we mnie potrzebę jego ciepłej doświadczonej dłoni. Napisałabym, że przykładam własną dłoń do ust i wyobrażam sobie, że go całuję. Napisałabym, że przykładam palce do najintymniejszych zakamarków swego ciała i przyciskam mocno, jemu dedykując radość, która z tego wynika. Napisałabym, że bez niego jestem tylko pustą skorupą, wydmuszką, niczym więcej. Napisałabym, że moje życie przypomina piękny grobowiec; że choć mam wszystko – jestem królową Anglii – zwykła biedaczka z nogami i ramionami oplecionymi wokół męża może się uważać za bogatszą ode mnie.

Nigdy jednak tego nie napiszę. Jestem królową. Piszę tylko te słowa, które mogą przeczytać wszyscy, które może przeczytać sekretarz królowi w obecności dworzan. Jestem autorką. Piszę słowa, które publikują londyńscy drukarze, nawet jeśli nikt nie wie, kto za nimi stoi. Nigdy nie napiszę, jak nieszczęsna młodzieńka Katarzyna Howard: „Ilekoć myślę, że mnie znów opuścisz, czuję, że serce we mnie obumiera”. Król skazał ją na śmierć za ten niemądry list miłosny. Sama wydała na siebie wyrok, własnymi słowami. Ja nigdy ich nie napiszę.

Henryk odpowiada mi, informując o postępach kampanii. Jest na przemian butny i smutny, wyraźnie tęskni za domem. Pierwotny plan wyruszenia na Paryż został zarzucony zaraz po przybiciu do portu w Calais, gdzie odwiódł go od zamiaru cesarz. Uznali wspólnie, że najpierw trzeba przypuścić oblężenie na leżące w pobliżu miasteczka. Henryk i Charles Brandon oblegają więc Boulogne-sur-Mer. Tomasz Howard księżę Norfolkku zaciekle atakuje pobliskie Montreuil. Wszyscy domagają się więcej prochu, więcej kul, więcej armat. Mam też podesać im kornwalijskich górników,

żeby przekopali tunele pod murami broniących się miast. Każę odlewać działa, każę zgłaszać się ochotnikom w Kornwalii, każę produkować proch strzelniczy, naciskam murarzy, aby ciosali z kamienia idealnie okrągłe kule armatnie. Wzywam lorda skarbnika, aby się upewnić, że mamy dość funduszy, by zapewnić ciągłe dostawy, i ostrzegam go, że być może będzie konieczne przeforsowanie w parlamencie kolejnej pożyczki. Lord skarbnik informuje mnie, że cena ołowiu spada, odkąd zalaliśmy nim rynek, i że prawie nie ma już kupców. Zajmuję się petycjami, które w normalnych okolicznościach spływają na moje ręce, a potem jeszcze udzielam audiencji tym, którzy w normalnych okolicznościach chcieliby się spotkać z królem. Przesiaduję w komnacie gościnnej Henryka, podczas gdy mój szambelan wskazuje, kto może wystąpić i zwrócić się wprost do mnie. Odpowiadam na wszystkie listy bez zbędnej zwłoki, tego samego dnia, w którym je otrzymuję, zapobiegając piętrzeniu się spraw do załatwienia. Przenoszę pisarzy z komnat rady do swoich własnych, aby pracowali u boku moich ludzi, i nieustannie powiadamiam najjaśniejszego pana o wszystkim, co robię.

Niech wie, że jestem regentką w każdym calu, że niczego nie zaniedbuję, że władza poprzez mnie. Nie wolno mi pomyśleć, że zagarnęłam władzę dla siebie. Muszę rządzić niczym król i donosić o wszystkim królewskiemu małżonkowi, jak na dobrą żonę przystało. Stąpam zatem po cienkim lodzie, uważając na każde słowo przelane na papier, na każdy wypowiedziany wyraz, który zostanie doniesiony Henrykowi. Mam się na baczności na każdym spotkaniu, w którym bierze udział część wielmożów należących do mojego dworu i część takich, co mają tylko własny interes na względzie. Nie mogę ufać nikomu. Ktoś w każdej chwili może szepnąć na ucho królowi, że rozpanoszyłam się, że jestem żadna władzy dla siebie, że zamieniłam się w monstrum: niewiastę o sercu i nerwach mężczyzny.

Henryk donosi mi, że pozostaje w dobrym zdrowiu. Specjalnie dla niego wzniesiono podwyższenie, z którego może oceniać oblężenie Boulogne-sur-Mer, stąpając bez niczyjej pomocy nawet po stromych stopniach. Rana przestała się sączyć, a że chirurdzy nie pozwalają jej się zasklepić, nie odczuwa zbytniego bólu. Wyprawia się konno co dnia, z masywnym muszkietem wspartym na łęku siodła, gotów zastrzelić każdego zoczonego Francuza. Pokazuje się w obozie swoim ludziom, aby ich upewnić, że osobiście prowadzi ich ku zwycięstwu. Wiedzie życie, które ukochał, wymyślone życie bajkowej młodości, otaczając się samymi przystojnymi młodzikami, którzy budzą marzenia o rycerzach Okrągłego Stołu. Tym sposobem odtwarza kampanię prowadzoną za młodu i zwycięstwo w bitwie pod Guinegate, otacza się namiotami równie wystawnymi jak te wzniesione

na Połu Złotogłowi. Zupełnie jakby w podeszłym wieku miał znów okazję cieszyć się walorami młodości: braterstwem, poczuciem zagrożenia, wiktoria.

Wieczorami wyprawiają ucztę, podczas których roztrząsają dzieńne potyczki, wznoszą tryumfalne toasty i planują natarcie na Paryż. Henryk rzuca się całym sobą w wir kampanii, ramię w ramię z brawurowymi towarzyszami, i poprzysięga, że raz jeszcze będzie królem Francji pełną gębą.

Ani on jednak, ani jego kompani nie narażają się na zbędne ryzyko – podwyższenie, o którym mowa, wzniesiono poza zasięgiem francuskich działań. Naturalnie w wojsku zawsze istnieje ryzyko chorób, jednakże na pierwszą oznakę słabości wśród żołnierzy Henryk rzucił się do ucieczki, zabierając ze sobą wszystkich dworzan. Dopóki ma siłę jeździć konno, spacerować i ucztować, nie martwię się o jego zdrowie ani bezpieczeństwo. Zresztą każdy człowiek w królewskiej świcie wie, że za wszelką cenę musi chronić Henryka, dopóki jego jedynym następcą jest zaledwie sześciolatek Edward. Ostatni chłopięcy władca Anglii stracił zarówno nasze ziemie we Francji, jak i angielską koronę. Królestwa nie można pozostawić w rękach dziecka i niewiasty.

Nie martwię się zatem ani o męża, ani o brata, który przebywa u boku swego monarchy. Jedynym mężczyzną, za którego sprawą opuszczam głowę w modlitwie, jest Tomasz Seymour. Niedawno najjaśniejszy pan wyznaczył go na dowódcę floty, która przewozi zapasy naszej armii przez zdradziecki Kanał, podczas gdy francuskie statki robią blokady, szkockie zaś nękają angielską banderę, o piratach różnej maści grasujących pod czarną flagą nawet nie wspominając. Tomasz pokonuje niespokojne wody, mając przeciwko sobie flotę dwu królestw, i nikt – bo niby czemu – nie pomyśli nawet, aby mi powiedzieć, czy u niego wszystko w porządku, czy jest bezpieczny, czy zawiął do portu czy wciąż walczy z falami. Co tydzień nalegam, aby na naradzie rady królewskiej pokazano na wielkiej mapie, gdzie dokładnie we Francji walczy nasza armia, gdzie obozuje król, gdzie obwarował się książę Norfolk i gdzie znajdują się nasze okręty. To jedyny sposób, aby się dowiedzieć, czy mojemu Tomaszowi nic nie grozi. Niestety mapa jest nieścista, nasi żołnierze trzymają się wyznaczonych pozycji, nikogo zbytnio nie interesuje los floty, a wszystkie wieści, które do nas docierają, są przestarzałe. Muszę udawać, że ciekawi mnie Boulogne-sur-Mer, podczas gdy w rzeczywistości umieram ze strachu, co dzieje się na morzu.

Henryk przykazuje mi zwrócić się do królewskiego astronoma z pytaniem, pod jaką datą gwiazdy będą sprzyjać wymarszowi na Paryż. Nicholas Kratzer nawiedza mnie w mojej nowej komnacie prywatnej pod obecność tylko księżniczek Marii i Elżbiety oraz mojej pasierbicy

z poprzedniego małżeństwa. Kiedy skłania się przed nami wszystkimi, zastanawiam się, co sobie myśli, widząc mnie: Katarzynę Parr w roli regentki w towarzystwie dwu księżniczek krwi.

- Wyznaczyłeś korzystną datę oblężenia Paryża? – pytam go.

Kłaniając się ponownie, wyciąga z rękawa zwój.

- Gwiazdy mówią, że powinno to nastąpić w pierwszym tygodniu września – odpowiada. – Rozrysowałem wykresy dla twojej informacji, najjaśniejsza pani. Wiem, że interesują cię takie rzeczy.

- Istotnie. – Gdy już położył zwój na stole przede mną, dodaje: – Masz właśnie przed sobą księżniczki z rodu Tudorów w złotych otokach na głowie. Co o nich myślisz?

- Myślę, że obydwie czeka wspaniała przyszłość – rzecz oględnie astronom i obdarza uśmiechem olśnioną Elżbietę. – Któż bowiem mógłby wątpić, że przyjdzie im władać wielkim królestwem?

Maria się uśmiecha – od dawna liczy na sojusz z Hiszpanią. Jednakże Elżbieta przejawia większe ambicje. Obserwuje moje prace z radą królewską, patrzy mi na ręce, gdy przyjmuję raporty z całego królestwa. Dowiaduje się, że niewiasta może być wykształcona, zdeterminowana, władcza.

- Naprawdę? – pyta teraz szeptem.

Mnie ciekawi, co Kratzer naprawdę myśli, co naprawdę widzi. Kiwnięciem głowy odpawiam księżniczki od stołu, gdy astronom wyciąga następną zwój.

- Postawiłem ci horoskop, najjaśniejsza pani – oznajmia. – To dla mnie ogromny zaszczyt, że okazujesz takie zainteresowanie moją nędzną pracą.

Powstając ze swego miejsca, kiedy rozprostowuje zwój na blacie, tak jak poprzednio mocując go astrologicznymi symbolami przedstawiającymi planety.

- Ładne przedmioty – mówię, jakbym wcale nie wyczekiwała chwili, w której ujrzę swoją przyszłość.

- To tylko przyciski do papieru – wyjaśnia. – Nie żadne amulety, oczywiście. Lubię na nie patrzeć.

- A co widzisz przede mną? – pytam cicho. – Tylko między nami dwojgiem...

Kratzer stuka wskaźnikiem w herb mojego rodu, hełm ze skrzydłami.

- Widzę, że wyszłaś młodo za młodzieńca. Gwiazdy mówią, że jako dziecię byłaś równie niewinna jak one.

Uśmiecham się do niego.

- Tak... Tak chyba było.

- Następnie, ledwie skończyłaś dwudziesty rok życia, wyszłaś za mąż



powtórnie, tym razem za mężczyznę starszego od siebie, który mógłby być twoim ojcem. Jako jego żona stawiałaś czoło poważnemu niebezpieczeństwu.

- Chodzi ci o Pielgrzymkę Łaski - domyślam się szybko. - Rebelianci przypuścili oblężenie na nasz zamek i nie odstępowali o krok. Wraz z pasierbami staliśmy się ich zakładnikami.

- Ale wiedziałaś, że nic ci nie grozi - zauważa astronom.

To prawda. W moim sercu nie było strachu. Jednakże Henryk i tak rozprawił się surowo z całą Północą na podstawie doniesień o aktach okrucieństwa.

- To byli zdrajcy - odpowiadam wymijająco. - W każdym razie zawiśli za zradę.

- Byłaś mężatką przez prawie dekadę - mówi dalej, poruszając wskaźnikiem - ale nie doczekałaś się dziecka.

Zwieszam głowę.

- Był to dla mnie powód do wielkiego smutku. Wszakże mój mążonek miał potomków z poprzedniego małżeństwa, syna i dziedzica oraz córkę. Nigdy nie robił mi wymówek.

- W końcu miłościwy pan obdarzył cię swoimi względami.

Tak opisane moje życie jawi się pasmem nudy, aż do oczu cisną mi się łzy współczucia dla samej siebie. Odwracam się od stołu i wykresu, zanim zaczną płakać, co byłoby bardzo nie na miejscu.

- Odtąd rozwijasz się duchowo - dodaje łagodnie stary astronom. - Tutaj mamy symbol Ateny, a więc mądrości i nauki. Wiele czytasz i piszesz?

Z trudem opanowuję sapanięcie.

- Wiele się uczyć - potwierdzam.

- Będziesz też pisać - dopowiada. - A twoje słowa będą niosły znaczenie. Pisarz niewiasta, zaiste to nowość. Szlifuj swój talent, wasza królewska mość. To rzadkość. Za twoim przewodem pójda inne białogłowy, a to rzecz warta pochwały. Może to księgi będą twoim potomstwem, twoim dziedzictwem.

Kiwam głową.

- Może...

- Czeka cię jednak nie tylko wytrwała nauka - podejmuje Kratzer. - Tu mamy... - wskazuje symbol Wenus, którego nie sposób pomylić z niczym innym - tu bowiem mamy miłość.

Spoglądam w milczeniu. Nie śmiem zadać pytania, które mnie nurtuje.

- Myślę, że miłość twego życia powróci bezpiecznie do domu - zakańcza.

Splatom ciasno dłonie, upewniając się, że wyraz twarzy mam obojętny.

- Miłość mego życia?

Potakuje skinieniem.

- Nic więcej nie powiem.

Ja zaś o nic nie zapytam.

- Nic mu nie grozi?... - odważam się szepnąć.

- Chyba wyjdiesz ponownie za mąż - mówi bardzo cicho astronom.

Przesuwa wskaźnik z kości słoniowej, niczym różdżką zahaczając o kolejną dekadę mego życia. - Wenus... miłość, płodność i śmierć.

- Widzisz moją śmierć? - podnoszę głos.

Szybko potrząsa głową.

- Nie, nie, to zabronione. Spójrz na wykres, jest taki jak króla, ciągnie się bez końca w przyszłość.

- Ale miłość widzisz?

- Myślę, że spędzisz resztę dni z miłością swego życia. Po tym, jak wróci bezpiecznie do domu.

- Rzecz jasna mówisz o najjaśniejszym panu, który niebawem wróci z wojny?

- Wróci z wojny, cały i zdrow - powtarza za mną mgliście, nie mówiąc kto.

Astronom nie myli się przynajmniej co do moich lektur. Arcybiskup Cranmer składa mi co dzień wizytę, podczas której rozmawiamy o pracach rady królewskiej oraz o tym, jak powinnam zareagować na raporty i petycje, jednakże jak tylko sprawy doczesne mamy za sobą, przechodzimy do spraw duchowych. Z jego ekscelencji jest inspirujący uczonec. Za każdym razem przynosi ze sobą kazanie albo pamflet, czasem napisany odręcznie, czasem świeżo opublikowany drukiem, po czym nazajutrz omawiamy jego treść. Moje dworki przysłuchują się wymianie zdań, a nierzadko biorą w niej udział. Księżniczka Maria stara się zawsze bronić Kościoła katolickiego, jednakże nawet ona musi oddać sprawiedliwość logice i uduchowieniu arcybiskupa. Moje komnaty stają się ośrodkiem debaty, istną szkołą dla niewiast, dzięki temu, że ekscelencja sprowadza londyńskich kapelanów i kaznodziejów, którzy dzielą się z nami swoją wizją przyszłości wiary. Wszyscy oni są biegli w Piśmie Świętym, zarówno w grece, jak i po łacinie, a także w językach nowożytnych. Bardzo często zaglądamy to do jednej, to do drugiej wersji w poszukiwaniu prawdziwego znaczenia jakiegoś słowa, ja zaś zaczynam rozumieć, że choć puszę się znajomością łaciny, będę chyba też musiała nauczyć się greki.

Pewnego ranka w moich apartamentach pojawia się arcybiskup Cranmer, który z ukłonem pyta:

- Czy mogę zamienić z tobą słówko, najjaśniejsza pani?

Odchodzę na stronę, lecz on ku mojemu zdziwieniu bierze mnie pod rękę i wyprowadza z komnaty na długą galerię, poza zasięg słuchu postronnych.

- Chciałem ci coś pokazać - rzecze, błyskając lśniąco oczyma spod siwych brwi.

I wyjmuję zza pazuchy oprawną w skórę książeczkę. Po otwarciu na pierwszej stronie jawi się tylko jeden wyraz: PSALMY. Ze zdziwieniem stwierdzam, że ekscelencja przyniósł moje dzieło, moje pierwsze opublikowane dzieło.

- Nie ma autora - dodaje - ale bez trudu rozpoznałem jego głos.

- To wydanie ukazało się anonimowo - mówię prędko. - Nikt się nie przyznaje do autorstwa.

- Bardzo mądrze. Jest wiele osób przeciwnych prawu poddanych do czytania Biblii i psalmów w języku ojczystym, a jeszcze więcej ludzi skrytykowałoby człowieka na tyle odważnego, by zdobyć się na przekład łacińskich psalmów biskupa Fishera. - Urywa, uśmiechając się do mnie ciepło. - Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek zdawał sobie sprawę, że tłumaczką może być niewiasta.

- I lepiej niech tak zostanie.

- To prawda. Chciałem ci tylko powiedzieć, że otrzymałem tę książczyne od kogoś, kto nawet nie podejrzewa jej autora, ale ma wysokie mniemanie o przekładzie. Z przyjemnością ją przyjąłem i przeczytałem. I muszę się zgodzić, że autor, kimkolwiek jest, powinien być dumny ze swojej pracy. Tłumaczenie jest dobre, naprawdę bardzo dobre.

Odkrywam, że rumienię się szaleńczo, niczym zaambarasowany pisarczyk.

- To niezwykle miłe...

- Chwalę tylko tych, którzy na to zasługują. A to dzieło to owoc pracy tyleż lingwisty co poety.

- Dziękuję - odpowiada mi szeptem.

Zachęcona publikacją i sukcesem książki z psalmami, sugeruję arcybiskupowi Cranmerowi, że rozważam zajęcie się następnym śmiałym projektem. Chodzi o przekład czterech Ewangelii Nowego Testamentu, będących dokumentacją życia Chrystusa. Obawiam się, że usłyszę w odpowiedzi, iż zadanie mnie przerasta, jednakże ekscelencja jest pod wielkim wrażeniem mojej propozycji. Zaczniemy od łacińskiego przekładu mistrza Erazma, po czym spróbujemy oddać go w angielszczyźnie, pięknymi, acz prostymi słowami, które każdy zrozumie.

Bo czyż ktoś, kto przeczyta o życiu Chrystusa w prostych słowach i wszystko pojmie, mógłby nie zechcieć pójść w Jego ślady? Im więcej się uczę, tym jestem pewniejsza, że ludzie – niewiast nie wyłączając – mogą ująć sprawy własnej duszy w swoje ręce, mogą działać na rzecz własnego zbawienia i mogą zwracać się bezpośrednio do swojego Boga.

Oczywiście zaraz po tym przychodzi myśl, że wszelkie sztuczki Kościoła rzymskiego służą li tylko bezwstydnemu tuczeniu się na niewiedzy maluczkich. Sprzedawanie niewieście odznaki pielgrzymiej ze słowami, że po pierwsze dowodzi ona udziału w pielgrzymce, a po drugie odpuszcza wszelkie grzechy, samo w sobie powinno być uznawane za grzech. Zapewnianie matki pogrążonej w żałobie, że jeśli tylko dość mniszek zmówi dość modlitw za duszę jej zmarłego dziecka, to trafi ono prosto do nieba, jest czynem równie złym jak puszczanie w obieg złego szeląga. Kupowanie absolucji od papieża, zmuszanie papieża do unieważnienia małżeństwa, nakłanianie go do przyknięcia oka na więzi pokrewieństwa, tolerowanie strzyżenia kardynałów, którzy z kolei skubią biskupów, którzy wyciągają rękę do księży, którzy zdzierają dziesięcinę z biedaków – wszystkie te przewiny zniknęłyby w okamgnieniu, gdyby założyć, że dusza trafia na łono Pana bez ludzkiej pomocy. Ukrzyżowanie to dzieło boże. Kościół jednak to dzieło człowieka.

Wspominam noc, w którą się modliłam i w którą – jak wiem – spłynął na mnie Bóg. Słyszałam Go wtedy, naprawdę Go słyszałam. Gdy rozmyślałam teraz nad prostotą i pięknem bożego poświęcenia, wiem zarówno z lektury, jak i z objawienia, że dawny rytuał musi przepaść i że ludzie będą się zwracać do Chrystusa jeden po drugim, tak jak ich woła. Nie będzie ślepego posłuszeństwa, nie będzie mamrotania w obcym języku. Lud nauczy się czytać i będzie miał zrozumiałą dla siebie Biblię. Oto w co obecnie wierzę i co osiągnę jako regentka i królowa. Taki jest mój święty obowiązek. Takie jest moje powołanie.

We wrześnie miasteczko Boulogne-sur-Mer poddaje się angielskiemu oblężeniu i Henryk szykuje się do powrotu do domu w glorii bohatera, a co więcej, rozkazuje mi w liście przygotować mu tryumfalne powitanie. Zwycięski orszak przemaszeruje od Dover do Londynu, by po drodze mógł mu wylec na spotkanie cały dwór. Miejscem obchodów będzie zamek w Leeds w hrabstwie Kent. Umawiam szklarza, aby wstawił witraże w wielkiej sali, komnatach sypialnych i oczywiście kaplicy zamkowej. Królewski rzemieślnik nazwiskiem Hone zjawia się w moich apartamentach, aby pokazać mi wzór

przedstawiający upadłą francuską fortecę i zwycięskich Anglików z królem na czele.

– Kiedy słońce padnie na szkło – opowiada Galyon Hone – mury miasta zapłoną dumą po raz ostatni przed tym, zanim obrócą się w ruinę. Witraże już są w rękach malarzy, najjaśniejsza pani.

– Będą gotowe na czas?

– Wszyscy pracujemy w pocie czoła, od rana do nocy, tak że okna wielkiej sali powinny zostać ukończone w porę na ucztę. Resztę wstawi się potem.

– Musicie ukończyć też okna kaplicy – mówię. – Takie jest życzenie miłościwego pana. Odbędzie się uroczysta msza. Okna muszą mieć wstawione witraże. Obawiam się, że muszę przy tym obstawać, mistrzu.

Szklarz kiwa głową. Jest to niewysoki, zażywny człowieczek z dłońmi równie szorstkimi jak stara skóra od setek skaleczeń.

– Dobrze, najjaśniejsza pani. Widzę, że z tobą nie wygram. Ale spójrz na te wzory! Widzisz, jak odmalowałem jego królewską mość i wielmożów pod murami miasta? – Pokazuje mi kolejną rycinę. – Tutaj jest książę Norfolku, tutaj książę Suffolku, tu sir Tomasz Seymour. A tu, najjaśniejsza pani, twój szlachetny brat.

Naniósł na papier zgrabne szkice poszczególnych dworzan otaczających Henryka; jedni mają na sobie zbroję, nad głowami innych powiewają sztandary. W tle stoją miniaturowe wierzchowce obładowane ładrami, a armaty wystrzeliwiają kule w obłoczkach dymu.

Moje spojrzenie spoczywa na wyrazistym profilu Tomasza Seymoura.

– Są jak żywi – mówię niepewnie. – Czy mogę zatrzymać sobie ten rysunek?

– Jego królewska mość wyszedł mi udatnie – rzecze z zadowoleniem. – Ależ tak, zostaw go sobie, najjaśniejsza pani. Mam drugi taki sam zrobiony dla rzemieślników. – Szura kartami. – O, a tutaj forteca upada. To wspaniała chwila. Zupełnie jak w wypadku Jerycha i Jozuego.

– Tak – potwierdzam.

W duchu już się zastanawiam, czy bezpiecznie będzie zachować wizerunek Tomasza. W centralnej części obrazka widnieje Henryk, Tomasz jest na wpół ukryty za jego plecami. Nikt, kto by się temu przyjrzał, nie domyśliłby się, że najbardziej mi zależy na profilu ukochanego. Szczególnie że mogę przechowywać kartę w ukryciu pomiędzy swymi księgami, razem z rękopisem psalmów, które przetłumaczyłam. Albo pomiędzy stronicami Biblii. Nikt nawet nie będzie wiedział, na co pierwsze spoglądam, otwierając Pismo Święte...

Hone pokazuje mi dalsze wzory. Całość przedstawia historię wojny we Francji, sojuszu z cesarzem i oblężenia Boulogne-sur-Mer nie wyłączając. Witraż do kaplicy ukazuje akt dziękczynienia i obchodów. Anioł błogosławi tę kampanię, król wraca do domu pod łukiem z wawrzynu, podczas gdy z góry przyglądają mu się anieli.

- Wszystko będzie gotowe na powrót jego królewskiej mości - zapewnia mnie szklarz. - Z rana udam się do Kentu, gdzie na miejscu wprawimy szybki w ołów, żeby się po drodze nie potłukły. Wszystko będzie gotowe - powtarza. - Ołów będzie stygł w królewskiej obecności, ale wszystko będzie gotowe.

Hone kłania mi się i zaczyna zbierać obrazki. Podaję mu ten z wizerunkiem Tomasza Seymoura.

- Przecież go chciałaś, najjaśniejsza pani - rzuca. - Mam może go dla ciebie oprawić?

- Nie trzeba. Zaczekam, żeby zobaczyć go w naturze.

Staram się nadać głosowi obojętny ton. Katarzyna Howard trafiła na szafot na podstawie jednego liściku, który skreśliła do Tomasza Culpeppera swoim dziecinny charakterem pisma, robiąc błędy i kleksy, i w którym pytała, czy dobrze się miewa. Nie śmiem być w posiadaniu niczego, co kiedykolwiek mogłoby zostać użyte przeciwko mnie. Nie śmiem zachować szkicu węglem przedstawiającego na wpół ukryty profil na tle tłumu. Nie śmiem mieć nawet tego.

# ZAMEK W LEEDS, HRABSTWO KENT JESIEŃ 1544 ROKU



Pojawienie się króla na zamku przypomina starannie rozpisaną maskaradę. Wszystko odbywa się na pokaz. Królewski szambelan i koniuszy uzgodnili szczegóły z moim szambelanem, dzięki czemu każdy ma wyznaczone swoje miejsce niczym w tańcu. O ósmej wdzięczni mieszkańcy hrabstwa Kent zaczynają się zbierać po obu stronach drogi wiodącej na zamek. Gwardziści ustawiają się szpalerem przed nimi, aby hamować podniecony tłum bądź – jeśli ten nie będzie dostatecznie podniecony – poddawać okrzyki i inicjować aplauz.

Budowniczo wie pospołu z ogrodnikami wznieśli łuki tryumfalne z gałęzi wawrzynu, trębacze wspięli się na wieże, a grajkowie przyczaili się u bramy. W końcu rozlega się tętent awangardy, po czym dostrzegam – stojąc u bramy w towarzystwie księżniczek Marii i Elżbiety po jednej stronie oraz księcia Edwarda po drugiej – pierwsze szeregi królewskiego orszaku, nad którymi poczce wielka flaga Anglii.

Nie sposób przeoczyć króla. Prezentuje się wspaniale w swej czarnej włoskiej zbroi, siedząc na rumaku zakutym w lądry i wyższym w kłębie

od reszty wierzchowców, dzięki czemu jego jeździec wyróżnia się nawet z daleka. Poddani zaczynają spontanicznie wiwatować, na co Henryk obraca głowę to w prawo, to w lewo, a jadący za nim jałmużnik rozrzuca monety na obie strony, aby wzniecić nawet większy entuzjazm.

Czuję zdenerwowanie. Przede mną postępuje naprzód orszak składający się z ambasadorów, wielmożów, popleczników i dowódców, ich Isniące wierzchowce rzucają łbami i parskają, a idący za nimi żołnierze prezentują nowe i czyste dublety, chociaż co poniektórzy mają na głowach wgniezione hełmy. Na czele ich wszystkich zaś znajduje się mój mąż.

Gdy zatrzymuje konia, czwórka mężczyzn rzuca się na ustalone pozycje, aby pomóc mu zsiąść z siodła. Pod bok wierzchowca zostaje podtoczona platforma na kółkach, na którą zstępuje Henryk, wspierany z obu stron przez giermków. Odzyskawszy w pełni równowagę, obraca się i macha do mnie. Tłum wiwatuje, biorąc przykład z pełnych werwy żołnierzy, a w tym czasie giermkowie pomagają królowi zejść z platformy na ziemię.

Następnie rzucają się zdjąć z niego nabiodrki i naręczaki. Henryk zostaje w samym napierśniku i z hełmem pod pachą, co nadaje mu wojowniczy wygląd. Nie odrywam od niego zachwyconego wzroku. Wiem, że gdzieś w orszaku znajduje się Tomasz, który bacznie mnie obserwuje.

Dwaj paziowie podają królowi ramię, jednakże on nie korzysta z ich pomocy. Ja zaś wiem, że nawet teraz, w chwili powitania, nie wolno mi do niego podejść. To on zbliży się do mnie. Wszyscy wokół stoją tak, aby poddani mieli na nas jak najlepszy widok. Gdy Henryk jest już blisko, towarzyszący mi dwór i ja sama kłaniamy się nisko monarsze. Trójka dzieci niemal zamiata nosami po ziemi. Wreszcie czuję pod łokciem jego dłoń, po czym mogę się wyprostować z ukłonu. Na koniec czeka mnie namiętny pocałunek w usta na oczach wszystkich zebranych.

Pilnuję się, aby się nie skrzywić. Nie wolno mi uczynić najłżejszego grymasu na jego zastarzały oddech i wilgotne usta.

Następnie Henryk odwraca się do mnie plecami, twarzą zaś do swoich żołnierzy.

- Poprowadziłem was do boju i przywiódłem bezpiecznie do domu! - woła. - Wróciliśmy w chwale. Zatrzymaliśmy.

Kiedy rozlega się ryk aprobaty, wychylam się zza zwalistego ciała króla, aby zerknąć na jego ludzi. Udziela mi się ich entuzjazm, wargi bezwiednie wyginają się w uśmiechu. Nie sposób nie przyłączyć się do radosnego świętowania zwycięstwa. Albowiem to tryumf, prawdziwy tryumf, że odzyskali angielskie ziemie we Francji, że pokazali wielkość i potęgę króla Henryka VIII i że wrócili cali i zdrowi do domu.



Siedzimy obok siebie przed ołtarzem kaplicy zamkowej na specjalnych niskich krzesłach, dzięki którym sprawiamy wrażenie, jakbyśmy klęczeli bogobojnie. Znajdujące się za naszymi plecami dzieci kornie pochylają głowy. Henryk modli się z zapałem przez kilka chwil, po czym dotyka mojej ręki, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Edward miewa się dobrze?

Naprzeciwno nas ksiądz, zwrócony twarzą do ołtarza, błogosławi chleb i wino. Głosy chóru wznoszą się pod sklepienie kaplicy świątecznym hymnem. Wyrwam się z modlitwy i kieruję swoją uwagę na króla – porzucam sacrum dla profanum. Nie po raz pierwszy zastanawiam się w duchu, czy Henryk wierzy w misterium przeistoczenia, czy daje wiarę temu, że wino staje się krwią, a chleb ciałem Chrystusa, skoro w trakcie odwraca się na boki i prowadzi rozmowę. Czy to możliwe, że codziennie ignoruje cud, który rozgrywa się na naszych oczach?

– Jak widzisz, miłościwy panie. Nic mu nie dolega. Twoje córki także cieszą się dobrym zdrowiem.

– Ale wybuchła zaraza?

– Kiedy dokonywaliśmy objazdu królestwa, tak. Jednakże udało nam się jej uniknąć. Teraz jest już po wszystkim.

– Postarałem się o jego dziedzictwo we Francji. Kolejne francuskie miasto trafiło na nasze ręce. A to dopiero początek. Pierwszy krok.

– Odbyłeś wspaniałą kampanię – mówię z entuzjazmem.

Potakuje skinieniem. Na widok zbliżającego się księdza przymyka oczy i splata pulchne jak u dziecka dłonie. Rozwiera drobne usta, wysuwa mięsisty język i przyjąwszy nań przemieniony chleb, połyka jednym haustem. Koncelebrant nadchodzi z kielichem i słowami: „Sanguis autem Christi”, na co Henryk odpowiada: „Amen” i ująwszy kielich w obie dłonie, pije do dna.

Koncelebranci zbliżają się do mnie. W uniesionym milczeniu, gdy ksiądz podaje mi opłatek, w głębi ducha szepczę: „Dzięki Ci, Panie Boże, za to, że uchroniłeś mojego męża od niebezpieczeństw wojennych”. Opłatek ciąży mi na języku, rozpuszczając się dłuższą chwilę. Przetykam jednak, zanim koncelebrant podchodzi z kielichem wina. „I proszę, zachowaj ode złego Tomasza Seymoura, obdarzając go swą ochroną i swą łaską”. Sekretną modlitwę zakańczam słowami: „Boże, błogosław Tomasza”.

Zamkowe kuchnie przechodzą same siebie przy okazji uczty triumfalnej. Zasiadamy do pierwszego posiłku zaraz po porannej mszy, o dziesiątej, i wkrótce mam wrażenie, że już nigdy nie wstaniemy od stołu. Kolejne wspaniałe dania wjeżdżają na wielką salę jedno po drugim, niesione na wysokości ramion przez podstolich. Na ogromnych złotych paterach piętrzą się mięsa, ryby i ptactwo, w złotych misach chlupoczą sosy i potrawy, tace zaściełają paszteciki ułożone w piramidy. Punkt kulminacyjny stanowi pieczeń w pieczeni, ptak nadziewany innym ptakiem: skowronek wewnątrz drozda wewnątrz kury wewnątrz gęsi wewnątrz pawia wewnątrz łabędzia, którą to całość wieńczy wierzchnia warstwa z ciasta w kształcie zdobytego Boulogne-sur-Mer. Na widok tego cudu sztuki kulinarnej biesiadnicy wiwatują i uderzają trzonkami noży w blat, podczas gdy podstolowie niosą go w czterech na tacy, kierując się ku stołowi na wprost przed podwyższeniem. Chór schowany na galerii wyśpiewuje hymn zwycięstwa, a król, spocony i umęczony tym maratonem dań, promienieje ze szczęścia.

Moi zegarmistrzowie sprokurowali zegar w formie działa i teraz Will Somers, dokazując pod sztandarem świętego Jerzego, wtacza go do wielkiej sali na własnej lawecie. Z dużą dozą krotocwilności, do wtóru wiwatów i okrzyków zachęty wznoszonych przez biesiadników, Will zbliża się do misternej złotej armaty z zapaloną świecą, udaje, że kurczy się przed nią ze strachu, po czym w końcu odpala lont.

Równocześnie sprawnym ruchem wciska ukryty guzik, dzięki czemu armata wieje ogniem i głośno wystrzeliwuje kulę w stronę zamku z ciasta. Lufa jest prawidłowo wycelowana, a kula dobrze wyważona – wieża zapada się pod ostrzałem, co wywołuje głośny aplauz biesiadników.

Król jest zachwycony. Podnosi się na nogi.

– *Henricus vincit!* – woła.

Na to dworzanie odpowiadają donośnym krzykiem:

– Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarz!

Uśmiecham się i biję brawo. Nie śmiem przenieść spojrzenia na stół wielmożów, skąd Tomasz przygląda się temu ekstatycznemu powitaniu dania z drobiu. Potajemnie szczypię się w dłoń, aby nie parsknąć złośliwym śmiechem. Dworzanie słusznie świętują, a król ma wszelkie powody rościć sobie prawo do tryumfu. Moim zadaniem zaś, jako żony, jest okazywanie radości. W gruncie rzeczy cieszę się i jestem dumna z Henryka. Wstaję więc również i wznoszę toast za króla. Wszyscy dworzanie idą w moje ślady. Mój mąż stoi, chwytając się lekko, i przyjmuje hołdy ode mnie, od dzieci, od poddanych. Ja ani razu nie patrzę w stronę Tomasza.

Uczta się przeciąga. Gdyśmy się wreszcie uporali z pieczenią i resztą mięs i ryb, na salę wjeżdżają desery, kolejne cudeńka przypominające słodkie mapy Francji i marcepanowe modele królewskiego rumaka. Jedne po drugich pojawiają się na stole owoce, suszone i gotowane, babeczki, ciasteczka i inne różności. Smakołyki, w tym orzechy, trafiają na każdy stół, a do nich zostają podane portugalskie wina dla tych, którzy mają dalej siły ucztować.

Henrykowi apetyt dopisuje. Mój mąż je tak, jakby nie miał nic w ustach od momentu opuszczenia Anglii i udania się na wojnę. W miarę jak się napycha, staje się coraz czerwienią na twarzy, a poci się tak, że stojący w pogotowiu paż musi mu co chwila ocierać zroszone czoło i kark. Król co rusz domaga się więcej wina i następnych potraw. Siedząc obok niego, skubię to i owo, abyśmy ucztowali wspólnie, jednakże dla mnie ta ciągnąca się cały boży dzień biesiada to prawdziwa męka.

Boję się, że Henryk się pochoruje. Rozglądam się za medykami w nadziei, że odważą się położyć kres jego obżarstwu. Część dworzan już odsunęła talerze, niemało ich złożyło głowy na blacie z przepiccia. Jedynie król dalej je, nieprzerwanie odsyłając najlepsze dania do stołów swoich faworytów, którzy kłaniają się z uśmiechem i dziękują mu, nie mając innego wyjścia, jak wziąć sobie dokładkę i udawać zachwyty nad kolejnym daniem.

Wreszcie, gdy zbliża się zachód słońca, Henryk odsuwa od siebie talerz i gestem odprawia podstolich.

– Mam dość – mówi. – Dość! – Następnie rozgląda się wokół, przyszpila mnie spojrzeniem i wargami wciąż lśniącymi od tłuszczu zwraca się do mnie w te słowa: – Co za uczta! Co za święto!

Zdobywam się na uśmiech.

– Witaj w domu, najjaśniejszy panie. Cieszę się, że się najadłeś.

– Najadłem? Czuję się wypchany jak ten ptak. Aż brzuch mnie boli.

– Czyżbyś się przejadł?

– Nie, skądże. Mężczyzna mojej postury musi sobie podjeść. Po tym, co przeszedłem, zasłużyłem na dobry posiłek.

– Skoro tak, tym bardziej się cieszę, że dania ci odpowiadały.

Henryk potakuje skinieniem.

– Gdzie komedianci? A tańce?... Będą też tańce?

Oczywiście ledwie się napchał, rozgląda się za rozrywkami, i to natychmiast. Myślę, że nawet Edward, który ma dopiero sześć lat i jada w zaciszu swoich komnat, znajduje w sobie więcej umiaru i opanowania niż jego ojciec. Henryk bowiem je, dopóki go nie zemdle, i zaraz chce wiedzieć, co będzie dalej, bezzwłocznie.

- Będą tańce - zapewniam męża. - Będzie też specjalna maskarada ku czci twego zwycięstwa.

- A ty zatańczysz?

Wskazuję na ciężką koronę Boleynówny spoczywającą na mojej głowie.

- W tym, co mam na sobie, nie dam rady - odpowiadam. - Sądziłam, że raczej posiedzę i obejrzę tańce razem z tobą.

- Ależ musisz zatańczyć! - obstaje. - W całej wielkiej sali nie ma piękniejszej niewiasty od ciebie. Pragnę zobaczyć, jak moja żona tańczy. Nie wróciłem do domu patrzeć, jak siedzisz. To żadne obchody bez twojego tańca, Katarzyno.

- Czy mogę pójść się przebrać?

- Tak, możesz - zezwala. - Tylko wracaj szybko...

Kiwam głową Annie, która daje znak dwu dworkom, po czym wszystkie przechodzimy za niewielkie drzwi ukryte za podwyższeniem do korytarzyka.

- Król życzy sobie, abym się przebrała do tańca - informuję ze znużeniem.

- Dziewczęta - Anna pstryka palcami - biegnijcie po złoty kornet jej królewskiej mości!

Dworki robią, jak każe im moja siostra, ona zaś zwraca się do mnie z cmokaniem.

- Powinnam była im kazać, żeby przyniosły też grzebień i złotą siateczkę. Zaraz po nie pójde do swojej komnaty. Ty zostań tutaj i zaczekaj na nas.

Pod jej nieobecność podchodzę do okna, przez które wpada chłodne powietrze. Harmider wielkiej sali mam za plecami. Zamek otacza fosa ze stojącą wodą, nad którą uwijają się nisko jaskółki. Ich zwinne ciątka odbijają się srebrzyście w powierzchni, gdy tak zataczają bez końca koła. Tymczasem niebo złocieję i czerwieni się przy zachodzie słońca. Widok jest wspaniały: widnokrąg zdaje się zalany szkarłatem, który błednie ku górze, aż wreszcie brzuchy chmur zdają się pozłoczone, niebo nad nimi zaś idealnie błękitne. Przez mgnienie czuję się tak jak podczas modlitwy, gdy jestem jasno świadoma własnej obecności. Oto młoda niewiasta wygląda przez okno na fosę i ptaki, umiejscowiona w przestrzeni, choć gwiazdy przeznaczenia nad jej głową pozostają nieodgadnione, przed nią zaś jest to, co przyniesie wola Boga. Tak niewiele wiem i tak wiele pragnę w tym momencie, gdy słońce chyli się ku zachodowi...

- Nic nie mów.

Rozpoznaję głos Tomasza w okamgnieniu - kogóż bowiem słyszę co noc we śnie? - odwracam się i widzę, że stoi naprzeciwko mnie na tle zamkniętych drzwi, sprawiając wrażenie nieco bardziej zmęczonego i nieco szczuplejszego niż ostatnio, gdy stał na rufie królewskiej barki, odpywając

ode mnie bez słowa czy gestu pożegnania.

Milczę, czekając, aż powie coś więcej.

- To wcale nie było wielkie zwycięstwo. - Kiedy się odzywa, z jego głosu przebija tłumiona furia. - To była szopka. Jeden ogromny bałagan. Nie mieliśmy potrzebnej broni, nie mieliśmy wyposażenia. Nie mieliśmy nawet jedzenia dla żołnierzy. Ludzie leżeli wprost w błocie bez żadnej osłony, marli setkami od chorób. Powinniśmy byli maszerować na Paryż, tak jak to było uzgodnione. Tymczasem zamiast tego Anglicy ginęli, oblegając miasto bez żadnego znaczenia, miasto, którego nigdy nie uda nam się utrzymać. A wszystko tylko po to, żeby król mógł mówić o zwycięstwie i powrocie do domu.

- Sza - przestrzegam. - Liczy się, że ty wróciłeś do domu. I że Henryk nie zachorował.

- Nie miał pojęcia, co zrobić, nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Nie wie, jak rozplanować marsz wojska, nie wie, kiedy trzeba wyruszyć, a kiedy zatrzymać się na odpoczynek. Nie wie nawet, jak wydawać rozkazy. Najpierw mówi jedno, potem drugie, a następnie wpada w furję, bo nikt nie wie, o co mu chodzi. Poleca jeźdźcom atakować jeden kierunek, a łucznikom drugi, po czym zawraca i tych, i tych, narzekając, że popełnili błąd. Gdy wszystko wokół się sypało, gdy ludzie chorowali, a Francuzi trzymali się mocno, nie zauważał, że mamy kłopoty. Nie dbał o to, że żołnierze znaleźli się w niebezpieczeństwie. Rozповідаł, że wojna musi kosztować, a on nie obawia się podejmować ryzyka. Nie ma pojęcia o wartości ludzkiego życia. Nie ma pojęcia o wartości czegokolwiek.

Pragnę go uciszyć, ale on kontynuuje niezrażony.

- Kiedyśmy w końcu zwyciężyli, doszło do masakry. Dwa tysiące mieszkańców, w tym niewiasty i dzieci, uciekało z miasta, podczas gdy on siedział wysoko w siodle w swojej błyszczącej włoskiej zbroi. Francuzi ruszyli w poniewierkę bez choćby skromnych zapasów jedzenia, z pustymi rękoma. Król poprzysiągł, że muszą dotrzeć do francuskiej linii w Abbeville, jednakże oni przewracali się po drodze i umierali z wycieńczenia, a w tym samym czasie nasze oddziały plądrowały ich domy. To morderca, Katarzyno. Bezlitosny morderca... Teraz, po wszystkim, twierdzi, że odniósł wspaniały tryumf, jakby nie wiedział, że doszło do jatki. Armia Howarda była na skraju buntu. Boulogne-sur-Mer i tak wróci we francuskie ręce. To tylko próżny pokaz siły, nic więcej. A Henryk nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Przyjmuje do wiadomości tylko to, co chce usłyszeć. Wierzy tylko w to, co mu odpowiada. Napawa się własnymi rozkazami. Nikt nie śmie przedstawić mu prawdy, zresztą nie pojąłby jej nawet wtedy, gdyby wypisać mu ją krwią

jego ofiar tuż przed jego oczyma.

- Henryk jest królem - stwierdzam krótko. - Czyż nie tacy są wszyscy królowie?

- Nie! - zaprzecza Tomasz. - Byłem na dworze króla Węgier, rozmawiałem z samym cesarzem. To wielcy wodzowie, których poddani słuchają bez szemrania, lecz którzy sami żywią wątpliwości. Nie są pewni swego. Żądają prawdziwych meldunków. Zasięgają rady. To nie to samo, Katarzyno. Nasz król jest ślepy na własne porażki, głuchy na wszelkie rady.

- Sza - powtarzam, zerkając za jego plecy, na zamknięte drzwi.

- Co roku jest gorzej - dodaje z naciskiem. - Wszyscy jego uczciwi doradcy leżą w grobie lub są pohańbieni. Wszystkich swoich przyjaciół z dzieciństwa kazał zabić. Nikt z jego otoczenia nie śmie przedstawić mu, jak naprawdę wygląda sytuacja. W dodatku w ogóle nad sobą nie panuje.

- Nie powinieneś...

- Nie powinienem? Muszę! To moje ostrzeżenie dla ciebie!

- Przed czym mnie ostrzegasz?

Zbliża się o krok, ale wyciąga przed siebie ręce, aby nie pozwolić mi się objąć.

- Nie. Nie wolno nam. Przyszedłem tu tylko po to, żeby cię ostrzec: to niebezpieczny człowiek. Musisz uważać.

- Nic innego nie robię! - wykrzykuję. - Śnię o tobie, ale nie wymieniam głośno twego imienia. Nie pisuję do ciebie listów, nie umawiam z tobą spotkań! Zrezygnowałam z ciebie, całkowicie z ciebie zrezygnowałam... dla niego. Mam serce złamane przez obowiązek.

- Znuży się tobą - rzecze z goryczą Tomasz - a jeśli nie dasz mu powodu do rozwodu, zabije cię, żeby się od ciebie uwolnić.

Jest to tak wstrząsająca przepowiednia, że ze zdumienia brak mi przez chwilę słów.

- Nie, mylisz się, Tomaszu. On mnie kocha. Uczynił mnie regentką. Ufa mi jak nikomu innemu. To dzięki mnie jego dzieci zamieszkały w pałacu. Traktują mnie jak matkę. Jestem wyjątkiem... nigdy nie kochał żadnej ze swych żon tak jak mnie.

- To ty się mylisz, niemądra. Katarzynę Aragońską też uczynił regentką. Zarządził w całym królestwie mszę dziękczynną za Katarzynę Howard. Potrafi jednak zmienić front z dnia na dzień, a życia pozbawić w ciągu tygodnia.

- Nieprawda! Nieprawda! - Kręcę głową jak jedna z figurynek zdobiących moje zegary. - Przysięgam ci, że Henryk mnie kocha.

- Wtrącił Katarzynę Aragońską do zatęchłego zamku, gdzie zmarła z zaniedbania, nie od trucizny - zalicza wyliczać. - Annę Boleyn stracił

na podstawie fałszywych dowodów. Moja rodzona siostra spotkałaby się z odprawą w ciągu roku, gdyby nie to, że szybko stała się brzemienna, a i tak musiała umierać w samotności. Annę Kliwijską byłby ściał za zdradę, gdyby nie zgodziła się na rozwód. Jego małżeństwo z Katarzyną Howard było nieważne, bo była już mężatką, mógł ją więc porzucić ku jej wstydnoci, ale on wolał skrócić ją o głowę. Morduje swoich najbliższych, morduje przyjaciół i żony.

- Zdrajców czeka szafot - szepczę.

- Tomasz Morus nie był zdrajcą. Małgorzata Pole, królewska kuzynka, nie była zdrażczynią, w dodatku miała sześćdziesiąt siedem lat! John Fisher był świętym, Tomasz Cromwell był wiernym sługą, Robert Aske i pozostali uczestnicy Pielgrzymki Łaski mieli jego pardon. Katarzyna Howard była nieledwie dzieckiem, Lady Rochford była szalona... Henryk kazał zmienić prawo, aby móc wysłać na szafot niewiastę pozbawioną zmysłów.

Drzę jak w gorączce. Muszę zaciskać szczęki, żeby zęby mi nie dzwoniły.

- Co ty próbujesz powiedzieć? Tomaszu, co ty mi próbujesz powiedzieć?

- Mówię tylko to, co sama już wiesz, co wszyscy wiemy, tyle że nie mamy odwagi odezwać się głośno. Henryk Tudor jest obłąkany. Od lat. Przystęgaliśmy wierność obłąkańcowi, Katarzyno. Który z każdym rokiem ślepnie bardziej i staje się groźniejszy. Przy nim nikt nie może być pewien dnia ani godziny. Przekonałem się o tym we Francji. Przejrzałem wreszcie na oczy. Henryk Tudor to bezmyślny morderca. A ty będziesz jego następną ofiarą.

- Nie uczyniłam nic złego.

- Właśnie dlatego cię zabije. Nie potrafi bowiem znieść doskonałości.

Opieram się o zimny kamienny mur.

- Tomaszu, och, Tomaszu, co za okropieństwa mi prawisz!

- Wiem. Ale mówimy o człowieku, który pozwolił mojej siostrze umrzeć... - Pokonuje dzielącą nas przestrzeń dwoma zamaszystymi krokami, po czym zamyka mnie w objęciach i całuje dziko, jakby chciał mnie pogryźć, jakby chciał mnie pożreć. - Jesteś jedyną osobą, przed którą mogę mówić z taką otwartością - szepcze mi natrętnie na ucho. - Musisz na niego uważać. Nie będę ci tego powtarzał. Nie możemy się ze sobą spotykać, dla własnego dobra. Miej się na baczności, Katarzyno! Niech Bóg cię zachowa. Żegnaj.

Czepiam się go, nie chcąc wypuścić z objęć.

- Nie, tylko nie znowu pożegnanie! Zobaczmy się ponownie. Skoro wrócisz do domu, skoro zapanował pokój, powinnam cię chociaż codziennie widywać...

- Zostałem mianowany admirałem królewskiej floty - odpowiada. -

Większość czasu będę spędzał na morzu.

- Wystawisz się na szwank? Teraz, gdy wojna się skończyła?

- Możesz mi wierzyć, będę bezpieczniejszy na morzu niż ty w jednym łóżku z tym szaleńcem – kwituje ponuro, wrywa mi się i odchodzi.



# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN JESIEŃ 1544 ROKU



Nicholas de Vent, malarz, zostaje ściągnięty z Flandrii, aby namalować portret rodziny królewskiej, jeden z tych naturalnej wielkości obrazów w stylu późnego Holbeina. Ogarnia mnie duma, że wreszcie powstanie portret całej rodziny. Udało mi się zjednoczyć wszystkich jej członków pod jednym dachem, udało mi się namówić króla, aby uznał obie swoje córki, nadał im oficjalnie tytuł księżniczki i wyznaczył na swoje następczynię, udało mi się doprowadzić do zbliżenia między ojcem i synem. Być może nie jestem w stanie nakłonić ich do wzajemnego zrozumienia i uczucia, ale przynajmniej doprowadziłam do spotkania tych dwóch. Henryk przestał być wyimaginowanym bytem dla osamotnionego Edwarda. Kilkułatek nie jest już widmowym dzieckiem świętej królowej, lecz chłopcem z krwi i kości, który zasługuje na uwagę przez wzgląd na siebie samego.

Król i ja spędzamy całe popołudnie na dyskusji, jak portret powinien wyglądać i gdzie zawisnie w londyńskim pałacu, gdzie będzie wisiał po kres czasów. Ludzie żyjący setki lat po nas będą nas oglądać, jakby stali przed nami, jakby brali udział w audyencji. Postanawiamy, że obraz będzie przypominał tryptyk znad ołtarza. W jego centralnej części zostanie ukazany Henryk, ja zaś znajdę się obok niego, przy czym księżę Edward wesprze się

o tron, jak na następcę przystało. Po obu stronach, niczym na skrzydłach tryptyku, zostaną przedstawione obie księżniczki ujęte w ramy, na które jeszcze się nie zdecydowaliśmy. Zależy mi, aby wizerunek był pełen kolorów, ścian i sklepienia nie wyłączając. Maria i Elżbieta, podobnie jak ja, są zapalonymi hafciarkami, które preferują wyraziste wzory i barwy, toteż chcę, aby to znalazło odzwierciedlenie. Pragnę, aby obraz był równie piękny jak to, co wychodzi spod naszych rąk. Henryk sugeruje, aby w tle, na horyzoncie, majaczyło zdobyte Boulogne-sur-Mer z zatkniętym na wieży jego sztandarem. Mistrz Nicholas obiecuje zrobić i pokazać nam szkic.

Praca rozpocznie się od wstępnych szkiców każdego z nas wykonanych indywidualnie. Księżniczki pójdą na pierwszy ogień. Pomagam Elżbiecie i nawet Marii wybrać strój i klejnoty do pozowania. Mistrz Nicholas ma naszkicować je kredą i węglem, po czym przenieść ich wizerunki na bogate tło, które jego uczniowie wykonają w pracowni.

Henryk przygląda się pierwszym sesjom Marii. Moja pasierbica ma na sobie suknię utrzymaną w kolorze głębokiego szkarłatu z brokatowymi rękawami. Jej głowę i kasztanowe włosy zdobi złocisty francuski kornet. Księżniczka wygląda przepięknie. Stojąc sztywno i pozując, dyga ojcu lekko z obawy, że popsuje efekt. Henryk wchodzi za próg i posyła jej pocałunek w powietrzu, jakby był jej adoratorem.

- Musimy pokazywać się poddanym - stwierdza król. - Nawet gdy nas nie ma na miejscu, nawet gdy jesteśmy w podróży albo na polowaniu. Poddani powinni móc patrzeć na swego monarchę i jego rodzinę. Powinni nas rozpoznawać z równą łatwością jak własnych krewnych. Rozumiesz? Będziemy dla nich równie odlegli jak bogowie i zarazem równie bliscy jak świątki z parafialnych kościołków.

Maria stoi bez ruchu, taka dumna i krucha. Moim zdaniem wygląda zarazem jak ambitna niewiasta gotowa walczyć o swoje, jak i wrażliwa dziewczyna drżąca ze strachu, że nikt jej nie pokocha. Przejawia taką sprzeczność zaciekłości i bezbronności, że nie jestem pewna, czy malarz zdoła ją w pełni uchwycić i oddać, czy zrozumie, że ma do czynienia z córką, której od młodości wszystkiego odmawiano, i z młodką żądną miłości. Przyglądając się jej pozie z dłońmi splecionymi na szkarłatnej sukni i jej bladej zaciętej twarzy, uświadamiam sobie, jak jest mi droga ta nieustępliwa, krnąbrna istota.

Elżbieta, która pojawi się po niej, podniesie spojrzenie ciemnych oczu i uśmiechnie się do malarza. Sprawi wrażenie uległej przy czupurnej Marii, jednakże pod maską kokieterii ukrywać się będzie ta sama rozpaczliwa potrzeba uczucia i ta sama niepewność co do własnej pozycji.

Mistrz Nicholas pokazuje mi pierwsze szkice, z których wynika,

że na obrazie pojawią się z samego skraju dwa piękne łuki wiodące do ogrodów, w których zostanie ukazany błazen Henryka z ulubioną małpką oraz błaznica Marii. Jest to lepsze rozwiązanie od ruin Boulogne-sur-Mer, choć nie jestem pewna, czy chcę widzieć trefnisiów na portrecie rodziny królewskiej. Malarz wyjaśnia mi powód, dla którego chce ich umieścić: oboje pokażą, że nie wbiliśmy się w zbytnią dumę. Pozostaliśmy ludźmi, którym można rzucać wyzwania, otaczamy się osobami, które przypominają nam o naszych słabościach i które natrzęsają się z naszych grzeszków.

– Jego królewska mość o tym wie? – pytam.

Mistrz Nicholas potakuje skinieniem.

– I przystaje na to?

– Miłościwemu panu spodobał się ten pomysł.

To chyba dobrze. Henryk nie jest nadmiernie wyniosły, jak sugerował Tomasz. Miewa wątpliwości i słucha swego błazna, którego zadaniem jest wygłaszać owe wątpliwości na głos. Ściana pomiędzy oboma łukami będzie zdobna niczym szkatułka, ze sklepieniem malowanym w czerwone róże i czterema złocistymi kolumnami, co stanowi godne tło dla rodziny, do której należy wszystko. Po prawej znajdzie się Elżbieta, po lewej Maria, a w środku – przedstawiony w głębokiej czerwieni Lancasterów – drogi książę Edward, stojący obok swego królewskiego ojca usadzonego z kolei na tronie, przy którym będą siedziała ja. Po wszystkim obraz zostanie skopiowany i wyryty, a następnie rozpowszechniony w całej Anglii, w całej Europie. Będzie on symbolem tryumfu ambicji Tudorów. Oto bowiem jest Henryk, postawny i przystojny, mocarny i męski, wraz z synem, zdrowym chłopcem wchodzącym w dorosłość tuż obok, żoną nadal w płodnych leciech i dwoma ślicznymi córkami w pobliżu. Angielski lud, zobrazowany parą błaznów, przypatruje się zaś naszej chwale.

– Dobrze wygląda – zauważa Henryk cicho zza moich pleców, obserwując księżniczkę Marię z aprobatą.

– Cierpi z powodu bólów brzucha, ale chyba jej się polepsza – odpowiadam. – Nieustannie jej się polepsza. Pilnuję, aby regularnie się odżywiała, zażywała ćwiczeń i na zmianę odpoczywała.

Henryk chrząka potakująco.

– Może trzeba by ją wydać za mąż – rzuca, jakby ten pomysł dopiero co przyszedł mu do głowy.

Zerkam na niego z ukosa.

– Mój mężu – zwracam się doń żartobliwie – kogóż masz na myśli? Bo znam cię na tyle dobrze, aby wiedzieć, że musisz mieć kogoś na myśli. Z pewnością też twój ambasador już wie rozmowy na któryś

ze wspaniałych dworów.

Henryk ujmuje mnie za rękę i odciąga poza zasięg słuchu malarza i księżniczki, która śledzi nas oczyma, jakby się domyślała, co planuje dla niej ojciec.

- Boję się, że jej to nie ucieszy, ale mając we Francji wroga, a w Hiszpanii niepewnego sojusznika, i przy wrogości papieża, powinniśmy się postarać o nowe przymierze... może z Niemcami, może z Danią albo Szwecją.

- Maria będzie chciała pozostać przy preferowanej przez siebie wierze. A czyż Niemcy, Duńczycy i Szwedzi nie są wszyscy luteranami?

- Jak każda żona będzie musiała przede wszystkim słuchać swego męża - poprawia mnie Henryk ostro.

Waham się z odpowiedzią. Marii nie brak inteligencji i rozsądku. Być może, gdyby było jej dane rozmówić się ze świątym małżonkiem, doszłaby do przekonania - tak jak ja - że Pan Bóg zwraca się do każdego indywidualnie, że niepotrzebni nam księża ani papieże, ani krwawiące posągi, by znaleźć własną drogę do wiary. Stwórca przemawia, a my musimy jedynie słuchać. Nie ma łatwych skrótów, gdy w grę wchodzi przebaczenie. Jest na nie tylko jeden sposób, podobnie jak jest tylko jedna Biblia, którą niewiasta może czytać na równi z mężczyzną. Maria miała okazję wysłuchać Cranmera i wędrownych kaznodziejów. Razem ze mną pracowała nad przekładem Nowego Testamentu Erazma, a teraz niemal całkiem sama pięknie tłumaczy Ewangelię według świętego Jana. Jeśli przyjdzie jej nagiąć swoją wolę do woli męża, być może się przekona, że poskromienie własnego ducha otworzy jej drogę do Najwyższego. Wydaje mi się bowiem, że usłyszałam głos Pana w tym samym czasie, w którym zaprzestałam nasłuchiwania własnej woli. Być może tak samo będzie w wypadku mojej pasierbicy.

- Uważam, że to by była dla niej wspaniała szansa - odzywam się ze szczerością w głosie. - Zamążpójście tylko wyjdzie jej na dobre. Nie powinna jednak poślubić nikogo innego wyznania.

- Zatem zgadzasz się, że powinna pójść za męża? - podchwytuje Henryk.

- Sądzę, że dzięki dobremu mężczyźnie zyska możliwość nauki i służenia zarówno jego, jak i swojemu królestwu. Oraz miłowania małżonka oraz dzieci.

- Mogłabyś ją przygotować na tę zmianę? Mogłabyś ją zachęcić?

Zwieszam głowę.

- To będzie dla mnie zaszczyt poinformować ją o twych zamiarach, najjaśniejszy panie.

- Ale jeszcze nie teraz - zastrzega król. - Jeszcze nie teraz. Mam jednak co do niej pewne zamiary. Skoro chcę utrzymać Boulogne-sur-Mer i przymusić

Francję do rozejmu, potrzebna mi pomoc. Dzięki Marii przymierze z Niemcami byłoby stałe. Moja córka to księżniczka, zna swój obowiązek.

Tej jesieni, mając z powrotem w łóżu Henryka i przyprawiający o mdłości odór gnijącego mięsa, zaczynam od nowa śnić. Jest to ten sam sen co zawsze. Wspinam się krętą klatką schodową, jedną dłonią wodząc po wilgotnym murze, a drugą trzymając migoczącą świecę. Przeciąg wiejący z dołu mówi mi, że nie jestem sama, że ktoś idzie moim śladem. Strach przed tym, kto za mną postępuje, gna mnie naprzód, ku górze. Przyśpieszam kroku, przez co płomyk świecy drga silniej, grożąc w każdej chwili zgaśnięciem. U szczytu schodów znajduje się okrągły korytarzyk z trojgiem drzwi przypominających wejścia do cel. W pierwszym odruchu myślę, że będą zamknięte, lecz kiedy zbliżam się do pierwszych drzwi i przekręcam gałkę, ta ustępuje lekko pod moją ręką. Nie chcę wchodzić do środka. Nie wiem, kto tam jest, a poza tym czuję woń zgnilizny, jakby wewnątrz czaiło się zło, jakby spoczywały tam czyjeś zwłoki. W tej samej chwili jednak słyszę szmer na schodach za plecami i wiem już, że muszę iść dalej przed siebie, aby uniknąć tego, kto mnie śledzi. Drzwi otwierają się, a gdy przekraczam próg, zatraskują się za mną na dobre. Zostałam schwytana w pułapkę. Moja świeca gaśnie i pogrążam się w ciemnościach.

W mroku i ciszy spostrzegam, że ktoś zbliża się do mnie ukradkiem...

\*

Wyrażona przez Henryka potrzeba sprzymierzeńców ulega wzmocnieniu, gdy francuskie ataki na naszą flotę przybierają na sile. Nikt nie wątpi, że Francuzi splądrują nadbrzeżne angielskie miasteczka, a może nawet wedrą się w głąb lądu. Królewska siatka szpiegów donosi, że wrogi Anglii król Franciszek zbroi swoich rybaków i kupców, a także buduje własną flotę wojenną. Trwa wyścig, aby się przekonać, kto jest większą potęgą na morzu, i Anglia go przegrywa. Francuzi przechwalają się, że królują na Kanale Angielskim, a nawet na Morzu Północnym.

W ten czas zagrożenia Tomasza Seymoura nie uświadczysz w pałacu. Przebywa w Portsmouth, w Plymouth albo w Dartmouth, w Ipswich, Shoreham albo w Bristolu, gdzie nadzoruje budowę nowych okrętów, wyposażanie starych oraz mustrowanie załóg. Odkąd ma własny okręt liniowy, mieszka

na jego pokładzie, dokonując przeglądu innych jednostek, które zaciągnął na służbę, usiłując znaleźć żołnierzy, którzy by walczyli na pływających twierdzach przemienionych z łodzi rybackich i statków kupieckich.

W miarę jak słońce zachodzi wcześniej każdego dnia, wyobrażam go sobie opatulonego grubą peleryną, stojącego za sternikiem i przepatrującego ciemniejący horyzont w poszukiwaniu wrogiej bandery. Nieodmiennie wtedy zrywam za niego w duchu modlitwę. W obawie przed zagrożeniem francuską inwazją dworzanie rozprawiają o nim bez końca, nauczywszy się zachowywać kamienną twarz, ilekroć ktoś wspomni admirała i jego flotę. Ja staram się słuchać ich zawsze z taką miną, jakbym się troszczyła o okręty, a nie o ich dowódcę.

W najgorszą jesienną pluchę Tomasz postanawia zaatakować wybrzeże Bretanii i w tym celu zbiera swoje okręty przy wyspie Wight, skąd mają wyruszyć prosto na francuski port, by zniszczyć stojące na cumie statki wroga. Dowiaduję się o tym planie od jego siostry, którą poinformował wcześniej jej mąż. Tymczasem Tomasz przedstawił swój plan ataku radzie królewskiej i czeka na jej aprobatę. Twierdzi, że należy zaatakować Francuzów w porcie, i to do wiosny. Twierdzi, że Francuzi dysponują galerami napędzanymi siłą mięśni w przeciwieństwie do naszych galeonów wciąż uzależnionych od sprzyjającego wiatru. Twierdzi, że jedynym sposobem na pokonanie francuskiej floty jest zniszczenie jej, zanim wypłynie z portu. Obsady wszystkich zamków nadbrzeżnego pasa nie poczynią tyłu szkód naraz co jeden dobrze zaplanowany atak, pod warunkiem że wybierze się odpowiedni moment i napadnie na nieprzyjacielską flotę na kotwicy.

Rozpisuje się na temat nowych metod użycia naszych okrętów. Do tej pory były one zawsze środkiem transportu, który przerzucał w miejsce przyszłej bitwy żołnierzy i uzbrojenie. Tymczasem zdaniem Tomasza, jeśli uczynić okręty bardziej zwrotnymi, jeśli uzbroić je w ciężkie działa, same będą stanowić broń. Można prowadzić walkę na morzu, można zasypywać wrogi statek gradem kul z bezpiecznej odległości, zamiast dokonywać abordażu. Mój ukochany przekonuje, że francuskie okręty przewożą na swym pokładzie ciężkie armaty, z których strzela się do celu, robiąc wyłomy w burtach wroga, po czym taranuje się wraży statek ostrzem dziobu i dopiero wtedy ustawia burta w burtę, aby w walce wręcz pokonać załogę uszkodzonej jednostki.

Edward Seymour przekonuje panów radę, że jego brat ma wielkie wyczucie morza dzięki swoim dalekim podróżom, w czasie których oglądał stocznie Wenecji i manewry tamtejszych galer w trakcie bitwy. Kiedy on mówi, wrogowie Seymourów, Howardowie: Tomasz i Henryk śmieją się

lekceważąco, utrzymując, że statki przydadzą się wyłącznie jako środek transportu, by dostarczyć żołnierzy na francuską ziemię, względnie jako blokada broniąca dostępu do angielskich portów. Sam pomysł morskiej kampanii prowadzonej przez marynarzy wydaje im się śmiechu wart. Powiadają, że Tomasz Seymour opił się wody morskiej i flirtował z syrenami. Mają go za marzyciela, za błazna.

Wielmożowie popierający ideę wojny morskiej niemal w całości wywodzą się spośród grona reformistów. Ci, którzy optują za tradycyjnymi sposobami walki, są zwolennikami Rzymu. Nawet w tej kwestii podział przebiega według dawnej linii. Zupełnie jakby religia miała wpływ na wszystko, a przecież nawet ona nie jest pewna – wahania występują nieustannie.

– A teraz wychodzi na to, że Howardowie mają rację, a Tomasz Seymour jest głupcem! – woła podniesionym głosem Henryk, gdy zjawiam się w jego komnatach przed wieczerzą.

Tego wieczora nie będzie jadł w wielkiej sali, noga zanadto mu doskwiera, a w dodatku wywiązała się u niego gorączka. Spoglądając w jego spoconą pełną twarz, czuję strach taki jak dziecko w obliczu gniewającego się rodzica. Mam uczucie, że nic, co powiem, nie będzie odpowiednie; że nie jestem w stanie go spacyfikować.

– Mam zjeść z tobą, najdroższy? – pytam cicho. – Mogę kazać nakryć do stołu tutaj. Nie muszę iść do wielkiej sali.

– Zjedz w wielkiej sali! – odwarkuje. – Ktoś musi siedzieć na tronie, a Bóg świadkiem, moje córki nie mogą zająć mojego miejsca, mój syn zaś jest za młody, to tylko pozbawiony matki sierota. Jestem na tym świecie całkiem sam, moi dowódcy są głupcami, a Tomasz Seymour zbłądził się swymi poglądami!

– Przyjdę zatem do ciebie po wieczerzy – oznajmiam kojącym głosem. – Mogę chociaż podesać grajków, aby umilili ci czas? Skomponowali nowy chorał w oparciu o twoje...

– Seymour szafuje moimi okrętami, a teraz jest gotów je wszystkie utracić. Myślisz, że pocieszy mnie muzyka? Myślisz, że nie jestem pogrążony w rozpacz? I znikąd nie mam pomocy!

Anthony Denny podnosi wzrok i wymienia spojrzenia z doktorem Williamem Buttsem. Wszyscy czekają, czy uda mi się uspokoić króla. Jestem ich jedyną nadzieją. Podchodzę bliżej i przykładam dłoń do rozgrzanej, spoconej skóry na twarzy Henryka.

– Najdroższy – powtarzam. – Nie jesteś sam. Masz moją miłość, masz uwielbienie poddanych. To przykre, co mówisz...

- Wieści doszły mnie tego wieczora z Portsmouth. Z Portsmouth! Tomasz Seymour postawił żagle i wypłynął w najgorszy sztorm, jakiego nie pamiętają najstarsi marynarze. Zginie z kretesem. I wszystkie moje okręty pójdą razem z nim na dno!

Nie wzdygam się, nawet nie przyzymkam powiek, choć czuję, jak moim ciałem targa spazm, jakbym odniosła ranę, jakbym już krwawiła wewnątrz. Zamiast wykonać najlżejszy ruch, spoglądam z delikatnym uśmiechem na rozwścieczonego męża, gładząc go nadal po policzku.

- Bóg ocali ich dla Anglii - mówię. - Bóg ochroni ich przed wszystkimi niebezpieczeństwami na morzu.

- Niech Najwyższy ma w opiece moje okręty! - wykrzykuje król. - Masz pojęcie, ile kosztuje zbudowanie i wyposażenie takiego statku? Ile kosztuje stworzenie takiej floty? A Seymour lekką ręką wysyła ją z beznadziejną misją, gotów sam się przy tym utopić!

- Tomasz Seymour utonął? Flota przepadła? - Choć odzywam się spokojnym głosem, czuję w skroniach bolesne pulsowanie.

- Nie, nie, najjaśniejsza pani. Nie jest aż tak źle. Nie mamy żadnych pewnych wieści. - Denny przenosi spojrzenie na króla i dodaje: - Wiadomo tylko tyle, że jest sztorm i że część okrętów zaginęła, w tym okręt flagowy admirała. Nie da się wykluczyć, że nic im się nie stało.

- Jak mogło im się nic nie stać, skoro idą na dno jak kamienie? - ryczy Henryk.

Milknimy. Nie sposób zaradzić gniewowi króla, kiedy wpada w szał; nikt nie waży się nawet spróbować. Ręce mi drżą, podobnie jak Denny'emu. W głębi ducha pytam samą siebie: chybabym wiedziała, gdyby zginął? Musiałabym coś poczuć, gdyby unosił się na falach, z ciemnymi włosami okalającymi bladą twarz, z butami nabierającymi wody z każdą chwilą i ciężącymi ku dnu morskemu? Pan Bóg nie jest aż tak okrutny, aby pozwolić takiemu grzesznikowi jak on, takiej grzesznicy jak ja rozstać się na wieki wieków bez jednego słowa pożegnania?

- Okręt flagowy admirała zaginęł na morzu? - pytam szeptem Denny'ego, podczas gdy doktor Butts występuje do przodu z nalewką w dłoni i bez słowa wciska ją w rękę króla, który zaciska palce na podłokietniku krzesła.

W milczeniu przyglądamy się, jak Henryk wychyla naczynie jednym haustem. Po paru chwilach widzimy, że uścisk jego palców na podłokietniku słabnie, że mars na jego czole wygładza się. W końcu król wzdycha ciężko.

- Chyba nie jesteś niczemu winna - mówi do mnie niechętnie.

Zdobywam się na uśmiech.

- Chyba nie - odpowiadam.



Pociera spoconą twarzą o moją dłoń, niczym pies szukający pieszczoły. Pochylam się i cmokam go w policzek. On obejmuje mnie za mocno ściśnięte gorsetem plecy, po czym ukradkiem szczypie w pośladek.

– Jesteś spięta – zauważa.

– Martwię się – mówię. – O ciebie.

– Rozumiem. W takim razie idź na wieczerzę i wróć, gdy będziesz w pogodniejszym nastroju. Wróć po wieczerzy.

Dygam i odwracam się do drzwi. Anthony Denny – od czasu pasowania pod Boulogne-sur-Mer sir Anthony – wychodzi razem ze mną.

– Wielu zginęło? – pytam go cicho.

– Wypłynęli i natychmiast się rozproszyli, po czym musieli umykać przed sztormem. Nic więcej nie wiemy – rzecze w odpowiedzi. – Wszystko w rękach Boga.

– Co z okrętem flagowym admirała?

– Nie wiadomo. Oby jakieś wieści dosięgły nas jak najszybciej, zmniejszając niepokój miłośniczego pana.

Oczywiście to jest najważniejsze dla sir Anthony'ego. Życie marynarzy, dzielność Tomasza Seymoura znaczą mało dla niego – dla wszystkich z nas – w porównaniu z samopoczuciem jego królewskiej mości.

Skłoniwszy głowę, zakańczam:

– Amen.

Modłę się za niego, tyle tylko mogę uczynić. Modłę się o bezpieczeństwo Tomasza, wysłuchując nieustannych skarg króla na jego niepowodzenie, na jego głupotę, na jego nierozwagę. Modłę się, aby był żywy, aby wyszedł cało ze sztormu, aby gdzieś na Kanale Angielskim wpatrywał się w niebo, szukając oznak przejaśnienia pośród burzowych chmur oraz słabnięcia wiatru pośród zrefowanych żagli.

W końcu docierają do nas wieści, że flota zawinęła do portu z podkulonym ogonem, pojedynczo, okręt za okrętem, z podartymi żaglami i połamanymi masztami. Oraz że części statków nadal nie ma. Okręt flagowy admirała pojawia się z przetrąconym głównym masztem, jednakże Tomasz Seymour, opatulony grubą peleryną, stoi na dziobie. Mój Tomasz wrócił, mój Tomasz jest cały i zdrowy. W pałacu zapanowuje radość z jego powrotu. Edward Seymour pędzi do kaplicy i pada na klęczki, żeby podziękować Stwórcy za ocalenie jego genialnego krewnego. Król jednak nie podziela tej radości. Nikt z dworzan nie śmie okazywać swojego szczęścia w królewskiej obecności. Henryk uporczywie powtarza swoje zarzuty pod adresem admirała:

wyzywa go od głupców, bezmyślnych głupców, oskarża o zawiedzenie zaufania i niewywiązanie się z zadania. Mój mąż przebąkuje coś o zdradzie, o tym, że to sprawa na proces, że człowiek tak swobodnie sobie poczynający z majątkiem władcy i jego życzeniami nie jest wiele lepszy od zdrajcy, że w istocie jest od niego nawet gorszy. Ogłasza wprost, że skoro Pan Bóg nie uznał za stosowne Seymoura utopić, on – monarcha – będzie musiał go ściąć.

Modłę się w milczeniu. Nie mogę nawet zamówić mszy dziękczynnej za bezpieczny powrót admirała do domu. Nie wyrażam na głos ani jednego słowa poparcia dla niego. Raz tylko, w przypiływie rozpaczy, rozważam, czyby nie poprosić jego jątwni o to, aby napisała doń od siebie – w żadnym razie o mnie nie wspominając – że powinien przybyć do pałacu jak najszybciej, zanim Henryk wpadnie w jeszcze większą złość i zanim zapragnie go wtrącić do lochu za złą pogodę na morzu. Koniec końców jednak nie śmiem tego zrobić. Anna Seymour być może podziela moją słabość do nowej religii, być może jest zaprzysiężona na mojej służbie, lecz na pewno nie zalicza się do moich przyjaciółek – nade wszystko jest wierna Seymourom. Nigdy też nie przepadała za Tomaszem. Paradoksalnie jej oddanie mężowi czyni ją zazdrosną o wszystkich innych w jego życiu. Na Tomaszę patrzy podejrzliwie z powodu jego uroku i dworności. Obawia się, że ludzie wolą go od brata – w czym akurat ma rację. Jedyne słowa pochwały ze wszystkich członków rodu Seymourów ma pod adresem nieżyjącej siostry Edwarda, Joanny, królowej Joanny, matki księcia Edwarda, czemu często daje wyraz przed królem, wspominając o „drogiej siostrze Joannie”, „świętej Joannie”, szczęśliwie martwej Joannie.

Dlatego nie mówię ani nie czynię nic, nawet wtedy, gdy król, kulejąc, przybywa do moich komnat, by przyglądać się tańczącym dworcom lub przysłuchiwać się, jak czytam. Nawet wtedy, gdy wkracza z mapą południowego wybrzeża pod pachą z zaznaczonymi zagrożonymi portami, kiedy ja nalewam wody do płaskiej miseczki dla ulubionej parki moich kanarków, które zaraz wezmą kąpiel w złocistych promieniach słońca wpadających przez okno.

- Uważaj! Przecież mogą ci uciec!
- Są oswojone, siadają mi na rękę.
- A nie potopią się? – pyta z irytacją Henryk.

Ptaszki zanurzają kolorowe łebki w miseczce i otrzepują skrzydła, a ja odstępuję ze śmiechem, unikając opryskania.

- Nie, po prostu zażywają kąpeli.
- Przecież to nie kaczkę – zauważa.
- Nie, mój mężu – przyznaję. – Mimo to lubią wodę.

Przygląda się im przez chwilę.

– Przypuszczam, że są niebrzydkie.

– Ogromnie je kocham, są takie barwne i mądre, można by pomyśleć, że wszystko rozumieją.

– Zupełnie jak dworzanie – rzuca z ponurą miną król.

Wybucham śmiechem.

– Przyniósłeś mapę, mężu?

Wymachując nią, odpowiada:

– Idę właśnie na naradę rady królewskiej. Trzeba będzie naprawić każdy zamek na wybrzeżu. Trzeba będzie postawić nowe twierdze. Francuzi nadciągają, bo Tomasz Seymour nie zdołał ich powstrzymać.

Pstryka palcami na pазia, który czeka przy drzwiach. Młodziak podchodzi i przyjmuje na ramię ciężar Henryka.

– Zostawię cię twoim rozrywkom. Kiedyś była żoną starego Latimera, nie miałaś tyle słońca i takich miłych ptaszków.

– Istotnie, nie miałam. – Rozpaczliwie się zastanawiam, jak by tu zapytać o Tomasza. – Grozi nam niebezpieczeństwo, mężu?

– Oczywiście, że tak. A wszystko to przez niego! Rozkażę radzie królewskiej oskarżyć go o zdradę za roztrwonienie mojej floty!

Przestraszony nagle podniesionym głosem Henryka samczyk wfruwa na szczyt jednej z klatek, dzięki czemu mogę odwrócić głowę i powiedzieć z pozornym spokojem:

– Chyba nie jest winny zdrady? Przecież zawsze był takim lojalnym i oddanym sługą, zawsze go też uwielbiałeś.

– Nadzieję tę jego urodziwą głowę na włócznię – odpowiada z zimną zaciekłością. – Chcesz się założyć?

To powiedziawszy, opuszcza komnatę.

W ciszy, niczym duch, przekradam się do królewskiego skrzydła starego pałacu. Jestem sama. Swoim dworkom powiedziałam, że boli mnie głowa i że położę się spać, po czym wymknęłam się z komnaty, aby wijącymi się galeriami dotrzeć do apartamentów Henryka i zakraść się do środka sekretnymi drzwiami prowadzącymi wprost do jego komnaty sypialnej. Stamtąd przechodzę przez opuszczoną komnatę prywatną pod drzwi komnaty gościnnej, w której odbywają się spotkania rady. W pustych pomieszczeniach czuję się jak w swoim śnie. Równie dobrze mogłabym się wspinać mrocznymi schodami pogrążonej w milczeniu wieży. Przemykam całkiem sama, nie dostrzegana przez nikogo. Nigdzie nie ma nawet gwardzistów. Mogę więc

stanąć pod drzwiami i przyłożywszy ucho do skrzydła, nasłuchiwać głosów ze środka. Obiecuję sobie, że jeśli usłyszę, iż panowie rada zamierzają pojmać Tomasza, prześlę mu ostrzeżenie bez względu na ryzyko. Nie mogę czekać bezczynnie, zmartwiła ze strachu o własną skórę, podczas gdy król zakłada się o to, że zatknie głowę mego ukochanego na Moście Londyńskim.

Za Tomaszem wstawia się Edward, jego brat. Właśnie odczytuje list, który Tomasz napisał w swojej obronie. Edward Seymour czyta głośno i wyraźnie, dzięki czemu słyszę przez grube drzwi każde słowo.

– I jeszcze to – mówi Edward. – Pozwól, że przeczytam to na głos, wasza królewska mość. Tomasz pisze następująco:

*Zawezwijcie wszystkich kapitanów i dowódców, którzy byli ze mną na morzu, i jeśli któryś rzeknie, iż mogliśmy pozostać dłużej na redzie w Dover, w Downes czy w Bollen Rode, kiedy wiatr się zmieniał, nie narażając siebie i floty Jego Królewskiej Mości na wielkie niebezpieczeństwo, niechaj poniosę za to winę, ale jakeśmy postąpili słusznie w tych okolicznościach, zaklinam Waszmościów, abyście winili pogodę, a mnie i reszcie marynarzy pozwolili dalej służyć na morzu przy innej okazji...*

– Och, Seymour potrafi pisać – burczy król. – Nikt nie twierdzi, że brak mu uroku. Ile jednak okrętów straciliśmy?

– Takie są koleje wojny – odpowiada Edward. Dolatuje mnie szelest papieru, gdy zapewne przesuwa list po blacie stołu, aby Henryk mógł go przeczytać w całości. – Nikt poza waszą królewską mością nie wie lepiej, na jakie zagrożenia jest narażony ten, kto wybiera się na wojnę. Sam przecie, najjaśniejszy panie, wyprawiałeś się do Francji w złą pogodę! Mój brat ma to szczęście, że musi się tłumaczyć przed władcą, który w odróżnieniu od innych władców chrześcijańskiego świata ma pojęcie o ryzyku. Sam znalazłeś się bowiem w niebezpieczeństwie, miłościwy panie. Wiesz, że choć człowiek strzela, to Pan Bóg kule nosi. Na tym zasadza się rycerstwo. Rycerstwo, któreś ukochał, wasza królewska mość. Mężczyzna musi brać sprawę w swoje ręce, jeśli chce ci służyć.

– Tomasz okazał się lekkomyślny – rzuca głucho król.

– Taka wyprawa jesienną porą! W czas sztormów! – piekli się stary książę Norfolk, Tomasz Howard. – Czyste szaleństwo! Dlaczego admirał nie zaczął do wiosny, jak to zawsze się robi? To podobne do Seymoura, myśleć, że jest w stanie pokonać jesienne wiatry!

- Wybrzeża trzeba bronić przed Francuzami - wtrąca John Dudley. - A Francuzi nie czekają na ładną pogodę. Admirał słusznie postanowił wyprowadzić flotę z portu. Co by było, gdyby Francuzi zaatakowali? Z tego, co Seymour pisze, wynika, że mogą bombardować z dużego dystansu, że potrafią lawirować między zakotwiczonymi okrętami, nie czekając na sprzyjający wiatr. Ich galery są uzbrojone i napędzane siłą ludzkich mięśni, dzięki czemu mogą prowadzić działania wojenne niezależnie od warunków pogodowych na każdym wodach. Słusznie admirał chciał zniszczyć flotę Francji, zanim doszło do inwazji!

Słyszę, że Henryk kaszle chrapliwie, po czym odcharkuje soczyście i spluwa.

- Mówicie wszyscy tak, jakbyście byli zadowoleni z jego postępowania - utyskuje. Na głos protestu młodego Howarda dodaje ponurym tonem: - Wszyscy z wyjątkiem Howardów i ich popleczników. Jak zwykle.

- Nic nie wskazuje na to, aby doszło do celowego narażenia floty - zauważa ktoś.

- No, ja nie jestem zadowolony - odzywa się biskup Gardiner. - Tomasz Seymour wykazał się lekkomyślnością. Powinien być za to ukarany.

- Łatwo się mówi, grzejąc kości przy kominku - rzuca na stronie Edward Seymour.

Wstrzymuję oddech. Daje o sobie znać popularność Tomasza wśród dworzan, a poza tym większość zebranych wie, że narażał za nich życie na morzu, podczas gdy oni stąpali suchą nogą po pałacowych korytarzach.

- Może pozostać admirałem - decyduje koniec końców Henryk. - Ale niech się dowie, że jestem z niego niezadowolony. I niech stawi się przed moim obliczem, aby osobiście złożyć pełen meldunek.

Za drzwiami rozlega się zgrzyt krzesła na posadzce, gdy Henryk usiłuje się podnieść. Sądząc z odgłosów, panowie rada zrywają się jak jeden mąż na równe nogi i zapewne kilku rzuca się mu pomagać. Natychmiast odchodzę na palcach od drzwi, nie czyniąc żadnego szmeru w skórzanych pantofelkach. Zagłębam się w komnacie prywatnej, po czym już mam przebiec przez komnatę sypialną, gdy spostrzegam, że w pomieszczeniu ktoś jest.

Zamieram w bezruchu. Widzę, że jakaś samotna postać siedzi na ławie w ambrazurze okiennej, trzymając kolana zgięte pod brodą. Zauważyłam ją tylko dzięki plamie światła, która pojawiła się w miejsce wcześniejszego cienia. To szpieg, który obserwował mnie w milczeniu, zastygły niczym rzeźba. Okazuje się nim Will Somers, królewski błazen. Musiał widzieć, jak się skradam, musiał się przyglądać, jak podsłuchuję pod drzwiami, a teraz patrzy, jak próbuję umknąć do własnych apartamentów - pełna poczucia winy

żona przemycająca przez sypialnię nieobecnego męża.

Wbija we mnie spojrzenie ciemnych oczu, z pewnością dostrzegając winę wymalowaną na mej twarzy.

- Will...

Podsłakuje teatralnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył, przesadnym ruchem, który posyła go najpierw wysoko w powietrze, a następnie fikołkiem na ziemię. Gdybym tak się nie bała, wybuchnęłabym śmiechem na ten widok.

- Will - powtarzam. - Nie błaznuj.

- To ty, najjaśniejsza pani? Myślałam, że to jakiś duch! - wykrzykuje ściszym głosem. - Duch królowej...

- Nasłuchiwałam obrad - wyjaśniam. - Obawiam się o księżniczkę Marię. Boję się, że zostanie wydana za mąż wbrew swojej woli.

Potrząsa głową, przemilczając to kłamstwo.

- Naoglądałem się za dużo królowych - mówi. - Zbyt wiele z nich jest teraz duchami. Niemiła mi myśl o królowej w niebezpieczeństwie; niepotrzebny mi kolejny duch. W rzeczy samej żadnego nie widziałem. Ani jednego.

- Nie widziałeś mnie tutaj? - podchwytuję, domyślając się znaczenia jego słów.

- Nie widziałem ani ciebie, ani Katarzyny Howard skradającej się po schodach w nocnym stroju, ani Anny Kliwijskiej, ślicznej jak obrazek, co to wypłakiwała sobie oczy za drzwiami komnaty sypialnej. Jestem błaznem, nie strażnikiem. Nie muszę niczego widzieć, nie muszę niczego rozumieć. Nie ma sensu, żebym o czymkolwiek donosił. Kto by tam słuchał błazna? Niech Bóg ma cię w swojej opiece, najjaśniejsza pani.

- I ciebie, Will - odpowiadam gorączkowym szeptem, znikając w sekretnym przejściu prowadzącym do mego skrzydła pałacu.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN WIOSNA 1545 ROKU



Chłodne, wilgotne wiosenne dni zdają się trwać w nieskończoność, jakby lato miało nigdy nie nadejść. Co dzień rano robi się jasno trochę wcześniej i narcyzy obsypują brzeg rzeki, ale w ogrodach wciąż jest mokro, a miasto za wysokimi murami pałacu spływa wodą występującą z zapchanych rynsztoków. Ilekroć udajemy się na przejażdżkę, nie ma w tym cienia przyjemności, gdyż konie taplają się w błocie po pęciny, a deszcz siecze nam twarze lodowatą kurtyną. Wracamy czym prędzej do środka, skuleni w siodłach i przemoknięci do suchej nitki.

Uwięzione w czterech ścianach moje dworki i ja podejmujemy naukę, czytając Biblię i tłumacząc jej ustępy zarówno w celu szlifowania naszej łaciny, jak i pretekstu do dalszych rozważań nad znaczeniem Słowa Bożego. Spostrzegam, że staję się coraz bardziej czuła na dźwięczne piękno Pisma, melodykę języka, rytm interpunkcji. Postanawiam bardziej się wysilić, aby lepiej oddać wagę znaczenia po angielsku. Układając zdanie, przysłuchuję mu się najpierw długo w głowie, zanim przeleję je na papier. Zaczynam uważać, że wyrazy mogą brzmieć tonicznie, zupełnie jak muzyka, i że w prozie występuje rytm tak samo jak w poezji. Uświadamiam sobie, że jestem rzemieślnikiem słowa – równocześnie mistrzem, czeladnikiem i uczniem.

Zdaję też sobie sprawę z tego, że niezwykle mi to zajęcie odpowiada.

Ślęcymy właśnie nad jakimś urywkiem pewnego ranka, gdy rozlega się ciche pukanie do wąskich drzwi prowadzących na dziedziniec stajenny. Jedna z panien dworskich wsuwa głowę do środka i oznajmia:

– Przyszedł kaznodzieja.

Czekała przy jednej z wielu pałacowych bram, aby sprowadzić go prosto do moich komnat. Nie chodzi o to, że kaznodzieje muszą przybywać w tajemnicy – nawet Henryk wie, że przyjmuję duchownych z jego kaplicy, z katedry Świętego Pawła i z innych świątyń. Nie widzę jednak powodu, dla którego pozostali – ci dworzanie, którzy nie studiują pilnie razem z nami i którzy otwarcie krytykują moje zainteresowania – mieliby wiedzieć, kto nas odwiedza. Jeśli zapragną oddać się nauce, zawsze mogą do nas dołączyć. Jeśli chcą mieć tylko pretekst do plotek, obejdziemy się bez ich obecności. Nie potrzebuję, żeby lord kanclerz patrzył na mnie z góry ani żeby jego popiecznicy podawali sobie z ust do ust nazwiska świętych mężów, którzy rozprawiają z moimi dworkami, jakby to byli adoratorzy. Nie potrzebuję, żeby ludzie Gardinera sporządzali listy osób, które nas odwiedzają, potem zaś posyłali za nimi umyślnych, aby przeprowadzili wywiad wśród ich sąsiadów.

– Ale to dziwne, wasza królewska mość – dodaje dworka nieśmiało.

Podnoszę na nią spojrzenie.

– Co takiego?

– Ten kaznodzieja jest... niewiastą. Nie wiem, czy mam ją wpuścić?

Słyszę, jak za moimi plecami wzbiera chichot, i nie mam śmiałości się odwrócić, aby spojrzeć na Annę.

– Dlaczego nie miałyby jej wpuścić?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Nie miałam pojęcia, najjaśniejsza pani, że niewiasta może prawić kazania. Sądziłam, że białołowie przystoi raczej milczeniu. Tak przynajmniej zawsze twierdził mój ojciec.

– Twój ojciec bez wątpienia wierzył, że mówi prawdę – odzywam się ostrożnie, świadoma roziskrzonego wzroku swojej siostry i jej ukrytego uśmiechu. – Jak jednak wiadomo, Słowo Boże jest skierowane na równi do mężczyzn i do niewiast, zatem i mężczyźni, i niewiasty mogą je głosić.

Dworka nie pojmuje, o co mi chodzi. Jej puste spojrzenie mówi mi, że dziewczynina chce tylko wiedzieć, czy ma wpuścić tę dziwną istotę – niewiastę kaznodzieję – do moich komnat czy powinna kazać stajennym ją wyrzucić na brukowane uliczki otaczające pałac.

– Umiesz mówić? – pytam ją spokojnie.

Dyga przede mną nisko.



- Oczywiście, najjaśniejsza pani.
- Umiesz czytać?
- Trochę... jeśli to, co napisano, jest jasne i wyraźne.
- Zatem jeśli Pismo Święte będzie jasne i wyraźne, i ty będziesz mogła czytać Słowo Boże. A potem opowiadać o nim innym.

Dworka wbija wzrok w posadzkę. Mamrocząc, mówi coś o tym, że Biblia to nie na jej głowę, że ona wie tylko tyle, ile usłyszy od księdza, a ten przemawia dostatecznie głośno, aby być słyszany w tylnych ławach, jedynie przy okazji Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy.

- Ależ Biblia jest dla ciebie – upieram się. – Po to spisano ją po angielsku, abyś mogła ją przeczytać. A nasz Zbawca przyszedł na ziemię z nieba tyleż dla innych co dla ciebie, co jasno wynika z Pisma, które nam dał.

Dziewczyna wolno podnosi spojrzenie.

- Mogę czytać Biblię? – pyta wprost.
- Możesz – odpowiadam z powagą. – I powinnaś.
- Niewiasta jest w stanie ją zrozumieć?
- Oczywiście.
- Czyli tamta niewiasta ma prawo kazać?
- Dlaczego by nie?

To ją ucisza. Przez setki lat księża i kaznodzieje, zakonnicy i stanowczy ojcowie twierdzili, że niewiasta nie może nauczać Słowa Bożego. Tymczasem teraz mam pod ręką Biblię w rodzimym języku, którą przekazał poddanym mój mąż i w której napisano, że Pan Jezus zszedł na ziemię dla nas wszystkich, a nie tylko dla mężczyzn.

- Oczywiście, że niewiasta ma prawo kazać – powtarzam z mocą na zakończenie lekcji. – Możesz ją więc wpuścić. Jak się nazywa?
- Anna Askew.

Anna Askew wchodzi i kłania się przede mną tak nisko, jakbym była cesarzową, po czym posyła Katarzynie Brandon uśmiech, zanim dygnie ponownie przed resztą moich towarzyszek. Gdy pada na nią mój wzrok, natychmiast rozumiem, czemu panna dworska wahała się przed wpuszczeniem jej na komnaty. Z Anny jest wyjątkowo urodziwa osóbką, odziana jak wieśniaczka niczym młoda żona zamożnego gospodarza albo kupca. Nie wywodzi się ze szlachty, ale zdobywa coraz lepszą pozycję zapewne dzięki dobremu nazwisku. Jej biały czepek, który spoczywa na lśniących szatynowych włosach, jest obrębiony kosztowną koronką. Okala on śliczną sercowatą twarz, w której płoną inteligentne oczy i jaśnieje serdeczny

uśmiech. Anna ma na sobie prostą wełnianą suknię utrzymaną w tonacji brązu, pod spodem zaś czerwoną tunikę z jedwabiu. Jej dekolt przesłania wszywka z cienkiego lnu. Wygląda jak młódka, którą moglibyśmy spotkać na prowincji podczas letniego objazdu, jak majowa królowa wybrana w święto lata dzięki swej urodzie przyćmiewającej wszystkie inne mieszkanki wsi. Wygląda jak młódka, którą moglibyśmy zobaczyć na żywym obrazie obok smoka w jednym z zamożniejszych miast. Jest tak urocza, że każda matka chciałaby ją wydać wcześniej za mąż, każdy ojciec zaś postarałby się dla niej o dobrą partię.

Bez dwóch zdań nie przypomina niewiasty prawiącej kazania w imię boże. Spodziewałam się kogoś starszego, o pomarszczonej, przeciętnej twarzy tryskającej dobrocią. Kogoś podobnego do mateczek położonych zapamiętanych z dzieciństwa, a już na pewnego poważniejszego od tej ślicznotki.

– Spotkałyśmy się już wcześniej? – Wydaje mi się mgliście znajoma, a już na pewno gdzieś widziałam ten jej uśmiech.

– Nie śmiałam marzyć, że wasza królewska mość mnie zapamięta – odpowiada grzecznie. Z jej głosu przebija charakterystyczny akcent z hrabstwa Lincolnshire. – Mój ojciec, sir William, służył twemu teściowi, baronowi z Gainsborough, toteż bywałam zapraszana, ilekroć odbywały się uczty i tańce. Byłam zawsze obecna podczas obchodów Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, a także z okazji majowego święta. Ale to były moje dziecięce lata, sądziłam, że bardzo się od tamtej pory zmieniłam...

– Zapamiętałam cię.

– Najjaśniejsza pani, byłaś najbardziej czytaną młodą niewiastą, jaką znałam – wyznaje. – Zamieniłyśmy raz kilka słów i powiedziałaś mi, że uczysz się łaciny razem z bratem. To wtedy zrozumiałam, że niewiasta też może studiować. Skłoniło mnie to do czytania i zapamiętania Biblii. Zainspirowałaś mnie, najjaśniejsza pani.

– Cieszę się, że wtedy porozmawiałyśmy, skoro taki jest tego efekt. Poprzedza cię reputacja kaznodziei. Zechcesz wygłosić nam kazanie?

Anna Askew zwiesza głowę.

– Mogę powiedzieć tylko to, co przeczytałam i co sama wiem – rzecze.

– Przeczytałaś więcej niż ja i te ocytane damy?

Posyła mi słodki, pełen szacunku uśmiech.

– Wątpię, najjaśniejsza pani. Albowiem mogłam studiować Pismo Święte jedynie wtedy, gdy miałam je w rękach, a było mi często odbierane. Musiałam walczyć o wiedzę. Wy zaś, jak sobie wyobrażam, dostałyście egzemplarz Biblii i studiowałyście pod okiem największych uczonych.

– Jej królewska mość pisze własną książkę – wyskakuje moja siostra

chętnie. – Miłościwy pan poprosił ją, aby przetłumaczyła dla ludu modlitwy z łaciny. Pracują nad przekładem wspólnie. Najjaśniejsza pani studiuje pod okiem samego arcybiskupa Cranmera. Razem tworzą pierwszy angielski mszał.

– Zatem to prawda? – Anna Askew zwraca się wprost do mnie. – Usłyszymy angielskie modlitwy w kościołach? Dowiemy się, co przez te wszystkie lata mamrotali księża?

– Tak.

– Bogu niech będą dzięki – rzecze tylko. – Błogosławionaś za swój wysiłek.

– To miłościwy pan obdaruje poddanych liturgią w języku ojczystym – prostuję. – A arcybiskup Cranmer dokona przekładu. Ja tylko im pomagam.

– Z wielką chęcią przeczytam te modlitwy – zapewnia gorąco. – Tak samo jak Pan Bóg je chętnie usłyszy, bo On słyszy modlitwy wszystkich ludzi, bez względu na język, nawet gdy są odmawiane wyłącznie w duchu.

Czuję się zaintrygowana.

– Uważasz, że Najwyższy, który obdarzył nas Słowem, rozumie bez słów?

– Ależ tak! Rozumie moje myśli, których nawet jeszcze nie zwerbalizowałam, nie ubrałam w słowa. Rozumie moje modlitwy nawet wtedy, gdy są tylko bezgłośnym wołaniem do Niego, gdy są niczym odgłosy kury odpowiadającej gdakaniem gospodyni. – Zaraz się poprawia. – *Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię*<sup>[4]</sup>. Pan musi rozumieć, co czuje najmarniejszy wróbel. A skoro tak, rozumie też, gdy ja powtarzam „ko-ko-ko”. Musi rozumieć przypowieści i proste bajki, skoro Jego własny syn porozumiewał się przypowieściami i prostymi bajkami w tym języku, w którym wtedy akurat mówiono w Betlejem.

Uśmiecham się, choć jestem pod wrażeniem. Nigdy nie myślałam, że językiem Boga może być język bez słów, język serca, i podoba mi się myśl, że Pan rozumie nasze modlitwy, jakbyśmy byli gdakającymi kurami dziobiącymi ziarno u jego stóp.

– Doszłaś do tych wniosków w wyniku własnych przemyśleń? – pytam. – Czy pobierałaś nauki pod rodzinnym dachem?

Anna Askew przybiera pozycję – z jedną ręką wspartą lekko o mój stół i z uniesioną głową. Zdaję sobie sprawę, że wygłosi zaraz pierwsze kazanie, przemawiając z głębi serca na temat własnych doświadczeń i obecności Słowa Bożego w jej życiu.

– Uczyłam się razem z braćmi, póki nie poszli na uniwersytet – zaczyna. –

Byliśmy wykształceni, ale nie oświeceni. Mój ojciec w młodości służył twemu małżonkowi królowi. Kiedy miałam szesnaście lat, wydał mnie za sąsiada, Thomasa Kyme'a, z którym dochowałam się dwójki dzieci, zanim wyrzucił mnie z domu, nazywając heretyczką za to, że czytałam Biblię, którą najjaśniejszy pan obdarzył poddanych w swej mądrości.

– Obecnie Pismo Święte mogą czytać jedynie wielmożowie i ich żony – rzuca ostrzegawczo moja siostra, zerkając na zamknięte drzwi. – Biblia nie jest dla niewiast twojego pokroju.

Ta zadziwiająca młoda osoba poprawia ją:

– U nas wystawiono ją w kościele, z tyłu, gdzie każdy, najskromniejsza niewiasta i najuboższy biedak, mógł ją czytać, jeśli tylko potrafił. Powiedziano nam, że najjaśniejszy pan podarował ją ludowi, aby ten śmiało się z nią zapoznawał. Być może zabrano ją z powrotem, jednakże pamiętamy, że miłościwy pan obdarzył nią swoich poddanych... wszystkich poddanych. Odebrali ją nam wielmożowie, odebrali księżęta Kościoła, którym się wydaje, że są lepsi od innych, ale król Henryk nas obdarował, niech Bóg mu błogosławi.

– Dokąd się udałaś? – pytam. – Po tym, jak mąż wyrzucił cię z domu?

– Pojechałam do Lincoln – odpowiada z uśmiechem. – Usiadłam z tyłu wielkiej katedry, ujęłam Biblię w dłonie i zaczęłam czytać na oczach wiernych i nieoświeconych pielgrzymów, którzy przechodzili za próg na klęczkach, całując posadzkę. Nieszczęśnicy, aż dzwonili odznakami pielgrzymimi, ale uważali, że to herezja, kiedy niewiasta czyta Pismo Święte w kościele. Wystawcie sobie! Uznać za herezję, że wierny czyta Biblię w świątyni!

Kręci głową z niedowierzaniem, bierze głęboki oddech i kontynuuje:

– Czytałam ją na głos każdemu, kto wchodził do tej wspaniałej budowli: wiernym i przekupniom, którzy handlowali odpustami, odznakami i relikwiami, wszystkim głupcom i oszustom. Czytałam im, aby zrozumieli, że jedyna droga do Pana prowadzi nie przez ułomki rzeźb i kości, nie przez fiołki z wodą święconą i modlitwy wypisane wspak na kartce i przypięte do peleryny, nie przez całowanie księżych pierścieni i stóp posągów, ale przez Słowo Boże, święte Słowo Boże.

– Dzielną z ciebie niewiastą – komentuję.

Obdarza mnie uśmiechem.

– Jestem prostą niewiastą – poprawia mnie. – Gdy coś do mnie przemawia, porusza moje serce. Zrozumiałam jedno: że trzeba nam czytać Słowo Boże, aby je pojąć. To i nic innego przybliży nas do Boga. Cała reszta: groźba czyśćca, krwawiące posągi i roniące mleko obrazy, cała reszta jest tylko wymysłem Kościoła, który za daleko odszedł od Słowa Bożego. Moim

zadaniem i zadaniem wszystkich tych, którym zależy na prawdzie, jest pozostać wiernym Słowu Bożemu, a odwrócić się od wszelkiej maskarady. Kościół przestał wystawiać szopkę raz w roku, czyni to nieustannie, każdego dnia. Obecnie rozchodzi się wyłącznie o kostium, o przedstawienie, o pozory. Ale tylko Biblia jest prawdziwa, tylko ona się liczy.

Potakuję skinieniem. Anna Askew mówi prosto, lecz prawdziwie.

- Koniec końców ściągnęłam do Londynu i przemówiłam przed wielkimi tego miasta. Pomógł mi mój brat i moja siostra Joanna, która się teraz nazywa Saint Paul i jest żoną sługi księżnej... - W tym momencie skłania się przed Katarzyną Brandon, która kiwa jej głową w odpowiedzi. - Znalazłam sobie bezpieczną przystań pod dachem ludzi myślących podobnie jak ja. Nasłuchiwałam się kazań i wiodłam dysputy z czytаныmi mężami, znacznie bardziej czytanyymi ode mnie. Pewien mężczyzna, kaznodzieja, którego możesz znać, najjaśniejsza pani, niejaki John Lascelles, zapoznał mnie z innymi dobrymi ludźmi.

Ledwie słyszalne sapnięcie mojej siostry przekonuje mnie, że to nazwisko coś jej mówi. Zerkam na nią ostro.

- Świadczył przeciwko królowej Katarzynie - odpowiada jak na zawołanie.

- Poznałam kilka osób z twojego otoczenia, najjaśniejsza pani - ciągnie Anna Askew, rozglądając się i rozdając uśmiechy. - Lady Denny. Lady Hertford. Oraz innych, którzy słuchają Ewangelii i wierzą w reformę Kościoła. - Urywa na chwilę, po czym zniemacka rzuca: - A potem poszłam po rozwód.

Moja siostra wydaje cichy okrzyk.

- Jak to? Jak mogłaś?

- Poszłam do kościoła i powiedziałam, że skoro mój mąż optuje za starą wiarą, a ja za nową, nigdyśmy nie złożyli przysięgi, która by znaczyła to samo. Nie złączyliśmy dłoni w tym samym Kościele, jedyny Bóg nie może mieć nic wspólnego z przysięgą, którą kazali mi złożyć w obcym, niezrozumiałym dla mnie języku. Dlatego nasze małżeństwo winno być rozwiązane.

- Ależ niewiasta nie może żądać rozwiązania małżeństwa na podstawie własnego widzimisię! - protestuje Katarzyna Brandon.

Anna i ja wymieniamy spojrzenia. Żona naszego rodzonego brata uciekła od niego, po czym William otrzymał w prezencie od króla rozwód z nią. Odkąd Henryk jest głową Kościoła, rozporządza wedle własnej woli kwestiami małżeństwa, jednakże nie robi nic przez wzgląd na niewiastę...

- A dlaczegoż to niewiasta nie miałaaby wystąpić z małżeństwa? - pyta Anna Askew. - Skoro może wziąć ślub, może też dostać rozwód. Każdą przysięgę da się odwrócić. Sam król Henryk...

- W tych komnatach nie rozmawiamy o królu Henryku - przerywa jej moja siostra.

- Prawo nie dostrzega niewiasty, póki nie znajdzie się na świecie sama jak palec - obwieszcza Anna Askew autorytarnie. - Jedyńie ta, której zabrakło i ojca, i męża, i brata, ma jakiegokolwiek prawa na tym padole. Już samo to jest wielką niesprawiedliwością. Pomyślcie jednak: jestem niezamężna, jestem *feme sole*, mój ojciec umarł, a ja wyparłam się męża. Prawo musi widzieć we mnie dorosłego równego pierwszemu lepszeniu mężczyźnie, gdyż tak postrzega mnie Pan Bóg. Trafię do nieba, ponieważ przeczytałam i zaakceptowałam Słowo Boże. Na tym padole domagam się sprawiedliwości, gdyż znam prawo ludzkie.

Moja siostra posyła mi zaniepokojone spojrzenie.

- Nie znam się na tych sprawach - rzecze - ale z pewnością nie jest to temat do dysputy w komnatach jej królewskiej mości. - Zerka na księżniczkę Elżbietę, która przysłuchuje się wszystkiemu uważnie. - Ani tym bardziej w obecności młódek.

Kręcę głową. Jestem żoną mężczyzny, który szafuje unieważnieniami małżeństw. Henryk w każdej chwili może się rozwieść, jeśli tylko tego zapragnie. Anna Askew właśnie powiedziała, że niewiasta może mieć władzę równą królewskiej.

- Lepiej porozmawiajmy o wierze - rozkazuję. - Przetłumaczyłam psalm sto czterdziesty piąty: „Wielki jest Pan i godzien wielkiej chwały”. Co masz o tym do powiedzenia?

Anna Askew zwiesza głowę na moment, jakby dla zebrania myśli, po czym zaczyna przemawiać językiem prostym, a zarazem bogatym. W jej głosie słyhać absolutną pewność, w jej twarzy zaś widać błysk niewinności.

Spędza z nami cały ranek. W końcu odsyłam ją do domu z ciężką sakiewką i zaproszeniem, aby odwiedziła nas znowu. Fascynuje mnie ta niewiasta, ba, inspiruje. Mówi, że sama decyduje o tym, gdzie mieszka i z kim żyje, mówi, że Bóg przebacza jej grzechy, ponieważ je Mu wyznaje - bez pośrednictwa księdza, zwracając się bezpośrednio do Stwórcy. Patrząc na nią, mam wrażenie, że to pierwsza w moim życiu niewiasta, która w pełni decyduje o sobie, która podąża własną drogą, która bierze odpowiedzialność za siebie w swoje ręce. Oto niewiasta prawdziwie nieposkromiona, której nie pętają okoliczności.

Malarz zjawia się, by dokończyć szkice obu księżniczek. Wydaje mi się, że Maria stoi prościej, jak gdyby myślała, że to jej ostatnia podobizna jako

angielskiej księżniczki, że nikt więcej nie będzie jej malował, zanim trafi na obczyznę. Niewykluczone, że jej zdaniem ten portret zostanie wysłany kandydatowi na jej męża.

Podchodzę do niej, aby poprawić jej tren, odsłonić piękny brokat, a przy tym szepczę jej na ucho:

– Nie pozujesz do świętego obrazu, wiesz. Mogłabyś się uśmiechnąć.

Nagradza mnie jej stłumiony chichot.

– Wiem – odpowiada. – Ale rzecz w tym, że ludzie będą oglądać ten portret przez lata, może nawet przez setki lat.

Elżbieta, która rozkwita dzięki uwadze artysty, jest różowitka niczym wewnątrz małej muszli. Tyle czasu spędziła w ukryciu, że teraz jest spragniona męskiego zainteresowania.

Siedząc, przyglądam się obydwu księżniczkom, które choć stoją w pewnym oddaleniu, są zwrócone lekko ku sobie. Mistrz Nicholas naszkicował już ich twarze oraz zaznaczył odcień ich sukni. Wszystko to zostanie przetransponowane na gotowe dzieło, zupełnie jak to się dzieje w wypadku tkaczki, która nanosi na koniec motyw kwiatu zoczonego w ogrodzie.

Nagle artysta zwraca się do mnie.

– Wasza królewska mość?

– Nie mam na sobie właściwej sukni – protestuję.

– To nic. Dziś chciałbym tylko oddać podobieństwo. Twoją postawę. Zechcesz zająć miejsce? Gdybyś jeszcze była tak dobra i wyobraziła sobie, że jego królewska mość jest po twojej prawej. Przechyliš lekko głowę w jego stronę? O, tak, tak. Tylko patrz na mnie, proszę.

Siadam zgodnie z jego wskazówkami, ale za nic nie potrafię się przechylić ku nieobecnemu Henrykowi. Mistrz Nicholas jest jednak bardzo wymagający. Delikatnie zwraca moją głowę to w jedną, to w drugą stronę, aż księżniczka Maria ze śmiechem zajmuje miejsce na tronie, po czym wreszcie przechylam łagodnie głowę, jakbym czegoś nasłuchiwała.

– Wybornie – chwali artysta. – Ale za płasko. Nowa moda... Wasza królewska mość, czy mogę...? – Zbliży się i przesuwając odrobinę krzesło w stronę tronu. – Mogłabyś jeszcze popatrzeć w tamtą stronę? – Pokazuje na okno. – Doskonale.

Cofa się, aby obrzucić mnie spojrzeniem. Patrzę tam, gdzie mi kazał, i nagle w moim polu widzenia pojawia się kos, który przysiadł na gałęzi i otwiera żółty dzióbek, wydając trele. Znienacka przenoszę się w czasie do tamtej wiosny, w którą przebiegałam pałacowe korytarze w drodze do komnat Tomasza i usłyszałam w środku nocy kosa zmylonego blaskiem

poходni, śpiewającego niczym słowik.

- *Mon Dieu!* - wykrzykuje mistrz Nicholas, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości.

- Co się stało?

- Wasza królewska mość, gdybym tylko zdołał uchwycić ten blask w twoich oczach i to piękno w twojej twarzy, byłbym największym malarzem na świecie. Jesteś taka promienna!

Potrząsam głową.

- Śniłam na jawie. To nic takiego.

- Wszystko bym oddał, aby to uchwycić na płótnie. Dzięki tobie wiem, co powinienem namalować. Natychmiast cię naszkicuję...

Unoszę głowę i wyglądam przez okno, za którym kos z trzepotem poprawia piórka zmoczone deszczem, po czym z furkotem odlatuje z gałęzi.



# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN WIOSNA 1545 ROKU



Gdy król mnie wzywa, w drodze jego prywatną galerią towarzyszy mi moja siostra Anna i Katarzyna Brandon. Wszystkie okna są otwarte, aby wpuszczać do środka wiosenne słońce i ptasie trele dolatujące z ogrodów w dole. Nawet tu, w pałacu, słyszeć krzyki mew kołujących nad Tamizą i widać srebrzyste odbłaski promieni na ich skrzydłach.

Król jest w dobrym humorze. Grubo obandażowaną nogę ma wspartą na podnóżku, przed sobą stertę gęsto zadrukowanych kartek.

– Spójrz! – woła do mnie wesoło. – Masz się za taką uczoną, spójrz więc!

Dygam przed nim i podchodzę, aby go pocałować. Ujmuje moją twarz w obie pulchne dłonie, po czym przyciąga mnie bliżej, żebym pocałowała go prosto w usta. Pachnie jakimś alkoholem i słodyczami.

– Nie uważam się za uczoną – zastrzegam prędko. – Przy tobie, mój mężu, jestem nieukiem. Cieszę się jednak, że mogę studiować. Co to takiego?

– Nasze dzieło, prosto z drukarni! – odpowiada. – Nasza liturgia. Cranmer twierdzi, że w każdej parafii znajdzie się egzemplarz, kładąc kres niewyraźnemu mamrotaniu księży, których nikt nie rozumie. Mamrotanie pod nosem nie ma nic wspólnego ze Słowem Bożym, nie takie Słowo Boże chcę dla mojego Kościoła.

- Masz rację, mój mężu.

- Oczywiście, że mam rację! Spójrz tylko, to twoja praca, po części Cranmera i w głównej mierze moja. Podszlifowałem niektóre frazy, ująłem ładniej, a niektóre kawałki wręcz sam przetłumaczyłem. Moja księga, widzisz?

Podnoszę kartki i czytam kilka pierwszych stron. Modlitwy są piękne, tak jak się spodziewałam. Napisane językiem prostym i jasnym, z rytmem i kadencją niczym w poezji, aczkolwiek niewyszukane ani nieprzedobrzone. Spoglądam na wers, nad którym mozoliłam się przez pół dnia, zamieniając słowa, przekreślając i co rusz zaczynając od nowa. Teraz, w druku, wygląda to tak, jakby tylko ta wersja była możliwa i jakby nigdy nie było tej modlitwy w języku innym niż angielski. Ogarnia mnie głęboka radość twórcy, który po raz pierwszy widzi swoje dzieło drukiem. Pochłaniająca praca, wykonywana w zaciszu komnaty prywatnej, ujrzała światło dzienne, ukazała się światu. Odtąd będzie oceniana, aczkolwiek ja mam pewność, że sprosta ocenie.

- Moja liturgia, w moim Kościele. - Henrykowi radość daje poczucie własności. - Mój Kościół, w moim królestwie. W Anglii jestem zarówno królem, jak i papieżem. Muszę bronić poddanych przed zewnętrznym wrogiem i prowadzić ich do Boga w sercu.

Moja siostra i Katarzyna Brandon wydają ciche pomruki zachwytu. Znają na pamięć każdy wers i każdy ustęp, które przechodziły z rąk do rąk, poprawiane, szlifowane i odczytywane na głos raz po raz w obecności mojej i arcybiskupa Cranmera.

- Możesz je wziąć. - Henryk wskazuje stronicę. - Możesz je przeczytać i zaznaczyć na nich niemądre błędy popełnione przez zecerów. Potem zaś możesz mi powiedzieć, co myślisz o tym największym dziele mego życia.

Jeden z paziów wysuwa się naprzód i zagarnia naręcz kartek.

- Tylko pamiętaj - zastrzega król, grożąc mi żartobliwie palcem - chcę usłyszeć szczerą opinię, a nie słowa dla poprawienia mojego nastroju. Od ciebie, Katarzyno, oczekuję wyłącznie prawdy.

Dygam, podczas gdy gwardziści za naszymi plecami otwierają na oścież drzwi.

- Przeczytam wszystko z wielką uwagą i podzielę się z tobą moją najszczerzą opinią, mężu - obiecuję. - Będzie to moja setna lektura, ale już mam nadzieję na tysięczną. W rzeczy samej te modlitwy będą po tysiącokrotnie odczytywane w całej Anglii, we wszystkich angielskich kościołach, każdego dnia.

- Musisz być wobec mnie zawsze uczciwa - dodaje na koniec Henryk ciepłym głosem. - Jesteś moją żoną i moją pomocnicą, Katarzyno. Jesteś moją królową. Będziemy szli naprzód razem, wiodąc nasz lud z ciemności

ku światłu.

Moja siostra, moja dworka i ja nie odzywamy się do siebie, póki nie znajdziemy się bezpiecznie za zamkniętymi drzwiami mojej komnaty prywatnej.

- Czyż to nie wspaniale - zachwyca się Katarzyna Brandon - że najjaśniejszy pan przykładą rękę do naszej pracy? Biskup Gardiner nie będzie mógł powiedzieć przeciwko nam jednego złego słowa, skoro to dzieło ma aprobatę króla. Cudownie nim powodujesz, miłościwa pani! Dzięki tobie zbliżamy się do prawdziwej łaski!..

W tym czasie Anna rozkłada kartki na blacie. Właśnie podnoszę pióro, aby zacząć zaznaczać błędy, gdy do wąskich drzwi z boku, wiodących klatką schodową prosto do stajni, rozlega się ciche pukanie. Tym wejściem zjawiają się dyskretnie zaproszeni kaznodzieje, czasem sprzedawcy książek, które szpiedzy Gardinera uznaliby za heretyckie. Wszyscy inni, znaczniejsi i mniej znaczni goście wspinają się po szerokich schodach i są obwieszczani u podwójnych drzwi mojej komnaty gościnnej.

- Zobacz, kto to - mówię.

Moja siostra podchodzi do wąskich drzwi i uchyla je lekko. Strażnik, który pilnuje wejścia na dole, podnosi głowę i przygląda się, jak młody mężczyzna wstępuje do środka, skłaniając się przede mną.

- A, to Christopher, sługa mego męża - oznajmia zaskoczona Joan Denny. - Co tu robisz? - zwraca się do chłopaka. - Powinieneś być wejść głównym wejściem. Nastraszyłeś nas tylko niepotrzebnie.

- Sir Anthony przykazał mi się zjawić niepostrzeżenie - odpowiada Christopher, po czym zwraca się do mnie. - Sir Anthony przykazał mi donieść jej królewskiej mości, że Anna Askew została pojmana i jest przesłuchiwana.

- Nie!

Chłopak potakuje skinieniem.

- Anna Askew została pojmana i przesłuchana najpierw przez inkwizytora, a następnie przez samego burmistrza Londynu. Obecnie pozostaje zaś pod pieczę biskupa Bonnera.

- Oskarżono ją o coś?

- Jak dotąd nie. Odbywają się tylko przesłuchania.

- W dzień, w który król przekazał ci modlitwy po angielsku? - nie może wyjść ze zdumienia moja siostra. - W dzień, w który król obiecuje poddanym uwolnienie od wszelkich przesądów? Kazał ją pojmać i przesłuchać?

- Boże, miej nas w swojej opiece... - szepczę głosem nabrzmiałym

od strachu. – To stara sztuczka Henryka. Napuścić jednego kundla przeciwko drugiemu i patrzeć, jak skaczą sobie do gardeł.

– O czym ty mówisz? – pyta Anna, przerażona tonem mojego głosu. – O czym ty...?

– Co zrobimy? – wpada jej w słowo Katarzyna Brandon. – Jak możemy pomóc aresztowanej?

Odwracam się do Christophera.

– Wracaj! – rzucam do niego. – Zabierzesz coś!

Anna podchodzi do skrzyni i wyciąga pełen worek, który trzymam na wypadek, gdyby była konieczna jałmużna. Kiedy podaje sakiewkę chłopakowi, dodaję:

– Sprawdź, czy w otoczeniu biskupa Bonnera jest ktoś, kto przyjmie łapówkę. Dowiedz się, czego biskup chce od Anny Askew, czy jest to przysięga, czy wyparcie głoszonych poglądów, czy przeprosiny i ukorzenie się... Dowiedz się, czego od niej chce. I upewnij się, iż biskup wie, że słuchałam jej kazania i że ona sama jest powinowatą George’a Saint Paula, który pracuje dla księcia Suffolku, że nigdy nie słyszałam od niej jednego słowa, które by nie było bogobojne, że nigdy nie widziałam, aby złamała prawo, że w mojej opinii jest świętą niewiastą i że miłościwy pan właśnie dziś przyjął od drukarzy gotową księgę z angielską liturgią. Przekaż mu również, że oczekuję jej uwolnienia.

Christopher kłania się, aby odejść, ale moja siostra prychna niedowierzająco.

– Czy to rozsądne przyznawać się do znajomości z nią? Czy to rozsądne się z nią utożsamiać?

– Każdy może donieść, że Anna Askew kazała w moich komnatach – mówię. – Każdy wie, że jej siostra jest dworką. Biskup musi pojąć, że my, jej przyjaciółki, staniemy za nią murem. Musi pojąć, że przesłuchując ją, przesłuchuje mego kaznodzieję i służbę rodu Brandonów. Musi pojąć, że Anna Askew ma potężnych zwolenników, którzy wiedzą, gdzie trafiła.

Christopher kiwa głową na znak, że rozumie, obraca się na pięcie i wychodzi przez wąskie drzwi.

– Prześlij wiadomość, jak tylko zostanie uwolniona! – wołam za nim. – A jeśli wszczyną przeciwko niej proces, natychmiast tu wróć!

Musimy czekać. Czekamy cały dzień, usiłując się modlić za Annę Askew. W końcu idę na wieczerzę z Henrykiem, moje dworki dla niego tańczą, a wszystkie uśmiechamy się, aż nas bolą mięśnie twarzy. Podczas gdy król

słucha muzyki i wybija na podłokietniku rytm, zerkam na niego z ukosa, zastanawiając się: czy wiesz, że niewiasta, która podziela moje poglądy, która kazała w mojej obecności, która darzyła mnie miłością jako mała dziewczynka, której talenty podziwiam, jest właśnie przesłuchiwana pod zarzutem herezji, co może ją zawieść na stos? Wiesz o tym i czekasz, aby się przekonać, co zrobię? Czy to próba, aby zobaczyć, jak się zachowam? A może o niczym nie masz pojęcia? Może to tylko mimowolne ruchy starego Kościoła, wprawione w ruch tryby Rzymu, ambicja biskupa Londynu, bigoteria Stephena Gardinera, niekończące się spiski księży, którzy odmawiają zmiany? Czy powinnam ci o wszystkim powiedzieć i błagać o pomoc? Siedzę obok człowieka, który może uratować Annę Askew, czy obok króla, dla którego jest ona tylko pionkiem w toczonej rozgrywce?

Henryk odwraca do mnie głowę i uśmiecha się, mówiąc:

– Nawiedzę cię dziś w twoich komnatach, najdroższa.

Myślę wtedy: to dowód. Henryk o niczym nie wie. Albowiem nawet ktoś tak stary i tak dwulicowy jak on nie byłby w stanie się uśmiechać i mówić o zlegnięciu z żoną, podczas gdy jej przyjaciółka jest przesłuchiwana z jego rozkazu.

Nie rozmawiam o Annie Askew z moim mężem, mimo że starając się osiągnąć szczyt, jęczy:

– Och, Katarzyno, dajesz mi przyjemność, dajesz mi wielką przyjemność. Możesz mnie prosić, o co chcesz...

Po wszystkim, kiedy już zasypia, powtarza:

– Sprawiasz mi przyjemność, Katarzyno. Możesz prosić o cokolwiek.

– Niczego nie chcę – odpowiadam.

Czułabym się jak ładacznica, prosząc w takiej chwili o przystługę. Anna Askew szczyli się tym, że jest samodzielną niewiastą; rzuciła wyzwanie zarówno ojcu, jak i mężowi. Nie mogę kupić jej wolności, zaspokajając żądze mężczyzny, który mógłby być ojcem nas obu.

Henryk to rozumie. Uśmiecha się lisio, opierając na wysokich poduszkach z półprzymkniętymi oczyma, odpływając w sen.

– W takim razie później – rzecze. – Skoro wolisz odwlec zapłatę od uczynku.

– Ten uczynek to dowód miłości – mówię pompatycznie, na co odpowiedzią jest jego pogardliwy śmiech.

– W twoich ustach brzmi to tak szumnie – stwierdza. – To jedna z rzeczy, które w tobie lubię, Katarzyno: nie wszystko dla ciebie jest na sprzedaż, nie

każdy jest w twoich oczach rywalem albo wrogiem.

- To prawda - przyznaję. - Świat musi być dla ciebie ponurym miejscem, jeśli tak go postrzegasz. Jak w ogóle udaje ci się z tym żyć?

- Jestem królem - wyjaśnia ze swobodą. - Jestem panem wszystkich, czy o tym wiedzą czy nie.

Anna Askew ratuje się dzięki swojej inteligencji i mojej ochronie. Przyznaje się wyłącznie do wiary w Pismo, a kiedy próbują ją przytłapać na pułapkach liturgii, odpowiada, że nie wie, że jest tylko prostą niewiastą, że czyta tylko Biblię, Biblię, którą ludowi dał najjaśniejszy pan, i że stara się postępować zgodnie z jej nakazami. Wszystko inne jest nazbyt skomplikowane dla takiej bogobojnej niewiasty jak ona. Burmistrz próbuje ją zwabić w pułpkę teologii, ona jednak unosi wysoko głowę i odpowiada, że nie godzi się jej rozprawiać na takie tematy. Anna Askew nieomal doprowadza biskupa Londynu, Edmunda Bonnera, do szaleństwa, lecz nie daje mu broni do ręki, szczególnie że staje się tajemnicą poliszynela, iż kazała w komnatach królowej, która nie dopatrzyła się w jej słowach żadnej herezji. A z królową - w której komnacie sypialnej najjaśniejszy pan spędził całą noc - należy się liczyć. Wprawdzie jeszcze nie przemówiła w obronie swojej kaznodziejki, ale w każdej chwili może to zrobić. Zatem w wielkim pośpiechu dochodzi do uwolnienia pojmanej Anny Askew, która zostaje odesłana do domu, do męża. W oczach mężczyzn i tyranów jest to jedyny sposób na poskromienie niewiasty. Wybucham śmiechem, gdy to słyszę. Moim zdaniem kara okaże się większa dla niego niż dla niej.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN WCZESNE LATO 1545 ROKU



Ambasador Hiszpanii, Eustachy Chapuys, który trwał przy przegranej sprawie nieszczęsnej matki księżniczki Marii, Katarzyny Aragońskiej, który nazywał Boleynównę „damą” z tak jawną pogardą, że wszyscy wiedzieli, iż ma na myśli „ladacznicę”, zestarzał się na służbie i przymierza się do powrotu do domu. Złożony podagrą jest równie chromy jak król i chodzi o dwu laskach, krzywiąc pokrytą zmarszczkami twarz z bólu. Stawia się w pałacu na pożegnanie w ładny majowy dzień, w który ciepłe powietrze niesie woń kwitnących jabłoni, dlatego wylegamy do ogrodów, zanim znajdzie się w obecności Henryka, a ja mówię mu wtedy, że powinien zostać – Anglia będzie nie mniej gorąca niż Hiszpania, ledwie zacznie się czerwiec.

Próbuje mi się ukłonić, lecz ja wskazuję, że powinien sobie usiąść.

– Tęsknię do hiszpańskiego słońca, wasza królewska mość – rzecze. – Od tak dawna nie widziałem ojczyzny... Pragnę się wygrzewać i spisywać wspomnienia.

– Zamierzasz spisać swoje wspomnienia?

Spostrzega moje nagłe zainteresowanie.

– Owszem. Uwielbiam pisać. A przy tym tak dużo pamiętam.

Klaszczę w dłonie.

- Rada bym je przeczytać, ekscelencjo! Byłeś świadkiem tylu ciekawych wydarzeń! O czym napiszesz?

Nie podziela mojej wesołości; oblicze ma poważne.

- Napiszę, że na moich oczach nadeszły ciężkie czasy – odpowiada cichym głosem.

Kątem oka dostrzegam Marię, która w otoczeniu swoich dworek zbliża się alejką. Ze sposobu, w jaki trzyma krucyfiks różańca u pasa, domyślam się, że w duchu gotuje się na pożegnanie z tym mężczyzną, który był jej niczym ojciec. Albowiem prawda jest taka, że ojcował jej przez te wszystkie lata bardziej niż król. Darzył uczuciem i pomocą zarówno jej matkę, jak i ją samą. Bardzo możliwe, że nie spodziewała się w ogóle jego wyjazdu.

- Zostawię was samych – mówię łagodnie. – Księżniczka pożegna cię z wielką przykrością. Miała w tobie wsparcie, odkąd była małą dziewczynką. Jesteś jednym z nielicznych... – urywam.

Chciałem powiedzieć, że jest jednym z jej nielicznych oddanych przyjaciół, lecz uświadamiam sobie, że Maria miała ich więcej – tylko wielu już nie żyje. Chapuys jest zatem jednym z nielicznych, którzy przeżyli. Niemalże każdy, kto jej sprzyjał, został uśmiercony przez Henryka.

W oczach ambasadora pojawiają się łzy.

- To wspaniałomyślne z twojej strony – mówi starym, drżącym głosem. - Miłuję ją od małości. Służenie jej było dla mnie zaszczytem. Żałuję, że nie... - Także urywa. - Żałuję, że nie zawsze mogłem być pomocny, tak jakbym chciał. Nie udało mi się uchronić ani jej matki, ani jej samej.

- Czasy były ciężkie – stwierdzam dyplomatycznie. - Nikt jednak nigdy nie wątpił w twoje oddanie.

Gdy Maria się zbliża, Chapuys podnosi się na nogi. Zwraca się jeszcze do mnie:

- Będę się za ciebie modlił, wasza królewska mość. Będę się modlił o twoje bezpieczeństwo.

Jest to tak dziwna uwaga w ustach ambasadora, który nie zdołał uratować własnej mocodawczyni, że waham się z przywołaniem Marii bliżej.

- Ależ nic mi nie grozi, ekscelencjo – odpowiadam. - Najjaśniejszy pan uczynił mnie regentką, okazał mi zaufanie. Możesz mieć pewność, że księżniczka Maria pozostanie bezpieczna pod moją pieczęcią. Możesz ją opuścić bez obawy. Jestem nie tylko królową Anglii, jestem również jej matką. Dopilnuję, aby nic się jej nie stało.

Ambasador spogląda na mnie współczującym wzrokiem. Na własne oczy widział, jak od czasu infantki hiszpańskiej miejsce na tronie zajmuje pięć kolejnych niewiast.



– Obawiam się o ciebie – rzecze krótko.

Śmieję się cicho.

– Niczym nie zawinię w oczach króla. Poza tym mam jego miłość.

Odpowiada z ukłonem:

– Królowa Katarzyna również niczym nie zawiniła... – W tym momencie zdaję sobie sprawę, że dla niego była i jest tylko jedna królowa Katarzyna, Katarzyna Aragońska. – I też miała jego miłość. Do czasu, aż przestał ją kochać. Po czym dobre samopoczucie przyniosła mu dopiero jej śmierć.

Pomimo słońca nagle ogarnia mnie chłód.

– Co mogę zrobić? – pytam bezradnie.

Chodzi mi o to, gdzie mogę popełnić błąd, czym mogę urazić króla, sprawiając, że mnie odprawi, odsunie na bok, tak jak odsunął Katarzynę Aragońską, po czym uwięzi w odległym, ciągnącym przeciągami zamku, skazując na zapomnienie i śmierć z zaniedbania. Staruszek jednak rozumie mnie opacznie. Myśli, że pytam o drogę ucieczki. Jego słowa mrozą mnie do szpiku:

– Wasza królewska mość, modłę się, obyś z chwilą, gdy wypadniesz z łask, na pierwszą tego oznakę wyjechała z Anglii. Henryk nie unieważni kolejnego małżeństwa. Wyrósł z tego. Cała Europa by się z niego śmiała, a tego by nie zniósł. Gdy się tobą znudzi, skończy się to twoją śmiercią.

– Ekscelecjo! – wykrzykuję.

Kiwa siwą głową.

– To ostatnie słowa, które do ciebie wypowiem, wasza królewska mość. Potraktuj je jak ostrzeżenie starca nie mającego nic do stracenia. Henryk wybiera śmierć. Nie jest do niej przymuszany. Słyszałem o władcach, którzy musieli postać na szafot swoich przyjaciół lub bliskich; Henryk do nich nie należy. – Milczy przez moment. – Podoba mu się ostateczność tego rozwiązania. Podoba mu się, że zwraca się przeciwko komuś i ten ktoś nazajutrz nie żyje. Podoba mu się władza, którą wtedy czuje. Zatem jeśli wypadniesz z łask, ratuj się ucieczką za morze.

Nie jestem w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Najbardziej ze wszystkiego – dodaje, potrząsając głową – najbardziej ze wszystkiego żałuję, że nie wywiozłem w porę królowej Katarzyny.

Czuję na sobie spojrzenia dworek. Wykonuję gest zapraszający księżniczkę Marię bliżej, po czym odstępuję, dając ambasadorowi i jego podopiecznej parę chwil na osobności. Widząc z nagła przestraszony wzrok Marii, domyślam się, że i jej Chapuys udziela przestrogi. W końcu to człowiek, który ma oko na króla od szesnastu lat. Widział, jak osiąga obecną władzę, widział doradców, którzy przez niezgodę trafili do Tower i zostali straceni,

widział żony, które przez niezadowolenie trafiły na wygnanie bądź na szafot, widział nawet ludzi niewinnych drobnego buntu zakutyh w łańcuchy, wieszanych tysiącami. Znienacka po plecach przebiega mi dreszcz – zupełnie jakby moje ciało przeczuwało zagrożenie, którego mój umysł jeszcze nie ogarnia. Oddalam się, kręcąc do siebie głową.

# PAŁAC NONSUCH, HRABSTWO SURREY LATO 1545 ROKU



George Day, mój jałmużnik, zjawia się w mej komnacie prywatnej, gdy czytam razem z dworkami. Pod pachą niesie pakunek. Domyśliwszy się, co dla mnie ma, zagłębiam się w okiennej ambraturze, czując, że spaniel depcze mi po piętach, i tam rozpakowuję książkę.

- „Modlitwy lub medytacje” - odczytuję na głos, wodząc palcem po okładce. - A zatem dokonało się.

- Dokonało się, wasza królewska mość. Efekt przechodzi najśmielsze oczekiwania.

Otwieram książkę i na stronie tytułowej napotykam swoje imię: *Królowa Małżonka JKM Henryka VIII Angielskiego, Katarzyna Regina*. Wciążam powietrze do płuc.

- Najjaśniejszy pan we własnej osobie je zaaprobował - rzecze cicho George Day. - Jego ekscelencja arcybiskup Cranmer przedstawił mu je, utrzymując, że to wyśmienity przekład starych modlitw, który winien być czytany równoległe z litanią. Dzięki tobie, miłościwa pani, Anglicy nareszcie będą mogli się modlić po angielsku.

- I nie ma nic przeciw zamieszczeniu mojego imienia?

- Nie.

Obwodzę opuszką litery składające się na moje miano.

- Wprost nie posiadam się ze szczęścia...

- Tak chciał Bóg - ucina jałmużnik. - Zresztą...

Uśmiecham się do niego.

- Tak?

- Zresztą to naprawdę dobry przekład, wasza królewska mość. Doskonały.

Wraz z nadejściem lepszej aury Henryk dobrzeje i już nie może się doczekać dorocznego objazdu królestwa cudnej urody doliną Tamizy. Pewnego dnia wybiera się na wskroś pałacu prywatną galerią ze swoich do moich komnat w towarzystwie tylko dwóch paziów i doktora Buttsa. Ostrzeżona przez Annę, że mój mąż nadchodzi, zajmuję miejsce przy kominku z wieczorną lekturą, odziana w najlepszy nocny strój i z włosami zaplecionymi w warkocz pod ciemną siateczką.

Jeden z paziów puka do drzwi, gwardziści otwierają je na oścież, po czym doktor Butts skłania się nisko w progu, przepuszczając do środka Henryka. Udając zaskoczenie, powstaje z krzesła przy kominku i dygam.

- Tak się cieszę, że cię widzę, mężu.

- Najwyższa pora - rzecze krótko w odpowiedzi. - Nie poślubiłem cię po to, by spędzać noce samotnie.

Sądząc po zmartwionej minie medyka, wnoszę, że odradzał królowi forsowną wyprawę przez cały pałac i pozostanie w mojej komnacie sypialnej na noc. Teraz bez słowa podchodzi do stołu przed kominkiem i zaczyna szykować napar dla Henryka.

- Czy to dekolt nasenny? - pyta poirytowany król. - Nie chcę go. Nie przyszedłem tutaj spać, stary głupcze.

- Wasza królewska mość nie powinien się przemę...

- Nie zamierzam.

- To lek na obniżenie twojej gorączki, najjaśniejszy panie - odpowiada doktor Butts. - Płoniesz, wasza królewska mość. Rozgrzejesz łożo małżonki.

Uderza we właściwą nutę. Henryk chichocze pod nosem.

- Chciałabyś, abym robił za twoją szkandełę, Katarzyno?

- Jesteś znacznie miłszym kompanem, mężu, niż moje dworki. - Uśmiecham się. - Większość z nich ma zimne stopy, nawet Joan Denny. Z radością powitam cię w swoim łożu.

- Widzisz? - Henryk uśmiecha się tryumfalnie do medyka. - Mogę

donieść sir Anthony'emu, że z jego żony jest zimna żaba. – Śmieje się w głos.  
– Pomóżcie mi wejść do łóżka! – rozkazuje paziom.

Wspólnymi siłami podsadzają go na podnózek stojący obok, po czym – gdy już siedzi prosto – wciągają na łożo. Jeden z młodzików musi przy tym wejść na pościel, żeby podciągnąć króla na poduszki, tak aby wsparty wysoko mógł swobodnie oddychać. Na koniec obydwaj ostrożnie poprawiają zabandażowaną nogę władcy, układając obie słupowate kończyny równolegle do siebie. Potem łagodnym gestem nasuwają pościel na korpus Henryka i odsunawszy się, czekają, by sprawdzić, czy jest mu wygodnie. Nachodzi mnie niepokojąca myśl, że podziwiają go tak, jakby był własną figurą woskową, która pewnego dnia znajdzie się na jego trumnie.

– Wystarczy – stwierdza Henryk. – Możecie odejść.

Doktor Butts podchodzi z kielichem zawierającym medykament, który król wychyla jednym haustem.

– Czy mogę jakoś jeszcze ci ulżyć, miłościwy panie? – pyta medyk.

– Spraw mi nowe nogi – odpowiada sucho król.

– Co dzień proszę Boga, aby to było możliwe, miłościwy panie.

– Wiem, wiem. Zostaw nas samych.

Wszyscy trzej mężczyźni wychodzą do komnaty prywatnej, zamykając za sobą drzwi. Słyszę jeszcze, jak gwardziści przy drzwiach komnaty gościnnej prezentują halabardę na widok medyka, czemu towarzyszy zgrzyt drzewca po posadzce, i wreszcie zapada cisza, którą przerywa jedynie trzask płomieni w kominku i pohukiwanie sowy za oknem. Skądciś, być może z za kwater sokołników, dobiegają dźwięki fletu przygrywającego do tańca.

– Czego tak nasłuchujesz? – pyta mnie Henryk.

– Wydawało mi się, że słyszę smutnowrogą.

– Co?

Kręcę głową.

– Sowę. Chodziło mi o sowę. Na Północy mówimy na nie „smutnowrogie”.

– Tęsknisz za rodzinnymi stronami?

– Nie, jestem tutaj szczęśliwa.

Zadowała go moja odpowiedź. Gestem pokazuje, że mam się położyć obok niego. Przyklękam na klęczniku, po czym zsuwam z ramion pelerynę i w samym nocnym stroju wślizguję się pod przykrycie. Nie mówiąc ani słowa, Henryk szarpie moje gieżło i daje mi znak, że powinnam go okraczyć. Pilnuję się, by mieć na wargach uśmiech, kiedy się na niego wspinam, po czym ostrożnie się opuszczam. Niczego nie napotykam. Zerkam dyskretnie w dół, aby się upewnić, że znajduję się we właściwym miejscu, ale nic nie

widzę. Upewniwszy się, że uśmiech nie spełznie mi z twarzy, sięgam ręką do tasemek gieżła i powoli zaczynam je rozwiązywać. Zawsze postępuję bardzo ostrożnie, nie chcąc się wydać królowi nazbyt swobodna, jak Katarzyna Howard, zarazem jednak pragnąc go zadowolić. Henryk chwytą mnie niedelikatnie za biodra i przyciąga niżej, równocześnie kręcąc się pode mną i usiłując mnie nadziać. Wszelako uda ma za słabe, aby utrzymały jego ciężar, nie jest w stanie wygiąć pleców w łuk, tak że może się wyłącznie ciskać. Spostrzegam, że lica mu ciemnieją wraz z narastającym temperamentem, nie przestaję się więc uśmiechać. Rozszerzam oczy i zaczynam oddychać szybciej i płycej, aby okazać swoje podniecenie. W końcu dyszę.

- To na nic - oświadcza mój mąż.

Zamieram niepewnie.

- To nie moja wina - dodaje. - To wina gorączki. Pozbawiła mnie męskości.

Zsuwam się z taką gracją, na jaką mnie w tych okolicznościach stać, choć i tak mam wrażenie, że zachowuję się niezgrabnie jak baba zsiadająca z osła.

- Na pewno nic takiego się nie...

- Tak, tak - podchwytuje Henryk. - Wszystko przez tego przekłętą medyka. Lek, które każe mi zażywać, zwałasyłyby konia.

Chichoczę na ten dobór słów, lecz wyraz jego twarzy mówi mi, że to nie był żart. On naprawdę uważa się za mocarnego niczym ogier, osłabionego tylko naparem przeciwko gorączce.

- Każ przynieść jedzenie - zarządza. - Przynajmniej się posilimy.

Ześlizguję się z łoża i przynoszę ze stołu tacę z pasztecikami i owocami.

- Na Boga, to za mało!

Biorę do ręki dzwonek, na co pojawia się moja powinowata Elizabeth Tyrwhit, która dyga nisko na widok Henryka w moim łożu.

- Wasza królewska mość...

- Najjaśniejszy pan zgłodził - oznajmiam. - Przynieś coś do jedzenia i wino. Niech będą mięsa, sery i jakieś słodkości.

Dziewczyna kłania się ponownie i wychodzi. Moment później słyszę, że budzi pazia, po czym wysyła go do kuchni. Jeden z kucharzy śpi zawsze na posterunku na wysuwanej pryczy, na wypadek gdyby królowi zachciało się jeść w środku nocy. Henryk lubi sobie podjeść nocą, chociaż za dnia spożywa dwa sutedki, i nierzadko domaga się puddingu, aby mógł z powrotem zasnąć.

- W przyszłym tygodniu pojedziemy na wybrzeże - ogłasza teraz. - Od miesiący nie mogłem się doczekać dobrej formy.

Wykrzykuję z radości.

- Chcę się przekonać, co zostało z floty Tomasza Seymoura – dodaje. – Ponoć Francuzi gromadzą się w portach. Przymierzają się do inwazji. Muszę dokonać inspekcji moich zamków.

Czuję, że puls mi przyśpiesza na myśl o rychłym ujrzeniu Tomasza.

- Czy grozi nam niebezpieczeństwo ze strony Francji? – pytam.

- Tak – odpowiada zadowolony. – Może nareszcie coś się wydarzy.

- Dojdzie do bitwy? – Głos nawet mi nie drży.

- Mam taką nadzieję. Nie naprawiałem Mary Rose po to, żeby stała na redzie. To moja broń, sekretna broń. Masz pojęcie, w ile dział jest teraz wyposażona?

- Chyba nie popłyniesz na jej pokładzie, mężu?

- Dwanaście – odpowiada, ignorując moje pytanie i podążając tokiem własnych myśli. – To był zawsze potężny okręt, a teraz użyjemy go w charakterze broni, tak jak podpowiada Tomasz. Co do tego jednego się nie myli: Mary Rose to pływająca forteca. Ma dwanaście furt działowych, osiem kolubryn i cztery armaty. Może przebywać daleko na morzu i bombardować zamek na wybrzeżu. Może oddać salwę najpierw z jednej strony, a potem obrócić się i zrobić to samo z drugiej, podczas gdy pierwsza strona będzie przeładowywana. Może też sprząć się hakami z wrogim okrętem, ułatwiając abordaż marynarzom. Kazałem zbudować na niej dwa kasztele, rufowy i dziobowy.

- Ale chyba nie popłyniesz razem z sir Tomaszem?

- Niewykluczone. – Podnieca go myśl o bitwie. – Ani myślę jednak zapominać o bezpieczeństwie, moja droga. Jestem przecież ojcem narodu. Zresztą nigdy bym cię nie porzucił samej.

Zastanawiam się, jak by tu zapytać, którym okrętem będzie dowodził Tomasz. Tymczasem Henryk spogląda na mnie czułym wzrokiem.

- Wiem, że musisz spakować wszystkie swoje śliczne rzeczy. Mój szambelan poinformuje twojego o dacie wyjazdu. Będziemy mieli udaną podróż, pogoda zapowiada się znakomita.

- Uwielbiam letnie objazdy królestwa – zapewniam. – Zabierzemy ze sobą księcia Edwarda?

- Nie. Edward zostanie w Ashridge – odpowiada król. – Ale może go odwiedzimy w drodze powrotnej do Londynu. Wiem, że byś tego chciała.

- Lubię go widywać.

- Uczy się dobrze? Dostajesz raporty od jego nauczycieli?

- Sam do mnie pisze. Od jakiegoś czasu pisujemy do siebie po łacinie, dla praktyki.

- Doskonale – pochwała król. Domyślam się, że czuje zazdrość o to,

że jego syn mnie kocha. – Nie powinnaś go jednak odciągać od nauki, Katarzyno. Edward nie może też zapomnieć własnej matki. Joanna musi zajmować w jego sercu wyjątkowe miejsce. W końcu jest jego aniołem stróżem w niebiesiech, tak jak wcześniej na ziemi.

– Czegokolwiek sobie życzysz, mężu – mówię, lekko sztywniejąc na tę zawołaną reprimendę.

– Edward urodził się, aby panować – stwierdza Henryk. – Tak samo jak ja. Musi być zdyscyplinowany. Musi być czytany i dobrze wychowany. Tak samo jak ja. Straciłem matkę, gdy miałem dwanaście lat. Nikt do mnie nie pisał czułych listów.

– Wiem... Musiałeś za nią bardzo tęsknić. Stracić matkę w tak młodym wieku...

Henryk przybiera zboląły wyraz twarzy.

– Miałem złamane serce – rzecze zmienionym głosem. – Ta strata odebrała mi chęć do życia. Żadna inna niewiasta nigdy nie kochała mnie tak bardzo jak ona. A opuściła mnie tak wcześnie!

– Czysta tragedia – poświadczam.

Rozlega się pukanie do drzwi, po czym podstolowie wnoszą do środka stół uginający się od jedzenia. Umieszczają go obok łoża i zaczynają napełniać talerz królowi, który pokazuje kolejne potrawy.

– Zjedźże coś! – rozkazuje mi z pełnymi ustami. – Nie będę jadł sam!

Biorę sobie niewielki talerz i pozwalam się obsłużyć. Usiadłszy na krześle przy kominku, skubię kilka pasztecików. Król domaga się wina. Ja przyjmuję kielich z cienkim piwem. Nie potrafię uwierzyć, że przed upływem tygodnia znów ujrzę Tomasza.

Posiłek zajmuje Henrykowi dobre dwie godziny. Mój mąż poci się i sapie, pochłaniając przeróżne potrawy i zakańczając posiłek cytrynowym puddingiem.

– Resztę możecie zabrać, mam dość – rzuca.

Służący sprawnie zbierają pozostałości i wynoszą je z komnaty.

– Wracaj do łóżka – zaprasza mnie Henryk śpiącym głosem. – Spędzę tę noc z tobą.

Odchyła głowę do tyłu i beka donośnie. Podchodzę do swojej strony łoża i wspinam się na nie. Zanim poprawię na nas dwojgu przykrycie, Henryk już smacznie chrapie.

Nie sądzę, abym mogła zasnąć. Leżę w ciemnościach i czuję, że rozpiera mnie radość z rychłego spotkania z Tomaszem. Kiedy o nim myślę, jest być może w Portsmouth, gdzie śpi na pokładzie swego okrętu w admirałkiej kajucie o niskim belkowanym sklepieniu. Świece, zamontowane w kardanach,



kołyszają się delikatnie na ścianie. Ujrzę go już za tydzień, powtarzam w duchu, zasypiając. Nie zamienię z nim słowa, nie spojrzę mu w oczy, lecz przynajmniej go zobaczę, a on zobaczy mnie.

Sen tak bardzo przypomina jawę, że nawet nie wiem, iż śnię. Śpię w swoim łożu, król chrapie obok mnie, a wokół rozchodzi się straszliwa woń gnijącej nogi, przesycając pościel, przesycając powietrze w całej komnacie. Wyślizguję się z łóżka, ostrożnie, aby nie zbudzić Henryka, czuję bowiem, że smród jest gorszy niż zwykle. Postanawiam opuścić komnatę, gdyż nie mogę oddychać. Muszę znaleźć aptekarza, sprawić sobie jakieś pachnidło, wysłać dziewczęta do ogrodu po wonne zioła. W ciszy przemierzam się ku drzwiom prowadzącym na galerię łączącą moje apartamenty z królewskimi.

Otwieram wąskie drzwi i przekraczam próg, ale zamiast drewnianej podłogi zaślanej trocinami i kamiennych ścian galerii zastaję krętą, niebezpiecznie stromą klatkę schodową. Przykładam rękę do centralnej kolumny i zaczynam się wspinać. Chcę uciec przed wszechogarniającą wonią śmierci, lecz ona staje się coraz silniejsza, jakby ścierwo albo coś jeszcze gorszego czało się u szczytu stopni.

Zakrywam dłońią nos i usta w ochronie przed odorem, by zaraz zakrztusić się z wrażenia na odkrycie, że to moja ręka tak śmierdzi. To ja gniję – usiłuję uciec od własnego smrodu – to ja wydzielam trupią woń. Zatrzymuję się w pół kroku z myślą, że jedyne, co mi pozostało, to rzucić się głową w dół, aby rozkładające się ciało nareszcie umarło i dokończyło procesu, abym nie była więcej sprzężona ze śmiercią, sparowana ze śmiercią; abym uwolniła się od zgnilizny, którą mam na wyciągnięcie ręki.

Płaczę, użalając się na los, który do tego doprowadził, lecz łzy, które mi płyną po policzkach, przypominają pył. Są suche niczym piasek, gdy wpadają mi do ust, a smakują zaschłą krwią. W rozpaczy, zebrawszy się na odwagę, odwracam się na stopniu i patrzę w dół stromych schodów. A potem – z przeraźliwym krzykiem w płucach – rzucam się naprzód.

– Ciii, ciii, nic ci nie grozi!

Myślę, że to Tomasz mnie pochwycił, i czepiam się go, drząc cała. Wtulam się w niego, szukając twarzą jego piersi, jego szyi... Jednakże to król trzyma mnie w swoich ramionach. Odrywam się od niego z okrzykiem, przerażona, że przez sen wypowiedziałam imię Tomasza i że teraz znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– Ciii, ciii – powtarza. – Ciii, najdroższa. To tylko zły sen. Tylko zły sen.

Nic ci nie grozi... – Przyciska mnie do miękkiego niczym poduszka ciała, dodając otuchy.

– Boże ty mój, ale miałam koszmar! Ale koszmar...!

– To nic, to nic...

– Tak się bałam. Śniło mi się, że umarłam.

– Ze mną nic ci nie grozi. Przy mnie jesteś bezpieczna, najukochańsza.

– Czy mówiłam przez sen? – pytam nieomal ze skomleniem. Tak bardzo się boję, że jednak wymówiłam jego imię.

– Nie, nic nie mówiłaś, płakałaś tylko, biedactwo. Ale od razu cię obudziłem.

– To było takie straszne!

– Moja mała, biedna Katarzyna – rzuca czule Henryk, gładząc mnie po włosach, po nagim ramieniu. – Przy mnie nic złego cię nie spotka. Zjesz coś?

– Nie, nie. – Śmieję się niepewnie. – Tylko nie jedzenie. Żadnego jedzenia.

– Powinnaś coś przekąsić, od razu byś się lepiej poczuła.

– Nie, naprawdę. Nie mogę.

– Już nie śpisz? Doszłaś do siebie?

– Tak. Tak.

– Czy to był wieszczy sen? – interesuje się Henryk. – Śniłaś o mojej flocie?

– Nie – odpowiadam stanowczo. Dwie jego żony zostały oskarżone o czary; nie zamierzam przyznawać się do jakichkolwiek nienaturalnych zdolności. – Nic konkretnego mi się nie śniło, nic, co by miało jakieś znaczenie. Ot, pamiętam zamkowe mury, zimne i wilgotne. I strach. Wielki strach.

Henryk uклада się z powrotem na poduszkach.

– Zaśniesz znowu?

– Tak, na pewno. Dziękuję za okazaną dobroć.

– Jestem twoim mężem – mówi do mnie ze spokojną godnością. – To zrozumiałe, że strzegę cię podczas snu i oddalam twoje strachy.

Po chwili już oddycha miarowo z rozchyłonymi ustami. Przykładam głowę do jego zwalistego ramienia i przymykam oczy. Wiem, że śniłam o Trifinie, pannie, która poślubiła mężczyznę będącego mordercą swoich żon. Wiem, że czułam na opuszkach swoich palców woń martwej żony.

# ZAMEK W SOUTHSEA, ZATOKA PORTSMOUTH LATO 1545 ROKU



Dzień jest prześliczny, jak z obrazka, słońce lśni na błękitnych wodach cieśniny Solent, a rześki wietrzyk burzy lekko fale. Wspięliśmy się na szczyt jednej z wież obronnych z widokiem na zatokę. Nawet Henryk jest z nami, został wciągnięty po kamiennych schodach i teraz zadowolony spogląda z góry na świat, stojąc przy blankach na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma wspartymi pod boki, jakby był admirałem na własnym okręcie flagowym. Wokół rozbrzmiewa gwar głosów podeksycytowanych dworzan.

Trudno mi uwierzyć w tę ich radość, zupełnie jakbyśmy szykowali się do turnieju w słoneczny dzień, jakbyśmy stali na legendarnym Połu Żłotogłowi, gdzie Francja i Anglia toczyły bój o to, które królestwo jest wspanialsze, wdzięczniejsze, bardziej cywilizowane i odważne. Chyba każdy powinien wiedzieć, że dziś sprawa przedstawia się inaczej. To nie zabawa w wojnę, lecz czas przed prawdziwą bitwą. Nie ma czego świętować, jest za to czego się bać...

Spoglądając przed siebie, na rozległe łąki u podnóża wieży, dostrzegam, że choć dworzanie robią dobrą minę do złej gry, nie ja jedna jestem pełna

obaw. Gwardziści, szykując się na najgorsze, osiodłali konie i przykazali trzymać je krótko giermkom, na wypadek gdyby zaszła konieczność błyskawicznej ucieczki. Sami przywdziali już zbroje i w razie czego muszą tylko nałożyć hełmy na głowy. Za nimi potężne odwoły, które zawsze towarzyszą wszędzie świcie królewskiej – a wraz z nimi petenci, żebracy, prawnicy, złodzieje i trefnisie, którzy pierwsi czują pismo nosem i wiedzą, kto wygra – zaczynają się wycofywać, mieszkańcy Portsmouth zaś opuszczają własne miasto, unosząc ze sobą zabrane dobra czy to pieszo, czy to konno, czy na wozach. Jeśli Francuzi pokonają naszą flotę, splądrują miasto i najpewniej je też podpalą. Jeden król spodziewa się zwycięstwa i wygląda niecierpliwie początku walk.

Liczne kościelne dzwony rozbrzmiewają dźwięcznie, podczas gdy nasze okręty szykują się do postawienia żagli i wypłynięcia z portu. Ich perliste głosy straszą mewy, które zrywają się z krzykiem i kołują nad wodą. Flota liczy osiemdziesiąt statków – najwięcej w historii Anglii. Część okrętów już jest gotowa do drogi, część dopiero ładuje na pokład sprzęt i ludzi. Po prawej, w głębi zatoki, panuje największy ruch. Żagle rozwijają się na masztach, łodzie wiosłowe krzątają się przy galeonach, rzucając liny i przygotowując się do wyciągnięcia ich w pełne morze.

– Największa flota w historii! – rzecze na stronie król do Anthony’ego Browne’a. – Gotowa walczyć z Francuzami na nową modłę! Takiej bitwy jeszcześmy nie widzieli.

– Bogu niech będą dzięki, że możemy być jej świadkami – odpowiada sir Anthony. – To wspaniała okazja. Zamówiłem nawet obraz, który ukaże nasz tryumf.

Artysta śpieszący szkicować wypłynięcie floty kłania się nisko królowi, po czym zabiera się do uwieczniania widoku, na który wszyscy patrzymy: blanek wieży, wód zatoki, powoli wyłaniających się okrętów, tafla morza, trzepoczących sztandarów i dział armatnich z wystawionymi lufami.

– Cieszę się, że mego męża nie ma na żadnym z tych statków – odzywa się cichym głosem Katarzyna Brandon.

Spoglądam na jej bladą twarz, w której odbija się mój niepokój. Przecież to nie maskarada ani żaden z kosztownych spektakli, w których lubuje się dwór; szykuje się prawdziwa bitwa między naszymi i francuskimi okrętami, do której dojdzie w zasięgu wzroku szczerów lądowych. Na własne oczy zobaczę, z czym przyjdzie się zmierzyć Tomaszowi. Będę musiała patrzeć, jak na jego okręty nadlatują kule armatnie.

– Wiesz, kto dowodzi tymi statkami? – pytam ją.

Kręci głową w odpowiedzi.

- Wczoraj przy wieczerzy wyznaczono nowych admirałów. Król uhonorował w ten sposób swych przyjaciół, dając im możliwość udziału w bitwie. Książę Suffolku nie był ucieszony, że w przeddzień walki wyznacza się nowych dowódców. Na szczęście jednak jest głównodowodzącym i jako taki pozostanie na brzegu.

- Cóż to, boisz się morza?

- Boję się głębi - wyznaje Katarzyna Brandon. - Nie umiem bowiem pływać. No ale nikt, kto ma na sobie zbroję, nie jest w stanie utrzymać się na powierzchni. Nawet nie wszyscy marynarze posiadli tę sztukę. A żołnierze, w ciężkich watowanych kaftanach, nie mają z żywiołem najmniejszych szans...

Przerywam jej gestem.

- Być może nikt nie będzie musiał zejść z pokładu.

Na nabrzeżu zrywają się wiwaty, gdy nowo naprawiona królewska Mary Rose wciąga na maszt kanciaste żagle i rzuca liny, dzięki którym pomocnicze galery pociągną ją na pełne morze.

- Och - mówię. - Kto nią dowodzi?

- Tomasz Seymour - odpowiada moja dworka. - Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Kiwam głową i przykładam dłoń do czoła, jakbym chciała ochronić oczy przed ostrym słońcem. Tak naprawdę jednak nie potrafię patrzeć, jak Tomasz rusza do walki. Z gardła wyrывa mi się piśnięcie niczym któregoś z moich bezrozumnych skrzydlatych przyjaciół.

- Jest bardzo wietrznie - zauważam. - Czy to dobrze?

- To bardzo dobrze - zapewnia mnie stryj. Stoi nieopodal i oceniając oczy, spogląda na morze. - Francuzi mają galery zdolne się poruszać w bezwietrzną pogodę dzięki wiosłom. Jednakże w dzień taki jak ten, gdy złapiemy wiatr w żagle, nabierzemy prędkości i zasypimy ich gradem kul. Spadniemy na nich jak burza, pchani sprzyjającym wiatrem.

Wszyscy odstępują o krok z szacunkiem, gdy Henryk podchodzi, by stanąć obok mnie. Głowę ma uniesioną, z przyjemnością wdycha czyste morskie powietrze.

- Wspaniały widok - komentuję, gdy nasze okręty jeden po drugim opuszczają zatokę, podnoszą żagle i kolejno smyrgają, niczym gołębicę, niczym mewy, na pełne morze.

Obecni wiwatują na cześć każdego. Przodem płynie Peter, za nim Henry Grace à Dieu, dalej statki, któreśmy zabrali Szkotom: Salamander i Unicorn... Nagle, jakby chmura przesłoniła słońce, zapada głucha cisza.

- Co się stało? - pyta król.

Po raz pierwszy odrywa spojrzenie od swojej floty i przestaje się

uśmiechać. Nie pozuje już, z rękoma na biodrach, dla szkicuującego artysty. Ogląda się za siebie, na straże, jakby chciał sprawdzić, czy są gotowe zabezpieczyć jego odwrót. Dopiero po chwili biegnie wzrokiem do ciemnej masy wyspy Wight, która majaczy na horyzoncie. Albowiem tam, w Kanale, właśnie pojawiła się francuska flota, która prze naprzód całymi rzędami. Gdyby to był ląd, nie morze, mielibyśmy przed sobą atak kawalerii składającej się z samych imponujących rumaków bojowych, prowadzonych łeb w łeb i będących symbolem brutalnej siły. Tymczasem zamiast tętentu panuje cisza, która z jakiegoś powodu jest jeszcze bardziej przerażająca. Okręty posuwają się płynnie, równo, a można odnieść wrażenie, że są ich tysiące. Nie widać już fal, tak jest od nich gęsto. Tylko las masztów. Tylko ścianę żagli.

Przed galeonami zaś płyną galery. Te posuwają się agresywnie, zrywami, chociaż też równo, nie wyrywając się jedna przed drugą. Przybliżają się z każdym ruchem wiosł sieczących fale. Nawet z tej odległości, nawet z bezpiecznej wieży, widzę rozwartą czeluść działa zamontowanego na dziobie pierwszej z nich. Takie same armaty zdobią pokłady reszty, a wszystkie one spoglądają łakomie na nasze stateczki, które wysypują się właśnie z zatoki, by bronić angielskiego wybrzeża. Nawet w takiej chwili wiem, że Tomasz Seymour stoi obok sternika na pokładzie Mary Rose i patrzy na przeważające siły wroga.

– Boże, dopomóż... – szepczę.

Henryk zerka na mnie z góry i widząc moją pobladłą nagle twarz, zrywa nakrycie głowy, by zacząć nim machać w powietrzu i wołać:

– W imię Boga! W imię króla Henryka! W imię świętego Jerzego!

Najpierw dworzanie, a następnie wszyscy zgromadzeni na przystani ludzie podchwytną jego okrzyk, który teraz słyszą już chyba nawet marynarze na pełnym morzu widzący przed sobą zbliżającą się śmierć.

Król zaczyna się emocjonować.

– Mają przewagę liczebną, ale chyba mniej dział! – wrzeszczy. Ujmuje księcia Suffolku pod ramię i pyta: – Jak uważasz, Charles? Bo mnie się tak wydaje. A tobie?

– Mają mniej dział – potwierdza księżę Suffolku – jednakże jest ich dwakroć tyle co nas!

– Pamiętałeś, żeby umocnić obronę Portsmouth? – upewnia się król.

– Kazałem wszędzie umieścić armaty, nawet tutaj – odpowiada chmurny Brandon. – Jeśli podpłyną bliżej, będziesz mógł osobiście odpalić lont.

– Nie podpłyną – oświadcza Henryk. – Nie pozwalam, żeby wdarli się na angielskie wody. Zabraniam im się zbliżyć do angielskiej ziemi. Jestem królem! Chyba nie rzucą mi wyzwania w moim własnym królestwie?

Na moim własnym zamku? Niczego się nie boję. Jestem nieustraszony.

Charles Brandon unika mego wzroku, jakby uważając, że lepiej zignorować próżne przechwałki władcy. Rozglądam się w poszukiwaniu doktora Buttsa, którego blade oblicze dostrzegam z tyłu tłumu dworzan. Skinieniem nakazuję mu podejść bliżej i mówię cicho:

– Jego królewska mość zanadto się ekscytuje.

Medyk obserwuje, jak Henryk z pomocą paziów kuśtyka z jednej strony wieży na drugą, by tam klepnąć w plecy artylerzystę. Zachowuje się jak dowódca, który ma przewagę, który jest pewien zwycięstwa. Wykrzykuje groźby pod adresem Francuzów, jakby mogli go słyszeć, jakby w ogóle czyniło to jakąkolwiek różnicę. Zachowuje się tak, jakby jego gniew i wściekłość na wroga mogły zapobiec nawale tysięcy okrętów, powstrzymać miarowe – i teraz już dobrze słyszalne nawet na brzegu – bicie werbli z francuskich galer, które niestrudzenie przebierają wiosłami.

– Nie sposób nad nim teraz zapanować – stwierdza doktor Butts.

Przeczuwam, że będziemy świadkami czegoś strasznego. Francuzi nacierają nieprzerwanie, podczas gdy angielskie okręty kręcą się w kółko na krańcu zatoki, ciągnięte przez łodzie wiosłowe, i bezskutecznie usiłują złapać wiatr w żagle. Tylko kilka naszych statków nabiera prędkości i te starają się ustawić tak, aby wycelować działa w zbliżającą się armadę. Nieustraszeni Francuzi posuwają się naprzód, niskie galery na przedzie, potężne galeony za nimi.

– Zaraz zobaczycie! – wygraża im król. – Zaraz się przekonacie!

Kuśtykając, przechodzi na najdalszą część wieży, obraca się przez ramię i woła coś do mnie, lecz jego słowa giną w ryku dział, gdy pierwsze angielskie okręty znajdują się w odległości strzału od francuskich.

Nasza flota odpowiada salwą. Czarne ambrazury na burtach otwierają się, wypuszczając lufy, z których dobywa się obłoczek dymu, czemu towarzyszy huk, po czym działa chowają się z powrotem w trzewiach statku, gdzie artylerzyści już je ładują od nowa.

– Mary Rose! – ryczy król niczym chłopiec wykrzykujący miano swego faworyta na turnieju. – Henry Grace à Dieu!

Widzę, że Mary Rose przymierza się do związania walką wrogiego okrętu. Furty działowe już ma szeroko otwarte. Wydaje się, że są ich setki – ciągną się długimi rzędami od relingu po linię wody. Na górnym pokładzie krzątają się marynarze, kapitan i bosman, i jest tam jeszcze jedna postać w czerwonej pelerynie, stojąca nieruchomo. Wyobrażam sobie, że ów nieruchomy człowiek to mój ukochany Tomasz.

– Niech Bóg ma go w swojej opiece – szepczę tylko. – Niech Bóg ma go

w swojej opiece...

Na obu kasztelach, dziobowym i rufowym, kłębią się ludzie. Promienie słońca odbijają się w ich hełmach, kiedy unoszą piki, wyczekując abordażu. Gdy przyjdzie pora, do ataku powiedzie ich Tomasz Seymour. Będzie musiał pierwszy przeskoczyć z burty na burtę i okrzykiem zachęcić żołnierzy, aby poszli w jego ślady. Pod kasztelami, od burty do burty, unoszą się specjalne siatki z lin. Uniemożliwiają one dostanie się wroga bezpośrednio na pokład, a tym samym chronią nasz cenny okręt przed zajęciem przez nieprzyjaciela. Pod nimi stoją już ustawieni w szeregach żołnierze, którzy przedrą się na francuski okręt, jak tylko znajdzie się dostatecznie blisko.

– Ognia! – krzyczy Henryk, jak gdyby mogli go usłyszeć z tej odległości. – Ognia! Ognia! Na mój rozkaz!

Galera zbliża się do chyboczącego się dostojnie angielskiego galeonu. Jej wiosła przypominają liczne odnóża istoty pełznącej przez wodę. Z dziobu dobywa się czarny obłok dymu, po czym w powietrzu roznosi się zapach prochu.

Działa na pokładzie Mary Rose wystawiają lufy jednocześnie, tak że okręt wydaje się nimi najeżony, po czym obraca się bokiem i oddaje potężną salwę burtową. Wygląda to pięknie i jest równie skuteczne jak udany ruch w szachach. Niemal natychmiast jedna z wrogich galer idzie na dno. Królewski plan i strategia Tomasza pokazują swoją moc zaskoczonymu wrogowi. Okręty walczą ze sobą, a żołnierzom pozostaje jedynie wiwatować na kasztelach i na pokładach i unosić groźnie miecze nad głowę. Nasze okręty dokonują zwrotu z burty na burtę, aby móc strzelać nieprzerwanie, podczas gdy artylerzyści ładują znów działa.

Nagły podmuch wiatru sprawia, że wszystkie sztandary trzaskają z odgłosem dartej jedwabiu.

– Ognia! Ognia, mówię! – wykrzykuje Henryk, jednakże silny wiatr porywa jego słowa.

Muszę trzymać kornet obiema rękoma, aby go nie stracić. Anna Seymour gubi swój czepek, który wirując, przelatuje nad blankami i wpada do morza.

Ktoś śmieje się z jej przygody, ale śmiech zamiera mu szybko na ustach. Coś jest nie tak. Właśnie gdy Mary Rose refowała żagle, aby się odwrócić i zaatakować Francuzów salwą z drugiej burty, uderzył w nią podmuch wiatru. Na naszych oczach okręt przechyliła się niebezpiecznie, zanurzając żagle w falach, przez co nie sterczą już dumnie, lecz pokładają się dziwnie, nieładnie.

– Co ty wyprawiasz? – ryczy król, jakby spodziewał się odpowiedzi. – Co ty, u diabła, wyprawiasz?



Mary Rose wygląda jak wierzchowiec, który wszedł zbyt ostro w zakręt. Już widać uciekające spod niego nogi, choć przebiera nimi wciąż szybko, zawzięcie. Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie, jednakże wynik jest przesądzony.

– Wyprostować mi ją! – wyje Henryk.

Wszyscy dopadamy blanek i wychylamy się, jakby dzięki temu załoga okrętu mogła słyszeć nasze wskazówki. Ktoś woła: „Nie!”, gdy piękny dumny okręt, z nadal powiewającymi sztandarami, przechyla się coraz bardziej, aż wreszcie kładzie się całkiem na boku niczym spadły ptak, to się zanurzając, to wynurzając z fal.

Oczywiście nie słyszymy wrzasków. Marynarze zostali uwięzieni pod pokładem, gdzie przy każdym przechyle wdziera się więcej wody przez otwarte furty działowe. Ludzie nie są w stanie wspiąć się po drabinach wiodących na pokład z trzewi okrętu. Toną razem z okrętem, który stał się ich trumną. Widzimy jednak żołnierzy na pokładzie. Czepiają się siatki z lin, która teraz stała się dla nich pułapką. Próbują ją przeciąć mieczami. Niektórzy z tych, co stali na kasztelach, dźgają grotami pik liny, usiłując je przepiłować, by uwolnić towarzyszy. Nie są jednak w stanie ich uratować. Dzielni Anglicy giną niczym makrele schwymane w sieć, do ostatka przyciskając twarze do ok, aby zacerpnąć tchu jeszcze ostatni raz.

Ci, których nic nie trzyma, zsuwają się coraz bardziej, aż wpadają do wody niczym ołowiane żołnierzyki Edwarda, którymi tak lubi się bawić, po czym ich ciężkie kaftany w mgnieniu oka chłoną wodę i ciągną ich na dno. Hełmy i buty nabierają wody, zanim ktokolwiek zdąży je odpiąć i zdjąć. Napierśniki i nagolenice są kamieniem u szyi tonących. Ktoś obok mnie powtarza melodyjnie:

– Nie! Nie! Nie!

Mam wrażenie, że trwa to godzinami, choć zapewne upływają tylko minuty. Czas jednak stanął miejscu. Okręt leży na boku niczym strącony z nieba ptak, kołyszając się miarowo na falach, w które skaczą ostatni ocalańcy, ginąc zaraz w toni. Tymczasem rozlegają się salwy armatnie. Bitwa trwa w najlepsze. Tylko my, zmartwiali z przerażenia, widzimy, że statek wywraca się w końcu do góry dnem, celując stępką w chmury. Żagle napełniają się wodą zamiast powietrzem, nadymają się i puchną pod wodą, co ma pewien urok, a wreszcie pociągają statek za sobą na dno.

Ktoś obok mnie szlocha:

– Nie! Nie! Nie!

# DWOREK COWDRAY, MIDHURST, HRABSTWO SUSSEX LATO 1545 ROKU



Gdy dym opada, dowiaduję się, że wynik bitwy jest niepewny. Pokierosowane floty odpływają w przeciwnych kierunkach: Francuzi do Francji, a Anglicy do Portsmouth. Dowódcy meldują królowi, że Anglia zatryumfowała. Wyśleliśmy parę naszych stateczków przeciwko francuskiej armadzie i nie daliśmy się pokonać, a nieprzyjaciel, który postawił nogę na wyspie Wight i wybrzeżu Sussexu, zdołał jedynie spalić kilka stodół, zanim został przepędzony przez wieśniaków.

- Za Boga i za króla Henryka! - szepcze ochoczo Anthony Denny mojemu mężowi, ten jednak nie daje się poruszyć zawołaniem wojennym wcześniejszego, potężniejszego monarchy.

Henryk jest wstrząśnięty. Jego zewłok spoczywa w pościeli niczym jego wspaniały okręt w morskich odmętach cieśniny Solent. Co godzinę przynoszą mu najświeższe wieści, zapewniając, że nie jest tak źle, jak to wygląda. Twierdzą, że podniosą Mary Rose z dna, że to tylko kwestia dni, zanim wyciągną ją na powierzchnię i wypompują z niej wodę. Po jakimś czasie jednak przestaje być o tym słyhać. Ów piękny okręt wraz z marynarzami

i żołnierzami – czterema lub pięcioma setkami, nikt bowiem nie wie, ilu dokładnie się zaciągnęło – pozostanie w podwodnym grobowcu, gdzie będą mu śpiewać fale.

Jak tylko Henryk jest w stanie dosiąść wierzchowca, jedziemy do dworku Cowdray w Midhurst, mając nadzieję, że jeden z najchęłpliwszych dworzan, sir Anthony Browne, zdoła rozweselić i podnieść króla na duchu. Henryk jedzie w siodle milczący, rozglądając się wokół po zielonych polach i pastwiskach, ogarniając pańskim wzrokiem łany zboża i stada owiec i bydła, choć w rzeczywistości ma przed oczyma tylko stępkę wywróconego do góry dnem okrętu flagowego. W uszach wciąż mu z pewnością dźwięczy przeraźliwy bulgot wody pochłaniającej Mary Rose. Jadąc obok niego, mam świadomość, że twarz mi zastygła niczym kamienna maska posągu nagrobnego. Okolica, przez którą przejeżdżamy, jest cicha, lud – rozżalony. Poddani wiedzą, że Francuzi wdarli się na ląd, że królewska flota nie jest w stanie ich obronić. Obawiają się, że francuska armada wyliże rany i natrze ponownie. Są i tacy, którzy uważają, że gdyby Francuzi nadeszli i odnowili klasztory i kapliczki, byłoby to tylko z korzyścią dla Anglii.

Nie pytam o Tomasza Seymoura. Nie śmiem wymówić jego imienia. Boję się, że jeśli tylko powiem „Tomasz”, wybuchnę płaczem, a gdy już zacznę płakać, nie będę mogła przestać. Sądzę, że jest we mnie taka głębia łez jak ta, która pochłonęła jego okręt i teraz bawi się zniszczonym ożagłowaniem.

– Najjaśniejszy pan przyznał Lady Carew sutą rentę – informuje mnie Anna, czesząc mi włosy i nakładając złotą siateczkę i kornet.

– Lady Carew? – powtarzam obojętnym tonem.

– Jej mąż poszedł na dno razem ze statkiem – wyjaśnia moja siostra. Jak wszyscy, nie wymienia nazwy Mary Rose. Zupełnie jakby była to jeszcze jedna zjawia królowej, bezimienna niewiasta, która zniknęła z dworu Henryka.

– Nieszczęsna...

– Król uczynił go wiceadmirałem w wieczór poprzedzający bitwę i przekazał mu dowództwo – ciągnie Anna. – Zastąpił na tym miejscu Seymoura, który poczuł się zelżony tą zniewagą. Tomasz zawsze miał szczęście... Musiał przenieść się na inny okręt, dzięki czemu wyszedł bez szwanku.

Podnosi spojrzenie znad loków i patrzy na moją twarz w lustrze.

– Co się stało? – pyta wystraszona. – Źle się czujesz?

Przykładam dłoń do gorsetu. Czuję, jak serce mi się tłucze pod ciasno zasnuowanym jedwabiem.

- Niedobrze mi – szepczę. – Strasznie mi niedobrze. Pomóż się położyć na moment.

Dworki tłoczą się wokół mnie, toteż zamykam oczy, by odciąć się od widoku ich zaniepokojonych, żądnych sensacji twarzy. Nagle któraś ujmuje mnie pod ramiona, druga pod nogi i tak przenoszą mnie na łóżko. Ktoś rozsznurowuje tasiemki i poluzowuje na mnie gorset, dzięki czemu mogę oddychać swobodniej. Anna zzuwa mi pantofle i zaczyna rozcierać lodowate stopy.

Jeszcze inna dworka przystawia kielich z grzany piwem do mych ust. Biorę łyk i odchylam się poduszki. Po pewnej chwili otwieram oczy.

- Nie wydajesz się rozgrzana – rzuca nerwowo moja siostra.

Wszyscy boimy się angielskich potów. Zaraza potrafi zabić człowieka w ciągu czterech godzin, nie dając prawie żadnych symptomów. Zdrowy mężczyzna może się poskarżyć na gorączkę przy wieczerzy i być trupem do północy. To plaga Tudorów – przybyła do Anglii wraz z ojcem króla, Henrykiem VII.

- Mam mdłości – mówię. – Musiałam zjeść coś, co mi nie posłużyło...

Dwie dworki wymieniają sekretne spojrzenia.

- Och... Rankami też cię mdli? – pyta Anna Seymour znacząco, z nadzieją.

Kręcę głową. Nie chcę wszczęcia podobnych plotek. Nawet w takiej chwili, gdy dochodzę do siebie po szoku związanym z wieściami o Tomaszu, muszę baczyć na słowa – swoje i innych.

- Nie – odpowiadam. – I żebym więcej o tym nie słyszała. Miłościwy pan byłby bardzo niezadowolony, gdyby zaczęto o mnie plotkować.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej – broni się Anna Seymour.

Zamykam na powrót oczy.

- Będę teraz spać – ucinam tę rozmowę.

Słyszę, że moja siostra wygania wszystkich z komnaty, po czym zamyka drzwi i z szelestem sukni siada obok łóżka. Nie otwierając oczu, wyciągam rękę, którą Anna ujmuje krzepiącym gestem.

- To był taki straszny dzień – szepczę. – Nie mogę go przepędzić sprzed oczu.

- Wiem – odpowiada mi. – Postaraj się przespać.

# PAŁAC W GREENWICH LATO 1545 ROKU



Powoli, etapami, wracamy do Londynu. Podróż, która rozpoczęła się jako letnia wycieczka z zamiarem ujrzenia tryumfu naszej floty, kończy się mozolną wędrówką przez ogarnięte strachem królestwo, w towarzystwie rozczarowanego ostatnimi wydarzeniami króla. Nawet złociste łany pszenicy i zieleniące się po raz drugi tego roku łąki nie przynoszą nam ukojenia, gdy mamy przed oczyma wioski i dworki, których jak wiemy, nie jesteśmy w stanie obronić.

W Greenwich woda chlupocząca o kamienne stopnie przystani przypomina nam o bezlitosnych falach cieśniny Solent i o nastroju króla tonącego w przygnębieniu. Tomasz Seymour pozostaje na posterunku w Portsmouth, doglądając napraw budynków zniszczonych przez salwy Francuzów, remontów zniszczonych okrętów i wypraw nurków mających za zadanie ocalić z wraków co się da, zanim spoczną na ostatniej redzie. Mój ukochany nie ma czego szukać w pałacu. Pisze tylko do Henryka, który jednak nikomu nie pokazuje jego listu. Wiem, że długo jeszcze go nie zobaczę.

Postronni sądzą, że król się znowu pochorował – pogorszyło mu się z nogą albo dopadła go czwartaczka. Ja jedna wiem, o co naprawdę chodzi. Henryk jest zdruzgotany. Był świadkiem klęski, druzgoczącej klęski, i nie

może tego przeboleć.

Mój mąż to człowiek takiej dumy, że nie znosi najłżejszego sprzeciwu. Gracz, grający na dwa fronty, byle wygrać. Mężczyzna, któremu od chłopiństwa nikt nie śmiał niczego odmówić. A wreszcie ktoś, kto uważa się za doskonałego pod każdym względem. Nic innego go nie zadowoli. Tymczasem, choć do tej pory miał w Europie jednego jedyne rywała: Franciszka Francuskiego, obecnie stał się pośmiewiskiem wszystkich. Angielska flota okazała się byle jaką zbieraniną w obliczu prawdziwej armady, a nasz okręt flagowy zatonał, zanim na dobre wypłynął w morze. Niektórzy utrzymują, że Henryk kazał tak dozbroid Mary Rose, że stała się równie ociężała i nieporadna jak on sam.

- Nie o to poszło - mówi mi. - Nie myśl tak.

- Oczywiście, że tak nie myślę - zapewniam.

- Oczywiście, że nie o to poszło.

Zachowuje się jak pochwyczone w pułapkę zwierzę, które kąsa samo siebie w obronie przed bólem. Król bardziej uważa się nad własną urażoną dumą aniżeli nad topielcami. Musi jakoś uratować szacunek dla samego siebie. Nic innego się nie liczy, nikt inny się nie liczy. Okręty mogą iść na dno, byle królewska duma nie ucierpiała.

- Z okrętem było wszystko w porządku - rzecze następnej nocy. - Wszystko to wina artylerzystów. Zapomnieli zamknąć furty działowe po oddaniu salwy.

- A więc to wszystko przez to?

- Najpewniej - potwierdza. - Powinienem być zostawić Tomasza Seymoura na stanowisku głównodowodzącego. Cieszę się, że ten głupiec Carew zapłacił własnym życiem.

Przeżykam protest na te niesprawiedliwe słowa.

- Niech Bóg czuwa nad jego duszą - mówię tylko, mając przed oczyma wdowę po wiceadmirałe, która była świadkiem zatonięcia własnego męża.

- Niech Bóg mu przebaczy - dodaje Henryk - bo ja nigdy tego nie zrobię.

Henryk rozprawia o Mary Rose co noc. Nie zaśnie, dopóki mnie nie przekona, że to, co się stało, było winą innych - głupców lub łotrów. Do niczego poza tym nie jest zdolny. Panowie rada w większości udają się przed nami do Westminsteru, a Charles Brandon, najstarszy przyjaciel mojego męża, pyta, czy może po cichu wrócić do domu, do żony.

- Powinien był mnie ostrzec - utyskuje Henryk. - Ze wszystkich ludzi na świecie Charles powinien był mnie ostrzec.

– Skąd mógł wiedzieć, co się stanie?

– Nie powinien był puścić Mary Rose w morze, skoro była przeciążona! – wybuchła nagle król w ataku złości. Twarz mu płonie, żyła na skroni pulsuje niczym tłusty robak. – Czemu nie wiedział, że jest przeciążona? Z pewnością przez nieuwagę. Każę mu wracać na dwór i ze wszystkiego się wytłumaczyć. Był głównodowodzącym, musi więc wziąć odpowiedzialność. Moje plany były bez zarzutu, to on zawiódł, wcielając je w życie. Zawsze mu wybaczałem, odkąd sięgam pamięcią, ale tego jednego nigdy mu nie wybaczę.

Jednakże zanim postaniec wzywający Charlesa Brandona z powrotem do pałacu choćby ruszy w drogę, dochodzą nas wieści, że księżę Suffolku zaniemógł. Wkrótce potem konny goniec nadciąga traktem z Guildfordu z wiadomością, że królewski swak nie żyje. Najstarszy i najwierniejszy druh Henryka VIII umarł.

To ostatni cios tego lata. Król jest niepokieszony. Zamyka się w swojej komnacie i odmawia wszystkiego. Nie chce nawet jeść.

– Jest niezdrów? – pytam doktora Buttsa po tym, jak mój mąż znany z apetytu odsyła precz suty posiłek.

Medyk potrząsa głową.

– Ciało ma zdrowe, niech Bóg go zachowa. Poniósł jednak wielką stratę. Charles Brandon był ostatnim z jego dawnych towarzyszy, jedynym przyjacielem z czasów dzieciństwa. Czuje się tak, jakby stracił brata.

Tej samej nocy, choć moją komnatę dzielą od królewskiej aż trzy pomieszczenia, słyszę potworny hałas. Przypomina wycie lisicy nocą, odgłos tak niezemski, że na moment zapominam, iż gardzę pustymi gestami, i żegnam się znakiem krzyża, po czym całuję opuszkę kciuka i szepczę: „Boże, chroń mnie, swoją służebnicę”. Gdy hałas powtarza się raz po raz, wyskakuję z łóżka, każę mojej towarzysze zostać na miejscu i wbiegam do pustej komnaty gościnnej, przez nią zaś do komnaty gościnnej Henryka, skąd znowu przedostaję się do jego komnaty prywatnej, a stamtąd dopadam drzwi komnaty sypialnej, których strzegą obojętni gwardziści. Tymczasem ze środka dolatuje chwytający za serce szloch.

Waham się. Nie wiem, czy powinnam przekroczyć próg czy raczej się wycofać. Nie wiem, czy powinnam kazać strażom zapukać do drzwi czy raczej od razu sprawdzić, czy są zamknięte od wewnątrz. Nie wiem nawet, czy powinnam pocieszyć króla, że księżę Suffolku zasnął w Panu do końca wierny swojej religii i że teraz czeka w czyścicu, aż rozliczne drogie msze wyniosą go do nieba, czy też może pozostawić go żałobie. Słyszę, że szlocha niczym

zrozznaczone dziecko, niczym sierota. Ten dźwięk przyprawia mnie o drżenie.

Postępuję krok do przodu i przekręcam gałkę. Gwardzista, jakby nie słysząc płaczu swego pana, odsuwa się na bok. Gałka ustępuje, lecz drzwi pozostają zamknięte. Henryk pragnie cierpieć w samotności. Nie mam pojęcia, jak postąpić. Sądząc z wyrazu twarzy gwardzistów, oni również nie są wiele mądrzejsi ode mnie.

Wracam do swojej komnaty, zamykam drzwi i naciągam przykrycie na głowę, nic jednak nie jest w stanie stłumić tych strasznych dźwięków. Henryk przez całą noc zawodzi z rozpacz i nikt – ani w jego komnatach, ani w moich – nie może przez to zmrzyć oka.

Rankiem odziewam się w ciemną suknię i udaję do kaplicy. Zamierzam się pomodlić za duszę Charlesa Brandona oraz o radę, jak pomóc memu mężowi, który całkiem się załamał pod wpływem straty. Zajmuję swoje miejsce po niewieściej stronie, po czym biegnę wzrokiem ku tronowi. O dziwo, Henryk zasiada na swym zwykłym miejscu, podpisuje dokumenty, przegląda petycje. Jedyne czerwone obwódki wokół oczu świadczą o jego nocnym czuwaniu. W istocie z nas dwojga to ja jestem bardziej niewyspana: wciąż mam ciężkie powieki i pobladłe lica. Zupełnie jakby mój mąż pozbył się żałoby i strachu w jedną zaledwie noc. Gdy nabożeństwo się kończy i wszyscy szepczą „amen”, Henryk wzywa mnie gestem. Podchodzę do niego, prowadząc za sobą dworki, po czym ramię przy ramieniu opuszczamy świątynię. Przecinamy dziedziniec i kierujemy się do wielkiej sali – wciąż trzymam Henryka pod rękę, podczas gdy z drugiej strony podpira go jeden z gwardzistów.

– Wyprawię mu pogrzeb godny bohatera – oznajmia. – I za wszystko zapłacę.

Zdumiewa mnie jego spokój, jednakże on poczytuje moje milczenie za uznanie dla tego pomysłu.

– Tak zrobię – poświadczam. – Katarzyna Brandon nie będzie musiała się martwić o schedę chłopców. Pozostawię obydwóch pod jej opieką. Nie wezmę ich pod swoje skrzydła. Niech odziedziczą majątek po ojcu. Pozwolę nawet, aby zajmowała się nim do ich dorosłości. Nie chcę od nich niczego. – Podnosi go na duchu własna szczodrość. – Katarzyna będzie zadowolona – obwieszcza. – Będzie zachwycona. Niech mi podziękuje zaraz po powrocie do pałacu.

– Jest w żałobie – przypominam. – Być może nie zechce mi dalej służyć. Być może nawet nie zechce wrócić do Londynu. Jej strata...



Henryk potrząsa głową.

- Ależ oczywiście, że wróci do Londynu – rzecze z wielką pewnością siebie. – Nigdy by mnie nie porzuciła. Jest moją podopieczną od najmłodszych lat.

Nic na to nie mówię. Nie zamierzam uświadomić królowi, że wdowa może woleć spędzić pierwsze dni swego wdowieństwa pogrążona w modlitwie, zamiast służyć mu rozrywką. Zwyczajowo niewiasta, która straciła męża, pozostaje w domu na prowincji przez pierwsze trzy miesiące, a Katarzyna dodatkowo z pewnością zechce zostać przy osieroconych synach. I zaraz nadchodzi mnie myśl: Henryk nic nie wie o tych sprawach. Nie czekał z zawezwaniem mnie do siebie po śmierci mojego męża. Nie mieści mu się w głowie, że ktoś może chcieć przebywać z dala od pałacu. Sam nie mieszkał nigdy nigdzie indziej, nie ma pojęcia o prywatnym życiu ani o uczuciach, które nie są na pokaz. Zaledwie parę dni po tym, jak pochowałam Johna Neville’a, kazał mi grać ze sobą w karty i flirtować. Pojmuję, że ja jedna jestem w stanie oszczędzić Katarzynie podobnego losu.

- Może raczej będzie wolała zostać w domowym zaciszu...

- Wcale nie!

Pewnej nocy, długo po wieczerzy, gdy podobnie jak reszta dworu szykują się już na spoczynek, przychodzi do mnie Anna. Kiwnięciem głowy odprawia pannę dworską i zajmuje miejsce przy kominku.

- Jak widzę, przyszedł z wizytą – zauważam oschle. – Napijesz się wina?

Moja siostra wstaje i napełnia kieliszki. Przez chwilę rozkoszujemy się zapachem i smakiem ciemnoczerwonego portugalskiego trunku, jak również przejrzystością weneckiego szkła. Każde takie naczynie, idealnie wydmuchane, warte jest setki funtów.

- Co by powiedziała pani matka? – zagaja Anna z uśmiechem.

- Niczego nie zakładajcie z góry – rzucam cytat z rodzicielki. – Nie opuszczajcie gardy. Pamiętajcie o swojej rodzinie... I nade wszystko: Jak się miewa wasz brat? Co u Williama? Czy William też ma takie wspaniałe kielichy? Nie? To może byście mu parę sprawiły?

Wybuchamy śmiechem.

- Zawsze sądziła, że to on przyniesie chwałę rodowi – rzecze Anna, popijając wino. – Nie pogardzała nami, wiesz. Ona tylko wszelkie nadzieje pokładała w Williamie. To chyba normalne, wierzyć w syna i dziedzica.

- Tak, wiem. Nie winię jej o nic. Nie mogła mieć pojęcia, że żona Williama zdradzi go, zbruka nasze nazwisko, wykosztuje nas, a na koniec

będzie musiała zostać odprawiona.

- Tego nie przewidziała - potwierdza Anna. - Ani tego.

- Prawda. - Kręcę głową z uśmiechem. - Któż mógł mieć w ogóle na coś takiego nadzieję?

- Zostałaś królową. - Anna wznosi toast. - Ale wiążą się z tym też zagrożenia.

Chyba nikt bardziej niż ona nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw czyhających na królową Anglii. Służyła im wszystkim. Składała zeznania pod przysięgą przeciwko trzem z nich. Czasami nawet mówiła prawdę.

- Nie dla mnie - odpowiadam z mocą. - Nie jestem jak tamte. Nie mam ani jednego wroga. Jestem hojna. Pomagam każdemu, kto mnie poprosi. Matkuję królewskim dzieciom. Henryk mnie kocha, uczynił mnie regentką i pozwolił mi wydać liturgię po angielsku. Cały dwór się wokół mnie obraca. Mój mąż uczynił mnie centralną osią swego królestwa, swego Kościoła, swej rodziny.

- Stephen Gardiner nie jest twoim przyjacielem - zauważa Anna z przestrogą w głosie. - Podobnie jak jego kompani. Strąciłiby cię chętnie z tronu i wyrzucili z pałacu pierwszą sposobnością.

- Nieprawda. Owszem, nie zawsze się ze mną zgadzają, ale to kwestia debaty, nie nienawiści.

- Katarzyno, każda królowa ma wrogów. Pogódź się z tym.

- Sam Henryk popiera reformę! - wykrzykuję poirytowana. - Daje ucha Cranmerowi chętniej niż Gardinerowi.

- I o to cię winią! Widzieli u jego boku papistowską królową i byli święcie przekonani, że taką mu podsuwają. Sądzili, że optujesz za Rzymem, że podzielasz poglądy barona Latimera. Dlatego tak chętnie cię powitali. Nigdy jednak nie byli twoimi przyjaciółmi! A teraz, gdy zrozumieli, że zwróciłaś się przeciwko nim, nie będą dłużej udawać, że nimi są.

- Anno, opowiadasz bzdury. Owszem, bywa, że mamy odmienne poglądy, nigdy jednak nie chcieliby mnie utrać na oczach króla. Nie oskarżą mnie o Bóg wie co tylko dlatego, że naszym zdaniem msza powinna wyglądać inaczej. Różnimy się, zgoda, ale nie ma między nami nienawiści. Stephen Gardiner jest wyświęconym biskupem powołanym do swej roli przez Boga, świętym mężem. Nie pragnie doprowadzić mnie do upadku z powodu różnicy zdań na ten czy inny temat.

- A jednak wyparli się Boleynówny, gdy opowiedziała się za reformą.

- To powodem nie był Cromwell? - upieram się przy swoim.

- Nieważne, za którego doradcy to było. Ważne, że król go posłuchał.

- Henryk mnie kocha - powtarzam, stawiając kropkę nad i. - Mnie i tylko

mnie. Nie daje ucha nikomu, kto by był przeciwko jego ukochanej żonie.

- Ty tak mówisz... - Anna wpycha nogą kłodę głębiej do kominka. W powietrze bucha snop iskier. Moja siostra ma niewyraźną minę.

- O co chodzi? - pytam.

- Jestem zmuszona ci powiedzieć, że wysuwają kandydaturę następnej żony.

Nieomal wybucham śmiechem.

- To śmieszne. Po to przyszedłeś? Żeby mi to oznajmić? Przecież to tylko plotka.

- Nie. Naprawdę wysuwają kandydaturę kolejnej żony, która będzie bardziej sprzyjać sprawie powrotu Anglii na łono Kościoła rzymskiego.

- O kim mowa?

- O Katarzynie Brandon.

- I tu się mylisz - odpowiadam. - Z niej jest większa reformistka niż ze mnie. Nazwała swojego psa nazwiskiem Gardinera. Jest wobec niego otwarcie niegrzeczna.

- Uważają, że przejdzie na ich stronę, jeśli zaproponują jej tron. Wierzą przy tym, że król ją lubi.

Spoglądam na Annę. Moja siostra ma twarz odwróconą ode mnie, wzrok utkwiony w płomieniach. Nerwowymi ruchami dokłada drewno do ognia.

- Naprawdę o to ci chodzi? Naprawdę przyszedłeś do mnie tak późno, aby mi donieść, że mój mąż chce sobie wziąć nową żonę? Chcesz powiedzieć, że powinnam się bronić?

- Tak - przyznaje, nie napotykając mojego spojrzenia. - Obawiam się, że tak.

Ogień trzaska głośno w ciszy, który zapadła między nami.

- Katarzyna Brandon nigdy by mnie nie zdradziła. Mylisz się, jeśli tak twierdzisz. Jest moją przyjaciółką. Czytamy wspólnie, podobnie myślimy. To, co mówisz, jest podłe, Anno. Oczerniasz ją tylko przede mną.

- Nie zapominaj, że chodzi o koronę Anglii. Dla niej ludzie są gotowi na wszystko.

- Henryk mnie kocha - powtarzam. - Nie myśli o nowej żonie.

- Twierdzę jedynie, że król ma do niej słabość, zawsze ją lubił, a teraz ona jest do więzienia. Do tego zaś twoi przeciwnicy będą ją forsować.

- Katarzyna Brandon nigdy nie zajmie mojego miejsca!

- Nie będzie miała wyjścia - odpowiada spokojnie Anna. - Tak jak ty go nie miałaś. Zresztą są tacy, co utrzymują, że Katarzyna Brandon i Henryk są kochankami od lat. Że książę Suffolku i król dzielili się nią. Charles nie odmawiał królowi niczego. Może więc, kiedy poślubił młodszą żonę, która

mogłaby być jego córką, podsunął ją też Henrykowi...

Wstaję i podchodzę do okna. Chcę je otworzyć na oścież, jakby w komnacie nagle zaleciało odorem zepsucia i rozczarowania, który przesyca apartamenty mojego męża.

- To najpodlejsza plotka, jaką słyszałam - mówię cicho. - Nie powinnam tego nawet słuchać.

- Jest podła, przyznaję - rzecze Anna. - Ale też szeroko rozpowszechniona. Dlatego usłyszałaabyś ją prędzej czy później.

- Zatem co teraz? - pytam z goryczą. - Anno, czy naprawdę musisz mieć taki niewyparzony język? Czy naprawdę musisz mi sączyć jad do ucha? Twierdzisz, że Henryk mnie odsunie, aby wziąć sobie do łóża Katarzynę Brandon? Że będzie miał siódmą żonę? A która zostanie ósmą? To prawda, lubi ją, tak jak lubi Marię Howard i Annę Seymour! Ale kocha tylko mnie, wynosi mnie ponad wszystkie inne, nawet poprzednie żony. I poślubił mnie. To znaczy więcej niż twoje oszczerstwa. Nie rozumiesz tego?

- Mówię tylko, że trzeba uważać. Nikt nie może powiedzieć na ciebie złego słowa. Na twoją reputację nie może paść nawet cień. Nie może dojść do niezgody między tobą i królem. Nie może mieć miejsca nic, co by go przeciw tobie zwróciło. Nic a nic. Ani przez chwilę.

- Gdyż jedyne, co trzeba, to chwila?

- Podpisanie wyroku zajmuje Henrykowi tylko chwilę - rzecze z powagą moja siostra. - A to by oznaczało koniec dla nas wszystkich.

Katarzyna Brandon wraca na dwór królewski zgodnie z rozkazem i bynajmniej nie nosi wdowiej czerni. Najpierw zjawia się w moich komnatach, gdzie dyga przede mną, ja zaś na oczach wszystkich dworek składam jej wyrazy współczucia z powodu śmierci męża i witam ją z powrotem na swojej służbie. Po tej krótkiej ceremonii nowo przybyła zajmuje swoje miejsce między dawnymi towarzyszkami i pochyła się nad tłumaczeniem, nad którym pracujemy. Studiujemy właśnie łacińską wersję Ewangelii według świętego Łukasza, starając się znaleźć najczystsze, najjaśniejsze słowa w ojczystym języku, aby oddać jej piękno. Katarzyna przyłącza się do pracy, jakby był to jej wybór, jakby wcale nie wolała znajdować się we własnym domu z synami.

W okolicach południa, gdy kończymy pracę, aby udać się na przejażdżkę, przywołuję ją do siebie, kiedy zmieniam strój na jeździecki.

- Dziwię się, że wróciłaś do pałacu tak prędko - zagajam.

- Przykazano mi to zrobić.

- Czyż nie żyłaś w odosobnieniu, w żałobie?

- Oczywiście...

Powstając z krzesła przed lustrem z polerowanego srebra i ujmując ją za obie dłonie.

- Katarzyno, odkąd zjawiłam się na dworze królewskim, jestem ci przyjaciółką. Jeśli nie chcesz tu być, jeśli wolisz wrócić do domu, zrobię dla ciebie co w mojej mocy.

Posyła mi smutny uśmiech.

- Muszę tu być - odpowiada. - Nie mam wyboru. Ale dziękuję waszej królewskiej mości za dobroć.

- Tęsknisz za mężem? - pytam z ciekawością.

- Oczywiście. Był dla mnie niczym ojciec.

- Myślę, że król bardzo za nim tęskni.

- Z pewnością. Byli nierozłączni. Nie spodziewam się jednak, aby to okazywał.

- Dlaczego nie? Dlaczego król nie miałby okazywać żalu po stracie przyjaciela?

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby wszyscy znali odpowiedź na to pytanie.

- Król Henryk nie jest w stanie udźwignąć żałoby - rzecze z prostotą. - Nie znosi jej. Żałoba go rozwściecza. Nigdy nie wybaczy Charlesowi odejścia. Jeśli mam pozostać w łaskach, jeśli moi synowie mają ujrzeć swoją schedę, muszę ukrywać fakt, że Charles nas opuścił. Nie mogę okazywać po sobie żałoby, aby nie przypominać królowi o jego żalu.

- Ależ Charles umarł! - wykrzykuję, niemal zapominając, że rozmawiam z wdową po nim. - Nie opuścił króla jemu na złość, tylko zwyczajnie umarł!

Katarzyna uśmiecha się do mnie smutno.

- Podejrzewam, że królowi Anglii się wydaje, iż inni żyją wyłącznie dla niego. Ci zaś, którzy umierają, są powodem zawodu.

Nie chcę wysłuchiwać niemiłych przestroóg Anny, wolę patrzeć na przypochlebny uśmiech Katarzyny Brandon, podczas gdy w pałacu panuje spokój, bez sprzeczek i utarczek, a boże miłosierdzie spływa na Anglię wraz ze światłem słonecznym, kąpiąc w blasku listowie drzew porastających brzeg Tamizy. Królestwu nic nie grozi, nawet zaciekli Francuzi nic przeciwko nam nie szykują, sezon wojenny dobiegł końca, a Tomasz Seymour przeżył kolejny rok. Cudowny jest ten koniec lata. Każdy dzień wstaje słoneczny, a zachodzi ciepłą poświatą. Mury pałacu złocą się w promieniach słońca odbijanych

od powierzchni wody. Henryk wraca do zdrowia. Co rano pomagają mu wsiąść na siodło, po czym wyprawiamy się na polowanie. Posuwamy się łąkami wzdłuż rzeki, nie forsując się zbytnio, przy czym mam wrażenie, że jestem żoną rówieśnika, kiedy wielki ogier króla wyprzedza mnie w galopie, a jego jeździec krzyczy po chłopięcemu.

Ranę na nodze Henryk ma dobrze obwiązaną i jest nawet w stanie przejść parę kroków o własnych siłach, pomocy potrzebuje zaś tylko przy wchodzeniu na schody wiodące z wielkiej sali do jego apartamentów, gdzie co wieczór składałam mu wizytę.

– Jesteśmy szczęśliwi – informuje mnie po królewsku, jakby było to oficjalne obwieszczenie wygłoszone w komnacie audiencyjnej, podczas gdy zajmuję miejsce po drugiej stronie kominka, naprzeciw jego potężnego krzesła i nowego podnóżka. Zdumiona tą formalnością chichoczę. – Gdyby spotkało cię tyle nieszczęść co mnie, też byś cieszyła się każdym dobrym okresem, każdym dobrym dniem – dodaje. – Przysięgam ci, kochanie moje, że jeszcze nigdy nie miłował żony tak mocno jak ciebie i że nie zaznał takiego szczęścia jak obecnie.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o twoje ponure przestrogi, Anno, odpowiadam w myślach siostrze, na głos zaś mówię:

– Tak się cieszę, mężu. Skoro cię zadowolam, sama jestem najszczęśliwszą niewiastą w Anglii. Doszły mnie jednak pewne plotki...

– Jakie plotki? – pyta zaraz, marszcząc piaskowe brwi.

– Niektórzy powiadają, że marzy ci się nowa żona – odważam się wyrazić na głos obawy Anny.

Henryk śmieje się i czyni lekceważący gest.

– Plotek, jak ognia, nie sposób ugasić – rzecze. – Dopóki są mężczyźni, którzy mają ambitne córki, dopóty nie zabraknie takich plotek.

– Ciesz się, że to nieprawda.

– Oczywiście, że to nieprawda – poświadczam. – Maluczcy uwielbiają plotkować na temat lepszych od siebie, a niewiasty są zazdrosne o twoją urodę.

– W takim razie i ja jestem zadowolona, mężu – mówię.

– Dzieci też miewają się dobrze, kwitnąco wręcz – wylicza dalej błogosławieństwa, które na niego spłynęły. – W królestwie zapanował pokój, choć znaleźliśmy się na skraju bankructwa. A do tego nikt mi nie przeszkadza, odkąd moi dwaj biskupi postanowili wziąć ze sobą rozbrat.

– Pan Bóg sprzyja prawomyślnym...

– Widziałem twoje przekłady – odzywa się Henryk po chwili milczenia tym samym tonem pochwały. – Jestem z ciebie dumny, Katarzyno. Każdy

widzi, jak wielki wpływ na ciebie wywarłem, gdy idzie o odczytanie i rozwój duchowy.

Ogarnia mnie nagły strach.

– Moje przekłady?... – powtarzam.

– Modlitwy – wyjaśnia. – Żona, która spędza na modlitwie tyle czasu, to istny skarb.

– Twoje słowa są balsamem na moją duszę, wasza królewska moc – mówię słabym głosem.

– Zerknąłem na nie – podejmuje. – I zapytałem Cranmera, co myśli. Arcybiskup też je pochwalił. Jak na niewiastrę to uczone dzieło, rzekł. Rzucił nawet mimochodem, że ci pomagałem, ale ja zaprzeczyłem wszystkimu. Powinnaś zamieścić swoje imię na okładce, Katarzyno. Powinniśmy przypisać autorstwo majestatowi. Jakiż inny król w Europie ma taką uczoną żonę? Taki Franciszek Francuski ma małżonkę, z której jest ani żona, ani uczona!

– Mogłabym umieścić swoje imię tylko w wyrazie wdzięczności dla ciebie – mówię ostrożnie.

– Zrób tak – zachęca miłym tonem. – Szczęściarz ze mnie. Kłopotczą mnie tylko dwie sprawy, a i to nie zanadto.

Poprawia się na krześle, ja zaś podaję mu słodkości i kielich z winem.

– Jakie mianowicie?

– Boulogne-sur-Mer – odpowiada z ciężkim westchnieniem. – Po tym, jak z trudem je zdobyliśmy, moi doradcy chcą, abym je zwrócił Francji. Nigdy tego nie zrobię. Posłałem z misją młodego Howarda zamiast jego ojca, aby mieć pewność, że namówi wszystkich do zatrzymania miasta przy Koronie.

– I co on na to?

– Och, zarzeka się, że je dla nas utrzyma, że sama myśl o oddaniu przynosi mu dyshonor – śmieje się Henryk. – Stary Howard zaś szepcze mi na ucho, że ten chłopak powinien wrócić do domu i żyć pod butem ojca. Uwielbiam, kiedy rodzice i dzieci się kłócą. Moje życie jest o tyleż łatwiejsze, gdy różni ludzie tańczą do różnych melodii, z których jednak wszystkie ja wygrywam.

Usiłuję się uśmiechnąć.

– Skąd możesz wiedzieć, któremu z nich należy wierzyć?

Stuka dłonią skrzydełko nosa, aby mi pokazać, jaki jest sprytny.

– Z początku nigdy nie wiem. Na tym polega tajemnica. Słucham jednego, słucham drugiego, każdemu daję do zrozumienia, że ma moje poparcie. Ważę obu w trakcie walki, po czym decyduję.

– Ale przez to ojciec zwraca się przeciwko synowi – zauważam. – A twój dowódca we Francji przeciwko twojej radzie. Coś takiego powoduje głębokie podziały w królestwie.

- Tym lepiej, bo wtedy nikt nie ma czasu spiskować przeciwko mnie. Tak czy owak, cokolwiek twierdzą moi doradcy, nie mogą zwrócić Boulogne-sur-Mer Francuzom, gdyż Karol Hiszpański nalega, żebym je zatrzymał i żebym nie układał się z Francją. Hiszpanię i Francję też muszą traktować jak dwa walczące ze sobą psy. Muszę je na siebie napuszczać, jak przystało na mistrza psich walk.

- A twoje drugie zmartwienie? - pytam łagodnie.

- Bogu dzięki, to tylko drobiazg. Nic wielkiego. Plaga w Portsmouth.

- Plaga?!

Henryk potakuje skinieniem.

- Wykańcza moich marynarzy, niech Bóg ma ich w swojej opiece. Oczywiście zaraza zbierze sute żniwo. Marynarze śpią na okrętach lub na najpodlejszych kwaterach w tym nędznym mieście, nawet kapitanowie i bosmani, którym nie powodzi się wiele lepiej. Wszyscy siedzą sobie na głowie, a nie od dziś wiadomo, że bagienne opary sprzyjają rozprzestrzenianiu się chorób. Obsady moich nowych zamków na wybrzeżu będą padać jak muchy, gdy plaga się rozniesie.

- Ale admirałowie są chyba bezpieczni?

- Nie do końca. Nalegam, aby trzymali się ze swoimi ludźmi - odpowiada mój mąż, jakby życie Tomasza Seymoura było mu obojętne. - Wszystko w rękach Boga.

- Nie mogliby rozjechać się do domów, podczas gdy szaleje zaraza? - pytam. - Chyba lepiej by było, żeby dowódcy nie dali się chorobie. Będą ci potrzebni na polu bitwy. Powinieneś się o nich troszczyć.

- Pan Bóg zatroszczy się o tych, którzy dobrze mi służą - odpowiada jakby nigdy nic. - Stwórca nie podniósłby karzącej ręki ani na mnie, ani na moje służki. Jestem Jego wybrańcem, Katarzyno. Nigdy o tym nie zapominaj.

Odsyła mnie o północy - chce być sam - jednakże ja zamiast do komnaty sypialnej idę do przepięknej kaplicy, gdzie klękam przed ołtarzem i szepczę do siebie:

- Tomaszu, Tomaszu, niech cię Bóg strzeże, moje kochanie, moje jedyne kochanie. Niech Bóg cię strzeże na morzu, niech Bóg cię strzeże na lądzie, niech Bóg cię ustrzeże przed zarazą, przed grzechem i przed smutkiem i niech cię bezpiecznie sprowadzi do domu. Nie modlę się, abys do mnie wrócił. Kocham cię tak bardzo, że chcę, byś był bezpieczny gdziekolwiek bądź, nawet beze mnie.

Noga Henryka znowu puchnie, a rana się otwiera. Król nie jest w stanie



na niej ustać, więc rzemieślnicy montują kółka do jego potężnego krzesła, na którym jest wożony po całym pałacu. O dziwo, nastrój ma dobry i w dalszym ciągu zachowuje się jak mistrz psich walk, czym się przede mną przechwalał. Zamierza wysłać biskupa Gardinera na spotkanie z cesarzem w Brugii, gdzie ma dojść do negocjacji dotyczących pokoju z Francją, który powinien położyć kres wojnie w Europie, pomiędzy trzema największymi władcami. Równocześnie, jakby nie widział leżącej w tym sprzeczności, sprasza przedstawicieli niemieckich luteranckich książy, żeby mediowali pomiędzy Anglią i Francją i starali się o pokój, który będzie się równał zdradzie Karola Hiszpańskiego. Tym sposobem mamy szansę na dwa traktaty pokojowe, jeden załatwiony przez papistów, a drugi przez protestantów – przy czym żadnego z nich nie zdołamy zawrzeć.

– To wielka szansa dla naszej wiary – ogłasza Katarzyna Brandon, gdy siedzimy przy moim długim stole, robiąc porządek w piórach i papierach i szykując się do wysłuchania kazania tego dnia. – Jeśli luteranicy wielmożowie z Saksonii zdołają przynieść pokój chrześcijańskiemu światu, to wyznanie reformowane będzie postrzegane jako przewodnie, wyższe moralnie i niosące światło reszcie Europy. A będą pracować na rzecz króla, bo ze strony cesarza grozi im niebezpieczeństwo. Ten papistowski potwór nawołuje do krucjaty przeciwko nim za to, że wyznają taką, a nie inną religię. Niech Pan Bóg ma ich w swojej pieczy.

– Ależ biskup Gardiner ich ubiegnie – przewiduję. – Zanim im się uda cokolwiek załatwić, przywiezie gotowy traktat pokojowy z Francją.

– On? Skądże! – protestuje pogardliwie Katarzyna Brandon. – Gardiner to przeżytek. Król już go wcale nie słucha. Wysłał go do Brugii, aby się go pozbyć. Henryk chce mieć Gardinera z głowy, bo wtedy będzie mógł toczyć swobodne rozmowy z Niemcami. Sam mi to powiedział.

– Ach tak? – bąkam.

Wchodząca w tejże chwili Anna dosłyszała chyba zmieniony ton mojego głosu, bo posyła mi właśnie ostre spojrzenie.

– Nie myśl, że rzekłam coś, co by nas zdradziło – zapewnia mnie szybko Katarzyna Brandon. – Nigdy bym nie wyjawiała, nad czym pracujemy i co czytamy. Przysięgam jednak, że król to wie i z nami trzyma. Wyraża się o twych przekładach w samych superlatywach, najjaśniejsza pani.

– Jego królewska mość podarował Anglikom Biblię po angielsku – zgadzam się. – A właśnie do tego dążą luteranie.

– Zaś Gardiner ją im odebrał. A teraz król spotyka się z luteranami, podczas gdy Gardiner jest hen, daleko. Jeśli o mnie chodzi, mógłby się trzymać z dala od pałacu do końca życia. Póki go nie ma na miejscu i póki

Henryk popiera młodego Howarda przeciwko jego ojcu w Boulogne-sur-Mer, nasi najwięksi wrogowie są w niełasce, a my rośniemy w siłę każdego dnia.

– Bogu niech będą dzięki – odzywa się moja siostra. – Pomyśleć tylko, jakie to by było szczęście, gdyby Anglia przeszła wreszcie na prawdziwą wiarę opartą na Biblii, zamiast wierzyć w te banialuki w rodzaju zaklęć, ikon i zawodzeń.

– Odpusty! – prychna pogardliwie Katarzyna Brandon, niemalże wzdygając się z obrzydzenia. – Jakże ja ich nie cierpię! Wiecie, że nazajutrz po śmierci mojego męża jakiś przeklęty klecha przyszedł do mnie z propozycją, że za pięćdziesiąt nobli zagwarantuje Charlesowi wstąpienie do nieba i jeszcze przedstawi mi widomy dowód, że tak się stało?

– Jaki dowód? – pytam zaciekawiona.

Katarzyna Brandon wzrusza ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Nawet nie pytałam. Ale jestem pewna, że byłby w stanie przedstawić wszystko, czego bym sobie zażyczyła. Krwawiącą figurę z jakiegoś zapomnianego klasztoru? Wizerunek Madonny sikającej mlekiem? Czy to nie największa obraza, twierdzić, że dusza człowieka może być zbawiona przez tuzin starych grubasów, którzy będą piali psalmy? Jak ktoś mógł w ogóle w coś takiego wierzyć? Jak ktoś może wierzyć teraz, gdy wolno czytać Biblię i wiadomo, że droga do zbawienia prowadzi wyłącznie przez wiarę?

Rozlega się pukanie do drzwi. Gwardziści otwierają je na oścież i próg przekracza Anna Askew, równie śliczna i elegancka, jakby dopiero co wyszła od szwaczki. Wchodzi do środka z radosnym uśmiechem na ustach i dyga przede mną głęboko.

– Boże, chroń! – wykrzykuje moja siostra i całkowicie się zapominając, żegna się znakiem krzyża, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Miła nieznajoma! – odzywam się ja. – Wiele czasu minęło, odkąd cię ostatnio widziałyśmy. Ucieszyła mnie wiadomość, że nic ci nie grozi, że biskup Bonner cię uwolnił. Z tego jednak co słyszałyśmy, zostałaś odesłana do domu. Nie spodziewałam się ciebie ujrzeć w pałacu.

– Tak, zostałam odesłana do męża – potwierdza rzeczowo Anna Askew. – Bardzo dziękuję waszej królewskiej mości za ochronę. Wiem bowiem, że to ty ocaliłaś mnie przed dalszymi przesłuchaniami i procesem. Trafiłam pod dach męża, który miał mnie poskromić, wszelako oto znowu jestem.

Uśmiecham się na buńczuczność tej młodej niewiasty.

– Mówisz o tym tak, jakby przyszło ci to bez trudu.

– O, łatwiej od grzechu – zapewnia i zaraz dodaje: – Nie popełniłam jednak żadnego grzechu. Mój mąż nie zna mnie ani mojej wiary. Patrzy

na mnie jak na obcą, jakby zobaczył łąnię w zagrodzie z owcami. Niemożliwe więc, abyśmy byli małżeństwem, aby złożone przez nas śluby były wiążące. Myśli tak jak ja, ale nie ma odwagi powiedzieć o tym biskupowi. Ani on nie chce mnie pod swoim dachem, ani ja nie chcę z nim mieszkać. Nie da się zaprząć w jeden kierat łąni i wołu.

Moja siostra zrywa się na nogi, równie czujna jak gwardzista.

- Ale czy możesz tu być? - pyta. - Nie wolno ci prawić herezji w komnatach najjaśniejszej pani. Nie powinnaś tu przychodzić, skoro kazano ci zamieszkać z mężem. I nie ma znaczenia, czy uważasz się za łąnię, a jego za wołu, czy obydwoje jesteście zwykłymi głupcami.

Anna Askew wyciąga rękę, aby zatamować strumień niespokojnych słów.

- Nigdy bym nie ściągnęła zagrożenia na głowę jej królewskiej mości - zapewnia. - Wiem, komu jestem winna podziękowanie za moje uwolnienie. Wiem, komu jestem winna życie - dodaje, ponownie przede mną dygając. Następnie zwraca się do mojej siostry. - Śledczych zadowolili moje odpowiedzi. Przesłuchiwali mnie bez końca, lecz nie powiedziałam ani jednego słowa, którego nie byłoby w Biblii. Nie mieli więc punktu zaczepienia, by mnie oskarżyć, ani sznura, by mnie powiesić.

Moja siostra wzdryga się wyraźnie na wspomnienie o szubienicy i szybko na mnie zerka.

- Biskup Bonner nie ma nic przeciwko tobie? - upewnia się zdziwiona.

Anna Askew wybucha dźwięcznym śmiechem.

- Biskup Bonner to człowiek, który wiecznie się na coś uskarża. Mnie jednak nie mógł nic zarzucić. Burmistrz Londynu zapytał mnie, czy moim zdaniem hostia jest święta, a ja zmilczałam, gdyż wiem, że rozmawianie o Chlebie jest wbrew prawu. Kiedy zapytał, czy mysz, która by zjadła hostię, też byłaby święta, odparłam tylko: „Biedna myszka”. To chyba było najlepsze z jego pytań, próbował mnie przyłapać za pomocą świętej myszy!

Wbrew sobie wybucham śmiechem, a Katarzyna Brandon, która przechwytuje moje spojrzenie, także chichocze pod nosem. Opanowawszy się, mówi:

- Bogu niech będą dzięki, że jesteś wolna i że woli jej królewskiej mości stało się zadość. Szala zwycięstwa przechyła się na naszą stronę, już prawie wszyscy dzielają poglądy najjaśniejszej pani. Nawet król Henryk jej słucho, a wszyscy dworzanie myślą jak my.

- Miłościwa pani wydała przekład modlitw pod własnym nazwiskiem - dorzuca z dumą moja siostra.

Anna Askew zwraca na mnie spojrzenie piwnych oczu.

- Wasza królewska mość, to znaczy, że wykorzystujesz swoją wiedzę

i swoją pozycję z myślą o dobru wszystkich wierzących w prawdziwą religię, a szczególnie z myślą o dobru niewiast. Być piszącą niewiastą! Być publikującą niewiastą!

- Jest pierwsza - przechwala się dalej moja siostra. - Królowa Katarzyna to pierwsza Angielka, która wydała książkę, do tego po angielsku i opisaną własnym nazwiskiem!

- Sza! - ucinam. - Na świecie jest wielu uczonych, z tego część znacznie bardziej odczytanych ode mnie. A przede mną były autorki niewiasty. Ja jednak mam to szczęście, że mąż jest po mojej stronie, pozwala mi studiować i pisać. Wszyscy zaś mamy to szczęście, że nasz król zezwala, aby poddani rozumieli modlitwy zmagwane w jego Kościele.

- Bogu niech będą dzięki za takiego króla - poświadcza Anna Askew gorączkowo. - Myślisz, najjaśniejsza pani, że wkrótce znów zobaczymy angielską Biblię w świątyniach?

- Jestem tego pewna - odpowiadam. - Skoro bowiem zamówił tłumaczenie liturgii, musi pragnąć, aby lud mógł czytać Pismo Święte. Angielska Biblia rychło trafi znów do kościołów.

- Amen - potakuje Anna Askew. - Tym sposobem moje dzieło będzie ukończone. Albowiem zawsze tylko powtarzałam słowa Biblii, które zapamiętałam, i wyjaśniałam je. Połowa kaznodziejów w Londynie nic innego nie robi. Gdyby angielska Biblia trafiła z powrotem do angielskich kościołów, wszyscy byśmy mieli spokój. Gdyż przekazanie Słowa Bożego ludowi przypomina rozmnożenie chleba. To cud naszych czasów.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN JESIEŃ 1545 ROKU



Zjeżdżamy do pałacu Whitehall, gdy robi się chłodniej i pierwsze przymrozki sprawiają, że cisy w alejkach stają się srebrzyste od szadzi, fontanny zaś pokrywają się szronem. Natychmiast każę przywieźć wszystkie futra z zamku Baynarda, mojej siedziby. Sobole Katarzyny Howard znowuż mnie spowijają, jednakże tego roku roztaczają już woń moich pachnideł; duch dziewczęcej królowej przepadł w chłodzie i mroku.

Nicholas de Vent ukończył portret przedstawiający naszą piątkę, który obecnie oczekuje na uroczyste odsłonięcie. Obraz spoczywa wystawiony tam, gdzie wskazaliśmy, okryty płachtą złotogłowiu. Nikt nań nawet nie zerknął, odkąd opuścił malarską pracownię. Wszyscy czekają, aż król wyrazi chęć, by go ujrzeć.

– Czy wasza królewska mość zechce dokonać odsłonięcia? – pyta mnie Anna Seymour. – Najjaśniejszy pan kazał memu mężowi cię odeskortować.

– Teraz? – pytam.

Czytam książkę, równie prostą i jasną jak dziecięcy elementarz. Wyjaśnia ona misterium mszy świętej i istnienie czyśćca. Została zaaprobowana przez radę królewską i jest utrzymana w nadętym tonie absolutnej pewności właściwym panom radzie. Zatrząskując okładki, zastanawiam się, jak to

możliwe, że mężczyźni – nawet ci świątlejsi – zamiast poświęcić czemuś odrobinę rozwagi, wiecznie tylko głoszą autorytarne poglądy.

– Tak, teraz – odpowiada Anna Seymour. – Mistrz Nicholas już jest, dworzanie się gromadzą.

– Czy miłościwy pan też będzie?

– Obecnie odpoczywa. Noga mu doskwiera. Mówi, że obejrzy obraz później.

Podnoszę się z miejsca.

– Już idę – rzucam.

Kątem oka dostrzegam rozjaśnioną twarzyczkę Elżbiety. Jest bardzo próżna, już nie może się doczekać chwili, w której zobaczy, jak przedstawi ją artysta. Pozowała mu w swej najlepszej sukni, licząc, że ostatecznie znajdzie się w centralnej części obrazu, nieopodal ojca, tym samym uznana za Tudorównę i księżniczkę krwi. Wraz z Marią wymieniamy nad jej głową kpiarskie spojrzenia. Choć nie ekscytujemy się tak bardzo jak to dziecko, również chętnie obejrzymy efekt pracy malarza, doceniając to, że jesteśmy jego częścią. Obraz zawisnie w pałacu Whitehall, gdzie będzie go można oglądać przez lata, może nawet przez stulecia. Powstaną jego kopie, które trafią pod strzechy. Dzieło ukazuje królewicza oraz mnie, usadzoną u boku monarchy, podkreślając moje dokonanie polegające na połączeniu dzieci z ojcem. Nie dam Henrykowi syna jak Joanna Seymour, nie będę jego połowicą przez dwadzieścia trzy lata jak Katarzyna Aragońska, lecz uczynię coś, czego nie dokonała żadna z moich poprzedniczek: przywrócę należną rolę potomkom króla. Drogocenny dziedzic i obie dziewczynki znalazły się na tym samym portrecie co Henryk. To wizerunek rodziny królewskiej, której jestem częścią – jako królowa, jako regentka, jako matka wreszcie. Z mężem u boku, z dziećmi wokół; ktokolwiek wątpi w moje wpływy, ktokolwiek chce przeciwko mnie spiskować, jak tylko spojrzy na ten portret, zrozumie, że stanowią serce tej rodziny.

– Już idziemy – poprawiam się.

Chcę jak najszybciej zobaczyć, jak wypadłam. Po długim namyśle wybrałam czerwoną suknię spodnią i złotą wierzchnią, lamowaną gronostajami. Sam mistrz Nicholas pomógł mi ją wybrać w królewskiej garderobie. Stwierdził, że widzi swoje dzieło w odcieniach czerwieni i złota, które mają symbolizować nasz dostatek, naszą jedność, nasze dostojęństwo. Nie zdradziłam, że w czerwieni mi do twarzy, ale oczywiście kolor ten dodatkowo podkreśla bladość mojej cery oraz płomiennosc włosów. Artysta polecił mi zmienić kornet z preferowanego przeze mnie francuskiego, obłego czepka, który noszę wysoko na głowie, na bardziej staromodny, kanciasty.

Moja siostra Anna wydobyla taki z czeluści królewskiej garderoby.

- Złocony - rzekła. - Nosila go Joanna Seymour.

- W takim razie ani myśle go wlozyć! - zakrzyknelam, ale mistrz Nicholas nasunal mi go plytko na czoło, odslaniając włosy, dzięki czemu ładnie okalal twarz.

- Malowanie pięknej niewiasty to przywilej - powiedzial cicho, instruując, jak mam usiąść, przycupnieta na brzezku krzesla, z morzem złotogłowiu u stóp...

Wracając do rzeczywistości, uśmiecham się do księżniczki Marii i mówię:

- Nie posiadam się z ciekawości.

- Ja także - odrzeka, po czym ujmuje księżniczkę Elżbietę za rękę.

Prowadzę je obie korytarzami. U swego boku mam Edwarda Seymoura, za sobą zaś wszystkie dworki. Gdy dochodzimy do wielkiej sali, zastajemy na miejscu dworzan, a nawet panów radę, którzy zdążyli się tam już zgromadzić. Wszyscy są niesłychanie ciekawi obrazu, którego zamówienie tyle kosztowało, a namalowanie trwało. Nikt jeszcze nie widział gotowego dzieła. Pozowaliśmy oddzielnie, przy czym mistrz Nicholas odwzorowywał króla z wcześniejszych portretów, tak więc dla każdego z nas będzie to równa niespodzianka. Sam malarz przejawia lekki niepokój, co w tej sytuacji jest zrozumiałe.

- Jego królewska mość nie przyjdzie? - pyta mnie z ukłonem.

Właśnie mam odpowiedzieć, że nie, gdy wielkie drzwi się otwierają i za progiem pojawia się Henrykowy tron na kółkach. Mój mąż na w pół w nim siedzi, na w pół leży, wyciągając przed siebie chorą nogę. Zacerwienioną i spuchniętą twarz ma wykrzywioną cierpieniem.

Nicholas de Vent wyduje lekki okrzyk zdziwienia. Nie widział króla od czasu pierwszych rozmów na temat obrazu, po czym odwzorowywał jego podobiznę z genialnych portretów Hansa Holbeina, które najjaśniejszy pan przedkłada ponad wszystkie inne. Domyślam się, że czekający na odsłonięcie obraz ukazuje przystojnego mężczyznę lat około czterdziestu, w otoczeniu żony i dzieci. Namalowany przez mistrza Nicholasa król ma z pewnością obie nogi zdrowe, przyobleczone w pończochy barwy kości słoniowej, ze zwyczajową niebieską podwiązką podkreślającą mocarność łydki. Bez wątplenia nie przypomina wyrzuconego na mieliznę wraku, pocącego się od samej próby uniesienia głowy...

Podchodzę do męża i dygam przed nim, po czym całuję go w rozgrzany policzek.

- Miłościwy panie - mówię - to wielka przyjemność cię zobaczyć w takim dobrym zdrowiu.

- Chciałem na własne oczy ujrzeć, jak nas odmalował - stwierdza krótko. Następnie skinieniem daje znak mistrzowi Nicholasowi. - Odsłoń obraz.

Portret jest ogromny, mierzy niemal pięć stóp wysokości i ponad dziesięć stóp długości. Okrywający go złotogłów zaczepia się w prawym górnym rogu, przez co odsłonięciu ulega stopniowo, cal po calu, od lewej strony, podczas gdy paż biegnie po zydeł, aby uwolnić zaczepiony róg.

Najpierw zatem widzimy kunsztowną kolumnę rytą w srebrze i złocie oraz sklepienie, barwne niczym witraż, zdobne w czerwono-białe róże Tudorów. Dalej pojawiają się drzwi. Zebrani chóralnie wypuszczają powietrze z płuc na widok błaznicy księżniczki Marii, która przechodzi przez ogrody pałacu Whitehall, jakby przypominając wszystkim, że życie jest ulotne, że świat to jedna wielka błazenada. W tle za nią stoją podpory heraldyczne z rzeźbionymi figurami zwierząt mówiącymi, jakoby wszelka chwała to zbytek. Zerkam na Henryka, żeby sprawdzić, czy jest zdziwiony pojawieniem się błaznicy na królewskim portrecie, i czuję się uspokojona przez jego kiwnięcie głowy, którym aprobuje zamysł artysty. Zapewne wydaje mu się, że tym sposobem składa ważne oświadczenie na temat sławy. Kolejna para kolumn stanowi obramowanie dla niewieściej sylwetki na pierwszym planie. Jest to księżniczka Maria w ciemnoczerwonej sukni spodniej z zielonobrazowym wierzchem, o kanciastym dekolcie i zdobionych białą rękawach. Maria nosi francuski czepek, nałożony lekko na głowę, a jej dekolt zdobi krzyż. Przyglądam się uważnie jej wizerunkowi, po czym posyłam księżniczce ciepły aprobujący uśmiech. Wypadła nader zgrabnie. Wydaje się bardzo dystygowana, gdy tak stoi z dłońmi splecionymi przed sobą i uśmiechniętą delikatnie twarzą zwróconą w stronę patrzącego. Taki portret śmiało można skopiować i wysłać za morze do jakiegoś księcia, który szuka żony. Maria wygląda zarazem po królewsku i po dziewczęcemu. Mistrz Nicholas uchwycił jej powagę i jej urok. Widząc samą siebie na obrazie, rumieni się nieznacznie i odpowiada mi skinieniem głowy. Obydwie jesteście niezwykle zadowolone.

Złotogłów opada niżej i wszyscy wzdychamy na widok księcia Edwarda, dobrze zbudowanego jak jego ojciec, w obszernym dublecie z wydętymi rękawami i w czerwonych pończochach, z także czerwonym biretem na głowie. Kilkoro dworzan zaczyna bić brawo. Mógłby to być portret króla Henryka przyciętego do trzech stóp wzrostu. Namalowany książę wspiera się swobodnie na ojcowskim kolanie, czego nigdy by nie uczynił w prawdziwym życiu, Henryk zaś trzyma rękę na jego plecach, przyciągając do siebie, czego również nigdy naprawdę nie robi. Chłopiec wygląda, jakby dopiero co wyskoczył spomiędzy szeroko rozłożonych nóg króla - oto wykapany syn



i dziedzic. Oto potomek i następca tronu, skóra zdarta z ojca, małe czerwone pisklę.

Za nimi dwoma i nad ich głowami rozciąga się baldachim z królewskim herbem, ponad którym widnieje jeszcze złocista pieczęć, niby aureola podobna do tych, co je bałwochwalczy artyści malowali nad głowami świętków. Pośrodku obrazu, wciąż po części zasłonięty przez złotogłów, za który rozpaczliwie ciągną słudzy, znajduje się król we własnej osobie. Mistrz Nicholas uczynił zeń serce portretu, odwzorowując strojem barwy płonącego słońca. Ramiona grubości wałków tapicerskich skrywają się pod wydętymi rękawami ze złotogłowiu przecinanego śnieżnobiałym jedwabiem, tułów zaś opina dublet utrzymany w tonacji złoto-czerwonej. Rozłożone szeroko mocne nogi błyszczą srebrem w pończochach barwy kości słoniowej, zginając się w kolanach, które przypominają dwa lśniące księżycy. Szata króla lamowana jest sobolami odrzuconymi na boki. Oblicze Henryka jest owalne, blade i pozbawione choćby jednej zmarszczki, jego saczek zaś, wyróżniający się jasną barwą – o mój Boże! – wydaje się wzwidziony, przykuwając wzrok patrzącego. Ogromny i potyskliwy, rzucający się w oczy bladeścią pośród całego tego złota i morza czerwieni, ogłasza wszem wobec: oto królewski drygant, patrzcie i podziwiajcie!

Zagryzam wargę, aby się nie roześmiać nawet cicho; w tym samym celu unikam spojrzenia Katarzyny Brandon. Artysta chyba postradał zmysły, by być tak dosłownym – z pewnością nawet Henryk w swej próżności uzna coś takiego za żałośnie śmieszne. Na szczęście paziom właśnie się udaje odstąpić resztę obrazu, złotogłów opada na podłogę, a ja widzę wreszcie swoją podobiznę.

Siedzę po lewej stronie Henryka, odziana w suknię, którąśmy razem wybierali z mistrzem Nicholasem, składającą się z czerwonego spodu i czerwonych rękawów, konwenujących z czerwienią szaty księcia Edwarda, oraz złotego wierzchu korespondującego z królewskim dubлетem, przy czym jedno i drugie jest lamowane gronostajami zaświadczającymi o mej królewskiej pozycji. Angielski kornet, który dobrał mi artysta, podobnie jak pas w talii są oddane z najdrobniejszymi szczegółami, a moja cera wydaje się równie nieskazitelna i promienna jak wspaniałe kończyny Henryka. Moja twarz jednak...

Moja twarz...

Twarz...

Przez zebranych przechodzi szmer zaskoczenia przypominający szelest liści w jesiennym lesie. Rozlegają się głosy:

– Och, nie spodziewałam się...

- Ależ to nie jest...

- Przecież to...

Każdy kolejno gryzie się w język i nie kończy zaczętego zdania, jakby nie chciał być tym, który powie głośno to, co jest boleśnie, straszliwie jasne i staje się coraz jaśniejsze, w miarę jak cisza nabrzmiewa. Ten chrząka, tamten się odwraca, a w końcu – choć nie wypada im się gapić – wszyscy wpatrują się we mnie.

Oni patrzą na mnie, a ja na Nią.

Albowiem to nie jest moja twarz. To nie jest mój portret. Pozowałam do niego, zgoda, i miałam na sobie te szaty, które wzięto z garderoby królewskiej i które przywdziewa przy ważnych okazjach królowa Anglii. Artysta tak kazał mi złożyć dłonie, tak kazał przechylić głowę do światła, jednakże to nie moje rysy wyzierają spod złocistego kornetu. Henryk zamówił portret swojej trzeciej żony, matki Edwarda, i kazał mi do niego pozować niczym manekinowi, aby malarz mógł poprawnie uchwycić proporcje i kształty królewskiej żony, byle której żony. Wszakże mistrz Nicholas nie obdarzył postaci moim obliczem. Nie musiały próbować oddać mojej promiennej urody, jak ją zwał. Zamiast mnie przedstawił kanciasty czepek i krowią nijakość Joanny Seymour, martwej królowej, która teraz przed nami siedzi po lewej ręce Henryka, zza grobu przyglądając się z zachwytem swemu mężowi i swemu synowi, jakby mnie w ogóle nigdy nie było.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje mi się tam wystać, uśmiechać się i komentować piękno portretu, udatną podobiznę Elżbiety stojącej po lewej stronie niewiasty, która zajęła miejsce jej matki, macochy, której księżniczka nawet nie pamięta, dworki własnej macierzy, osoby, która tańczyła w dniu egzekucji Boleynówny. Wybucham śmiechem na wizerunek Willa Somersa pod prawym łukiem, z małpką na ramieniu i na tle ogrodów pałacu Whitehall. Słyszę swój perlisty śmiech i jego echo, gdy z ulgą przyłączają się do mnie inni, jakby chcieli czym prędzej zatuszować me upokorzenie. Moja siostra podchodzi do mnie, jak gdyby chciała udzielić mi fizycznego wsparcia, i staje z jednej strony, podczas gdy z drugiej pojawia się Katarzyna Brandon. Obydwie podziwiają portret i paplają coś, tylko żeby paplać. Anna Seymour, choć stanowi część mojego dworu, trzyma się na dystans i z dala komentuje piękno swej tragicznie młodo zmarłej żelwy.

Nie odrywam spojrzenia od obrazu. Postrzegam go jako nastawę, ikonę jedną z tych, które reformiści słusznie wyplenili ze starego, zepsutego Kościoła. Istotnie przypomina tryptyk składający się z trzech części: obie

księżniczki po bokach i Trójca Święta pośrodku – Ojciec, Syn i przemieniona Matka. Dwoje błaznów ze skraju odzwierciedla marność świata, podczas gdy rodzina królewska w centrum błyszczy niczym złoto. A Joanna Seymour, pokonawszy śmierć, bryluje w roli Matki Boskiej.

Czuję, że Elżbieta staje za moimi plecami, pytając szeptem:

– Kto to? Kim jest ta dama na twoim miejscu?

Odpowiadam jej:

– Sza. To królowa Joanna, matka Edwarda.

Na moje słowa jej bystra twarzyczka wydłuża się, a spojrzenie twardnieje, jakby uczyniła aluzję do czegoś nieprawego i niewłaściwego, wstydliwego zgoła. Po czym zaraz – i to mówi mi wyraźnie, że jest zepsuta ponad wszelkie wyobrażenie – odwraca się do ojca, aby mu powiedzieć, jaki wspaniały portret zamówił.

Księżniczka Maria rzuca mi tylko przelotne spojrzenie, nic nie mówiąc. Wreszcie szmery cichną, dworzanie milkną i wszyscy czekamy, co powie król. Chwila ta przedłuża się w nieskończoność, Nicholas de Vent miętosi biret w dłoniach, wyraźnie pocąc się ze zdenerwowania w oczekiwaniu na to, co rzeknie wielki patron artystów, patron samego Holbeina, na dzieło jego rąk, na to kłamliwe malowidło, na ten przejaw królewskiej buty, na tę ewidentną próbę naruszenia spokoju zmarłym.

– Podoba mi się – rzecze stanowczo Henryk. Towarzyszy temu lekki powiew, jakby wszyscy obecni naraz wypuścili długo wstrzymywane powietrze. – Jest bardzo ładny. Świetna robota. – Kiedy przenosi na mnie spojrzenie, dostrzegam, że jest lekko zażenowany. – Z pewnością cieszysz się, widząc dzieci zebrane w jednym miejscu i cześć, którą oddałem rodzicielce Edwarda... – Spogląda na blade oblicze Joanny Seymour. – Mogłaby tak koło mnie zasiadać, gdyby została oszczędzona – dodaje. – Mogłaby patrzeć, jak jej syn wyrasta na mężczyznę. Kto wie? Może mogłaby mi nawet dać więcej synów.

Milczę, podczas gdy mój małżonek publicznie opłakuje zmarłą żonę, wpatrując się w jej bezmyślną twarz, jakby chciał doszukać się oznak inteligencji, której brakowało jej za życia. Czuję, że szczęki mam zaciśnięte w uśmiechu, jak gdyby wcale nie była to dla mnie obraza, jak gdyby król właśnie się mnie nie wyparł, jak gdyby nie obwieścił światu, że wszystkie z nas, które nadeszły po Joannie Seymour – Anna Kliwijska, Katarzyna Howard i ja – jesteśmy tylko cieniami jego jedynej prawdziwej żony, teraz martwej.

Jak można się spodziewać, z tłumu występuje Anna Seymour, która – jako jątraw królowej Joanny i żałobniczka – swoim zwyczajem roni na pokaz łezkę i mówi:

- Jak żywa... Jak żywa...

Tylko że jest martwa.

- Jak żywa – powtarza król. – Jakby tu z nami była.

Bardzo wątpię, zważywszy, że ma na stopach moje złote pantofelki na obcasie.

- Z pewnością patrzy teraz z nieba i błogosławi tobie i swojemu synowi  
- kontynuuje przemowę Anna Seymour.

- Z pewnością – potwierdza Henryk skwapliwie.

Kiwam sucho głową, ignorując fakt, że w takim celu musiałaby przegapić czyścić, a przecież w chwili, w której my podziwiamy dzieło rąk mistrza Nicholasa, w lochach Tower tkwi pewien kaznodzieja, na którym ciąży zarzut herezji za to, że podważył istnienie czyścica.

- Została mi okrutnie odebrana – stwierdza Henryk, mrugając zażawionymi oczkami. – Mimo że byliśmy małżeństwem niespełna rok.

Myli się. Mogłabym go poprawić. Był z nią żonaty równo rok i cztery miesiące, a zatem nawet krócej niż z Katarzyną Howard, która utrzymała się na tronie przez półtora roku, zanim kazał ją stracić. Zarazem znacznie dłużej niż z Anną Kliwijską, obecnie powszechnie szanowaną, która musiała odejść po mniej niż pół roku.

- Tak bardzo cię kochała, najjaśniejszy panie – dodaje Anna Seymour płaczącym głosem. – Ale Bogu niech będą dzięki, że zostawiła po sobie takiego wspaniałego syna, który jest jej żywym pomnikiem.

Wzmianka o księciu Edwardzie rozchmurza Henryka.

- To prawda – kiwa głową. – Przynajmniej mam po niej syna, i to jakiego przystojnego, prawda?

- Księżę Edward to wykapany ojciec – potwierdza Anna Seymour z uśmiechem. – Wystarczy spojrzeć na ten portret. Kropka w kropkę jego królewska mość!

Wiodę swoje dworki z powrotem do niewieściej części pałacu. Uśmiecham się, jako i one się uśmiechają. Wszystkie staramy się robić dobrą minę do złej gry, usiłujemy nie pokazać po sobie niepokoju i poczucia zagrożenia. Ja dalej jestem królową, a to wciąż są moje dworki. Nic się nie zmieniło.

Znalazłszy się w komnacie prywatnej, czekam, aż zajmą swoje miejsca i ujmą w dłonie igły i tamborki, po czym jedna z nich otworzy księgę zaaprobowaną przez biskupa Londynu. Dopiero wtedy mówię, że cierpię na zagę, najwyraźniej zjadłam coś, co mi nie posłużyło, i muszę się położyć.

Moja siostra podąży oczywiście za mną, ponieważ w tej sytuacji nawet czort nie utrzymałby jej z dala ode mnie. Zamknąwszy za nami drzwi komnaty sypialnej, wbija we mnie spojrzenie.

- Suka - mówię krótko.

- Kto? Ja?

- Ona.

- Anna Seymour?

- Joanna Seymour. Ta nieżywa.

Jest to tak nierozsądne stwierdzenie, że nawet moja siostra nie stara się mnie naprostować.

- Zdenerwowałaś się...

- Zostałam publicznie upokorzona, na oczach wszystkich zostałam zastąpiona przez ducha. Moją rywalką nie jest jakieś śliczne dziewczę w rodzaju Katarzyny Brandon czy Marii Howard, ale trup królowej, która nie była specjalnie ruchawa nawet za życia. A mimo to najwyraźniej nie może być zapomniana.

- Joanna Seymour nie żyje, biedactwo. Nie może już działać na nerwy królowi. Dzięki temu ma o niej takie dobre zdanie.

- Śmierć wyszła jej na dobre! Nigdy wcześniej nie była równie urocza!

Moja siostra czyni gest, jakby chciała mnie powstrzymać.

- Starła się, jak mogła, a zresztą, Katarzyno, nie byłabyś dla niej taka surowa, gdybyś widziała ją umierającą w tej strasznej gorączce i wołającą na pomoc Boga i męża. Może i była niedojdą, ale odchodząc, nie mało się nacierpiła.

- Jakie to ma dla mnie znaczenie, skoro teraz będę musiała codziennie w drodze na wieczerzę przechodzić pod jej portretem? Komu nie wolno nosić jej pereł? Ale kto musi wychowywać jej syna? I zlegać z jej mężem?

- Zdenerwowałaś się - powtarza Anna.

- W rzeczy samej - parskam. - Jak widzę, nauka nie poszła w las w twoim wypadku. Jesteś bardzo domyślna. Gniewam się. I to bardzo. Świetnie, co dalej?

- Musisz to przeboleć - rzecze ze spokojem Anna głosem naszej pani matki, która próbowała na mnie wpłynąć, ilekroć szalałam z powodu jakiejś niesprawiedliwości, która wydarzyła się w komnacie dzieciennej. - Musisz pójść na wieczerzę z uśmiechem na twarzy, z wysoko podniesioną głową, pokazując wszystkim, że cieszy cię ten portret, że cieszy cię twoje małżeństwo, że cieszą cię twoi pasierbowie, ich trzy nieżyjące matki oraz sam król.

- A niby czemu muszę? - wybucham. - Dlaczego mam udawać, że nie

doszło do zniewagi?

Anna błędnie i odpowiada głuchym głosem:

- Dlatego, że rywalizując z nieżyjącą królową, sama będziesz wkrótce nieżywa. Krążą słuchy o powtórny ożenku Henryka. Krążą słuchy, że nie w smak mu twoja religia, że zbyt optywiesz za reformą. Musisz stawić czoło plotkarzom. Musisz zadowolić króla. Musisz wejść dziś do wielkiej sali tak, jakby nic nie zagrażało twojej pozycji.

- Kto twierdzi, że coś mi zagraża? - podchwytuję. - Kto śmie tak twierdzić?

- Obawiam się, że wielu - odpowiada cicho Anna. - Pogłoski zataczają coraz szersze kręgi. Prawie każdy ma wątpliwości, czy nadajesz się na królową.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN ZIMA 1545 ROKU



W spokojny czas poprzedzający obchody Bożego Narodzenia najjaśniejszy pan chodzi strapiony, że ani jego zwykli, ani nowi doradcy nie są w stanie doprowadzić do pokoju z Francją. Karol Hiszpański nalega na zawarcie pokoju, gdyż chce mieć wolną rękę na własnych ziemiach. Zamierza wytrzebić reformistów we Flandrii i całym Świętym Cesarstwie Rzymskim. Twierdzi, że Henryk i on powinni zapomnieć o wrogości wobec Francji, gdyż mają przed sobą poważniejsze zagrożenie. Wszyscy trzej władcy muszą zwrócić się przeciwko luteranom. Nazywa to nową krucjatą, nawołuje do wojny z ludźmi, którzy są takimi grzesznikami, że upatrują w Biblii wskazówek do życia.

Modłę się o bezpieczeństwo dla tych nieszczęsnych mężczyzn i niewiast w Anglii, w Niemczech i w każdym zakątku chrześcijańskiego świata, którzy nie uczynili nic złego poza tym, że czytali i rozważali w sercu Słowo Boże. Po czym przemówili. A tak. Czemu bowiem nie mieliby przemówić? Czemu tylko uczeni i księża, i strażnicy Kościoła mają mieć prawo głosić prawdę, tak jak oni ją widzą?

Stephen Gardiner, który pozostaje wciąż w Brugii i nadal rozpaczliwie usiłuje doprowadzić do pokoju z Francją, całym sobą optuje za pokojem z Francuzami i Hiszpanami oraz krucjatą przeciwko luteranom wszędzie,

a zwłaszcza w Niemczech, która jego zdaniem powinna rozpocząć się niezwłocznie.

- Bóg jeden wie, co on proponuje, co obiecuje w moim imieniu - żali mi się Henryk pewnego wieczora, gdy gramy w karty.

Wokół nas odbywają się tańce i flirty, ktoś śpiewa, grupka dworzan stoi dokoła nas wianuszkami i przygląda się grze, robiąc zakłady. Katarzyna Brandon tkwi u boku króla. Pokazuje jej karty i pyta ją o radę, na co ona z uśmiechem zarzeka się, że da mi sekretny znak, abym miała nad nim przewagę. Większość osób stawia na wygraną Henryka. Mój mąż nie lubi przegrywać. Nie lubi nawet, gdy ktoś obstawia jego przeciwnika. Chociaż rzuca na stół słabą kartę, nie przebijam jej. Wydaje okrzyk na moją niewagę i tryumfalnie zbiera lewę.

- Może powinieneś wezwać biskupa Gardinera do Londynu? - podsuwam tak spokojnie, jak umiem. - Chyba że się zgadzasz, iż cesarz winien wypowiedzieć wojnę własnym poddanym.

- W Niemczech posuwają się za daleko - rzecze w odpowiedzi. - A niemieccy książęta w ogóle nie są mi pomocni. Nie zamierzam ich bronić. Niby czemu miałbym to robić? Skoro nie pojmują działań człowieka, raczej na pewno są ślepi na rękę Boga.

Podnosząc wzrok, zauważam, że Edward Seymour, brat Tomasza, przygląda mi się bacznie. Wiem, że oczekuje po mnie, abym korzystając ze swoich wpływów, nakłoniła króla do oszczędzenia niemieckich luteranów, co przełożyłoby się na większą tolerancję w Anglii. Ja jednak stąпам z ostrożną. Przestrogi mojej siostry zrobiły na mnie wrażenie i ani myślę przyczyniać sobie wrogów. Mam świadomość, że Henryk, skarżąc się na jedną stronę, nierządkiem równocześnie działa przeciwko drugiej. Zresztą ludzie przeceniają moją rolę, gdy idzie o reformę. Prawie nie korzystam ze swoich wpływów, tym bardziej że na ścianie pałacu wisi portret, który w ogóle zaprzecza mojemu istnieniu.

- Chyba nie ma niczego złego w propozycji, abyśmy wszyscy żyli zgodnie z przykazaniami Biblii, ani w twierdzeniu, że drogę do nieba wyznacza wiara i przebaczenie.

Henryk zerka znad kart.

- Jak widzę, równie dobry z ciebie teolog jak gracz w karty - rzecze. Uśmiech tańczący mu w oczach tępi nieco wymowę jego słów.

- Nie spodziewam się, abym mogła rozumieć z religii więcej od ciebie, mężu - odpowiadam. - A już na pewno nie mam nadziei na wygraną w kartach.

- A moje córki? - pyta, zwracając się do księżniczki Marii, która stoi



u jego drugiego boku, podczas gdy Elżbieta wspiera się o moje krzesło.

- Chodzi o karty czy o wiedzę? - pyta rezolutnie młodsza z księżniczek.

Henryk wybuchł śmiechem na jej impertynencję.

- A które z nich wolisz? - dopytuje pobłażliwie.

- Wiedzę - odpowiada dziewczynka. - Albowiem przywilejem jest studiować, szczególnie pod okiem takiej znamienitości jak najjaśniejsza pani, podczas gdy karty to rozrywka dla każdego.

- Racja - przyznaje król. - Wyłącznie czytani winni zabierać głos w ważnych sprawach. Sprawy Kościoła winny zaś być rozpatrywane wyłącznie w cichych i pobożnych miejscach, i to tylko przez tych, którzy je pojmują zgodnie z wykładnią mądrzejszych od siebie. Karty to karczemna rozrywka, a Biblia jest tylko dla tych, którzy umieją czytać i rozumować.

Gdy księżniczka Maria kiwa głową, król posyła jej uśmiech.

- Domyślam się, że nie popierasz przydrożnych kazań wygłaszanych przez pierwszego lepszego głupca przycupniętego na kamieniu milowym?

Moja podopieczna dyga, zanim mu odpowie:

- Jestem zdania, że Kościół musi prowadzić wiernych, którzy sami nie są w stanie wyznaczyć sobie kierunku.

- Zgadzam się - popiera ją Henryk. - Zgadzam się w całej rozciągłości.

Henryk zapożycza argumenty, które padły przy karcianym stoliku, i czyni z nich osnowę swego przemówienia w parlamencie. Zwraca się do przedstawicieli Anglików w wigilię Bożego Narodzenia, gdy wszyscy myślą tylko o tym, by dosiąść koni i pogalopować do domu na święta. Występuje z pozycji ojca narodu, który nagabuje swój lud w wigilię przyjscia na świat Syna Bożego, i niczym otyły i kulawy herold anioł ogłasza, że wszyscy ludzie powinni służyć Chrystusowi tutaj, na ziemi. Panuje powszechne przekonanie, że to wyznanie wiary króla Henryka i że bez względu na opinię w parlamencie nie powinno być nieobecnych. Poddani wiedzą, co ja myślę - przynajmniej ci, którzy zapoznali się z liturgią przetłumaczoną przeze mnie wspólnie z arcybiskupem Cranmerem. Jestem uważana za umiarkowaną tradycjonalistkę, aczkolwiek z naciskiem na osobistą wiarę, osobistą modlitwę. Niektórzy mogą mnie podejrzewać o sprzyjanie reformie, jednakże wszystko, co mówię i piszę publicznie, ma aprobatę króla i jako takie nie jest herezją. Przekonania Stephena Gardinera wszyscy poznali dzięki katechizmowi, który określa mianem heretyków setki prawych wyznawców, co jasno świadczy o tym, że oficjalnie nastąpił odwrót od reformy. Do tej pory jednak można było tylko zgadywać, co myśli król

Henryk. Kazał wydawać książki i ich zakazywał, podarował poddanym Biblię i im ją odebrał. Oświadczył wszem wobec, że jest głową Kościoła w Anglii, wszakże jeszcze nigdy nie zdradził się z tym, w co wierzy. Nigdy jeszcze nie pofatygował się do parlamentu osobiście, aby oznajmić, co uważa w sprawie Boga.

Członkowie parlamentu są poruszeni do łez. Ludzie na zewnątrz, zebrani, aby zobaczyć wspaniały orszak wiedziony przez potężnego Henryka, tłoczą się z odkrytymi głowami, a co poniektórzy usiłują się wspinać po murze, aby zajrzeć do środka przez otwarte okna Westminsteru, by potem głośno przekazać słowa króla, który wielki niczym góra zasiada na tronie pod złotym baldachimem. Wszyscy desperacko pragną się dowiedzieć, czy ich monarcha okaże się bliższy niemieckim książętom i opowie się za reformą Kościoła czy raczej nie odróżniając się od Franciszka Francuskiego i Karola Hiszpańskiego, zacznie bronić starej wiary i dążyć do sojuszu z papieżem.

– Niedobrze – rzuca do mnie Anna Seymour. – Nasza sprawa jest przegrana.

Pierwsza pojawia się w moich komnatach, niosąc wieści. Jej mąż Edward musiał stać z obojętną miną, podczas gdy Henryk ogłaszał maluczkim, że przeinaczają Słowo Boże po tawernach i nadużywają imienia Pańskiego. Zaraz po powrocie z Westminsteru zaś udał się prosto do żony, aby jej o wszystkim zaraportować. Dzięki temu Anna Seymour może mi teraz mówić:

– Jest bardzo niedobrze dla wszystkich, którzy myślą podobnie do nas. Najjaśniejszy pan chylił się ku starej wierze. Znowu zapanuje Kościół katolicki, jaki znamy z dawien dawna. Ponoć nawet ma dojść do zjednoczenia z Kościołem ortodoksyjnym.

Patrzę na nią w osłupieniu.

– A co Kościół ortodoksyjny ma wspólnego z Anglią?

Anna Seymour spoziera na mnie tak, jakby mój mąż był równie niepojęty jak Pan Bóg.

– Wszystko, byle nie protestantyzm – rzuca krótko, gorzko. – O to mu chodzi. Wszystko, byle nie reforma. Oświadczył w parlamencie, że ma dość ciągłych debat i kwestionowania Biblii. Ma dość kaznodziejów. Ma dość rozważań, pism i ciągłej wymiany zdań. Co zrozumiałe, obawia się, że ktoś zakwestionuje i jego pozycję. Powiedział, że Pismo Święte przekazał w ręce mężczyzn z myślą, aby było czytane po domach, bez dyskusji.

– W ręce mężczyzn? – powtarzam.

Potakuje skinieniem.

– Twierdzi, że do niego należy rozstrzyganie, co jest prawdą, a co fałszem. Mężczyźni nie mają roztrząsać Biblii, mają ją tylko czytać niewiastom

i dzieciom.

Zwieszam głowę pod wpływem tego ciosu wymierzonego w ludzką inteligencję, która jest przecież darem od Boga.

- Ale - dodaje Anna Seymour - gdy już można było pomyśleć, że wróci na łono Rzymu, on zapowiada, że dokończy zamykania klasztorów i zajmie ich ziemie.

To nie ma sensu.

- Zamknie klasztory i zabroni mszy za zmarłych?

- Jego zdaniem to czyste przesady. Skoro nie ma czyśćca, nie ma potrzeby odprowadzania mszy za zmarłych, a zatem też nie ma potrzeby klasztorów.

- Twierdzi, że nie ma czyśćca?

- Jego zdaniem był to sposób Kościoła katolickiego na wyłudzenie pieniędzy od maluczkich.

- Całkiem słusznie!

- Zarazem jednak msza pozostanie niezmienną, z całym tym śmiesznym ceremoniałem. A chleb i wino mają być traktowane jak prawdziwe ciało i krew Chrystusa. Podważanie tego równa się herezji.

Spoglądam na nią z wyrazem rozpaczony na twarzy.

- Co zdaniem Edwarda naprawdę gra w duszy króla? Co Henryk naprawdę myśli?

Anna Seymour wzrusza ramionami.

- Tego nikt nie wie. Wyznaje na wpół luteranizm, na wpół katolicyzm, jest papistą z samym sobą w miejsce papieża, jest luteraninem z samym sobą w miejsce Lutra. Powstało coś w rodzaju całkiem nowej religii. Właśnie dlatego musi tak wszystko objaśniać. I właśnie dlatego herezją jest to, co on uzna za herezję. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, na równi papiści i luteranie, protestanci i księża.

- Ale w co on wierzy? Musimy to wiedzieć. W co wierzy król Henryk?

- We wszystko naraz, jak przypuszczam.

Henryk wraca do pałacu bardzo zmęczony i natychmiast po mnie posyła. Zdążyli już go ułożyć w łóżku, toteż waham się w progu, nie wiedząc, czy nie powinnam była przyjść w nocnym stroju, aby z nim zlec.

Widząc mnie, zaprasza gestem.

- Wejdz - mówi. - Usiądź. Chcę ci wszystko opowiedzieć przed snem. Z pewnością doszły ci słuchy, że wywołałem w Westminsterze zachwyty? Szlochali, kiedy im powiedziałem, że jestem ich ojcem i że ich poprowadzę. Twierdzili, że jeszcze nie słyszeli takiej mowy.

- To wspaniale - odpowiadam słabo. - Miło z twojej strony, że zadałeś sobie trud, i to w wilię Bożego Narodzenia.

Macha pulchną dłońią.

- Chciałem, aby poznali moje myśli - rzecze. - To ważne, ażeby mieli jasność. W końcu myślę za nich, decyduję za nich; muszą wiedzieć, co mi chodzi po głowie. Jak inaczej mają znaleźć drogę w życiu? Jak inaczej mają znaleźć drogę do nieba?

Drzwi za mną otwierają się i do środka wchodzi pierwszy podstoli z tacą, łyżką i nożem. Król spożyje wieczerzę w łóżku. Jeden po drugim podstolowie pojawiają się z kolejnymi daniami. Henryk ładuje sobie porcję na talerz, podczas gdy sługa zawiązuje mu serwetę pod brodą, aby ochronić pościel przed plamami z mięs i sosów. Mnie obsługują przy stole w nogach łoża, gdzie posiłam się z wolna, ażebyśmy mogli razem zakończyć posiłek. Talerz Henryka jest nieustannie pełny. Mój mąż wypija co najmniej trzy dzbany wina, wieczerza przeciąga się w nieskończoność, a kiedy wreszcie król odprawia gestem ostatnie danie, opada na poduszki wyczerpany i spocony. Mnie jest niedobrze od samego widoku pojawiających się i znikających potraw.

- Wezwać medyka? - pytam. - Gorączka ci się wzmogła?

Henryk kręci głową.

- Doktor Wendy może przyjść później - odpowiada. - Bo wiesz chyba, że doktor Butts zachorzał? - Śmieje się chrapliwie. - Co to w ogóle za lekarz, który choruje? Posłałem mu nawet liścik: „Cóż to, słabujesz, zamiast doglądać swojego pacjenta?”

- Zabawne. Czy doktor Butts pozostał w pałacu? Ma dobrą opiekę?

- Chyba wrócił do domu - rzuca obojętnie Henryk. - Kto jak kto, ale mój lekarz wie, że nie należy roznosić chorób. Jak tylko zauważył u siebie pierwsze symptomy, przesłał mi wiadomość, że nie zbliży się do mnie, póki nie wydobrzeje. Błagał o wybaczenie, że nie będzie się mógł mną zajmować. Powinien tu być. Wiedziałem, że się przesilię, wychodząc tak do ludu, obdarzając poddanych swoją mądrością. Zwłaszcza w tę pogodę.

Skinieniem każę sługom wynieść naczynia i resztki z komnaty, przynieść zaś jeszcze jeden dzban wina i paszteciki, które król lubi mieć obok łóżka, na wypadek gdyby zgłodniał nocą.

- Byłem porywający - kontynuuje opowieść, beknąwszy zdrowo. - Wszyscy milczeli w zastłuchaniu. Skoro już mowa o kazaniach, trzeba mnie było słyszeć dziś w Westminsterze! Skoro już mowa o prorokach, trzeba było mnie widzieć! Jestem ojcem dla swych poddanych, i to znacznie lepszym ojcem niż ten farbowany lis w Rzymie, który zwie się papieżem!

- Czy ktoś spisywał twoje słowa, aby i inni mogli je przeczytać? - pytam. Potakuje skinieniem. Oczy mu się zamykają jak małemu dziecku po dniu pełnym wrażeń.

- Mam taką nadzieję - mówi sennie. - Dopilnuję, abyś otrzymała egzemplarz. Bo domyślałam się, że zechcesz się zapoznać z treścią.

- Ależ tak - zapewniam.

- Złożyłem oświadczenie - dodaje zadowolony. - To koniec wszelkich dysput.

- Zaiste. Czy mam cię zostawić, abyś mógł zasnąć, mężu?

- Zostań - nakazuje. - Zostań. Przez cały dzień cię nie widziałem. Czy siadywałaś przy łóżku starego barona?

- Prawie nigdy - kłamię. - Nie był dla mnie prawdziwym mężem, jak ty, najjaśniejszy panie.

- Tak myślałem - potwierdza. - Pewnie kiedy umierał, miałaś nadzieję, że uwolnisz się od wszelkich mężów. Było tak? Cieszyłaś się na wdowieństwo, na własny majątek i własną przyszłość? Może nawet upatrzyłaś sobie jakiegoś przystojnego młodzika? - Otwiera oczka, w których lśni chytre rozbawienie.

Wbrew prawu jest, aby niewiasta poślubiła monarchę, jeśli łączyły ją zdrożne stosunki z innym mężczyzną. To niebezpieczna rozmowa nawet w komnacie sypialnej króla.

- Sądziłam, że dożyję swoich dni jako wdowa, z pożytkiem tylko dla swojej rodziny, jak twej świętej pamięci babka, Małgorzata Beaufort - odpowiadam z uśmiechem. - Jednakże opatrność przeznaczyła mnie do wyższych celów.

- Do najwyższego celu, jaki może spotkać niewiastę - zgadza się ze mną. - Katarzyno, jak myślisz, dlaczego nigdy nie poczęłaś dziecka?

Pytanie to jest tak zaskakujące, że wzdrygam się lekko. Henryk ma zamknięte oczy, więc raczej niczego nie zauważa. Przed oczyma staje mi woreczek z rutą i przestrogi Anny, że jeśli nie zapobiegnę poczęciu, czeka mnie straszliwe poronienie. Niemożliwe, aby ktoś z moich komnat wspomniał królowi o rucie. Niemożliwe, aby ktoś mnie zdradził. O tym, że bronię się przed poczęciem monstrum, oprócz mnie wie tylko moja siostra. Nawet służka, która mi donosi dzban z wrzątkiem, rozumie z tego tylko tyle, że co jakiś czas domagam się gorącej wody do przygotowania naparu.

- Nie mam pojęcia, mężu - odpowiadam skromnie. - Niekiedy na to potrzeba czasu, jak sądzę.

Henryk otwiera oczy. Jest w pełni rozbudzony, jakby wcale nie przysypiał.

- Nigdy wcześniej nie potrzebowiałem czasu - mówi. - Mam troje dzieci, jak wiesz, z trzech różnych matek. Oczywiście były też inne. Wszystkie moje żony stawały się brzemiennie od razu, w ciągu pierwszych miesięcy małżeństwa. Jestem płodny, jak to król.

- Oczywiście. - Mój niepokój narasta. Czuję się tak, jakby zapędzał mnie w pułapkę, której nie jestem w stanie uniknąć. - Wiem o tym.

- Zatem to z tobą jest coś nie tak - dodaje miłym tonem. - Jak uważasz?

- Naprawdę nie wiem - mówię. - Baron Latimer był impotentem, zatem nigdy nie oczekiwałam po nim dziecka, a kiedy wyszłam za mąż po raz pierwszy, byłam bardzo młoda, a poza tym prawie nigdy nie byliśmy razem...

Nie wspominam o tym, że mój trzeci mąż jest schorowanym starcem, którego męska siła często opuszcza, nawet jeśli w ogóle jest wciąż zdolny do spółdzenia potomka, ani że żony, o których napomknął, były wszystkie młode, gdy je poślubił, teraz zaś są martwe: jedna ścięta przez niego, dwie zaś zapomniane jeszcze za życia. I wszystkie roniły raz po raz, nie licząc ostatniej, która umarła w pierwszym połogu.

- Myślisz, że Pan Bóg nie pochwała naszego związku? Musisz tak myśleć, skoro nie pobłogosławił nas potomstwem.

Bóg Henryka zsyłał mu jedno po drugim martwe dzieci, aż Henryk przejrzał na oczy i uświadomił sobie, że Pan Bóg nie pochwała jego małżeństwa z Katarzyną Aragońską. W mojej głowie rodzi się słaby protest. Błuznierstwem jest wspomagać się Bogiem, gdy po prostu coś przekracza nasze pojęcie. Nie mogę pozwolić, aby Najwyższy był w tej rozmowie świadkiem przeciwko mnie. Stwórca nie powinien świadczyć przeciwko kolejnej żonie Henryka. Sądzę, że nawet On niechętnie by przyłożył rękę do odsunięcia Katarzyny Parr. Powoli zaczyna we mnie wzbierać gniew.

- Niezbadane są ścieżki Pana - odpowiadam śmiało, chwytając podłokietniki krzesła dla dodania sobie odwagi. - Któż mógłby wątpić w Jego błogosławieństwo dla naszego małżeństwa, skoro miewasz się tak dobrze, jesteś taki silny i jurny i od takiego czasu jesteśmy ze sobą szczęśliwi? Masz za sobą dwuipółletnie pasmo sukcesów. Zdobycie Boulogne-sur-Mer i pokonanie Szkotów. Szczęście rodzinne z trojgiem dzieci. Kto mógłby wątpić, że Najwyższy spogląda na ciebie, takiego wspaniałego władcę, przychylnym okiem? To chyba zrozumiałe, że błogosławi też twoje małżeństwo. Małżeństwo, które sam dla siebie ułożyłeś, zaszczycając mnie ponad wszelką miarę. Kto mógłby wątpić, że Pan Bóg błogosławi i mnie, która wbrew własnej skromności dałam się przekonać, iż jestem godna zostać twoją żoną? Nie powątpiewajmy więc w szczodroblwość Stwórcy, który cię ukochał i który nieprzerwanie inspiruje cię do wspaniałych czynów, Jego łaska

bowiem jest pewna.

Ocaliłam samą siebie. Zapadając w sen, Henryk rozciąga wargi w uśmiechu.

– Masz rację – przyznaje. – Oczywiście. Jeszcze doczekamy się potomka. Pan Bóg mi błogosławi. Wie bowiem, iż zawsze postępuję właściwie.

Doktor Butts nie wraca do pałacu, tak jak obiecał. Umiera na gorączkę z dala od Londynu, o czym dowiadujemy się dopiero grubo po Bożym Narodzeniu. Henryk twierdzi, że nikt tak jak on nie rozumie jego dyspozycji, nikt tak jak on nie jest w stanie zachować go w dobrym zdrowiu. Uważa, że egoizmem ze strony medyka było opuścić dwór tak raptownie i umrzeć w niegrzecznym pośpiechu. Zażywa leki ordynowane mu przez doktora Wendy'ego, każe mu siedzieć przy swoim łóżku dzień i noc, jednakże skarży się, że już nigdy nie poczuje się naprawdę dobrze, odkąd zabrakło doktora Buttsa, który jako jedyny potrafił ukoić jego nerwy i zbić gorączkę.

– Straciłyśmy oddanego przyjaciela i doradcę – zauważa Anna Seymour w rozmowie z Katarzyną Brandon i ze mną. – Doktor Butts bowiem często prosił króla, by ten puścił mimo uszu jakąś plotkę wymierzoną w luteranów lub uwolnił kaznodzieję. Nigdy nie zadeklarował się jako protestant, ale nierzadko odwoływał się do miłosierdzia króla. Dobrze go było mieć w bezpośrednim otoczeniu Henryka.

– Zwłaszcza gdy – dorzuca Katarzyna Brandon – Henryk był obolały i zły. Mój mąż zwykł był mówić, że doktor Butts potrafi ukoić jego królewską mość jak nikt inny. W dodatku zaś był na wskroś reformistą. – Wygładza suknię, podziwiając błyszczącą powierzchnię satyny. – Mimo wszystko jednak czynimy postępy, Anno. Król zwrócił się do arcybiskupa Cranmera z prośbą, by ten ułożył listę przesądów, które trzeba wyplenić z Kościoła.

– Skąd wiesz? Kto ci to powiedział? – dopytuje Anna Seymour.

Słyszając wrogość w jej głosie, przypominam sobie, że od zawsze czuje niepokój, iż ktoś mógłby ją przerosnąć w znaczeniu lub umniejszyć czy to jej, czy jej mężowi.

Katarzyna Brandon usiłuje zachować równowagę sił w stosunkach z królem. Nie opuszcza jego boku, pełniąc rolę platonicznej kochanicy, lecz bywa słuchana wyłącznie w kartach, nigdy w polityce. To droga, którą przebyło przed nią wiele dworek; cztery z nich zostały królowymi – mnie nie wyłączać. Obecnie to ona jest ulubienicą Henryka, co sprawia, że Annę Seymour, która nigdy nie omieszka przypomnieć, iż jej mąż jest wujem księcia i następcy tronu, zżera zazdrość. Naturalnie to ja jestem zagrożona,

jednakże Anna Seymour potrafi myśleć wyłącznie o sobie.

- Najjaśniejszy pan ufunduje dwa kolegia, tak jak to obiecał jej królewskiej mości - dodaje Katarzyna, uśmiechając się do mnie. - Jedno w Oksfordzie, drugie w Cambridge. Zbożne dzieło, zważywszy, że będą tam głosić nowe nauczanie i kazać w języku ojczystym.

- Zamierza też wysłać mego męża do Boulogne-sur-Mer, by zastąpił tego błazna, młodego Howarda - rzecze z niepokojem Anna Seymour. - Howardowie popadli w niełaskę przez pośpiech i niekompetencję króla, i bardzo dobrze, wszakże pod nieobecność Edwarda w pałacu któż utrzyma nas, Seymourów, w łaskach królewskich? Co będzie z naszymi wpływami?

- A, Seymourowie - wzdycha Katarzyna Brandon. - Seymourowie... Właśnie gdy myślę, że rozmawiamy o przyjaciołach, którzy przybliżą Koronę i Kościół do Boga, okazuje się, że przez cały czas mowa o tym, jak by tu wzmocnić pozycję Seymourów. Znowu.

- Nie potrzebujemy mocniejszej pozycji - obrusza się Anna. - Cieszymy się największymi względami. My, Seymourowie, jesteśmy krewnymi jedyne następcy tronu, a księżę Edward szczerze kocha swoich wujów.

- Ale to królowa została wyznaczona na regentkę - przypomina jej słodkim głosem Katarzyna Brandon. - I król przedkłada jej towarzystwo, a nawet moje, nad twoje. W istocie, gdy Edward popłynie za Kanał Angielski, a Tomasz będzie przebywał na morzu, któż przypomni miłościwemu panu o Seymourach? Macie w ogóle jakichś zwolenników?

- Sza - ucinam te przekomarzanki.

Wszelako nie one martwią mnie najbardziej. Tak naprawdę nie potrafię znieść imienia Tomasza wypowiedanego głośno. Nie potrafię znieść myśli, że podczas gdy ja muszę kisić się w pałacu, który wydaje się coraz ciasniejszy z każdym dniem, i wśród dworzan, którzy stają się coraz bardziej opresyjni, on nieodmiennie znajduje się gdzieś daleko.



# PAŁAC HAMPTON COURT BOŻE NARODZENIE 1545 ROKU



Obchodzimy święta jak co roku, z tańcami, muzyką i maskaradami, a także rozrywkami fizycznymi i różnymi zawodami, przy czym wino leje się strumieniami, a jadła nie brakuje. W każdy z dwunastu dni obchodów i ucztowania kucharze starają się przejść samych siebie, król zaś zajada się, jakby nie mógł nasycić rosnącego apetytu, jakby w jego trzewiach drzemał zwinięty tłusty robak.

Henryk postanawia, że z okazji świąt zaprosimy Annę Kliwijską, która istotnie zjawia się w pałacu krągłą, dobroduszna i nie mniej łakoma od swego byłego męża, a przy tym równie wesoła i zadowolona jak każda niewiasta, która uniknęła największego zagrożenia i wyszła z niego nie tylko obronną ręką, ale też z królewskim tytułem, niemałą fortuną, no i pełnią wolności.

Anna Kliwijska jest niezmiernie zamożna. Przybywa w orszaku konnych, wioząc prezenty świąteczne, które starannie wybrała, aby sprawić każdemu z nas przyjemność. Ma tylko trzy lata mniej ode mnie, jasne włosy, ciemne oczy i uśmiech stale na twarzy. Jej krągłość i uroda przyciągają wzrok wielu, którzy nie mogą się nadziwić, czemu król ją w ogóle odprawił. Cóż, była protestancką księżniczką, która przegrała wraz z upadkiem swego największego zwolennika, Cromwella, gdy Henryk zwrócił się przeciwko

reformistom. Jej pojawienie się jest dla mnie jakby przypomnieniem, że była przede mną królowa, która modliła się w ojczystym języku, wielbiła Boga bez pomocy biskupów i papieża, przyjmowała chleb i wino, a nie ciało i krew – i utrzymała się na tronie mniej niż pół roku.

Teraz uśmiecha się do mnie ciepło, choć zachowuje dystans, jakby nic dobrego nie mogło jej przyjść z przyjaźni z królową. Wie o żonach Henryka wszystko, co tylko można, i widać uznała, że nie ma potrzeby się ze mną zaprzyjaźniać. Ponoć żywiła sympatię do Katarzyny Howard i wcale nie miała jej za złe, gdy ich role się odwróciły i dworka zajęła miejsce przed królową. W moim wypadku jednak zachowuje się tak, jakby uważała, że nie warto mnie nawet poznać. Jej chłodne spojrzenie mówi mi, że nie przetrwam trzech lat, być może nie będzie mnie już w przyszłe święta.

Moja siostra wpada w jej ramiona bez wahania, jakby były obie ocalałkami z wojny, którą tylko one dwie pamiętają. Anna Kliwijska odwzajemnia uścisk, po czym odsuwa przyjaciółkę na długość ramienia, aby przyjrzeć się jej twarzy.

– Dobrze się miewasz? – pyta. Pomimo tylu lat spędzonych w Anglii mówi wciąż z silnym niemieckim akcentem, który przypomina krakanie kruka.

– Dobrze – odpowiada moja siostra z rozanielonym wzrokiem, jakby wzruszył ją pocałunek ducha. – A Katarzyna została królową Anglii!

Chyba nie tylko ja spostrzegam niezręczność tego stwierdzenia, zważywszy, że ta krągła uśmiechnięta niewiasta sama była niedawno królową i że została strącona z tronu i wygnana z królewskiego łóża pręcej niż ktokolwiek przed nią. Tymczasem Anna Kliwijska obraca się i nie wypuszczając mojej siostry z objęć, uśmiecha się do mnie.

– Niech Bóg błogosławi waszej królewskiej mości – mówi słodko. – I niech zapewni waszej królewskiej mości długie panowanie.

W przeciwieństwie do twojego, dopowiadam w myślach. W odpowiedzi zaś skłaniam głowę i odwzajemniam uśmiech.

– Czy najjaśniejszy pan pozostaje w dobrym zdrowiu? – pyta, doskonale wiedząc, iż będę musiała skłamać, gdyż wbrew prawu jest choćby sugerować, że król niedomaga.

– W wyśmienitym – odpowiadam pewnie.

– I wciąż skłania się ku reformie? – dopytuje Anna Kliwijska z nadzieją.

No tak, wychowała się luteranką, aczkolwiek ktoś to może wiedzieć, w co wierzy teraz? Bez dwóch zdań nie napisała niczego godnego uwagi. Stawiam na ostrożność:

– Najjaśniejszy pan jest zamiłowanym czytelnikiem Biblii.

– Czynimy postępy – zapewnia ją moja siostra. – Naprawdę.

Przy wieczerzy siedzę u boku króla, po drugiej swojej stronie mając Annę Kliwijską, nazywaną przez Henryka siostrą. Pilnuję się, aby się uśmiechać, jak gdybym nie miała żadnej troski, nawet gdy mój mąż napycha się jadłem, chrząka, beka, dyszy i od nowa rzuca się na potrawy. Stałam się wyjątkowo czuła na odgłosy, które wydaje przy jedzeniu; żadna muzyka nie jest w stanie ich zagłuszyć ani żadna rozmowa. Słyszę zatem siorbanie, z którym przechyla misę, aby dopić sos, trzask kości małych ptaszków w jego silnych wciąż szczękach, głośne mlaskanie, gdy rozkoszuje się słodkościami. Jeszcze inny dźwięk wydaje, pijąc wino: przełyka donośnie, po czym tak jakby sapie do wewnątrz kielicha, odzyskując oddech, zupełnie jakby pływał i chciał pochłonąć całe jezioro. Nie mogąc tego dłużej znieść, odwracam się do mojej poprzedniczki, by zamienić z nią słowo, uśmiechając się nad stołem do Elżbiety. Gdy Katarzyna Brandon przechyla kokieteryjnie głowę, kiedy król posyła jej jedno ze wspaniałych dań, moja siostra zerka na mnie wymownie, sprawdzając, czy to zauważyłam. Rozglądam się dyskretnie po wielkiej sali – wszyscy częstują się szczerze, strzelając palcami na pod czaszych, żeby przynieśli im więcej wina – i myślę w głębi ducha: ten dwór zamienił się w potwora, który sam siebie zjada, w smoka, który z łakomstwa pożera własny ogon.

Martwi mnie koszt utrzymania tak rozdętego towarzystwa, tysięcy sług, którzy nadskakują setkom lordów, dam, wierzchowców, psów... Nie jestem skąpa – w końcu wychowałam się, aby prowadzić dom wielmoży, i skąpstwo jest mi obce – ale ta ekstrawagancja, te luksusy żywią się upadkiem klasztorów. Jedynie bogactwo tysiącletniego Kościoła jest w stanie zapłacić za coś takiego. Zupełnie jakby królewski dwór stanowił mechaniczną zabawkę, która zagarnia kościelne majątki, uwalniając śmiecie – co godzinę, co minutę, gdy król ucztuje, aby potem wymiotować albo stękać na *chaise percée*, kurczowo trzymając dłoń Anthony’ego Denny’ego i wołając doktora Wendy’ego, by zaaplikował mu lewatywę, która przeczyści mu kiszki.

Zauważam przy tym, że obok Edwarda Seymoura, po prawej, jest zaszczytne wolne miejsce, i natychmiast się zastanawiam, czyżby oczekiwał pojawienia się brata...

Znika gdzieś odgłos siorbania, kiedy Henryk wysysa bulion z ostryg, po czym przeciąga kawałkiem białego chleba, by wyłowić ostatki. Nie słyszę nawet, jak wali złotą łyżką w złote naczynie, dając znak podstolemu, aby nałożył mu dodatkę. Znieruchomiła wpatruję się w drzwi wejściowe do wielkiej sali i widzę – zupełnie jakbym go przywołała, zupełnie jakby

moje pragnienie powołało do istnienia zjawę – jak w progu pojawia się Tomasz Seymour w granatowej pelerynie, którą zrzuca z ramion płynnym ruchem i podaje paziowi, a następnie zbliża się do stołu, przy którym siedzi jego brat.

Tomasz jest tutaj. Czym prędzej odwracam wzrok. Nadal nie potrafię w to uwierzyć: Tomasz tu jest.

Ciepłe powitanie Edwarda wydaje się nieudawane. Zrywa się na nogi i obejmuje Tomasza, ściskając go mocno. Zamieniają ze sobą parę raptownych słów, po czym raz jeszcze się obejmują. Potem Tomasz odstępkuje od stołu Seymourów i podchodzi do podwyższenia, na którym siedzimy. Skłania się przed królem, później przede mną, przed księciem, który zasiada u boku ojca, przed księżniczkami, a na koniec przed Anną Kliwijską, którą niegdyś przywiózł do Anglii na ślub i koronację. Omiata nas wszystkich obojętnym wzrokiem ciemnych oczu, po czym na znak króla robi krok do przodu i przystaje lekko odwrócony, tak że widzę teraz tylko jego profil, tuż-tuż. Nawet wtedy jednak na mnie nie patrzy.

Muszę się napominać, aby nie wykręcać głowy i nie podsłuchiwać, o czym rozmawiają. Padają jakieś słowa o okrętach i zimowisku, po czym wreszcie król każe Tomaszowi siadać i jeść. Zaraz też posyła do stołu Seymourów potrawkę z dzicyzny oraz kawał pieczonego dzika. Tomasz kłania się Henrykowi i zajmuje miejsce obok brata, w dalszym ciągu na mnie nie patrząc. Wiem to stąd, że ilekroć czuję na sobie jego spojrzenie, rumieniec wypływa mi na twarz, jakbym była w gorączce. Nie muszę nawet widzieć jego wbitego w siebie wzroku. Jest tak, jakby to moje ciało samo wyczuwało takie rzeczy, jakby Tomasz był w stanie mnie dotknąć bez dotykania...

Dziś wieczór jednak lica mam blade i tak samo jak on spoglądam prosto przed siebie, dzięki czemu nasze spojrzenia się mijają i zahaczają o różne sprzęty, błędząc po przeciwnych krańcach wielkiej sali, jak gdybyśmy nigdy nie zwarli spojrzenia, nie splekli dłoni i nie splątali ciał.

Po wieczerzy odbywa się maskarada nowego rodzaju, w której tancerze dobierają sobie partnerów spośród dworzan i dworek. Zapowiedziałam wcześniej, że nie będę tańczyć, i cieszę się, że stoję obok króla, wspierając drobną dłoń o jego potężne ramię i unikając ryzyka znalezienia się w parze z Tomaszem. Nie sądzę, abym była w stanie znieść jego bliskość. Jestem pewna, że nie zdołałabym z nim tańczyć. Nie wydaje mi się, abym mogła choćby stanąć obok niego.

Henryk przygląda się tańczącym, od czasu do czasu bijąc brawo. Gdy

obejmuje mnie ramieniem w pasie, dalej uparcie patrzę w okno, za którym za drzewami zniknęło zimowe słońce. W pewnym momencie mój mąż zniża rękę, aby poklepać mnie w pośladki. Pilnuję się, aby nawet nie drgnąć. Nadal nie szukam wzrokiem Tomasza, nieprzerwanie gapię się w okno. A kiedy król mnie w końcu puszcza i mogę odstać na bok, widzę, że Tomasza nie ma już w wielkiej sali.

# PAŁAC HAMPTON COURT ZIMA 1546 ROKU



Przy okazji wzajemnego wręczania sobie prezentów z okazji Nowego Roku księżniczka Elżbieta prosi mnie, abym udała się z nią do króla. Razem z księżniczką Marią idziemy do komnaty gościnnej Henryka, gdzie zebrał się dwór i gdzie wszyscy obdarzają się podarunkami. Król rozdaje niemal wyłącznie mieszki z pieniędzmi. Stojący u jego boku Anthony Denny decyduje, jakiej wagi sakiewka winna trafić w czyje ręce. Na nasz widok jednak wszyscy z szacunkiem się cofają, po czym księżniczka Elżbieta sama zbliża się do tronu ojca. Dyskretnie się rozglądając, nieopodal króla zauważam Tomasza, który trzyma w ręku ciężki miasek. Mój ukochany z wielką dbałością omija mnie wzrokiem, ja zaś z wielką dbałością nie spuszczam oka z pleców księżniczki Elżbiety.

- Wasza królewska mość, dostojny ojciec - zaczyna dziewczynka wyraźnym głosem po francusku. Widząc jego uśmiech, przechodzi jednak na łacinę. - Przynoszę ci świąteczne dary. Nie jest to nic kosztownego na tej ziemi, lecz skarb w niebiesiech. Przyjm od swej niegodnej córki ten oto egzemplarz z modlitwami, które sama dla ciebie przetłumaczyłam i przepisałam. Wiem, że cenisz ich autora i że chwalisz jego dzieło, i dlatego właśnie mam śmiałość ci je podarować. Proszę.

W tym momencie zza pleców wyciąga ślicznie spisany przekład moich modlitw na język łaciński, francuski i włoski. Podchodzi o krok do ojca, kłania mu się nisko i wkłada książkę w jego ręce.

Wszyscy dworzanie zaczynają bić brawo, a Henryk się rozpromienia.

– To dzieło, które zawdzięcza swe istnienie wielkiemu odczytaniu i zdrowemu rozsądkowi – rzecze. – Zaaprobowane przez każdego uczonego, zostało opublikowane przez królową. A teraz na inne języki przetłumaczyła je moje córka, mająca zadatki na uczoną, zamieniając je przy tym w istne dzieło sztuki. Dumą napawa mnie fakt, że zarówno moja żona, jak i moje dziecko z taką pasją oddają się nauce. Wiedza bowiem to ozdoba każdej niewiasty, nie obciążenie. – Przeniósłszy spojrzenie na Elżbietę, pyta: – A co masz dla swojej macochy?

Dziewczynka odwraca się do mnie i wręcza mi prezent. Jest to tłumaczenie jeszcze innej książki, z okładką, na której własnoręcznie wyszyła imię moje i Henryka. Wykrzykuję z radości i pokazuję dzieło królowi. Otworzywszy okładki, spogląda na pierwszą stronę, na której starannym charakterem Elżbieta napisała tytuł i autora. To angielski przekład reformisty Jana Kalwina! Zaledwie przed paru laty byłby herezją, dziś jednak stanowi noworoczny prezent, co dobitnie pokazuje, jak daleką drogę przeszliśmy, co Elżbiecie wolno czytać i jakie wyznanie jest obowiązujące w Anglii.

Henryk uśmiecha się do mnie i mówi:

– Koniecznie musisz mi to przeczytać i powiedzieć, co myślisz o samym dziele i o zdolnościach mojej córki.

W czas cichej lektury w moich komnatach przychodzi do nas arcybiskup Cranmer i obwieszcza, iż chciałby przed nami odczytać reformy, które zamierza zaproponować królowi, aby usłyszeć naszą opinię i komentarz. Zerka przy tym na księżniczkę Marię, która jest za starą religią, ona jednak tylko skłania głowę i odpowiada, iż żywi pewność, że jego ekscelencja proponuje wyłącznie zmiany na lepsze i że zresztą nic, co by uczynił człowiek, nie może być doskonałe. Anna Kliwijska podnosi wzrok z zainteresowaniem. Wychowana na luterankę, zawsze liczyła na to, że uda jej się doprowadzić Anglików do prawdziwej wiary. Ja sama muszę się pilnować, aby nie mieć zbyt tryumfalnej miny – w końcu jest to zwycięstwo Boga, nie moje.

W rogu komnaty stoi mała kazalnica, zza której wędrowni kaznodzieje czytają Biblię i swoje księgi, i tam właśnie arcybiskup Cranmer kładzie plik kartek, znad których uśmiecha się do nas nieśmiało.

– Czuję się tak, jakbym miał wygłosić kazanie – mówi.

- Z radością byśmy go wysłuchały - zapewniam. - Kazało dla nas wielu bogobojnych mężów, a ty, ekscelencjo, bybyś pośród nich najczcigodniejszy.

Usilnie staram się nie patrzeć na Annę Kliwijską, witając w swoich apartamentach reformistowskiego duchownego. Gdybym wierzyła w spowiedź, miałabym na sumieniu grzech pychy.

- Dziękuję - odpowiada hierarcha. - Dziś wszakże chciałbym nauczyć się czegoś od was. Jak sądzę, moim zadaniem było okroić pradawny ryt mszy świętej z dodatków przydanych jej przez Kościół. Wyzwanie polegało na tym, by pozbyć się tego, co dodał człowiek, zachowując pierwotną intencję Boga.

Katarzyna Brandon i Anna Seymour unoszą robótki, lecz nie stawiają ani jednego ściegu. Ja nawet nie udaję, że jestem czymś zajęta; zamieniam się w słuch. Składam dłonie na podołku, kątem oka widząc, że siedząca obok mnie księżniczka Elżbieta idzie w moje ślady, idealnie mnie naśladowując. Anna Kliwijska, która siedzi obok niej, obejmuje ją ramieniem za kościste barki, co przyprawia mnie o nagłe ukłucie zazdrości. No ale Anna Kliwijska w dalszym ciągu uważa się za macochę Elżbiety, w końcu ona także troszczyła się o sierotę. I tak grzech zakrada się do naszego życia... Bo doprawdy, była jej macochą przez niecałe pół roku!

Tymczasem arcybiskup odczytuje listę proponowanych zmian, z których każdą wyjaśnia. Cały ceremoniał Kościoła, którego nie uświadczysz w Biblii i którego nie narzucił Pan Jezus, idzie w odstawkę. Kłanianie się krzyżowi, klękanie na rozkaz - wszystko to musi ulec zmianie. Różne zabobony - takie jak bicie w dzwony w wigilię Wszystkich Świętych dla odstraszenia złych duchów i powitania świętych - idą precz. Posągi w świątyniach zostaną poddane inspekcji, aby się upewnić, że nie noszą śladów papistowskich sztuczek, takich jak ruchome oczy czy krwawiące rany. Nikomu nie będzie wolno się do nich modlić, jakby były w stanie interweniować w sprawach życia codziennego, w czasie zaś postu będą musiały pozostać niezakryte.

- Z Biblii wiadomo, że Jezus pościł na pustyni - argumentuje Cranmer - i tylko tyle powinniśmy zachować podczas Wielkiego Postu.

Zgadzamy się z nim. Nawet księżniczka Maria nie jest w stanie obronić pogańskiego zwyczaju zaśniania figurom oczu czy głów.

Arcybiskup przedstawia swoje propozycje królowi i wraca do moich komnat jak na skrzydłach.

- Ponieważ Stephen Gardiner jest nadal w Brugii, gdzie stara się wykuć traktat pokojowy, na którym tak zależy Hiszpanom, u boku króla nie ma nikogo, kto by go chciał przywieść do starej religii - oświadcza zachwycony. - Nikt nie oskarżył mnie o nieprawomyślność. Howardowie jak zwykle kręcili nosem, ale najjaśniejszy pan ma ich dość. Wysłuchał mnie i nie zgłosił



żadnych zastrzeżeń. Okazał mi zainteresowanie, ba, sam wysunął nawet parę sugestii dalszych reform.

- Naprawdę? - wtrąca Anna Kliwijska, przerywając ten potok słów.

- Naprawdę.

- Miałam nadzieję, że tak będzie - odzywa się Katarzyna Brandon. - Rozmawiał ze mną o zagrożeniach wynikających z ustawiania bałwanów. Jego zdaniem ludzie nie rozumieją, że figury w kościołach tylko ukazują Boga. Są symbolem, nie zaś obiektem wiary. Nie powinny być czczone jako takie.

Nawet nie odwracając głowy, a tylko biegnąc do mnie spojrzeniem, Anna Kliwijska sprawdza, czy nie uszedł mojej uwagi fakt, że Katarzyna Brandon jest zausznicą króla, z którą ten rozmawia o sprawach reformy. Jeszcze jako królowa była świadkiem, jak młodzianka Katarzyna Howard dotrzymuje towarzystwa Henrykowi, opuszczając jej komnaty bez pozwolenia. Teraz jej wzrok pyta mnie: czy z tobą będzie podobnie?

Unoszę lekko brwi. Nie, nie będzie. O nic nie boli mnie głowa.

- Tak mi powiedział! - ciągnie arcybiskup Cranmer z entuzjazmem. - Uważa, że nikt nie powinien klękać przed krzyżem ani kłaniać mu się przy wejściu do kościoła, ani posuwać się na kolanach od wrót do ołtarza w Wielki Piątek.

- Krzyż to symbol Ukrzyżowania - zgłasza sprzeciw księżniczka Maria. - Czci się go za to, co odzwierciedla. Nikt nie widzi w nim bałwana.

Zapada milczenie.

- Cóż, król widzi - poprawia ją Katarzyna Brandon.

Księżniczka Maria momentalnie zwiesza głowę w geście posłuszeństwa przed niewiastą, którą wielu ma za królewską kochanicę.

- Skoro tak, na pewno się nie myli - dopowiada szybko. - Któż bowiem wie lepiej od króla. Przecież sam nam powiedział, że Bóg wyznaczył go na sędzię w takich sprawach.

Nie da się dyskutować o reformie Cranmera bez wzmianki o mszy, a nie możemy o niej rozmawiać, gdyż jest to wbrew prawu. Król zakazał rozprawiania o tym najświętszym ze wszystkich wydarzeniu. Tylko on może o nim myśleć i mówić.

- A mimo to mnie przesłuchują - zauważa Anna Askew, po tym jak skończyła kazać o cudzie w Kanie Galilejskiej. - Mogę mówić o winie weselnym i o winie na ostatniej wieczerzy, ale nie wolno mi się zająknąć o tym winie, które współcześnie ksiądz leje do kielicha na naszych oczach.

- Nie możesz - potwierdzam cicho. - Rozumiem, do czego zmierzasz, ale

faktycznie nie możesz ubierać tego w słowa.

Anna Askew zwiesza głowę.

- Nigdy bym nie poruszyła niewygodnego dla ciebie tematu - zapewnia.

- Nigdy bym nie sprowadziła na ciebie kłopotów.

W jej ustach brzmi to jak przysięga złożona niewieście przez niewiastę. Uśmiecham się do niej.

- Wiem - odpowiadam. - Mam nadzieję, że i sama na siebie nie ściągniesz kłopotów.

- A jak się nazywasz po mężu? - pyta zniecka Anna Kliwijska.

Piękna twarz Anny Askew rozpromienia się śmiechem.

- Mój mąż nazywał się Thomas Kyme - rzecze. - Nie noszę jednak jego nazwiska, gdyż nigdy nie byliśmy w świetle prawa małżeństwem.

- W swoim mniemaniu to ty decydujesz o ustaniu małżeństwa? - pyta rozwiedziona królowa, które obecnie jest nazywana księżniczką i siostrą króla.

- Nigdzie w całej Biblii nie napisano, że małżeństwo to sakrament - odpowiada Anna Askew. - Zatem to nie Bóg nas połączył. Księża tak mówią, ale to nieprawda. To zdanie Kościoła, nie Biblii. Zatem nasz ślub, jak każdy ślub, był dziełem człowieka, nie Boga. Nie był uświęcony sakramentem. Mój ojciec zmusił mnie do umowy z Thomasem, ale kiedy nabrałam lat i rozumu, wypowiedziałam tę umowę. Mam się za wolną niewiastę, której dusza niczym się nie różni od duszy mężczyzny.

Anna Kliwijska - niewiasta, która również została wydana za mąż wbrew swojej woli i tak samo rozwiedziona - posyła Annie Askew smutny uśmiech.

Arcybiskup Cranmer wraca tryumfalnie do domu, by skodyfikować uzgodnione reformy i przedstawić je w formie ustawy przed parlamentem, jednakże król jego śladem wysyła do niego wiadomość, aby zaprzestał wszelkich prac i nic nie robił.

- Musiałem go powstrzymać, jak tylko odezwał się do mnie Stephen Gardiner - informuje mnie Henryk, gdy przyglądamy się rozgrywce *jeu de paume*. Jego wypowiedź kontrapunktuje głośny trzask rakiетки o piłkę, po którym następuje chwila ciszy, gdy piłka leci w powietrzu, by ponownie spaść na boisko, po czym do uderzenia przymierzają się gracze przeciwnej drużyny. Myślę sobie, że polityka Henryka w sprawie religii przypomina takie odbijanie piłki. - Biskup twierdzi, że jest bardzo bliski zawarcia w Brugii traktatu z cesarzem, który jednak domaga się, aby w angielskim Kościele powstrzymać wszelkie zmiany. Nie myśl przypadkiem, że tańczę tak, jak mi zagra Karol. Opłaca mi się jednak opóźnić reformę, aby tymczasem zadowolić

cesarza. Nie chcę go teraz denerwować. Niczym alchemik muszę starannie dozować wszystko, co robię. A na razie cesarzowi zależy na rozejmie ze mną, ażeby móc swobodnie zaatakować luteranów w obrębie cesarstwa, zwłaszcza zaś w Niemczech.

– Gdyby tylko... – zaczynam.

– Pozbądźcie się ich, spali ich wszystkich na stosie, jeśli tylko zdoła. – Mój mąż się uśmiecha. Okrutne środki najlepiej przemawiają do jego wyobraźni. – Powiada, że nic go nie powstrzyma. A wtedy skąd będziesz brać swoje heretyckie księgi, moja droga?

Chcę wyjąkać jakieś zaprzeczenie, ale król nie dopuszcza mnie do głosu.

– Cesarz potrzebuje mojej pomocy – rzecze. – Pragnie pokoju z Francją, aby móc przywrócić Niemców na łono jedyne prawdziwego Kościoła. To zrozumiałe, że jego zdaniem nie powinienem oddalać się od papieżstwa, kiedy on go broni.

– Ale chyba, najjaśniejszy panie, nie chcesz oddać Anglii na powrót w łapy papieża? – pytam. – Chyba nie zawiedziesz Boga, by udobruchać cesarza? Chyba nie narazisz na szwank swej duszy, by załatwić doczesne sprawy?

– Najwyższy mną pokieruje – odpowiada głucho. – Bo zaiste niezbadane są ścieżki Pana i moje...

Po czym wyraża uznanie dla rozegranej na boisku piłki. Odwracam się i też biję brawo.

– Była podkręcana! – wykrzykuję. – Trzeba talentu, aby taką odebrać!

– W młodości zrobiłbym to z łatwością – przechwala się król. – Byłem wybornym graczem. Zapytaj Annę Kliwijską. Pamięta mnie z tamtych czasów.

Anna Kliwijska zasiada po drugiej stronie Henryka, skąd śledzi bacznie grę. Wiem jednak, że przysłuchuje się naszej rozmowie; wiem, że rozmyśla, co by na moim miejscu powiedziała. Wiem, że wstawiłaby się za rodakami, którzy pragną jedynie czytać Biblię w ojczystym języku i wielbić Pana prostymi sposobami.

– Czy tak, wasza wysokość? – zwracam się do niej.

– O, tak – potwierdza zgodnie. – Najjaśniejszy pan bił na głowę wszystkich.

– Dobra z niej dla ciebie towarzyszka... – Henryk zniża głos, odzywając się do mnie na stronie. – Dobrze mieć koło siebie równie piękną niewiastę, prawda?

– Oczywiście.

– W dodatku darzy Elżbietę tak wielką sympatią.

– To prawda.

– Wszyscy mi powtarzają, że nie powinienem był się z nią rozwodzić –

– dodaje Henryk ze skrzępowanym śmiechem. – Gdyby dała mi syna, miałby teraz pięć lat, wyobrażasz sobie?

Uświadamiam sobie, że uśmiech spelzł mi z twarzy. Nie mam pojęcia, co myśleć o ostatnim stwierdzeniu ani całej tej rozmowie. Czyżby Henryk zapomniał, że nigdy nie skonstruował małżeństwa z nagle pożądaną znów na dworze Anną Kliwijską? Czyżby nie pamiętał, że uznał ją za nazbyt grubą, nazbyt rozpustną i nazbyt śmierzącą, aby zdobyć się na spółkowanie z nią?

– Niektórzy powiadają nawet, że urodziła mi dziecko – szepcze mój mąż, równocześnie machając zachęcająco do zawodnika, który przegrywa. W odpowiedzi dostaje niski ukłon.

– Naprawdę?...

– To rzecz jasna bzdury – otrząsa się z mrzonek. – Nie należy zwracać uwagi na gadanie ludzi. Ty chyba nie słuchasz plotek, co, Katarzyno?

– Nie – zapewniam.

– A wiesz, jakie słyuchy krążą we Francji?

– Jakie? – pytam, szykując się na coś zabawnego.

– Francuzi powiadają, że jesteś chora i bliska śmierci i że wkrótce będę wdowcem, gotowym ożenić się ponownie.

Śmieję się nieprzekonująco.

– Cha, cha! Koniecznie musisz przekazać francuskiemu ambasadorowi, że miewam się doskonale i nic mi nie jest.

– Tak zrobię. – Henryk uśmiecha się do mnie. – Pomyśleć, że ktoś może uważać, iż chciałbym sobie wziąć następną żonę. Czy to nie śmieszne?

– Bardzo. Przeszabawne. Skąd w ogóle taki pomysł? Za czym poduszczeniem? Skąd mogą się brać podobne plotki?

– Zatem nie będzie reformy – stwierdza arcybiskup Cranmer, gdy wchodzę do kaplicy i zastaję go klęczącego przed krzyżem. W blasku świec płonących na ołtarzu jego pobrużdżona stara twarz wydaje się zmęczona. Reforma, której potrzebuje Kościół, nie schodzi z jego myśli, a tymczasem wystarczy jeden list od biskupa Gardinera, aby król raz jeszcze dokonał wołty.

– Na razie – pocieszam go. – Nie wątpmy jednak, że Pan Bóg oświeci Anglię i jej króla. Nie tracę nadziei. Nie tracę wiary, nawet gdy postępy, które czynimy, tak się ślimaczą.

– Najjaśniejszy pan cię słucha – rzecze Cranmer. – Jest dumny z twojej wiedzy i korzysta z twoich rad. Jeśli dalej będziesz go przestrzegała przed potęgą i zepsuciem Rzymu oraz zachęcała do nowej religii, nie zatrzyma się teraz. Ufam, że tak się nie stanie. – Uśmiecha się. – Pewnego razu nazwał

mnie największym heretykiem w hrabstwie Kent. A mimo to pozostaję jego arcybiskupem i doradcą duchowym. Henryk toleruje inne przekonania u tych, których miłuje. Jest dla nas bardzo wspaniąomyślny.

- Mnie okazuje wyłącznie dobroć - potwierdzam. - Na początku małżeństwa obawiałam się go, ale z czasem nauczyłam się mu ufać. Jest cierpliwy i szczerobliwy, chyba że akurat coś go boli albo złości bądź sprawy nie układają się po jego myśli.

- We dwoje, mając królewską miłość i zaufanie, będziemy działać na rzecz naszego króla i królestwa - składa przyrzeczenie Cranmer. - Ty szerząc wiedzę i reformę wśród dworzan i wielmożów, jak zaś przyciągając duchowieństwo do Biblii. Nie ma bowiem nic wspanialszego od Słowa Bożego.

- Król mówił dzisiaj o wojnie z niemieckimi reformistami - bąkam. - Obawiam się, że cesarz planuje straszną czystkę wśród wyznawców, istną masakrę. Nie miałam jednak sposobności przemówić w ich obronie.

- Henryk nie zawsze jest gotów słuchać. Uzbrój się w cierpliwość i odzywaj się wtedy, gdy możesz.

- Mówił także o plotkach, że Anna Kliwijska powiła jego dziecko, a nawet nazwał ją ozdobą swego dworu. Powiedział mi też, że zdaniem niektórych jestem chora i bliska śmierci.

Arcybiskup Cranmer spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby domyślał się, co powiem dalej. Delikatnie kładzie mi dłoń na głowie w geście błogosławieństwa.

- Dopóki nie zrobisz fałszywego kroku, dopóty Bóg nad tobą czuwa, a król cię miłuje - zapewnia mnie ściszym głosem. - Musisz być jednak wolna od wszelkiego grzechu, córko, musisz być wolna nawet od imputacji grzechu. Musisz przejawiać żoninę lojalność i żonine posłuszeństwo. Dbaj o to.

- Niczym nie zgrzeszyłam - rzucam. - Nie musisz udzielać mi przestróg, ekscelencjo. Jestem niczym żona Cezara, poza wszelkim podejrzeniem.

- Ciesz się mnie to - odpowiada Cranmer, na którego oczach dwie cudzołożne żony wspięły się na szafot przy braku jakiegokolwiek jego reakcji. - Ciesz się mnie niepomiernie. Nie zniósłbym...

- Jak jednak... - urywam i zaczynam od nowa. - Jak mam pisać, jak mam mówić o reformie, skoro sama myśl o niej obecnie go uraża?

- Bóg tobą pokieruje - odpowiada wiekowy arcybiskup. - Nie trać odwagi, nie trać rozsądku ani głosu, który od Niego otrzymałaś, i nie pozwól się poskromić dworskim papistom. Mów śmiało. Henryk to w tobie kocha. Nie wahaj się. Jesteś zesłany przez Najwyższego przywódcą reformistów

na dworze angielskiego króla. Rób dzielnie to, co do ciebie należy.

# PAŁAC W GREENWICH WIOSNA 1546 ROKU



W lutym Henryka na powrót dopada gorączka.

- Nikt o mnie nie dba tak jak William Butts - skarży się król. - Umrę z braku dobrej opieki.

Domaga się mojej obecności przy swoim łożu, lecz czuje się zawstydzony odorem w komnacie, którego nie tłumią żadne wonności ani zioła, nie chce też, abym go widziała z plamami potu pod pachami i na piersi. Najgorsze jednak ze wszystkiego jest to, iż zaczyna myśleć, że to nie choroba go złożyła, lecz starczy wiek. Tonie w strachu przed śmiercią, od którego może go uchronić wyłącznie powrót do zdrowia.

- Doktor Wendy robi co w jego mocy - zapewniam. - Jest taki wierny i ostrożny... Ja zaś modlę się za ciebie co rano i co wieczór.

- Z Boulogne-sur-Mer nadeszły złe wieści - zamartwia się. - Ten nierozważny młody Howard trwoni tam wszystko, co ja osiągnąłem. Jest chełpliwy, Katarzyno. Jest próżny. Odwołałem go już i zamierzam posłać na jego miejsce Edwarda Seymoura. Edwardowi mogę powierzyć obronę mego zamku.

- Z pewnością... Nie masz czym się przejmować.

- Ale co będzie, jeśli mi się nie polepszy? - Mruży oczka w napuchniętej

twarży i przygląda mi się strachliwie niczym małe dziecko. – Jest tylko małaletni Edward. Jest Maria, która raz-dwa zaprzedałaby się Hiszpanii. Gdybym teraz umarł, Anglia znalazłaby się w stanie wojny przed Wielkanocą. Wiem to na pewno. Jedni chwyciliby za broń w obronie papieża, drudzy w obronie Biblii, a tak naprawdę tylko wtrąciliby Anglię w stan permanentnej wojny, na której skorzystałby skorzy do inwazji Francuzi.

Siadam na brzeżku łoża i ujmuję spoconą dłoń męża.

– Skądże – mówię kojącym głosem. – Tak się nie stanie. Albowiem wyzdrowiejesz.

– Gdybym miał drugiego syna, mógłbym spać spokojnie. Gdybyś nosiła w łonie moje dziecię, przynajmniej mógłbym mieć nadzieję na syna.

– Na razie Pan Bóg mnie nie pobłogosławił – odpowiadam, starannie dobierając słowa. – Ale nie wątpię, że prędzej czy później to się stanie.

Henryk robi niezadowoloną minę.

– Będziesz znowu regentką – zapowiada. – Wszystko spadnie na twoje barki. Będziesz musiała zaprowadzić pokój do czasu, aż Edward nie dorośnie.

– Wiem i zrobię to – mówię. – Większość doradców szczerze cię miłuje i poprzysięgła wierność twemu synowi. Nie będzie żadnej wojny. Wszyscy dobrze się zajmą Edwardem. Seymourowie przy pomocy Johna Dudleya będą chronić swego siostrzeńca. Arcybiskup Cranmer pozostanie lojalny wobec twego następcy. Nic z tego jednak nie wydarzy się rychło, albowiem poczujesz się lepiej, jak tylko pogoda się poprawi.

– Czemu wymieniasz tylko reformistów? – Henryk staje się podejrzliwy. – Jest tak, jak mówią ludzie? Popierasz reformę? Jesteś po ich stronie, nie mojej.

– Skądże, jestem po stronie każdego przyzwoitego człowieka bez względu na przekonania. Nikt nie wątpi, że Stephen Gardiner miłuje zarówno ciebie, jak i twego syna. Howardowie też są wierni tobie i księciu Edwardowi. W razie potrzeby wszyscy będziemy go bronić z myślą o tym, by w swoim czasie włożył koronę.

– A zatem wierzysz, że umrę! – woła, jakby mnie przytąpał. – Myślisz, że przeżyjesz kolejnego wiekowego małżonka i będziesz się cieszyć wdowieństwem. – Twarz Henryka czerwienieje, w miarę jak ogarnia go gniew. – Siedzisz przy moim łożu bolesti i tylko czekasz dnia, gdy się ode mnie uwolnisz, gdy wyjdiesz za jakiegoś chłystka! Ty, która poślubiłaś trzech mężczyzn, już się rozglądasz za czwartym!

Ukrywam szok spowodowany tym nagłym wybuchem i zachowuję spokój.

– Mężu, wierzę, że gorączka ci przejdzie, jak przeszły ci przypadłości



wieku młodzięnczego. Staralam się tylko dodać ci otuchy, abyś nie martwił się w chorobie. Na niczym tak mi nie zależy jak na tym, abyś wyzdrowiał, i jestem pewna, że tak się stanie.

Wpatruje się we mnie, jakby chciał przedrzeć się do mojej głowy i wejrzeć mi do serca. Nie uciekam wzrokiem, albowiem to, co powiedziałam, jest prawdą. Szanuję Henryka i kocham go, jak przystało na lojalną poddaną i wierną żonę, która ślubowała mu miłość przed Bogiem. Nigdy nie rozmyślałam o jego śmierci. I dawno minęły czasy, gdy marzyłam o wolności. Szczerze wierzę w to, że wyzdrowieje i będzie jeszcze długo żył. Wiem, że to małżeństwo będzie moim ostatnim. Być może spocznę w grobie, dalej kochając Tomasza Seymoura, jednakże już od dawna nie wyobrażam sobie, abyśmy kiedykolwiek mieli być razem. Bo i jak? Zresztą on nawet na mnie nie patrzy, a ja zatrzymuję namiętne myśli tylko dla siebie, widując jego uśmiech wyłącznie w rzadkich erotycznych snach.

- Chyba nie wątpisz, że cię kocham - szepczę.

- Modlisz się za mnie - powtarza Henryk, ukojony myślą o mnie na klęczkach.

- Tak, mężu. Codziennie.

- A kiedy kaznodzieje przychodzą czytać w twoich komnatach Biblię, czy rozmawiasz z nimi o żonimym posłuszeństwie?

- Owszem. Wszystkim wiadomo, że niewiasta miłuje Boga poprzez swego męża. To niepodważalna prawda.

- Wątpisz w istnienie czyśćca?

- Uważam, że chrześcijanin trafia do nieba za sprawą ocalającej łaski Jezusa - odpowiadam ostrożnie, ważąc słowa.

- W chwili śmierci?

- Nie wiem dokładnie kiedy...

- Zatem wykupisz msze za moją duszę? Ufundujesz kapliczki w moim imieniu?

Jak na to odpowiedzieć?...

- Uczynię, czegokolwiek zażadasz, najjaśniejszy panie - obiecuję w końcu. - Uczynię, czegokolwiek sobie zażyczysz. Nie sądzę jednak, abym dożyła twojej śmierci.

- Śmierć... - powtarza za mną. - Bogu niech będą dzięki, że niczego się nie boję. Rzecz jednak w tym, że nie potrafię sobie wyobrazić Anglii beze mnie. Nie potrafię sobie wyobrazić beze mnie tego padołu, na którym jestem królem, mężem...

Uśmiecham się łagodnie.

- Ja również nie.

- Ani straty - ciągnie Henryk, dławiąc się ze wzruszenia. - Zwłaszcza twojej.

Jego żal jest zaraźliwy, łyż napływają mi do oczu. Przyciskam jego dłoń do swoich warg.

- Do tego czasu upłyną jeszcze długie lata, miłościwy panie - zapewniam. - A być może ja umrę przed tobą.

- To niewykluczone - potwierdza, wyraźnie podniesiony na duchu. - Całkiem niewykluczone. Możesz przecież umrzeć w połogu, jak tyle niewiast. Bo jesteś w poważnym wieku jak na pierwsze dziecko, prawda?

- Tak. Mimo to modlę się, aby Pan Bóg pobłogosławił nas potomkiem. Może latem, gdy ci się już poprawi?

- Na tyle, bym z tobą zległ i spłodził małego Tudora? - pyta. Spuszczam wzrok i kiwam skromnie głową.

- Tęsknisz za mną - stwierdza, śliniąc się i uśmiechając.

- Tak - szepczę.

- No i dobrze! - odpowiada radośnie. - No i bardzo dobrze!

Pomimo składanych obietnic gorączka się go trzyma, a noga sprawia mu niewystłowiony ból przez długi, czarny miesiąc. Henrykowi nie poprawia się nawet na wiosnę, która zakrada się powoli do ogrodów pałacu w Greenwich, budząc do życia drzewa nad rzeką i obsypując je listowiem. Ptaki śpiewają już tak głośno, że nie dają mi spać rankami, które wstają coraz wcześniejsze i coraz cieplejsze każdego dnia.

Żonkile kiełkują przy alejkach, pochylając nad żywem swoje trąbkowate kwiaty będące symbolem radości i nadziei, jednakże król nadal trzyma się swojej komnaty, w której stół wciąż jest zasłany wywarami i naparami, ziołami i słojami z pijawkami, a okiennice pozostają szczelnie zamknięte przed dopływem niebezpiecznego świeżego powietrza. Doktor Wendy prokuruje jeden lek po drugim, usiłując zbić gorączkę, starając się oczyścić ranę jęczącą się na nodze króla, która rozwiera się coraz szerzej niczym sinokrwawe usta pochłaniające ciało wokół kości. Dwaj paziowie zostają odprowadzeni z pałacu - pierwszy po tym, jak mdleje na jej widok, drugi zaś, powiedziawszy w kaplicy, że powinniśmy się modlić za najjaśniejszego pana, którego zgnilizna zżera za życia. Przyjaciele i dworzanie tłoczą się wokół króla, jakby wszyscy byli obłożeni przez chorobę, i każdy z nich stara się zdobyć względy Henryka, na wypadek gdyby to jednak nie była zwykła gorączka, tylko początek końca.

Na mnie spada obowiązek zasiadania w wielkiej sali i zapewniania

dworowi rozrywek. Muszę pilnować, aby wszystko przebiegało pod moją komendą równie gładko jak pod komendą Henryka. Rozmawiam nawet z rywalizującymi ze sobą Edwardem Seymourem i Tomaszem Howardem z rady królewskiej, aby się upewnić, że nic groźnego, niepokojącego ani trudniejszego nie dociera do uszu króla. Gdy w pałacu pojawiają się wysłannicy cesarza z nowym projektem traktatu pokojowego zawiązanego przeciwko Francji, ażeby Karol Hiszpański mógł się rozprawić z luteranami i innymi protestantami na swoich ziemiach, wpierw składają wizytę mnie, a dopiero potem mojemu mężowi.

Stawiają się przed południem, by uniknąć żenującego spotkania z reformistowskimi kaznodziejami, którzy prawią w moich komnatach. Z pewnością byłiby wstrząśnięci, gdyby stanęli oko w oko z Anną Askew, niewiastą inteligentną i proreformatorską. Goryczą napawa mnie fakt, iż muszę się do nich uśmiechać, wiedząc, że zależy im na przyjaźni z Anglią tylko z tego powodu, by umocnić pozycję cesarza, który chce ścigać i mordować wiernych dzielających nasze poglądy. A jednak przychodzą do mnie w nadziei, że przedłożę interes swego królestwa ponad wszystko inne. Istotnie, spełniam swój obowiązek wobec Anglii i witam ich grzecznie i miło, zapewniając o naszej przyjaźni.

Wszem wobec wiadomo, że popołudniami studiuje i słucham kazań w swoich komnatach. Z całej Anglii ściągają najlepsi kaznodzieje, aby prawić w mojej obecności o Słowie Bożym i o tym, jak je zastosować w codziennym życiu, a także jak należy wyplenić z Kościoła wymyślone przez człowieka rytuały. W czas Wielkiego Postu trafiają nam się wielce inspirujące kazania. Zjawiają się bowiem kilkakrotnie Anna Askew i Hugh Latimer. Zachodzą do nas posłuchać i inni członkowie dworu, w tym nawet Howardowie, a ściślej Tomasz, młodszy syn księcia Norfolk, który pyta, czy może zająć miejsce gdzieś z tyłu. Stary Howard byłby wstrząśnięty, gdyby wiedział, że jeden z jego synów podziela nasze poglądy – ale zacznij świętości robi swoje, dzięki czemu z czasem wszyscy przejrzą na oczy. Ja zaś na pewno nie zamierzam hamować młodego człowieka w drodze do Jezusa, nawet jeśli jest to Howard.

Przez moje apartamenty przewija się kwiat angielskich teologów, mających kontakty z reformistami na kontynencie, dzięki czemu – przysłuchując się i wiodąc dyskusje – zostaję zainspirowana do napisania nowej książki. Nie wspominam nic o niej królowi, gdyż wiem, że nigdy by jej nie zaaprobował. Osobiście z każdym dniem coraz bardziej skłaniam się ku luteranizmowi i coraz bardziej oddalam się od pogańskich zwyczajów starej religii. Rozpiera mnie potrzeba pisania. Ilekroć nachodzi mnie jakaś myśl,

ilekroć modłę się w milczeniu w kaplicy, czuję chęć, aby przelać słowa na papier. Albowiem jest tak, jak gdybym potrafiła myśleć tylko wtedy, gdy widzę inkaust spływający z czubka pióra, jak gdyby moje myśli miały sens wyłącznie wtedy, gdy jawią się czernią na kremowym papierze. Uwielbiam uczucie, które towarzyszy formowaniu się myśli w głowie i wyrazów na stronicy. Doceniam to, że Bóg podarował światu Słowo i że jestem zdolna kontynuować Jego dzieło.

Henryk zapoczątkował reformę, jednakże kiedy się zestarzał, stał się strachliwy i ostrożny w swych działaniach. Żałuję, że nie chce pociągnąć tego dalej. Jednakże Stephen Gardiner wywiera na niego hamujący wpływ nawet z daleka. Tymczasem ja uważam, że potęga Hiszpanii nie powinna narzucać Anglikom wyznania. Mój mąż chciałby stworzyć własną religię, dziwaczną mieszaninę wszelkich odłamów chrześcijaństwa, dobierając elementy, które mu się podobają, poruszające go rytuały i modlitwy. Nie tak jednak należy wielbić Boga. Królowi nie wolno czepiać się pustych gestów z czasów dzieciństwa przez wzgląd na sentyment, nie wolno mu zachować kosztownego ceremoniału preferowanego przez Rzym. Powinien myśleć jasno, argumentować czytelnie i przewodzić swemu Kościołowi z mądrością, nie zaś z nostalgią żywioną dla przeszłości i ze strachem odczuwanym przed Hiszpanią.

Będę musiała pisać ostrożnie, cały czas świadoma tego, że moi pałacowi rywale wszystko przeczytają, w każdej chwili gotowi wykorzystać moje pisma przeciwko mnie, wszelako nie widzę innego sposobu, jak przelać na papier prawdę taką, jak ja ją postrzegam. Zatytułuję to dzieło „Lamentacje grzesznika”, odwołując się do pracy innej odczytanej niewiasty, Małgorzaty z Nawarry, która napisała „Zwierciadło grzesznej duszy”. Królowa ta miała odwagę pisać i publikować pod własnym nazwiskiem – co i ja uczynię. Chociaż została oskarżona o herezję, nie dała się pohamować w myśleniu i tworzeniu – i ja pójdę w jej ślady. Postawię sprawę jasno: jedyną drogą do zmazania grzechów, jedyną drogą do nieba jest osobista wiara i całkowite oddanie Chrystusowi. Czyścić, klasztory, odpusty, pielgrzymki, msze – cokolwiek z tego nie znaczy nic w oczach Boga. Wszystko to powstało z intencji człowieka, by zbijać majątek. Tymczasem to, czego oczekuje od nas Stwórca, zostało przedstawione przez Jego Syna w drogocennych Ewangeliach. Niepotrzebne nam więc długie tłumaczenia uczonych, niepotrzebne nam sztuczki zakonników. Jedyne, czego nam trzeba, to Słowo Boże.

To ja jestem grzesznikiem, o którym mowa w tytule, aczkolwiek mój grzech pozostanie głęboko ukryty. Każdego dnia grzeszę nieprzerwaną miłością do Tomasza. To jego twarz mam przed oczyma, kiedy śnię, kiedy się

budzę i – co najgorsze ze wszystkiego – kiedy się modłę. Jedyne, co mnie pociesza po tym, jak go poświęciłam, to że dzięki temu mogę czynić zbożne dzieło. Zrezygnowałam z Tomasza w imię swojej duszy, w imię dusz wszystkich chrześcijan w Anglii, którzy dzięki mnie mogą się modlić w prawdziwym Kościele. Zrezygnowałam z największej miłości mego życia dla Boga i zamierzam zaprowadzić wśród Anglików religię zreformowaną, ażeby moje poświęcenie nie poszło na marne.

Modłę się za niego; drzę, że znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie. Otrzymał rozkaz przewiezienia swego brata Edwarda, w charakterze głównodowodzącego, wraz z posiłkami do Boulogne-sur-Mer, przez co dręczy mnie obawa, że może zechcieć zaatakować francuską flotę, nie zważając na bliskość artylerii nabrzeżnej, by zapewnić swemu bratu bezpieczeństwo. O poranku wychodzę przed pałac, aby pożegnać Edwarda Seymoura przed podróżą. Stoi na czele swoich ludzi, których ma zaokrętować w Portsmouth.

– Szczęśliwej drogi – życzę mu z boleściwą miną. Nie mogę przekazać mu liściku dla Tomasza. Nie mogę nawet wymienić imienia ukochanego przed jego rodzonym bratem. – Będę się modlić za ciebie i twoich podwładnych – dodaję. – Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Edward kłania się przede mną, a następnie okręca się na pięcie i całuje na pożegnanie swoją żonę Annę, po czym wskakuje na siodło, obraca konia w miejscu i zasalutowawszy nam niczym postać na portrecie, wyprowadza z dziedzińca swój oddział, wiodąc go błotnistym traktem na południe do Portsmouth i dalej, za wzburzony wiosennymi sztormami Kanał Angielski, aż do Francji.

Na wieści z Boulogne-sur-Mer czekamy kilka tygodni. W końcu słyszymy, że nasze statki przybiły do brzegu bezpiecznie i że teraz żołnierze szykują się do walki z wrogiem. Znowu znajdujemy się na krawędzi wojny z Francją, przy czym teraz głównodowodzącym na lądzie jest Edward Seymour, podczas gdy flotą dowodzi jego brat. Jednakże Henryk dochodzi do wniosku, że nie jest gotowy do wojny z Francuzami, i odwołuje swoich dowódców. Rozkazuje, aby John Dudley i Edward Seymour spotkali się z francuskimi wysłannikami i zawarli traktat pokojowy.

Nie zastanawiam się nad angielskimi żołnierzami usiłującymi bronić Boulogne-sur-Mer. Nie zastanawiam się nawet nad marynarzami walczącymi ze wzburzonym morzem. Myślę tylko o tym, że moje modlitwy zostały wysłuchane przez troskliwego Boga, który miłuje Tomasza za jego odwagę równie mocno jak ja. Najwyższy ocalił Tomasza, ponieważ modliłam się o to

z całego serca, z całej grzesznej duszy. Wiedząc to, udaję się do kaplicy, gdzie podnoszę wzrok na krzyż i dziękuję Stwórcy, że nie będzie żadnej wojny i że Tomasz uratował głowę jeszcze ten jeden raz.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN WIOSNA 1546 ROKU



Zasiadam właśnie przy stole, obłożona książkami, trzymając uniesione pióro, na którym zasycha inkaust, i zastanawiając się nad właściwym ujęciem kwestii posłuszeństwa Bogu będącego zasadniczym obowiązkiem każdej niewiasty, gdy do komnaty wkracza księżniczka Maria i dyga przede mną. Towarzyszące mi dworki podnoszą spojrzenia. Wszystkie czytają coś lub piszą tak jak ja – mogłybyśmy wręcz służyć za model zbożnej pracy – lecz czują niepokój na widok poważnej twarzy księżniczki, która podchodzi do mego stołu i pyta cicho:

– Czy zechcesz zaszczyć mnie rozmową, wasza królewska mość?

Gdy kiwam głową, przyciąga sobie krzesło i siada nieopodal, aby nachyliwszy się ku mnie, móc mówić ściszym głosem. Moja siostra Anna, jak zwykle gotowa chronić mnie przed kłopotami, zwraca się głośno do księżniczki Elżbiety:

– Może zechcesz nam poczytać, wasza wysokość?

Na jej słowa Elżbieta zajmuje miejsce na kazalnicy, kładzie swoją książkę na pulpicie i improwizując, zaczyna tłumaczyć z łaciny na angielski.

Maria uśmiecha się przelotnie, z czułością spoglądając na swą młodszą bystrą siostrzyczkę, po czym zwraca się znów do mnie, poważniejąc.

- Wiesz, że pan ojciec wybrał dla mnie kandydata na męża?

- Wiem, aczkolwiek nic nie słyszałam, aby poczynił jakieś dalsze kroki w tej sprawie - odpowiadam. - Wspomniał mi tylko o możliwym małżeństwie jakiś czas temu w rozmowie... Kim jest wybranek?

- Sądziłam, że już wiesz. Mam wyjść za syna elektora.

- Za kogo? - pytam osłupiała.

- Za Ottona Henryka Wittelsbacha - uściśla Maria. - Pan ojciec pragnie ustanowić sojusz z niemieckimi książętami, wymierzony we Francję. Choć bardzo mnie to dziwi, najwyraźniej zdecydował się sprzymierzyć z luteranскими Niemcami przeciwko Hiszpanii, ja zaś mam poślubić luteranina i wyjechać do Neuburga. Anglia przejdzie na luteranizm, a przynajmniej zostanie w pełni zreformowana. - Urywa, widząc moje zszokowane spojrzenie. - Sądziłam, że wasza królewska mość sama skłania się ku luteranizmowi - rzecze ostrożnie. - Sądziłam, że ta wiadomość waszą królewską mość ucieszy.

- Może mnie cieszyć perspektywa pełnej reformy angielskiego Kościoła, jak również sojusz Anglii z niemieckimi książętami, jednakże czuję się wstrząśnięta na myśl o twoim wyjeździe do Bawarii. Przecież to księstwo stoi na skraju rebelii, a twój ojciec w dodatku jest sprzymierzony z cesarzem! Wyjazd tam oznaczałby dla ciebie zagrożenie, i to w obliczu inwazji własnych hiszpańskich rodaków!

- Spodziewam się też, że miałabym przyjąć religię mego małżonka - wyznaje szeptem Maria. - Plan ten bowiem nie przewiduje ochrony mego wyznania... - waha się, zanim doda: - wyznania mojej matki. Chyba wiesz, że nie mogę jej zdradzić? Nie wiem, co począć...

Taki ruch byłby wbrew tradycji, jak również przeczyłby szacunkowi dla księżniczki, jej wiary i jej Kościoła. Żona musi wychować dzieci w wierze męża, choć sama może pozostać przy swoim wyznaniu.

- Król chce, abyś przeszła na luteranizm? - dziwię się głośno. - Chce, abyś stała się protestantką?

Maria sięga po ukryty w fałdach sukni różaniec po Katarzynie Aragońskiej. Oczyrna wyobraźni widzę, jak palcami obejmuje chłodne paciorki i starannie wyrzeżany z koralu krucyfiks.

- Wasza królewska mość... pani matko... nie miałaś o tym pojęcia?

- Nie, moja droga. Król mówił o swych planach tylko mgliście. Nie miałam pojęcia, że sprawy zaszły tak daleko.

- Zamierza powołać do istnienia ligę chrześcijańską - informuje mnie Maria - na której czele stanie.

- Tak mi przykro - szepczę.



- Jak wiesz, groziła mi śmierć, gdybym nie przysięgła, że mój ojciec jest głową Kościoła angielskiego - kontynuuje równie cicho. - Tomasz Howard, książę Norfolk, groził, że roztrzaska mi głowę o ścianę, aż zrobi się miękka niczym pieczone jabłko. Poskromili mnie biczem. Ojciec święty przesłał mi nawet wiadomość, że mi przebaczy, że mogę złożyć taką przysięgę... Zdradziłam wtedy wiarę matki, zdradziłam ją samą. Nie mogę tego uczynić ponownie.

W milczeniu ujmuję ją za ręce.

- Czy możesz jakoś temu zaradzić, Katarzyno? - zwraca się do mnie jak niewiasta do niewiasty, jak przyjaciółka do przyjaciółki.

- Co miałabym według ciebie zrobić?

- Ocal mnie.

Wstrząsa mną tym do głębi.

- Porozmawiam z królem - obiecuję. - Zrobię co w mojej mocy. Ale jak wiesz...

Maria kiwa głową. Wie.

- Mimo wszystko porozmawiaj z nim. Wstaw się za mną.

\*

Tego samego popołudnia wysłuchujemy kazania jednego z londyńskich kaznodziejów, który prawi mądrze o próżności wojny. Argumentuje, że chrześcijanie winni żyć w pokoju, gdyż jakkolwiek wielbią Pana, wszyscy modlą się do jednego Boga. Żydzi także nie powinni być prześladowani, gdyż ich Bóg jest naszym Bogiem, chociaż to nam dana jest z nim ściślejsza więź i pełniejsze zrozumienie. Kaznodzieja przypomina nam, że Jezus Chrystus narodził się z Żydówki i sam był Żydem. Ba, nawet mahometanie, którzy żyją w ciemności, nie powinni być atakowani, skoro wyznają tego samego Boga Księgi.

Są to takie dziwy, że zanim wdamy się w dyskusję, sprawdzam powtórnie, czy drzwi są dobrze zamknięte i czy gwardziści stoją poza zasięgiem słuchu, broniąc wstępu postronnym. Nasz kaznodzieja, niejaki Peter Lascombe, broni przedstawionych przez siebie tez, odwołując się do twierdzenia, że wszyscy ludzie są braćmi.

- I siostrami - dodaje z uśmiechem, choć to również dziw nad dziwy.

Obawiam się, że słowa kaznodziei ocierają się o herezję. Powiada on bowiem, że podobnie jak w Hiszpanii dawnych czasów, gdy władcami byli

mahometańscy książęta, każdy człowiek wierzący w Boga winien szanować wyznanie innych. Wrogiem zaś powinni być wyłącznie ci, którzy w Boga nie wierzą wcale, a więc poganie i głupcy za nic mający Słowo Boże.

Gdy nasze spotkanie dobiega końca, kaznodzieja podchodzi do mnie i pochyla się nad moją dłonią z ukłonem. Równocześnie czuję, że wkłada mi w palce karteluszek. Pozwalam mu odejść bez słowa, po czym oznajmiam swoim dworcom, że przez następną godzinę będę pracować w skupieniu, i zasiadam nad swymi księgami. Ukryta za wielkimi woluminami ostrożnie rozkładam karteluszek. Jest to wiadomość od Anny Askew.

*Piszę, aby Ci donieść, że przyszedł do mnie pewien mężczyzna, który podawał się za sługę rady królewskiej, i zapytał mnie, czy kiedykolwiek prowadziłam kazania w Twojej obecności i czy to prawda, że negujesz mszę świętą. Obiecuję nic nie mówić. Nie podam żadnych imion, w tym Twojego. A.*

Wstaję ze swego miejsca i podchodzę do kominka, na którym płonie ogień rozjaśniający mrok popołudnia. Wyciągam przed siebie ręce, jakbym chciała je ogrzać, przy czym wrzucam karteluszek w płomienie. Papier kurczy się i żarzy, rozpadając w proch, ja zaś zauważam, że istotnie jestem cała zlodowaciała i że się trzęsę.

Nie rozumiem, co się dzieje. Z jednej strony królewska córka, księżniczka Maria, ma wyjść za luteranina; z drugiej strony papistowskie siły nabierają znów znaczenia. Obaj Seymourowie przebywają z dala od Londynu, arcybiskup Cranmer trzyma się własnego domu, na dworze nie ma nikogo poza mną, kto by mógł przemówić w imieniu nowej religii. Czuję się osamotniona, niezdolna odczytać prawidłowo znaków. Nie pojmuję Henryka.

– Dostałaś skurczu od pisania? – pyta mnie Anna. – Któraś z nas mogłaby pisać za ciebie, najjaśniejsza pani.

– Nie, nie – zaprzeczam prędko. – Nic mi nie jest. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Gdy wybieramy się do wielkiej sali, Anna stoi na czele moich dworek. Po przekroczeniu progu komnaty gościnnej w nowej ciemnoczerwonej sukni czuję, że moja siostra podchodzi do mnie, pozornie by poprawić mi naszyjnik, a w rzeczywistości by szepnąć mi na ucho:

– Edward Seymour napisał do swojej żony, że w Europie krąży pogłoska

o tym, iż król zamierza cię odprawić. Czy Henryk wspomniał o tym choćby słowem? Czy skrytykował cię za coś?

- Nie rzekł niczego nowego - odpowiadam. - Ot, chciałby, abym była wreszcie przy nadziei. Anno, chyba nie myślisz, że powinnam...

- Nie - potrząsa głową. - Martwe dziecko przypięczętowałoby twój wyrok. Zaufaj mi. Niech Henryk marzy o potomku, niech się modli, razem z tobą, jeśli trzeba, ale za żadne skarby nie pocznij czegoś, co mógłby wziąć za przejaw diabelstwa.

- Ale gdyby dziecko było zdrowe? Anno, ja pragnę dziecka. Mam trzydzieści trzy lata! Chcę być matką!

- To niemożliwe - odpowiada stanowczo moja siostra. - Nie było zdrowego dziecka, którego matka by przeżyła, od czasu księżniczki Elżbiety. A i tak połowa dworu twierdzi, że Elżbieta jest córką Marka Smeatona, młodego byczka. To by znaczyło, że zdrowe dziecko nie narodziło się od czasu księżniczki Marii, która przyszła na świat przed trzydziestu laty. Henryk nie jest w stanie spłodzić zdrowego potomka nawet ze zdrową niewiastą. A ostatni, Edward, zabił rodzicielkę w połogu.

Aby nie wzbudzić niczyjego zainteresowania, schyla się i poprawia tren mojej sukni.

- Jak zatem mam uciszyć te plotki? - pytam, gdy znów się prostuje.

- Staw im jawnie czoło - radzi mi. - Uskarżaj się na nie. Módl się, żeby przepadły. Nic innego nie można zrobić.

Potakuję skinieniem z zafrasowaną miną.

- Zresztą - dodaje moja siostra - nawet takie plotki ci niestraszne, dopóki...

- Tak?

- Dopóki nie pochodzą prosto od króla - dokańcza Anna i dodaje z nieszczęśliwą miną: - Jeśli jednak to Henryk napomknął coś o nowej żonie, jeśli inni tylko powtarzają jego słowa... to twoja sprawa jest przegrana. Tak czy owak niewiele możesz zrobić.

Widzę wzrokiem wzdłuż szeregu moich dworów do Anny Kliwijskiej, która szykuje się do wieczery w radosnym nastroju. Jest jedyną z byłych żon, którą wciąż można zobaczyć w pałacu. Henryk zaprosił ją na Boże Narodzenie i wciąż się jej nie pozbywa, mimo że zbliża się już Wielkanoc. Za jej plecami stoi Katarzyna Brandon, wdowa po najdroższym przyjacielu króla, śliczne dziewczęcę, które na jego oczach wyrosło na dojrzałą niewiastę, być może jego kochanica, być może jego miłość. W towarzystwie tym są też inne, jeszcze młodsze, w wieku w sam raz, aby być moimi córkami, równie młodziutkie jak Katarzyna Howard, gdy ją poznał, nieledwie jego wnuczki.

- Czemu Anna Kliwijska wciąż tu jest? – pytam z nagłą irytacją.
- Postaram się, żeby jak najszybciej zeszała ci z oczu – obiecuje moja siostra.

Nieoczekiwanie w pałacu zjawia się Tomasz Seymour z meldunkiem na temat siły floty oraz narastającego zagrożenia ze strony Francuzów.

- Posłuchaj ze mną raportu Tomasza – rzecze król, przywołując mnie gestem do swego stołu w komnacie gościnnej.

Ujmuje mnie za rękę i umieszcza sobie moją dłoń w zgięciu łokcia, tak że muszę stać przy nim – naprzeciwko Tomasza – jakbym nie mogła się mu oprzeć, wspierając się na jego ramieniu, podczas gdy on wolną dłonią nakrywa moje palce, i muszę się przysłuchiwać słowom admirała, który donosi o budowanych i remontowanych statkach, suchych i mokrych dokach, armatorach, żaglomistrzach, dostawcach i wytwórcach lin okrętowych. Tomasz powiadamia też, że jest podejmowany kolejny wysiłek mający na celu podniesienie Mary Rose z dna. Okręt flagowy może znów kołysać się na falach. Niewykluczone, że Mary Rose, podobnie jak nasz król, jest niezatapialna i będzie z nami już na zawsze, przeżywając całą resztę i stawiając żagle nawet w czasach, gdy miłość i lojalność odejdą w zapomnienie, a także biorąc przyszłość jako zakładnika...

- W ogrodach odbywa się turniej łuczniczy dla rozrywki waszej królewskiej mości – informuję. – Gdyby tylko wasza królewska mość zechciał tam przejść...?

- Zechcę przejść – odpowiada król. – Tomasz, z pewnością widziałeś urządzenie, które pomaga mi wchodzić po schodach i schodzić z nich. Co o nim myślisz? A może powinienem używać jednego z portowych żurawi? Ściągniesz dla mnie jeden z Portsmouth?

Tomasz uśmiecha się do króla ze wzrokiem pełnym współczucia.

- Gdyby potęga miała swoją wagę, nic nie byłoby w stanie ruszyć cię z posad, najjaśniejszy panie.

Henryk wybucha śmiechem.

- Dowcipniś z ciebie! – wykrzykuje. – Zaprowadź królową do ogrodów i zapowiedz moje nadejście. Niech się szykują. Może nawet wezmę łuk do ręki i pokażę, na co mnie jeszcze stać.

- Ależ wasza królewska mość koniecznie musi to zrobić! – entuzjazmuje się Tomasz, po czym podaje mi ramię, które pali mnie nawet przez grubą dublet.

Oddaliśmy się w stronę drzwi – oboje sztywno wpatrzeni przed siebie,

wodząc wzrokiem po twarzach rozstępujących się dworzan, spoglądając na gwardzistów otwierających podwójne skrzydła, nigdy za to nie zwracając się oczyma ku sobie.

Za nami postępują moje dworki wraz z mężami. Dworzanie króla mitrząc z tyłu, podczas gdy Henryk zostaje przeniesiony z tronu na *chaise percée*. Ktoś wzywa doktora Wendy'ego, aby zaordynował królowi ciepłe piwo i napar mający ulżyć bólowi, po czym wreszcie strażnicy pomagają Henrykowi zasiąść na krześle z kółkami, na którym wytaczają go do ogrodu niczym martwego wieprza na wozie.

Wielkie odrzwia wiodące na zewnątrz zostają otwarte na oścież, jak tylko Tomasz i ja zbliżamy się do nich. Momentalnie w nozdrza uderza nas zapach wiosennego powietrza i świeżo ściętej trawy, co sprawia, że nie bacząc na nic, spoglądamy na siebie wreszcie. Nie sposób bowiem nie podzielić się w takiej chwili radością z poczucia nagłej wolności, której przejawem jest słońce i śpiew ptaków, i dwór przyodziany w najlepsze stroje i gotujący się do nonsensownego turnieju w tym najwspanialszym ze wszystkich angielskich pałaców.

Uśmiecham się z czystego szczęścia, że jestem z n i m –omalże się nie śmieję w głos. Słońce grzeje mi twarz, muzycanci chwytają za instrumenty, Tomasz Seymour zaś, przelotnie i niepostrzeżenie, dotyka mojej ręki, której nie zdejmuję z jego ramienia, co jest pieszczotą tyleż krótkotrwałą co sekretną.

– Katarzyno... – mówi do mnie niemal bezgłośnie.

Skłaniam głowę na lewo i prawo kłaniającym mi się ludziom. Tomasz jest wysoki, o dobre kilka cali wyższy ode mnie. Dopasowuje swój krok do mojego, lecz i tak posuwamy się dziarsko, jakbyśmy zmierzali do Portsmouth, by wsiąść na jeden z jego okrętów i pożeglować w siną dal. Ależ wspaniała by z nas była para! Ależ wspaniałe dzieci moglibyśmy mieć razem!...

– Tomaszu... – odpowiadam równie cicho.

– Kochanie moje...

Nie trzeba nam więcej słów. Tych kilka, które padły, parzący dotyk skóry, spojrzenie pełne namiętności, moje poczucie, że wracam do życia po wielu miesiącach spędzonych w drętwości i martwoci – to wszystko przypomina akt miłości. Nosząc suknie po zmarłych niewiastach, sama czułam się trupem, lecz teraz znów jestem pełna życia i tęsknoty. Ogarnia mnie pożądanie na podobieństwo milczącej niewysłowionej potrzeby, silne tak, że myślę sobie: gdybym tylko mogła zlec z nim chociaż raz, nie prosiłabym o więcej. Gdybym mogła znaleźć się pod nim, przytłoczona ciężarem jego ciała, czując

jego wargi na swoich wargach, czując jego zapach, widząc ciemne włoski na jego karku, widząc gładki cień biegnący od ucha do obojczyka...

- Muszę z tobą porozmawiać - rzecze nagle Tomasz. - Tu będzie dobrze?

Na podwyższeniu czeka już tron, gotowy na przybycie Henryka, a obok niego krzesło dla mnie i zydle dla księżniczek. Elżbieta wybiega mi na spotkanie, po czym rumieni się i uśmiecha nieśmiało na widok Tomasza. Mój ukochany nawet nie zauważa jej obecności, gdy Elżbieta odwraca się w pół kroku, sięga po łuk, napina cięciwę i przybiera pozycję strzelecką. Tymczasem ja zajmuję swoje miejsce, a on staje za oparciem mego krzesła, pochyliwszy się, aby mówić mi do ucha, aczkolwiek oboje patrzymy na trawnik i na zawodników próbujących łuki i rzucających na wiatr kilka żdziebeł, aby sprawdzić, z której strony wieje. Znajdujemy się na oczach wszystkich, a zarazem jesteśmy tylko we dwoje.

- Ani drgnij - przestrzega mnie Tomasz, zanim przejdzie do rzeczy. Zamieniam się w słuch. - Podsunięto mi kandydatkę na żonę - oświadcza szeptem.

Mrugam tylko oczyma.

- Kogo? - pytam.

- Marię Howard, córkę księcia Norfolkku.

To wspaniała oferta. Maria jest wdową po ukochanym bastardzie Henryka, którego król uczynił księciem Richmondu. Gdyby chłopiec przedwcześnie nie umarł, być może zostałby księciem Walii i następcą tronu. Edwarda nie było wtedy jeszcze na świecie, a Henryk rozpaczliwie potrzebował dziedzica; nawet bękart by się wówczas nadał. Po śmierci księcia Richmondu król nie chciał nawet słyszeć jego imienia, toteż młodziutka księżna Maria wróciła pod dach ojca, na zamek we Framlingham. Ilekroć składa wizytę na dworze, Henryk okazuje jej ciepłe uczucia - jest bowiem dostatecznie urodziwa, aby przyciągnąć jego rycerską uwagę. Nie miałam jednak pojęcia, że snuje też plany co do jej powtórnego zamęścia.

- Dlaczego właśnie ona? - pytam z niedowierzaniem.

Ktoś kłania mi się, a ja odpowiadam uśmiechem i skinieniem głowy na znak, że go dostrzegam. Pierwsi zawodnicy ustawiają się rzędem z napiętymi łukami. Księżniczka Maria zmierza ku nam.

- Z myślą o tym, by Howardowie i Seymourowie zapomnieli o dzielących ich różnicach - odpowiada cicho Tomasz. - Właściwie to dla mnie nic nowego. Taka sama propozycja padła wkrótce po tym, jak Maria owdowiała. Chodzi o to, aby Howardowie stali się powinowatymi księcia Edwarda. Księżniczka Elżbieta w ich oczach nie jest dostatecznie błękitnej krwi.

- Zatem to nie ty zabiegałeś o jej względy? - W ustach czuję smak nie mniej gorzki niż poranna ruta. Uświadamiam sobie, że to smak zazdrości.

- Ani wtedy nie zabiegałem, ani teraz nie zabiegam - zapewnia mnie w odpowiedzi Tomasz.

Czuję martwość ciała. Mam ochotę uszczyplnąć się w policzki, potrząsnąć rękoma, zatupać stopami. Siedzę na tronie niczym lodowa rzeźba. A księżniczka Maria zbliża się do nas coraz bardziej.

- Dlaczego miałbyś zabiegać? - pytam słabo.

- Taki mariaż to same korzyści - tłumaczy. - Sojusz dla połączenia rodów. Howardowie przyjaźnią się z Gardinerem i jego poplecznikami. Odtąd wszyscy bylibyśmy po jednej stronie. Skończyłaby się walka o wpływ. Wspólnie decydowalibyśmy, jak daleko ma pójść reforma Kościoła, zamiast kłócić się o to na każdym kroku. Poza tym Maria wniosłaby mi w posagu fortunę.

Nawet ja rozumiem, że to dobra partia. Maria Howard jest córką księcia i siostrą jednego z głównodowodzących w armii królewskiej, co z tego, że po stronie przegranej sprawy w Boulogne-sur-Mer. Młody Howard nie przestał być faworytem Henryka. Jeśli Tomasz się z nią ożeni, Maria pojawi się w pałacu, postara o miejsce wśród moich dworek. Będę musiała się przyglądać, jak z nią spaceruje, tańczy, szepcze. Maria będzie się wymykać z moich komnat, aby zamknąć się z nim w komnacie sypialnej, będzie opuszczać Londyn, aby dotrzymywać mu towarzystwa w Portsmouth. Będę świadkiem na ich ślubie, na własne uszy usłyszę, jak Tomasz przysięga jej miłość i wierność małżeńską. Ona zaś przyrzeknie mu żonine postuszeństwo i spolegliwość. Czuję, że tego nie zniosę. I wiem, że będę musiała.

- A co mówi na to Henryk? - zadaję podstawowe pytanie.

Tomasz uśmiecha się do mnie krzywo.

- Król powiedział, że skoro księżę Norfolk szuka dla córki męża, równie dobrze może jej znaleźć mężczyznę młodego i jurnego, który zaspokoi ją na wszystkich frontach.

- Na wszystkich frontach? - powtarzam.

- Tak się wyraził. Nie przejmuj się jednak. To było wieki temu.

- Ale przecież wciąż jest mowa o małżeństwie! - wykrzykuję cicho.

Tomasz skłania głowę, jakbym zażyła go celnym argumentem w dyskusji, do której każdy może dołączyć.

- Owszem - potwierdza.

- Co uczynisz? - pytam, zniżając znowu głos do szeptu.

- A co powinienem uczynić twoim zdaniem? - odpowiada pytaniem na pytanie, nie odrywając spojrzenia od księżniczki Elżbiety. - Jestem twój

duszą i ciałem.

- Czy jego królewska mość zaszczyca nas swoją obecnością? - dopytuje księżniczka Maria, zrównawszy się wreszcie z nami i kiwnąwszy Tomaszowi głową na powitanie.

- Tak, już tu idzie - odpowiadam.

\*

Udając się do wielkiej sali na wieczerzę na czele orszaku swoich dworek, mijam Willa Somersa. Błazen podrzuca piłkę wysoko w powietrze, po czym łapie ją do kielicha, ot, bezmyślna zabawa. Jednakże mimowolnie zwalniamy kroku.

- Chcesz spróbować? - Trefniś pyta księżniczkę Elżbietę. - To trudniejsze, niż się z pozoru wydaje.

- Niemożliwe - odpowiada księżniczka. - Widzę przecież, że to dziecinnie prosta igraszka.

Will podaje jej nową piłkę i nowy kielich.

- Spróbuj - zachęca.

Elżbieta podrzuca piłkę hen wysoko i pewnie wyciąga przed siebie rękę z kielichem. Piłka wpada do naczynia i moczy księżniczkę rozchlaną wodą. Elżbieta piszczy.

- Jestem mokra! Tonę! A z ciebie jest szelma, łotr i psubrat!

Zamiast uciec przed nią, Will opada na czworaki i zaczyna skakać po galerii z wywalonym językiem, jakby był niegrzecznym psiskiem. Elżbieta ciska weń kielichem i trafia go w zadek. Will skomli i wdrapuje się na schody, przyprawiając nas wszystkie o śmiech.

- Przynajmniej go trafiłaś - pocieszam księżniczkę i zaczynam ją osuszać podaną przez Annę chusteczką. - Dałaś z siebie wszystko.

- To szelma - powtarza Elżbieta. - Następnym razem, jak będzie przechodził pod oknem mojej sypialni, opróżnię mu na głowę nocnik.

Dworzanie oczekują naszego nadejścia przed drzwiami wielkiej sali. Henryk, znużony zawodami łuczniczymi, posila się tego wieczora w swoich komnatach.

- Co się stało? - pyta Tomasz Seymour, widząc mokre włosy Elżbiety. - Czyżbyś pływawa?

- To tylko Will Somers i jego głupie krotchwile - odpowiada księżniczka. - Ale trafiłam go kielichem.



- Mam go wyzwać na pojedynek w obronie twego dobrego imienia? - pyta ją z uśmiechem. - Mam być twoim rycerzem? Powiedz tylko słowo, a jestem na twoje skinienie.

Widzę, że Elżbieta się rumieni. Podnosi spojrzenie na Tomasza, ale nie potrafi wydusić z siebie słowa, zupełnie jak zawstydzone dziecko.

- Zwrócimy się do ciebie w potrzebie - wyręczam ją w odpowiedzi.

Tomasz kłania nam się.

- Będę wieczerzał w komnatach króla. Przyjdę do wielkiej sali potem.

Moje dworki bez jednego słowa ustawiają się w porządku nakazanym przez hierarchię. Ja pozostaję na czele, za mną idzie księżniczka Maria, za nią księżniczka Elżbieta, za nimi zaś damy dworu, którym przewodzi oczywiście Anna Seymour. Tak przechodzimy przez zatłoczoną wielką salę, podczas gdy niewiasty dygają przed nami, a mężczyźni nam się kłaniają. Gdy docieram do podwyższenia, mój szambelan pomaga mi zająć miejsce na tronie.

- Przekaż Tomaszowi Seymourowi, aby się przede mną stawił, gdy opuści już apartamenty jego królewskiej mości - rzucam szeptem.

Wieczera przebiega w znacznie szybszym tempie niż wtedy, gdy król domaga się dokładek i rozsyła co lepsze kąski swoim faworytom. Kiedy wszyscy już się posilili, podstolowie uprzątają zastawę.

W pewnej chwili przez boczne drzwi wchodzi Tomasz Seymour, który zamienia słowo czy dwa z paroma osobami, po czym stawia się przede mną, jak rozkazałam.

- Zatańczysz, wasza królewska mość? - pyta mnie.

- Nie - odpowiadam. - Wybieram się do króla. Czy był w dobrym nastroju?

- W moim odczuciu tak.

- Z pewnością będzie mnie pytał, jak długo zabawisz w Londynie...

- Możesz mu powiedzieć, że już jutro wyjeżdżam do Portsmouth.

Moja siostra oddała się poza zasięg słuchu, a Katarzyna Brandon z innymi dworkami zaczyna taniec.

- No więc? - zagaja Tomasz zniecierpliwiony. - Co myślisz o moim małżeństwie?

- Muszę wyrazić swoją opinię z kamienną twarzą, nie pokazując po sobie prawdziwych uczuć - stwierdzam.

- To prawda - przyznaje mi rację Tomasz. - Nie mamy wyjścia.

- Tak samo jak w sprawie twojego małżeństwa. - Odwracam się do niego i uśmiecham, jakbym zdobyła punkt w banalnej konwersacji.

Tomasz w odpowiedzi kiwa dwornie głową, po czym zza pazuchy dubletu wydobywa plik kartek ze szkicami omaszutowania i olinowania. Rozkłada je, jakby mi pokazywał, i nachyliwszy się, pyta:

- Zatem twoim zdaniem powinienem się z nią ożenić?

Bezwiednie przewracam kartkę.

- Owszem. Jak bowiem mógłbyś odmówić? Maria Howard jest młoda, śliczna i najpewniej płodna. Ma też niemały majątek i pochodzi z dobrego rodu. Sojusz z jej krewnymi wyjdzie na dobre tobie i twojej rodzinie. Twój brat ma prawo ci doradzać ten ślub. Po prostu nie możesz się od niego wykręcić.

- Nie mogę - przyznaje Tomasz. - Ale co będzie, jeśli odzyskasz wolność? A ja będę wtedy żonaty?

- Zostanę twoją kochanką - obiecuję bez zastanowienia. Nie zmieniam przy tym wyrazu twarzy, jak gdybym była niesłychanie zainteresowana rysunkami, które mi pokazuje. - Jeśli odzyskam wolność, a ty będziesz żonaty, zostanę twoją cudzołożną kochanicą. Nawet jeśli przypłacę to własną duszą.

Tomasz wypuszcza z płuc powietrze.

- Na Boga, Katarzyno... ależ do ciebie tęsknię.

Przez chwilę przewracamy kartki w milczeniu, po czym Tomasz znowu się odzywa.

- A jeśli będę żonaty i szczęśliwy, a ona przy nadziei i potem da mi syna i dziedzica, tak że jej chłopiec odziedziczy po mnie nazwisko i majątek, sprawiając, że szczerze ją pokocham i będę jej wdzięczny, czy i wtedy będziesz mnie chciała? Czy i wtedy okażesz taką wyrozumiałość?

Nawet mnie nie rani tym obrazem, najgorszym, jaki mógłby odmalować. Jestem nań gotowa. Zbieram kartki i oddaję je Tomaszowi.

- To już za nami - mówię mu. - Za nami zazdrość i chęć zawłaszczenia siebie nawzajem. Zupełnie jakbyśmy poszli na dno z Mary Rose: za nami nienawiść i przebaczenie, i nawet nadzieja. Jedyne, co możemy, to próbować unosić się z prądem.

- Marynarze byli w pułapce - przypomina mi. - Więziły ich sieci rozciągnięte nad pokładem, by uniemożliwić abordaż. Powinni byli skakać do wody i płynąć do brzegu, lecz poszli na dno jak kamień, tonąc we własnym grobowcu.

Odwracam głowę i mrugając, przepędzam łzy z oczu.

- Tak ja my... - mówię. - Dlatego przebieraj rękoma i nogami, póki możesz.

Oczywiście Howardowie, zawsze chętni skorzystać z okazji, już wystawili swoją Marię na sprzedaż i złożyli królowi wizytę jeszcze przed wieczszą, by poprosić o pozwolenie na jej małżeństwo z Tomaszem

Seymourem. Henryk przyjął ich w komnacie prywatnej, gdzie wieczerzał z kilkoma wielmożami. Wysłuchawszy petycji, wyraził zgodę na ponowioną propozycję. Podczas gdy ja posilałam się w wielkiej sali na oczach całego dworu, wypełniając swój obowiązek jako królowa, oni – Seymourowie i Howardowie – ustalili wspólnie z królem, że może dojść do ślubu. Kiedy ja mówiłam Tomaszowi, że jesteśmy schwytani w pułapkę niczym tonący marynarze, Henryk pił zdrowie młodej pary.

Wieści te przynosi do moich komnat Anna Seymour. Jej mąż powiedział, że najjaśniejszego pana cieszy perspektywa dwóch najznacznějších rodów Anglii po słowie, dzięki czemu zapanuje między nimi wreszcie zgoda, jak również perspektywa powtórnego zamążpójścia byłej synowej.

– Wiedziałaś o tym, miłościwa pani? – pyta mnie, nie kryjąc ciekawości, jątrów Tomasa. – Jego królewska mość rozmawiał o tym z tobą?

– Nie – odpowiadam. – Pierwsze słyszę.

Anna Seymour nie posiada się z radości, że wie o czymś przede mną. Pozwalam jej na ten mały tryumf.

– I dobrze – kwituje moja siostra, gdy udajemy się do komnaty sypialnej przed wieczorną modlitwą.

– Co: dobrze? – pytam lekko poirytowana, zasiadając przed lustrem i spoglądając na swoje blade odbicie.

– I dobrze, że Maria Howard zejdzie nam z oczu. Król ją lubi, a Howardowie to rodzina, która nie powstrzyma się przed niczym, byle zaspokoić swoje ambicje. Tacy jak oni nie mają skrupułów.

– Maria jest wdową po nieżyjącym synu Henryka z nieprawego łoża – przypominam, siłąc się na cierpliwość. – Raczej mało prawdopodobne, aby budziła w królu gorętsze uczucia.

– Po pierwsze, Maria jest śliczną młódką. Po drugie, Howardowie podsunęliby królowi własną babkę, gdyby to odpowiadało ich interesom – wyjaśnia Anna, za nic mając mój zły nastrój. – Gdybyś widziała ich za czasów Boleynówny, gdybyś widziała ich za czasów pozostałych ślicznotek z rodu Howardów... bo musisz wiedzieć, że Katarzyna Howard była tylko jedną z wielu... Gdybyś ich wtedy widziała, to dziś cieszyłabyś się, że Maria Howard zniknie nareszcie z obrazka.

– Och, cieszę się – odpowiadam zimno.

Anna czeka, aż panna dworska odniesie brokatowe rękawy do wypachnionej skrzyni pod oknem, po czym zwraca się znów do mnie.

– Zatem nie żałujesz go? – pyta bardzo cicho.

– Skądże – odpowiadam jasno i wyraźnie. – Nie żałuję go ani trochę.

Tomasz opuszcza pałac, nie rozmawiając ze mną więcej, tak że nie wiem, czy udaje się prosto do Portsmouth czy zahacza o Framlingham w hrabstwie Suffolk, aby poczynić ustalenia dotyczące ślubu. Czekam, aż ktoś mi powie, że Tomasz Seymour złowił bogatą dziedziczkę i przystąpił do sprawy reformy, zawiązując sojusz między Seymourami i Howardami, dzięki czemu wszyscy na dworze będziemy mogli czuć się pewniej, gdyż wyjęcie Howardów spod skrzydeł Gardinera musi się przełożyć na nasze bezpieczeństwo przy malejących wpływach biskupa. Czekam, by Anna Seymour pochwaliła się przede mną, że doszło do ślubu i konsumpcji małżeństwa przez jej dziewierza. Jednakże ona milczy, a mnie nie wypada pytać. Właściwie nie pytam ze strachu, bojąc się tego, co usłyszę.

Kiedy przebieram suknię przed wieczerzą, do drzwi komnaty sypialnej puka Katarzyna Brandon. Wszedłszy do środka, odprawia panny dworskie gwałtownym ruchem dłoni. Moja siostra szuka ponad moim ramieniem mego spojrzenia w lustrze. Od dawna wypatruje oznak, że Katarzyna Brandon nabrała pewności dzięki przychylności króla.

- To ważna sprawa - odzywa się ostro przybyła.

- O co chodzi? - pytam.

- Tomasz Howard, młodszy syn księcia, został wezwany przed oblicze rady królewskiej. Odbywa się przesłuchanie dotyczące religii.

Unoszę się lekko na krześle, po czym znowu na nie opadam.

- Religii... - powtarzam głucho.

- Trwa dochodzenie - ciągnie Katarzyna Brandon. - Akurat wychodziłam od króla i zajrzałam przez uchylone drzwi komnaty rady. Usłyszałam, że Tomaszowi postawiono zarzuty i że biskup Bonner będzie meldował bezpośrednio z ziem Howardów w Esseksie i Suffolku, dokąd pojechał, by zbierać dowody przeciwko młodemu Howardowi.

- Jesteś pewna, że chodzi o Tomasza Howarda? - dopytuję, obawiając się o miłość mego życia.

- Tak. Panowie rada wiedzą już, że wysłuchiwał kazań i studiował razem z nami księgi. Biskup Bonner dokonał przeglądu wszystkich jego papierów w domu.

- Edmund Bonner biskup Londynu? - upewniam się, wymieniając nazwisko mężczyzny, który przesłuchiwał też Annę Askew, zwolennika starego Kościoła, poplecznika biskupa Gardinera, człowieka niebezpiecznego, mściwego i zapiekłego. Moje wpływy i władza zmusiły go do puszczenia Anny Askew wolno, jednakże mało kto oparł się jego zarzutom i zazwyczaj każdy przyznaje się do winy, cokolwiek mu się zarzuca w pałacu biskupim.

Tylko nieliczni wychodzą z tego niepoturbowani.

– Właśnie on – potwierdza Katarzyna Brandon.

– Słyszałaś, co miał do przekazania?

– Nie – odpowiada i aż klaska w dłonie z frustracji. – Król nie spuszczał mnie z oka. Nie mogłam się zatrzymać i podsłuchiwać pod drzwiami. Dowiedziałam się tylko tyle. Nic więcej nie wiem.

– Ktoś musi wiedzieć – mówię. – Zawołajcie Annę Seymour.

Katarzyna Brandon w pośpiechu opuszcza komnatę, po czym z zewnątrz dolatuje urwana nuta lutni, kiedy Anna Seymour odkłada instrument i wchodzi do środka, zamykając za sobą szczelnie drzwi.

– Czy twój mąż mówił ci coś o przesłuchaniu Tomasza Howarda? – zwraca się do niej bez ogródek moja siostra.

– Tomasza Howarda? – powtarza Anna i kręci głową.

– W takim razie wracaj do swoich komnat i dowiedz się, co knuje rada – rzuca gniewnie moja siostra. – Bo tak się składa, że Edmund Bonner węszy w majątkach Howardów za heretykami, rada królewska zaś przesłuchuje Tomasza Howarda pod zarzutem herezji, a wszem wobec wiadomo, że wysłuchiwał kazań razem z nami. Wszyscy wiedzą, że Edmund Bonner uwolnił Annę Askew dlatego, że jej królewska mość się za nią wstawiła. Jakże on śmie teraz poddawać przesłuchaniom innych naszych przyjaciół? Czyżbyśmy straciły na znaczeniu, nawet o tym nie wiedząc? A może to Gardiner zwrócił się przeciwko Howardom? Co się właściwie dzieje?

Anna Seymour wodzi spojrzeniem od mojej pobladłej twarzy do zaczerwienionego z emocji oblicza mojej siostry.

– Zaraz się dowiem – obiecuje. – Wrócę, jak tylko będę coś wiedziała. Ale być może porozmawiam z nim spokojnie dopiero przy wieczerzy...

– Idź już! – ponagla ją moja siostra i Anna Seymour, zazwyczaj nieskora do pośpiechu i wypełniania czyichś poleceń, wybiega prędko z komnaty.

Tymczasem moja siostra naskakuje na mnie.

– Twoje książki – wymienia – twoje dokumenty, twoje nowe dzieło...

– Do czego zmierzasz?

– Trzeba je zebrać i wynieść z pałacu.

– Anno, nikt nie będzie przeszukiwał moich komnat! A książki otrzymałam od króla. Studiuję jego własne pisma, jego komentarze. Wspólnie dokończyliśmy pracy nad liturgią. Te sprawy leżą w kręgu zainteresowań Henryka, nie tylko moich. Najjaśniejszy pan planuje sojusz z luteranскими książętami przeciwko katolickim monarchom. Odwodzi Anglię od Rzymu i skłania się ku reformie...

Moja siostra wpada mi w słowo, w ferworze zapominając o szacunku,

który jest mi winna.

- Liturgia, tak, możesz nad nią pracować, póki jesteś w zupełnej zgodzie z Henrykiem. Ale „Lamentacje”? Co z nimi? Czy król uzna je za zgodne ze swoim katechizmem? A może jednak twoje tworzone w sekrecie dzieło zostanie uznane za heretyckie w obliczu prawa?

- Ależ prawo bez przerwy się zmienia! - wykrzykuję. - Wciąż i nieustannie!

- To nie ma znaczenia. Prawo pozostaje prawem. A ty, tworząc, wykraczasz poza jego ramy.

Milknę.

- Dokąd mam odesłać swoje papiery? - pytam po chwili. - Gdzie będą bezpieczne? Mam je dać na przechowanie komuś w Londynie? Może arcybiskupowi Cranmerowi?...

- Wyślij je do naszego stryja - rozsądza Anna. Widzę, że już wszystko sobie przemyślała, że w strachu zastanawiała się nad tym od dawna. - Stryj je przechowa. Ukryje je i będzie miał dość odwagi, aby się ich wyprzeć w razie czego. Spakuję wszystko podczas wieczerzy.

- Tylko zostaw moje notatki na temat kazań! I przekłady Ewangelii! Potrzebuję jednych i drugich. Właśnie pracuję nad...

- Jak wszystko, to wszystko - rzecze gwałtownie Anna. - Wszyćciusieńko, nie licząc może tylko Biblii i pism Henryka.

- Nie będziesz na wieczerzy?

- Straciłam apetyt - oznajmia. - Idź sama!

- Jeszcze nigdy nie przegapiłaś posiłku - zauważam, starając się nadać głosowi wesoły ton. - Wiecznie chodzisz głodna.

- Gdy mieszkałam w opactwie z Katarzyną Howard, po tym jak ją pojmano, też nie miałam ochoty na jedzenie. Żołądek mi się ścisnął ze strachu. Tak jak teraz.

\*

Henryk wieczerza w wielkiej sali na oczach całego dworu, posyłając najsmaczniejsze kęski swoim faworytom i unosząc kielich w toaście razem ze swymi przyjaciółmi. W pomieszczeniu jest gęsto od ludzi, jako że są obecni wszyscy członkowie rady królewskiej, którzy zgłodzieli i nabrali apetytu podczas przesłuchiwania Tomasza Howarda. Nie brakuje takich, co by chętnie zobaczyli, jak potomek tego wspaniałego rodu spada w nicość

lochu i wychodzi po jakimś czasie z utartym nosem. Ci, którzy poczuli się urażeni, widząc, jak książę Norfolku nieustannie rośnie w siłę, z przyjemnością patrzą teraz na upokorzenie jego młodszego syna. Nawet reformiści nie mają nic przeciwko temu, by choć jeden Howard trochę się powił na haczyku. Wierni starej religii zaś płoną nienawiścią do gorliwego uczonego. Jedno szybkie spojrzenie, którym omiatam wielką salę, mówi mi, że Tomasz Howard jest na niej nieobecny. Nie ma go ani przy stole Howardów, ani przy ławie dla młodszego pokolenia. Ciekawe, gdzie może być?...

Jego ojciec, stary książę Norfolku, zasiada obojętnie u szczytu rodzinnego stołu, powstając z toastem, gdy król posyła mu wielki udziec wołowy, i kłaniając mi się z szacunkiem. Z jego twarzy nie sposób wyczytać, jakie myśli krążą mu po głowie. Bez wątpienia sprzyja Rzymowi i jest wierny mszy świętej, choć zaparł się własnych przekonań i wziął udział w Pielgrzymce Łaski. Chociaż sercem był po stronie pielgrzymów, którzy stanęli zbrojnie po stronie Kościoła katolickiego i walczyli pod sztandarem pięciu ran Chrystusowych, ogłosił stan wojenny, zignorował królewski pardon i wybił ich co do jednego w rodzinnych wioskach. Powiesił setki, a może nawet tysiące niewinnych ludzi, odmawiając im pochówku w poświęconej ziemi. Jakiegokolwiek ma przekonania, czemukolwiek jest wierny, uczyni wszystko, by nie stracić miejsca u boku króla, gdzie pozycją i majątkiem ustępuje tylko przed nim. Widocznie postanowił, że jego ród wybije się na świetność i nie będzie miał sobie równych w całej Anglii.

Nie pojmuję, czemu taki człowiek, głowa takiego rodu, jest gotów sprzedać rodzoną córkę Seymourom. Wcześniej Maria Howard wyszła za królewskiego syna z nieprawego łoża, z którym nikt nie mógł się równać. Spodziewam się, że stary Howard jak zwykle myśli jedno, a robi drugie. Ale co mu chodzi po głowie, gdy opowiada się za tym małżeństwem? Co będzie musiał uczynić Tomasz Seymour, gdy już zostanie zięciem księcia?

I jak to możliwe, że ów książę w tym samym czasie, gdy rada królewska przesłuchuje jego młodszego syna, posila się przy królewskim stole, jakby nie miał ani jednej troski? Jak to możliwe, że zastanawiając się gorączkowo, gdzie jest Tomasz, równocześnie pewną ręką unosi kielich w stronę Henryka? Nie potrafię go rozgryźć. Nie potrafię przejrzeć, jaką rozgrywkę toczy na tym dworze składającym się z samych hazardzistów.

Po wieczerzy mają się odbyć tańce z maskaradą. Tron Henryka, wraz z podnóżkiem, jest już ustawiony na podwyższeniu. Ja stoję u boku męża. Dworzanie tworzą korowód, Will Somers fika koziołki, a muzycanci stroją instrumenty. W końcu uderzają w struny i rozpoczyna się przedstawienie.

Równocześnie za moimi plecami staje Anna Seymour, której słowa tłumi muzyka. Nachyliwszy się, szepcze mi wprost do ucha:

– Tomasz Howard ma szansę oczyścić się z zarzutów pod warunkiem, że wyzna, iż w twoich komnatach dochodzi do szerzenia herezji. W przeciwnym razie, jeśli nie okaże się pomocny, zostanie postawiony w stan oskarżenia. Ponoć ma tylko wymienić nazwiska tych, którzy kazali dla ciebie, a także powiedzieć, co takiego mówili.

Przypomina to upadek z konia: wszystko nagle spowalnia, a ja pojmuję, gdzie to się zaczęło i czym się skończy, pomiędzy jednym uderzeniem serca i drugim. Czuję się tak, jakby wszelki ruch zamarł, jakby mój mały złoty zegar stanął, kiedy Anna Seymour przekazuje mi, że rada królewska tylko patrzy, jak by mnie tu oskarżyć o herezję, tropiąc pilnie każde moje słowo. Tomasz Howard to jedynie płotka, która ma ich doprowadzić do mnie. Zaledwie przystawka. Ja jestem ich daniem głównym.

– Kazali mu mnie wskazać? – pytam, zerkając na męża, którzy uśmiecha się do tancerzy i wystukuje rytm na podłokietniku, całkowicie nieświadom mego przerażenia. – Czy król był przy tym? Czy król był na spotkaniu rady? Czy wszystko zostało powiedziane pod jego obecność? Czy to sam Henryk kazał mu wskazać mnie jako heretyczkę? Polecił im mnie oskarżyć?

– Nie, Bogu niech będą dzięki. Nie król.

– Zatem kto?

– Wriothesley.

– Lord kanclerz?

Anna Seymour, wstrząśnięta, potakuje skinieniem.

– Pierwszy par królestwa, najwyższy urzędnik strzegący prawa, rozkazał synowi księcia wskazać cię jako heretyczkę.

Odwołuję kaznodziejów, którzy mieli prawić w moich komnatach, i zamiast nich wzywam królewskich kapelanów, aby czytali nam Biblię. Nie proszę, by komentowali czy wiedli dyskusje, a moje dworki przysłuchują się w nabożnym milczeniu, jakby żadna z nas nie była zdolna do samodzielnego myślenia. Nawet gdy ustęp jest wielce zajmujący i normalnie wywołałby burzę głosów, nie mówiąc o nowym przekładzie z greckiego, potakujemy niczym stadko katolickich zakonnic, które godzą się z wyrokami Boga tak samo jak mężczyzny, jak gdyby nie miały własnego rozumu.

Kiedy udajemy się do kaplicy przed wieczerzą, Katarzyna Brandon, obecna ulubienica króla, kroczy obok mnie.

– Wasza królewska mość, obawiam się, że mam złe wieści...



- Mów.

- Londyński księgarz, który zaopatrywał mnie latami w księgi, został aresztowany za herezję.

- Przykro mi to słyszeć – odpowiadam spokojnie. – Bardzo mi przykro z powodu nieszczęścia twego przyjaciela.

Pilnuję się przy tym, by nawet na moment nie zgubić kroku, gdy tak idziemy, ramię w ramię, na mszę. Do tego skłaniam głowę na lewo i prawo, odpowiadając na pokłony dworzan.

- Nie proszę cię o wstawiennictwo. Ostrzegam cię. – Katarzyna Brandon musi drobić, żeby za mną nadążyć. – Ów człowiek, ów dobry człowiek, został aresztowany na rozkaz rady królewskiej, w którym został wymieniony z imienia i nazwiska. To John Bale. Przewozi księgi z Flandrii...

Unoszę dłoń.

- Lepiej, żebyś mi o niczym nie mówiła.

- Sprzedał nam Testament po francusku, który jest teraz w twoich zbiorach – kontynuuje moja dworka. – I angielski przekład Nowego Testamentu autorstwa Tyndale'a. Jeden i drugi jest obecnie zakazany...

- Nie mam żadnej z tych ksiąg – oświadczam. – Rozdałam je wszystkie. Ty także powinnaś się pozbyć swoich, Katarzyno.

Sprawia wrażenie nie mniej przestraszanej.

- Za życia mojego męża biskup Gardiner nie ważyłby się aresztować mojego księgarza – zauważa.

- Wiem – przyznaję jej rację. – Najjaśniejszy pan nigdy by nie pozwolił, by ludzie pokroju Wriothesleya przesłuchiwali księcia Suffolku.

- Król miłował Charlesa Brandona – dopowiada Katarzyna. – Za jego życia byłam bezpieczna.

Domyślam się, że podobnie jak ja, moja dworka zastanawia się, czy i mnie król miłuje.

# PAŁAC W GREENWICH LATO 1546 ROKU



Ceremoniał dworski trwa nieprzerwanie, podczas gdy ja – niegdyś śmiało na jego czele – obecnie czuję się jego więźniem. Stawiam kroki niepewnie niczym koń z klapkami na oczach, wyrywając się do przodu tylko tyle, ile pozwalają cugle, ślepa na zewnętrzny świat poza moim ograniczonym polem widzenia. Przenosimy się do Greenwich dla tutejszych ogrodów i ich piękna latem, wszakże król niemal nie opuszcza wnętrza pałacowych. Róże kwitną w altanach, on jednak nie wacha ich ciężkiego aromatu wieczorami. Dworzanie flirtują i zabawiają się, on jednak nie wykrzykuje zachęt ani nie rozdaje nagród. Pływamy łódkami, łowimy ryby, jeździmy wokół turka, ścigamy się i tańczymy. Ja muszę brać udział w każdej rozrywce, muszę się uśmiechać do zwycięzców i podtrzymywać iluzję dworskiego życia, nie wypadając z kolein. Równocześnie mam świadomość szeptanych pogłosek o tym, że król jest niezdrów i że nie chce mnie widzieć u swego boku; że jest starcem złożonym chorobą i że ja – jego młoda żona – bawię się, gram w *jeu de paume* i strzelam z łuku.

Mój medyk odwiedza mnie, gdy jestem w ptaszarni. Dwie pary kanarków założyły gniazdo i teraz w jednej z klatek jest rząderek prześlicznych młodych, które otwierają dzióbki jak jeden mąż i prężą swoje blade krótkie

skrzydełka.

- Nic mi nie dolega - zbywam go poirytowana. - Nie posyłałam po ciebie. Mam się świetnie. Z pewnością cię widziano w drodze tutaj, zatem przekaż wszystkim, że czuję się wybornie i że nie potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście, wasza królewska mość - odpowiada uniżenie doktor Robert Huicke. - To ja chciałem się z tobą zobaczyć. Widzę przecież, że jesteś zdrowa i kwitnąca.

- Czego chcesz? - pytam, zamykając drzwiczki klatki i odwracając się do niego.

- Chodzi o mojego brata... - zaczyna.

Natychmiast mam się na baczności. Brat doktora Huicke'a jest znanym reformistą i uczonym. Przysłuchiwał się kazaniom w moich komnatach, posyłał mi nawet książki z Londynu.

- O Williama?

Medyk przytakuje skinieniem.

- Został aresztowany. Na rozkaz rady królewskiej, w którym wymieniono jego nazwisko. Tylko jego, poza tym nikogo z jego kręgu.

- Przykro mi to słyszeć.

Niebieska papużka przesuwa się na żerdce, jakby chciała lepiej słyszeć. Podaję jej nasiono, które ujmuje najpierw łapką, potem dzióbkiem i tak sobie ustawia, aby je zmiażdżyć i wyjeść środek. Łupinę rzuca na ziemię, po czym przechyla łepkę i przygląda mi się badawczo mądrymi ślepkami.

- Pytali go o twoje przekonania, wasza królewska mość. Jakich autorów cytujesz, jakie księgi czytasz, z kim jeszcze wysłuchujesz kazań. Przeszukali nawet jego dom w poszukiwaniu jakichś twoich pism. Podejrzewają, że zaniósł je do drukarza. Obawiam się, że zbierają dowody przeciwko tobie.

Wzdrygam się, jakby było mi zimno, mimo że panuje piękna letnia pogoda.

- Możesz mieć rację... - mówię cicho.

- Mogłabyś się wstawić u najjaśniejszego pana za moim bratem? Wiesz przecież, że żaden z niego heretyk. Ma swoje przemyślenia na temat religii, ale nigdy by nie wystąpił przeciwko opiniom króla.

- Przemówię za nim, jeśli będę miała okazję - obiecuję ostrożnie. - Wszelako chyba sam widzisz, że obecnie nie mam wielkich wpływów. Biskup Gardiner i jego przyjaciele, książę Norfolku, lord kanclerz i William Paget, niegdyś jednomyślni ze mną, obecnie zwracają się przeciwko nowej religii, a ich znaczenie rośnie z każdym dniem. W dodatku teraz, gdy król jest słaby i cierpiący, to oni mają wstęp do jego komnat. To oni są jego doradcami, nie ja.

- Porozmawiam z doktorem Wendym – decyduje medyk. – Czasami konsultuje się ze mną w sprawie zdrowia najjaśniejszego pana. Być może zdoła wspomnieć imię mego brata i poprosić o łaskę, w razie gdyby doszło do oskarżenia.

- Może wszystkie te aresztowania i przesłuchania mają nas tylko zastraszyć – stwierdzam. – Może biskup Gardiner pragnie nas tylko przestrzec.

Papuzka pochyła i podnosi łypek, jakby tańczyła. Domyślam się, że chce więcej nasion, i podaję jej kolejne. Ujmuje je delikatnie i poprawia w dzióbku czarnym językiem, podczas gdy doktor Huicke kontynuuje:

- Mam nadzieję, że to prawda. Słyszałaś już o przypadku Johanne'a Bette? Kręcę głową.

- To współwyznawca, brat jednego z twoich gwardzistów. Są jeszcze bracia Worley, Richard i John, którzy także zostali zabrani z domu na przesłuchanie. Niech Bóg się zlituje nad nieszczęsnym Johanne'em, który został skazany na śmierć. Jeśli to faktycznie przestroga, to wypisana najczarniejszym inkaustem i wymierzona bezpośrednio w ciebie, miłośnica pani. To twoich ludzi przesłuchują. To twoich ludzi posyłają na szafot.

\*

Z zaciemnionych komnat królewskich nadchodzi wieść: najjaśniejszy pan zaniemógł. Gorączka obejmująca chorą nogę atakuje mózg i wszystkie stawy. Doktor Wendy uwija się przy Henryku, wypróbowując coraz to nowe medykamenty – poza tym drzwi są zamknięte niemal dla wszystkich. Dochodzą nas słuchy, że stawiają mu bańki, upuszczają mu krwi, to otwierają, to zasklepiają ranę, wciskając w nią sztabki złota, a następnie przemywając dzbanami soku cytrynowego. Król jęczy z bólu, ustawiają więc strażników u drzwi komnaty gościnnej i na galeriach powyżej, aby nikt nie usłyszał jego szlochów. Henryk nie pyta o mnie, nie odpowiada nawet na moje życzenia zdrowia, a ja sama nie mam śmiałości zajrzeć do jego komnat bez zaproszenia.

Moja siostra milczy, ja jednak wiem, że wspomina chwile, w których Henryk przebywał w odosobnieniu, podczas gdy jego ludzie przetrząsali rzeczy i księgi rachunkowe Katarzyny Howard w poszukiwaniu liścików i dowodów płatności czy prezentów dla Tomasza Culpeppera. Podobnie jak wtedy, król ukrywa się w swoich komnatach, nasłuchując, obserwując, nigdy jednak się nie zdradzając z tym, co naprawdę myśli.

W niektóre ranki budzę się przekonana, że przyjdą po mnie w ciągu dnia, że wejdę na pokład mojej barki, mojej nowiuteńkiej barki, którą król podarował mi z taką radością, i zostanę na niej powieszona w górę rzeki, do Tower. Wpłynę za mury twierdzy londyńskiej bramą wodną na rosnącej fali, by dać się powieść nie do apartamentów królewskich, lecz do celi z widokiem na łąkę zieleni, na którą muszą patrzeć wszyscy skazańcy. Kilka dni później zobaczę, że budują tam szafot, i zrozumieć, że to dla mnie. Na koniec złoży mi wizytę spowiednik, który uprzedzi mnie, że powinnam się szykować na śmierć.

W takie dni mam kłopoty ze wstaniem z łóżka. Moja siostra i moje dworki odziewają mnie, jakbym była lalką o zastygłych rysach. Zachowuję pozory królowania, chadzam do kaplicy, jadam na oczach całego dworu, spaceruję wzdłuż rzeki i rzucam piłkę spanielowi, przyglądając się swawolom dworzan, jednakże twarz mam spiętą, a oczy szklane. Obawiam się, że gdy przyjdzie dzień aresztowania, ściągnę na swoją głowę wstyd. Nigdy nie znajdę w sobie dość odwagi, by wspiąć się na szafot. Nigdy nie przemówię tak, jak przemówiła Anna Boleyn. Nogi mnie zawiodą, tak że będą musieli wepchnąć mnie na podwyższenie, jak to było z Katarzyną Howard. Nie będę jednak walczyć o życie jak Małgorzata Pole. Nie pójdę też na śmierć w swym najlepszym stroju jak biskup Fisher. Nie nadaję się na szafot tak samo, jak nie nadaję się do tego małżeństwa. Zawiodę w chwili śmierci tak samo, jak zawiodłam na tronie.

W inne dni budzę się radosna w przekonaniu, że Henryk robi to, co uważa za najlepszy sposób rządzenia: rozgrywa jedną stronę przeciwko drugiej, zachowuje swoje myśli i opinie tylko dla siebie, jest mistrzem psych walk i pozwala kundlom się zagryzać na własnych oczach. Zapewniam się, że Henryk tylko tak mnie dręczy, gdyż to lubi najbardziej. W końcu mu się polepszy i wtedy pośle po mnie, będzie wychwalał znów moją urodę i przypominał mi, że w porównaniu z nim żaden ze mnie uczonec, będzie mnie obsypywał diamentami zrabowanymi z pectorału, opowiadał mi, że jestem najśodsza żoną, o jakiej może marzyć mężczyzna, i kazał mi nosić suknie nieżyjących królowych.

- Aresztowano George'a Blagge'a - informuje mnie cicho Anna, gdy idziemy pewnego ranka do kaplicy. Potykam się, a ona łapie mnie za rękę. - Przyszli po niego zeszłej nocy.

George Blagge to otyły, pospolity awanturnik, który zdobył względy króla z powodu paskudnego krągłego oblicza i zwyczaju parskania śmiechem na najmniej wyszukany żart. Niektórzy układają dowcipy tylko po to, by zobaczyć, jak Blagge rechocze, stopniowo czerwieniejąc na twarzy

i śmiejąc się coraz głośniej. Henryk nazywa go „swoim ulubionym wieprzem”, a Will Somers potrafi go udatnie naśladować, co jest niemal równie zabawne jak oryginał. Okazuje się jednak, że w wypadku George’a Blagge’a żarty się skończyły...

– Co takiego uczynił? – pytam.

George Blagge nie jest głupcem, mimo że rzy jak koń. W poważniejszych chwilach nawiedzał moje komnaty i wysłuchiwał prawionych dla mnie kazań. To jeden z tych ludzi, którzy mało mówią, ale wiele myślą. Nie wierzę, aby kiedykolwiek powiedział coś, co uraziło króla – w oczach Henryka jest kompanem do zabawy, nie filozofem ani teologiem.

– Twierdzi się, że wyraził się lekceważąco o mszy świętej, po czym wybuchnął śmiechem – szepcze moja siostra.

– Wybuchnął śmiechem? – Spoglądam na nią tępo. – Przecież od tego właśnie jest, to podoba się w nim królowi.

– Okazał brak szacunku – upiera się Anna – i został oskarżony o herezję.

– Za parsknięcie śmiechem?

Moja siostra potakuje skinieniem.

John Dudley, baron Lisle, człowiek przybierający na znaczeniu i zwolennik reformy, wraca do domu z Francji z traktatem pokojowym za pazuchą. Przez cały czas, gdy Stephen Gardiner układał się z cesarzem, dążąc do pokoju z Hiszpanią i wydając reformistów na śmierć w zamian za odnowioną zgodę z papieżem, John Dudley w sekrecie spotykał się z francuskim admirałem, wykuwając porozumienie, na mocy którego mamy na dekady z rządu zatrzymać Boulogne-sur-Mer, do tego otrzymując od Francuzów sowite zadośćuczynienie. Winien być to moment tryumfu dla Johna Dudleya, dla Seymourów i wszystkich, którzy jesteśmy za reformą Kościoła. Zwyciężyliśmy w wyścigu po pokój; doprowadziliśmy do przymierza z Francją, a nie papistowską Hiszpanią.

Bohater dnia przychodzi do mych komnat po należne gratulacje. Towarzyszy mi w tej chwili księżniczka Maria, która robi dobrą minę do złej gry, godząc się z przypadłą perspektywą na sojusz z ojczyzną jej matki.

– Chyba więc – zwracam się do Johna Dudleya – skoro zawarliśmy pokój z Francuzami, najjaśniejszy pan nie będzie dążył do przymierza z niemieckimi książętami i Elektoratem Palatynatu?

Wystudiowana obojętność na twarzy Marii mówi mi, że księżniczka z wielkim niepokojem wyczekuje odpowiedzi na to pytanie.

– Istotnie, jego królewska mość nie potrzebuje już przyjaźni niemieckich

ksiąząt – potwierdza John Dudley. – Trwały pokój z Francuzami w zupełności mu wystarczy.

– Może zatem nie będzie żadnych zaręczyn – szepczę do Marii na stronie.

Kolor wraca jej na lica. Odprawiam ją gestem, aby mogła dojść do siebie w zaciszu okiennej ambrazury. Jednakże ledwie księżniczka Maria stanie odwrócona do nas tyłem, uśmiech spęta z oblicza Johna Dudleya.

– Najjaśniejsza pani, co u Boga Ojca tutaj się wyprawia?

– Król aresztuje tych, którzy sprzyjają reformie – odpowiadam cicho. – W lochach znikają dworzanie i wierni z londyńskich świątyń. Nie sposób się połapać. Jednego dnia ktoś siedzi przy wieczerzy, drugiego już go nie ma.

– Gdy usłyszałem, że Nicholas Shaxton został wezwany do stolicy, gdzie ma odpowiedzieć na zarzut herezji, nie wierzyłem własnym uszom. Przecież to były biskup Salisbury! Nie można aresztować biskupa!

Na mojej twarzy maluje się szok. Nie miałam o niczym pojęcia. Aresztowanie kościelnego hierarchy przywraca nas do mrocznych czasów świętych męczenników, gdy ludzie pokroju Johna Fishera szli na szafot. A przecież Henryk poprzysiągł, że już nigdy nie dopuści do podobnego okrucieństwa.

– Z kolei biskup Hugh Latimer, który prawił dla mnie w czas Wielkiego Postu, musi się tłumaczyć przed radą królewską z dobieranych tematów – informuję Johna Dudleya.

– Odkąd to panowie rada zajmują się teologią? Czyżby chcieli prowadzić dyskurs z Latimerem? Jeśli tak, życzę im powodzenia.

– Stephen Gardiner może podjąć rękawicę – prostuję. – Stoi na straży sześciu artykułów wiary, co nie jest szczególnie trudnym zadaniem, zważywszy, że obecnie broni ich nawet prawo.

John Dudley załamuje ręce.

– Sześć artykułów wiary to najprostsza droga do papizmu! – wykrzykuje. – Sam król powiedział...

– Obecnie to one są wyrazem przekonań króla – wpadam mu w słowo.

– Na razie!

Zwieszam głowę, nic nie mówiąc.

– Wybacz, wybacz – kaja się John Dudley. – Po prostu mam wrażenie, że jak tylko Seymourowie, Cranmer i ja oddalimy się z pałacu, biorą go w posiadanie księża starej daty, po czym wracając, zastajemy całkowicie odmienną sytuację, jakby wszystkie nasze osiągnięcia na rzecz reformy przepadły z kretesem. Nie możesz temu zaradzić?

– Ostatnimi czasy nawet nie widuję króla. Nie jestem w stanie prosić go o łaskę dla pojmanych, ponieważ mnie nie przyjmuje. Drzę na myśl, co mu

o mnie opowiadają...

John Dudley kiwa głową.

- Zobaczę, co da się zrobić - obiecuje. - Tymczasem powinnaś chyba zarzucić swoje studia.

- Pozbyłam się ksiąg - przyznaję z goryczą. - Widzisz puste półki? Nie zatrzymałam nawet własnych zapisków...

Myślałam, że odpowie, iż niepotrzebnie zniszczyłam swoje zbiory. On jednak tylko pyta:

- Zaprzeształaś kazań i dysput?

- Wysłuchujemy teraz wyłącznie królewskich kapelanów, których kazania są niemożliwie nudne.

- Jaki temat poruszają?

- Żoninego posłuszeństwa - odpowiadam sucho, lecz nawet to nie wywołuje uśmiechu na twarzy Johna Dudleya.

Hugh Latimer, wezwany w charakterze podejrzanego przed oblicze rady królewskiej, dla której niegdyś przemawiał jako autorytet, przyznaje, że prawił dla mnie kazania, czemu nie da się zaprzeczyć, jako że wysłuchiwała ich połowa żon panów rady, ba, nawet kilku z nich pojawiło się w moich komnatach. Nie zgadza się jednak z zarzutami, aby podejmował tematy ocierające się o herezję czy bliskie reformie. Utrzymuje, że głosił Słowo Boże, nie wykraczając poza dozwolone przez Kościół ramy. Puszczają go wolno, ale już nazajutrz aresztują kolejnego kaznodzieję z moich apartamentów. Doktor Edward Crome zostaje oskarżony o negowanie istnienia czyśca.

Nie ma innego wyjścia, jak tylko się przyznać. Oczywiście, że neguje istnienie czyśca. Gdyby ktoś zapytał o to samo mnie lub inną osobę z odrobiną oleju w głowie, odparlibyśmy, że nigdzie nie ma żadnych dowodów na istnienie tego miejsca. Niebo - owszem, istnieje, mówi o nim nawet nasz Pan. Piekło również, przecież to na męki w nim skazuje grzeszników. Nigdzie jednak w całej Biblii nie ma wzmianki o jakimś cudacznym miejscu, w którym dusze muszą czekać na wybawienie od mąk poprzez darowiznę na rzecz Kościoła czy też zamawianie mszy w klasztorach z piejącymi zakonnikami. Nie ma o tym słowa ani w Piśmie Świętym, ani w pismach uczonych teologów. Skąd zatem wziął się ów osobliwy pomysł? Odpowiedź jest jasna: pomysłodawcą był sam Kościół, łasy na pieniądze pogrążonych w żałobie wiernych i przesytych strachem umierających grzeszników. Przecież sam Henryk kazał rozwiązać klasztory i zburzyć kaplice.



Jak więc mogłby istnieć czyściec?

A jednak to właśnie Henryk stoi za tymi aresztowaniami, to on – poczynając od wiosny – każe zatrzymywać uczonych, kaznodziejów i ludzi ze mną związanych. Rada królewska prowadzi dochodzenia, wyłania najbardziej podejrzanych, żąda wyjaśnień, lecz nie kto inny jak Henryk wskazuje, kogo należy wtrącić do lochu. Podpisuje nakazy własnoręcznie, gryzmołąc na pościeli łoża, z którego się nie rusza, bądź poleca zaufanym dworzanom, takim jak Anthony Denny czy John Gates, użyć jego pieczęci zanurzonej w inkauscie. Tak czy owak, w obu tych wypadkach, spisy zatrzymanych są mu przedstawiane do aprobaty. Zatem nawet jeśli jęczy z bólu, nawet jeśli na wpół śpi, nawet jeśli jest otumaniony lekami i mocnym winem, wie o wszystkim. Tu nie chodzi o spisek papistów, którzy by działali za plecami króla na zgliszczenie moją i reformy, wykorzystując chorobę i słabość monarchy. Ewidentnie to sam Henryk zleca działania skierowane przeciwko moim przyjaciółom, a być może także przeciwko mnie. To król swoim zwyczajem napuszcza na siebie psy, stawiając fortunę w zakładzie, który ujdzie z życiem. Przedkłada nade mnie, swoją żonę, moich wrogów, zmusza mnie, abym rzuciła im się do gardeł...

– Jest tutaj. Anna Askew jest tutaj, teraz! – Joan Denny wpada do mych komnat i klęka przede mną, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Przyszła złożyć mi wizytę? – Trudno mi uwierzyć, aby tak ryzykowała, wiedząc, że jej nauczyciele i mentorzy wszyscy siedzą w Tower. – Nie mogę jej przyjąć. Powiedz jej, że bardzo mi przykro, ale...

– Nie! Nie! Została aresztowana! Wezwana przed radę królewską. W tej chwili odbywa się przesłuchanie.

– Skąd wiesz?

– Od męża. Obiecał, że zrobi dla niej co w jego mocy.

Wstrzymuję powietrze. Chcę powiedzieć swojej dworce, aby przekazała mężowi, że moje imię nie może paść albo przynajmniej nie może zostać przekazane królowi. Jednakże tak się boję – i tak się wstydzę swego strachu – że nie potrafię dobyć z siebie głosu. Obawiam się tego, co Anna powie, co wyzna panom radzie. Co będzie, jeśli powie, że prawiła nam heretyckie kazania, a myśmy jej słuchały? Co będzie, jeśli im powie, że piszę własną książkę pełną zakazanej wiedzy? Mimo wszystko nie potrafię się zdobyć, aby powiedzieć Joan – Joan, która słuchała kazań razem ze mną, która ślęczała nad księgami razem ze mną, która modliła się razem ze mną – że w pierwszym odruchu pragnę ratować własną skórę. Zawstydzona mnie to i przyprawia

o jeszcze większy strach.

– Niech Bóg ma ją w swojej opiece – mówię na głos.

– Amen.

\*

Przetrzymują ją przez noc gdzieś w trzewiach ogromnego pałacu. Gdy panna dworska pomaga mi się odziać przed wieczerzą, pytam ją, gdzie jej zdaniem może przebywać Anna Askew. Nie otrzymuję odpowiedzi. Jest tu dostatecznie dużo piwnic, strychów i skarbczyków, które można zamknąć na klucz, więząc kogoś w środku. A jeśli panowie rada nie dbają o jej wygodę, równie dobrze mogli ją wtrącić choćby do strażnicy. Nie śmiem jednak nikogo posłać na poszukiwania. W wielkiej sali, kiedy Stephen Gardiner zaczyna zmawiać długą modlitwę, zwieszam wraz z innymi głowę i powtarzam bezgłośnie łacińskie słowa, wiedząc, że połowa zebranych nie rozumie ich ani w ząb; biskup wszakże się tym nie przejmuje, tylko odprawia rytuał, prywatny ceremoniał, nie dbając o to, że dworzanie są niczym dzieci, które proszą o chleb, dostają zaś kamień. Muszę odczekać, aż skończy mamrotać, po czym dopiero podnoszę głowę i gestem rozkazuję podstolim, by zaczęli wnosić potrawy. Muszę uśmiechać się, jeść i robić dobre wrażenie, śmiać się z psikusów Willa Somersa, posyłać dania do stołu Williama Pageta i Thomasa Wriothesleya, jak gdyby wcale nie knuli mojego upadku; muszę kłaniać się księciu Norfolkowi, który zasiada u szczytu rodzowego stołu z twarzą niczym maska, podczas gdy jego sprzyjający reformie syn w dalszym ciągu uznawany jest za zaginionego. Muszę zachowywać się tak, jakbym nie miała na głowie ani jednej troski, mimo że gdzieś pod tym dachem moja przyjaciółka Anna Askew spożywa resztki z mojego stołu i na klęczkach modli się do Boga, aby zbawił ją ode złego nazajutrz.

– Mam ją przesłuchać. – Mój brat podchodzi do mnie, gdy dworzanie ruszają w tany. Dworki, z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, zajmują swoje miejsca i odtwarzają z pamięci kroki.

– Odmówisz?

– Jakżebym mógł? Przecież to próba. Jeśli jej nie przejdę, podłożę im się, a następna w kolejce będziesz ty. Przesłucham ją zatem w nadziei, że zdecyduje się prosić o przebaczenie. Wiem, że nie wyprze się swoich

przekonań, ale może przynajmniej przyzna, że miała złych nauczycieli.

- Anna Askew zna Biblię na wyrywki - mówię. - Cytuje Nowy Testament z pamięci. Nikt nie waży się jej nazwać niedouczoną.

- Nawet ona nie zdoła przegadać Stephena Gardinera.

- Obawiam się, że możesz się zdziwić.

- Co mam począć? - wykrzykuje William w nagłym przyptywie frustracji.

Po czym natychmiast odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, dworskim śmiechem, aby pokazać wszystkim, że opowiada mi zajmującą historyjkę. Śmieję się razem z nim i klepię go po rękę, swego brata żartownisia.

Will Somers mija nas z wykrzywioną twarzą.

- Skoro już śmiejecie się z niczego, równie dobrze możecie śmiać się ze mnie - rzuca.

Klaszczę w dłonie.

- Rozbawił nas stary żart, niewart powtarzania - odzywam się do niego.

- Innych żartów nie znam - odpowiada.

William i ja czekamy, aż błazen się oddali.

- Postaraj się o jej uwolnienie bez narażania samego siebie - mówię. - To młoda, pełna życia niewiasta. Na pewno nie szuka męczeństwa. Ocali się, jeśli tylko zdoła. Pokaż jej drogę, nic więcej. A ja spróbuję dostać się do króla.

- Co on wyprawia? - pyta mój brat, ścisząc głos do szeptu. - Co chce przez to osiągnąć? Czyżby zwrócił się przeciwko nam? Przeciwko tobie?

- Nie wiem - odpowiadam.

Spoglądając na zaniepokojone oblicze Williama, uświadamiam sobie, że na moim miejscu zasiadało pięć innych niewiast, z których żadna nie miała pewności, czy Henryk już zwrócił się przeciwko niej ani co zamierza.

Po wieczerzy posyłam Annę do apartamentów króla z pytaniem, czy najjaśniejszy pan mnie przyjmie. Moja siostra wraca zdziwiona: oto niespodziewanie dostąpię audiencji. Pośpiesznie zmienia mi kornet na najbardziej twarzowy, po czym poprawia przód sukni i wklepuje olejek różany w szyję. Następnie, wraz z Katarzyną Brandon, odprowadza mnie pod samą komnatę sypialną Henryka, gdzie gwardziści otwierają przede mną drzwi, wpuszczając mnie do środka.

Wewnątrz znajdują się już Anthony Denny i Stephen Gardiner. W dalszej części pomieszczenia stoi doktor Wendy w otoczeniu półtuzina paziów czekających, by na polecenie medyka przenieść króla z krzesła do łóżka, z łóżka na *chaise percée*, z *chaise percée* na krzesło z kórkami, dzięki któremu może wyjść do komnaty gościnnej i niczym wielki posąg zaistnieć między

dworzanami.

- Mężu... - witam go dygnięciem.

Uśmiecha się do mnie i gestem zachęca, abym podeszła bliżej. Pochylam się i cmokam go w policzek, ignorując nieprzyjemną woń. Henryk obejmuje mnie w pasie i ściska lekko.

- Czy wieczerza była udana? - pyta.

- Wszystkim bardzo ciebie brakowało - odpowiadam, zajmując miejsce obok niego. - Zdaje się, że od tak dawna jesteście pozbawieni twojej obecności. Mam nadzieję, że już wkrótce poczujesz się na tyle dobrze, by do nas dołączyć.

- O, z pewnością - odpowiada wesoło. - Dolegała mi tylko czwartaczka, która mija mi szybko, jakbym był chłopięciem.

Kiwam z entuzjazmem głową.

- Twoje siły są niespożyte.

- Cóż, sępy mogą sobie krążyć, ale nie na wiele im się to zda. Nie ma jeszcze czego rozszarpywać. - Macha ręką w stronę biskupa Gardinera, który krzywi się na to porównanie go do sępa.

- Jestem raczej skowronkiem, który wzbija się wysoko w niebo, by cię chwalić, najjaśniejszy panie - odpowiada hierarcha z przewrotnym humorem.

- Skowronkiem, ekscelencjo? - Przechylam głowę na jedną stronę, obrzucając wzrokiem jego czarną sutannę i białą komżę. - Raczej jaskółką, sądząc z barw...

- Postrzegasz Stephena jako jaskółkę? - dopytuje rozbawiony król.

- Gdy się pojawia, nastaje lato - odpowiadam. - Jest niczym zwiastun. Wystarczy, że się pokaże, a robi się pora żniw dla rady królewskiej. Wszyscy starzy księża wiją gniazda i świergoczą pod okapem...

- Ale nie zostaną na długo? - podpowiada Henryk.

- Och, zimne wiatry prawdy ich przegnąją, jak myślę, mój mężu.

Król wybuchą śmiechem. Stephen Gardiner gotuje się z wściekłości.

- Zatem widzisz go raczej w innych kolorach? - pyta mnie Henryk.

Zachęcona jego dobrym humorem nabieram śmiałości. Odwracam się doń i szepczę mu na ucho:

- Nie sądzisz, że ekscelencji byłoby do twarzy w czerwieni?

Czerwone są szaty kardynała. Gdyby tylko Gardiner przywrócił Anglię na łono Rzymu, papież natychmiast przyznałby mu kardynalski kapelusz.

Henryk śmieje się w głos.

- Katarzyno, jesteś zabawniejsza od Willa Somersa. Co ty na to, Stephenie? Marzy ci się czerwony biret?

Biskup zaciska wargi.

- To poważne sprawy – kontruje. – Niegodne żartów. Niegodne niewiast. Niegodne żon.

- Ekscelencja ma rację, Katarzyno. – Król naraz poważnieje. – Musimy mu pozwolić bronić Kościoła przed herezją i szyderstwem. W końcu chodzi o mój Kościół, który nie podlega dyskusjom ani żartom. To wszystko poważne sprawy, a nie temat głupawych dowcipów. Nie ma nic ważniejszego od Kościoła.

- Oczywiście – odpowiadam łagodnym tonem. – Oczywiście, mężu. Miałabym jednak do ekscelencji prośbę, aby przesłuchiwał tych, którzy występują przeciwko twoim reformom. Albowiem sama reforma jest ponad wszelką wątpliwość faktem. Ekscelencja chyba nie chce, abyśmy zrobili krok w tył, cofnęli się w mroki czasów, w których jeszcze nie byłeś głową angielskiego Kościoła.

- Biskup nic podobnego nie zamierza – ucina król.

- Ale kaplice...

- Nie teraz, Katarzyno. Czuję się zmęczony.

- Wasza królewska mość musi odpocząć – odzywam się szybko, wstając z krzesła i całując Henryka w czoło, które jest mokre od potu. – Zechcesz zasnąć?

- Tak – odpowiada. – Możecie sobie wszyscy iść. – Powstrzymuje mnie rozpalonym uściskiem, który tylko podkreśla chłód mojej własnej dłoni, i prosi: – Wróc do mnie później.

Pilnuję się, aby nie posłać biskupowi tryumfalnego spojrzenia. Przynajmniej tę jedną rundę wygrałam.

Wszelako mój tryumf okazuje się żadnym zwycięstwem. Król gorączkuje i słabuje, nie mogąc stanąć na wysokości zadania. Jego impotencja go rozeźla. Chociaż robię wszystko, czego ode mnie żąda, rozpuszczam włosy, ściągam nocny strój, nawet staję nad nim, pozwalając, aby wodził po mnie całej rękoma, nic nie jest w stanie go rozpalić pomimo mego upokorzenia. W końcu odsyła mnie precz, aby zasnąć samotnie, a ja resztę nocy spędzam na krześle przy kominku, zastanawiając się, gdzie przebywa Anna Askew i czy – równie jak ja bezsenna i przestraszona – ma dziś w ogóle poduszkę, do której może przyłożyć głowę.

Następna runda rozgrywa się przed radą królewską, tak że nie biorę w niej udziału. Drzwi komnaty rady są zamknięte na głucho, a dwaj

gwardziści pilnują ich ze skrzyżowanymi halabardami.

- Jest w środku - informuje mnie szeptem Katarzyna Brandon, gdy mijamy drewniane skrzydła w drodze do ogrodu.

- Sama?

- Została pojmana razem z byłym mężem, ale oświadczyła, że on nie ma z nią nic wspólnego, tak że go puścili.

- Wiedzą, że prawiła dla mnie kazania?

- Oczywiście, tak samo jak to, że to za twoim wstawieniem u boku Bonnera uwolniono ją poprzedniego razu.

- I nie obawiają się moich wpływów? Biskup Bonner uląkł się, jak widać...

- Wygląda na to, że twoje wpływy zmalały - kwituje sucho Katarzyna Brandon.

- Jak to? - obruszam się. - Najjaśniejszy pan wciąż mnie widuje, wciąż ze mną czule rozmawia. Zaledwie minionej nocy wezwał mnie do swojej komnaty sypialnej. Obiecywał mi podarunki. Wszystkie znaki wskazują, że w dalszym ciągu mnie kocha.

Katarzyna Brandon kiwa głową.

- Wiem, że cię kocha, ale to nie znaczy, że nie może się nie zgadzać z twoim wyznaniem. Obecnie jest jednomyślny z biskupem Gardinerem, księciem Norfolk i całą resztą, Pagetem, Bonnerem, Richem i Wriothsleyem.

- Ale wszyscy pozostali wielmożowie są przecież za reformą!

- Nie ma ich jednak w pałacu - zauważa Katarzyna Brandon. - Edward Seymour przebywa bądź w Szkocji, bądź we Francji. Taki z niego spolegliwy dowódca, że wiecznie znajduje się poza granicami królestwa. Można powiedzieć, że jego sukcesy stawiają go na przegranej pozycji. Thomas Cranmer śleczy nad księgami we własnym domu. Ty nie masz wstępu do króla w chorobie, a choruje on od tygodni. Doktor Wendy nie sprzyja reformie w takim stopniu, w jakim sprzyjał doktor Butts. Aby utrzymać zainteresowanie króla, trzeba przebywać w obecności króla na okrągło. Mój świętej pamięci mąż mawiał, że właśnie dlatego nie opuszcza boku króla. W przeciwnym razie bowiem jakiś rywal mógłby zająć jego miejsce. Musisz więc za wszelką cenę trzymać się boku Henryka, miłościwa pani. Musisz trwać przy nim bez ustanku, by przypieczętować naszą rację w tym sporze.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I staram się. Jak jednak możemy obronić Annę Askew przed panami radą?

Katarzyna Brandon podaje mi rękę, gdy schodzimy po stopniach do ogrodu.

– Obroni ją Bóg – odpowiada. – Jeśli zostanie uznana za winną, będziemy błagać króla, aby jej darował. Możesz zabrać do niego wszystkie dworki, padniemy przed nim na kolana, co niechybnie mu się spodoba. Na razie jednak, póki Anna Askew jest w rękach rady królewskiej, w żaden sposób nie możemy jej pomóc. Tylko Pan Bóg nad nią czuwa.

Panowie rada mocują się z młódką z hrabstwa Lincolnshire cały dzień, jakby ktoś taki – kiepsko wykształcony i przed trzydziestką – wymagał tyle czasu, aby się z nim rozprawić. Zarówno Stephen Gardiner, biskup Winchesteru, jak i Edmund Bonner, biskup Londynu, przerzucają się teologicznymi argumentami z niewiastą, która nigdy nawet nie postawiła nogi na uniwersytecie, a mimo to nie są w stanie przytąpać jej na błędzie w rozumowaniu.

– Cemu poświęcają jej tyle czasu? – dopytuję. – Cemu po prostu nie odeślą jej do męża, skoro chcą ją uciszyć?

Przechadzam się tam i z powrotem po swojej komnacie. Nie potrafię usiedzieć na miejscu, by zająć się lekturą czy szyciem, ale nie mogę też pójść i zażądać otwarcia tych zakazanych drzwi. Zarazem wszystko się we mnie burzy na myśl, że Anna Askew tkwi tam sama ze swoimi wrogami. Najbardziej zaś boli mnie świadomość, że nie jestem w stanie pomóc jej w żaden sposób. Nie śmiem nawet udać się do króla nieproszona. Mam jednak nadzieję ujrzeć go przy wieczerzy, łudzę się, że poczuje się dostatecznie dobrze, by pojawić się w wielkiej sali. Do tego czasu zjada mnie niecierpliwość.

W pewnym momencie rozlega się szuranie pod drzwiami i gwardziści otwierają je przed moim bratem i trzema jego towarzyszami. Okręcam się na pięcie.

– William?

– Wasza królewska mość – wita mnie. – Siostro...

Wyraźnie się waha, jakby nie mógł mówić dalej. Kątem oka widzę, że Anna zrywa się na nogi, a Katarzyna Brandon wyciąga do niej rękę. Oczy żony Edwarda Seymoura rozszerzają się, usta rozchylają lekko, w końcu niewiasta ta żegna się znakiem krzyża.

Cisza zdaje się przeciągać w nieskończoność. Uświadamiam sobie, że wszyscy patrzą wprost na mnie. Powoli dociera do mnie przerażony wyraz twarzy brata i obecność strażników u jego boku. Z wolna zaczynam pojmować, że zdaniem wszystkich przyszedł, by mnie aresztować. Czując, że ręce mi drżą, zaciskam je mocno. Jeśli Anna Askew na mnie doniosła, panowie rada

z pewnością wydali rozkaz mego aresztowania. Byłoby bardzo w ich stylu przysłać mego rodzonego brata, aby odstawił mnie do Tower, poświadczając tyleż swoją lojalność co mój upadek.

- O co chodzi, Williamie? - pytam. - Tak dziwnie wyglądasz... Drogi bracie, z czym do mnie przybywasz?

Jakby moje słowa uruchomiły mechanizm, zegar na stole wybija dzwięcznie trzecią godzinę, a William przekracza próg. Gwardziści zamykają za nim drzwi komnaty.

- Czy spotkanie rady dobiegło końca? - pytam zduszonym głosem.

- Tak - odpowiada zdawkowo.

Widząc, że minę ma niezwykle poważną, wspieram się dłonią o oparcie krzesła.

- Wydajesz się smutny, Williamie.

- Nie przynoszę dobrych nowin.

- Zatem im prędzej je przekażesz, tym lepiej.

- Anna Askew została odesłana do więzienia Newgate. Panowie rada nie zdołali jej namówić do wyrzeczenia się swoich poglądów. Zostanie więc oskarżona o herezję.

Gdy zapada milczenie, w oczach zaczyna mi wirować. Chwytam się mocniej oparcia, żeby się nie przewrócić, po czym mrugam wściekle oczyma.

- Nie wyrzekła się?

- Posłali nawet po nauczyciela księcia Edwarda, żeby ją przekonał. Ona jednak cytowała Biblię werseć po wersecie, co rusz dowodząc, że to oni się mylą.

- Nie mogłeś jej ocalić? - wybucham. - Williamie, dlaczego nie uczyniłeś czegoś, aby ją ocalić?

- Skonfundowała mnie - wyznaje skruszony. - Spojrzała mi prosto w twarz i powiedziała, że to wielki wstyd, iż doradzam jej wbrew własnym przekonaniom.

Wciągam ze świstem powietrze do płuc.

- Oskarżyła cię o to, że myślisz tak samo jak ona? Zamierza podać imiona osób, które dzielają jej wiarę?

William kręci głową.

- Nie, nie. Anna Askew bardzo starannie dobierała słowa, uważając na to, co mówi. Nie podała żadnych nazwisk, żadnych imion. Nie powiedziała nic przeciwko mnie ani przeciwko tobie. Nie powiedziała nic przeciwko twoim dworcom. Oskarżyła mnie o doradzanie jej wbrew własnym przekonaniom, lecz nie rzekła, co to za przekonania.

Zawstydzona, że muszę zapytać:



- Czy w ogóle padło moje imię?

- Kiedy zarzucili jej, że prowadzi kazania w twoich komnatach, odparła, że tak samo robi wielu innych kaznodziejów różnych wyznań. Panowie rada próbowali ją zmusić do wyjawienia nazwisk jej popleczników na twoim dworze... - William wbija wzrok w ziemię, aby nikt nie mógł powiedzieć, że wymienił z kimkolwiek spojrzenia. - Nie uczyniła tego jednak. Okazała upór. Nie wyjawiała żadnych nazwisk. - Urywa na moment, po czym podejmuje zboląłym głosem: - Było jasne, siostrzo, całkowicie jasne, że panowie rada dążą do uzyskania dowodu na twoje heretyckie spotkania. Byliby ją uwolnili, gdyby tylko nazwała cię heretyczką.

- Twierdzisz, że polują na mnie, nie na nią? - pytam zmartwiałymi wargami.

William kiwa głową.

- Tak to odebrałem. Wszyscy tak to odebrali. Nawet ona.

Milczę przez chwilę, starając się zapanować nad własnym strachem. Usiłuję być dzielna, tak jak była dzielna Boleynówna. Do ostatka obstawała przy niewinności swojej, swego brata i ich przyjaciół.

- Czy da się ją jakoś uwolnić? - dopytuję. - Czy proces jest nieunikniony? Czy mam udać się do króla i przekonać go, że niesłusznie ją więżą i oskarżają?

William spogląda na mnie, jakbym postradała zmysły.

- Katarzyno... on wie. Nie bądź niemądra. Tu nie chodzi o Gardinera, który wyrzywa się przed szereg, tylko o Gardinera, który robi dokładnie to, czego oczekuje od niego król. Henryk osobiście podpisał nakaz aresztowania Anny Askew, zezwolił na jej proces i polecił wtrącić ją do więzienia Newgate. A nawet przyszykował wskazówki dla sędziów. Wyrok już zapadł.

- Sędziowie powinni być niezawisli!

- Ale nie są. To Henryk im powie, jaki mają wydać wyrok. Najpierw jednak odbędzie się proces. Anna Askew będzie mieć ostatnią szansę na wyparcie się swoich poglądów.

- Nie sądzę, aby miała to zrobić.

- Ani ja.

- Co w takim razie z nią będzie?

William rzuca mi tylko spojrzenie. Oboje wiemy, jaki los czeka Annę Askew.

- Co będzie z nami? - pyta żałośnie mój brat.

Ku memu zdziwieniu Henryk pojawia się w moich komnatach w otoczeniu dworzan i panów rady, aby powieść nas na wieczerzę. Dużo czasu

upełnęło od chwili, gdy król czuł się dostatecznie dobrze, aby pokazać się w wielkiej sali. Mężczyźni wsypują się do moich apartamentów hałaśliwie, jakby świętowali powrót króla na dwór. On jednak nie idzie o własnych siłach, rana w nodze nie pozwala mu nawet stanąć – toczy się na krzesło z kółkami, wystawiając przed siebie grubo obandażowaną kończynę. Śmieje się przy tym, jakby chodziło o lekkie obrażenia odniesione w wyniku turnieju czy polowania, a dworzanie podchwytywają w lot jego nastawienie i także się śmieją, jakbyśmy wszyscy spodziewali się go ujrzeć tańczącego jutro, najpóźniej pojutrze. Katarzyna Brandon stwierdza, że każe skonstruować drugie takie krzesło z kółkami, dzięki czemu będzie możliwy pojedynek Henryka w szrankach. Mój mąż jest zachwycony pomysłem i zarzeka się, że już nazajutrz urządzimy taki turniej. W progu Will Somers skacze przed jadącym Henrykiem i udaje, że wpada pod koła i zostaje przejechany przez dziwaczne krzesło i zasiadającego na nim potężnego mężczyznę, który właściwie tylko na wpół siedzi, na wpół zaś leży.

– Moloch! Zostałem stratowany przez Molocha! – uskarża się błazen.

– Gdybym cię stratował, nie mógłbyś robić takiego krzyku – upomina go król. – Trzymaj się z dala od moich kół, głupcze.

Will odpowiada fikołkiem tak wymierzonym, że unika kótek w ostatniej chwili. Dworki piszczą słowa ostrzeżenia, po czym wybuchają gromkim śmiechem, jakby było to nie lada zabawne. Wszyscy stąpamy ostrożnie, niespokojno, by nie zburzyć dobrego humoru Henryka.

– Klnę się, że cię skoszę swoim rydwanem! – ryczy król.

– Nie dościgniesz mnie – rewanżuje się błazen bezczelnie.

Na to Henryk wrzeszczy na paziów, pocących się za oparciem z uchwytami, że mają przyśpieszyć i gonić Willa, który ucieka po mojej komnacie gościnnej w podskokach i susach, umyka na ławy, chowa się w ambrazurze, biega dokoła dam dworu, chwytając je w talii i okręcając wokół własnej osi, przez co król wpada na nie zamiast na niego i spycha je z drogi rozkrzyczane i rozchichotane. Trwa szalony taniec, w którym wszyscy pędzą w przeciwnych kierunkach, a pośrodku tego przedstawienia tkwi król Anglii, czerwony na twarzy i ryczący ze śmiechu.

– Szybciej! Szybciej! – woła.

W końcu Will zatrzymuje się i pada na ziemię, powiewając nad głową białą chusteczką na znak poddania.

– Tyś jest Heliosem – mówi Henrykowi – podczas gdy ja jestem tylko nędzną chmurką.

– Ty zaś jesteś wspaniałym błaznem – odwzajemnia się król – który jednak narobił zamieszania w komnatach mojej żony i przeraził jej dworki.

Prawdziwy z ciebie głupiec.

- Obaj jesteście głupcami - odpowiada Will, uśmiechając się do swego pana. - Równie zadziornymi jak wtedy, gdyśmy mieli po dwadzieścia lat. Ale przynajmniej wasza królewska mość jest roztropniejszy niż wtedy.

- Jakże to?

- Przybyło ci rozsądku i dostojeństwa, najjaśniejszy panie. A także urody i odwagi.

Henryk uśmiecha się w oczekiwaniu na puentę.

- W rzeczy samej, to prawda.

- W ogóle cię przybyło - ciągnie błazen. - I to sporo. Jej królewska mość ma najpotężniejszego męża z wszystkich niewiast.

Henryk wybuchu chrapliwym śmiechem, który kończy się atakiem kaszlu.

- Psubrat z ciebie - kwituje wreszcie. - Idź, posil się w kuchniach z resztą psiej braci.

Will skłania się wdzięcznie i znika nam z oczu. Mijając mnie, posyła mi szybki uśmiech, jakby chciał powiedzieć, że zrobił co w jego mocy - moim zadaniem teraz jest tylko przetrzymać wieczerzę. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy przypadkiem Will Somers nie jest najmądrzejszy z nas wszystkich, skoro przetrwał tyle czasu w tym najniebezpieczniejszym z pałaców.

- Udamy się na wieczerzę? - proponuje Henryk.

Uśmiecham się i dygam, po czym formujemy orszak - zaiste dziwaczny z królem na krześle z kółkami, który pchają umęczeni paziowie. Kroczę obok męża, wspierając dłoń na jego ramieniu, podczas gdy on dyszy i sapie, pocąc się na całym ciele. Plamy występują mu pod pachami złotego jedwabnego dubletu i na kołnierzu okalającym grubą kark. Zastanawiam się, także nie po raz pierwszy, jak długo to jeszcze potrwa.

- Wysłuchałaś kazania dzisiejszego popołudnia? - pyta mnie dwornie, podczas gdy sługa polewa mu dłońe ze złotego dzbana, drugi zaś wyciera je kornie do sucha białą lnianą serwetą.

- Tak - odpowiadam, wyciągając ręce, by obmyć je w pachnącej wodzie.

- Kapelan waszej królewskiej mości prawił nam o łasce. Było to bardzo interesujące, bardzo inspirujące.

- Nic specjalnie prowokującego, mam nadzieję? - rzecze król z wyrozumiałym uśmiechem. - Nic, co by skłoniło młodego Howarda do dyskusji? Bo wyszedł już z Tower, aczkolwiek wolałbym, aby nie zalał znowu za skórę ojcu.

Uśmiecham się miło, jakby znaczyło to dla mnie tyle co wieczorna rozrywka.

- Skądże, wasza królewska mość. Jedynie Słowo Boże i księża jego interpretacja.

- W twoich komnatach to jeszcze pół biedy - oświadcza zniecała poirytowany Henryk - nie możemy jednak pozwolić, aby dyskusje toczono na ulicy i w oberży. Czym innym jest debata uczonych, a zupełnie czym innym próby siłowania się z konceptami wyczyniane przez wiejskie dziewczki i przez czeladników.

- Całkowicie się zgadzam - mówię. - Właśnie dlatego wasza królewska mość obdarował poddanych Biblią w ojczystym języku, której na powrót tak pragną. Wówczas będą mogli w cichości czytać i uczyć się. Wtedy będą mieli szansę na własne zrozumienie. Nie będą potrzebowali, aby ktoś im objaśniał Słowo Boże.

Henryk zwraca na mnie swe nalane oblicze. Kark ma tak gruby, a policzki tak spalone, że jego twarz wydaje się zgoła kwadratowa między białym haftowanym kołnierzem dubletu a rzadkim wianuszkiem włosów wysoko na czole. Mam wrażenie, że gapi się na mnie blok kamienia.

- Nie. Nie rozumiałaś mnie - rzecze chłodno. - Nie po to dostali ode mnie Biblię. Nie uważam, aby wieśniaczka z hrabstwa Lincolnshire miała udawać uczoną. Nie uważam, by powinna studiować i myśleć na własną rękę. Nie jest moim zamiarem dopomagać jej w tym. A już na pewno nie uważam, że niewiasta ma prawić kazania.

Przełykam odrobinę wina. Widzę, że ręka, w której trzymam kielich, mi nie drży. Widzę też, że Stephen Gardiner, siedzący po drugiej stronie króla, skubie, co tam ma na talerzu, i nadstawia ucha.

- Obdarzyłeś poddanych Biblią - upieram się. - To, czy Pismo Święte znajdzie się w każdym kościele na widoku czy będzie dostępne tylko wybranym, zależy od ciebie. Twój dar, twoja wola. Wszelako są na świecie ludzie, którzy zdążyli przeczytać Słowo Boże i pojąć je lepiej niż niejeden książkę Kościoła. A dlaczego? Dlatego, że nie chodzili na uniwersytet, nie uczyli się logiki, nie wymyślali rytuałów ani nie przechwalali się swoją wiedzą, tylko zwrócili się do Biblii, wyłącznie do niej. I to jest piękne, wasza królewska mość. Piękna jest prosta wiara zwykłych ludzi. Podobnie jak piękna jest ich miłość do ciebie i lojalność wobec ciebie.

Henryk wydaje się nieco udobruchany.

- Moi poddani są wobec mnie lojalni? Nie kwestionują mojej władzy na równi z naukami Kościoła?

- Wiedzą, kto jest ich ojcem - odpowiadam z mocą. - Urodzili się i wychowali w Anglii, wiedzą, że to ty ustanawiasz i egzekwujesz prawa, dzięki którym żyją bezpiecznie, wiedzą, że to ty wiedziesz na wojnę armię,

która broni ich królestwa, że to ty posyłasz w morze flotę, która broni wybrzeża. To naturalne, że wielbią cię niczym świętego ojca.

Król parska śmiechem.

– Świętego ojca? Masz na myśli papieża?

– Tak – potwierdzam bez zajknięcia. – Papież to tylko biskup Rzymu. Przewodzi Kościołowi we Włoszech. Ty zaś jesteś pierwszym duchownym Anglii. Jesteś głową angielskiego Kościoła, czyż nie? Przewodzisz swemu ludowi, księżom i całemu królestwu. Prawda?

Henryk odwraca się do biskupa Gardinera.

– Jej królewska mość ma trochę racji – mówi. – Nie uważasz, ekscelencjo?

Stephen Gardiner uśmiecha się blade.

– Wasza królewska mość został pobłogostawiony małżonką, która uwielbia uczone dyskusje – odpowiada wykrętnie. – Kto by pomyślał, że niewiasta potrafi tak argumentować? I to w rozmowie z mężem, który przerasta wszystkich o głowę także czytaniem? Najwyraźniej cię poskromiła, najjaśniejszy panie!

Po wieczerzy Henryk zaprasza mnie, abym zasiadła obok niego, co odbieram jako przejaw przychylności. Doktor Wendy szykuje lek nasenny, podczas gdy zatroskani dworzanie stoją kręgiem wokół monarchy, który trzyma chorą nogę sztywno wyprostowaną. Po jednej stronie tkwi biskup Gardiner z księciem Norfolk, po drugiej ja i moje dworki, co musi wyglądać tak, jakbyśmy skutecznie przeciągali krzesła z królem ze strony na stronę. Rozglądając się przelotnie po twarzach zebranych, zauważam, że wszyscy są równie znużeni, równie niespokojni jak ja. Widać to po ich zastygłych uśmiechach, po podszytym niepewnością uroku. I oni, i ja czekamy na moment, aż Henryk położy kres temu wieczorowi, aż nas uwolni. Po prawdzie niektórzy wyczekują trwalszego pokoju. Ten i ów wypatruje nawet śmierci króla.

Ktokolwiek wygra batalię o względy Henryka teraz, będzie miał przewagę za przyszłych rządów. Ktokolwiek utrzyma się w jego sympatii, zachowa znaczące miejsce na dworze Edwarda. Mój mąż przy jakiejś okazji nazwał dworzanie psami walczącymi o kość, jednakże po raz pierwszy widzę słuszność tej metafory, a co więcej, dostrzegam, iż nie jestem lepsza od pozostałych. Moja przyszłość zależy od łaski króla w takim stopniu jak każdego innego człowieka – a tego wieczoru nie mogę być jej pewna.

– Czy ból bardzo ci doskwiera, najjaśniejszy panie? – pyta cicho medyk.

- Szalenie! - woła król. - Doktor Butts nigdy by na to nie pozwolił!

- To powinno pomóc... - mówi doktor Wendy, podając mu kielich.

Henryk przyjmuje go od niego niechętnie i wypija zawartość do dna.

Następnie zwraca się do pазia.

- Słodkości!

Młodzik gna do kredensu i raz-dwa przynosi tacę z kandyzowanymi owocami, marcepanem i ciasteczkami. Henryk ujmuje ich garść i wsadza sobie do ust, by schrupać zepsutymi zębami.

- Bóg świadkiem, że w Anglii działa się lepiej, gdy każda wieś nie miała własnego kaznodziei - stwierdza ksiądz Norfolk, rozwijając własną myśl.

- Zawsze jednak byli księża - kontryję. - Była dziesięcina, były kapliczki, były klasztory. Słyszało się więcej kazań niż obecnie, z tym że w języku, którego nikt nie rozumiał, za straszliwą cenę dla najbiedniejszych.

Tomasz Howard, niezbyt bystry i na ogół źle usposobiony, marszczy czoło w wyrazie niezgody.

- Nie pojmuję, na co komu rozumieć mszę świętą - odpowiada z uporem. Spogląda przy tym z góry na króla, który zwraca księżycową twarz to na jednych, to na drugich. - Nie popieram niewiast i głupców, którzy mają się za uczonych - dodaje. - Jak przykładowo ta niemądra dziewczka dzisiaj...

Nie śmiem wypowiedzieć na głos imienia Anny Askew. Mogę jednak bronić jej przekonań.

- Skoro Pan przemawiał do prostych ludzi prostym językiem, który rozumieli, posługując się prostymi opowieściami, dlaczego i my nie mielibyśmy tego robić? - pytam. - Czemu ludzie nie mieliby czytać własnych słów Syna Bożego?

- Bo jak już złączą, to nie wiedzą, kiedy skończyć! - wybucha nagle ksiądz Norfolk. - Bo nie czytają ani nie myślą po cichu! Ilekroć przejeżdżam mimo krzyża pod katedrą Świętego Pawła, jest ich tam z pół tuzina, a kraczą głośniejsz od kruków! Ile człowiek może tego znieść? Ile może zdzierżyć?

Odwracam się ze śmiechem do Henryka.

- Wasza królewska mość, jak tuszę, wcale tak nie myśli! - mówię z większą dozą pewności, niżli czuję w głębi ducha. - Wasza królewska mość pochwała studiowanie Pisma Świętego i zrównoważone dysputy.

Król jednak ma kwaśną minę.

- Słodkości! - powtarza do pазia. - Katarzyno, możesz zabrać swoje dworki i odejść. Stephenie, zostań jeszcze ze mną.

Czuję się urażona, lecz za żadną cenę nie okażę tego przed Gardinerem ani przed tym głupcem Howardem. Powstaję z krzesła, dygam przed królem i całuję go na dobranoc w wilgotny policzek. Na szczęście nie szczypie mnie

w pośladek, gdy się do niego pochylam, tak że oddycham z ulgą, iż cały dwór nie widzi, że traktuje mnie jak swoją sukę. Chłodno kiwam głową biskupowi i księciu, którzy jakby przyrośli do swoich miejsc.

– Dobrej nocy, mężu, niech Bóg ci błogosławi – żegnam się cicho. – Pomodlę się, aby ból zelżał do rana.

Henryk burczy słowa pożegnania w odpowiedzi, po czym wyprowadzam dworki z jego komnaty. W progu oglądam się jeszcze przez ramię i widzę, że Stephen Gardiner zajął miejsce tuż obok króla i właśnie pochyla ku niemu głowę.

– Ciekawe, co też ten stary klecha mu głądzi – krzywi się z irytacją moja siostra.

Kłęcząc w nogach swojego wspaniale rzeźbionego łoża, modlę się za Annę Askew, która tej nocy śpi na śmierdzącym sienniku w więzieniu Newgate. Modlę się za wszystkich cierpiących za wiarę – tych, których znam osobiście, bo kazali w moich komnatach i mi służyli, teraz zaś są zmuszeni zwrócić się przeciwko mnie, jak i tych, których nigdy nie poznałam i nie poznam, gdyż mieszkają gdzieś w głębi Anglii albo w Niemczech czy jeszcze dalej.

Wiem, że Anna Askew przetrwa wszystko w imię swojej wiary, jednakże nie jestem w stanie znieść myśli, że leży w ciemnym lochu samotnie, nasłuchując chrobotu szczurów i jęków innych więźniów. Karą za herezję jest śmierć na stosie. Aczkolwiek jestem pewna, że ani Gardiner, ani Henryk nie pošlą młodej niewiasty, młodej szlachcianki na stos, już sama myśl o publicznym procesie wystarcza, abym się wzdrygnęła i ukryła twarz w dłoniach. Anna Askew nie mówiła nic ponad to, że chleb jest chlebem, a wino winem. To chyba niemożliwe, aby przetrzymywali ją w lochu za powiedzenie na głos tego, co każdy i tak wie?

Nasz Pan rzekł: „Oto ciało moje, oto krew moja”, lecz z całą pewnością nie był oszustem, jak niektórzy księża, którzy toczą czerwony inkaust z ran posągów. Miał na myśli to, aby spożywać chleb i pić wino na Jego pamiątkę, posilać Nim swe serce. Liturgia Thomasa Cranmera mówi o tym jasno, a przecież popiera ją nawet król. Wszystko zostało opublikowane, i to po angielsku. Czemuż więc Anna Askew śpi dzisiejszej nocy w więzieniu Newgate, oczekując swego procesu przed obliczem biskupa Londynu, który domaga się, aby wyparła się swych poglądów, skoro nie powiedziała niczego, czego nie aprobowałby król Anglii?

Gdy w końcu kładę się spać, jest już późno i moja siostra śpi głęboko na boku. Chociaż jest mi zimno, nie posyłam służki po szkandełę. Wstydzę się komfortu miękkiej haftowanej pościeli pod palcami, skoro Anna Askew leży w słomie, a Tomasz Seymour w ciasnej koi gdzieś na morzu, kołysząc się na falach, gdy tymczasem ja pływam się w luksusach, a mimo to czuję się nieszczęśliwa niczym rozpuszczone dziecko.

Zасыpiam niemal od razu i niemal od razu śni mi się, że wchodzę po krętych stopniach na wieżę starego zamku – nie któregoś z naszych pałaców, ponieważ jest tam za zimno i za wilgotno jak na siedzibę króla. Dłonią sunę po ścianie, po której ścieka lodowata woda przeciekająca przez wąskie łukowate okna. Klatka schodowa spowita jest mrokiem, rozjaśniona jedynie słabą poświatą księżycy, która pada na nierówne, wydeptane stopnie. Ledwie widzę, gdzie stawiam stopy, posuwając się od jednego okna do drugiego. Słyszę, że z dołu schodów ktoś szepcze, a jego głos odbija się echem wśród murów: „Trifinal! Trifinal!”. Sapię cicho z wrażenia, gdyż nagle wiem już, kim jestem, i wiem, co zastanę za drzwiami u szczytu stopni.

Wyszedłszy na ostatni kamienny podest wieży, stoję przed trojgiem drewnianych drzwi. Nie chcę ich otwierać, nie chcę wchodzić do pomieszczeń, które kryją, jednakże dolatujący mnie z dołu szept: „Trifinal!” zmusza mnie do zrobienia kroku naprzód. Pierwsze drzwi otwierają się ze zgrzytem po przekręceniu gałki, która unosi zasuwkę po drugiej stronie. Nie chcę myśleć, kto to słyszy, kto może być w środku, przyglądając się podnoszonej zasuwce, czuję jednak, jak drewniane skrzydło ustępuje pod moim dotykiem. Dostrzegam wewnątrz pomieszczenia dzięki księżycowej poświacie wpadającej przez wąskie okno. Nawet w tych ciemnościach widzę dość, aby zauważyć jakieś urządzenie zajmujące całą długość komnaty.

Z początku myślę, że to swego rodzaju krosna do snucia tapiserii. Widzę bowiem długie uniesione łoże z dwiema wielkimi rolkami na każdym krańcu i z dźwignią pośrodku. Wszelako kiedy robię jeszcze jeden krok do przodu, okazuje się, że na łożu tym leży rozciągnięta niewiasta, która oba ramiona ma skierowane do tyłu, za siebie, resztę ciała potwornie wykręconą, a stopy, przytroczone do dolnej krawędzi, wykrzywione tak, jakby były połamane w kostkach. Ktoś przywiązał jej dłonie i stopy, raniąc dogłębnie ciało przy każdym przesunięciu dźwigni, która sprawia, że rolki się przesuwają, a łoże rozjeżdża, zwiększając odległość między przeciwległymi końcami. Przez to nieszczęsna niewiasta ma wyłamane ręce z barków, wywichnięte łokcie, tak samo jak biodra, kolana i kostki. Cierpienie zamieniło jej twarz w kredowobiałą maskę, a mimo to rozpoznaję w niej rysy Anny Askew.



Wypadam z izby tortur i przelatuję przez drugie drzwi. To pomieszczenie jest puste i ciche. Oddycham z ulgą na myśl, że oszczędzono mi widoku dalszych okropieństw, gdy wtem czuję swąd. Przez deski podłogi sączy się dym, a i one same robią się z każdą chwilą gorętsze. Nagle, zgodnie z logiką snu, stoję z rękoma za sobą. Jestem na stosie, spętana łańcuchami, aby nie móc się ruszyć choćby o włos. Stopami opieram się już nie o deski podłogi, lecz o niestabilne kłody drewna. Robi mi się coraz goręcej, w oczach i ustach czuję dym i zaczynam kasłać. Gdy chwytam rozpaczliwie powietrze do płuc, moje gardło płonie żywym ogniem. Widząc pierwszy płomyk pod stopami, kasłam jeszcze gwałtowniej i próbuję się odsunąć. „Nie” – chcę powiedzieć, ale przez ten dym nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Im gwałtowniej oddycham, tym mocniej dym pali mi gardło, a ja kasłam i kasłam...

– Obudź się! – woła moja siostra. – Obudź się! Masz! – Wcisną mi w ręce kielich z piwem. – No obudźże się!

Czepiam się zimnego kielicha, nakrywając palcami jej dłonie.

– Anno! Anno!

– Ciii... Już dobrze. Już nie śpisz. Nic ci już nie grozi.

– Śniła mi się Anna Askew... – W dalszym ciągu się krztuszę, jakby dym wciąż palił mnie w płuca.

– Niech Pan Bóg ją zachowa – odpowiada mechanicznie moja siostra. – Co ci się śniło?

Wszakże straszliwe obrazy powoli rozmywają się w mojej pamięci.

– Myślałam, że ją widzę... Myślałam, że widzę łożo tortur...

– W więzieniu Newgate nie ma łoża tortur – oznajmia moja siostra, jak zawsze praktyczna. – Zresztą Anna Askew nie jest pospolitą przestępczynią, a tylko takie rozciąga się na łożu. Nie torturuje się dobrze urodzonych niewiast, a Anna jest przecież szlachcianką. Jej ojciec służył królowi, nikt nie tknie jej nawet palcem. To był tylko zły sen. Nic nie znaczący zły sen.

– Nie będą jej torturować? – pytam, odchrząknąwszy.

– Oczywiście, że nie – zapewnia mnie w odpowiedzi. – Część panów rady znała jej ojca, jej mąż jest zamożnym szlachcicem. Potrzymają ją w zamknięciu przez kilka dni, żeby napędzić jej strachu, po czym wypuszczą i odeślą do domu, do męża niedojdy, tak jak uczynili to wcześniej.

– Zatem nie będzie procesu?

– Zapowiedzą, że stanie przed sądem, i pogrożą jej surowym wyrokiem, ale koniec końców odeślą ją do męża, każąc mu obić nieposłuszną żonę. Nikt nie będzie torturował szlachcianki z domu, zamężnej z bogaczem. Nikt też nie postawi tak wygadanej niewiasty na sali sądowej.

Pomimo zapewnień Anny nie mogę zasnąć aż do rana i nazajutrz muszę się szczypać w policzki, a nawet przyprószać twarz barwiczką, żeby sprawiać wrażenie mniej wymizerowanej. Nie mogę wyglądać jak niewiasta, która cierpi na bezsenność z powodu dręczącego ją strachu, szczególnie że – jak widzę – wszyscy mnie bacznie obserwują. Każdy wie, że Anna Askew, która prowadzi kazania w moich komnatach, trafiła do więzienia Newgate. Muszę za wszelką cenę zachować obojętność. Wiedzę więc swoje dworki najpierw do kaplicy, a potem na śniadanie, jakby wszystko było w porządku. W progu wielkiej sali spotykam samego Henryka, którego paziowie toczą w jego rydwanie. Za drzwiami ku swemu zdumieniu widzę nie kogo innego jak George'a Blagge'a – niczym Łazarz z grobu wyrwał się z więzienia i wrócił do pałacu, równie otyły i radosny jak zawsze, i teraz – pomimo oskarżeń o herezję – biegnie do boku króla jak przyjaciel, który powraca po jakiejś przygodzie.

Stephen Gardiner ma oblicze ponure niczym chmura gradowa. Stojący za nim sir Richard Rich patrzy spode łba na tego mężczyznę, który trafił do lochu wyłącznie za to, że wysłuchiwał kazań w moich komnatach, teraz zaś klęka przed królem i podnosi na niego promienne spojrzenie.

– Wieprz! Mój wieprz! – wykrzykuje Henryk, śmiejąc się i pochylając na krześle z kółkami, aby pomóc przyjacielowi wstać na nogi. – To ty? Naprawdę ty?

George chrząka w odpowiedzi, na co Will Somers natychmiast go naśladuje, jakby zebrało się całe stado świń, które świętują powrót Blagge'a. Henryk zanosí się śmiechem; nawet William Paget uśmiecha się pod nosem.

– Gdyby wasza królewska mość nie był tak dobry dla swojego wieprzka, już dawno byłbym się upiekł! – woła George.

– Uwędziłbyś się niczym kawał szynki! – odpowiada król. Następnie odwraca się na krześle i mrużąc oczy, spogląda na Gardinera. – Gdziekolwiek zawiedzie cię polowanie na heretyków, pamiętaj, że moi ulubieńcy mają fory – dodaje. – Jest pewna granica, której nie powinieneś przekraczać, ekscelencjo. Nie zapominaj, kto jest mi przyjacielem. Nikt, kto się ze mną przyjaźni, nie może być heretykiem. Ten, kto mnie miłuje, jest oczywiście częścią Kościoła. To ja jestem głową Kościoła w Anglii i każdy, kto mnie kocha, jest lojalnym wiernym.

W milczeniu zbliżam się i kładę dłoń na ramieniu męża. Razem spoglądamy na biskupa, który wtrąca do lochu moich przyjaciół, moich gwardzistów, moich kaznodziejów, moich księgarzy, a nawet rodzonego brata

mego medyka. Pod naporem naszych spojrzeń Stephen Gardiner spuszcza wzrok.

- Racz wybaczyć, najjaśniejszy panie - mówi. - Racz wybaczyć mi mój błąd.

Tryumfuję na to publiczne ukorzenie się biskupa, a moje dworki razem ze mną. George Blagge zostaje powitany w pałacu królewską deklaracją miłości, której towarzyszy zapowiedź ochrony wszystkich tych, co kochają swego monarchę. Podnosi mnie to na duchu. Silny prąd poparcia dla tradycji osłabł nagle i zwrócił się w stronę reformy, zupełnie jak odpływ po przyptywie powodowany przez tajemne siły. Być może siłą sprawczą jest tu przyciąganie Księżycy, jak sugerują nowożytni uczeni. Tymczasem na dworze królewskim, gdzie przyptywy i odpływy władzy zależą od strony, w którą zwraca się księżycowe oblicze Henryka, reformiści znów unoszą się na fali.

- Jak w takim razie pomóc Annie Askew? - pytam moją siostrę i Katarzynę Brandon. - Król uwolnił George'a Blagge'a i zadeklarował miłość do niego. Wszystko wskazuje na to, że znów jesteśmy górą. Jak szybko możemy doprowadzić do uwolnienia Anny?

- Sądzisz, że masz dość władzy, aby do tego doprowadzić? - powątpiewa moja siostra.

- Powrót George'a wyraźnie mówi, że król skończył się zadawać z klechami. Teraz to my znajdujemy się w jego łaskach - odpowiadam z wielką pewnością siebie. - Zresztą nawet gdyby było inaczej, winnyśmy podjąć ryzyko. Anna Askew nie może pozostać w więzieniu Newgate. Jest to siedlisko chorób i zarazy. Musimy ją stamtąd wyciągnąć.

- Mogłabym posłać kogoś, aby dopilnował, żeby miała należyte warunki - odzywa się Katarzyna Brandon. - Mogłabym przekupić strażników, żeby zapewnili jej najniezbędniejsze wygody. Mogłabym ją przenieść do czystej celi, zorganizować dla niej książki, ciepłe odzienie i żywność.

- Zrób to wszystko - kiwam głową. - Ale co uczynić, aby odzyskała wolność?

- Pamiętasz naszego kuzyna Nicholasa Throckmorta? Mógłby pójść i z nią porozmawiać - podsuwa moja siostra. - Zna się na prawie i jest wyznania reformowanego. Wiele razy wysłuchiwał, jak Anna Askew prawi kazania w twoich komnatach. Niech się zorientuje, co można zrobić w jej sprawie. My tymczasem zwrócimy się do żony Anthony'ego Denny'ego, który nie opuszcza ostatnio boku króla, powinien więc wiedzieć, co rada królewska

zamierza w jej sprawie. W końcu to on przedłoży Henrykowi akt oskarżenia do podpisu albo nawet sam przystawi jego pieczęć. A potem zanieś sędziom list od króla, gdy ten postanowi podyktować im wyrok. Anthony Denny jest na bieżąco i z pewnością rozmawia o wszystkim z Joan...

– Myślisz, że jest po naszej stronie? – pytam. – Myślisz, że jest po stronie reformy?

Moja siostra czyni gest, jakby ważyła w dłoniach dwa mieszk.

– Nie mam wątpliwości, że sercem skłania się ku nam – odpowiada. – Zarazem jak my wszyscy nie chce wypaść z łask króla. Nie zrobi więc nic, co by nastawiło Henryka przeciwko niemu. Koniec końców jest tylko bezradnym poddanym na dworze...

– Tyrana – rzuca wyzywająco Katarzyna Brandon.

– Króla Anglii – poprawia ją szybko moja siostra.

– Który – przypominam im obu – patrzy na nas przychylnie.

Odzyskawszy pewność siebie, udaję się do apartamentów Henryka przed wieczrą i w obecności jego dworzan, którzy rozprawiają akurat o religii, wyrażam na głos swoją opinię. Pilnuję się jednak, aby nie wydać się nadmiernie śmiałą i dumną ze swego odczytania. To ostatnie nie jest wcale trudne, im więcej bowiem się dowiaduję, tym więcej mam tajemnic do odkrycia, ale w każdym razie jestem w stanie stanąć w szranki w rozmowie z tymi mężczyznami, którzy podchwycili reformację, tak jakby to było strzelanie z łuku – celem zadowolenia króla i przysporzenia sobie zajęcia.

– Zatem Tomasz Seymour pozostaje w stanie bezzennym – rzuca król w środku rozmowy. – Kto by pomyślał?

Imię mojego ukochanego, wypowiedziane na głos, uderza we mnie niczym dobrze wymierzony cios.

– Słucham, wasza królewska mość?

– Mówię, że Tomasz Seymour pozostaje w stanie bezzennym – powtarza król, podnosząc głos, jakbym była głucha. – Mimo że dałem mu swoje błogosławieństwo, a Howardowie zapewniali, że ślub się odbędzie rychło.

Nie znajduję na to słów. Ponad ramieniem Henryka widzę obojętne oblicze księcia Norfolku, ojca Marii, która powinna była zostać żoną Tomasza.

– Co stanęło na przeszkodzie? – pytam tonem umiarkowanego zainteresowania.

– Najwyraźniej preferencje damy. – Henryk zwraca się do księcia. – Twoja córka odmówiła zamążpójścia? Dziwię się, że pozwalasz jej na taką swobodę.

Tomasz Howard skłania się z uśmiechem.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że Maria nie jest wielką miłośniczką młodego Seymoura - rzecze, ja zaś zgrzytam zębami na jego lekceważący ton.  
- Zdaje się, że nie ma pewności co do jego przekonań religijnych.

To brzmi jak oskarżenie o herezję.

- Najjaśniejszy panie... - zacznę mówić.

Książkę jednak mnie zagłusza. Urywam w pół zdania, zaskoczona, że śmie mi przerwać - mnie, królowej Anglii! - i nikt mu nie zwraca uwagi.

- Seymourowie, jak wiadomo, sprzyjają reformie Kościoła - opowiada Howard, sycząc przy każdej literze „s” przez lukę po brakującym zębie, jak na węża, którym jest, przystało. - Poczynając od Anny służącej królowej, a kończąc na Edwardzie. Wszyscy zaciekle studiują i czytają. I wydaje im się, że mogą pouczać resztę z nas. Domyślam się, że powinniśmy być za to wdzięczni, tak się jednak składa, że z mojej córki jest tradycjonalistka. Pragnie wielbić Pana w Kościele stworzonym przez waszą królewską mość. Maria nie poszukuje zmiany, chyba że zaleconej przez głowę Kościoła. - Milknie na moment, spuszcza oczy, jakby chciał wycisnąć łzę na wspomnienie nieżyjącego zięcia. - Do tego niezwykle kochała Henryka Fitzroya, jak my wszyscy. Nie wyobraża sobie zatem innego mężczyzny w jego miejsce.

Wzmianka o bastardzie wprawia króla w sentymentalny nastrój.

- Nie mówmy o nim - prosi. - Nie jestem w stanie przeboleć tej straty. Taki cudny chłopiec!

- Nie wyobrażam sobie, aby ktoś taki jak Tomasz Seymour miał go zastąpić - dodaje zjadliwie Howard. - Byłaby to czysta kpina.

Z narastającym gniewem przysłuchuję się jego obelgom pod adresem Tomasza i widzę, że nikt nie kwapi się bronić mego ukochanego.

- Zaiste - przyznaje król. - Seymour nie dorasta Fitzroyowi do pięt. Nikt mu nie dorasta.

Nicholas Throckmorton, mój kuzyn, wraca z więzienia Newgate z dobrymi wieściami. Anna Askew ma w Londynie wielu zwolenników, tak że ciepłe odzienie, książki i pieniądze płyną do jej celi szerokim strumieniem. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce zostanie uwolniona. Odnosi skutek znaczenie jej świętej pamięci ojca oraz bogactwo jej męża. Anna Askew prowadzi kazania dla co bardziej znaczących londyńczyków, w tym ojców miasta, w gruncie rzeczy nie mówiąc nic, czego nie myślałyby tysiące innych ludzi. Panuje powszechna opinia, że król zapragnął nastraszyć co wymowniejszych zwolenników reformy, skłonić ich do milczenia, i że oni wszyscy, podobnie jak młody Tomasz Howard, podobnie jak George Blagge,

zostaną ukradkiem zwolnieni w najbliższych dniach.

- Możesz rozmówić się z królem? - pyta mnie kuzyn. - Możesz poprosić go o łaskę dla niej?

- Henryk nie ma najlepszego humoru - wyznaję. - W dodatku na każdym kroku otacza się klechami.

- Ale chyba znów skłania się ku naszej sprawie?

- Ostatnimi decyzjami udowodnił, że sprzyja reformie, jednakże wszyscy na równi go irytują.

- A nie mogłabyś go nakłonić, jak niegdyś to czyniłaś?

- Postaram się - obiecuję. - Jednakże dziś rozmawia się z nim trudniej niż kiedyś. Czasami mam wrażenie, że go niecierpliwie, a czasami wręcz, że puszcza moje słowa mimo uszu.

- Musisz utrzymać jego myśli przy reformie - naciska Nicholas. - Tylko ty nam zostałaś. Doktor Butts nie żyje, niech Bóg czuwa nad jego duszą. Edward Seymour przebywa za granicą, jego brat Tomasz na morzu, Cranmer z dala od pałacu królewskiego... Ty jedna możesz przypomnieć królowi, w co wierzył jeszcze przed zaledwie kilkoma miesiącami. Wiem, że Henryk jest zmienny, lecz nasze poglądy są jego poglądami, ty zaś jako jedyna możesz go utrzymać na stałym kursie. Wiem, jaka to odpowiedzialność, ale naprawdę nie ma nikogo innego. Wszyscy na ciebie liczymy.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN LATO 1546 ROKU



Jest środek lata, aura panuje nazbyt gorąca, aby pozostać w stolicy. Powinniśmy udać się w objazd królestwa, przemierzając rozległą zieloną dolinę Tamizy, zatrzymując się w nadrzecznych pałacykach, może zahaczając o Portsmouth, gdzie mogłabym ujrzeć Tomasza. Tego roku jednak Henryk nie obawia się zarazy, nie przejmuje się upałem w mieście. Tego roku boi się, że śmierć nadciąga z całkiem innej strony, depcząc mu piętach niczym namolny kompan.

Czuje się nazbyt zmęczony, aby wyprawić się gdzieś dalej nawet w ucieczce przed chorobą. Nieszczęsny starzec nie jest w stanie dosiąść konia, nie jest nawet w stanie iść o własnych siłach. Wstydzi się przed poddanymi, którzy niegdyś wylegali na trakty i na jego widok zrywali czapki z głów, wiwatując głośno. Przywykł do tego, że jest najprzystojniejszym władcą chrześcijańskiego świata. Obecnie jednak wie, że ludzie, popatrując na niego, nie mogą się powstrzymać od współczucia, co też zrobił ze swoim nadętym ciałem, co zrobił z nalaną twarzą.

Dlatego – ponieważ król uważa się nad sobą i boi własnego cienia – wszyscy siedzimy razem z nim w Londynie, gdzie wąskimi ulicami niesie się odór rynsztoków, a świni i krowy przetrząsają kupy śmieci wyrzucone

wprost na place. Zauważam przy jakiejś okazji, że burmistrzowi brak skuteczności, że powinien nakazać wysprzątanie miasta i ukarać winowajców, jednakże król spogląda na mnie zimno i pyta:

– Zatem chcesz być nie tylko królową, ale też burmistrzem Londynu?

Wszyscy jesteśmy przeczuleni. Latem na ogół dworzanie rozjeżdżają się do swoich domów, przez co teraz wielmożowie z północy i zachodu tęsknią do żon i dzieci i do zamków położonych pośród rzeźkich zielonych wzgórz rodzinnych hrabstw. Zły humor króla kładzie się cieniem w całym pałacu – nikt nie chce tu być, wszyscy czują się więźniami i są nieszczęśliwi.

Pewnego razu, przechadzając się alejką wzdłuż murów pałacowych, napotykam Willa Somersa. W głębi serca tęsknię do Tomasza, martwię się o Annę Askew, w dalszym ciągu przetrzymywaną w lochu bez dania racji, i pragnę, aby Henryk dał mi ucha jako swej partnerce i pomocnicy, którą ślubowałam mu być. Błazen leży rozciągnięty pod rozłożystym dębem, równie niezgrabny jak żrebak, opromieniony słońcem przedostającym się przez gęste listowie, ale na mój widok rozplątuje długie kończyny i wstaje, kłania mi się, po czym z powrotem zlega na ziemi, składając się niczym kukiełka.

– Jak ci się podobają upały, Will? – pytam go.

– Bardziej od piekła – odpowiada. – A może wasza królewska mość podważa też istnienie piekła?

Rozglądam się wkoło, lecz w tej części ogrodu jesteśmy tylko we dwoje.

– Chcesz porozmawiać ze mną o teologii?

– Nie! – zaprzecza. – Jesteś dla mnie za bystra. Zresztą nie tylko dla mnie...

– Nie ty jeden nie masz ochoty na teologiczną debatę?

Potakuje skinieniem, przykładając palec do skrzydełka nosa i uśmiechając się do mnie promiennie.

– Kto jeszcze nie ma ochoty? – drążę.

– Najjaśniejsza pani – rzecze z zadęciem – jestem tylko błaznem. Dlatego nie rozmawiam z królem o jego Kościele i mam się świetnie. Ale gdybym był mądrzejszy... a co dzień dziękuję Stwórcy, że nie jestem... już dawno bym nie żył. Bo wtedy, mając zdanie na każdy ważny temat, czułbym pokusę, aby rozprawić bez końca, do samej śmierci. Bo właśnie do tego prowadzą takie dyskusje.

– Król Henryk ceni sobie uczoną dysputę – oponuję.

– Może kiedyś, ale teraz już nie – kontruje Will. – Skromnym zdaniem błazna, które nikogo nie obchodzi.

Otwieram usta do riposty, lecz on w tym samym momencie staje na głowie, podpierając się rękoma i wdrapując stopami po pniu drzewa.



- Widzisz, jaki ze mnie błazen? - pyta do góry nogami.

- Myślę, Will, że jesteś znacznie mądrzejszy, niż się wydajesz - rzucam. - Życie wielu osób zależy od tego, czy przemówię w ich imieniu. Poza tym obiecałam nakłonić króla, by wrócił do swych poglądów.

- Łatwiej jest stanąć na głowie, niż wpłynąć na poglądy króla - odpowiada Will, wyprężony niczym gwardzista, aczkolwiek nadal do góry nogami. - Na twoim miejscu, najjaśniejsza pani, stanąłbym na głowie obok mnie.

Letnia pogoda nie ustępuje. Codziennie przesiadujemy przy szeroko otwartych oknach, przysłuchując się, jak jedna z dworek czyta na głos Pismo Święte. Kotary zawieszono u okien są zmoczone zimną wodą w próbie ochłodzenia wnętrza. Popołudniami kryję się w mojej komnacie sypialnej, gdzie okiennice są zamknięte w ochronie przed palącym słońcem, żeby modlić się o powrót króla do zdrowia, jak również o to, abyśmy wreszcie uwolnili się od zaduchu miasta i udali w objazd królestwa. Niczym jaskółka marzę o wyprawie na południe, nad morze, na pachnące solą plaże... i do Tomasza.

Pewnego dnia, kiedy siedzimy na ławach przy rzece, zażywając chłodniejszego powietrza, na moich oczach zza horyzontu wyłania się barka Seymourów i przybija do pałacowej przystani. Natychmiast przybieram wyraz znudzenia na twarzy.

- Czyżby to barka Seymourów? Kogo wiezie na pokładzie? Admirała Tomasza Seymoura?

Elżbieta zrywa się na równe nogi i ocieniając oczy przed słońcem, wpatruje się w dal.

- Tak! - odpowiada piskliwie. - To Tomasz Seymour! A z nim Edward Seymour!

- Mój mąż? - pyta Anna Seymour. - Nie spodziewałam się go. Wasza królewska mość, czy wolno mi pójść do niego, by się przywitać?

- Pójdziemy wszystkie - decyduję.

Odkładamy książki i robótki i kierujemy się w stronę przystani, gdzie obaj Seymourowie skłaniają się przede mną i całują moją dłoń, po czym Edward wita się z żoną.

Ledwie na niego patrzę. Ledwie znajduję uprzejme słowa powitania. Albowiem właśnie Tomasz ujmuję mnie za rękę i muska wargami grzbiet mojej dłoni. Potem prostuje się i kłania reszcie dworek. Podaje mi ramię. Słyszę, że komentuje naszą wyprawę nad rzekę i przestrzega przed

niezdrowym powietrzem. Słyszę, że wspomina coś o letnim objeździe królestwa. Nie wiem, co dokładnie mówi, gdyż krew tętni mi głośno w uszach.

– Przyjechałeś na długo? – pytam.

Nachyla się ku mnie i odpowiada ściszym głosem. Gdybym i ja pochyliła się ku niemu, znaleźlibyśmy się dostatecznie blisko, aby się pocałować. Zastanawiam się, czy on też zdaje sobie z tego sprawę... i nagle wiem, że tak.

– Przyjechałem tylko na jedną noc – mówi.

Słowo „noc” w jego ustach natychmiast przywołuje mi na myśl miłosne uniesienia.

– Och.

– Chciałem złożyć meldunek na temat umocnień na wybrzeżu w obecności Edwarda. Stanowimy w pałacu mniejszość. Ledwie dochodzimy do głosu. Wszystko tłumią Howardowie i ich przyjaciele.

– Doszły mnie słuchy, że jednak nie będzie twojego ślubu z Marią Howard.

Posyła mi szybki uśmiech.

– I chyba dobrze.

– Nie miałabym nic przeciwko. Powitałabym ją wśród swoich dworek.

– Wiem. Mam do ciebie zaufanie. Ale jednak coś w tej całej sprawie... – urywa.

– Idź wolniej – rzucam przez ściśnięte gardło. Zbliżamy się już do pierwszej bramy, tak że zaraz pojawi się ktoś, kto go ode mnie porwie. – Na miłość boską, miejmy tych parę chwil dla siebie...

– Howardowie nalegali, aby Maria dołączyła do twego dworu – opowiada Tomasz. – Kazali mi obiecać, że wyślę ją do twych komnat. Jedyne powód, jaki mi przychodził do głowy, to taki, że potrzebowali szpiega w twoim otoczeniu. Wątpiłem w ich uczciwość, Maria zaś ledwie zaszczycła mnie słowem. Była o coś bardzo zagniewana. Tak jakby ją przymusili...

– Zatem wciąż jesteś wolny – stwierdzam tęsknie.

Delikatnym ruchem nakrywa moją dłoń spoczywającą w zagłębieniu jego łokcia.

– Prędzej czy później będę musiał się ożenić – przestrzega mnie. – Potrzebny nam sojusz pałacowy. Tracimy wpływy u króla, potrzebujemy znaczniejszej reprezentacji. Muszę sobie znaleźć żonę, która wstawi się za mną.

– Ja nie mogę tego uczynić, chociażbym chciała...

– Nie. W życiu. Nie wolno ci się za mną wstawiać. Potrzebna mi jednak

żona, która będzie pilnować moich interesów.

Czuję się tak niedobrze, jakbym istotnie nawdychała się nad rzeką niezdrowego powietrza.

- Myślisz o ożenku?

- Muszę.

Kiwam głową. Oczywiście, że musi.

- Wybrałeś już kandydatkę?

- Czekam tylko na twoje pozwolenie.

- Masz je zapewnione. Zdaję sobie sprawę z tego, że potrzebujesz żony.

Wiem, jak to jest na dworze królewskim. Pojawię się na twym ślubie z uśmiechem.

- Nie żądałbym tego od ciebie.

- Ani ja od siebie. A jednak zatańczę na twym weselu.

Już prawie dochodzimy do pałacu. Gwardziści salutują nam i otwierają drzwi. Tomasz musi się udać do komnat króla, tak że nie zobaczę go aż do wieczery. Ale nawet wtedy nie będzie mi wolno na niego patrzeć. A później, za miesiąc, za tydzień, będzie już żonaty.

- Kim jest twoja wybranka? - pytam. - Powiedz szybko.

- Księżniczka Elżbieta.

Okręcam się na pięcie, by spojrzeć na swoją pasierbicę, która postępuje na czele moich dworek, i po raz pierwszy widzę w niej nie dziecko, lecz młodą niewiastę. Liczy sobie dwanaście wiosen, jest więc w odpowiednim wieku do zaręczyn. Za kilka lat będzie w odpowiednim wieku do zamążpójścia. W mgnieniu oka wyobrażam ją sobie jako pannę młodą, żonę Tomasza i matkę jego dzieci. Oczywiście wyobraźni widzę ją w łożu i w pałacu, obnoszącą swoje szczęście.

- Elżbieta!

- Ciii - ucisza mnie. - Oczywiście, zgodę będzie musiał wyrazić król, ale jeśli się zgodzi, będę jego zięciem. To dla mnie doskonała partia.

Nie da się ukryć. Z bolesną jasnością uświadamiam sobie korzyści dla całego rodu Seymourów. To zaiste doskonała partia dla nich, a księżniczka Elżbieta, gdy się dowie, uda córzyne posłuszeństwo, w głębi ducha jednak będzie zachwycona. Żywi bowiem dziewczęce zauroczenie Tomaszem - jego urodą i aurą przygody, która go otacza, wkrótce zaś się w nim zakocha, będzie tylko o nim mówić i szczebiotać, będzie się nadymać ze szczęścia, ja natomiast przez zazdrość o niego stracę do niej miłość.

- Nie podoba ci się ten pomysł - zauważa Tomasz.

Potrząsam głową, przełykając gorycz.

- Nie może mi się podobać, ale nie mam zamiaru protestować.

Rozumiem, że musisz to zrobić, Tomaszu. Byłby to dla ciebie wspaniały ruch, który zapewniłby Seymourom trwałe miejsce w rodzinie królewskiej.

– Nie ożenię się z nią, jeśli tak powiesz.

Ponownie kręcę głową. Przekraczamy próg, zagłębiając się w chłodzie korytarza. Słudzy Seymourów wylegają, aby powitać swoich mocodawców. Podczas gdy oni kłaniają się w pas, my zwracamy się ku apartamentom króla. Nie możemy już ze sobą rozmawiać – oczy wszystkich skierowane są na nas, wokół rozlegają się uwagi na temat powrotu admirała na dwór.

– Jestem twój – szepcze namiętnie Tomasz. – Na wieki. Wiesz o tym.

Puszczam jego ramię, a on odstępuje ode mnie z ukłonem.

– Doskonale – odpowiadam. Wiem, że musi nabierać znaczenia. Wiem, że Elżbieta to dla niego wspaniała partia. Wiem, że będzie za nim szaleć, on zaś będzie okazywać jej wyłącznie dobroć. – Doskonale.

Tomasz wyjeżdża nazajutrz przed mszą, tak że nawet nie mam okazji go zobaczyć.

– Jesteś chora? – pyta mnie siostra. – Wyglądasz...

– Jak wyglądam?

Anna przygląda się badawczo mojej twarzy.

– Telepiesz się cała – z uśmiechem używa słowa z naszego dzieciństwa.

– Jestem nieszczęśliwa – mówię w przypiływie szczerości.

Nie mogę powiedzieć nic więcej, jednakże i tak robi mi się nieco lżej na duszy. Czuję niemal fizyczną tęsknotę za Tomaszem. Nie mam pojęcia, jak zniosę jego ożenek z inną niewiastą. Na samą myśl o nim z Elżbietą żołądek wywraca mi się na nice, jak gdybym struła się zazdrością.

Anna nawet nie pyta, z jakiego powodu czuję się nieszczęśliwa. Nie jestem pierwszą królową, która drży na jej oczach pod brzemieniem korony.

\*

W większość wieczorów jestem zapraszana do komnat króla, aby przysłuchiwać się toczonym tam dyskusjom. Nierzadko wyrażam na głos swoje opinie, przypominając Henrykowi, że reforma to jego dzieło, które zapoczątkował w swej mądrości, i że poddani mają do niego za to wielki szacunek. Wnoszę jednak z chłodnego milczenia, które następuje po moich słowach, że król nie zgadza się ze mną. Coś planuje, coś, czego przede mną

nie ujawnia. Jestem wszystkiego nieświadoma aż do pierwszego tygodnia lipca, kiedy to rada królewska ogłasza, iż przestępstwem jest posiadanie Biblii po angielsku, przetłumaczonej czy to przez Williama Tyndale'a, czy to przez Milesa Coverdale'a.

To jakieś szaleństwo. Nie sposób tego pojąć. Miles Coverdale przyłożył rękę do przekładu Tyndale'a, udoskonalając go zgodnie ze wskazówkami Henryka, po czym całość została opublikowana jako tak zwana Biblia Królewska, dar monarchy dla wiernych zaledwie przed siedmiu laty. Każdy, kogo na to stać, zaopatruje się w egzemplarz. Byłoby oznaką niełojalności nieposiadanie świętej księgi pod swoim dachem. Każda parafia otrzymała jeden egzemplarz z przykazaniem, aby udostępniła go parafianom. To najlepsza istniejąca wersja w języku angielskim – ma ją każdy szanujący się księgarz. Tymczasem teraz, z dnia na dzień, jej posiadanie okazuje się przestępstwem. Jest to zmiana tak znacząca, że zdaje się, iż wszystko stanęło na głowie. Przed oczyma wyrasta mi Will Somers do góry nogami, gdy biegnę do swoich komnat, gdzie Anna już zawija moje drogocenne, pięknie oprawione i iluminowane woluminy w zgrzebne płótno, by schować je do skrzyni.

- Nie możemy ich wyrzucić!

- Trzeba je stąd odesłać – rzecze przytomnie moja siostra.

- Ale dokąd?

- Do Kendal – odpowiada, wymieniając nazwę naszej rodzinnej siedziby.

- Jak najdalej od Londynu.

- Nasz dom chyli się ku upadkowi! – protestuję.

- Tym lepiej. Nikt nie będzie tam szukać.

- Spakowałaś mój prywatny egzemplarz?

- I twoje zapiski. Jak również egzemplarze Katarzyny Brandon, Anny Seymour, Joan Denny i Jane Dudley. Nowe prawo wzięło nas przez zaskoczenie. Wszystkie zostałyśmy winowajczyniami z dnia na dzień.

- Ale dlaczego? – wybucham. Z gniewu jestem na krawędzi łez. – Dlaczego król zdelegalizował Biblię, którą sam zamówił? Biblię Królewską? Jak może być przestępstwem posiadanie Pisma Świętego? To Pan dał ludziom Słowo Boże, jakże król może je odbierać?

- Otóż to – potakuje moja siostra. – Zastanów się. Czemu najjaśniejszy pan nagle chce widzieć w swojej żonie winowajczynię?

Ujmuję ją za rękę i odciągam od zamykanej skrzyni, po czym klękam przy jej boku.

- Anno, obracasz się w pałacu całe swoje życie. Ze mnie jest tylko Katarzyna Parr wychowana w Kendal, prosta niewiasta z Północy. Nie mów do mnie zagadkami.

- To żadna zagadka - śmieje się gorzko. - Twój mąż ustanowił prawo, na mocy którego możesz trafić na stos. Pytanie brzmi: dlaczego?

Chwilę zajmuje mi wyartykułowanie odpowiedzi.

- Henryk chce się mnie pozbyć?

Anna milczy.

- Twierdzisz, że nowe prawo jest wymierzone prosto we mnie, skoro nie przyłapali mnie nigdy na niczym innym? Sugerujesz, że zakazano Biblii, aby uczynić ze mnie i moich dworek przestępczynię? Aby tym łatwiej było nas oskarżyć o herezję? Przecież to śmieszne!

Przez moment nie potrafię rozszyfrować jej miny - Anna nie przypomina siebie samej - ale w końcu dociera do mnie, że moja siostra zwyczajnie się boi. Wargi jej drżą, jakby chciała coś powiedzieć, czoło ma zroszone potem.

- Henryk się na ciebie uwziął, Katarzyno - mówi w końcu. - Tak to zawsze wygląda. Uwziął się na ciebie, a ja nie wiem, jak cię ratować. Pakuję twoje księgi i palę zapiski, ale panowie rada już wiedzą, że czytałaś i pisałaś, i zmieniają prawo na wyprzódki. Nie jestem w stanie upilnować, abyś przestrzegała przepisów, skoro co rusz są inne. Nie mam pojęcia, jak cię ocalić. Obiecowałam ci, że go przeżyjesz, ale teraz, choć jego zdrowie podupada, zamierza się na ciebie jak...

Puszczam jej ręce i aż się cofam.

- Jak co?

- Jak na tamte dwie.

Domyka skrzynię, podchodzi do drzwi i woła na sługę, który jest na naszej służbie od zawsze. Wskazując pakunki, mówi mu, że ma wszystko zabrać, nikomu nie pokazywać i ruszyć z kopyta do Kendal w Westmorlandii. Przyglądając się, jak mężczyzna podnosi pierwszą skrzynię, czuję, że chciałabym się udać razem z nim w tamte dzikie wzgórza.

- Pojmą go nie dalej niż w Islington, jeśli zechcą - mówię po jego wyjściu. - Dotrze nie dalej niż dzień drogi od Londynu.

- Wiem - rzecze głucho moja siostra. - Ale co innego mogłybyśmy zrobić?

Spoglądam na Annę, która służyła szczęściu żonom Henryka, z czego cztery pochowała.

- Naprawdę uważasz, że zastawił na mnie pułapkę? Że zwrócił się całkiem przeciwko mnie?

Anna nie odpowiada. Pokazuje mi oblicze, które jak sobie wyobrażam, pokazała też młodziutkiej Katarzynie Howard, gdy ta płakała, że nie uczyniła nic złego, i Annie Boleyn, która była pewna, że słowa ją uratują.

- Nie wiem. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, siostrzo, bo nic już nie

wiem.

# PAŁAC HAMPTON COURT LATO 1546 ROKU



Królowi się pogarsza, co wprawia go w jeszcze bardziej kiepski nastrój. Przystaje na to, abyśmy przenieśli się do pałacu Hampton Court, z dala od nieznośnego miejskiego upału i zagrożenia zarazą, jednakże ani nie wychodzi do ogrodów, ani nie zażywa przejażdżek na rzece, ani nawet nie bierze udziału w mszy świętej w pięknej pałacowej kaplicy. Mówią mi, że pragnie jedynie odpoczywać w swych komnatach i rozmawiać ze swymi doradcami. Nie pojawia się w wielkiej sali na wieczerzy ani nie składa mi wizyt w mojej komnacie prywatnej, mnie zaś nie wolno przychodzić do niego. Odsunął się ode mnie, tak jak wcześniej odsunął się od Katarzyny Howard, którą zapewniano, że zachorzał, chociaż w istocie zamknął się za drzwiami tych samych pomieszczeń, tutaj, w Hampton Court, roztrząsając jej niedostatki i rozmyślając nad procesem, który nakaże, oraz nad wyrokiem, który wyda.

Tymczasem podobnie jak Boleynówna, która brała udział w turniejach i obchodach, doskonale wiedząc, że coś jest nie tak, i ja muszę pokazywać się przed całym dworem. Nie mogę wycofać się w cień tak jak Henryk. Jestem właśnie w swej ptaszarni, karmiąc ulubieńców, wystuchując ich bezrozumnego świergotu i przyglądając się ich krzątaniu, gdy poprawiają



piórka, kiedy nieoczekiwanie do drzwi puka mój sekretarz, William Harper.

– Wejść – zapraszam go. – Wejść i zamknij za sobą dobrze drzwi. Wypuściłam parkę z klatki i nie chcę, żeby mi uciekła.

Sekretarz robi unik, gdy jeden z kanarków przelatuje mu nisko nad głową, po czym szybkim krokiem podchodzi do mnie i ujmuje moją wyciągniętą rękę.

– O co chodzi, Williamie? – pytam nieobecna duchem, krusząc sezamkę i karmiąc nienasyconego ptaszka. – Mów. Bo zaraz będę musiała opuścić te ślicznotki i udać się przebrać przed wieczerzą.

Sekretarz zerka na moją siostrę i Annę Seymour, siedzące obok siebie na ławie w okiennej ambraturze i nieporuszone widokiem moich ptaków.

– Mógłbym porozmawiać z tobą na osobności, najjaśniejsza pani? – pyta.

Moja siostra się niecierpliwi.

– Jej królewska mość musi się przebrać. Mów, co masz do powiedzenia, przy nas.

Sekretarz kręci głową i patrzy na mnie błagalnie.

– Och, idźcie przodem – mówię do dwerek. – Wybierzcie mi kornet i klejnoty. Zaraz do was dołączę.

Sekretarz i ja czekamy, aż drzwi się za nimi zamkną, po czym znów zwracamy się ku sobie. William Harper to człowiek rozważny, wykształcony w klasztorze i trzymający stronę tradycjonalistów. Z pewnością czuł przerażenie na widok połowy ksiąg w mojej bibliotece – nie ma wielkiego poważania dla nowej religii. Zatrudniam go, ponieważ jest bardzo uczony, sprawnie tłumaczy i zgrabnie pisze. Ilekroć potrzebuję wysłać list po łacinie, tylko on, nikt inny, potrafi go napisać za jednym posiedzeniem swą piękną kaligrafią. Ani razu nie zaprzeczył kaznodziejom, którzy prawili w moich komnatach, aczkolwiek raz czy dwa widziałam, jak zwiesza głowę i mamrocze pod nosem modlitwę niczym zakonnik wystawiony na pokusy świata doczesnego.

– No i już! Zostałam tylko ja i moje ptaszęta, które nie potrafią mówić. Nie licząc papugi, z której jest straszny bluźnierca, aczkolwiek wyłącznie po hiszpańsku. O co chodzi, Williamie?

– Przyszedłem cię ostrzec, wasza królewska mość – rzecze poważnie mój sekretarz. – Obawiam się, że twoi wrogowie przemawiają przeciwko tobie.

– Wiem o tym – odpowiadam krótko. – Dziękuję za troskę, Williamie, ale wiem już o wszystkim.

– Sługa biskupa Gardinera przyszedł do mnie i kazał mi przetrząsnąć twoje papiery – zaczyna pośpiesznie opowiadać. – Powiedział, że czeka mnie sowita nagroda, jeśli skopiuję wszystko, co napisałaś, i mu przekażę. Wasza

królewska mość, myślę, że są zbierane przeciwko tobie dowody.

Kanarek łaskocze mnie w dłoń, przestępując z nóżki na nóżkę i dziobiąc okruchy. Nie spodziewałam się takiego ostrzeżenia ze strony Williama. Nie spodziewałam się, że posuną się aż tak daleko. Widzę, że moje wstrząśnięte oblicze znajduje lustrzane odbicie w jego zaniepokojonej twarzy.

– Jesteś pewien, że to był człowiek Gardinera?

– Tak. Kazał mi wszystko zanieść ekscelencji. Na pewno się nie mylę.

Odwracam się do niego i podchodzę do okna. Żółtoskrzydły kanarek siedzi mi wciąż na palcu. Na zewnątrz panuje piękny letni dzień, słońce właśnie zachodzi za wysokie kominy z czerwonej cegły, wokół których szybują jaskółki. Skoro biskup Gardiner poczyna sobie z taką śmiałością, podchodząc jednego z moich służących, musi być bardzo pewien swego. Musi ufać, że nawet moje oburzenie i skarga u Henryka nie ściągną na jego głowę gradu królewskiego gniewu. Musi też wierzyć, że znajdzie coś przeciwko mnie. Albo co gorsza, już znalazł i teraz tylko szuka dodatkowych dowodów, które mają zwieńczyć jego sekretne dochodzenie. Potrzebuje jedynie wypisanych czarno na białym dowodów mojej winy.

– Kazał zanieść wszystko ekscelencji? – powtarzam. – Na pewno jemu, nie królowi?

Twarz sekretarza jest kredowobiała ze strachu.

– O królu nie było mowy, najjaśniejsza pani. Poza tym jednak miał zaiste tupet. Kazał mi przetrząsnąć twoje dokumenty i przynieść wszystko, co znajduję. Polecił nawet spisać tytuły ksiąg i poszukać Nowego Testamentu. Twierdził, że masz ich kilka.

– Nic tu nie ma – zapewniam.

– Wiem. Wiem, że wszystko odesłałaś, całą piękną bibliotekę i wszelkie dokumenty. Powiedziałem mu więc, że nic nie znajduję, ale on i tak kazał mi się rozejrzeć. Twierdził, że zostawiłaś sobie część ksiąg, że nigdy byś się nie rozstała ze wszystkimi i że muszą gdzieś być w twoich komnatach.

– Zachowałeś się bardzo godnie, donosząc mi o tym – mówię. – Dopilnuję, aby nie ominęła cię nagroda.

William skłania głowę.

– Nie zależy mi na nagrodzie.

– Pójdiesz do tego człowieka i powiesz mu, że szukałeś i nic nie znalazłeś? – pytam.

– Tak – odpowiada mój sekretarz.

Wyciągam do niego rękę, czując, że palce mi drżą i że ptaszek uczepiony kciuka drugiej dłoni aż lekko podskakuje.

– Nie zgadzasz się ze mną w wielu kwestiach, Williamie – zauważam. –

To doprawdy wielce honorowe z twojej strony, bronić mnie, mimo że się różnimy w opiniach.

– Być może się różnimy, najjaśniejsza pani – rzecze – ale ja jestem zdania, że powinnaś móc myśleć, czytać i pisać do woli. Chociaż jesteś niewiastą. Nawet jeśli pozwalasz prawić kazania innej niewieście.

– Niech Bóg ci błogosławi, Williamie, w jakimkolwiek języku, poprzez księdza albo poprzez twe dobre serce.

Mój sekretarz kłania mi się.

– Co zaś do tej kaznodziejki... – dodaje cicho.

Obracam się w progę.

– Mówisz o Annie Askew?

– Przenieśli ją z więzienia Newgate.

Ogarnia mnie wielka ulga.

– Och! – wykrzykuję. – Bogu niech będą dzięki. Została uwolniona?

– Nie. Nie, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Zabrali ją do Tower.

Zapada chwila głuchego milczenia, gdy William widzi wyraz zrozumienia rodzący się na mojej twarzy. Anna Askew nie została odesłana do męża, nie została związana wyrokiem zakazującym jej prawienia kazań, co mogłoby przynieść spokój. Zamiast tego została przeniesiona ze zwykłego więzienia dla pospolitych przestępców do twierdzy londyńskiej, gdzie trzyma się ludzi oskarżonych o zdradę i o herezję, w pobliżu słynnego wzgórza, na którym staje szafot, nieopodal targu mięsnego Smithfield, gdzie pali się heretyków.

Cofam się w głąb komnaty i otwieram okno.

– Wasza królewska mość? – odzywa się zaniepokojony William, wskazując na klatki i ptaki na żerdce. – Powinnaś chyba uważać...

Unoszę kanarka do otwartego okna, aby mógł widzieć niebo.

– Niech lecą, Williamie. Niech wszystkie lecą. Tak będzie dla nich lepiej. Nie mogę wiedzieć, jak długo jeszcze tutaj będę, aby się nimi opiekować.

Ubieram się w całkowitym milczeniu. Dworki wyćwiczonymi ruchami podają mi kolejne sztuki garderoby bez jednego słowa. Nie mam pojęcia, jak dotrzeć do Anny Askew za grubymi murami Tower. Twierdza londyńska to więzienie dla wrogów Anglii, dla największych zdrajców, których nie uwalnia się latami, dla naprawdę złych ludzi, których trzeba zamknąć w odosobnieniu na zawsze. Dostanie się tam bramą wodną, ukrytą przed wzrokiem londyńczyków, którzy mogliby wystąpić w obronie więźnia, jest równoznaczne z wpłynięciem na rzekę Styks – ku zapomnieniu.

Najbardziej jednak męczy mnie to, że nie wiem, czemu przeniesiono

Annę. Została oskarżona o herezję, została przesłuchana przez radę królewską, czemu więc nie pozostawia jej w więzieniu Newgate do procesu, po którym zostanie uniewinniona i odesłana do domu? Czemu przenoszą ją do Tower? Jaki mają w tym cel? Kto za tym stoi?

Gdy Katarzyna Brandon, stojąc za moimi plecami, zapina mi na karku naszyjnik, zbliża się do mnie moja siostra. Bezcenne chłodne szafiry ciążą mi na dekolcie, przypawiając o drżenie.

- O co chodzi, Anno? - pytam.

- Chodzi o Bette - odpowiada, wymieniając imię jednej z moich młodszych panien dworskich.

- Co z nią?

- Jej matka napisała do mnie i poprosiła o odesłanie jej do domu - odpowiada Anna. - Pozwoliłam sobie udzielić jej pozwolenia.

- Jest chora? - dopytuję.

Anna kręci głową z zaciśniętymi wargami, jakby gniew zasznurował jej usta.

- W takim razie co jej jest?

Przez moment panuje zażenowane milczenie. W końcu przerywa je Katarzyna Brandon.

- Ojciec Bette jest dzierżawcą biskupa Gardinera.

Zrozumienie zajmuje mi chwilę.

- Waszym zdaniem ekscelencja napisał do rodziców Bette z radą, aby zabrali ją z mojego dworu?

Anna potakuje skinieniem. Katarzyna Brandon dyga tylko i wychodzi, aby zaczekać na mnie na zewnątrz.

- Nigdy tego nie przyzna - dodaje moja siostra. - Nie ma więc sensu rzucać mu wyzwania.

- Ale dlaczego Bette miałyby mnie opuścić? Nawet jeśli jej to doradził?

- Nie byłby to pierwszy raz... - zauważa Anna. - Kiedy oskarżenia dosięgły Katarzynę Howard, wszystkie młodsze panny dworskie, te, które nie musiały świadczyć przeciwko niej, pod byle pretekstem wróciły do domu. Dwór królowej skurczył się w ciągu jednego dnia niczym prześcieradło. To samo było, gdy król zwrócił się przeciwko Annie Boleyn. Wtedy wszyscy Boleynowie zniknęli z dnia na dzień.

- Ależ ja nie jestem Katarzyną Howard! - wybucham w nagłym przypływie złości. - Nie jestem piątą, winną żoną, tylko szóstą, ignorowaną. Howardówna była cudzołożnicą, może nawet bigamistką, a z pewnością ladacznicą! Ja tylko czytałam księgi i słuchałam kazań! Każda matka wolałaby zabrać swoją córkę z dworu takiej królowej jak Katarzyna Howard! Każda

matka miałyby prawo obawiać się o moralność na takim dworze. Wszyscy jednak przyznają, że pod moim dachem nie dochodzi do żadnych zdróżności. Czemu ktoś miałby zabierać ode mnie swoje dziecko?

- Dworki Katarzyny Howard opuściły ją na parę dni przed aresztowaniem - tłumaczy mi spokojnie siostra - nie dlatego, że była swawolna, lecz dlatego, że jej los był przesądzony. Nikt nie chce przebywać na dworze upadłej królowej.

- Upadłej królowej? - powtarzam. Choć słyszę słowa, nie do końca pojmuję ich znaczenie. Z jakiegoś powodu kojarzą mi się z nocnym niebem. - Upadłej królowej...

- Wiem od Williama, że otworzyłaś okna i wypuściłaś na wolność swoje ptaki - napomyka Anna.

- To prawda.

- Pójdę i spróbuję je przywołać, jeśli zdołam. Nie ma powodu okazywać, że się boimy.

- Ja się nie boję! - kłamię żywiołowo.

- A powinnaś.

Wiodąc swoje dworki na wieczerzę, rozglądam się wokół dyskretnie jakby w obawie, że ludzie zaczną znikać. Nie spostrzegam jednak, aby kogoś brakowało. Wszyscy są na swoich miejscach. Zatem to nowe zagrożenie nie dotyczy zwolenników reformy jako takich, lecz tylko mnie i mojego najbliższego otoczenia. Na mój widok każdy kłania mi się nisko, z szacunkiem. Zupełnie jakby nic się nie zmieniło, jakby ten wieczór nie różnił się niczym od żadnego poprzedniego. Stół na podwyższeniu jest już nakryty, w górze rozpościera się baldachim, a przed królewskim tronem podstolowie gną się w ukłonach, donosząc kolejne potrawy, jak nakazuje ceremoniał, mimo że Henryk jest nieobecny. Król posila się dziś w swoich komnatach w gronie obecnych faworytów, do których zalicza się biskup Stephen Gardiner, lord kanclerz Thomas Wriothesley, sir Richard Rich, sir Anthony Denny i William Paget. Po zakończonej wieczerzy będzie mi wolno opuścić wielką salę i udać się do apartamentów króla, jednakże na razie ktoś musi zasiadać na podwyższeniu. Dworzanie potrzebują monarchy na tronie, księżniczki potrzebują rodzica, który spożyje z nimi wieczerzę.

Gdy moje spojrzenie zawędrowuje do stołu Seymourów, widzę, że u szczytu blatu znajduje się puste nakrycie. Przenoszę wzrok na Annę Seymour.

- Czyżby Edward miał wrócić do domu? - pytam.

- Bardzo bym tego chciała – odpowiada – lecz niestety nie spodziewam się go rychło. Nie śmie opuścić Boulogne-sur-Mer. Bez niego zamek zaraz by przeszedł w ręce Francuzów. – Biegnie za moim spojrzeniem i domyślnie dodaje: – To miejsce czeka na Tomasza.

- Ach tak?

- Przybył rozmówić się z królem. Nie dają rady podnieść z dna Mary Rose. Próbują jakiejś nowej metody, wypompowując z niej wodę, gdy leży na dnie morza, ale wszystko na nic.

- Naprawdę? Czyżby... – zaczynam, ale nie kończę, gdyż oto pojawia się Tomasz Seymour.

Wszedłszy do wielkiej sali, kłania się najpierw pustemu tronowi, a następnie mnie i obu księżniczkom. Do Elżbiety jeszcze mruga, zanim zajmie swoje miejsce za rodzinnym stołem. Posyłam mu dania, tak samo jak księciu Norfolkowi i baronowi Lisle – nikogo nie preferując. Kątem oka widzę, że Tomasz jest opalony niczym wieśniak, z kurzymi łapkami od ciągłego uśmiechania się na słońcu. Wygląda dobrze. Ma nowy aksamitny dublet, utrzymany w barwie ciemnej czerwieni, a to mój ulubiony kolor. Tymczasem z kuchni wynoszone są kolejne potrawy, których pojawienie się obwieszczają dźwięki trąbek. Częstuję się odrobiną tego i owego, zastanawiając się, która to już godzina i czy Tomasz podejdzie do mnie po wieczerzy.

Uczta trwa zgoła w nieskończoność, po czym dworzanie wstają od stołów i zaczynają między sobą rozmawiać. Jedni zagadują dworki, drudzy roztawiają stoliki do gry w karty, w tle grają muzykanci, kilka par zaczyna tańczyć. Tego wieczora nie czekają nas żadne zaplanowane rozrywki. Wstaję więc ze swego miejsca, schodzę z podwyższenia i kierując się do apartamentów króla, zaszczytam krótką rozmową mijane osoby.

W pewnym momencie u mego boku wyrasta Tomasz Seymour.

- Dobry wieczór, wasza królewska mość – wita się z ukłonem.

- Dobry wieczór, sir Tomaszu – odpowiadam. – Od twej jątrewi wiem, że rozmawiałeś z najjaśniejszym panem o Mary Rose.

Tomasz potakuje skinieniem.

- Zameldowałem o próbach jej podniesienia z dna, niestety nieudanych. Spróbujemy ponownie, tym razem z pomocą większej liczby statków i lin. Wyślę pod wodę pływaków, żeby uszczelnili jej kadłub, po czym postaramy się wypompować z niej wodę. Moim zdaniem jest to do zrobienia.

- Mam taką nadzieję. Strata Mary Rose to potężny cios dla naszej marynarki.

- Idziesz do króla? – pyta ściszym głosem Tomasz.

- Jak co wieczór.

- Wydaje się z czegoś bardzo niezadowolony...

- Wiem.

- Powiedziałem mu, że skoro moje małżeństwo z Marią Howard nie doszło do skutku, nadal szukam dla siebie żony.

Pilnuję się, aby na niego nie spojrzeć. Gdy podaje mi ramię, przykładam tylko czubki palców do rękawa jego dubletu, pod którym prężą się mięśnie. Kroczę tuż obok niego, narzucając tempo. Gdybym zbliżyła się choć odrobinę, policzkiem musnęłabym jego bark. Oczywiście tego nie robię.

- Wyznałeś, że masz nadzieję się ożenić z księżniczką Elżbietą?

- Nie. Król nie był w nastroju do takiej rozmowy.

Kiwam głową.

- Wiesz, w dalszym ciągu nie rozumiem, czemu Maria Howard odmówiła mi swojej ręki - rzecze cicho Tomasz. - Howardowie wszyscy przystali na tę propozycję, zarówno książę Norfolku, jak i jego najstarszy syn. Mimo to Maria mnie odrzuciła.

- Wątpię, aby książę Norfolku pozwolił córce kierować się własnym widzimisię.

- Właśnie - podchwytuje Tomasz. - Maria musiałaby walczyć jak dziedzica kotka, żeby przeciwstawić się jednolitemu frontowi przyjętemu przez jej ojca i starszego brata. Musiałaby im się sprzeciwić otwarcie. Trudno to sobie wyobrazić. Poza tym wiem, że nie czuje do mnie antypatii, a sam związek byłby korzystny dla wszystkich zainteresowanych. Zatem jakiś warunek umowy małżeńskiej najwyraźniej jej nie odpowiadał...

- Nie odpowiadał?

- Był dla niej nie do zaakceptowania.

- Co by to mogło być? - zastanawiam się na głos. - Przecież nie miała nic przeciwko tobie...

Tomasz uśmiecha się teraz szeroko.

- Skądże. Nic z tych rzeczy, wasza królewska mość.

- A jednak jesteś pewien, że poszło o jej odmowę? Zdecydowaną odmowę?

- Sądziłem, że będziesz wiedziała coś więcej.

Kręcę głową.

- Tonę w tajemnicach i troskach - mówię mu. - Kaznodzieje, którzy prawili w moich komnatach, siedzą w lochu. Księgi, które dostałam od króla, zostały zakazane. Wbrew prawu jest nawet posiadanie Biblii Królewskiej. Moja przyjaciółka Anna Askew z więzienia Newgate została przeniesiona do Tower. Moje dworki wracają do rodziny na wieś... - Uśmiecham się smutno. - Dzisiejszego popołudnia wypuściłam na wolność swoje ptaki.

Tomasz rozgląda się po wielkiej sali i posyła uśmiech znajomemu, jakby był w świetnym humorze.

- Niedobrze...

- Wiem.

- Nie mogłabyś porozmawiać z królem? Jedno jego słowo poprawiłoby twoją pozycję w okamgnieniu.

- Rozmówię się z nim dzisiaj, jeśli będzie w dobrym nastroju.

- Twoje bezpieczeństwo zależy od jego miłości. Henryk chyba cię wciąż kocha?

Czynię nieznaczny gest zaprzeczenia.

- Tomaszu, nie jestem pewna, czy on kiedykolwiek kogoś kochał. Nie jestem pewna, czy jest w ogóle zdolny do miłości.

Wspólnie z Tomaszem przemierzam komnatę gościnną króla, gdzie roi się od petentów, prawników, lekarzy i zwykłych zauszników, którzy z bacznością nam się przyglądają, ważąc w myślach nasze kroki i naszą pewność siebie. Wreszcie Tomasz przystaje przed drzwiami komnaty prywatnej, gdzie odzywa się z nieszczęśliwą miną:

- Nie mogę znieść myśli, że wejdiesz tam sama.

Na oczach setek osób uśmiecham się do niego oziębło i podaję mu rękę.

Skląniam głowę nad moją dłońią i muska moje palce ciepłymi wargami.

- Jesteś bystrą niewiastą - mówi szeptem. - Przeczytałaś i przemyślałaś więcej niż większość obecnych tu mężczyzn. Przepenia cię miłość do ludzi i wiara w Boga, z którym wieszesz namiętniejszą i szczerzą rozmowę aniżeli oni wszyscy razem wzięci. Na pewno więc zdołasz wytłumaczyć się przed Henrykiem. Jesteś najpiękniejszą, najbardziej godną pożądaną niewiastą w całym pałacu. Zdołasz na powrót rozbudzić w królu cieplejsze uczucia do siebie.

Na koniec kłania mi się sztywno, ja zaś przekraczam próg komnat króla.

Trwa właśnie w najlepsze dyskusja na temat klasztorów i kapliczek. Zatyka mnie, gdy słyszę, że obecni panowie rada zgadzają się co do tego, iż wiele zakonów - zamkniętych takim kosztem i z takim bólem serca - powinno zostać ponownie otwartych. Zdaniem biskupa Gardinera klasztory są potrzebne w każdym mieście celem utrzymania pokoju w królestwie i niesienia ludziom religijnej pociechy. Owe naszpikowane zepsuciem targi strachu i przesądu, które Henryk słusznie kazał zamknąć, mają być znowu



otwarte, jakby w Anglii nigdy nie było reformacji, zakonnicy zaś mają wrócić do kupczenia kłamstwami dla własnego zysku. Stephen Gardiner już przy mnie sugeruje przywrócenie do dawnej świetności części kapliczek i szlaków pielgrzymich, sprytnie przy tym dodając, że mogłyby się opłacać bezpośrednio Koronie zamiast Kościołowi, jakby to mogło zdjąć z nich odium. Twierdzi, że da się czynić zbożne dzieło, zbijając majątek. Słucham tego wszystkiego, siedząc obok Henryka z dłońmi splecionymi na podołku, podczas gdy ów podstępny człowiek peroruje za przywróceniem przesądu i pogaństwa w królestwie, w którym bogaci i tak na każdym kroku ograbiają biednych.

Milczę jednak. Dopiero gdy rozmowa schodzi na liturgię Cranmera, odzywam się w obronie zreformowanej wersji. Sam król zlecił arcybiskupowi przetłumaczenie liturgii z łaciny na angielski. Sam Henryk pracował nad przekładem, ja zaś mu towarzyszyłam, w kółko czytając tłumaczenie, porównując je z łacińskim oryginałem i sprawdzając pod kątem błędów przy przepisywaniu, kiedy wróciło od drukarza. Osobiście przyczyniłam się do powstania angielskiej wersji. Zniżywszy głos, zapewniam, że dzieło Cranmera ma swoją wartość i że powinno być wykorzystywane we wszystkich angielskich świątyniach, bardzo szybko jednak emocje biorą nade mną górę i zaczynam wykładać, iż nasz przekład jest nie dość że wartościowy, to jeszcze piękny, a wręcz święty. Henryk uśmiecha się i kiwa głową, jakby się zgadzał z każdym moim słowem, co mnie dodatkowo rozzuchwala. Mówię więc, że poddani winni mieć prawo zwracać się bezpośrednio do swego Boga w kościele, że ich kontakt ze Stwórcą nie powinien wymagać pośrednika w postaci księdza, a już na pewno nie powinien się odbywać w niezrozumiałym dla nich języku. Tak jak król jest ojcem dla swoich poddanych, tak Pan Bóg jest ojcem dla niego. Granica dzieląca lud od monarchy nie różni się tak znów bardzo od granicy dzielącej lud od Stwórcy – powinna być jasna, otwarta i bezpośrednia. Jak inaczej mówić o honorowym władcy? Jak inaczej mówić o Bogu litościwym?

W głębi serca wiem, że mam rację, wiem, że Henryk podziela moje poglądy. Zadał sobie tak wiele trudu, aby wykorzenić papieżstwo i pogaństwo z Anglii, przywieść poddanych do prawdziwej religii. Zapominam osłodzić każde zdanie komplementem pod jego adresem, przemawiam gorączkowo i z pasją i dopiero w połowie wypowiedzi zdaję sobie sprawę, że oblicze króla chmurnieje z gniewu, Stephen Gardiner zaś patrzy na mnie z góry, ukrywając uśmieszek i unikając mojego roziskrzonego spojrzenia. Odezwałam się nazbyt żarliwie, nazbyt mądrze. Nikt nie lubi mądrych, żarliwych niewiast.

Usiłuję się wycofać.

– Pewnie jesteś zmęczony, mężu. Życzę ci dobrej nocy.

- Jestem zmęczony - zgadza się ze mną. - Jestem zmęczony i jestem stary, i doprawdy nie sądziłem, że dożyję czasów, w których to moja żona będzie mi prawić nauki.

Dygam bardzo nisko, upewniając się, że może mi zajrzeć za dekollet. Czując jego spojrzenie na swoich piersiach, odpowiadam:

- Nigdy bym nie śmiała pouczać waszej królewskiej mości. Twoja mądrość nie zna granic, najjaśniejszy panie.

- Nie jest to dla mnie nic nowego - rzecze poirytowany. - Już wcześniej miewałem żony, które uważały się za lepsze ode mnie.

Czerwienię się.

- Nie sądzę, aby którakolwiek z nich miłowała cię równie gorącym uczuciem jak ja - szepczę, pochylając się, aby cmoknąć go w policzek.

Wzdrygam się wewnątrz na bijący od niego odór. W nozdrza uderza mnie woń jego gnijącej nogi nie tak znów różna od smrodu zepsutego mięsa, przyprowadzający o mdłości zapach zastarzałego potu na skórze, nieświeżego oddechu z ust i otaczających go oparów ciąglego wzdęcia i wiatrów. Muszę wstrzymać oddech, gdy przykładam chłodną twarz do jego rozgrzanego, wilgotnego oblicza.

- Niech Bóg ci błogosławi, mężu, miłościwy panie - mówię cicho. - I niech sprowadzi na ciebie dobry sen.

- Dobranoc, Katarzyno Parr - odpowiada, wyrzucając z siebie gniewne słowa. - Nie uważasz za dziwne, że wszystkie twoje poprzedniczki nazywały się własnymi imionami: królowa Katarzyna, królowa Anna czy wreszcie... niech Bóg czuwa nad jej duszą... królowa Joanna? Ty zaś zwiesz się Katarzyną Parr i nawet podpisujesz się „Królowa KP”, gdzie P oznacza twoje nazwisko.

Tak mnie zdumiewa ten godny pożałowania zarzut, że odpowiadam, zanim zdążę pomyśleć:

- Przecież jestem sobą! Jestem Katarzyną Parr! Jestem córką swego ojca, jestem uczennicą swojej matki. Jakże miałabym się nazywać, jak nie tak?

Henryk spogląda na Stephena Gardinera - który używa swego nazwiska i swego tytułu bez podważania przez nikogo - po czym obaj kiwają głowami, jakby wyjawiało coś, co od dawna podejrzewali.

- Co może być złego w używaniu własnego nazwiska? - dopytuję.

Król nie zaszczyca mnie nawet odpowiedzią, tylko odprawia poirytowanym gestem.

Kiedy się budzę nazajutrz rano, za drzwiami komnaty prywatnej jest zadziwiająco cicho. Zazwyczaj dobiega stamtąd szmer głosów zbierających się

dworek, a w końcu rozlega się pukanie do drzwi panny dworskiej, która danego dnia przynosi gorącą wodę do mycia. Podczas gdy obmywam twarz i ręce w złotej misie, moje dworki przygotowują dla mnie suknie do wyboru, do kompletu z rękawami, gorsetami, kornetami i biżuterią. Proponują mi też coś do jedzenia, chociaż ja nie biorę niczego do ust przed nabożeństwem, jako że nie mam – jak nikt ostatnio nie ma – pewności, czy należy pościć przed mszą czy też nie. Post może być równie dobrze postrzegany jako bezsensowny rytuał, jak i uważany przez biskupa Gardinera za uświęconą tradycję. Niczego nie jestem już pewna. Zaiste śmieszne to czasy, kiedy królowa Anglii nie wie, czy wolno jej skosztować pieczywa o poranku czy nie. Przechabawne.

Jakkolwiek przedstawiają się sprawy, dziś nie słyszę kuchcika, którzy przynosi świeżo upieczony chleb z kuchni. W komnacie prywatnej panuje taka dziwna cisza, że zamiast czekać na pojawienie się panny dworskiej, wstaję bez niczyjej pomocy, okrywam się peleryną i uchylam drzwi, aby wyjrzeć na zewnątrz. Zastaję może pół tuzina dworek, z czego trzy dzierżą suknie wyciągnięte z królewskiej garderoby. Wszystkie są dziwnie milczące i nie odzywają się nawet, gdy otwieram szerzej drzwi i wychodzę do nich bez słowa. Żadna nie życzy mi dobrego dnia ani się do mnie nie uśmiecha. Dygają w ciszy, po czym nawet wyprostowane trzymają wzrok wbity w posadzkę. Żadna nie chce na mnie nawet spojrzeć.

– Co się stało? – pytam. Przebiegam po nich wzrokiem, by zaraz zapytać z narastającą niecierpliwością: – Gdzie moja siostra?

Nie otrzymuję odpowiedzi, jednakże Anna Seymour występuje do przodu.

– Dopraszam się łaski porozmawiania z waszą królewską mością na osobności – rzecze.

– O co chodzi? – pytam, cofając się do komnaty sypialnej i zapraszając ją gestem do środka. – Co się stało?

Anna Seymour zamyka za sobą drzwi. W ciszy, która między nami zapadła, słyszę wyraźnie tykanie mojego nowego zegara.

– Gdzie moja siostra? – powtarzam.

– Przynoszę złe wieści.

– Chodzi o Annę Askew?

Natychmiast przychodzi mi na myśl jej egzekucja. Uznaję, że panowie rada postanowili jednak zrobić to, czego naszym zdaniem nie mogli uczynić. Urządzili jej proces, pośpiesznie doprowadzili do wyroku skazującego i teraz zamierzają spalić ją na stosie.

– Nie mów, że chodzi o nią. Czy moja siostra jest w Tower, by się z nią pomodlić?

Anna Seymour kręci głową.

– Nie, nie chodzi o Annę Askew – odpowiada – tylko o twoje dworki. O twoją rodzoną siostrę. Nocą, po tym jak opuściłaś komnaty najjaśniejszego pana, zebrała się rada królewska, by wydać rozkaz aresztowania twojej siostry Anny Herbert, twojej powinowatej Elizabeth Tyrwhit i twojej kuzynki Magdaleny Lane.

Przez szum w uszach ledwie ją słyszę.

– Kogo? Kogo, mówisz, aresztowali?

– Dworki należące do twojej rodziny. Siostrę i krewniaczki.

– Za co? – pytam bezmyślnie. – Pod jakim zarzutem?

– Żadna z nich nie została jeszcze o nic oskarżona. Wszystkie jednak przesłuchiowano w ciągu nocy, przesłuchania trwają nawet teraz. A gwardziści wdarli się do ich komnat, tych prywatnych, które dzielą z mężami, oraz tych w twoich apartamentach, skąd zabrali ich zapiski, księgi i skrzynie.

– Szukają dokumentów?

– Dokumentów i książek – potwierdza Anna Seymour. – Toczy się bowiem dochodzenie w sprawie herezji.

– Panowie rada oskarżają moje dworki, moje krewniaczki, moją rodzoną siostrę o herezję?!

Anna Seymour potakuje z obojętną miną.

Przez dłuższą chwilę milczymy obie. Czując, że kolana mi miękną, przysiadam na zydlu obok kominka, w którym dogasa ogień.

– Co mam począć?...

Anna Seymour wygląda na równie przestraszoną jak ja.

– Nie wiem, wasza królewska mość... czy wszystkie twoje dokumenty zniknęły z tych komnat? – pyta, rozglądając się po pomieszczeniu. Jej wzrok zatrzymuje się na moim stole, przy którym spędziłam tyle miłych godzin na studiowaniu i pisaniu.

– Tak. A z twoich?

– Edward zabrał wszystko do Wulf Hall, kiedy wyjeżdżał do Francji. Ostrzegaliśmy, ja jednak nie sądziłam, że będzie aż tak źle. On sam chyba nie zdawał sobie sprawy, że do tego dojdzie... Gdyby tu był... Napisałam już do niego, by wracał. Przesłałam wiadomość, że biskup Gardiner zdominował radę królewską i że nikt nie może być pewien dnia ani godziny. Dodałam też, że obawiam się o twoje oraz moje bezpieczeństwo.

– Nikt nie zna dnia ani godziny – powtarzam za nią.

– Najjaśniejsza pani, skoro aresztowali twoją siostrę, w każdej chwili mogą aresztować którąś z nas.

Podnoszę się nagle, czując, jak ogarnia mnie gniew.

- Biskup śmiał doradzić, aby pojmano moją siostrę? - wybucham. - Przełożoną moich dworek? Żonę sir Williama Herberta? Przynies mi moją suknię. Tylko się odzieję i natychmiast udam się do króla.

Anna Seymour wyciąga rękę, aby mnie powstrzymać.

- Najjaśniejsza pani, zastanów się... Tego wszystkiego nie dokonał biskup w pojedynkę. Za aresztowaniami stoi król. To on musiał podpisać nakaz. Zatem wie o wszystkim, co się dzieje. Być może nawet wszystko to zaaranżował.

Prowadzę dworki do kaplicy. Robimy dobrą minę do złej gry, mimo że brakuje wśród nas dwóch panien dworskich i trzech dam dworu, wszyscy wokół zaś - niczym zaniepokojone ogary - wiedzą, że coś jest nie tak.

Bogobojnie zwieszamy głowy do modlitwy. Gorliwie przyjmujemy hostię. Cicho szepczemy „amen”, jakbyśmy ani przez moment nie zastanawiały się w swej głupocie, czy mamy na języku opłatek czy ciało, chleb czy Boga. Przebieramy palcami paciorki różańca. Ja sama mam na szyi krucyfiks. Księżniczka Maria klęczy obok mnie, nie styka się ze mną jednak skrajem sukni. Ale księżniczka Elżbieta, klęcząca po mojej drugiej stronie, w pewnym momencie wsuwa mi w zaciśniętą dłoń chłodną rączkę. Nie ma pojęcia, co się dzieje, czuje jednak, że coś jest bardzo nie tak.

Po mszy spożywamy śniadanie w wielkiej sali, gdzie wszyscy są przytłumieni. Dworzanie rozprawiają cicho między sobą, popatrując, jak reaguję na nieobecność siostry i dwóch krewniaczek. Uśmiecham się, jakby wcale mnie to nie martwiło. Zwieszam kornie głowę, gdy królewski kapelan zmawia modlitwę dziękczynną po łacinie. Skubię trochę mięs i chleba, popijam niewielką ilością piwa; udaję apetyt, mimo że w środku truchleję ze strachu. Obdarzam uśmiechami swoje dworki i zerkam ku stołowi Seymourów. Tęsknię do widoku Tomasza, jakby był okrętem pod pełnymi żaglami, gotowym do odbicia od brzegu i popłynięcia w siną dal, ku bezpiecznej przystani. Tęsknię do niego tak, jakby sama jego obecność mogła przepędzić uczucie zagrożenia. Wszakże nie ma go tutaj, nie spodziewam się go ujrzeć ani nie mogę po niego postać.

Odwracam się do Katarzyny Brandon, pod nieobecność mojej siostry najważniejszej pod względem starszeństwa dworki.

- Wasza wysokość, czy zechcesz dla mnie sprawdzić, czy jego królewska mość czuje się na tyle dobrze tego ranka, aby mnie przyjąć?

Katarzyna Brandon wstaje od stołu bez jednego słowa. Wszystkie odprowadzamy ją wzrokiem, gdy przemierza wielką salę, wszystkie modlimy się w duchu, aby wróciła z zaproszeniem do królewskich komnat, dzięki

któremu znów okażemy się w łaskach zmiennego Henryka.

Uwinąwszy się raz-dwa, Katarzyna Brandon oznajmia:

- Najjaśniejszy pan cierpi ból chorej nogi. - Chociaż głos ma spokojny, na twarzy cała poblądła. - Jest teraz z medykiem i odpoczywa. Przekazuje ci jednak, że pośle po ciebie później, a tymczasem życzy ci dobrego dnia.

Wszyscy obecni nadstawiają pilnie ucha. Wiadomość od króla przypomina zadęcie na trąby wzywające do polowania. Rozpoczął się sezon na heretyków, a wszystkim wiadomo, że największym trofeum jest tym razem moja głowa.

Uśmiecham się mimo to.

- Skoro tak, wrócimy teraz do moich apartamentów na godzinę czy dwie, po czym wybierzemy się na przejażdżkę. - Zwracam się do mego koniuszego i dodaję: - Przygotuj nasze wierzchowce.

Koniuszy skłania się przede mną i podaje mi rękę, gdy zstępuję z podwyższenia, by przejść środkiem kłaniających się w milczeniu dworzan. Idąc, rozdaję uśmiechy na prawo i lewo. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że się przestraszyłam.

W komnatach czekają już na nas moja siostra, Magdalena Lane i Elizabeth Tyrwhit. Anna zasiada na swym ulubionym miejscu w okiennej ambrazurze, trzymając dłonie splecione na podołku - istne uosobienie niewieściej cierpliwości. Coś w jej nadmiernie sztywnej postawie mówi mi, że nie poczuła się jeszcze bezpieczna. Przekroczywszy próg, zabraniam sobie podbiec do niej. Nie rzucam się w jej objęcia. Zatrzymuję się pośrodku komnaty i mówię głośno, tak aby wszyscy dobrze mnie słyszeli, na wypadek gdyby pośród nas znajdowali się szpiedzy, którzy donoszą radzie królewskiej:

- Siostrzo, cieszy mnie twój powrót. Zdziwiło mnie i zaniepokoiło, że musiałaś się tłumaczyć przed radą królewską. Nie pozwolę na żadne przejawy nielojalności i herezji w swoim otoczeniu.

- Oczywiście - potakuje Anna z drżeniem w głosie, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy. - Nie ma mowy o herezji, wasza królewska mość. Panowie rada przesłuchali mnie i dwie inne dworki i zadowolili się naszymi wyjaśnieniami, że nigdy żadne heretyckie słowa nie padły czy to w mowie, czy to na piśmie, czy to pod twoją obecność, czy też nieobecność.

Waham się. Nie jestem pewna, co jeszcze należy powiedzieć na użytek następującego dworu.

- Zatem zostałyście oczyszczone z wszelkich zarzutów?

- Tak - poświadcza, a dwie pozostałe dworki kiwają zgodnie głowami. - Całkowicie.

- Doskonale - kwituję. - Przebiorę się teraz do jazdy konnej. Możecie mi pomóc.

Wchodzimy razem do komnaty sypialnej, ostatnia w szeregu Katarzyna Brandon zamyka za nami drzwi, po czym moja siostra i ja natychmiast rzucamy się sobie w ramiona.

- Anno! Och, Anno!...

Trzyma mnie kurczowo, jak wtedy, gdy byłyśmy małymi dziewczynkami w Kendal i musiała mnie pilnować, abym nie spadła z jabłoni.

- Katarzyno! Och, Katarzyno!...

- O co cię pytali? Nie dali ci zmrużyć oka?

- Ciii - rzecze. - Ciii.

Czując, że zaczynam się dusić od szloch, przykładam dłoń do gardła i wyrywam się z jej uścisku.

- Nic mi nie jest - mówię szybko. - Nie rozplączę się. Nie pokażę się wszystkim z zaczerwienionymi oczyma... Nie chcę, by ktokolwiek zobaczył...

- Nic ci nie jest - przytakuje Anna. Wyciąga chusteczkę i delikatnym ruchem ociera mi mokre oczy, po czym przykładą tkaninę do własnej twarzy. - Nikt nie może pomyśleć, że się zdenerwowałaś.

- Co mówili?

- Przesłuchują Annę Askew - rzecze bez ogródek moja siostra. - Torturują ją.

To wstrząsa mną tak bardzo, że aż odbiera mi mowę.

- Torturują? Córkę szlachcica? To niemożliwe!

- Postradali zmysły. Mają pozwolenstwo króla. Powiedział im, że mogą ją zabrać z więzienia Newgate i tak nastraszyć, żeby przyznała się do winy, ale oni wtrącili ją do Tower i rozciągnęli na łożu tortur.

Wracają do mnie straszliwe obrazy z mojego snu. Niewiasta z wykręconymi kostkami i nadgarstkami, z wyrwanymi ze stawów ramionami...

- Nie chcę tego słuchać.

- Obawiam się, że to prawda. Zapewne najpierw tylko jej pokazali narzędzia tortur, ale rozjuszyła ich swą odwagą do tego stopnia, że nie mogli się powstrzymać. A gdy milczała, naciskali na nią bez końca. Namiestnik twierdzy londyńskiej był tym tak poruszony, że ich zostawił i udał się z meldunkiem do króla. Twierdził, że zdjęli dublety i sami zabrali się do jej torturowania, odsuwając na bok kata. Jeden przy głowie, drugi przy stopach, równocześnie kręcili korbą. Nie chcieli pozwolić, aby kat ich wyręczył, za mało było im patrzeć, osobiście chcieli ją skrzywdzić... Gdy król się dowiedział, kazał im przestać.

- Okazał jej łaskę? Uwolnił ją?

- Nie - odpowiada z goryczą moja siostra. - Zakazał im tylko tortur. Ale Katarzyno... Zanim namiestnik wrócił do Tower, minęła większa część nocy. A oni pracowali nad nią pod jego nieobecność. Nie przerwali, póki nie przyjechał i nie przekazał im słów króla.

Otwieram usta, ale głos grzęźnie mi w gardle.

- Trwało to godzinami? - pytam wreszcie.

- Najpewniej. Anna Askew już nigdy nie stanie o własnych nogach. Ma potrzaskane wszystkie kości, wywichnięte stawy, może nawet zerwany stos pacierzowy.

Ponownie staje mi przed oczyma obraz niewiasty dręczonej w moim śnie. Widzę jej wykręcone dłonie i stopy, widzę sterczące pod dziwnym kątem łokcie, widzę wgłębienie w miejscu, gdzie powinien być jej bark, widzę nienaturalną pozycję, gdy bezskutecznie stara się ocalić szyję. W ustach mi zasycha.

- Ale w końcu ją puścili?

- Nie. Ściągnęli tylko z łoża tortur i rzucili na ziemię.

- Anna Askew jest wciąż w Tower?

Moja siostra potakuje, wpatrując się we mnie tępym wzrokiem.

- Kto jej to uczynił? - prychnam. - Podaj mi nazwiska.

- Nie wiem na pewno... Zdaje się, że jednym z oprawców był Richard Rich, drugim zaś Thomas Wriothesley.

- Lord kanclerz torturował szlachciankę w lochach Tower? Własnymi rękoma?

Widząc moją pobladłą twarz, Anna tylko potakuje w milczeniu.

- Czy on oszalał? Czy oni wszyscy poszaleli?

- Najwyraźniej tak.

- Jeszcze nigdy nie torturowano niewiasty! Do tego szlachcianki!

- Zależało im na wyciągnięciu z niej informacji.

- Na temat jej religii?

- Nie. Anna Askew chętnie opowiada o swej wierze. Dowiedzieli się o niej aż nadto. Dostatecznie dużo, aby skazać ją po dziesięciokroć, niech Bóg im wybaczy. Nie, oni pragnęli usłyszeć twoje imię. Torturowali ją, by doniosła na ciebie.

Milknijemy na moment, jednakże - choć się tego bardzo wstydzę - muszę zadać kolejne pytanie.

- Wiesz, ile powiedziała? Nazwała nas heretyczkami? Wymieniła moje imię? Powiedziała o moich księgach? Na pewno to zrobiła. Nikt nie jest w stanie znieść tortur. Na pewno im wszystko wyznała.



Uśmiech mojej siostry kłóci się ze smutkiem w jej oczach. Jest to grymas odwagi tych, którzy wyszli zwycięsko z ciężkiej próby, nie okazując się zdrajcami.

- Nie. Z pewnością nie. Bo widzisz, zostałyśmy uwolnione. A byłyśmy przy tym, jak namiestnik Tower przyjechał z Londynu, by donieść o tym, co się wyprawia. Zaprowadzili go prosto do króla, ale drzwi komnaty rady były uchylone, dzięki czemu na własne uszy słyszałyśmy, jak Henryk krzyczy na śledczych. Po powrocie zadali nam jeszcze kilka pytań. Musieli mieć nadzieję, że albo Anna Askew zdradzi nas, albo my ją zdradzimy, że chociaż jedna z nas wymieni twoje imię. Tymczasem wszystkie trzymałyśmy język za zębami, co skończyło się naszym uwolnieniem. Mimo że ją katowali, mimo że ją zgoła rozczłonkowali, kalecząc niby kurczę, milczała jak grób.

Szlocham raz, krótko, co przypomina nieco kaszlnięcie, po czym cichnę.

- Musimy pójść do niej medyka - mówię. - Jedzenie, picie, coś dla dodania otuchy... Musimy doprowadzić do jej uwolnienia...

Moja siostra wpada mi w słowo.

- Nie zdołamy. - Wzdycha przeciągle, wzdrygając się przy tym wyraźnie. - Przemysłałam to sobie. Anna Askew przeszła to, co przeszła, aby wyprzeć się pokrewieństwa z nami. Nie możemy teraz same wydać na siebie wyroku. Musimy ją zostawić samą.

- Ale ona cierpi!

- Niech przynajmniej nie cierpi nadaremno.

- Na miłość boską! Myślisz, że panowie rada w końcu ją wypuszczą?

- Nie wiem. Sądzę...

Przerywa jej pukanie do drzwi. Katarzyna Brandon wydaje okrzyk poirytowania, po czym uchyla lekko skrzydło. Słyszymy, jak pyta:

- O co chodzi?

Moment później niechętnie otwiera drzwi szerzej. W progu pojawia się korpulentna sylwetka medyka.

- Co znowu? - dopytuję. - Królowi się pogorszyło?

Doktor Wendy czeka, aż drzwi zamkną się za nim, po czym dopiero pochyla się nad moją dłońią.

- Przyszedłem rozmówić się w zaufaniu... - zaczyna.

- Nie pora na to teraz. Jestem zdenerwowana.

- Sprawa jest pilna.

Skinieniem głowy proszę dworki, aby zostały przy drzwiach.

- Możesz mówić śmiało - zachęcam mężczyźnę.

Wyciąga zza pazuchy złożony papier.

- Jest gorzej, niż myślisz - rzecze. - Gorzej, niż wszystkie myślicie.

Właśnie usłyszałem to z ust jego królewskiej mości... Tak mi przykro. Tak mi przykro, że jestem posłańcem złych wieści. Najjaśniejszy pan wydał nakaz twego aresztowania. To jego kopia.

Teraz, gdy doszło do najgorszego, nie krzyczę ani nie płaczę. Jestem niczym kamień.

– Najjaśniejszy pan wydał nakaz mojego aresztowania?

– Obawiam się, że tak – odpowiada sztywno doktor Wendy.

Wyciągam rękę i odbieram od niego dokument. Wszystkie ruchy wykonujemy powoli, jak we śnie. Przed oczyma mam Annę Askew rozciągniętą na łożu tortur. I Annę Boleyn, która ściąga perłowy naszyjnik w obecności francuskiego kata. Wspominam Katarzynę Howard, która poprosiła, aby przyniesiono jej kłoc drewna, by mogła poćwiczyć składanie głowy pod topór. Myślę nagle, że też będę musiała znaleźć w sobie dość odwagi, aby umrzeć z godnością. Nie jestem jednak pewna, czy podołam. Nazbyt kocham życie, jestem za młoda, tak bardzo pragnę dożyć jutra... Pragnę Tomasza Seymoura, pragnę dzielić dni i noce razem z nim.

Na oślep rozprostowuję dokument. U dołu widzę nabazgrany podpis Henryka, tak dobrze mi znany. Nie może być cienia wątpliwości, że mój mąż złożył go własnoręcznie. Powyżej, kaligrafią sekretarza, wypisano treść nakazu. Stało się. A więc się stało. Król zażądał mego aresztowania pod zarzutem herezji i przypieczętował to własnym podpisem.

Znaczenie tego faktu nieomal mnie przewraca. Henryk nie chce mnie odprawić i skazać na wdowią egzystencję w zapomnieniu do końca życia, mimo że jest władny to zrobić. Nie chce skazać mnie na wygnanie, przed którym nie miałabym się jak bronić. Mógłby choćby potraktować mnie jak Annę Kliwijską, rozkazując zamieszkać pod innym dachem, czemu nie mogłabym odmówić. Wszystkie te rozwiązania są w zasięgu jego ręki – w końcu jest głową Kościoła i sam decyduje, czy małżeństwo jest ważne czy nie. Rozwiódł się z Katarzyną Aragońską, mimo że była hiszpańską infantką i bronił jej papież.

Dziś wszelako nie chce się mnie pozbyć sprzed oczu ani z pałacu, nie żąda zwrotu sukien i klejnotów poprzednich królowych, nie przykazuje mi zostawić swoich dzieci na wieki wieków. Nie wystarcza mu, abym zrzekła się tytułu i władzy. Tego byłoby mu za mało. Henryk pragnie mojej śmierci. Oskarża mnie o zbrodnię, za którą karą jest śmierć, tylko po to, aby mnie zabić. Król Anglii, który uśmiercił przede mną dwie żony, zaś dwu innych zgonu wyczekiwał, teraz chce widzieć martwą mnie.

Nie pojmuję dlaczego, co jest tego przyczyną. Nie rozumiem, czemu nie odeśle mnie precz, skoro tak mnie znienawidził, pierwiej ukochawszy. Jedno

tylko jest dla mnie jasne: żyćzy mi śmierci.

Odwracam się do bladej na twarzy Anny i Katarzyny Brandon.

– Spójrz – mówię do siostry. – Spójrz, co zrobił. Spójrz, co chce mi zrobić...

Wręczam jej pismo.

Anna czyta w milczeniu. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, porusza bezgłośnie wargami, nie odzywa się jednak nawet szeptem. Katarzyna Brandon wyjmuje jej dokument z bezsilnej dłoni i przebiega treść wzrokiem, po czym podnosi na mnie oszołomione spojrzenie.

– To robota Gardinera – oświadcza.

Doktor Wendy przytakuje jej słowom.

– Biskup nazwał cię zdradziecką heretyczką – potwierdza. – Nazwał cię zmiłą na łonie króla.

– Nie dość mu, że jestem Ewą, matką wszelkiego grzechu, teraz w dodatku mam być też wężem? – wybucham.

Doktor Wendy kiwa głową.

– Nie ma na mnie żadnych dowodów! – oznajmiam.

– Niepotrzebne im dowody. – Medyk stwierdza to, co oczywiste. – Biskup uważa, że twoja religia neguje istnienie panów, istnienie władców i że równa w prawach wszystkich ludzi. Twoja wiara nie różni się według niego od podburzania.

– Nie uczyniłam nic, by zasłużyć na śmierć – mówię z mocą. Słyszając, że głos mi drży, zaciskam wściekle wargi.

– Podobnie jak inni – zauważa Katarzyna Brandon.

– Biskup powiedział, że każdy, kto przemawia tak jak ty, zgodnie z prawem zasługuje na karę śmierci. To jego własne słowa.

– Kiedy przyjdą? – pyta nagle Anna.

– Przyjdą? – powtarzam za nią, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– Kiedy przyjdą ją aresztować? – Moja siostra zwraca się do medyka. – Jaki jest plan? Kiedy po nią przyjdą? Kiedy ją zabiorą?

Praktyczna jak zawsze Anna podchodzi do skrzyni i zaczyna pakować moje rzeczy. Ręce trzęsą się jej tak bardzo, że nie potrafi przekręcić klucza w zamku. Kładę jej na ramionach obie dłonie, jak gdybym powstrzymując ją przed przygotowaniem mnie do opuszczenia pałacu, mogła powstrzymać gwardzistów szykujących się, by mnie z niego wyprowadzić.

– Lord kanclerz otrzymał polecenie. Ma zabrać miłośnicwą panią do Tower. Nie wiem jednak kiedy. Nie wiem, kiedy odbędzie się proces.

Na dźwięk słowa „Tower” miękną mi kolana, tak że Anna musi mnie podprowadzić do krzesła, na które bezwładnie opadam. Pochylam głowę,

czekając, aż przestanie mi w niej wirować, podczas gdy Katarzyna Brandon nalewa do kielicha nieco piwa i wciska mi naczynie do ręki. Napitek ma zwietrzały smak. Pod zamkniętymi powiekami widzę Thomasa Wriothesleya, który przez całą noc torturuje Annę Askew, a na koniec przychodzi po mnie.

– Muszę odejść – oznajmia znienacka Katarzyna Brandon. – Mam pod opieką dwóch synów osieroconych przez ojca. Muszę opuścić twoją służbę.

– Nie!

– Muszę.

Moja siostra milcząco przechyla głowę w stronę drzwi, pokazując jej, że może odejść. Katarzyna Brandon przed wyjściem dyga bardzo nisko.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – rzecze. – Niech Bóg cię chroni. Żegnaj.

Gdy drzwi się za nią zamykają, uświadamiam sobie, że pożegnała się ze mną niczym z osobą umierającą.

– Jakim sposobem wszedłeś w posiadanie tego dokumentu? – indaguje medyka moja siostra.

– Byłem w komnacie, gdy zapadała decyzja, przyrządzałem akurat nasenny dekolt. A potem, gdy opatrywałem królowi nogę, usłyszałem od niego, że to nie życie dla mężczyzny, kiedy młoda żona prawi mu morały.

Unoszę głowę.

– Tak się wyraził?

Doktor Wendy potakuje skinieniem.

– I to wszystko? Nie zarzuca mi niczego więcej?

– Nie. Cóż innego mógłby ci zarzucać, najjaśniejsza pani? – Chrząka i relacjonuje dalej: – Przechodząc między komnatą sypialną i prywatną, zoczyłem na ziemi kartkę. Leżała tuż przy drzwiach. Jak tylko zobaczyłem, co jest na niej napisane, przybiegłem w te pędy.

– Znalazłeś walający się na ziemi nakaz aresztowania? – pyta z podejrzliwością w głosie Anna.

– Tak. – Urywa na moment, jakby coś mu właśnie zaświtało. – Przypuszczam, że ktoś upuścił go tam celowo, chcąc, aby został przeze mnie znaleziony.

– Nikt nie porzuca nakazu aresztowania królowej niechcący – przyznaje moja siostra. – Komuś zależało, abyśmy się dowiedzieli. – Zaczyna przechadzać się po komnacie, zastanawiając się gorączkowo. – Idź natychmiast do Henryka, padnij przed nim na kolana, czołgaj się jak grzesznica, błagając o wybaczenie swoich błędów. Proś o łaskę za to, że śmiałaś tak otwarcie przemówić.

– To nie zadziała – oponuje doktor Wendy. – Zresztą król zamknął się w swojej komnacie. Nikogo nie chce widzieć.

- Ale to jedyna szansa królowej. Jeśli zdoła przed nim stanąć, jeśli się ukorzy... jeśli się ukorzy bardziej niż jakakolwiek niewiasta na świecie przed nią... Katarzyno, będziesz musiała przed nim pełzać, całować jego trzewiki...

- Zrobię to - obiecuję.

- Król zapowiedział, że się z nią nie zobaczy - informuje medyk, kręcąc się niespokojnie. - Gwardziści mają rozkaz jej nie wpuszczać.

- Henryk odciął się od Katarzyny Howard - przypomina sobie moja siostra. - I od Anny Boleyn.

Milkną oboje. Wodzę spojrzeniem od jednego do drugiego, nie mając pojęcia, co uczynić. Potrafię myśleć wyłącznie o tym, że gwardziści po mnie idą, aby mnie zabrać do Tower, i że wkrótce obydwie, Anna Askew i ja, będziemy więźniami tej ponurej twierdzy. Być może, gdy podejdem nocą do okna, usłyszę, jak wyje z bólu. Być może będziemy oczekiwać wyroku śmierci w sąsiednich celach. Być może zobaczę, jak prowadzą ją na stos. Ona zaś usłyszy, jak wznoszą dla mnie szafot na wzgórzu...

- A gdyby tak namówić go, aby złożył wizytę najjaśniejszej pani? - podsuwa nagle doktor Wendy. - Gdyby tak pomyślał, że zachorzała?

Anna sapie z wrażenia.

- Można by mu powiedzieć, że popadłaś w żałobę, że umierasz z żalu, że leżąc na łożu śmierci, wołasz go do siebie...

- Niczym królowa Joanna w połogu - dodaje.

- Niczym królowa Katarzyna, która w swoich ostatnich słowach wyraziła pragnienie, by go ujrzeć - podchwytuje Anna.

- Bezsilna niewiasta w rozpacz, bliska śmierci z żalości...

- Jego królewska mość mógłby ulec - zgadza się medyk.

- Zrobisz to dla mnie? - pytam go gorączkowo. - Przekonasz go, że muszę go widzieć, że mam złamane serce?

- I że wyjdzie na miłosiernego, jeśli się pojawi - dorzuca moja siostra.

- Zrobię co w mojej mocy - zapewnia doktor Wendy. - Natychmiast.

W pamięci mam słowa Tomasza o tym, aby nigdy nie płakać w obecności króla, ponieważ on lubi niewieście łzy.

- Przekaż mu, że nie posiadam się z żalu! Przekaż, że nic tylko płaczę! - wołam za medykiem.

- Śpiesz się - prosi go Anna. - Kiedy Wriothsesley ma tu przyjść?

- Nie wiem.

- Musisz go ubiec.

Gdy doktor Wendy jest przy drzwiach, zrywam się z krzesła i kładę mu dłoń na ramieniu.

- Tylko się nie narażaj - mówię, mimo że w skrytości ducha zaklinam go,

aby posunął się do wszystkiego, byle mnie uratować. – Nie narażaj samego siebie. Nie zdradzaj, że mnie ostrzegłeś.

– Powiem, że doszły mnie słuchy, iż jesteś chora z rozpaczny – rzecze. Podnosi spojrzenie na moją napiętą twarz i oszołomione oczy. – Powiem, że złamał ci serce.

Po tych słowach kłania mi się i wychodzi do komnaty prywatnej, gdzie już zbierają się w milczeniu moje dworki, zastanawiając się, czy przyjdzie im świadczyć przeciwko jeszcze jednej żonie Henryka.

– Rozpuścimy włosy – dyryguje moja siostra dziarskim tonem.

Pozostawia jednej panie dworskiej rozplecenie warkocza i rozczesanie włosów na moich plecach, po czym otwierając drzwi, każe drugiej przynieść moją najlepszą nocną szatę z czarnego jedwabiu. Wraca do środka z dwiema służkami, które zaczynają wygładzać pościel i spulchniać poduszki.

– Pachnidło – rzuca krótko, na co służące sięgają po stół z olejkiem różanym i piórka, którym rozprowadzą zapach po pościeli. Tymczasem Anna już zwraca się do mnie. – Barwiczka na wargi. Pokrzyk do oczu...

– Ja mam trochę! – woła któraś dworka i pośpiesznie wysyła służkę do swoich komnat, podczas gdy do środka już wraca panna dworska ze strojem dla mnie.

Zdejmuję gieźło i nakładam na siebie jedwabie. Tkanina ciągnie chłodem w zetknięciu z rozgrzaną nagą skórą. Anna wiąże mi troczki pod szyją, pozostawiając wszakże jeden luźny, aby przez rozcięcie materiału dało się dostrzec lśnienie mej bladej skóry kontrastującej silnie z czernią stroju i krągłość piersi poniżej. Siostra poprawia mi włosy, układając kasztanowe loki na śliskiej tkaninie, po czym przymyka okiennice, aby w komnacie zrobiło się przytulnie i intymnie.

– Księżniczka Elżbieta zasiądzie w komnacie prywatnej, gdzie będzie czytać pisma króla – rzuca przez ramię, na co ktoś mówi mojej pasierbicy, co ma robić. Do mnie zaś Anna dodaje: – Zostawimy was samych. Będę tu z tobą, gdy się pojawi, po czym wyjdę. Postaram się zabrać ze sobą jego paziów. Wiesz, co czynić?

Kiwam głową. Marznę w jedwabiach i martwię się, że dostanę gęsiej skórki.

– Połóż się – doradza Anna. – Zresztą i tak ledwie trzymasz się na nogach.

Osobiście pomaga mi zająć miejsce w łożu. Od woni róż niemal kręci mi się w głowie. Tymczasem moja siostra już naciąga na mnie nocny strój, odchylając lekko sam skraj, żeby Henryk ujrzał moje zgrabne kostki

i zachęcającą krągłość tydki.

– Tylko nie kuś za bardzo – przestrzega. – Wszystko musi wyjść od niego.

Odchylam się na poduszki, a ona pociąga jeden kosmyk włosów, by ułożyć go na moim ramieniu, gdzie odcina się od alabastrowej cery.

– To niesmaczne – stwierdzam. – Jestem uczoną, królową. Nie ładacznicą.

Anna potakuje z równie rzeczową miną jak pastuch, który doprowadza maciorę do knura.

Wtem rozlega się klekot kótek królewskiego krzesła na posadzce w komnacie gościnnej, po czym drzwi komnaty prywatnej się otwierają. Słychać szelest sukni, gdy dworki powstają z miejsc, by pokłonić się Henrykowi, oraz jego niezręczne „dzień dobry” rzucone do nich wszystkich i do księżniczki Elżbiety, która ma na tyle rozumu w głowie, by spuścić oczy i zrobić świętoszkowatą minę.

W końcu gwardziści otwierają drzwi komnaty sypialnej i król zostaje wwieziony do środka, celując obandażowaną nogą przed siebie. Otacza go odór psującego się ciała.

Drzę lekko, jakbym chciała się podnieść, lecz zaraz opadam z powrotem na plecy, nazbyt słaba i przejęta jego widokiem. Zwracam ku Henrykowi zapłakane oczy, gdy tymczasem moja siostra chwytą paziów i wyprowadza ich z komnaty, dając przy tym znak gwardzistom, aby zamknęli drzwi. Nie mija chwila, a jesteśmy z królem sam na sam.

– Medyk mi mówił, że jesteś ciężko chora – rzuca nadąsany.

– Nie powinni byli cię kłopotać, miłośnicy panie... – Mój głos przechodzi w cichy szloch. – Uczyniłeś mi wielki zaszczyt, przychodząc tutaj...

– To chyba rozumiałe, że odwiedzam swoją żonę w chorobie – rzecze król, rozrzewniony swoim uczuciem do mnie, nie spuszczać oka z moich odkrytych nóg.

– Jesteś dla mnie taki dobry – szepczę. – Właśnie dlatego tak bardzo...

– Tak bardzo co, Katarzyno? – podchwytuje. – O co chodzi?

Zaczynam się jąkać. Naprawdę nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć, aby rozbudzić w nim większe współczucie. W końcu wyrzucam z siebie:

– Jeśli czymś cię uraziłam, chcę umrzeć.

Nagły rumieniec na jego twarzy przypomina mi chwile jego miłosnych uniesień. Przypadkiem trąciłam w nim najczulszą strunę, o której do tej pory nie wiedziałam. W swej desperacji dotknęłam sedna, obnażając jego słabość do rodu niewieściego.

– Chcesz umrzeć, Katarzyno? Nie mów mi o umieraniu. Nie należy o nim mówić. Jesteś młoda i zdrowa. – Przebiega wzrokiem po moim wdzięcznie

wygiętym podbiciu, krągłości kostki i zmierza spojrzeniem coraz wyżej. – Czemu taka ładna istota jak ty w ogóle zaprzęta sobie głowę śmiercią?

Albowiem jesteś Sinobrodym, Sinobrodym z moich koszmarów, chcę mu odpowiedzieć. Jesteś La Barbe Bleue, a twoja żona Trifina, otworzywszy zamknięte drzwi twojego zamku, znalazła martwe żony leżące w łóżkach. Albowiem wiem już, że jesteś bezlitosnym zabójcą niewiast. Albowiem twoje samozadowolenie jest tak wielkie, że nie potrafisz dopuścić do siebie myśli, że ktoś inny ma własny rozum, że jest sobą i że dba o coś jeszcze poza tobą. Albowiem wydaje ci się, że jesteś samotnym słońcem na własnym nieboskłonie. Ba, ty czujesz wrogość do każdego, kto nie jest tobą. W głębi ducha jesteś mordercą, który pragnie od żony absolutnego poddania sobie, względnie śmierci, na którą ją skażesz. Nie ma innego wyboru. Chcesz być panem i władcą niewiasty. Nie potrafisz znieść, że ktoś różni się od ciebie. Twoi przyjaciele muszą cię naśladować, a jedyną bezpieczną osobą na twym dworze jest twój błazen, który udaje głupca. Poza tym wszyscy muszą być na twój obraz i podobieństwo. Masz mord we krwi...

– Jeśli mnie nie pragniesz, wolę umrzeć – powtarzam drżącym głosem, ledwie dosłyszalnie. – Reszta nic dla mnie nie znaczy. Jeśli mnie nie kochasz, pozostaje mi tylko grób.

Henryk jest podniecony. Wierci się na wielkim krześle, aby mnie lepiej widzieć. Ja zaś wije się lekko z żalu, rozchełstując nieco bardziej szatę. Odrzucam włosy, opuszczając przy tym ramiączko nocnego stroju i odsłaniając ramię, lecz pozornie nie spostrzegam, iż teraz widzi moje białe ciało i krągłość piersi, która unosi się i opada coraz szybciej.

– Moja żona – mówi Henryk. – Moja najdroższa żona.

– Powiedz, że mnie kochasz – domagam się. – Umrę, jeśli tego nie usłyszę.

– Kocham cię – rzecze król głosem stłumionym z pożądania. – Kocham.

Nie jest jednak w stanie powstać z krzesła, aby mnie dotknąć. Przeżażę przez łóżko na czworakach i zamieram na skraju, tam gdzie zaklinował się jego rydwan. Henryk wyciąga do mnie ręce. Nie obejmuje mnie jednak, jak się spodziewałam, nie zamyka w uścisku, lecz zaczyna mnie obmacywać niczym niecierpliwym młodzik. Targa za troczki szaty, urywa tasiemkę, po czym miętosi moje lodowate piersi, jakby był kupcem handlującym jabłkami. Wcale nie chce mnie przytulić, tylko mną obracać. Niezręcznie przyklękam, podczas gdy on szarpie mnie za sutki, jak gdybym była mleczną krową. Jego twarz zdobi szeroki uśmiech.

– Możesz nawiedzić mnie w komnacie sypialnej dzisiejszej nocy – mówi ochryple. – Wybaczam ci.



Prowadzę dworki na wieczerzę i z powrotem w całkowitej ciszy. Nawet najmłodszy, nawet najgorzej poinformowany dworzanin wie, że stało się coś strasznego i że zległam złożona rozpaczą, król zaś zaszczycił mnie swoją obecnością. Nikt jednak nie ma pojęcia, czy to dobry znak czy raczej grozi nam katastrofa. Nawet ja tego nie wiem.

Zostawiam swoje towarzyszeki w moich apartamentach, rozszeptane i rozplotkowane, sama zaś rozdzielam się z wytwornej sukni i przebieram w haftowany jedwabny nocny strój, aby udać się do komnat króla w towarzystwie jedynie mojej siostry i kuzynki, Magdaleny Lane.

Przechodzimy na wskroś obszernej komnaty audiencyjnej, przechodzimy przez komnatę gościnną i dostajemy się do sanktuarium komnaty prywatnej Henryka. Król znajduje się za ostatnimi drzwiami, w swojej komnacie sypialnej. Są z nim jego przyjaciele, wśród których jednak próżno by szukać lorda kanclerza Wriothesleya i biskupa Gardinera. Will Somers siedzi przed królewskim podnóżkiem w dziwnej pozycji, zupełnie jak czuwający pies. W pomieszczeniu panuje absolutna cisza. Na mój widok błazen wyciąga ręce przed siebie i obniża się na ziemię, przybierając pozę warującego starego psiska. Głowę ma niemalże pod podnóżkiem, na którym Henryk opiera chorą łdkę. Wyobrażam sobie, że smród tam, w dole, jest nie do wytrzymania. Gdy rzucam spojrzenie Willowi, praktycznie leżącemu krzyżem na posadzce, ten odwraca głowę i spogląda na mnie z uniesioną brwią i bez cienia uśmiechu.

- Upadłeś bardzo nisko - komentuję.

- Zaiste - odpowiada. - Tu jest najbezpieczniej.

Błazen wraca wzrokiem do króla, który - jak dopiero teraz dostrzegam - przygląda się nam pałającymi oczyma. Dworzanie otaczają go półkolem po obydwu stronach, przy czym Anthony Denny wskazuje mi krzesło stojące opodal kominka, skąd będzie wyraźnie widać moje rysy. Wszystko wskazuje na to, że mam się publicznie ukorzyć. Moja siostra i kuzynka opadają na ławę pod ścianą w takiej pozycji, jakby się modliły.

- Dyskutowaliśmy o reformie Kościoła - rzecze znienacka król. - I zastanawialiśmy się, czy niewiasty, które prawią kazania przy krzyżu pod katedrą, są równie święte jak księża, którzy studiowali na uniwersytetach.

Potrząsam głową.

- Nie mnie o tym wyrokować. Nigdy ich nie słyszałam.

- Nigdy? - podchwytuje Henryk. - Naprawdę żadna nie zachodziła do twoich komnat, by kazać i śpiewać?

Ponownie kręcę głową.

- Może jedna czy dwie wygłosiły kazanie. Nie pamiętam.  
- Ale co myślisz o tym, co mówiły?  
- Och, mężu, kimże jestem, by je oceniać? Pozostaje mi tylko zdać się na twoją mądrość.

- Zatem nie wydajesz ocen sama?

- Jakżebym mogła je wydawać, skoro mam słaby niewieści umysł, nie szkoleny naukami? To męzczyzna został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Ja jestem tylko niewiastą, poślednią pod każdym względem. Do ciebie się zwracam we wszystkim, tyś mi bowiem kotwicą, o głowo Kościoła i panie ustępujący autorytetem jedynie Najwyższemu.

- Wcale nie, na Przenajświętszą Panienkę, wyrosłaś na uczoną, Katarzyno. Pouczałaś mnie! - przypomina z irytacją król.

- Skądże, najjaśniejszy panie. Chciałam tylko odwieść twoje myśli od bólu. Odzywałam się wyłącznie w tym celu, aby odwrócić twoją uwagę. Przecie nie godzi się, nie przystoi, aby niewiasta zajmowała miejsce na ambonie, i to zwłaszcza przed mężem, który ma być jej przewodnikiem we wszystkim.

Anthony Denny przytakuje skinieniem z mądrą miną. Powiadam szczerą prawdę. Will także powoli podnosi się z ziemi, jakby dla podkreślenia, że również był świadkiem. Henryk jest gotów się udobruchać. Rozgląda się wokół, sprawdzając, czy wszyscy dają baczenie.

- A więc to tak, droga żono? - pyta.

- Ależ tak, najjaśniejszy panie. Tak - zapewniam.

- Zatem nie zesłaś na manowce?

- W życiu.

- W takim razie podejdz tu i pocałuj mnie, Katarzyno, albowiem jesteśmy znów najlepszymi przyjaciółmi jak za dawnych czasów.

Robię krok w jego stronę, on zaś mnie przyciąga do siebie, tak że łąduję na jego zdrowej nodze i praktycznie siedzę mu na kolanie okrakiem, podczas gdy wtula twarz w moją szyję. Uśmiecham się nieprzerwanie, gdy Will zrywa się na równe nogi.

- Możecie wszyscy odejść - rzecze cicho Henryk.

Dworzanie kłaniają mu się i kolejno wychodzą, do akcji zaś wkraczają paziowie, którzy zaczynają przygotowywać króla na spoczynek. W świecznikach prężą się nowe świece, które dają delikatny migotliwy blask, w kominku piętrzy się góra drewna na całą noc, a w powietrzu unosi się miły zapach cynamonu i imbiru.

Anna zbliża się, jakby chciała poprawić mi włosy.

- Rób, co masz do zrobienia - szepcze. - Ja zaczekam.

Po czym dygnąwszy, również wychodzi.

Za moimi plecami paziowie dokańczają cowieczornego rytuału, który polega na przeszyciu łoża mieczem i przetoczeniu się po nim, na wypadek gdyby pod spodem czał się skrytobójca, a na koniec wsuwają w pościel rozgrzaną szkandełę. Później zajmują miejsca po obu stronach króla, gotowi pomóc mu przejść z krzesła na łożo. Gdy Henryk już leży wygodnie, kładą w zasięgu jego rąk tacę z pasztecikami i dzban wina, którym mam go częstować.

Poprawiwszy na sobie nocny strój z pięknego czarnego jedwabiu, zajmuję miejsce przy kominku i siedzę tam, dopóki Henryk nie zaprosi mnie gestem do siebie. Myślę nerwowo, że czuję się jak w noc poślubną, kiedy to tak bardzo obawiałam się jego dotyku. Do tej pory zdążyłam przywyknąć, Henryk nie może zrobić nic, co by mną wstrząsnęło. Wiem, że będę musiała znosić jego karesy; wiem, że będę musiała go całować i nie wzdragać się przed jego cuchnącym oddechem. Sądzę jednak, że zbytnio cierpi i jest nazbyt otępiąły od leków, aby kazać mi się dosiąść. Zatem najpewniej przyjdzie mi tylko uśmiechać się doń i udawać rozptomienie. Na tyle potrafię się zdobyć. Zrobię to, mając na uwadze własne bezpieczeństwo i bezpieczeństwo tych, których życie i wolność zależą od tego tyrana. Moja duma może ucierpieć. Mój wstyd może nabrzmieć.

– Zatem jesteśmy przyjaciółmi – powtarza Henryk, przechylając głowę na jedną stronę, by podziwiać moje jedwabie barwy nocnego nieba i wyzierającą spod nich jasną skórę. – Chociaż moim zdaniem zachowywałaś się jak niegrzeczna dziewczynka. Czytałaś zakazane księgi i wysłuchiwałaś zabronionych kazań.

Zniosę nawet traktowanie mnie jak dziecko za moje studia...

Zwieszam głowę.

– Przepraszam, jeśli postąpiłam niewłaściwie.

– A wiesz, co ja robię niegrzecznym dziewczynkom? – pyta król łobuzersko.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Jeszcze nigdy tak do mnie nie mówił, umniejszając mi i robiąc z siebie głupca. Nie wolno mi jednak rzucić mu wyzwania.

– Nie wydaje mi się, abym była niegrzeczna, najjaśniejszy panie.

– Byłaś bardzo niegrzeczna! – upiera się i powtarza: – A wiesz, co ja robię niegrzecznym dziewczynkom?

W odpowiedzi kręcę głową. Henryk chyba całkiem zdziecinniał na stare lata. I to jednak będę musiała znieść.

Tymczasem on przyzywa mnie do siebie bliżej.

– Chodź tutaj.

Wstaję z krzesła i podchodzę do łóża. Poruszam się wdzięcznie, po niewieściemu. Tych parę kroków pokonuję wyprostowana, z głową wysoko uniesioną, jak na królową przystało. W duchu zaś się przekonuję, że nie może ciągnąć w nieskończoność tej gry, nie może tak długo kazać mi udawać, iż jestem dzieckiem, które zasłużyło na karę. Lecz bardzo szybko dociera do mnie, że Henryk może wszystko. Ujmuje mnie za rękę i przyciąga bliżej.

– Zdaje się, że czytałaś księgi, które dobry biskup uważa za heretyckie.

Otwieram szerzej oczy, aby zapewnić o swej niewinności.

– Nigdy bym nie wystąpiła przeciwko życzeniom waszej królewskiej mości. A Stephen Gardiner ani mnie nie oskarżył, ani nie przedstawił żadnych dowodów na moją niekorzyść.

– Ależ oskarżył cię! – rzecze król ze śmiechem, jakby to było zabawne. – Tego akurat możesz być pewna. Zresztą nie tylko ciebie, także twoje przyjaciółki i tę kaznodziejkę, a nabrał przy tym dość dowodów, aby przekonać nie tylko mnie, ale też sędziów... sędziów, Katarzyno!... że byłaś, niestety, bardzo, ale to bardzo niegrzeczną dziewczynką.

Próbuję się uśmiechnąć.

– Wyjaśniłam przecież...

Dostrzegam w jego oczach błysk irytacji.

– Nieważne już – ucina. – Mówię, że jesteś niegruczna i że zasłużyłaś na karę.

Natychmiast wyobrażam sobie wysokie mury Tower i szafot wzniesiony na zielonym wzgórzu. Przypominam sobie swoje dworki i kaznodziejów, którzy dla nas prawili. Widzę Annę Askew, która w lochach twierdzy czeka na uwolnienie od niekończącego się bólu.

– Karę, miłościwy panie? – powtarzam zmartwiały mi wargami.

Henryk sięga ponad własnym zwalistym ciałem i podaje mi lewą rękę. Gdy ją ujmuję, pociąga mnie mocno, jakby chciał mnie rzucić na łóżko. Poddaję się jego woli.

– Co mam zrobić, wasza królewska mość?

– Uklęknij na łóżku – odpowiada. – Taka będzie twoja kara. – Na widok szoku malującego się na mojej twarzy śmieje się tak gwałtownie, że aż zaczyna kastać i mrużyć załzawione świńskie oczka. – Och! Czyżbyś myślała, że każę cię ściąć? Boże! Boże! Jakie niewiasty są niemądre! No, uklęknij tutaj.

Zbieram fałdy jedwabiu wolną ręką, po czym posłusznie klękam na skraju łóżka. Puszczam moją rękę, kiedy znajduję się tam, gdzie chce mnie widzieć,

tuż obok siebie. Czując w nozdrzach potworny odór bijący z jego rany, składam dłonie jak do hołdu lennego.

– Nie, nie o to mi chodzi – rzuca niecierpliwie. – Nie chcę, żebyś błagała o łaskę. Masz opaść na czworaki, jak pies.

Posyłam mu niedowierzające spojrzenie, widzę jednak, że cały jest zaczerwieniony i pobudzony. Henryk mówi poważnie. Gdy ja się waham, wyraz jego twarzy twardnieje.

– Nie będę się powtarzał – mówi cicho. – Pod drzwiami czekają strażę, które powiozą cię barką do Tower na jedno moje słowo.

– Wiem – odzywam się prędko. – Po prostu nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz, mężu. Uczyniłabym dla ciebie wszystko, chyba nie muszę o tym zapewniać. Ślubowałam cię kochać i...

– Powiedziałem wyraźnie, co masz zrobić – zauważa całkiem rozsądnie. – Opadnij na czworaki jak pies.

Na twarz występuje mi rumieniec wstydu. Opadam na czworaki, jak mi każe, spuszczać przy tym głowę, aby nie patrzeć na wyraz tryumfu na jego obliczu.

– Zadrzyj suknię.

To dla mnie za wiele.

– Nie mogę... – szepczę.

Król jednak się tylko uśmiecha.

– Aż za pośladki – dodaje. – Zadrzyj suknię i to, co masz pod spodem, tak żeby rzyć była na wierzchu jak u ładacznicy ze Smithfieldu.

– Wasza królewska mość...

Unosi prawą dłoń, jakby chciał mi nakazać całkowite milczenie. Spoglądam mu w twarz, zastanawiając się, czy znajdę w sobie dość odwagi, aby mu się sprzeciwić.

– Moja barka – dyszy Henryk – czeka już na ciebie.

Wolnym ruchem zadzieram suknię do pasa, trzymając chłodny jedwab dwoma palcami. Fałdy tkaniny spowijają mnie grubą warstwą, pozostawiając moje lędźwie odsłonięte, gdy ja tymczasem spoczywam na królewskim łożu na czworakach.

Henryk gmera w pościeli, co sprawia, że przez jedną straszłą chwilę myślę, że zabawia się sam ze sobą i że przyjdzie mi jeszcze zrobić coś gorszego. Jednakże on dobywa pejcza, krótkiego jeździeckiego bicia, który podtyka mi pod sam nos.

– Widzisz? – pyta cicho. – Nie jest grubszy od mojego palca. Prawo Anglii, prawo mojego królestwa, stanowi, że mężowi wolno ukarać cielesnie żonę, pod warunkiem że kij do bicia nie jest grubszy od jego palca. Sama zatem

widzisz, że dzierzę cienki bicz, którego mogę użyć zgodnie z prawem. Zgadza się?

– Wasza królewska mość chyba nie...

– Takie jest prawo, Katarzyno. Istnieje prawo dla żon, tak samo jak dla heretyków i zdrajców. Pojmujesz, że to ja jestem prawodawcą, sędzią i katem i że nic w całej Anglii nie dzieje się bez mojej woli?

Zimno mi w uda i pośladki. Ponownie schylam głowę, skłaniając ją ku cuchnącej pościeli.

– Pojmuję – odpowiadam, choć muszę wyduszać z siebie słowa.

Henryk znowu przybliży pejcz do mojej twarzy i nakazuje:

– Patrz!

Podnoszę głowę, aby spojrzeć.

– Ucałuj!

Bezwiednie się wzdrygam.

– Słucham?

– Ucałuj narzędzie kary. Na znak, że ją akceptujesz. Jak grzeczne dziecko. Ucałuj pejcz.

Gapię się na niego przez dłuższą chwilę pustym wzrokiem, jakbym w duchu rozważała, czy mogę nie usłuchać. Henryk odwzajemnia moje spojrzenie, nie tracąc spokoju. O jego podnieceniu świadczą wyłącznie rumieniec na twarzy i ciężki oddech. Z każdą sekundą przysuwa pejcz bliżej do moich ust.

– No, dalej – zachęca.

Zaciskam wargi. Moment później czuję na nich skórzaną plecionkę. Składam pocałunek. Henryk przykłada mi do ust rączkę pejcza. I ją całuję. Potem czuję pod nosem jego dłoń i bez zastanowienia muskam ustami pulchne palce. Następnie – nawet nie zmieniając wyrazu twarzy – król unosi rękę i wzięwszy mocny zamach, opuszcza pejcz na moje nagie pośladki.

Krzyczę głośno i chcę się szarpnąć, jednakże on trzyma mnie mocno wolną ręką za ramię i bije raz po raz. Pejcz świszczy w powietrzu trzykrotnie i tyle samo razy czuję przeszywający ból ciała. W oczach palą mnie łzy, gdy Henryk ponownie podtyka mi pejcz pod nos ze słowami:

– Ucałuj go, Katarzyno, i powiedz, że nauczyłaś się żoninego posłuszeństwa.

W ustach czuję krew od przygryzienia, która smakuje jak trucizna. Czuję splotające mi po policzkach palące łzy. Nie potrafię opanować szloch. Henryk nieprzerwanie wymachuje pejczem przed moimi oczyma. Nie mając wyjścia, składam na nim pocałunek.

– A teraz powiedz – ponagla mnie.

- Nauczyłam się żoninego posłuszeństwa – mówię.
- Podziękuj mi.
- Dziękuję, mężu.

Henryk milknie. Ja biorę gwałtowny oddech. Czuję, że pierś targa mi suchy szloch. Uznawszy, że wymierzanie kary dobiegło końca, opuszczam suknię na nogi. Pośladki mnie pieką, obawiam się też, że widnieją na nich krwawe pręgi, od których pobrudzi się gieźło.

- Jeszcze jedno – rzuca Henryk jedwabistym głosem, w dalszym ciągu nie pozwalając mi wstać z czworaków.

Na moich oczach zsuwa z siebie przykrycie, pod którym widzę – niczym monstrualny wzwód – jego bładny saczek z portretu przytroczony do nagiego ciała. Widok jest iście groteskowy. Na gołym tłustym, śmierdzącym podbrzuszu sterczący saczek wyróżnia się za sprawą haftu srebrną nicią i przyszytych pereł.

- Jego też pocałuj – rozkazuje król.

Moja wola została złamana. Ocieram łzy z oczu grzbietem dłoni, czując, że rozmazuję sobie też na twarzy wydzielinę z nosa. Uczynię wszystko, aby się ocalić.

Henryk przykłada do saszka dłoń i zaczyna go pieścić, jakby sprawiało mu to przyjemność. Wybuchu przy tym śmiechem.

- Nie masz wyjścia – stwierdza.

Przytakuję mu. Wiem, że nie mam wyjścia. Pochylam głowę i dotykam wargami zwieńczonej materiałem wypukłości. Król, gwałtownym okrutnym ruchem, łapie mnie za włosy, rozpląszcza mi dłoń na potylicy, wciskając moją twarz w swoje podbrzusze, tak że uderzam się zębami i drapię policzków o jedną z pereł. Nie wyrywam mu się, żeby uniknąć bólu. Trwam w bezruchu, podczas gdy on porusza moją głowę w parodii gwałtu, aż wargi mam posiniaczone od klejnotów i krwawiące od szwów.

Henryk jest na skraju apopleksji z podniecenia. Jego bładny saczek zdobity smugi krwi, jakby przed chwilą zdeflorował dziewicę. Wreszcie opada na poduszki, usatysfakcjonowany, i mówi:

- Możesz odejść.

Gdy opuszczam królewską komnatę sypialną, jest bardzo późno. Sztwno przemierzam komnatę prywatną i wchodzę do komnaty gościnnej, w której czekają jego paziowie.

- Możecie wejść – mówię im, zakrywając dłonią posiniaczone usta. - Najjaśniejszy pan życzy sobie coś przekąsić i się napić...

Moja siostra i kuzynka powstają z krzesel przy kominku. Podwójne drzwi stłumiły moje okrzyki, jednakże Anna natychmiast domyśla się, że stało się coś złego.

- Co on ci zrobił? - pyta, przebiegając wzrokiem po mojej bladej twarzy, obejmując spojrzeniem sińce i krople krwi.

- Nic mi nie jest - odpowiadam.

Idziemy do niewieściego skrzydła w całkowitym milczeniu. Zdaję sobie sprawę, że krok mam niezręczny, czuję bowiem, jak gieżło przykleja się do ran po biczowaniu. Mijam kolejne komnaty i w końcu znikam w sypialni. Kuzynka dyga w progu i zamyka za mną drzwi. Anna, która weszła ze mną do środka, pomaga mi się rozdziać.

- Nie wzywaj służek - proszę ją. - Będę spać w gieżle, a umyję się rano.

- Twoja bielizna przeszła odorem jego rany - zauważa Anna.

- Cała nim śmierdzą - stwierdzam. - Ale najbardziej ze wszystkiego potrzebuję teraz snu. Nie jestem w stanie znieść...

Moja siostra zrzuca własne odzienie i wdrapuje się za mną do łóżka. Po raz pierwszy w życiu kładę się, nie mówiący wieczornej modlitwy. Tej nocy brak mi słów; zgoła nie czuję więzi z Bogiem. Okrywam się śliską pościelą. Anna zdmuchuje świecę jednym sapnięciem, po czym ogarniają nas ciemności, gdy cienie wypęłzają z kątów. Z czasem zaczynam wyławiać z mroku kontury mebli i widzę, że za drewnianymi okiennicami wstaje już świt. Długo leżymy tylko bezsennie. Kiedy mój złoty zegar wybija czwartą godzinę, Anna pyta:

- Skrzywdził cię?

- Tak - odpowiadam.

- Celowo?

- Tak.

- Ale wybaczył ci?

- Chciał złamać mojego ducha i chyba mu się to udało. Nie pytaj mnie o nic więcej, Anno.

\*

Noc mija nam niespokojnie. Nie śnię o mrocznym zamku ani o niewieście z powyłamywanymi kończynami, ani o martwych żonach spoczywających za zamkniętymi drzwiami. Nie muszę się już obawiać koszmarów po tym, jak przydarzyła mi się najgorsza rzecz, która może się



przydarzyć dumnej niewieście. Nazajutrz, gdy służki zjawiają się z dzbanem ciepłej wody, zrzucam z siebie zbrukane gielezko i żądam kąpieli. Chcę pozbyć się z włosów odoru jego ropiejącej rany. Chcę pozbyć się ohydneho smaku z ust. Czuję się zbrukana, brudna, jakbym już nigdy nie miała zaznać czystości. Z całą pewnością wiem, że zostałam złamana.

Upokorzenie mnie tak poprawia Henrykowi humor, że aż wraca do zdrowia. Nagle czuje się na tyle dobrze, aby wieczerzać w wielkiej sali, a tego popołudnia wyprawia się ze mną do ogrodów na krzesła z kótkami. Towarzyszą mi Anna, Elizabeth Tyrwhit i młodziutka Lady Jane Grey, reszta dworek zaś stąpa naszym śladem. Król, jadąc, trzyma mnie za rękę. W centralnej części jego prywatnego ogrodu rośnie rozłożysty buk, pod którym każe się zatrzymać paziom. Ktoś szybko przynosi mi zydel, abym mogła usiąść obok niego w cieniu drzewa. Ostrożnie opadam na siedzisko, co nie uchodzi jego uwagi. Uśmiecha się, widząc, że pośladki wciąż sprawiają mi ból.

- Czujesz się rozbawiony, mężu?

- Obejrzymy sztukę.

- Sztukę? Tu, w ogrodzie?

- Owszem. Gdy się skończy, powiesz mi, jaki nosi tytuł.

- Mówisz do mnie zagadkami, mężu? – pytam. W środku czuję narastający strach.

Wtem z lekkim skrzypieniem otwiera się mała żelazna furka i wysypują się przez nią strażnicy w wielkiej liczbie. Jest ich co najmniej czterdziestu, a każdy ma na sobie królewską liberię. Podnoszą się na nogi. Przez moment mam wrażenie, że doszło do buntu i że Henryk znalazł się w niebezpieczeństwie. Rozglądam się za paziami, którzy go tutaj przypchali, za dworzanami... Nikogo nie ma w zasięgu głosu. Zasłaniam króla własnym ciałem, pewna, że przyjdzie mi go bronić w pojedynkę. Będę musiała zrobić co w mojej mocy.

- Czekaj – rzuca do mnie. – Nie zapominaj, że to przedstawienie.

A zatem to nie zdrajcy. Ich śladem zmierza już lord kanclerz ze zwojem w rękę. Śniadą twarz ma ubraną w wyraz tryumfu. Zbliża się do mnie z uśmiechem, rozwijając pergamin i pokazując pieczęć – królewską pieczęć. To nakaz mego aresztowania.

- Katarzyna Parr, jesteś aresztowana pod zarzutem herezji – oświadcza. – Oto nakaz. Teraz udasz się ze mną do Tower.

Brakuje mi tchu. Rzucam mężowi udręczone spojrzenie. Henryk

promienieje. Myślę w duchu, że to najlepszy żart, największa maskarada, jaką kiedykolwiek urządził. Najpierw złamał mego ducha, a teraz zamierza złamać mi kark, ja zaś nie mogę się poskarżyć, nie mogę bronić własnej niewinności. Nie jestem w stanie nawet błagać o litość, ponieważ zwyczajnie nie potrafię oddychać.

Mimo że wzrok mam zamglony, widzę moją siostrę, jak biegnie przez trawnik z twarzą wykrzywioną strachem. Za jej plecami młodzianka Lady Jane Grey wyraźnie się waha: robi krok w przód, po czym się cofa, podczas gdy Thomas Wriothesley wymachuje nakazem i powtarza:

– Teraz udasz się ze mną do Tower, najjaśniejsza pani. Bezzwłocznie. – Oblicze ma rozpromienione. – Proszę, nie zmuszaj mnie, aby musiał użyć siły.

Następnie odwraca się do króla i klęka przed nim.

– Oto jestem. Na twoje rozkazy – rzecze, emanując zadowoleniem. Wstając, już kiwa głową gwardzistom, aby mnie otoczyli.

– Głupiec! – drze się Henryk ile sił w płucach. – Błazen! Niegodziwiec! Wierutny nikczemnik! Zwierzę!

Wriothesley cofa się przed nagłym gniewem króla, który zdążył cały poczerwieniec na twarzy.

– Jak śmiesz? – wrzeszczy Henryk. – Jak śmiesz wpadać do moich ogrodów i obrażać moją królową? Moją ukochaną żonę? Czyż zupełnie oszalał?

Wriothesley otwiera i zamyka usta niczym tłusty karp w sadzawce.

– Jak śmiesz pojawiać się tu i niepokoić moją żonę?

– Ale n... nakaz? Wasza królewska mość? Podpisany twoją ręką nakaz?

– Jak śmiesz pokazywać jej coś podobnego? Niewieście, która ślubowała mi wierność i jest zgodna ze mną we wszystkim, która myśli tak jak ja, której ciało jest na moje skinienie, a nieśmiertelna dusza w mojej pieczy?

– Ale mówiłeś przecież, że trzeba ją...

– Twierdzisz, że jestem zdolny do aresztowania własnej żony?!

– Skądże! – zaprzecza pośpiesznie Wriothesley. – Oczywiście, że nie, wasza królewska mość!

– Zejdź mi z oczu – krzyczy do niego Henryk, jak gdyby do szaleństwa doprowadził go ten przejaw braku lojalności. – Nie mogę na ciebie patrzeć! Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć!

– Ale wasza królewska mość...

– Precz!

Wriothesley kłania się do samej ziemi, po czym znika za furką. Gwardziści wysypują się nim niezgrabnie, przepychając w przejściu, byle jak najszybciej opuścić zacieniony ogród, byle jak najprędzej oddalić się od rozwścieżonego króla. Henryk czeka, aż wszyscy odejdą i żeliwna furka

zatrzaśnie się za nimi z rumorem. Gdy wreszcie zapada cisza i jesteśmy całkiem sami, odwraca się znowu do mnie.

Śmieje się tak serdecznie, że nie może wykrztusić słowa. Przez moment obawiam się, że dostał jakiegoś ataku. Łzy wyciekają mu spod napuchniętych powiek i spadają po puciołowatych, spoconych policzkach. Jest cały czerwony na twarzy i łapczywie chwyta powietrze, trzymając się za podrygujący brzuch. Mijają długie minuty, zanim przestanie się ochryple śmiać i uspokoi. W końcu otwiera oczka i ociera mokre policzki.

– Boże – mówi. – Boże...

Jego wzrok pada wprost na mnie. Stoję przed nim zmartwiała z przerażenia, mając za plecami szereg nieruchomych dworok.

– Jaki jest tytuł tej sztuki, Katarzyno? – pyta wciąż roześmiany.

Potrząsam głową.

– Ty, zawsze taka bystra? Taka czytana? Nie domyślasz się tytułu?

– Wasza królewska mość, nic nie przychodzi mi na myśl.

– „Poskromienie królowej”! – woła. – „Poskromienie królowej”!

Uśmiecham się blado. Nie odrywając spojrzenia od błyszczącej purpurowej twarzy króla, pozwalam, aby jego śmiech przetoczył się po mnie niczym krakanie kruków w Tower.

– Jestem mistrzem psych walk – rzecze Henryk, poważniejąc nagle. – Mam was wszystkich na oku. Napuszczam was jednych na drugich. Moje biedne kundle. Moja biedna suka.

Henryk przesiaduje w ogrodzie, dopóki cienie nie zaczną się kłaść na starannie przystrzyżonych trawnikach, dopóki ptaki nie zaczną szykować się na spoczynek w koronach drzew. Jaskółki wciąż zataczają koła nad rzeką, pikując w stronę własnych srebrzystych odbić i zanurzając dzióbki w wodzie dla ugasaenia pragnienia. Dworzanie, którzy wracają z popołudniowych rozrywek na świeżym powietrzu, wszyscy mają zarumienione zdrowo twarze i leniwy krok szczęśliwych dzieci. W pewnym momencie uśmiecha się do mnie księżniczka Elżbieta, na której nosie zauważam kilka piegów przypominających pył na marmurze, i na ten widok konotuję sobie, że muszę przypilnować, aby zawsze przed wyjściem wkładała nakrycie głowy dla ochrony przed słońcem.

– To był cudowny dzień – kwituje król z ukontentowaniem. – Bóg jeden wie, jakie wspaniałe jest to królestwo.

– Zaiste jesteśmy błogosławieni – przyznaję cicho, on zaś w odpowiedzi uśmiecha się wyrozumiale, jakby całą zasługę, za to lato, za dobrą aurę, nawet

za słońce znikające powoli za rzeką, mógł przypisać sobie.

- Teraz udam się na wieczerzę - oznajmia - a potem możesz odwiedzić mnie w moich komnatach i podzielić się ze mną swoimi refleksjami. Chętnie wysłucham o tym, co czytałaś i co myślisz.

Widząc, że blednę, wybucha głośnym śmiechem.

- Och, Katarzyno. Nie musisz się niczego obawiać. Nauczyłem cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć, nieprawdaż? Czytujesz moje przekłady, czy tak? Jesteś moją ukochaną żoną, czy tak? Pozostajemy w najlepszej przyjaźni...

- Oczywiście. Oczywiście - mówię prędko i dygam, jakbym była zachwycona zaproszeniem.

- Możesz mnie poprosić o wszystko. O każdy podarunek, o każdą przysługę. Cokolwiek ci się zamarzy, najdroższa.

Waham się, zastanawiając, czy odważę się przemówić w imieniu skatowanej niewiasty, Anny Askew, która wciąż czeka w Tower na wyrok, nie wiedząc, czy będzie żyć czy nie. Przecież Henryk dopiero co powiedział, że mogę prosić o wszystko, że nie mam się czego bać.

- Wasza królewska mość, jest pewien drobiazg... - zaczynam. - Drobiazg dla ciebie, jak sądzę. Dla mnie jednak byłaby to wielka rzecz.

Powstrzymuje mnie uniesieniem dłoni.

- Moja droga, chyba zrozumieliśmy dzisiaj, że nic, ale to nic, żaden najdrobniejszy drobiazg, nie może stanąć przeszkodą między mężem i żoną takimi jak my. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Nie ma o czym mówić. Stanowimy jedność.

- Moja przyjaciółka...

- Nie znajdziesz większego przyjaciela ode mnie.

Pojmuję w lot.

- Stanowimy jedność - powtarzam głucho.

- Świętą jedność - potwierdza.

Zwieszam głowę.

- I panuje między nami święte milczenie.

- Nie żyje - obwieszcza prosto z mostu moja siostra, gdy przed wieczerzą służki czeszą mi włosy.

Dotyk ciężkiej szczytki na mojej głowie, sporadyczne bolesne pociągnięcia zdają się stanowić część jej przekazu. Nie wyciągam ręki, aby powstrzymać służące, które mnie oporzadzają, jakbym była kłaczą, którą trzeba doprowadzić do ogiera. Przechylam głowę to na jedną, to na drugą stronę,

poddając się miarowym posuwistym ruchom. W lustrze widzę swoje odbicie: bladą cerę, zmrużone oczy, posiniaczone usta. Kiwam głową niczym potakująca lalka.

– Kto nie żyje? – pytam.

– Anna Askew. Właśnie doszły mnie nowiny z Londynu. Katarzyna Brandon, która przebywa w swym londyńskim domu, przesłała mi liścik. Wyrok wykonali dziś rano.

– Niech Bóg im przebaczy. Niech Bóg przebaczy mnie. I niech przyjmie jej duszę do swojego królestwa.

– Amen.

Gestem odpawiam służki, moja siostra jednak je zatrzymuje.

– Musisz się uczesać, musisz się odziać. Musisz udać się na wieczerzę. Bez względu na to, co się stało.

– Jakżebym mogła? – pytam z prostotą.

– Anna Askew umarła, nie wypowiedziawszy ani razu twojego imienia. Przeszła tortury i spłonęła na stosie dla ciebie, abyś ty mogła udać się dziś na wieczerzę, a gdy nadejdzie stosowny czas, przemówić znów w obronie reformy Kościoła. Wiedziała, że powinnaś móc swobodnie roztaczać swoje poglądy przed królem, nawet jeśli reszta z nas będzie kolejno ginąć. Nawet jeśli wygubisz nas wszystkich. Choćbyś ostała się sama jedna, musisz ocalić reformę w Anglii. W przeciwnym razie jej śmierć pójdzie na marne.

W lustrze przede mną odbijają się twarze przerażonych służących.

– Nie przejmujcie się – mówię do nich. – Nie będziecie musiały świadczyć.

– Ty jednak tak – zwraca się do mnie Anna. – Nasza kaznodziejka zmarła, nie przyznając się do znajomości z kimkolwiek z nas, dzięki czemu możemy nieprzerwanie myśleć, rozmawiać i pisać. Dzięki czemu ty możesz nieść kaganek.

– Wycierpiąta się.

Nie jest to pytanie. Anna Askew przebywała w izbie tortur z trzema mężczyznami. Żadnej niewiasty przed nią to nie spotkało.

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie... Ucierpiąta tak bardzo, że nie mogła o własnych siłach wejść na stos. John Lascelles, Nicholas Belenian i John Adams spłonęli razem z nią, jednakże tylko ona była torturowana. Strażnicy musieli ją wnieść przywiązaną do krzesła. Mówili, że stopy miała tak wykręcone, jakby ktoś przymocował je na wspak, a jej barki i łokcie były wyrwane ze stawów. Nawet stos pacierzowy miała nadwerężony.

Zwieszam głowę i zakrywam oczy dłońmi.

– Świeć, Panie, nad jej duszą.

- Kiedy ją przywiązywali do pala – ciągnie Anna – nadjechał królewski posłaniec z obietnicą łaski.

- Och, a więc mogła się jeszcze wszystkiego wyprzeć?

- Wystarczyło, by podała twoje imię. Byliby ją stamtąd ściągnęli, gdyby wymieniła twoje imię.

- Niech Bóg mi przebaczy.

- Wysłuchiła kazania księdza, zanim podłożyli ogień, ale powtarzała „amen” jedynie w tych miejscach, w których się z nim zgadzała.

- Powinnam była coś dla niej zrobić!

- Nie mogłaś zrobić nic więcej. Po prawdzie nikt z nas nie mógł. Chcąc uchronić się przed śmiercią, musiałyby im powiedzieć to, co pragnęli usłyszeć. A nie owijali w bawełnę, co by to miało być.

- Moje imię?

- Wszystko to miało na celu oskarżenie i zabicie ciebie – potakuje moja siostra.

- Spalili ją?...

Musiała to być okropna śmierć, na stosie, z płonącymi wiązkami u stóp, ze swędem dymu od zajmującego się drewna, z widokiem przyjaciół i rodziny coraz bledszym poprzez sine smugi; w uszach najpierw trzask drewna, potem syczenie własnych włosów, wreszcie potworny ból... Wyrywam się z tych myśli i przecieram oczy. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić cierpienia, gdy płomień kolejno ogarniały rąbek jej sukni, ramiona, barki, delikatną białą szyję...

- Katarzyna Brandon przesłała jej wcześniej woreczek z prochem, który ktoś jej włożył między fałdy sukni. Gdy ogień rozgorzał na dobre, wybuch urwał jej głowę. Nie cierpiała zbyt długo.

- Tylko tyle dla niej zrobiliśmy? Tylko na tyle było nas stać?

- Tak.

- Ona jednak musiała pozwolić się zaciągnąć na stos. Musiała założyć na szyję woreczek z prochem.

- Tak. Nie twierdzą, że w ogóle nie cierpiała. Po prostu... nie upiekła się żywcem.

Na te słowa robi mi się niedobrze. Przykładam głowę do blatu, pomiędzy srebrne szczytki i grzebienie, i krztuszę się, tocząc z ust żółtawą pianę, która zalewa utensylia i fiołki.

Po jakimś czasie wstaję od stołu. Służące w milczeniu sprzątają powstały bałagan. Ktoś podaje mi ściereczkę, ktoś inny wręcza kielich z piwem, abym przepłukała sobie usta. Panny dworskie już się uwijają, aby doprowadzić do porządku podłogę. Po wszystkim zajmuję z powrotem swoje miejsce

i wpatruję się w twarz niewiasty, dla której ocalenia zginęła Anna Askew.

Moja siostra czeka, aż odzyskam oddech.

- Mówię ci to teraz, ponieważ król dowie się, że wszystko przebiegło zgodnie z jego rozkazami. Kiedy przyjdzie do twoich komnat dziś wieczorem, będzie wiedział, że najznacniejsza Angielka została spalona na stosie. Kiedy będzie cię prowadził na wieczerzę do wielkiej sali, będzie miał świadomość, że zamiatają jej prochy na kocich łbach w Smithfieldzie.

Unoszę na nią spojrzenie.

- To nie do zniesienia.

- Nie do zniesienia - zgadza się ze mną Anna.

Katarzyna Brandon wraca do pałacu taka blada, że nikt nie wątpi w jej historyjkę o chorobie. Stawia się w moich komnatach ze słowami:

- Nie wymieniła twojego imienia. Nawet wtedy, gdy miała szanse wymigać się od ognia. Nawet wtedy... Kiedy Nicholas Throckmorton się z nią żegnał, popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się do niego, zapewniając, że nie mamy się czego obawiać.

- Uśmiechnęła się...?

- Powiedziała „amen” i uśmiechnęła się - potakuje Katarzyna Brandon. - Ponoć tłum był wstrząśnięty jej śmiercią. Nie było wiwatów, tylko jeden długi jęk. Zdaniem Nicholasa to ostatnia kaznodziejka w Anglii zawiedziona na stos. Lud tego nie zdzierży.

Stoimy w komnacie gościnnej, mając wokół siebie połowę dworu. W końcu za drzwi wtacza się Henryk na swoim krześle z kótkami. Uśmiecha się już od progu. Wszyscy kłaniamy się nisko, a ja podchodzę, żeby zająć miejsce u jego boku. Mój mąż wyciąga do mnie rękę, którą ujmuję bez słowa. Ciepły, mokry dotyk sprawia, że przez moment myślę, iż unurzał się we krwi, wszelako zaraz dociera do mnie, iż to tylko odbłask witraża na skórze.

- Wszystko dobrze? - pyta radośnie, chociaż musi wiedzieć, że już usłyszałam o śmierci Anny Askew.

- Wszystko dobrze - odpowiadam, po czym udajemy się na wieczerzę.

# PAŁAC HAMPTON COURT LATO 1546 ROKU



Dobra aura się utrzymuje, dzięki czemu i Henryk jest słoneczny jak poranek. Król obwieszcza, że czuje się lepiej, znacznie lepiej, tak dobrze jak jeszcze nigdy, zupełnie jak młody mężczyzna. Przyglądając mu się, myślę sobie, że mój mąż będzie żył wiecznie. Jakby nigdy nic wraca do pełni życia, co wieczór zasiadając w wielkiej sali na swym tronie i domagając się coraz to nowych potraw, podczas gdy kucharze uwijają się w pocie czoła i przetwarzają góry składników, które są dostarczane do kuchennych drzwi wozami ściągającymi z całej okolicy wyboistymi traktami. Henryk zajmuje znów swoje dawne miejsce w centrum dworu, niczym wielka ośka, która wszystkim obraca, dzięki czemu pałacowy mechanizm tyka znów miarowo, wchłaniając jedzenie i wydalając rozrywki.

Bywa, że król wstaje i przechodzi kilka niepewnych kroków. Paziowie oczywiście podążają obok niego, on zaś trzyma obie ręce na ich ramionach, jednakże twierdzi przy tym, że potrafi się poruszać bez niczyjej pomocy i zamierza powtórzyć ten wyczyn. Zarzeka się, że będzie jeździł konno, a nawet – kiedy moje dworki i ja tańczymy dla niego albo kiedy występują przed nim komedianci – zapowiada, że już niedługo sam będzie tańcował.

Domaga się odmiany, tak że grajkowie i chórzyscy wpadają w amok



tworzenia, aby król mógł usłyszeć co wieczór nowy utwór. Ryczy śmiechem na każdy zastłyszany dowcip. Zachęcony tym Will Somers, który chyba jeszcze nigdy nie cieszył się taką popularnością, próbuje swych wątpliwych sił w żonglowaniu. Przy każdym posiłku wyrzuca w górę kromki chleba, które wirują mu nad głową, latając we wszystkie strony, podczas gdy psy wyłażą spod ław i rzucają się na nie, zanim zdąży je ponownie złapać. Błazen skarży się, że nikt nie rozumie jego artyzmu, po czym gania niesforne ogary i włazi za nimi pod ławy, a wokół panuje harmider, gdy wszyscy przekrzykują się i stawiają zakłady. Henryk także obstawia, przegrywając małą fortunę, aczkolwiek rzecz jasna dworzanie mają na tyle rozumu, aby pozwolić mu się odkuć już w następnej rundzie. Przejawia niesłychany apetyt na życie, jakiego nie widziano u niego od lat. Ten i ów przebąkuje, że to dzięki mnie, że ja jestem powodem, dla którego czuje się znów młody i szczęśliwy. Ten i ów wypytuje, co takiego zrobiłam...

Pewnego wieczora spostrzegam nieznanego odzianego równie bogato jak hiszpański hidalgo, który skłania się przed królem i zajmuje miejsce za stołem dla wielmożów.

– Kto to taki? – pytam Katarzynę Brandon stojącą za moim krzesłem.

Dworka nachyla się, aby powiedzieć mi prosto do ucha:

– To, wasza królewska mość, Guron Bertano. Wysłannik papieża, jak się zdaje.

Ledwie hamuję się przed wydaniem okrzyku.

– Wysłannik papieża?!

Katarzyna Brandon potakuje z zaciśniętymi wargami.

– Papież przysłał tu swojego dyplomatę? Na angielski dwór? Po tym wszystkim, co miało miejsce?

– Tak – potwierdza krótko.

– To niemożliwe – mówię pośpiesznie. – Henryk został ekskomunikowany już przed laty. Nazwał ojca świętego antychrystem. Jakże mógłby teraz podejmować jego posłańca?

– Wszystko wskazuje na to, że papież przyjmie Kościół angielski z powrotem na łono Rzymu. Trzeba tylko uzgodnić szczegóły.

– Mamy być znowu katolikami? – mamrocę z niedowierzaniem. – Po tylu cierpieniach? Wbrew osiągniętemu postępowi, wbrew naszym poświęceniom?

– Nie jesteś głodna, najdroższa? – pyta tubalnym głosem król z mojej lewej strony.

Obracam się do niego szybko z uśmiechem.

– Och, jestem – zapewniam.

– Ta dziczyzna jest wyborna. – Kiwa głową na podstolego. – Nałóż jej

królewskiej mości porcję dziczyzny!

Milknę, gdy ciemne mięso trafia na złoty talerz przede mną, polane ciemnym gęstym sosem.

- Mięso łani jest zawsze słodsze niż byka. - Henryk mruga do mnie okiem.

- Miło mi cię widzieć w takim dobrym humorze, mężu - zauważam.

- Znów jestem w grze - odrzeka. Spojrzeniem biegnie za moim wzrokiem, do stołu, przy którym posila się z apetytem papieski wysłannik. - I tylko ja jeden rozumiem jej zasady.

- Należą ci się gratulacje - stwierdza Edward Seymour, gdy wraz z dwórkami spacerują brzegiem rzeki, zanim na zewnątrz zrobi się za gorąco.

Wrócił niedawno z Boulogne-sur-Mer, zastąpiony nareszcie na stanowisku głównodowodzącego, dzięki czemu teraz może odzyskiwać wpływy w radzie królewskiej. Lord kanclerz Wriothesley nie doszedł jeszcze do siebie po reprimendzie Henryka w ogrodach, biskup Stephen Gardiner nabrał wody w usta, a wysłannik papieski wrócił do Rzymu z zaledwie mglistą obietnicą. Wszyscy mamy więc nadzieję, że sprawa reformy znów jest górą. Bardzo by mnie to cieszyło.

- Naprawdę? - pytam.

- Dokonałaś czegoś, co nie udało się żadnej poprzedniej królowej.

Rozglądam się wokół dla pewności, jednakże Edward Seymour nie należy do plotkarzy. Znajdujemy się poza zasięgiem słuchu wszystkich.

- Naprawdę? - powtarzam.

- Rozgniewałaś króla, po czym zdobyłaś jego przebaczenie. Zaiste sprytna z ciebie niewiasta, najjaśniejsza pani. Masz wyjątkowe doświadczenie.

Zwieszam głowę. Nie chcę o tym rozmawiać. Czuję wstyd, czuję wszechogarniający wstyd. A Anna Askew nie żyje.

- Dajesz sobie z nim radę - ciągnie Edward Seymour. - Niczym zręczny dyplomata.

Na samo wspomnienie prawdziwych wydarzeń oblewa mnie rumieniec. Nie potrzebuję, aby ktokolwiek mi o nich przypominał, pamiętam o nich i bez tego. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Mam wrażenie, że nigdy nawet nie podniosę głowy po tym, co się wtedy stało. Nie jestem w stanie znieść myśli, że ktoś taki jak Edward Seymour choćby zastanawia się nad tym, co też mogłam uczynić, aby przywieść króla do zniszczenia nakazu mego aresztowania.

- Jego królewskiej mości nie brak miłosierdzia - mówię cicho.

- Ba - podchwytuje Edward Seymour. - Ostatnio zmienił nawet zdanie. Nie będzie więcej stosów za herezję. Lud nie wita ich chętnie, zatem i król się od nich odwraca. Twierdzi teraz, że Annie Askew należała się łaska i że będzie ona ostatnią z ofiar. Tobie należy się za to zasługa, najjaśniejsza pani. Każdy, komu reforma Kościoła jest bliska sercu, czuje wobec ciebie wdzięczność. Wiele osób dziękuje Bogu za to, że jesteś, widząc w tobie uczoną, teologkę i przywódczynię.

- Dla niektórych jednak jest już za późno...

- Owszem, ale nie brak też takich, co siedzą w lochu. Mogłabyś poprosić o ich uwolnienie.

- Król nie kieruje się moją radą - przypominam.

- Niewiasta taka jak ty potrafi podsunąć mężowi myśl, po czym pochwalić go za to, że na nią wpadł - rzecze Edward Seymour z szerokim uśmiechem. - Dobrze wiesz, jak to się robi. Tobie jednej udaje się ta sztuka.

Nie pokazując niczego po sobie, myślę w duchu, że rozpoczął panowanie jako uczona, kończę je zaś jako ladacznica, która ucieka się do podłych sztuczek.

- Nie jest niegodnym ukorzyć się dla takiej sprawy - zauważa Edward Seymour, jakby potrafił czytać w moich myślach. - Papiści skulili ogon pod siebie, odkąd król zwrócił się przeciwko nim. Mogłabyś się przyczynić do uwolnienia przyzwoitych ludzi i nakłonić króla, aby pozwolił ludziom modlić się wedle własnego uznania. Dla osiągnięcia celu musiałabyś jednak postąpić swoję urodą i swoim urokiem, wykorzystując cechy Matki Ewy i Najświętszej Pani. To bowiem oznacza być niewiastą prominentną.

- Dziwne, wcale nie czuję się wpływową - wtrącam.

- Trzeba używać takiej broni, jaką się dysponuje - odpowiada radą, którą wszystkie ladacznice słyszą od mężczyzn od niepamiętnych czasów. - Trzeba mieć się takich sposobów, jakie się ma pod ręką.

Bardzo się pilnuję, aby w obecności króla nie wypowiedzieć ani jednego słowa, które mogłoby zostać poczytane przezeń za wyzwanie. Proszę go o przedstawienie swego zdania na temat czyścica i okazuję zainteresowanie, gdy stwierdza, że w Biblii nie ma dowodów na istnienie takiego miejsca, które zostało powołane do życia przez Kościół celem zdobywania funduszy. Przysłuchuję się gorliwie, gdy wygłasza opinie, jakie ja żywiłam, odkąd zaczęłam zgłębiać święte teksty i pisma teologów. Przyglądam się mu z nabożeństwem, gdy oddaje się lekturze ksiąg, które pochowałam dla własnego bezpieczeństwa, i kiwam skwapliwie głową, ilekroć powie coś,

co jemu wydaje się nowinką i nauką dla mnie. Tymczasem wiem to wszystko nie tylko ja, ale też młodzianka Lady Jane Gray, a nawet księżniczka Elżbieta, która uczyła się ode mnie. Mimo to przesiaduję u boku Henryka, wykrzykując z zachwytem, kiedy stwierdzi oczywistość, podziwiając jego odkrycia rzeczy powszechnie znanych oraz nieustająco komentując królewską przenikliwość.

– Uwolnię tych, którzy są przetrzymywani pod zarzutem herezji – oświadcza mi przy jednej okazji. – Ludzie nie powinni być więźniami sumienia, o ile tylko wyznają swoją wiarę roztropnie i nabożnie.

Potakuję w milczeniu, jakbym była onieśmielona jego mądrością.

– Chyba cieszy cię myśl, że kaznodzieja taki jak Hugh Latimer znów będzie mógł prawić kazania? – pyta mnie król. – Odwiedzał niegdyś twoje komnaty, prawda? No więc teraz znów będziesz mogła słuchać popołudniami jego kazań.

Kiedy się odzywam, nadzwyczaj starannie dobieram słowa.

– Cieszy mnie myśl, że niewinni zostaną uwolnieni. Wasza królewska mość jest nie tylko miłosierna, ale też sprawiedliwy w swych sądach.

– Powrócisz do zwyczaju popołudniowych kazań?

Nie mam pojęcia, co chce na to usłyszeć, a nie zamierzam powiedzieć nic, co by było wbrew jego woli.

– O ile tylko jest to zgodne z życzeniem waszej królewskiej mości. Lubię przysłuchiwać się kaznodziejom, dzięki którym lepiej poznaję twoje myśli, najjaśniejszy panie. Studiowanie Ojców Kościoła pozwala mi zgłębić twój sposób myślenia...

– Wiesz, jakie było motto Joanny Seymour? – pyta nagle.

Czerwienię się.

– Tak, wasza królewska mość.

– No więc? Jak brzmiało?

– „Stworzona, by służyć z pokorą”, jak mi się zdaje.

Znienacka wybucha głośnym śmiechem; ryczy z całego serca, otwierając szeroko usta i pokazując pieńki pożółkłych zębów i pokryty nalotem język.

– Powtórz! Powtórz to jeszcze raz!

– „Stworzona, by służyć z pokorą”..

Chociaż wciąż się śmieje, w jego głosie nie ma cienia wesołości. Rozciągam wargi w uśmiechu, jak gdybym chciała się poczuć rozbawiona, aczkolwiek na razie nie chwytam dowcipu. Jak gdybym była tępą niewiastą pozbawioną poczucia humoru, która jednak potrafi docenić żart męża.

Admirał Francji, Claude d'Annebault, który negocjował warunki traktatu

pokojowego z Edwardem Seymourem, ściga do pałacu Hampton Court na wielką ucztę. Mają go powitać królowie, a szczególnie księżę Edward. Henryk twierdzi, że jest znużony, i prosi mnie, abym dopilnowała, iż Edward zachowa się, jak na następcę tronu przystało, nie przynosząc wstydu dynastii Tudorów. Edward, który ma zaledwie osiem lat, czuje się rozdarty pomiędzy ekscytacją powierzonym mu zadaniem a obawą, czy zdoła je wykonać. Zanim ambasador się pojawi, chłopiec przychodzi do moich komnat z pytaniem, jak przebiegnie ceremonia i co właściwie ma w jej trakcie robić. Jest przy tym tak drobiazgowy, tak skrupulatny – zupełnie niczym mały astronom – że przyzywam mojego koniuszego i szambelana, po czym wspólnie rozrysowujemy na płachcie papieru plan ogrodów. Następnie za pomocą starych ołowianych żołnierzyków księcia odgrywamy przybycie francuskiego ambasadora, przy czym nasze postacie reprezentują moje lalki.

W zagranicznej delegacji znajdzie się dwustu francuskich wielmożów, których powita w pałacu cała rada królewska oraz dworzanie. Goście zamieszkają w namiotach ze złotogłowiu, którym towarzyszyć będą pomieszczenia wzniesione tymczasowo na cele uczt. Wszystko to nanosimy na tworzony plan, by dodatkowo, na osobnej karcie, rozpisać dziesięciodniowe uroczystości z każdym przyjęciem, polowaniem i przedstawieniem.

Na ręce patrzą nam Lady Jane Grey i księżniczka Elżbieta, za których namową przebieramy się i już w eleganckich kornetach i ozdobach odgrywamy pojawienie się francuskiej delegacji. Tylko jeden Edward jest sobą, reszta z nas natomiast udaje Francuzów i dworzan, którzy składają niskie ukłony i wygłaszają długie mowy, aż wreszcie nasza maskarada dobiega końca i znów wszyscy zamieniamy się w samych siebie.

– Będzie właśnie tak? – dopytuje księżę. I wskazując podwyższenie, które zaznaczyliśmy na planie, dodaje z frasunkiem: – Będę stał właśnie tutaj?

– Po co się tak martwisz? – dziwi się księżniczka Elżbieta. – Jesteś następcą tronu, a nasza matka jest regentką. Cokolwiek oboje postanowicie, jakkolwiek się zachowacie, będzie właściwe. Księżę Walii nie może postąpić źle.

Edward posyła mi słodki uśmiech.

– Będę cię we wszystkim naśladował, pani matko.

– Jesteś następcą tronu – powtarzam za Elżbietą. – Cokolwiek uczynisz, będzie właściwe.

Wizyta przebiega zgodnie z naszym planem. Księżę Edward wyjeżdża gościom na spotkanie odziany w złotogłów, w otoczeniu dworzan

i gwardzistów. Na tle dorosłych mężczyzn wydaje się niezwykle drobny, jednakże powoduje wierzchowcem jak należy i z wielką godnością wita gości w perfekcyjnej francuszczyźnie. Czuję taką dumę na jego uczość, że ściskam go serdecznie po powrocie, porywając w objęcia i tańcząc z nim wokół mojej komnaty prywatnej.

Relacjonuję królowi, że wszystko odbyło się zgodnie z jego oczekiwaniami, on zaś stwierdza, że spotka się z admirałem osobiście, zabierając go na mszę do kaplicy.

- Dobrze się dziś przysłużyłaś zarówno mnie, jak i mojej rodzinie - oświadcza Henryk, gdy wieczorem zjawiam się w jego komnacie, aby złożyć mu meldunek z ceremonii i opowiedzieć, jak świetnie sobie poradził książę Edward pod nieobecność ojca i jak bardzo wszyscy są dumni z syna Joanny Seymour. - Jesteś mu niczym matka - dodaje - którą Joanna nigdy nie miała okazji być...

Zauważam, że tego wieczora wyjątkowo mówi o jej śmierci jak o porzuceniu przez nią obowiązku.

- Sprawiałaś się dzisiaj jako regentka - rzecze król - i jestem ci za to wdzięczny.

- Uczyniłam tylko to, co do mnie należało - kryguję się.

- To dobrze, że zostałaś uwieczniona na portrecie rodzinnym - rzuca Henryk zniechęca. - Powinnaś zostać uhonorowana jako macocha księcia.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Czyżby zdążył zapomnieć, że mistrz Nicholas przedstawił na portrecie Joannę Seymour, jego nieżyjącą żonę? Chociaż bowiem pozowałam do malowidła, nie dostąpiłam zaszczytu znalezienia się na nim. Nie ma obrazu, na którym znajdowałabym się obok ukochanego przeze mnie księcia Walii.

Tymczasem Henryk ciągnie:

- Przynosisz zaszczyt swemu królestwu i swojej religii. W minionych miesiącach niemal całkiem mnie przekonałaś, że słusznie zajmujesz najpierwsze miejsce w Anglii i słusznie wyznajesz swoje poglądy.

Rozglądam się wokół. Nikt nie sprzeciwia się jego słowom. Choć otacza nas zwykły tłumek dworzan, praktycznie wszyscy sprzyjają mnie i sprawie reformy. Stephen Gardiner zaś pozostaje nieobecny. Doszło do jakiejś niezgody o kawałek ziemi, w czego efekcie król się na niego obraził. Biskup z pewnością zdoła wkraść się na powrót w łaski Henryka, jednakże zajmie to trochę czasu, tak że na razie możemy odetchnąć z ulgą. Z kolei Wriothesley nie był widziany u boku króla od tamtego dnia w ogrodzie, kiedy to przyszedł mnie aresztować.

- Postępuję tylko zgodnie z życzeniami waszej królewskiej mości -

odpowiadam.

- Myślę również, że masz rację w sprawie mszy – dorzuca król obojętnie.  
- Czy też komunii, jak ją nazywasz.

Uśmiecham się, udając pewność siebie, choć pod stopami czuję drżenie.

- Stosuję nazwy zalecane przez waszą królewską mość – mówię. – To twój Kościół, najjaśniejszy panie. Twoja liturgia. Wiesz lepiej niż ja, lepiej niż ktokolwiek, jak ją należy rozumieć.

- Nazywajmy zatem mszę komunią, komunią wszystkich wiernych – oznajmia Henryk, nagle wylewny. – Powiedzmy, że nie jest to dosłownie ciało i krew Chrystusa, gdyż jak mieliby to pojąć zwykli ludzie? Tacy uznają, że w grę wchodzi czary albo oszustwo. Dla nas, którzy zgłębiają te zagadnienia, którzy rozumieją moc języka, może to być na równi ciało i krew, jak i chleb i wino. Im się powie, że to tylko taka figura stylistyczna. *Podobnie, skończywszy wieczerzę, wziął kielich, mówiąc: „Kielich ten jest Nowym Przymierzem we Krwi mojej. Czyńcie to, ile razy pić będziecie, na moją pamiątkę!”*<sup>[5]</sup>. To jasne, że podarował im chleb, że pobłogosławił chleb, że dał im wino i powiedział, iż to pamiątka. Ci z nas, którzy pojmują o tyle więcej od prostych wieśniaków, nie powinni ich konfundować ani zwodzić.

Nie podnoszę spojrzenia na wypadek, jeśli to pułapka zastawiona na mnie, lecz wewnątrz czuję drżenie z silnej emocji. Skoro król dochodzi do tych wniosków, skoro pojmuje to z taką jasnością, to ani Anna Askew nie umarła nadaremno, ani ja nadaremno nie zarzuciłam ksiąg i nie odebrałam kary cielesnej. Pan Bóg najwyraźniej przywiódł Henryka do oświecenia poprzez jej śmierć i mój wstyd.

- Czy wasza królewska mość chce powiedzieć, że słowa te są symboliczne?

- A nie tak właśnie uważasz?

Nie dam się nakłonić do wyrażenia swoich opinii wprost.

- Najjaśniejszy panie, z pewnością uznasz mnie za głuptaskę, jednakże sama nie wiem, co uważać. Wychowałam się, myśląc jedno, po czym kazano mi myśleć inaczej. Obecnie, jako mężatka, zdaję się w tych kwestiach na męża, który jest moim przewodnikiem.

Henryk się uśmiecha. Utrafiłam w sedno – coś takiego właśnie chciał usłyszeć. Tak bowiem mówi poskromiona żona do swojego męża.

- Katarzyno, posłuchaj... Sądzę, że musimy stworzyć uczciwą religię, w której komunია stanowi sedno liturgii, chociaż ma tylko symboliczną moc – obwieszcza.

Gładka formułka i dźwięczna wymowa przekonują mnie, że Henryk nie

wyraża się spontanicznie. Być może nawet wszystko sobie spisał i wyczytał się na pamięć. Ktoś – Anthony Denny? Thomas Cranmer? – mógł mu wręcz podsunąć te słowa.

– Dziękuję – odpowiadam słodkim głosem. – Dziękuję za pokierowanie mną.

– Zapropnuję francuskiemu ambasadorowi, abyśmy działali wspólnie, Francuzi i Anglicy, na rzecz wyplenienia przesądów i herezji starego Kościoła i powołali nowy, zarówno we Francji, jak i w Anglii, oparty na Piśmie Świętym, oparty na współczesnym rozumieniu, i go upowszechniali najpierw w swoich królestwach, a później też na całym świecie.

Nie potrafię uwierzyć, że słyszę to z jego ust.

– Naprawdę?

– Katarzyno, pragnę mieć poddanych, którzy światle stąpają ścieżką Pana, nie zaś bandę głupców otumanionych przez czarownice i klechów. Cała Europa, nie licząc Watykanu i podległych mu krain, wierzy, że to jedyne właściwe pojmowanie Boga. Chcę być tego częścią. Chcę nauczać ludzi, przewodzić im. A kiedy przyjdzie ten dzień, że pozostaniesz regentką, mając pod opieką mego syna, chcę, abyście oboje władali poddanymi, którzy modlą się ze zrozumieniem i którzy wiedzą, o co chodzi w mszy... w komunii, takiej, jaką ustanowił Jezus Chrystus, nie zaś powtarzają bezrozumnie nieznanne słowa narzucone przez Rzym.

– Ja także tego pragnę! Ja także tego pragnę! – Nie jestem w stanie dłużej ukrywać własnego podniecenia.

Henryk uśmiecha się do mnie.

– Zaprowadzimy w Anglii nowe porządki, nową religię – zapowiada. – Dożyjesz tego, nawet jeśli mnie nie będzie dane.



# ZAMEK W WINDSORZE JESIEŃ 1546 ROKU



Po wizycie francuskiego ambasadora udajemy się w objazd królestwa, podczas którego Henryk jest nawet w stanie polować. Mimo że nie może chodzić, jego niespożyty duch pozwala mu siedzieć w siodle i brać udział w polowaniach na lisa. Do tego w każdym z naszych pięknych pałaców nad Tamizą wznoszą dla niego kryjówkę, którą wyposażają w łuki i strzały i ku której naganiają zwierzynę. Na wprost królewskiej łożni łanie i byki padają tuzinami, z przestrzelonymi oczyma i pyskami. Z jakiegoś powodu jawi się to większym okrucieństwem niż polowanie w otwartym terenie. Henryk mierzy z łuku do pięknego zwierza, ofiara pada z bełtem w ciele i jeszcze półżywa jest rozrywana przez ogary. Króla nie martwi barbarzyństwo tej metody, ubijanie zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Z całkowitym spokojem przygląda się, jak łowczy podrzywa gardło walczącej do ostatka ofierze. Ba, myślę sobie nawet, że jej cierpienie sprawia mu przyjemność. Obserwuje czarne kopytka, póki nie przestaną rwać darni, po czym wybuchuje gromkim śmiechem.

Właśnie patrząc na śmiertelne podrygi jakiejś nieszczęsnej łani, odzywa się do mnie znienuca:

- Co sądzisz o kandydaturze Tomasza Seymoura do ręki księżniczki

Elżbiety? Z tego co wiem, Seymourowie chętnie powitaliby to małżeństwo.

Wzdrygam się mimowolnie, on jednak nie patrzy na mnie, tylko na zachodzące mgłą oczy uśmiercanego zwierzęcia.

- Wszystko zależy od ciebie, najjaśniejszy panie - odpowiadam. - Aczkolwiek księżniczka Elżbieta jest wciąż bardzo młoda. Mogłaby ewentualnie zostać zaręczona, po czym pozostawać pod moją opieką do ukończenia szesnastego roku życia.

- Uważasz, że byłby dla niej dobrym mężem? - indaguje Henryk. - Urodzivec z niego, prawda? Ale czy jej się on podoba? Jak myślisz, spłodziłby z nią syna? Elżbieta jest mu chętna?

Zasłaniam usta wypchnioną skórzaną rękawiczką, żeby ukryć ich drzenie.

- Trudno mi powiedzieć. Jej wysokość jest wciąż bardzo młoda - powtarzam. - Oczywiście darzy Tomasza Seymoura sympatią, jak wypada, skoro jest wujem jej przyrodniego brata. Moim zdaniem byłby z niego dobry mąż. Nie sposób kwestionować jego odwagi. A co ty o tym sądzisz, najjaśniejszy panie?

- Urodzivec z niego. Do tego jurny jak pies. Straszny z niego bawidamek.

- Nie większy od innych - mówię ostrożnie. Muszę baczyć na słowo. Trudno mi wyczuć, co powinnam powiedzieć, aby się nie zdradzić, a zarazem wspomóc starania Tomasza.

- A ty go lubisz?

- Ledwie go znam - odpowiadam. - Jego brat jest mi znacznie lepiej znany, gdyż Anna Seymour służy w moich komnatach. Ilekroć jednak zamieniam słowo z sir Tomaszem, zawsze jest bardzo zajmującym rozmówcą, który niewątpliwie wiernie ci służy.

- Owszem - zgadza się król.

- Sprawdził się jako admirał i obrońca wybrzeża, czyż nie?

- Owszem. Wszelako oddanie mu ręki córki byłoby niestychaną nagrodą. Dzięki temu Seymourowie jeszcze by urosli w siłę.

- Z drugiej strony małżeństwo z Anglikiem pozwoliłoby księżniczce pozostać w Anglii - zauważam. - Na czym z pewnością zależy nam obojgu.

Przygląda mi się takim wzrokiem, jakby rozważał moje słowa, jakby perspektywa Elżbiety pozostającej w Anglii do niego przemawiała.

- Znam ją - rzuca nagle. - Gdybym tylko jej pozwolił, poślubiłaby go raz-dwa. Taka sama z niej ładacznicą jak jej matka.

Chociaż w Windsorze panuje doskonała aura, Henryk zniecka wycofuje

się z dworskiego życia. Nie sądzę, aby był chory, szczególnie że w jego komnatach towarzyszy mu ciągle grupka dworzan. Pozostali, nawykli do zabaw i rozrywek lata, kontynuują swawole bez niego, zgoła nie dbając, że zniknęła oś i źródło wszelkiej władzy i bogactwa. Ludzie przyzwyczaili się, że król nagle znika, po czym równie niespodzianie pojawia się znowu. Nie traktują tego jako oznaki schyłku jego panowania – są przekonani, że będzie panował wiecznie. Jednakże jego najbliżsi doradcy, ci, którzy spędzają z nim najwięcej czasu i żywią wielkie nadzieje na przyszłość, skupiają się wokół niego ciasnym kręgiem, jakby nie dowierzali sobie nawzajem, jakby nie chcieli go zostawić samego, tylko w towarzystwie rywali.

W końcu z apartamentów królewskich przecieka wieść; dworzanie zdradzają się przed swymi żonami, które są na mojej służbie: król zachorzał ponownie i tym razem czuje się znękany zarówno zadawnioną raną w nodze, jak i narastającą gorączką. Henryk przesypia większą część dnia, budząc się tylko po to, by zażądać sutego posiłku, na który jednak nie ma ochoty, gdy podstolowie wnoszą pełne tace.

Dawni doradcy – papiści pokroju księcia Norfolku, Williama Pageta i lorda kanclerza Wriothesleya – z każdą chwilą tracą na znaczeniu. Obecnie górą są reformiści. Wieloletni szmatkowy, sir Thomas Heneage, zostaje z dnia na dzień odprawiony ze stanowiska pomimo wiernej służby. Sekretnie świętujemy, albowiem nowym szmatkowym ma zostać mąż Joan, Anthony Denny, który dołączy do Williama Herberta i razem z nim będzie towarzyszyć Henrykowi podczas wysiłków na *chaise percée* i puszczania wiatrów.

W miarę jak mężowie moich dworek obejmują kolejne ważne funkcje w apartamentach króla, a mąż Anny Seymour, Edward, wyrasta na najzaufanego doradcę, dwór mój i Henryka ulega zjednoczeniu: mężczyźni służą najjaśniejszemu panu, niewiasty mnie, a wszyscy jesteśmy jednomyślni. Obecni faworyci Henryka są niemal wyłącznie reformistami, tak samo jak moje dworki. Ilekroć w rozmowie wypływa temat religii, wszyscy z entuzjazmem rozprawiają o zmianie. Nikt zatem nie zgłasza zdania sprzeciwu, gdy królewska kłótnia o kawałek ziemi z Gardinerem przybiera brzydki obrót. Henryk unosi się gniewem, jak to ma w zwyczaju, po czym biskup traci dostęp do wewnętrznego kręgu.

Nikt nie staje w jego obronie. Dawni sprzymierzeńcy Stephena Gardinera – biskup Londynu, lord kanclerz, nawet Richard Rich – obecnie w pośpiechu zmieniają strony i szukają nowych sojuszników. Jak łatwo się domyślić, przedkładają łaskę króla nad lojalność. Thomas Wriothesley zaciąga się na służbę u Edwarda Seymoura, podczas gdy okrutny biskup Bonner trzyma się swojej diecezji i nie śmie nawet pokazać się w pałacu. Nawet nowy

ambasador Hiszpanii nie przyjaźni się z Gardinerem, nawet on widzi, że papistowskie sympatie należą do przeszłości. Tymczasem Richard Rich, który już upatrywał sobie nowego patrona, nie odstępował ani na krok Johna Dudleya. Z wyobcowanym biskupem rozmawia jeszcze tylko Tomasz Howard, który jednak sam wypadł z łask; jego syn jest obwiniany o kłopoty angielskiej armii w Boulogne-sur-Mer, córka zaś pohańbiła się utarciem nosa Seymourom.

Upadek biskupa Gardinera jest równie szybki jak droga grzesznika do piekła. Z dnia na dzień dostaje zakaz wstępu na komnaty i z resztą zwykłych petentów musi czekać na audiencję, po czym nazajutrz strażnicy przy wejściu otrzymują instrukcje, by trzymać go na dystans, w czego efekcie może co najwyżej wjechać na dziedziniec stajenny, ale już nie przechować wierzchowca w boksie. Żalostí napawa fakt, że nawet wtedy nie potrafi odejść. Wydaje mu się, że zostanie przywrócony do łask, jeśli tylko uda mu się dostać przed oblicze króla. Uważa, że wyjaśnienie bądź przeprosiny go ocalą. Mając w pamięci długie lata lojalnej służby, myśli, że Henryk nie odwróci się od tak starego przyjaciela. Zapomniał najwyraźniej, że z chwilą wykluczenia kogoś człowiek ten jest zgubiony, czasem aresztowany, częściej skazany na śmierć. Uszło jego uwagi, że jedyną osobą, która podnosi się po fali Henrykowej nienawiści, jestem ja. Nie wie wszakże, co musiałam uczynić. Nie wie, jaką cenę za to zapłaciłam. Nikt nigdy się nie dowie. Nie przyznając tego bowiem nawet sama przed sobą.

Gardiner robi co może. Oferuje zwrot zakwestionowanych ziem. Włóczy się przy stajniach, sprawiając wrażenie, że dopiero przyjechał albo właśnie dokądś jedzie, i udając mile widzianego gościa, którym niegdyś był. Przesyła przeprosiny za pośrednictwem każdego, kto podejmuje się je dostarczyć królowi. Zatrzymuje przechodzących, powtarzając, że doszło do pomyłki, że pozostaje najwierniejszym sługą króla, że nic się nie zmieniło – tylko czy mogliby się za nim wstawić u Henryka?

Oczywiście nikt tego nie robi. Nikt nie chce widzieć Gardinera z powrotem u królewskiego boku, gdzie by sączył jad w ucho Henryka, pokazując na każdym kroku herezję i zdradę. W całej Anglii nie ma rodu, którego by nie szpiegował, nie ma człowieka, który by nie poczuł na sobie jego podejrzliwych oczek. Biskup w każdym kaznodziei widział heretyka, w każdym dworzaninie zdrajcę. Ale teraz, gdy wypadł z łask Henryka, nie jest już postrachem dla nikogo. Nikt też nie zamierza ryzykować i wspominać o nim królowi, który twierdzi, że jego dawny ulubiony doradca jest zwykłym piniaczem, o jakim nawet nie chce słyszeć.

Przerażony starzec obawia się o swoją przyszłość. Z pewnością pamięta Wolseya, który padł trupem w drodze do Londynu, gdzie czekał go proces

i szafot. Pamięta Cromwella, pozbawionego kanclerskiego łańcucha i świętego na pniu na mocy tego samego prawa, które stworzył. Pamięta Johna Fishera, który szedł na własną egzekucję w najlepszej pelerynie, pewien, że dostąpi nieba. Pamięta Tomasza Morusa pochwyconego w sidła przez Richarda Richa. Pamięta królowe – wszystkie cztery z nich, przeciwko którym świadczył po tym, jak wypadły z łask, i do których upadku się przyczynił.

W końcu dopada dawnego przyjaciela i sojusznika, Thomasa Wriothesleya, by błagać go o wstawiennictwo – tylko jedno słówko szepnięte królowi przy pierwszej okazji – jednakże lord kanclerz wyślizguje mu się, jakby był kroplą oleistej krwi ronionej przez fałszywie cudowną figurę świętego. W jednej chwili jest tuż obok, w drugiej już go nie ma. Ktoś taki jak Wriothesley nie będzie ryzykował swego niepewnego miejsca na dworze królewskim dla dawnego przyjaciela. Henryk nieźle go nastraszył wtedy w ogrodzie, Wriothesley zmienił barwy i teraz pracuje dla Seymourów.

Zdesperowany Gardiner prosi moje dworki, aby zamieniły ze mną słowo, jak gdybym miała jakikolwiek interes w przywróceniu do władzy swego dawnego wroga; jak gdyby sam już nie pamiętał zapewnień składanych królowi, że ma przeciwko mnie dowody na zdradę. Ostatecznie do Stephena Gardinera dociera, że stracił popleczników, wpływy i miejsce w pałacu – wówczas udaje się do swojej siedziby, pali kompromitujące dokumenty i planuje własny powrót.

Dworscy reformiści świętują zwycięstwo nad groźnym przeciwnikiem, ja wszakże nie mam wątpliwości, że biskup wróci. Tak jak przedtem to papiści złamali naszego ducha, tak teraz my jesteśmy górą, a oni leżą przyczajeni, bojąc się o własne życie. Wszelako Henryk szczuje jednych przeciwko drugim bez ustanku, zmuszając nas do ciągłej walki na zęby i pazury.

# PAŁAC WHITEHALL, LONDYN ZIMA 1546 ROKU



Gdy jesień przechodzi w zimę, stan zdrowia Henryka pogarsza się jeszcze – doktor Wendy informuje mnie o nieopanowanej gorączce, której nie sposób ostudzić. Król poci się i majaczy w malignie, a febra sięga kolejno jego nadwerżonego serca i mózgu, grożąc, że się z niej nie podniesie. Medyk sugeruje kąpiele lecznicze, tak więc przenosimy się do pałacu Whitehall, gdzie Henryk jest zanurzany w gorącej wodzie, a następnie niczym niemowlę zawijany w pachnące prześcieradła, które schną na nim, wyciągając z organizmu truciznę. To zdaje się nieco pomagać. Król czuje się lepiej, aż tu nagle oświadcza, iż chce pojechać do pałacu w Oatlands.

Edward Seymour przychodzi z tą wiadomością do moich komnat.

– Nie ma dość sił, aby podróżować – rzecze. – Sądziłem raczej, że święta spędzimy tutaj.

– Doktor Wendy uważa, iż nie należy mu się sprzeciwiać.

– Bóg świadkiem, że nikt nie chce się sprzeciwić królowi – zapewnia Edward Seymour. – Wszelako nie możemy pozwolić, aby ryzykował życie, udając się zimową porą po rzece do innego pałacu.

– Wiem. Tylko że nie mogę mu tego powiedzieć.

– Ciebie jednej słucha – przekonuje mnie. – Ufa ci bezgranicznie. Tobie

przecież zawierzył własne opinie, własnego syna, własne królestwo.

- Słucha mnie tyle samo co swoich dworzan - upieram się. - Niech z nim porozmawia Anthony Denny albo William Herbert. Poprę ich, jeśli zapyta mnie o zdanie. Nie będę jednak mu doradzać wbrew jego życzeniom. - Przed oczyma mam pejcz, który trzyma gdzieś w swojej komnacie sypialnej. Na wargach czuję szorstki dotyk jego saczka. - Wypełniam tylko jego rozkazy - kończę zwięźle.

Edward przygląda mi się z zamyśloną miną.

- W przyszłości... - odzywa się po chwili - w przyszłości być może będziesz musiała podejmować decyzje w imieniu jego syna i w imieniu królestwa. Być może znajdziesz się przy władzy...

Wbrew prawu jest mówić o śmierci króla. Zdradą jest już sugestia, że zdrowie monarchy szwankuje. Zatem w odpowiedzi potrząsam tylko milcząco głową.

# PAŁAC W OATLANDS, HRABSTWO SURREY ZIMA 1546 ROKU



Pod nieobecność Gardinera w pałacu pozostaje tylko jedna grupa osób, która solidaryzuje się z dawnym Kościołem, wszelako jest to znacząca rodzina, która przetrwała liczne zmiany. Nic nie jest w stanie zniszczyć Howardów. Prędej zastawią własną córkę i wyrzucą za burtę własnego dziedzica, niż pozwolą, aby ich ród zatonął. Księżęta Norfolkku zachowali swoje miejsce przy Koronie nawet wówczas, gdy zmieniali się królowie, nawet po tym, jak dwie niewiasty noszące ich nazwisko wspięły się najpierw na tron, a następnie na szafot, gdzie dały głowę. Tomasz Howard nie da się łatwo wysadzić z siodła.

Wszakże pewnego wieczora jego syn i dziedzic znika. Henryk Howard, odwołany z Boulogne-sur-Mer z powodu swej arogancji i ryzykanctwa, nie pojawia się przy ojcowskim stole w wielkiej sali i ani jego słudzy, ani przyjaciele nie wiedzą, gdzie się podział.

Młody Howard to narwaniec, błazen, który się przechwalał, że utrzyma Boulogne-sur-Mer przy angielskiej Koronie w nieskończoność, głupiec, który więcej niż raz rozjuszył króla swoją manią wielkości, za każdym razem jednak



zdolał się od nowa wkupić w jego łaski. Pozostawał w zażyłości z Fitzroyem, synem Henryka z nieprawego łoża, i zawsze dotąd dobrze wychodził na tej tragicznej braterskiej miłości, zyskując sobie królewskie przebaczenie.

Aczkolwiek podnoszą się głosy, iż to nic dziwnego, że go nie ma przy ojcowskim stole, bo Howardowie wiecznie szukają przygód, nikt nie wątpi, że ktoś taki jak młody Howard nie ruszyłby w miasto bez swojej świty. Ilekroć bowiem się wyprawiał swawolić, otaczał się swymi przyjaciółmi i sługami, którzy byli świadkami jego wyczynów. Tak czy owak ktoś musiał go widzieć, ktoś musi coś wiedzieć.

I wie – ni mniej, ni więcej, tylko Thomas Wriothesley. Otóż okazuje się, że ludzie lorda kanclerza zapakowali młodego hrabiego na łódź późną porą minionej nocy. Ktoś widział, jak tuzin służących w liberii Wriothesleya niósł szarpiącego się i klnącego na czym świat stoi młodego Howarda, który następnie trafił na dno łodzi, przyciśnięty ciałami strażników. Łódka ruszyła rażno w dół rzeki i rozplynęła się w ciemnościach. Nie było to aresztowanie, gdyż zabrakło nakazu, zresztą więzień nie został dostarczony do Tower. Zakładając, że doszło do porwania, wychodzi na to, że Wriothesley jakimś cudem poważył się zaatakować dziedzica rodu Howardów, i to w obrębie pałacu królewskiego. Nikt nie ma pojęcia, jak mogło do tego dojść, na czyj rozkaz ani tym bardziej w którym odcinku Tamizy łódź zacumowała. Największą ze wszystkich tajemnicą pozostaje zaś, gdzie właściwie przepadł Henryk Howard.

Nie mieści się w głowie, że Wriothesley – jak chcą niektórzy – na własną rękę wywarł pomstę na rodzie Howardów. Przecież zaledwie przed kilkoma tygodniami spiskował razem z nimi przeciwko mnie, gotów wywieźć mnie tą samą drogą z pałacu. Zatem może jednak działał na rozkaz króla. Ale nikt nie potrafi sobie nawet wyobrazić, czym młodzik mógł rozgniewać Henryka tak bardzo, aby sprowokować podobny ruch. Tymczasem Wriothesleya nigdzie nie ma, a jego słudzy nabrali wody w usta.

Tomasz Howard zarzeka się, że jego starszy syn jest niewinny. To młodszy, Tomasz, został oskarżony o czytanie heretyckich ksiąg i wysłuchiwanie kazań w moich komnatach, co zresztą obecnie jest już dozwolone. Pierworodny Henryk interesuje się zaś głównie własną osobą i własnymi przyjemnościami. Nazbyt go absorbują rozrywki i turnieje, poezja, łajdaczenie się i włóczenie, aby miał się zajmować poważniejszymi sprawami. Trudno go sobie wyobrazić z nosem w książce. Nie sposób dopatrzeć się w nim heretyka. Coraz więcej osób zaczyna myśleć, że Wriothesley przesadził.

Księżę Norfolk po kilku dniach milczenia dochodzi do wniosku, że może stawić czoło lordowi kanclerzowi. Żąda odpowiedzi na pytanie, gdzie

przebywa jego syn i pod jakim zarzutem, i domaga się uwolnienia pierworodnego. Podnosi głos na spotkaniu rady, woła, że musi się zobaczyć z królem. Prosi nawet o audiencję u mnie. Wszyscy rozumieją, że żaden człowiek, nawet lord kanclerz, nie może wystąpić przeciwko księciu Norfolkowi, licząc, że nikt nie będzie zadawać pytań. Tomasz Howard szaleje w komnacie rady, rzucając Wriothesleyowi wyzwanie prosto w twarz, czemu w milczeniu przyglądają się panowie rada. Oto starcie dwu sił: starego arystokraty i nuworysza.

Jakby w ramach straszliwej reakcji, bez oficjalnego rozkazu króla oraz bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, gwardziści prowadzą młodego Howarda ulicami Londynu z siedziby lorda kanclerza do Tower, i to pieszo, jak gdyby chodziło o pospolitego złoczyńcę. Wielka brama otwiera się, jakby wewnątrz ich się spodziewano, na powitanie pojmanemu wychodzi namiestnik twierdzy, który zaraz każe zabrać więźnia do celi. Drzwi zamykają się z głuchym hukiem.

W komnacie rady książe Norfolkowi toczy pianę z ust. W dalszym ciągu nie pada żaden zarzut, nie zostaje wysunięty żaden akt oskarżenia. Tomasz Howard zarzeka się, że to robota wrogów, robota tchórzy, robota ludzi pozbawionych wszelkiego znaczenia i pozycji, ludzi pokroju Wriothesleya, którzy dopchali się na szczyty władzy dzięki pozorom odczytania i obeznania z prawem, podczas gdy stara arystokracja, wielmożowie tacy jak sam książe i jego syn, kwiat rycerstwa, chowają twarz ze wstydu na widok nuworyszów biorących się do rządzenia...

Nie dają mu nawet skończyć. Nie odpowiadają na jego gromkie protesty. Gwardziści wparowują do komnaty rady i jakby nigdy nic odzierają go z emblematu Orderu Podwiązki. Odbierają mu laskę urzędu i łanią na jego oczach, jakby już nie żył i mieli rzucić jej szczątki na wieko jego trumny złożonej w grobie. Tomasz Howard przez cały czas złorzeczy, wyzywając ich od głupców i przypominając o prawie półwieczu służby na dworze Tudorów – służby ciężkiej, pełnej brudzenia sobie rąk robotą, której nie chciał wykonać nikt inny. Wyprowadzają go z komnaty rady, podczas gdy on nie przestaje się zaślaniać własną wyższością, niewinnością i groźbami. Chrobot jego podkutych butów na posadzce i jego krzyki niosą się echem do najdalszej galerii.

Drzwi komnaty prywatnej Henryka są uchylone, nikt jednak nie wie, czy król cokolwiek słyszy. Nikt nie wie, czy wszystko się dzieje z jego rozkazu czy raczej to Wriothesley buduje spisek przeciwko swoim rywalom. W związku z tym nikt też nie wie, jak się zachować.

Obecnie obaj Howardowie – Tomasz książe Norfolkowi i jego dziedzic i spadkobierca Henryk – znajdują się w Tower, przetrzymywani bez aktu

oskarżenia, bez dania racji. Wydarzyła się rzecz nie do pomyślenia: Howardowie, ojciec i syn, którzy posłali tyłu ludzi na szafot, którzy z wysokości siodła patrzyli, jak dyndają niewinni, teraz sami znaleźli się w lochu.

Wieść o upadku odwiecznego rywala Seymourów ściąga w okamgnieniu na dwór Tomasza, który pośpiesznie naradza się z bratem. Anna Seymour, przyczajona w progę, podsłuchuje rozmowę męża i dziewierza, po czym donosi mi o wszystkim.

– Siedziba Howardów, Kenninghall, została przeszukana od piwnic po strych w dniu aresztowania księcia. Wdarli się do środka, ledwie Tomasz Howard przekroczył próg Tower. Od pisarczyka Edwarda wiem, że padnie oskarżenie o zdradę.

Joan Denny, której mąż Anthony cieszy się względami króla, potakuje przyjaciółce.

– Nałożnica księcia podpisała zeznania, w których powiedziała, że Tomasz Howard mówił głośno o poważnej chorobie jego królewskiej mości. – Zniżając głos, dodaje: – Zezna pod przysięgą, że zdaniem księcia najjaśniejszy pan miał już nie pociągnąć długo.

Zapada wstrząśnięte milczenie. Nie chodzi o to, że książę powiedział to, co wszyscy i tak myślą, lecz o to, że jego nałożnica zdradziła go przed ludźmi lorda kanclerza.

Anna Seymour kiwa głową, radując się z nieszczęścia, które spotkało rywali jej rodziny.

– Howardowie zamierzali sfałszować testament króla, porwać księcia i objąć panowanie.

Spoglądam na nią z niedowierzaniem.

– To niemożliwe. Jak to: objąć panowanie? Howardowie to słudzy tronu. Na podobieństwo pcheł wiecznie skaczą w tę stronę, którą obierze panujący monarcha. Jeszcze żadnemu się nie sprzeciwili. Nawet ich własne córki... – Milknę, albowiem jest tajemnicą poliszynela, że Maria Boleyn, jej siostra Anna, ich kuzynka Madge Shelton i krewniaczka Katherine Howard, wszystkie zostały podetknięte pod nos Henrykowi przez rodzinę, która potraktowała je jak zwykłe ładacznice.

Anna Seymour jeży się na wspomnienie Howardówien. Jej własna żelwa, szczerze opłakiwana Joanna Seymour, także przeszła płynną i mało honorową drogę od dworki do królowej.

– Cóż, przynajmniej Maria Howard odmówiła.

– Czego odmówiła?

– Nie dała się pozbawić czci. Z własnym świekiem!

Nie nadążam za jej słowami.

– Anno, mów jaśniej. Kto chciał pozbawić czci Marię Howard? I co masz na myśli, mówiąc o świekrze? Chyba nie chodzi ci o króla?

Zbliża się do mnie z twarzą rozpłomienioną zgrozzeniem.

– Wiesz, że padła propozycja małżeństwa Marii Howard z moim dziewierzem, Tomaszem Seymourem?

– Tak – odpowiadam spokojnie. – Wszystkim wiadomo, że król dał swoje przyzwolenie.

– Nikomu jednak nie zależało na świętym matrymonium! Nikomu ani przez chwilę! Zamierzali ją wydać za niego za mąż, po czym przyprawić mu rogi! Co na to powiesz?

Myśl, że ktoś zamierzał unieszczęśliwić Tomasza Seymoura, jest dla mnie niczym cios w splot słoneczny. Jak nikt inny wiem, co to wstyd. Nie życzyłabym tego uczucia memu ukochanemu.

– Nic nie powiem. Mów jednak, o co dokładnie chodziło?

– Plan był taki. Tomasz miał się ożenić z Marią. Maria miała dołączyć do grona twoich dworek. A potem... Jak sądzisz, co miało się stać potem?

Powoli zaczynam pojmować. Jakże nikczemni są ci ludzie, ci podlece.

– Oczywiście byłabym ją przyjęła. Córka Howarda, żona Seymoura zastugiwałaby, aby być moją dworką.

W duchu dodaję jednak: i oczywiście uczyniłabym wszystko, aby przyciągnąć Tomasza do pałacu, gdzie mogłabym go codziennie oglądać. Nawet gdyby oznaczało to przebywanie na co dzień z jego żoną. Tymczasem byłabym tylko narzędziem w ich rękach. Wykorzystaliby mnie, aby wyrządzić mu krzywdę!

– Planowali postawienie Marii Howard na drodze króla. – Anna Seymour odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć. – Planowali zastąpienie nią ciebie.

– Niby jak?

– Miała się wdać we flirt z królem, miała go uwieść. Miała z nim zlecić czy też zrobić to, do czego jest wciąż zdolny. Miała być jego *maitresse-en-titre*, kochanicą nad kochanicami, równą francuskiej metresie. Byli pewni, że im się uda. Zostałabyś oddalona, a ona zajęłaby twoje miejsce. Zamieszkałabyś z dala od pałacu, podczas gdy ona wodziłaby w nim rej. Ale była też mowa o tym, że gdyby okazała się bystra, mogłaby osiągnąć coś znacznie więcej.

– Co mianowicie? – pytam, jakbym nie wiedziała.

– Gdyby była bystra i godna pożądania, gdyby mówiła i robiła, co jej każą, król byłby się ciebie pozbył i poślubił ją. A wtedy ona uczyniłaby swój dwór ośrodkiem teologii i przywiodła go z powrotem do starej religii. Byłoby tak jak za twoich czasów, tylko lepiej, bo z korzyścią dla papizmu.

A po śmierci króla zostałaaby macochą księcia Edwarda, zaś jej ojciec byłby lordem protektorem, który rządziłby w Anglii do czasu osiągnięcia przez księcia pełnoletności, później zaś z czystego przyzwyczajenia. Najważniejsze jednak, że przywróciłaby w królestwie panowanie Rzymu i klasztory i że skończyłaby jako papistowska królowa wdowa. – Anna Seymour urywa, zerkając na mnie z mieszaniną przestachu i zachwyty na twarzy.

– Ale Henryk jest jej świekrem – oponuję. – Maria Howard była zamężna z jego synem. Jakże można było myśleć o ślubie między nimi?

– Nie musieliby sobie zaprzętać tym głowy! – wykrzykuje Anna Seymour. – Nie rozumiesz, że papież chętnie udzieliłby im dyspensy, skoro panna młoda miała przywrócić Anglię na łono Rzymu? Howardowie to diabły wcielone, zależy im tylko na tym, aby król ich słuchał.

– Istotnie – zgadzam się cichym głosem. – Jeśli to wszystko prawda... A czy była też mowa o tym, co by się stało ze mną, gdyby śliczna Maria Howard wskoczyła do łóżka królowi?

Anna Seymour wzrusza ramieniem. Jej gest mówi: a co twoim zdaniem przytrafia się niechcianym angielskim królom?

– Być może sądzili, że zdecydujesz się na rozwód, względnie zamierzali cię oskarżyć o herezję i zdradę.

– Miałam ponieść śmierć? – pytam.

Nawet dziś, nawet po trzech i pół roku panowania, z czego przez cały czas ocierałam się o niebezpieczeństwo, nawet teraz trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś, kto mnie zna, ktoś, kto codziennie widuje mnie na wieczerzy, ktoś, kto całuje moją dłoń i zapewnia o swej lojalności – że ktoś taki mógłby równocześnie z zimną krwią spiskować przeciwko mnie i życzyć mi śmierci.

– Książę Norfolku ochrzcił cię uczennicą Anny Askew – informuje mnie dworka. – Było to równoznaczne z oskarżeniem o herezję, za którą jedyną karą jest śmierć. To on współdziałał z Gardinerem, aby nastawić króla przeciwko tobie, to on nazywał cię żmiją. Tomasz Howard nie należy do ludzi, którzy przejmują się drobiazgami.

– Drobiazgami?!

– Śmierć niewiasty w oczach tego człowieka to drobnostka. Chyba wiesz, że osobiście wydał wyrok śmierci na obie swoje krewniaczki? Usadził je na tronie, po czym gdy sprawy wzięły w łeb, skazał je na szafot, aby oszczędzić samego siebie.

Niewieście życie nie znaczy nic dla nikogo na angielskim dworze. Przed każdą królową czeka już jej ładna następczyni, a za nią stoi duch jej poprzedniczki.

– Zatem co teraz będzie?

- Najjaśniejszy pan przyjmuje rady od nas, Seymourów - rzecze Anna, niezdolna powściągnąć dumy. - Tomasz i Edward nie odstępują go ani na krok. Spodziewam się, że powiedzą mi więcej, gdy przyjdą przed wieczerną, a wtedy ja będę mogła przekazać to tobie.

- Jestem pewna, że najjaśniejszy pan sam wszystko mi powie - rzucam, aby jej przypomnieć, że wciąż jestem królową Anglii, świeżo przywróconą do łask.

W przeciwnym razie Anna Seymour mogłaby o mnie myśleć tak, jak myślą Howardowie, jak myśli reszta dworzan: jako o niewieście, która tymczasowo zasiada na tronie, w każdej chwili zaś może być rozwiedziona lub nieżywa.

Odziewam się niezwykle starannie, odsytając jedną suknię i każąc wymienić rękawy. Początkowo skłaniam się ku purpurze, wszakże rychło pojmuję, że choć jest to kolor cesarzy, wypadam w nim blade, a tego akurat wieczora pragnę zdawać się młodzieńcza i świeża. Ostatecznie wkładam więc swoją ulubioną czerwoną suknię ze złotą spódnicą i czerwone rękawy, z których rozcięć również wyziera złoto. Naciągam nisko dekolt, aby w kanciastym wycięciu wyeksponować kremowe ciało, a głowę ozdabiam szkarłatnym kornetem, na którego tle moje kasztanowe włosy wydają się płonąć. Efekt wieńczą rubiny w moich uszach i złote łańcuchy u pasa oraz wokół nadgarstków. Wargi i policzki pociągam barwiczką.

- Cudnie wyglądasz - kwituje moja siostra, nieco zaskoczona, że zadaję sobie tyle trudu.

- Zamierzam pokazać Howardom, że Anglia ma już królową - odpowiadam z mocą, na co Anna wybuchła śmiechem.

- Chyba miałyśmy szczęście - mówi. - Dzięki Bogu, że jedni z drugimi nie mogli dojść do zgody i że Tomasz Seymour nigdy nie sprowadził Marii Howard do pałacu.

- To prawda - przyznaję, pomijając milczeniem fakt, że Tomasz był gotów się z nią ożenić. - To nas ocaliło.

- Niemniej Tomasz pozostaje wciąż kawalerem - zauważa moja siostra. - A Marii raczej nikt nie chce za żonę, skoro jej ojciec i brat tkwią w Tower, ona zaś zeznaje przeciwko nim, aby ratować własną skórę. Tymczasem Tomasz Seymour z każdym dniem nabiera większego znaczenia. Seymourowie wyrosli na pierwszy ród królestwa, Henryk za nimi przepada. Tomasz może przebierać w kandydatkach jak w ulęgałkach.

Potakuję skinieniem. Nie wątpię, że Tomasz poślubi Elżbietę, jeśli tylko

król wyrazi na to zgodę. Dzięki temu będzie mężem następczyni tronu, zaledwie trzeciej w kolejce po księciu Edwardzie i księżniczce Marii. Ja zaś będę musiała tańczyć na jego weselu; będę musiała traktować go jak zięcia.

- Jeszcze zobaczymy - rzucam lekkim tonem.

Kiwnięciem głowy daję znak moim dworcom, aby otworzyły przede mną drzwi, po czym wychodzę na ich czele z komnaty sypialnej do prywatnej, a następnie do gościnnej. I oto jest. Odwraca się, słysząc skrzypienie drzwi, co pokazuje, że na mnie czekał. Oto jest.

Na jego widok dzieje się rzecz dziwna. Nie widzę nikogo innego. Nie słyszę harmideru panującego w pomieszczeniu. Czuję się jak we śnie, mam wrażenie, że czas zamarł, że wszystkie moje zegary stanęły i że istniejemy tylko my dwoje. Gdy wbija we mnie wzrok, widzę tylko jego ciemne oczy i jego uśmiech, i jego spojrzenie, którego nie ma dla nikogo innego poza mną. Myślę sobie: Bogu dzięki, kocha mnie tak samo mocno jak ja jego, albowiem uśmiech tak ciepły, tak dedykowany może pochodzić wyłącznie od mężczyzny, który darzy szczerą miłością niewiastę postępującą w jego stronę z wyciągniętą przed siebie ręką.

- Dobry wieczór, sir Tomaszu - mówię.

Ujmuje mą dłoń, schyla się i całuje czubki moich palców. Czuję kolejno dotyk jego wąsa, powiew ciepłego powietrza z ust oraz delikatny uścisk, jakby mówiący: „Ukochana...”, po czym Tomasz prostuje się i uwalnia moją rękę.

- Wasza królewska mość - rzecze w odpowiedzi - jakże się cieszę, widząc cię w takim dobrym zdrowiu.

Wypowiadając zdawkowe słowa, błądzi spojrzeniem po mojej twarzy i z pewnością dostrzega barwiczkę na wargach i policzkach. Widzi cienie pod oczyma i domyśla się, że pograżyłam się w żałobie po Annie Askew. I zwyczajem kochanków bez wątpienia czuje, że przydarzyło mi się coś bolesnego, coś złego.

Podaje mi ramię i prowadzi szpalerem zgiętych w ukłonie dworzan do okna, gdzie gestem wolnej ręki wskazuje zachodzące słońce i wstającą Gwiazdę Wieczorną.

- Niezdrowaś? - pyta szeptem. - Coś ci dolega?

- Nie mogę teraz o tym mówić - odpowiadam. - Ale nic mi nie jest.

- On?

- Tak.

- Co zrobił? - Oblicze mu ciemnieje.

Szczypię go w rękaw, czując przez materiał jego łokieć.

- Nie tutaj. Nie teraz - powtarzam i podnoszę na niego uśmiechnięte

spojrzenie. – Czy to Gwiazda Polarna? Ta, wedle której nawigujesz?

– Grozi ci niebezpieczeństwo? – dopytuje zniżonym głosem.

– Nie teraz!

– Edward mi mówił, że znalazłaś się o włos od aresztowania...

Odchyłam głowę do tyłu i wybucham śmiechem.

– Tak, widziałam nawet nakaz...

Obdarza mnie spojrzeniem pełnym podziwu.

– Udało ci się wymówić od najgorszego?

Wspominam swoje wargi przyciśnięte do skrwawionego pejcza, wspominam błady saczek wewnątrz moich ust, zaczeplający perłami o zęby.

– Nie było to takie łatwe...

Tomasz wydaje cichy okrzyk.

– Na Boga...

– Sza! – uciszam go. – Tutaj nie możemy rozmawiać swobodnie. Wszyscy na nas patrzą. Mów lepiej, jaki los czeka Howardów.

– Taki, jakiego zażyczy sobie król – odpowiada i przestępuje w miejscu, jakby zamierzał wypaść z komnaty, ale wnet przypomniał sobie, że nie ma dokąd uciekać. – Oczywiście, że taki, jakiego zażyczy sobie król. Przymuszam, że każe ich ściąć. Wszystko wskazuje na to, że planowali zdradę.

– Niech Bóg ma ich w swojej opiece – mówię, mimo że obydwaj chcieli mnie posłać na szafot. – Niech Bóg ma ich w swojej opiece...

Nagle z hukiem otwierają się podwójne odrzwia, po czym pierwsza ukazuje się obandażowana noga Henryka, za nią zaś reszta jego postaci usadzonej na krzesła z kółkami. Król uśmiecha się szeroko.

– Niech Bóg ma w opiece nas wszystkich – szepcze Tomasz i natychmiast się cofa, aby mój mąż mógł się znaleźć tuż obok swojej własności, swojej ruchomości, swojej uśmiechniętej od ucha do ucha żony.

Ojciec i syn, Tomasz i Henryk Howardowie, oczekują w Tower na ogłoszenie zarzutów. Nikt ich nie odwiedza, nikt nie wstawia się za nimi. Znienacka ów starzec i jego dziedzic, którzy władali całym Norfolkem, którzy mieli w garści większość południowej Anglii, którzy dowodzili tysięczną armią i wiedli życie niczym tłuste pająki w sieci przyjaźni, pokrewieństw i zobowiązań, teraz nie mają jednej przychylniej duszy. Okazują się pozbawieni popleczników i sojuszników. Dowody zdrady Henryka Howarda są przytłaczające. Ten głupiec rozgłaszał wszem wobec, jakie to ma prawa do tronu. Oskarża go o to jego własna siostra, która na jego polecenie miała się złądaczyć w łóżu króla. Maria Howard zeznaje pod przysięgą, że na rozkaz



brata miała poślubić Tomasza Seymoura, dostać się do pałacu i zostać kochanicą króla. Ponoć odpowiedziała, że rychlej poderżnie sobie gardło, aniżeli straci honor. Obecnie przykłada ostrze do jego szyi.

Nawet nałożnica Tomasza Howarda, słynna Bess Holland, świadczy przeciwko niemu. Młodzieniec, zienawidzony przez tych, którzy powinni go kochać i chronić, codziennie ugina się pod nowymi zarzutami przedstawianymi przez jego przyjaciół i utrzymani. Nawet Thomas Wriothesley, syn i wnuk herolda, obwieszcza, że herb Henryka Howarda jest bezpodstawnie wzorowany na herbie bohatera ludowego sprzed pół tysiąclecia, Herewarda Banity.

- Czy to nie śmieszne? - pytam króla, gdy zasiadamy przed kominkiem w jego komnacie po wieczerzy. - Hereward Banita raczej nie miał herbu, który mógłby przekazać w spadku Howardom, nawet gdyby od niego się wywodzili, na co nie ma dowodów. Czy ta sprawa w ogóle się liczy?

Wokół dworzanie rozmawiają półgłosem i grają w karty. Słychać też stukot kostek. Niebawem Henryk przywoła swych zauszników, odprowadzając mnie i moje dworki.

Mój mąż ma okrutny wyraz twarzy, zmrużone oczka.

- Liczy się - odpowiada krótko. - Liczy się dla mnie.

- Ale... powoływanie się na rodowód sięgający Herewarda Banity to dla Howardów coś w rodzaju rodzinnej bajki...

- Niebezpiecznej bajki - prostuje król. - W Anglii nie ma drugiego poza mną człowieka o królewskim rodowodzie. - Milknij na chwilę. Zapewne staje mu przed oczyma poprzednia dynastia, Plantageneci. Posyłał kolejno członków tego rodu na szafot za jedyną przewinę, jaką było nazwisko ojców. - Tylko jedna angielska rodzina może szukać początków na dworze króla Artura: nasza. Każdy, kto twierdzi inaczej, musi się liczyć z surowymi konsekwencjami.

- Ale dlaczego? - pytam tak spokojnie, jak umiem. - Przecież chodzi o tarczę, którą pokazywał często i przedtem. Przecież chodzi o dumę jakiegoś młodzika. Kolegium heraldyczne nie zgłaszało zastrzeżeń przed laty, ty także nie oponowałaś...

Henryk unosi jeden pulchny palec, co natychmiast mnie ucisza.

- Pamiętasz, co robi mistrz psych walk? - pyta cicho.

Potakuję skinieniem.

- Co? - naciska.

- Szczyje jedne psy przeciwko drugim.

- Właśnie. A gdy jakieś psisko stanie się nadmiernie silne i butne, co robi?

Gdy nie odpowiadam, strzela niecierpliwie palcami.

- Pozwala reszcie je zagryźć - mówię niechętnie.

- Otóż to.

Milczę przez chwilę.

- To oznacza, że nigdy nie doczekasz się kręgu możnych wokół siebie - zauważam. - Nie będziesz miał roztropnych doradców ani nikogo, kogo mógłbyś szanować. Nikt bowiem nie pozostaje na twojej służbie dostatecznie długo, aby urosnąć w siłę. Nikogo nie czeka nagroda za lojalność. Nie masz wypróbowanych przyjaciół.

- Prawda - zgadza się ze mną. - A wiesz, dlaczego tak jest? Dlatego, że nie zależy mi na takich osobach. Otaczałem się nimi za młodu. Miałem przyjaciół, których szczerze kochałem, i genialnych myślicieli, którzy potrafili znaleźć rozwiązanie problemu raz-dwa. Gdybyś widziała kardynała Wolseya za jego najlepszych lat! Gdybyś widziała Morusa! Cromwell zwykł pracować nawet nocami, nic nie było w stanie go powstrzymać. Nigdy w niczym nie zawiódł. Mogłem mu się pożalić na kogoś wieczorem, a rano przed śniadaniem, w kaplicy, miałem w ręku nakaz aresztowania.

Urywa i biegnie oczkami ukrytymi w fałdach różowego ciała do drzwi, jak gdyby mógł przez nie w każdej chwili przejść Tomasz Morus z mądrym obliczem rozjaśnionym uśmiechem, z biretem pod pachą, z miłością do króla i jego rodziny silniejszą od wszystkiego innego z wyjątkiem może miłości do Boga.

- Dziś nie potrzebuję nikogo takiego - rzuca Henryk zimno. - Wystarczają mi miernoty. Albowiem miernota jest wierna tylko sobie. Świat jest pełen ludzi chętnych pracować wyłącznie na siebie, zaspokajać wyłącznie własne ambicje. Nawet Morus... - urywa ni to z chrząknięciem, ni to ze szlochem, jakby użalał się sam nad sobą. - Nawet on przedłożył wierność Kościołowi ponad miłość do mnie. Ba, przedłożył wiarę ponad życie. Rozumiesz, do czego zmierzam? Nie ma ludzi, którzy służyliby wiernie aż do śmierci. Każdy, kto twierdzi inaczej, jest zwykłym oszustem. A ja nie dam się dłużej oszukiwać. Wiem, że uśmiechający się przyjaciel to potencjalny wróg. Wiem, że każdy doradca tak naprawdę dba tylko o swoje sprawy. Wszyscy dybią na mój tron, na moją fortunę, na moje dziedzictwo.

Nie znajduję argumentów w obliczu tej zapiekłej goryczy.

- Jednakże darzysz szczerym uczuciem swoje dzieci...

Zerka w stronę księżniczki Marii, którą w rogu zabawia rozmową Anthony Denny. Odszukuje wzrokiem księżniczkę Elżbietę, która właśnie podnosi nieśmiałe spojrzenie na Tomasza Seymoura.

- Nieszczęśliwie - odpowiada głosem zimnym niczym szkło. - Albowiem

któż mnie kochał w dzieciństwie? Nikt.

Młody Henryk Howard, dobry przyjaciel nieżyjącego syna króla z nieprawego łoża, wysłał najjaśniejszemu panu ze swojej celi w Tower list utrzymany w błagalnym tonie, w którym przypomina, że byli z Fitzroyem nierozłączni, że przepędzali razem każdy dzień, że jeździli razem konno, pływali, bawili się i pisali poezje, że jeden nie mógł żyć bez drugiego. Zapewnia, że poprzysięgli sobie dożgonną wierność, w związku z czym nigdy, przenigdy nie zawiązałyby spisku przeciwko ojcu najlepszemu przyjacielu, który był mu niczym rodziciel.

Mój mąż ciska mi ów list.

- Czytałem zeznania - mówi. - Odsiałem ziarno od plew. Przyjrzałem się dowodom, w tym jego herbowi, i nasłuchałem się, co o mnie mówił.

Jeśli pozwolę mu ciągnąć tę wyliczankę, podda się gniewowi. Wyceluje we mnie palec i zacznie przemawiać, jakbym to ja była winnym młodzikiem. Henryk czerpie wyjątkową przyjemność ze złości. Rozkręca się niczym aktor wyłącznie dla dreszczyku, który towarzyszy przedstawieniu. Uwielbia, gdy serce szybciej mu bije z wściekłości; uwielbia na kogoś naskoczyć, nawet jeśli jest to samotna niewiasta o bladym licu, która stara się go uspokoić.

- Ależ jesteś bardzo sumienny - usiłuję się odwołać do uczonego, krytycznego umysłu męża, zanim wpadnie w szal. - Przyglądasz się dowodom, pilnie je studiujesz. Nie wierzysz we wszystko, co ci mówią...

- To ty powinnaś dawać większą wiarę temu, co słyszysz! - przerywa mi w nagłej irytacji. - Albowiem gdyby ten pies, za którym się tak słodko wstawiasz, postawił na swoim, to ty siedziałabyś teraz w Tower, nie on, twoje miejsce zaś zajmowałaby jego siostra. Młody Howard jest bardziej twoim wrogiem, Katarzyno, niż moim. Chciał mi odebrać tylko koronę, podczas gdy ciebie chciał pozbawić życia!

- Twoi nieprzyjaciele są moimi nieprzyjaciółmi - szepczę. - To zrozumiałe...

- Pragnął cię uśmiercić na podstawie jakiegoś wymyślnego oskarżenia o herezję czy zdradę - peroruje dalej król, pomijając milczeniem fakt, że sam złożył podpis na nakazie aresztowania. - I pragnął zastąpić cię swoją siostrą. Mielibyśmy jeszcze jedną Howardównę na tronie. Miałbym w łożu kolejną ich ładacnicę! Jak by ci się to podobało?!

Kręcę tylko głową. Na takie dictum nie znajduję odpowiedzi. Kto bowiem podpisałby akt oskarżenia? Kto posłałby mnie na szafot? Kto poślubiłby Marię Howard?

- Ale mężu...

- Taki był jego cel. Taki jest cel ich wszystkich. Tego wszyscy chcą bez względu na to, ile udają. Wszystkim zależy wyłącznie na regencji po mojej śmierci i władzy nad nowym królem. Przed takimi ludźmi muszę chronić mojego Edwarda. Przed takimi ludźmi przyjdzie ci go bronić.

- Oczywiście, przecież wiesz, że...

Nie dopuszcza mnie do głosu i użala się nagle:

- Niestety Henryk Howard... - Głos mu drży, w oczach migoczą łzy. - Wiesz, że kochałem go jak własnego syna? Wciąż mam go w pamięci jako małego chłopca, który bawi się z Fitzroyem. Byli niczym bracia.

- Nie mógłbyś go ułaskawić? - pytam cicho. - Z jego listu przebija żałość, z pewnością bardzo ubolewa...

Król kiwa głową.

- Zastanowię się nad tym - rzecze wspaniałomyślnie. - Jeśli tylko będę go mógł ułaskawić, zrobię to. Wykażę się sprawiedliwością, ale też miłosierdziem. Kochałem go i kochał go też Fitzroy, mój ukochany syn. Jeśli będę mógł przebaczyć młodemu Howardowi przez wzgląd na jego przyjaciela z lat dziecińczych, uczynię to.

Dworzanie się rozdzielają. Król udaje się do pałacu Whitehall, aby nadzorować wykonanie wyroku śmierci na Tomaszu i Henryku Howardach, ojcu i synu, oraz przypilnować upadku ich zdradzieckiego rodu. Ja z księżniczkami kieruję się do Greenwich. Obaj bracia Seymourowie pozostaną z królem celem rozwikłania spisku i oskarżenia winnych. Pod czujnym podejrzliwym okiem Henryka dochodzi do odczytania zeznań służących, dzierżawców i wrogów Howardów, po czym - jak sądzę - także do ich przepisania od nowa, zgodnie z wytycznymi. Mściwa nienawiść, która najpierw zwróciła się przeciw reformistom, w tym mnie i moim dworcom, obecnie na podobieństwo armatniej lufy zostaje skierowana na Howardów, przy czym działo w każdej chwili jest gotowe wystrzelić. Królewskie sympatie, jego miłosierdzie i poczucie sprawiedliwości idą w odstawkę, zalane falą spreparowanych dowodów. Król chce czyjejs śmierci, a dworzanie w tym pragnieniu go wspomagają.

Ród Seymourów znajduje się w ascendencji. Jego członkowie są krewnymi dynastii panującej, ich wyznanie jest wyznaniem króla, ich zdolności wojskowe stanowią ratunek dla Anglii, ich towarzystwo zaś jest mile widziane przez Henryka. Wszystkie inne rody nurzają się nisko w pyle.

Dworzanie zatrzymują się u stopni pałacu, aby pożegnać się z żonami

i wybrankami – wielmożowie całują małżonki, a ci, którzy dopiero uderzają w konkury, starają się wymienić choćby spojrzenie, słowo, uścisk dłoni. Wszyscy kolejno skłaniają się przede mną, po czym na koniec zbliża się do mnie Tomasz Seymour. Stoimy tuż przy sobie, ja z ręką na końskiej szyi, podczas gdy giermek stara się utrzymać wierzchowca w miejscu.

– Najważniejsze, że jesteś bezpieczna – rzecze mi na ucho. – Mija następny rok, a ty jesteś bezpieczna.

– Nadal zamierzasz się ożenić z Elżbietą? – pytam.

– Król nie wyraził swego zdania. Powiedział ci coś może?

– Pytał, co sądzę o tym pomysle. Odparłam, co mogłam.

Tomasz krzywi się, po czym gestem odprawia giermka i schylony podaje mi złączone dłonie, aby pomóc mi wsiąść na siodło. Nawet dotyk przez skórę trzewika przypomina mi, jak bardzo go pragnę.

– O Boże, Tomaszu...

Podrzuca mnie w górę, ja przekładam nogę przez koński grzbiet i skinieniem każę pannie dworskiej ułożyć mi równo spódnicę. Milczymy oboje, gdy młódka krząta się koło mnie, po czym znowu spoglądam tylko na ciemną głowę Tomasza, który gładzi końską szyję, wiedząc, że nie może mnie więcej tknąć.

– Spędzisz święta w pałacu? – pytam.

W odpowiedzi potrząsa głową.

– Król życzy sobie, abym zerknął na zamek w Dover.

– Kiedy cię znów zobaczę? – Nawet ja słyszę w swoim głosie nieutulony żal.

Ponownie potrząsa głową, jakby tego nie wiedział.

– Najważniejsze, że jesteś bezpieczna – powtarza, jak gdyby nic innego się nie liczyło. – Kto wie, co przyniesie najbliższy rok...

Trudno mi uwierzyć, aby miało mnie spotkać coś dobrego.

– Wesołych świąt, Tomaszu – mówię cicho. – Niech Bóg cię chroni.

Tomasz podnosi głowę, mrużąc lekko oczy przed rażącym błękitem nieba. Mam przed sobą mężczyznę, którego darzę szczerym uczuciem, a który jednak nie może się do mnie nawet zbliżyć. Cofa się o krok i przykładą dłoń do końskiego łba, gładząc delikatnie jego wrażliwe chrapy.

– Nie ponies – przestrzega wierzchowca, po czym ściszej głoś, dodaje: – Wiesz królową i moją ukochaną.

# PAŁAC W GREENWICH ZIMA 1546 ROKU



Wspominam Katarzynę Aragońską, która obchodziła święta Bożego Narodzenia w Greenwich przy podzielonym dworze, podczas gdy król w Londynie uderzał w konkury do Anny Boleyn. Miała wtedy przykazane zachowywać się, jakby nic się nie stało. Jednakże tym razem to nie amory zatrzymują Henryka w stolicy, lecz chęć mordy. Dochodzą mnie słuchy, że do pałacu Whitehall wstęp mają wyłącznie członkowie rady królewskiej, którzy wraz z królem raz po raz przeglądają zebrany materiał dowodowy przeciwko obydwóm Howardom.

Ponoć Henryk oddaje się studiom. Ślęczy nad nieostrożnymi listami Henryka Howarda, jakby to były święte pisma. Komentuje na marginesie każde przyznanie się do winy, podważa każde słowo niewinności. Stał się niezwykle sumienny, pedantyczny zgoła. Mściwość przydaje mu energii, dzięki czemu skrzętnie śledzi wszystkie przesłuchania, jakby się zaparł, że ten młodzik, ten urodziwy nieroztropny młodzik, musi umrzeć za nierozważnie rzucone przez się słowa.

Którejś nocy na początku stycznia Henryk Howard wyłazi przez okno swojej celi, usiłując umknąć przed łaską królewską. Łapią go na moment przed tym, zanim ześlizgnie się rynną i wpadnie do lodowatej fosy. Typowy

Howard – śmiały i nie myślący o konsekwencjach. Jego czyn powinien wszystkim przypomnieć, że mają do czynienia z impulsywnym młodzikiem, głupcem zgoła, za to niewinnym. Tymczasem zamiast się obśmiać i puścić go wolno, strażnicy zakuwają go w kajdany.

Gorsze, znacznie gorsze od tego są zeznania jego ojca. W rozpaczliwej próbie uratowania pokrytej zmarszczkami starej skóry ksiązę Norfolkku pisze do rady królewskiej list, w którym przyznaje się do wszystkich zarzucanych mu czynów. Twierdzi, że z pełną świadomością tego, co czyni, posługiwał się swoim herbem pozostającym w rodzinie Howardów od pokoleń. Twierdzi, że wypisywał do papieża tajne wiadomości. Zarzeka się, że ma na sumieniu wszystko, o co go podejrzewają, jest gotów powiedzieć nawet więcej, byle się ocalić. Jak chyba jeszcze nikt przed nim, bierze na siebie całą winę i oferuje swoje ziemie w rekompensacie za przewiny, jeśli tylko miałyby zachować życie.

I – jak gdyby jego syn był tylko przedmiotem, który można przehandlować – dokłada do tytułu, honoru i majątku również Henryka Howarda. Rzuca swego pierworodnego i dziedzica na pożarcie, powstrzymując się chyba jedynie przed wysłaniem własnych sług, aby zaciągnęli młodzika na szafot. Oświadcza pod przysięgą, że dwudziestodwujęcioletni Henryk jest zdrajcą Korony oraz własnego nazwiska i rodu. Ksiązę Norfolkku posyła rodzone dziecko na pewną śmierć za cenę swojej wolności. Jako że takie zeznanie oznacza praktycznie wyrok śmierci dla jego syna, król jeszcze tego samego wieczoru podpisuje akt oskarżenia, utrzymując, że sam ma czyste ręce, że wszystkiemu jest winny stary Tomasz Howard.

Wszyscy wiedzą, czym skończy się proces. Rodzony ojciec zeznawał przeciwko Henrykowi Howardowi, obarczając go winą, tak więc oskarżony raczej nie znajdzie słów na własną obronę.

Tymczasem młodzik ma wiele do powiedzenia. Zająwszy w sądzie miejsce za barierką, zaczyna się bronić. Peroruje przez cały dzień, aż trzeba przynieść świece, w których blasku odziany bogato, przystojny młody hrabia bryluje, kłując w oczy parów, w tym nierzadko sąsiadów i przyjaciół. Jest tak przekonujący, zabawny i natarczywy, że o mały włos go uwalniają, wszelako na salę sądową ściąga William Paget z sekretną wiadomością od króla. Gdy sędziowie wychodzą, aby ogłosić werdykt, wszyscy są jednogłośni. Wyrok brzmi: „winny”. Któż bowiem sprzeciwiłby się woli króla?

W połowie mroźnego stycznia do Greenwich zjeżdża królewski posłaniec z nowiną od panów rady mówiącą, że Henryk Howard został stracony w Tower, a jego ojciec oczekuje w celi na wyrok w swojej sprawie. Wysłuchujemy tych wieści w milczeniu. Postanowienie króla, że nie będzie więcej prześladowań reformistów, nie obejmuje, jak widać, innych podejrzanych. Wszyscy są zdania, że z młodego Howarda był niemądry chwalipełta, poeta, który nazbyt swobodnie poczynił sobie ze słowami – tymczasem właśnie za to zginął.

Podchodzi do mnie księżniczka Elżbieta, która wsuwa chłodną dłoń w moją rękę.

– Dochodzą mnie straszne wieści o kuzynie Howardzie – mówi, przyglądając mi się badawczo ciemnymi oczyma. – Ponoć zamierzał strącić cię z tronu i usadzić na twoim miejscu inną niewiastę. Ponoć chciał uczynić królową własną siostrę.

– Nieroztropnie z jego strony było snuć takie nadzieje – odpowiadam. – Twój ojciec i ja zostaliśmy sobie poślubieni przed Bogiem. Nikt nie może próbować nas rozdzielić.

Elżbieta wyraźnie się waha. Jest już dość duża, aby wiedzieć, że właśnie to przytrafiło się za sprawą jej matki Anny Boleyn królowej Katarzynie Aragońskiej i że jej krewniacy planowali podobny zamach na szóstą z żon Henryka.

– Uważasz więc, że słusznie dał głowę? – pyta mnie.

Nawet w obecności swojej pasierbicy, z Lady Jane Grey stojącą za jej plecami, nie zaryzykuję wyrażenia opinii, która by się różniła od opinii króla. Ucałowałam narzędzie kary. Straciłam głos. Stałam się posłuszną żoną.

– Słuszne jest wszystko, co postanowi najjaśniejszy pan – odpowiadam.

Elżbieta spogląda na mnie roziskrzonym, wnikliwym wzrokiem.

– Zatem kiedy jest się żoną, nie można myśleć po swojemu?

– Można myśleć po swojemu – dobieram ostrożnie słowa – jednakże nie należy się obnosić z własnymi sądami. Roztropna białogłowa przyznaje rację mężowi. Mężczyzna bowiem ma władzę nad niewiastą. Trzeba nam znaleźć sposób, by myśleć i żyć po swojemu, nie rozgłaszając tego wszem wobec.

– W takim razie wolę nie wychodzić za mąż – rzecze z cieniem uśmiechu na twarzy. – Skoro bycie żoną oznacza wyparcie się własnych przekonań, wolę nie mieć męża.

Klepię ją po policzku i usiłuję się uśmiechnąć do tej trzynastolatki, która wyrzeka się małżeństwa.

– Być może masz rację na tym świecie – mówię. – Wszelako świat się zmienia. Być może zanim dorośniesz, ludzie będą gotowi dać posłuch zdaniu



niewiast. Być może nie będą więcej musiały przyrzekać posłuszeństwa w przysiędze małżeńskiej. Być może pewnego dnia będą mogły swobodnie kochać i myśleć.

# PAŁAC HAMPTON COURT ZIMA 1547 ROKU



Posłaniec z pałacu Whitehall nadciąga na pokładzie barki, poruszającej się szybko w nocnych ciemnościach dzięki wysiłonej pracy wioślarzy zanurzających i wynurzających rudle w walce z przeciwnym prądem. Ponieważ aura panuje wilgotna, gwardziści odbierają od niego przemoczoną pelerynę i dopiero wtedy otwierają drzwi mojej komnaty gościnnej. Jedna z dwerek, obudzona przez łomot, przybiega do mnie z pytaniem, czy wysłucham wiadomości od panów rady.

Natychmiast ogarnia mnie strach, gdyż już dawno wszyscyśmy się nauczyli obawiać niespodziewanych gości i przynoszonych przez nich nowin. Moja pierwsza myśl jest taka: kto znalazł się w niebezpieczeństwie? Przez moment boję się nawet, że przychodzą po mnie... Jednakże narzucam na siebie grube zimowe okrycie i w złotych pantofelkach nałożonych na bosa stopy wychodzę do komnaty prywatnej, gdzie ociekając wodą i przestępując z nogi na nogę, czeka na mnie człowiek w liberii Seymourów. Moja siostra Anna kroczy tuż za mną, tu i ówdzie widać pojawiające się zaciekawione dworki, których pobladłe oblicza wydobywa z mroku blask pochodni. Któraś czyni znak krzyża. Za moimi plecami Anna bierze głęboki oddech, szykując się na złe wieści.

Posłaniec klęka przede mną i ściąga czapkę z głowy.

– Najjaśniejsza pani... – odzywa się.

Domyślam się, co zaraz od niego usłyszę, za sprawą wstrząśniętego wyrazu jego twarzy, za sprawą nabrzmiątych od powietrza płuc, jakby szykował się do wyrecytowania wykutej na pamięć formułki, za sprawą późnej godziny i gęstości mroku. Ponad ramieniem mężczyzny rzucam spojrzenie za drzwi, aby zobaczyć, czy gwardziści stawili się w wielkiej liczbie, aby mnie aresztować. Zastanawiam się, czy na przystani kołysze się nieoświetlona barka, by powieźć mnie do Tower, i próbuję zebrać w sobie odwagę, aby stawić czoło tej chwili. Albowiem być może dziś, tej nocy, w końcu po mnie przyszli.

Posłaniec wstaje na nogi.

– Najjaśniejsza pani, z wielką przykrością cię zawiadamiam, że jego królewska moc nie żyje.

\*

Zatem jestem wolna, wolna i żywa. Wchodząc na drogę małżeństwa z Henrykiem przed czterema już laty, nie spodziewałam się nadejścia tego dnia, gdy odzyskam wolność i znów będę wdową. Widząc w ręku medyka nakaz mego aresztowania, nie sądziłam, że przetrwam dłużej niż tydzień. A jednak przeżyłam. Przeżyłam króla, który odprawił dwie żony, jedną porzucił na śmierć w połogu, a dwie inne zamordował. Pozostałam przy życiu, zdradzając moją miłość, moją wiarę i moją przyjaciółkę; wyrzekając się woli, dumy i czytania. Czuję się jak ocaleniec z obleganego długo miasta, który wyszedłszy z domu, widzi wyłomy w murach, wyrwaną z zawiasów bramę, zniszczony rynek, zburzony kościół, a mimo to czuje się w środku żyw i bezpieczny jak nigdy, chociaż inni poginęli, a zagrożenie jeszcze nie przeminęło. Uratowałam się, aczkolwiek za cenę destrukcji wszystkiego, co kochałam.

Zajmuję miejsce w ambraturze okiennej mojej komnaty sypialnej i czekam na nadejście świtu. Choć w kominku za mną ogień dogasa, nie wołam, aby dołożono drewna, nie żądam ciepłej wody ani nie zaczynam się ubierać na nadchodzący dzień. Siedzę i rozmyślam o tych, co przebywają w pałacu Whitehall, gdzie niczym psy – jak ich nazywał – rozdzierają królestwo na sztuki, każdy ciągnąc w swoją stronę. Mają testament – a w każdym razie mają to, co nazywają testamentem Henryka, czy też

przynajmniej dopiero go klecą. Dokument ten faworyzuje tych, którzy pierwsi znaleźli się przy zwłokach, jakby w grę wchodził raczej wynik wyścigu, a nie ostatnia wola umierającego człowieka.

Co jasne, testament wyznacza na następcę tronu księcia Edwarda, jednakże mnie nie czyni regentką. To rada królewska będzie powodować księciem Edwardem, dopóki nie osiągnie osiemnastego roku życia. Edward Seymour okazał się za szybki jak dla mnie, jak dla nas wszystkich. Ogłosił się wielkim szambelanem Anglii i stanął na czele piętnastoosobowej rady królewskiej. W jej składzie nie ma biskupa Gardinera – ani mnie.

Tomasz Seymour, który spóźnił się na dzielenie łupów, będzie musiał wyszarpać od brata tyle, ile zdoła. Będzie musiał się śpieszyć. Dworzanie zachowują się jak stado ogarów, które opadły powalonego byka jelenia, by rozedrzeć go na krwawe strzępy. Słysząc o ponad osiemdziesięciu roszczeniach, wysuniętych na podstawie rzekomych obietnic króla, nie wspominając o podziale królewskich majątków. Henryk pozostawił sowity posag obu swoim córkom oraz niemłą fortunę dla mnie, jednakże wykluczył mnie z grona rady królewskiej, która będzie powodować księciem Edwardem, a tym samym uciszył mnie na dobre ostatnim aktem swojej woli.

Mimo że był moim mężem, zostanie pochowany u boku Joanny Seymour w kaplicy Świętego Jerzego w Windsorze. Jeszcze za życia opłacił msze za swoją duszę i ustanowił kaplicę z dwoma księżmi, mającymi go uchronić przed czyścem, w który nie wierzył. Kiedy to słyszę, muszę z całych sił uchwycić się podłokietników, aby nie wybuchnąć gromkim śmiechem.

Słyszę od innych, że wypowiadał się przed śmiercią. Pod sam koniec posłał po arcybiskupa Cranmera, który udzielił mu ostatniego namaszczenia, dzięki czemu Henryk umarł jako lojalny syn Kościoła katolickiego. Ponoć oświadczył Cranmerowi, że prawie nie ma się z czego spowiadać, gdyż wszystko, co robił, robił z dobrych pobudek. Uśmiecham się na myśl, że umierał bez strachu przed ciemnością, przekonany jak zwykle o swej wyższości, natarty krzyżmem. Jaki jednak był sens jego życia, jeśli nie ocalić Anglię przed tymi rytuałami i przesądami? Co w gruncie rzeczy sobie myślał?

Straciłam męża. Uwolniłam się od strażnika. Będę opłakiwać męzczyznę, który kochał mnie na swój sposób, i radować się uwolnieniem od człowieka, który chętnie by mnie widział martwą. Wchodząc w ten związek małżeński, miałam pewność, że zakończy się on śmiercią: jego lub moją. Były chwile, gdy myślałam, że nie zdołam go przeżyć, że z pewnością mnie zabije. Nierzadko sądziłam, że zechce mnie uciszyć na zawsze, pragnąc mieć swoim zwyczajem ostatnie słowo. A jednak przetrwałam jego groźby, jego zniewagi. Małżeństwo z nim kosztowało mnie moje szczęście, moją miłość, moją

dumę. Najwyższą ceną była zdrada Anny Askew i zgoda na jej śmierć. Nawet to jednak zdzierzę, nawet to przebaczę.

Opublikuję swój przekład Nowego Testamentu. Ukończę książkę o nowej religii. Będę rozgłaszać swoje opinie pod własnym nazwiskiem, nie czując więcej strachu. Nigdy więcej nie opublikuję niczego bez własnego podpisu na frontyście. Nie wyślę swoich słów w świat bez przyznania się do ich autorstwa. Powstanę i przemówię własnym głosem, nie pozwalając, aby jakkolwiek mężczyzna kiedykolwiek mnie uciszył.

Wychowam pasierbów w nowej wierze i będę się modlić do Boga po angielsku. Przyjmę pocałunek złożony przez Tomasza Seymoura na mojej dłoni bez obawy, że ktoś dojrzy zadowolenie w moich oczach i pożądanie na jego twarzy. Ucałuję jego usta, zlegnę w jego łóżu. Będę wieść życie namiętnej inteligentnej niewiasty, która niesie mądrość i pasję wszystkim i wszystkiemu.

Wierzę bowiem, że być prawdziwie wolną oznacza być zarówno namiętą, jak i inteligentną – a ja nareszcie mogę się uważać za wolną.

# OD AUTORKI



Zadziwia mnie, że „Kateryn the Quene KP” – jak sama się podpisywała – jest tak słabo znana. Jako ostatnia królowa małżonka Henryka VIII przeżyła tego słynnego żonobójcę, który pochował jej cztery poprzedniczki. To czyni z niej chyba najwytrwalszą kobietę w historii. Katarzyna Parr zmierzyła się skutecznie z wieloma spiskami zawiązanymi przez zwolenników papizmu w łonie Kościoła Anglii, chętnych przywrócić w kraju rzymski katolicyzm, i wychowała dwoje młodszych dzieci króla w wierze protestanckiej, która później stała się sednem ich panowania. Zarazem przyjaźniła się z najstarszą córką króla, katoliczką Marią, i czyniła starania o przywrócenie jej królewskiego statusu. Jako regentka – najważniejsza osoba w kraju – stała na straży pokoju pod nieobecność monarchy.

Pod wieloma względami nie różniła się od pozostałych żon Henryka VIII: została regentką jak infantka hiszpańska Katarzyna Aragońska, urodziła się i wychowała na angielskiej ziemi jak Katarzyna Howard, była wykształconą i wysoce inteligentną reformistką religijną jak Anna Boleyn, a także – wywodząc się z Północy – outsiderką jak Anna Kliwijska. Wychowała syna Joanny Seymour i darzyła miłością jej brata; być może, gdyby Joanna nie umarła, zostałyby szwagierkami.

Jednakże najbardziej interesująca w Katarzynie Parr jest jej uczość. Nie wiadomo, jaką rozległą miała wiedzę, pojawiając się na dworze Henryka VIII

jako młoda wdowa po baronie z Północy, Johnie Neville'u. Istnieje możliwość, że studiowała język łaciński i francuski pod okiem preceptora swojego brata, lecz zapewne nauka skończyła się wraz z opuszczeniem domu przez tego ostatniego. Znalazłszy się na dworze królewskim, gdzie dyskutowano gorączkowo o Biblii: czy ma być po łacinie czy w języku ojczystym, o hostii: czy to tylko opłatek czy ciało Chrystusa, o Kościele: czy powinien być papistowski czy reformowany – niewątpliwie podjęta dalsze studia.

Jej znajomości łaciny dowodzi korespondencja z pasierbem, małym księciem Walii. Jej wiedzę teologiczną poświadczają jej publikacje. Katarzyna Parr była pierwszą kobietą, która opublikowała swoje prace pod własnym nazwiskiem i po angielsku, co stanowiło prawdziwy przełom. Wcześniej tylko nieliczne przedstawicielki płci pięknej zapisywały swoje przemyślenia, a czyniły to raczej w języku średnioangielskim znanym z Chaucera aniżeli w łatwiej zrozumiałym nowoangielskim Szekspira, używanym już przez Katarzynę Parr. Nawet zaś te kobiety, które coś publikowały – najczęściej przekłady pism mężczyzn – robiły to anonimowo. Żadna inna kobieta przed Katarzyną Parr nie poważyła się opublikować opatrzonej własnym nazwiskiem oryginalnej pracy, tak jak ona uczyniła w wypadku swego tłumaczenia modlitw i psalmów. Jej ostatnie dzieło, zatytułowane „Lamentacje grzesznika”, było nie przekładem, lecz oryginalną pracą.

Wszystkie trzy książki Katarzyny Parr przetrwały do naszych czasów – można je obecnie przeczytać w nowym wydaniu opracowanym przez Janel Mueller, które wyszczególniam w poniższej bibliografii. Oryginały również się zachowały i można je oglądać na wystawie w zamku Sudeley w hrabstwie Gloucestershire. To wspaniałe, że pomimo upływu pięciu stuleci wciąż przemawia do nas kobieta żyjąca w XVI wieku.

Co rozumiałe, każdy historyk żałuje, że Katarzyna Parr nie napisała kroniki swoich czasów zamiast wyboru modlitw (pomyśleć tylko, co by miała do powiedzenia o ostatnich dniach na dworze Henryka VIII!). Jednakże podobnie jak w wypadku innych uduchowionych kobiet, i Katarzyna Parr bardziej dbała o swoją relację z Bogiem aniżeli o życie doczesne.

A to było pełne niebezpieczeństw i przygód. Nie wiadomo, na ile blisko pozostawała z męczennicą Anną Askew. Zupełnie jakby Anna oddała życie za to, aby ich związek utrzymał się w tajemnicy. Wiadomo, że Anna Askew prawila kazania na dworze królowej Katarzyny i że być może poznały się, będąc jeszcze dziewczynkami, w hrabstwie Lincolnshire. Wiadomo, że królowa Katarzyna doprowadziła do uwolnienia Anny, gdy ta została aresztowana po raz pierwszy, i że nie zdołała przywrócić jej wolności przy

drugim aresztowaniu. Wiadomo, że świadkiem spalenia Anny na stosie był niejaki Nicholas Throckmorton z dworu królowej Katarzyny i że ktoś zapłacił za woreczek prochu, dzięki któremu skrócono cierpienia skazanej. Wiele przemawia za tym, że Annę Askew torturowano, aby zmusić ją do wskazania królowej Katarzynie jako swej współwyznawczynie, heretyczki i zdrajczynie, co skończyłoby się aresztowaniem i śmiercią tej ostatniej.

Spisek przeciwko królowej Katarzynie, jej przytomną reakcję, akt upokorzenia przed całym dworem, jak również niektóre dialogi zaczerpnęłam ze współczesnego tamtym wydarzeniom dzieła Foxe'a zatytułowanego „Book of Martyrs” (Księga męczenników). Oczywiście prywatne upokorzenie to w całości mój wymysł – przekazy o tym, co działo się za zamkniętymi drzwiami komnat sypialnych, należą do rzadkości. Zależało mi na stworzeniu sceny, w której przyzwolenie na kary cielesne dla żon i symbolizm saczka Henryka VIII łączą się celem ukazania przewagi mężczyzn nad słabą płcią – przewagi wynikającej z prawa, z siły, z seksualności i z legendy o własnej władzy – zarówno przed wiekami, jak i obecnie.

Nie wiadomo również, w jak wielkiej zażyłości pozostawała królowa Katarzyna z Tomaszem Seymourem. Wygląda jednak na to, że byli po słowie – pisali do siebie listy miłosne i planowali wspólne spędzenie nocy zaledwie parę tygodni po śmierci Henryka VIII, a koniec końców pobrali się już cztery miesiące później pomimo wcześniejszych obietnic wykazania się cierpliwością. Nie da się wykluczyć, że ich małżeństwo było szczęśliwe i przepełnione miłością. Pozostaje faktem, że księżniczka Elżbieta opuściła dom swojej macochy po nacechowanej seksualnie zabawie z ojczymem, Tomaszem Seymourem. Doszło do nieprzyjemnych kłótni z jego rodziną o wiano królowej wdowy oraz jej klejnoty koronne; z Tomasza był zazdrosny i zaborczy mąż. Małżeństwem byli przez niecałe półtora roku, zanim Katarzyna zmarła w połogu. Zachowały się zapiski sugerujące, że Katarzyna zarzucała mu obojętność, jednakże Tomasz towarzyszył jej w momencie śmierci, która zostawiła go oszołomionym. Owdowiawszy, pozbył się domu, a dziecko oddał na wychowanie bratu, Edwardowi Seymourowi, i jego żonie.

Tworzenie historii życia kobiety średniowiecza jak zawsze było dla mnie poruszającym przeżyciem, mającym wiele wspólnego z terażniejszością. Mimo że Katarzyna żyła tak dawno temu, muszę ją podziwiać za odwagę, którą przejawiała, i za sposób, w jaki sobie radziła z własnym strachem. Jej staranne wykształcenie, które odebrała głównie jako samouk, z pewnością robi wrażenie na każdej kobiecie, która kiedykolwiek starała się przeniknąć zarezerwowane dla mężczyzn kręgi: w przemyśle, polityce, Kościele, nauce. Wszyscy ludzie pióra i wyczuleni na piękno języka czytelnicy mają dla niej



szacunek, wyobrażając ją sobie, jak ślęczy nad łacińskimi i greckimi manuskryptami, jak szuka odpowiedniego słowa, by użyć go w angielskim przekładzie. I nikt, kto darzy kobiety sympatią, nie może nie żywić do niej cieplejszych uczuć: oto bowiem kobieta, która kochając jednego mężczyznę, jest zmuszona wyjść za drugiego, i to tyrana, jednakże – hurra! – przeżywa go.

Powieść tę, traktującą o uczonej kobiecie, dedykuję dwóm wielkim uczonym, od których pobierałam nauki. Są to Maurice Hutt z University of Sussex i Geoffrey Carnall z University of Edinburgh. W moich oczach są oni uosobieniem licznych na przestrzeni dziejów nauczycieli, którzy mogli się pochwalić rozległą wiedzą oraz pragnieniem dzielenia się nią z innymi; którzy zajmowali męski bastion nauki, ale otwierali jego bramy.

Żadne słowa nie wyrażą wdzięczności, którą dla nich mam, a którą oni sami skwitowaliby jako zarówno banał, jak i paradoks. Boże mój, jakże mi ich brakuje!

# BIBLIOGRAFIA

Poniżej przedstawiam wykaz najpomocniejszej lektury – książek i czasopism, z których korzystałam podczas tworzenia niniejszej powieści. Szczególne podziękowania składam Susan James za napisaną przez nią biografię oraz Janel Mueller za opublikowane przez nią opracowanie pism Katarzyny Parr.

- ander Michael Van Cleave, *The First of the Tudors: A Study of Henry VII and His Reign*, Croom Helm, London 1981.
- n Francis, *The History of the Reign of King Henry VII and Selected Works*, red. Brian Vickers, Cambridge University Press, Cambridge 1998.
- uin David, *Henry VIII's Last Love: The Extraordinary Life of Katherine Willoughby, Lady-in-Waiting to the Tudors*, Amberley, Stroud (Gloucestershire) 2015.
- n Elaine V. (red.), *The Examinations of Anne Askew*, Oxford University Press, New York 1996.
- ard G.W. (red.), *The Tudor Nobility*, Manchester University Press, Manchester 1992.
- nt Walter, *London in the Time of the Tudors*, Adam & Charles Black, London 1904.
- ridge Thomas, Lipscomb Suzannah (red.), *Henry VIII and the Court: Art., Politics and Performance*, Ashgate, Farnham (Surrey) 2013.
- off S.T. (red.), *The History of Parliament: The House of Commons, 1509–1558*, Secker & Warburg for the History of Parliament Trust, London 1982.

- David, *Tudor Sea Power: The Foundations of Greatness*, Seaforth Publishing, Barnsley (Yorkshire) 2009.
- Jessie, *Henry VIII's Last Victim: The Life and Times of Henry Howard, Earl of Surrey*, Jonathan Cape, London 2006.
- James S.B., *Henry VII*, Eyre Methuen, London 1972.
- Ingham Sean, *Henry VII*, Routledge, London 2007.
- Joanna, *Katherine Howard: A Tudor Conspiracy*, Portrait, London 2005.
- Margaret, *Lies and Lust in the Tudor Court: The Fifth Wife of Henry VIII*, iUniverse, Lincoln (NE) 2004.
- gan Anne J. (red.), *Queens and Queenship in Medieval Europe: Proceedings of a Conference Held at King's College, London, April 1995*, Boydell Press, Woodbridge (Suffolk) 1997.
- G.R., *England Under the Tudors*, Methuen, London 1955.
- Nicholas, *Disorder and Rebellion in Tudor England*, Hodder & Stoughton, London 2001.
- her Anthony, MacCulloch Diarmaid, *Tudor Rebellions*, 5th ed., Pearson Longman, Harlow 2008.
- ner James, „Anne Askew” w: *The Dictionary of National Biography*, vol. II, red. Leslie Stephen, s. 190–192, London 1885; <http://www.luminarium.org/encyclopedia/askew/htm>.
- John, *Tudor England*, Oxford University Press, Oxford 1988.
- Robert D., *Psychopaci są wśród nas*, przeł. Anna Skucińska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2006.
- Denys, *Europe in the Fourteenth and Fifteenth Centuries*, 4th ed., Longman, New York 1989.
- ard Maurice, *The Tudor Image*, Tate Publishing, London 1995.
- hinson Robert, *House of Treason: The Rise and Fall of a Tudor Dynasty*, Weidenfeld & Nicolson, London 2009.
- hinson Robert, *Ostatnie lata Henryka VIII: spiski i zdrady na dworze tyrana*, przeł. Jan Hensel, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2005.
- hinson Robert, *Young Henry: The Rise of Henry VIII*, Weidenfeld & Nicolson, London 2011.
- Arthur D., *England Under the Tudors*, Methuen, London 1905.
- nan S.W., *Deviating Voices: Women and Orthodox Religious Tradition*, Lutterworth Press, Cambridge 2003.
- Susan E., *Kateryn Parr: The Making of a Queen*, Ashgate, Farnham (Surrey) 1999.
- Philippa, *The Other Tudors: Henry VIII's Mistresses and Bastards*, New Holland, London 2009.

- Clrington K.J., *Mercy and Authority in the Tudor State*, Cambridge University Press, Cambridge 2003.
- Corneiluis Kyra, *Blood Will Tell: A Medical Explanation of the Tyranny of Henry VIII*, Ash Wood Press, Bloomington (IN) 2012.
- Smith J.L., *The Last Medieval Queens: English Queenship 1445–1503*, Oxford University Press, Oxford 2004.
- St Katherine J., Menuge Noël James, Phillips Kim M. (red.), *Young Medieval Women*, Sutton Publishing, Stroud (Gloucestershire) 1999.
- Trice Amy, *In Bed with the Tudors: The Sex Lives of a Dynasty from Elizabeth of York to Elizabeth I*, Amberley, Stroud (Gloucestershire) 2012.
- Tombs Suzannah, *1536: The Year That Changed Henry VIII*, Lion, Oxford 2009.
- Trice David, *Henry VIII: Court, Church and Conflict*, The National Archives, Richmond (Surrey) 2007.
- Trice Amy Audrey, *The Seymour Family*, 1911, reprint: University of Michigan Library, Michigan 2007.
- Trice Lauren, *Inside the Tudor Court: Henry VIII and His Six Wives Through the Writings of the Spanish Ambassador, Eustace Chapuys*, Amberley, Stroud (Gloucestershire) 2014.
- Trice John, *The Life of Sir Thomas Seymour, Knight; Baron Seymour of Sudeley, Lord High Admiral of England and Master of the Ordnance*, John Camden Hotten, London 1869.
- Trice Anne, *The Lincolnshire Tragedy: Passages in the Life of the Faire Gospeller, Mistress Anne Askew (novel)*, 1866, reprint: Nabu Press, Charleston (SC) 2012.
- Trice Anthony, *Queen Katherine Parr*, Secker & Warburg, London 1973.
- Trice J. Reid, *The Mark of Cain: Psychoanalytic Insight and the Psychopath*, 2011, reprint: Routledge, New York 2014.
- Trice Ian, *The Time Traveller's Guide to Medieval England*, Vintage, London 2009.
- Trice Janel (red.), *Katherine Parr: Complete Works & Correspondence*, University of Chicago Press, Chicago 2011.
- Trice Luise, *Henry VIII and His Court: An Historical Novel*, przeł. H.N. Pierce, New York 1867.
- Trice D.G., *Henry VIII and the English Reformation*, Routledge, London 1995.
- Trice Elizabeth, *Catherine Parr*, Amberley, Stroud (Gloucestershire) 2011.
- Trice Maria, *Sisters to the King: The Tumultuous Lives of Henry VIII's Sisters – Margaret of Scotland and Mary of France*, André Deutsch, London 1998.
- Trice Alison, *The House of Tudor*, Weidenfeld & Nicolson, London 1976.

r Linda, *Katherine the Queen: The Remarkable Life of Katherine Parr, the Last Wife of Henry VIII*, St. Martin's Press, New York 2010.

Conyers, *The Tudors: Personalities & Practical Politics in 16<sup>th</sup> Century England*, Oxford University Press, Oxford 1936.

oy Jasper, *The Tudor Age*, Constable, London 1988.

n Miri, *The Hollow Crown: A History of Britain in the Late Middle Ages*, Allen Lane, London 2005.

sbrick J.J., *Henry VIII*, Eyre & Spottiswoode, London 1968.

e Mark, Stevenson Kenneth W., *Documents of the Marriage Liturgy*, Liturgical Press, Collegeville (MN) 1992.

an Ethan H., *Popular Politics in the English Reformation*, Cambridge University Press, Cambridge 2003.

oe Kevin, *Selling the Tudor Monarchy: Authority and Image in Sixteenth-Century England*, Yale University Press, London 2009.

nore Chris, *Edward VI: The Lost King of England*, Weidenfeld & Nicolson, London 2007.

h Lacey Baldwin, *Treason in Tudor England: Politics and Paranoia*, Jonathan Cape, London 1986.

erset Anne, *Elizabeth I*, St. Martin's Press, New York 1992.

ey David, *Cnotliwy książę: zanim Henryk VIII został królem*, przeł. Rudolf Szymański, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2009.

ey David, *Królowe: sześc żon Henryka VIII*, przeł. Janusz Szczepański, Rebis, Poznań 2013.

ias Paul, *Authority and Disorder in Tudor Times, 1485-1603*, Cambridge University Press, Cambridge 1999.

l Nicholas, *Ralph Roister Doister*, 1566, reprint: Dodo Press, Gloucester 2007.

il Polydore, *Three Books of Polydore Vergil's English History: Comprising the Reigns of Henry VI., Edward IV., and Richard III.*, red. Henry Ellis, London 1844.

icke Retha M., *The Marrying of Anne Cleves: Royal Protocol in Early Modern England*, Cambridge University Press, Cambridge 2000.

Diane, „Askew, Anne (c. 1521-1546)” w: *Oxford Dictionary of National Biography*, red. H.C. G. Matthew & Brian Harrison, Oxford University Press, Oxford, 2004; <http://www.oxforddnb.com/view/article/798>.

Diane, *Secretaries of God: Women Prophets in Late Medieval and Early Modern England*, D.S. Brewer, Woodbridge 1997.

herford John W., *Crime and Punishment in the England of Shakespeare and Milton*, McFarland, Jefferson (NC) 2001.

- Alison, *Children of England: The Heirs of King Henry VIII*, Jonathan Cape, London 1996.
- Alison, *Henry VIII: King and Court*, Jonathan Cape, London 2001.
- Alison, *The Six Wives of Henry VIII*, Bodley Head, London 1991.
- elock Anna, *Mary Tudor: England's First Queen*, Bloomsbury, London 2009.
- ams Neville, *The Life and Times of Henry VII*, Weidenfeld & Nicolson, London 1973.
- on Derek, *In the Lion's Court: Power, Ambition and Sudden Death in the Reign of Henry VIII*, Hutchinson, London 2001.
- row Brandon G., *Katherine Parr: A Guided Tour of the Life and Thought of a Reformation Queen*, P & R Publishing, Phillipsburg (NJ) 2009.

#### Czasopisma:

- les Brigitte, Wells Brett, *Arthur as Barbe-Bleue: The Martyrdom of Saint Tryphine (Breton Mystery)*, „Yale French Studies” 95, *Rereading Allegory: Essays in Memory of Daniel Poirion* (1999), s. 134–151.
- hurst John, *The Alleged Miscarriages of Catherine of Aragon and Anne Boleyn*, „Medical History” 28, no. 1 (1984), s. 49–56.
- ock Andrew, „A Supernal liuely fayth”: *Katherine Parr and the authoring of devotion*, „Women's Writing” 9, no. 2 (2002), s. 177–198.
- nan C. Fenno Jr., *Catherine Parr as a Woman of Letters*, „Huntington Library Quarterly” 23, no. 4 (1960), s. 349–367.
- le John M., Estes J. Worth, *Oral Contraceptives in Ancient and Medieval Times*, „American Scientist” 80, no. 3 (1992), s. 226–233.
- stein Minna F., *Queen's Power: The Case of Katherine Parr*, „History Today” 26, no. 12 (1976), s. 788.
- ley Catrina Banks, Kramer Kyra, *A New Explanation for the Reproductive Woes and Midlife Decline of Henry VIII*, „Historical Journal” 53 no. 4 (2010), s. 827–848.

#### Inne:

- ds R.L., Hawkyard A.D.K., „Sir Thomas Seymour II (by 1509–49), of Bromham, Wilts., Seymour Place, London and Sudeley Castle, Gos.”, *The History of Parliament: British Political, Social & Local History*; <http://www.historyofparliamentonline.org/volume/1509-1558/member/seymour-sir-thomas-ii-1509-49>.
- ilton Dakota L., *The Household of Queen Katherine Parr*, Unpublished doctoral

dissertation, Somerville College, University of Oxford, 1992;  
[http://humboldt-dspace.calstate.edu/bitstream/handle/2148/863/hamilton\\_thesis\\_complete.pdf?sequence=1](http://humboldt-dspace.calstate.edu/bitstream/handle/2148/863/hamilton_thesis_complete.pdf?sequence=1).

rs and Papers, Henry VIII, *British History Online*; <http://www.british-history.ac.uk./search/series/letters-papers-hen8>.

# GARDENS FOR THE GAMBIA (OGRODY DLA GAMBII)

Philippa Gregory odwiedziła Gambię, jeden z najsuchszych i najbiedniejszych krajów subsaharyjskiej Afryki, w 1993 roku i opłaciła ręczne wykopanie studni w wiejskiej szkole podstawowej w miejscowości o nazwie Sika. Dziś – prawie 200 studni później – nadal zbiera pieniądze i zleca kopanie studni w wiejskich szkołach, ogrodach osiedlowych i jedynym w całym kraju college’u rolniczym. Współpracuje ze swoim przedstawicielem w Gambii, dyrektorem szkoły Ismailem Sisayem, i prowadzona przez nich razem organizacja dobroczynna opłaca zajęcia garncarstwa, batiku, pszczelarstwa i nauki czytania i pisanie dla dorosłych.

GARDENS FOR THE GAMBIA (Ogrody dla Gambii) to organizacja charytatywna zarejestrowana w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych oraz organizacja pozarządowa zarejestrowana w Gambii. Wszystkie donacje, bez względu na wysokość, trafiają do Gambii bez żadnych pomniejszeń. Aby dowiedzieć się więcej o działalności Philippy Gregory, którą sama autorka określa „najlepszym, co zrobiła”, należy wejść na stronę [www: PhilippaGregory.com](http://www.PhilippaGregory.com) i kliknąć zakładkę GARDENS FOR THE GAMBIA, gdzie można również przekazać donację, wspierając projekt Philippy Gregory.

*Każda wykopana przez nas studnia zapewnia wodę dla szkoły, w której*



*uczy się około 600 dzieci, i przyległych ogrodów, gdzie uprawia się warzywa na szkolne obiady. Nie znam bardziej bezpośredniej metody nakarmienia głodnych dzieci i nauczania ich uprawiania ziemi dla polepszenia własnej przyszłości.*

Philippa Gregory

# Przypisy

- [1] Ks. Rut 1:16, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. V, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.
- [2] Ew. Jana 1:1, *Biblia Tysiąclecia*, *op. cit.*
- [3] Psalm 18, *Biblia Tysiąclecia*, *op. cit.*
- [4] Ew. Mateusza 10:29, *Biblia Tysiąclecia*, *op. cit.*
- [5] 1 List do Koryntian 11:25, *Biblia Tysiąclecia*, *op. cit.*

PHILIPPA  
GREGORY

*Ostatnia żona  
Tudora*

Intymny portret ostatniej żony Henryka VIII,  
która w niebezpiecznym otoczeniu starzejącego się króla  
walczyła o własne życie i niezależność.

Zaledwie kilka miesięcy po pochowaniu piątej żony Henryk VIII planuje ponowne małżeństwo. Jego wybór pada na niedawno owdowiałą Katarzynę Parr. Młoda kobieta wie, że życzenie króla jest rozkazem i choć zamierzała wyjść za przystojnego Tomasza Seymoura, porzuca swoje plany. Po ślubie z Henrykiem Katarzyna jednoczy rodzinę królewską, a w samym sercu dworu gromadzi krąg uczonych. Jawne poparcie królowej dla reformy religijnej sprawia, że zaczynają przeciwko niej spiskować dworzanie aspirujący do władzy. Król początkowo szaleje za młodą żoną, ale wkrótce ulega podszeptom tych, którzy oskarżają ją o herezję. Aby ocalić życie, Katarzyna musi uprzedzić spiskowców...

*Przykuwająca... Odmalowany przez Philippę  
Gregory portret starzejącego się króla oraz  
jego zmysłowej i odczytanej młodej żony  
zachwyci wszystkich miłośników Tudorów.*

„Publishers Weekly”



Książnica

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-245-8236-5

EAN 9788324582365

U.KS.HIS040.1.01.01